

# Georgette Heyer

## DEBIUTANTKI

### 1

Zaledwie pięć dni minęło od chwili, w której owdowiała lady Buxted wysłała pilną wiadomość do brata, prosząc o odwiedzenie jej w najbliższej wolnej chwili, a już szlachetnie urodzony markiz Alverstoke łaskawie się pojawił. Lady Buxted westchnęła z ulgą, gdy dowiedziała się od najmłodszej córki, że pod dom zajechał właśnie wuj Vernon. Miał na sobie strojną pelerynę i prezentował się tak wspaniale jak pięciopensówka.

- Mamo, jeździ nowym eleganckim powozem i w ogóle jest cudowny! - oświadczyła panna Kitty, przyciskając nos do szyby, by lepiej widzieć ulicę. - Jest ogromnie szykowny, prawda?

Lady Buxted surowo skarciła córkę za wyrażenie, które nie przystoi panience z jej sfery, i wyprawiała ją do pokojów dziecińczych.

Lady Buxted nie zaliczała się do wielbicielek własnego brata, toteż wieść, że zajechał powozem na Grosvenor Place, bynajmniej nie wpłynęła na zmianę jej nastroju. Był ładny wiosenny ranek, lecz wiał ostry wiatr. Nikt, kto znał markiza, nie mógł się spodziewać, że każe swoim koniom czystej krwi czekać na siebie więcej niż pięć minut. Nie na tym polegał plan, chociaż, jak rozgoryczona wyznała starszej siostrze, nie powinna była spodziewać się niczego dobrego po osobie tak samolubnej i nieuczynnej jak Alverstoke.

Słyszając to lady Jevington, władczą matrona dobrze po czterdziestce, zdawkowo przytaknęła. Ona również sądziła, że ich jedyny brat jest nieuczynnym egoistą, lecz nie widziała najmniejszego powodu, dla którego miałby wyświadczać Luizie szczególne grzeczności. Lady Jevington zupełnie nie potępiała Alverstoke'a za to, że tak mało interesował się dwoma synami i trzema córkami Luizy. Nie ma powodu, by ktoś wspomagał tak pospolitą dzieciarnię. Jednakże fakt, że markiz podobnie traktował jej własne potomstwo, świadczył niezbitnie, iż myśli on wyłącznie o sobie. Któż bowiem mógłby przypuszczać, że kawaler, który nie tylko stanowił najprzedniejszą partię, ale i dysponował okazałym majątkiem, nie zechce z największą radością wprowadzić tak obiecującego siostrzeńca jak jej ukochany George do swojego elitarnego kręgu, a także wydać balu debiutanckiego dla drogiej Anny. Niechęci damy bynajmniej nie złagodził fakt, że i bez jego pomocy udało się doskonale wydać Annę za mąż, chociaż musiała przyznać rację swojemu staroświeckiemu małżonkowi lordowi, że potępiał krzykliwe towarzystwo, do którego należał Alverstoke, i często sama wyrażała nadzieję, iż Gregory nigdy nie pozwoli się do niego wciągnąć. Mimo wszystko nie potrafiła wybaczyć bratu, że nawet nie próbował pomóc. Twierdziła, że nie dawałaby wiary krążącym plotkom, gdyby nie miała powodów przypuszczać, iż Alverstoke nie tylko kupił stopień chorążego kawalerii w Gwardii Królewskiej dla młodego kuzyna i dziedzica, lecz wspomógł go także stosowną sumką. Na takie dictum lord Jevington odpowiadał, że przecież on sam jest w stanie dobrze wyposażyć syna, tak więc należy tylko pochwalać Alverstoke'a za zdrowy rozsądek, powstrzymał się przed zaoferowaniem pieniężnego wsparcia, jakie z pewnością głęboko uraziłoby rodziców szlachetnie urodzonego Gregory'ego Sandridge'a. Była to szczerą prawdą, lecz lady Jevington nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że gdyby Alverstoke miał chociaż odrobinę stosownych uczuć, nie obdarzyłby swoimi łaskami jakiegoś pośledniejszego kuzyna, tylko

najstarszego bratanka. Uważała również, że w lepiej zorganizowanym społeczeństwie syn najstarszej siostry, a nie daleki kuzyn, zostałby jego dziedzicem.

Choć lady Buxted wcale nie marzyła o tak niesprawiedliwym wywyższeniu Gregory'ego, w zasadzie zgadzała się z siostrą. Obie damy podzielały niechęć do pana Endymiona Dauntry'ego, którego ochrzciły mianem absolutnego prostaka. Lecz czy ich wrogość wobec Bogu ducha winnego młodzieńca zrodziła się z urazy dla jego owdowiałej matki, czy spowodował ją fakt, iż był przystojny i wyjątkowo świetnie zbudowany - co odsuwało w cień zarówno Gregory'ego Sandridge'a, jak i młodego lorda Buxteda - to pytanie którego nikt nie ośmielił się zadać.

Jakakolwiek zatem była przyczyna, obie starsze siostry Alverstoke'a żyły w przekonaniu, że trudno byłoby znaleźć gorszego dziedzica tytułu niż Endymion toteż każda z nich dokładała wszelkich starań, by przedstawić bratu najładniejsze i najbogatsze szlachetne panny, które rok po roku znikwały odsuwane w cień przez liczne zastępy ich następczyń.

Niestety Alverstoke zazwyczaj szybko się nudził. Skłonność ta pokonała jego siostry; i chociaż żadna z nich - widząc, jak wiele słabych istotek wspierało się na jego barkach - nie sądziła, iż jest nieczuły na niewieście wdzięki, to obie nie były na tyle zaślepione, by okazywać zbyt optywizm, kiedy wydawało się, że brat zaczyna okazywać zainteresowanie jakąś podsunietą mu pod nos panienką, będącą klejnotem tak pod względem urodzenia, urody, jak i posagu. Panna ta ledwie kilka tygodni była obiektem jego westchnień, a potem nagle zapominał nawet o jej istnieniu, gdzie indziej kierując swe uczucia. Kiedy siostry zorientowały się, że roztropni rodzice popatrują na niego podejrzliwie i że powszechnie uważa się go za człowieka niebezpiecznego, zarzuciły starania o wyswatanie brata. Teraz całą energię poświęciły o wiele łatwiejszemu zadaniu - ubolewaniu nad jego opieszałością, potępianiu egoizmu i wyrzekaniu na każdy jego amoralny postęp, jeśli tylko wieść o takowym dotarła do ich uszu. Jedynie najmłodsza siostra nie wtórowała im; no, ale skoro odrzuciła ona tyle rozsądnych kawalerów starających się o jej rękę i z własnej woli poślubiła pospolitego ziemianina, a stolicę odwiedzała sporadycznie, jej zdanie niewiele się liczyło. Kiedy siostry o niej rozmawiały - co rzadko się zdarzało - nazywały ją „nieszczęsną Elizą”. Mimo iż wiedziały, że jest ulubienicą Alverstoke'a, do głowy im nie przyszło zwrócić się o pomoc do Elizy w wyswataniu brata. Wreszcie zarzuciły ten pomysł w nie pozbawionym racji przekonaniu, że nikt, odkąd Alverstoke osiągnął wiek męski, nawet w najmniejszym stopniu nie jest w stanie na niego wpłynąć.

Lecz tym razem lady Buxted nie wezwała brata, by prawić mu kazanie. Prawdę powiedziawszy, postanowiła nie mówić niczego, co mogłoby go zrazić. Ale gdy na niego czekała, mimo smutnych doświadczeń pełna nadziei, która ją przepelniła na wieść o jego przybyciu, naszała ją myśl, że to podobne do brata - pozwolił, by minęło całe pięć dni, nim zadał sobie trud i stawiał się na wezwanie, które przecież mogło dotyczyć sprawy najwyższej wagi. Z trudem więc przywołała na twarz minę wyrażającą czułe powitanie; z jeszcze większym trudem wsączyła w głos serdeczność, kiedy brat - nie zaanonsowany - wkroczył do salonu. Cóż, takie prostackie zachowanie było w jego stylu, ale ją, o wiele bardziej czułą na konwenanse, wielce oburzyło, gdyż nie widziała powodu, dla którego miałby jej dom traktować jak własny. Pohamowując jednak wzburzenie wyciągnęła dłoń.

- Vernonie! Mój drogi, cóż za cudowna niespodzianka!

- A co w tym niespodziewanego? - spytał unosząc krucze brwi. - Czy nie prosiłaś, abym przybył?

Wymuszony uśmiech nie schodził z twarzy lady Buxted, lecz tym razem odezwała się tonem co najmniej chłodnym:

- Oczywiście, ale było to tak dawno, że już sądziłam, iż wyjechałeś z miasta!

- Ach, nie! - odparł, oddając jej jak najśłodszy uśmiech. Nie oszukał tym lady Buxted, która jednak uznała, że rozsądniej będzie zignorować tę wyraźną prowokację. Poglądziła sofę i zaprosiła brata, aby usiadł. On jednak podszedł do kominka i nachylił się, by ogrzać dłonie.

- Nie mogę długo zabawić, Luizo. O co więc chodzi? Ona zaś, uprzednio postanowiwszy, że wyjawi swą prośbę małymi, taktownymi kroczkami, stwierdziła, że takie bezpardonowe pytanie rozwścieczyło ją i zbiło z tropu. Zawahała się. Brat podniósł głowę, w jego cokolwiek surowych szarych oczach pojawił się błysk, spytał:

- Słucham?

Nie zaszczyciła go natychmiastową odpowiedzią, gdyż akurat w tej chwili pojawił się kamerdyner, niosąc takie przekąski, jakie uznał za odpowiednie na tę okazję. Kiedy odstawił ciężką tacę na stolik i konfidenicznym tonem zaufanego domownika poinformował markiza, że podał i szkocką, i sherry, lady Buxted miała czas na pozbieranie myśli. A także na zauważenie, ku swojemu oburzeniu, że brat wybrał się w bryczesach i butach do konnej jazdy. Było to równie niestosowne, jak wkroczenie bez zapowiedzi do salonu. To, że buty lśniły, fular był elegancko zawiązany, a surdut idealnie dopasowany - z pewnością wyszedł spod ręki mistrza igły - tylko podsyciło jej niezadowolenie. Czuli, że choć brat nie przywiązuje większej wagi do swojego wyglądu, ona nie potrafi wybaczyć mu, iż nie zadał sobie fatygi, by okazać jej szacunek strojem stosownym na poranną wizytę. Przecież brat zawsze był taki elegancki, że jego styl naśladowali inni dobrze urodzeni panowie. Lady Buxted sądziła, że ktoś taki nie powinien do tego stopnia lekceważyć konwenansów. Prawdę mówiąc, kiedyś, w chwili wzburzenia, zapytała brata, czy przywiązuje on jakąkolwiek wagę do strojów. Na co po chwili zastanowienia odpowiedział, że chociaż naturalnie dobór stroju traktuje jako sprawę doniosłej wagi, to w tym samym stopniu troszczy się o konie.

Podszedł do stolika i po wyjściu kamerdynera odwrócił głowę i zapytał:

- Sherry, Luizo?

- Drogi Vernonie, przecież powinieneś wiedzieć, że nie biorę sherry do ust!

- Powinienem? Ależ mam zadziwiająco słabą pamięć!

- Nic podobnego, jeśli chcesz o czymś pamiętać!

- Owszem, wtedy nie! - zgodził się. Spojrzał na nią z ukosa i, na widok ściągniętych ust i występujących na twarzy wypieków roześmiał się niespodziewanie.

- Jaka jesteś niemądra, droga siostrze! Nigdy nie udało mi się tak szybko złapać na przynętę ryby, jak sprowokować ciebie! Zatem, co mam podać? Malagę?

- Napiję się kieliszeczek ratafi, jeśli będziesz łaskaw mi ją nalać - odparła sztywno.

- Zada to bolesny cios moim uczuciom, ale będę tak łaskaw. To obrzydliwe pić o tej porze! Lub, prawdę mówiąc, o każdej - dodał w zadumie. Przyniósł kieliszek; jak zawsze poruszał się niespiesznie, lecz z wdziękiem urodzonego sportsmena. - Zatem, o co chodzi? Tylko przejdź do rzeczy! Nie chcę trzymać koni

na takim zimnie.

- Nalegam, byś usiadł! - powiedziała surowo.

- No dobrze, ale, na miłość boską, mów wreszcie, co cię dręczy! - zawołał i usadowił się w fotelu naprzeciw kominka.

- Sprawy mają się tak, Alverstoke, że potrzebna mi twoja pomoc powiedziała.

- Domyśliłem się tego po otrzymaniu listu, droga Luizo - odparł z zatrważającą uprzejmością. - Oczywiście, mogłaś mnie wezwać w celu ogłuszenia którymś ze swoich pogrzebaczy, ale twoje szacowne pismo było na tyle czule, że niemal natychmiast odsunąłem od siebie niecne podejrzenia. Została więc jedna tylko możliwość: czegoś ode mnie chcesz.

- Byłabym wdzięczna, jeśli łaska, gdybyś pamiętał, że w liście prosiłam cię jedynie, byś mnie odwiedził! - zauważyła, piorunując go wzrokiem.

- Nawet nie wiesz, Luizo, jak bardzo korci mnie, by z wymuszonym uśmiechem przyjąć twoją łaskawość! - oznajmił. - Lecz nikt nie może o mnie powiedzieć, że przypisuję sobie czyjeś zasługi! Trevor mi o tym przypomniał.

- Nie mówisz chyba, że pan Trevor czytał mój list? - zapytała rozwścieczona do białości lady Buxted. - Twój sekretarz?

- Nająłem go do czytania mojej korespondencji - wyjaśnił uprzejmie jego lordowska mość.

- Ale nie tej od najbliższych i najdroższych!

- Owszem, tej nie! - zgodził się.

Lady Buxted oddychała coraz szybciej.

- Jesteś najbardziej odrą... - Urwała, odetchnęła głębiej. Wyraźnie walczyła ze sobą. Bohaterskim wysiłkiem zdołała znowu przywołać na wargi uśmiech i odezwała się z udawanym rozbawieniem:

- Paskudnik F Nie dam się wyprowadzić z równowagi! Pragnę porozmawiać z tobą o Jane!

- Kimże, u diabła, jest... Och, tak, wiem! To jedna z twoich dziewcząt!

- Moja najstarsza córka i, pragnę ci przypomnieć, twoja siostrzenica, Alverstoke!

- Jesteś niesprawiedliwa, Luizo, nie trzeba mi o tym przypominać!

- W tym sezonie wprowadzam to drogie dziecko w świat - oznajmiła, ignorując jego uwagę. - Oczywiście zaprezentuję ją na królewskim dworze... jeżeli królowa będzie się dobrze czuła, gdyż mówi się, że ostatnio mocno niedomaga, zatem...

- Powinnaś coś zrobić z jej piegami... jeżeli to ta panna, o której myślę - przerwał siostrze. - Próbowalaś soku z cytryny?

- Nie zaprosiłam cię tutaj, by omawiać wygląd Jane! - prychnęła.

- Więc po co, u diabła?

- Prosić cię, abyś wyprawił bal na jej cześć... w Alverstoke House! - wypaliła, nie owijając już niego w bawełnę.

- Co takiego?

- Doskonale wiem, co zamierzasz powiedzieć, ale rozważ to dobrze, Vernonie! To twoja siostrzenica, a jakież miejsce byłoby stosowniejsze na jej debiutancki bal niż Alverstoke House?

- Twoje domostwo! - odpalił bez wahania.

- Och, przestań być taki niemiły! Jestem przekonana, że w tym salonie nie mogłoby tańczyć więcej niż trzydzieści par, a pomyśl tylko o całym zamieszaniu i kłopotach!

- Właśnie o tym myślę - zapewnił jego lordowska mość.

- Ależ nie może tu być żadnego porównania! To znaczy, chodzi roi o to, że musiałabym usunąć z saloniku wszystkie meble, poza tym w jadalni podać kolację, a bawialnię przeznaczyć na garderobę dla pań... a w Alverstoke House jest taka wspaniała sala balowa! Poza tym, to również mój dom rodzinny!

- Mój także - oświadczył markiz. - Niekiedy zawodzi mnie pamięć, mimo to żywo przypominam sobie całe zamieszanie i kłopoty, jak trafnie to ujęłaś, towarzyszące balom wydawanym tam na cześć Augusty, twoją i Elizy. Zatem, droga siostrze, moja odpowiedź brzmi: NIE!

- Czy jesteś wyzuty z wszelkich uczuć? - zawołała dramatycznie. Wyjął z kieszeni emaliowaną tabakierkę i krytycznym wzrokiem przyjrzał się malowidłu na jego wieczku.

- Nie, absolutnie nie. Zastanawiam się, czy kupując ten przedmiot popełniłem błąd? Wtedy mi się podobał, lecz teraz zaczynam uważać, że jest niezbyt gustowny. - Westchnął i wprawnym pstryknięciem kciuka otworzył puzderko. - A już z całą pewnością nie lubię tej mieszanki - powiedział, wdychając potężny niuch i z wyraźnym niesmakiem otrzepując palce. - Mogłabyś powiedzieć, oczywiście, że powinienem być na tyle rozsądny, by nie powierzać Mendelshamowi sprokurowania tej mieszanki, i niezaprzecalnie przyznałbym ci wtedy rację. Każdy bowiem powinien sam dobierać sobie tytoń. - Wstał. - Cóż, jeśli to wszystko, pozwolisz, że się pożegnám.

- To wcale nie wszystko! - krzyknęła, coraz bardziej rozgniewana. - Wiedziałam, że tak będzie, oczywiście... och, wiedziałam!

- Wobec tego po co, u diabła, marnowałaś mój czas?

- Bo miałam nadzieję, że choć raz okażesz trochę... trochę wrażliwości! Trochę zrozumienia tego, co należy się rodzinie! A może nawet odrobinę czułości wobec biednej Jane!

- Bujasz w obłokach, Luizo! Moja niewrażliwość cię gnębi już od lat. Do biednej Jane nie żywię ani krztyny czułości, a gdybym ją przypadkowo spotkał, to pewnie nawet bym jej nie poznał. A tego, że Buxtedowie są moją rodziną, muszę się jeszcze nauczyć!

- Czyż ja nie zaliczam się do twojej rodziny? - spytała rozgniewana. - Zapomniałeś, że jestem twoją siostrą?

- Nie, niestety, nigdy nie pozwolono mi o tym zapomnieć. Och, nie trać znowu panowania nad sobą... nie masz pojęcia, jakie masz zmarszczki, kiedy wpadasz w jeden z tych swoich humorów! Niech cię pocieszy moje zapewnienie, że gdyby Buxted zostawił cię z pustą kieszą, czułbym się zobowiązany przyjąć cię na swój garnuszek. - Popatrzył kpiąco na siostrę. - Tak, wiem, że zamierzasz powiedzieć, iż z trudem wiążesz koniec z końcem, ale naga prawda jest taka, że świetnie potrafisz dawać sobie radę, droga Luizo, bez najmniejszego wsparcia z mojej strony! O nie, nie przyprawiaj mnie o mdłości banialukami o przywiązaniu! Sama nie żywisz go więcej dla mnie niż ja dla ciebie.

Wyraźnie wytrącona z równowagi tym bezpośrednim atakiem lady Buxted wyjąkała:

- Jak śmiesz tak mówić? Przecież z całą pewnością jestem ci jak najbardziej oddana!

- Okłamujesz samą siebie, siostrze. Nie mnie, tylko mojej sakiewce!

- Och, jak możesz być tak niesprawiedliwy! A jeśli chodzi o to, jak świetnie potrafię sobie radzić, to ośmielałem się zauważyć, że ty, ze swoją bezprzykładną rozrzutnością, byłbyś zdumiony, gdybyś wiedział, jak muszę liczyć się z każdym pensum! Jak sądzisz, dlaczego po śmierci Buxteda musiałam wyprowadzić się z naszego pięknego domu przy Albemarle, i zamieszkać na tym odludziu?

Uśmiechnął się.

- Ponieważ nie było najmniejszego powodu dla tej przeprowadzki, mogę tylko założyć, że spowodowało to twoje zamiłowanie do samoumartwienia.

- Jeżeli twierdzisz, że musiałam ograniczyć wydatki...

- Ależ nie, ty jedynie nie potrafiłaś oprzeć się pokusie, aby to zrobić.

- Mam piątkę dzieci na utrzymaniu... - Urwała, ostrzeżona jego kpiącym spojrzeniem, że nierozsądnie byłoby drążyć dalej ten temat.

- Otóż to! - powiedział ze zrozumieniem. - Sądzę, że lepiej będzie, jeśli już się pożegnamy?

- Czasami - odezwała się z tłumioną wściekłością lady Buxted - myślę, że jesteś najbardziej odrażającą, nieludzką istotą pod słońcem! Bez wątpienia, gdyby to Endymion zwrócił się do ciebie z taką prośbą, spełniłbyś ją z największą skwapliwością!

Te pełne goryczy słowa wywarły na markizie ogromne wrażenie, jednak po chwili osłupienia zebrał się w sobie i niewyraźnym, lecz kojącym tonem poradził siostrze, by położyła się do łóżka z solami trzeźwiącymi.

- Droga Luizo, uwierz mi, jesteś ogromnie wzburzona! Pozwól się zapewnić, że gdyby Endymion poprosił mnie o wydanie balu na jego cześć, powziąłbym kroki, aby umieścić go w zakładzie dla obłąkanych!

- Och, jesteś obrzydliwy! - zawołała, - Doskonale wiesz, że nie chodziło mi o... wcale nie myślałam, że...

- Nie, nie, nie tłumacz mi tego! - przerwał. - Zapewniam cię, że absolutnie nie jest to konieczne! Doskonale cię rozumiem... prawdę mówiąc, od wielu już lat! Ty... i jak podejrzewam Augusta... wmówiłyście sobie, że mam słabość do Endymiona...

- Tego... tego nierozgarniętego typu!

- Jesteś zbyt surowa: on po prostu jest nieco ślamazarny!

- No tak, wszyscy wiemy, że uważasz go za wzór wszelkich cnót - rzuciła gniewnie, mnąc w dłoniach chusteczkę.

Markiz bawił się dotąd monoklem, kołyszącym się na długiej wstążce, lecz poruszony wypowiedzią siostry podniósł szkiełko do oka, by lepiej przyjrzeć się jej wzburzeniu.

- Przedziwną interpretację nadałaś moim słowom! - zauważył.

- Nic już nie mów! - krzyknęła, tracąc nad sobą panowanie.

- Twój bezcenny Endymion może mieć wszystko, czego tylko zapragnie! Podczas gdy twoje siostry...

- Nie chciałbym ci przerywać, Luizo - mruknął nieszczerze jego lordowska mość - lecz sądzę, że jesteś w wielkim biedzie. Sama wiesz, że niezbyt jestem skory do dobroczynności.

- I rozumiem, że nie wypłacasz mu pensyjki! Och, rzeczywiście!

- Więc to cię tak boli? Jesteś wyjątkowo niezrównoważonym stworzeniem! W jednej chwili oskarżasz mnie, że źle traktuję własną rodzinę, a w drugiej łajasz mnie, że wypełniam obowiązki wobec swojego

dziedzica!

- Tego prostaka! - krzyknęła. - Jeżeli on zostanie głową rodziny, ja tego nie zniosę!

- Cóż, nie musisz dręczyć się tą myślą! - poradził siostrze.

- Bardzo prawdopodobne bowiem, że cię przeżyję. Wiesz, nie daję ci więcej niż pięć lat.

Lady Buxted, nie mogąc znaleźć słów stosownych do tej sytuacji, uciekła się do niepoahamowanego płaczu. Pomiędzy spazmami jednak obwiniała brata o nieżyczliwość. Lecz nawet jeśli sądziła, że taka taktyka zmięczy jego serce, wielce się myliła. Markiza bowiem mało co bardziej nudziło od niewieścich łez i wymówek. Toteż mówiąc z nieprzekonywającą czułością, że jego obecność najwyraźniej niezbyt dobrze działa na siostrę, ruszył do drzwi, przyspieszając kroku z żarliwym zapewnieniem, że siostra pożyje przynajmniej tak długo, by zdążyła zobaczyć, jak on usuwa się do samotni.

Gdy tylko za markizem zamknęły się drzwi, lady Buxted natychmiast przestała płakać. Już miała odzyskać jaki taki spokój ducha, gdy w kilka chwil później starszy syn postanowił zajrzeć do saloniku i spytać, daremnie siląc się na takt, czy wuj złożył matce wizytę. A jeśli tak, to jak zareagował na jej prośbę. Kiedy dowiedział się, że Alverstoke okazał się nieuczynny, jak zawsze zresztą twierdziła, sposepniał, lecz mimo to powiedział, iż wcale nie żałuje, gdyż po głębszym namyśle uznał, że ten plan zupełnie mu się nie podoba.

Lady Buxted wcale nie była usposobiona do czułości. Choć równie egoistyczna jak brat, była daleko mniej szczerą, gdyż nigdy nie przyznawała się do swoich słabostek, a prawdę mówiąc, nawet ich nie widziała. Już dawno temu wmówiła sobie, że jej życie to jedno pasmo wyrzeczeń dla osieroconej przez ojca dziatwy. Toteż po prostu praktykując umieszczanie przed imionami swoich dwóch synów i trzech córek należnych im tytułów, mówiąc o nich (choć niekoniecznie do nich) czule oraz powiadamiając cały świat, że ani myśli, ani dąży, by stały się jej oczkiem w głowie, w oczach bezkrytycznej większości zdołała zaskarbić sobie opinię oddanej matki.

Jej ulubieńcem był Carlton, o którym zbyt często napomykała jako o pierworodnym. Nigdy bowiem nie zdarzyło się, by przypawił ją o drżenie serca. Z flegmatycznego chłopczyka, szanującego matkę za wyznawane przez nią wartości, wyrósł na wartościowego młodzieńca o głębokim poczuciu odpowiedzialności i poważnym podejściu do życia, co uchroniło go od tarapatów, w jakie wpadł jego energiczniejszy kuzyn Gregory. Jednak przy tym zupełnie nie potrafił zrozumieć, co takiego ciekawego widzi Gregory lub inni jego rówieśnicy w psotach i hulankach. Niezbyt był bystry, myślał wolno i z trudem, lecz był dumny ze swojego zdrowego rozsądku. Wcale też nie był zazdrosny o George'a, młodszego brata, choć wiedział, że jest on od niego inteligentniejszy. Prawdę powiedziawszy, był dumny z brata i uważał go za bystrego chłopaka; i chociaż jego przemyślenia podpowiadały mu, że taki niespokojny duch może sprowadzić owego obiecującego młodzieńca z drogi cnoty, nigdy nie zdradził się przed matką z tą obawą. Nie poinformował jej też, że postanowił nie spuszczać z George'a baczego oka, kiedy brat już skończy naukę. Nie zwierzał się matce ani się z nią nie spierał, a nawet przy siostrze Jane nie wymknęło mu się ani słówko krytyki wobec rodzicielki.

Miał dwadzieścia cztery lata, ale ponieważ dotąd nigdy się jej ostro nie sprzeciwił, matka była nieprzyjemnie zaskoczona, gdy wyznał, że nie widzi powodu, dla którego debiutancki bal Jane miałby się odbyć w domu wuja i na dodatek na jego koszt. Błyskawicznie stracił w jej oczach, a ponieważ już była

rozdrażniona, szybko skończyłoby się na sprzeczce, gdyby nie to, że rozważnie wycofał się z saloniku.

Ze smutkiem stwierdził, że Jane podziela uczucia matki, i dowodzi, że wstrętny wuj Vernon jest tak nieczuły, poza tym ma węża w kieszeni i żałuje marnych kilkuset funtów.

- Jestem przekonany, Jane - powiedział Buxted poważnym tonem - że masz za wiele dobrego smaku, by pragnąć aż tak zależeć od hojności wuja.

- Och, bzdury! - zawołała gniewnie. - Czemu nie miałabym od niego zależeć? Przecież to jego obowiązek!

Zdawało się, że Buxtedowi jeszcze bardziej obwisła górna warga - działa się tak zawsze, gdy był niezadowolony. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała nagana:

- Staram się uwzględnić twoje niezadowolenie, nie mogę się jednak oprzeć myśli, że zrozumiesz, iż bal tutaj, w twoim własnym domu, okaże się o wiele przyjemniejszy niż w ogromnych komnatach Alverstoke House, gdzie, ośmielam się twierdzić, nie znałabyś więcej niż połowy gości.

Jego druga siostra, Maria, którą niebawem też czekał bal debiutancki, była równie jak Jane rozwścieczona, i niemal nie mogła się powstrzymać, doczekała jednak, aż brat zakończy swoją starannie przemyślaną wypowiedź, nim spytała gniewnie, dlaczego plecie takie bzdury.

- Więc zabawniejszy byłby podrzędny balik tutaj, wydany dla nie więcej niż pięćdziesięciu osób, od balu debiutanckiego w Alverstoke House? Chyba postradałeś zmysły! - poinformowała jego lordowską mość. - Znasz mamę - byłoby to nędzne przyjęcie! A wyobrażasz sobie, jaki wspaniały byłby bal wydany przez wuja? Setki gości, a wszystko w pierwszorzędnym gatunku! Homary, galareta z auszpiku, wino i bita śmietana...

- I szampan! - wyrwała się Jane, nie zwracając na brata uwagi.

- A ja razem z mamą i wujem stanęłabym u szczytu tych wielkich schodów. W białej satynowej sukni przystrojonej pączkami róż, w różowym welonie i w wianeczku!

Owa cudowna wizja przywołała łzy w jej oczach, lecz ani w Marii, ani w Carltonie nie wzbudziła entuzjazmu. Maria zaprotestowała, że dziwacznie kłóciłoby się to z jej piegami i piaskowożółtymi włosami, natomiast Carlton stwierdził, że dziwi się, jak jego siostry mogą przejmować się takimi błahostkami. Żadna z nich nie pofatygowała się, by odpowiedzieć, ale kiedy dodał, że on, ze swojej strony, cieszy się, iż Alverstoke odmówił wydania balu, rozgniewały się tak samo jak ich mateczka, a narobiły o wiele więcej wrzasku. W tej sytuacji Carlton wycofał się, zostawiając siostry wyrzekające na to, jak jest prozaiczny, oraz kłócące się o pączki róż i różową satynę. Zgodziły się wszakże, że odmowa wuja wynikła najprawdopodobniej z winy matki. Żadna z panien bowiem nie wątpiła, że to za jej przyczyną okazał się taki uparty.

## 2

Kiedy markiz wrócił do domu, natknął się na list, leżący na jednym z hebanowych stolików intarsjowanych połączonym brązem. Zaadresowano go dużym i zamaszystym charakterem pisma, a blade-niebieski lak pieczęci był nienaruszony. Pan Charles Trevor, doskonały sekretarz markiza, od pierwszego wejrzenia uznał, że liścik pochodzi od jednej z lekkomyślnych piękności, która na jakiś czas zaprzętnęła rozproszoną uwagę



jego lordowskiej mości. Rzucając na ręce usłużnego lokaja kapelusz, rękawiczki i suto ozdobioną pelerynę, która taki podziw wzbudziła w pannie Kitty Buxtedównie, markiz wziął liścik i pomaszerował do biblioteki. Kiedy przełamał pieczęć i rozłożył perfumowany arkusik, jego wrażliwy węch wyczuł zapach ambry. Na jego twarzy pojawił się wyraz obrzydzenia. Przytrzymał liścik na wyciągnięcie ramienia i po omacku poszukał monokl. Patrząc przez szkiełko, nieuważnie przejrzał wiadomość, po czym wrzucił papier do kominka. Uznał, że Panny stała się niemożliwie nudna. Oszołamiające stworzenie, lecz nie sposób zaspokoić jej apetytu, nawet pierwszej klasy podarunkami. Teraz zażądała pary kremowych koni do swojego powoziku, a w ubiegłym tygodniu diamentowego naszyjnika. Podarował go jej i powinna to potraktować jako prezent na pożegnanie.

Paskudne perfumy, którymi skropiła liścik, widać przylgnęły do jego palców. Kiedy Charles Trevor wszedł do pokoju, markiz starannie wycierał dłonie. Podniósł głowę i widząc wyraz zdumienia na twarzy młodego dżentelmena, powiadomił go, że nie znosi zapachu ambry.

Pan Trevor nie skomentował tego ani słowem, lecz jego uczucia tak wyraźnie malowały się na twarzy, że Alverstoke dodał:

- Otóż to! Wiem, co myślisz, Charlesie, i masz bezsprzecznie rację. Pora już odprawić Panny. - Westchnął.  
- Miło było, lecz jak na taką małą ptaszynę jest stanowczo zbyt żarłoczna.

I na to pan Trevor nic nie powiedział. Trudno zresztą byłoby mu to zrobić, gdyż w tej delikatnej materii miał mieszane uczucia. Jako moralista mógłby tylko potępiać tryb życia swojego pryncypała; natomiast jako dżentelmen absolutnie wiemy rycerskim zasadom żałował biednej Panny; jednakże jako człowiek, który w pełni orientował się, jaką szcudrość okazał tej damie jego lordowska mość, musiał przyznać, że dama nie miała powodu do narzekań.

Charles Trevor, jeden z młodszych członków bardzo rozgałęzionej rodziny, zawdzięczał swoją obecną pozycję takim okolicznościom, że jego ojciec tuż po święceniach został zaangażowany jako nauczyciel i mentor ojca obecnego markiza, towarzysząc mu na przedłużającej się w nieskończoność Wielkiej Wyprawie. Okazało się, że komfortowy tryb życia nie był jedyną nagrodą: szlachetnie urodzony uczeń bowiem szczerze się do niego przywiązał; został ojcem chrzestnym jego najstarszego syna, a własnego wychował w przekonaniu, że wielebny Laurence Trevor ma prawo domagać się jego opieki.

Toteż kiedy wielebny Laurence odważył się zaproponować obecnemu markizowi właśnie Charlesa jako kandydata odpowiedniego na osobistego sekretarza, Alverstoke zaakceptował go z o wiele większą ochotą, niż Charles się spodziewał, i przyjął na prawach domownika. Chociaż Charles nie czuł powołania, by powiększyć szeregi sług bożych, lecz mimo to był poważnym młodzieńcem o nienagannym morale, zatem wszystko, co dotąd słyszał o Alverstoke'u, utwierdziło go w przekonaniu, że objęte stanowisko będzie jednym pasmem cierpień i udreki. Charles żywił do ojca silne przywiązanie, a że zdawał sobie sprawę, iż niezbyt zamożnemu pastorowi nie jest łatwo wychować sześciu synów, przeto dla siebie zachował obawy, zapewnił ojca, że dołoży wszelkich starań, by nie zawieść jego nadziei, a sam pocieszył się refleksją, że jako mieszkaniec Alverstoke House z pewnością łatwiej odkryje i pochwyty swoją szansę, niż gdyby rozbijał się po wiejskim probostwie.

Jednakże zaczął interesować się polityką, a tam niełatwo było trafić na żyłę złota. Markiz bowiem nie

podzielał jego ambicji i konsekwentnie unikał zbyt częstego pojawiania się w Izbie Lordów. Jednakże od czasu do czasu to się zdarzało i wtedy Trevor mógł pisywać dla swojego patrona krótkie przemówienia, które ten uznał za stosowne wygłosić, i niekiedy przemyślał w nich własne polityczne zapatrywania.

Co więcej, przekonał się, że Alverstoke'a nie sposób nie polubić. Choć nie miał powodów, by przypuszczać, że markiz zainteresuje się jego problemami, to przekonał się, że jest nie tylko niewymagający, ale także przyjazny, i nigdy nie upierał się przy swoim zdaniu. Wymieniając listy z przyjacielem z college'u, który znalazł się w podobnej sytuacji, a którego pracodawca traktował jako coś pośredniego między czarnym niewolnikiem a starszym służącym, Charles zorientował się, że miał szczęście. Alverstoke bowiem dawał mu niekiedy bolesnego przytyczka w nos, lecz kiedy sekretarz naprawdę popełnił błąd, piorunował go bezprzykładnie, nigdy jednak nie podkreślając, że stoi od niego wyżej na drabinie społecznej. Gdy przyjacielowi Charlesa wydawano szorstkie rozkazy, w stronę Charlesa kierowano uprzejme prośby i zazwyczaj towarzyszył im uprzejmy uśmiech jego lordowskiej mości. Mimo iż Charles bardzo się starał, ostatecznie nie potrafił się oprzeć urokowi Alverstoke'a bardziej, niż tego pragnął, podziwiał jego zamiłowanie do koni i sprawność w wielu sportowych dyscyplinach.

- Podejrzewam - odezwał się markiz z błyskiem rozbawienia w oku - sądząc po twojej niepewności i po tym, że jesteś uległy niczym owieczka, iż czujesz się zobowiązany, by przypomnieć mi o jakiejś kolejnej niemiłej powinności. Radzę ci dobrze, nie rób tego. Będę dla ciebie bardzo nieprzyjemny i możesz zawisnąć na suchej gałęzi.

Poważne oblicze pana Trevora rozjaśnił uśmiech.

- Tego pan nigdy nie zrobi, sir - powiedział po prostu. - A skoro mówimy o powinności... ja przynajmniej nie sądzę, by tym była! Pomyślałem tylko, że chciałby się pan o tym dowiedzieć.

- Pomyślałeś? Z doświadczenia wiem, że takie słowa niechybnie są wstępem do czegoś, czego wolałbym uniknąć.

- Zgadza się - odparł szczerze pan Trevor. - Lecz mimo to nalegam, by przeczytał pan ten list! Prawdę mówiąc, obiecałem pannie Merriville, że pan to zrobi!

- A kim jest owa panna Merriville? - zażądał wyjaśnień jego lordowska mość.

- Powiedziała, że powinien pan sam się domyśleć, sir.

- Doprawdy, Charlesie, poznałeś mnie już na tyle, by wiedzieć, że nie mam głowy do nazwisk... - Urwał, zmarszczył brwi.

- Merriville - powtórzył w zadumie.

- Mam wrażenie, sir, że to jakaś pańska krewna.

- Ale bardzo daleka! Czego ona, u diabła, chce?

Pan Trevor podał mu zalakowany list. Markiz wziął go, lecz powiedział surowo:

- Dostałbyś dobrą nauczkę, gdybym to wrzucił do ognia, a potem kazał ci się wytłumaczyć, dlaczego nie dopilnowałeś, bym ten liścik przeczytał! - Złamał pieczęć i otworzył list. Szybko przebiegł wzrokiem jego treść. Kędy skończył, podniósł głowę i zmierzył pana Trevora współczującym spojrzeniem. - Niezbyt dobrze się czujesz, Charlesie? Poszalałeś wczoraj wieczorem i nie jesteś dzisiaj w najlepszej formie?

- Ależ oczywiście, że nie! - zapewnił wstrząśnięty pan Trevor.

- Dlaczego więc, na miłość boską, tak ci zawirowało w głowie?

- Nie! To znaczy...

- Tak się musiało stać. Nigdy dotąd, przez całe trzy lata naszych kontaktów, nie zdarzyło ci się, byś naraził mnie na napastowanie przez uprzykrzonych krewnych! A zachęcając najpośledniejszych spośród nich...

- Ależ przekonano mnie, że wcale tacy nie są, sir! Podejrzewałem, że może nie są zamożni, lecz...

- Pośledniejszego gatunku - powtórzył stanowczo jego lordowska mość. - Gdy się pomyśli, że moja siostra uważa, iż na Grosvenor Place żyje odgradzona od całego świata, to jak można oceniać kogoś, kto zamieszkał na Upper Wimpole Street? A jeśli... - ponownie zerknął na list - ...jeśli ta F. Merriville jest córką kogoś z naszej rodziny, kogo ledwie pamiętam, zapewniam cię, że nie ma ona funduszy i spodziewa się, że ja powinienem temu zaradzić.

- Nie, nie! - zawołał pan Trevor. - Mam nadzieję, że potrafiłbym taką osobę skutecznie do tego zniechęcić!

- Ja także - zgodził się jego lordowska mość. Uniósł pytająco brew. - To jacyś twoi przyjaciele, Charlesie?

- Nigdy przedtem ich nie widziałem, sir - zapewnił sztywno pan Trevor. - Muszę zapewnić waszą lordowską mość, że moim zdaniem, wielce niestosownym byłoby przedstawiać panu jakichkolwiek z moich przyjaciół.

- Hm, nie zachowuj się tak, jakbyś kij połknął! Naprawdę nie chciałem cię urazić! - odezwał się pojednawczo Alverstoke.

- Nie, proszę pana, oczywiście, że nie! - powiedział ułagodzony pan Trevor. - Proszę o wybaczenie! Rzecz polega na tym... Cóż, najlepiej będzie, gdy wytłumaczę, w jaki sposób poznałem pannę Merriville!

- Zrób to! - zachęcił go Alverstoke.

- Ona sama przyniosła ten list - wyjął pan Trevor. - Powóz zajechał akurat w chwili, kiedy wchodziłem do domu... Nie zadał mi pan na dzisiaj zbyt wiele pracy, toteż pomyślałem, że nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym poszedł sprawić sobie nowy fular!

- Ależ dlaczego w ogóle mógłbyś coś takiego przypuścić? Na twarzy statecznego sekretarza znowu pojawił się uśmiech.

- Za pana sprawą, sir. Cóż, przechodząc do rzeczy, z powozu wysiadła panna Merriville. Trzymała w dłoni list, a ja wchodziłem po schodach. I...

- Aha! - wtrącił się Alverstoke. - Nie było lokaja! Pewnie to wynajęty powóz.

- Jeśli o to chodzi, proszę pana, to nie wiem. Tak czy siak, spytałem pannę, czym mogę jej służyć... przyznałem, że jestem pańskim sekretarzem... zaczęliśmy rozmawiać... i powiedziałem, że mógłbym przekazać panu jej list, i... cóż...

- Dopilnujesz, bym go przeczytał - podsunął Alverstoke. - Opisz mi tę piękność, Charlesie!

- Pannę Merriville? - upewnił się pan Trevor, wyraźnie zbity z tropu. - Hm, nie przyjrzałem się jej zbyt dokładnie! Jest bardzo grzeczna i nie afektowana, i... z pewnością nie zalicza się do tego gatunku, który pan określił jako pośledniejszy! To znaczy... - Przerwał na chwilę, usiłując przywołać przed oczy obraz panny Merriville. - Hm, niespecjalnie znam się na tych sprawach, ale powiedziałbym, że była elegancka! Dość młoda, jak sędzę... choć nie pierwszej wiosny. Lub - dodał w zamyśleniu - nawet nie drugiej. - Wziął głęboki oddech i pełnym uszanowania tonem wyznał: - To ta druga, jaśnie panie!

- Tak? - zachęcił go Alverstoke. W jego oczach malowało się coraz wyraźniejsze rozbawienie.

Pan Trevor z trudem mógł dobrać odpowiednie słowa, lecz po chwili, w której najwidoczniej wspominał owo niebiańskie zjawisko, wyznał szczerze:

- Sir, nigdy dotąd nie widziałem... nie wyobrażałem sobie nawet tak cudownej panny! Jej oczy! Ogromne i takie błękitne! Jej włosy! Niczym płynne złoto! Najzgrabniejszy nosek! I taka wyjątkowa karnacja! A kiedy przemówiła....

- A jakie miała pęciny? - przerwał jego lordowską mość. Pan Trevor zaczerwienił się i parsknął śmiechem.

- Nie widziałem jej pęciny, proszę pana, gdyż nie wysiadła z powozu. Ale najbardziej uderzyła mnie słodycz jej twarzy i delikatny głos. Przyznaję, że potrafi człowieka oszołomić... jeśli rozumie pan, co mam na myśli!

- Doskonale.

- No i... i kiedy wychyliła się i uśmiechnęła, i prosiła, bym oddał panu ten list, przyrzekłem, że to zrobię... chociaż zdawałem sobie sprawę, że bynajmniej pana tym nie ucieszę!

- Złe mnie oceniasz, Charlesie. Przyznaję, że nie wzbudziłeś we mnie najmniejszej ochoty na spotkanie z panną Merriville, lecz z całą pewnością zapragnąłem ujrzeć jej towarzyszkę. A swoją drogą, kim ona jest?

- Nie jestem całkiem pewien, proszę pana, ale przypuszczam, że może być siostrą panny Merriville. Chociaż wcale nie jest do niej podobna. Panna Merriville zwracała się do niej „Charis”.

- Utwierdza mnie to w przekonaniu, że nie polubię panny Merriville. Ze wszystkich obrzydliwych spieszceń Carrie jest najpaskudniejsze!

- Och, nie! - zaprotestował gorąco pan Trevor. - Źle mnie pan zrozumiał! To wcale nie Carrie! Panna Merriville wyraźnie powiedziała: Charis! Sądzę, że żadne inne imię nie mogłoby lepiej do niej pasować, gdyż oznacza ono „czar”... pamięta pan, to z greki!

- Dziękuję ci, Charlesie! - powiedział potulnie jego lordowską mość. - Cóż ja bym bez ciebie począł?

- Pomyślałem tylko, że mógł pan zapomnieć, sir... przecież pan ma taką słabą pamięć!

Markiz przyznał się do tej słabości unosząc silną, szczupłą dłoń w geście szermierza.

- No dobrze, Charlesie... biada ci za twoje zuchwalstwo!

Zachęcony pan Trevor dodał:

- Panna Merriville powiedziała, że ma nadzieję, iż zawita pan na Upper Wimpole Street. Zrobi to pan, jaśnie panie?

- Ośmielam się zauważyć... no, jeżeli zapewnisz mnie, że spotkam tam ową piękną Charis.

Pan Trevor nie mógł oczywiście tego uczynić, miał jednak tyle rozsądku, by nie drażnić dalej tego tematu, toteż wycofał się, pełen nadziei na pomyślny rezultat swojej prośby.

Później jednak, kiedy całą sprawę przemyślał, przyszło mu do głowy, że wychwalając przed Alverstokiem Charis wyświadczył jej niedźwiedzią przysługę. Nie obawiał się, że Alverstoke mógłby spróbować uwieść nieletnią panienkę ze szlacheckiego rodu: rycerskość-jego lordowskiej mości wykluczała tak haniebną postępek. Obawiał się jednak, że lord, jeśli Charis mu się spodoba, zacznie z nią niewinnie flirtować, poświęcając jej nieco ze swojej rozproszonej uwagi, i możliwe, że panienka dojdzie do wniosku, iż wzbudziła w nim trwałą namiętność. Wspominając oszałamiający wygląd Charis i jej wzruszający uśmiech,

pan Trevor uznał, że nietrudno byłoby złamać jej serce, a świadomość tego przeraziła go. Potem jednak zreflektował się, że z pewnością panienka nie żyje sama na tym świecie i uznał, że przed niemądrymi flirtami najlepiej zabezpieczą ją rodzice. Poza tym bardzo młode panienki plasowały się wysoko na liście rzeczy, które Alverstoke uznawał za śmiertelnie nudne. Jeśli zaś chodzi o pannę Merriville, to pan Trevor stwierdził, że sama świetnie potrafi o siebie zadbać. Choć oślepiła go uroda jej towarzyski, to jednak zdołał zauważyć, że ta panna jest pewna siebie, ma nazbyt orli nos i roztacza wokół atmosferę miłego tupetu. Po dalszym namyśle uznał, że nic nie mogłoby jej omamić: a przy tym nieprawdopodobieństwem było, by taki koneser urody jak Alverstoke zechciał spojrzeć na nią po raz drugi. Prawdę powiedziawszy, równie nieprawdopodobne było, by nawet rozruszał się w jej obecności.

Po kilku dniach, podczas których jego lordowska mość nawet o niej nie wspomniał i stało się jasne, że nie zamierza złożyć wizyty, wydawało się, że albo postanowił ją zignorować, albo w ogóle zapomniał o jej istnieniu. Pan Trevor wiedział, iż powinien mu o tym przypomnieć, ociągał się jednak, czując, że nie nadeszła jeszcze stosowna chwila. Jego lordowska mość musiał ścierpieć trzy wizyty: dwie - swoich starszych sióstr, a trzecią - owdowiałej matki swojego dziedzica. Wszystkie trzy tak go śmiertelnie znudziły, że wszyscy domownicy starali się schodzić mu z drogi, by nie wyprowadzić go z równowagi.

- Zapewniam pana, panie Wicken - powiedział pyszny lokaj, zwracając się do ochmistrza jego lordowskiej mości - że rozdrażniony lord potrafi wywołać trzęsienie ziemi,

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, panie Knapp - odparł jego totumfacki - gdyż znam jego lordowska mość od kołyski. Podobny jest do ojca, świętej pamięci poprzedniego lorda, lecz pan, oczywiście, nie znał go - dodał z wyższością.

Jego lordowska mość rzeczywiście był serdecznie znudzony. Lady Buxted, która nigdy się nie poddawała, pojawiła się w Alverstoke House pod jakimś błahym pretekstem. Towarzyszyła jej najstarsza córka, która, gdy nie udało się jej zmiękczyć serca wuja pochlebstwami, utonęła we łzach. Ponieważ jednak nie należała do tych nielicznych, szczęśliwych niewiast, które potrafiły płakać, nie stając się przy tym szkaradne, jej łzy zirytowały wuja równie mocno, jak napomykanie siostry o finansowych ograniczeniach, do jakich musiała się uciec. Wyłącznie nędza sprawiła, oświadczyła lady Buxted, że musi się zwrócić do brata o wsparcie w sprawie tak wielkiej wagi, jak wprowadzenie najdroższej Jane w świat. Lecz brat serdecznym tonem poinformował ją, że słowem odpowiedniejszym niż niedostatek byłoby skąpstwo. Wtedy dama straciła panowanie nad sobą i wymierzyła mu - jak to określił czekający w holu pierwszy lokaj James - siarczysty policzek.

Drugim gościem jego lordowskiej mości była pani Dauntry. Podobnie jak lady Buxted, była wdową. Podzielała też przekonanie swojej krewnej, że Alverstoke ma psi obowiązek wspomagać jej potomstwo. Na tym kończyło się między nimi podobieństwo. Prostacy często określali lady Buxted jako siekierę. Nikt wszakże nie powiedziałby tak o pani Dauntry, która wydawała się szalenie krucha i ze szlachetnym hartem ducha znosiła wszelkie przeciwności losu. Jako panienka uchodziła za piękność, lecz skłonność do ulegania narzekaniom sprawiła, że ostatecznie uwierzyła, iż jest wątłej konstytucji. Toteż wkrótce po zamążpójściu zaczęła (jak określiły to lady Jevington i lady Buxted) kwękać. Przedwczesny zgon małżonka przypieczętował jej słabe zdrowie: nachodziły ją nerwowe załamania, poddawała się różnym kuracjom i

dietom, które - ponieważ w ich skład wchodziły takie remedia na melancholię jak kozia serwatka (jeśli w ogóle można coś takiego popijać) - sprowadziły ją na granicę wychudzenia. Kiedy dobiła czterdziestki, tak oddała się swoim słabościom, że kiedy nie dostała propozycji jakiejś atrakcyjnej rozrywki, większą część dnia spędzała wdzięcznie ułożona na sofie w towarzystwie którejś z ubogich krewnych; na nocnym stoliku pyszniła się potężna bateria flakoników z wodą cytrynową, Waleriana, asafedytowymi kropelkami, spirytusem kamforowo-lawendowym i wszelkimi innymi uśmierzającymi lub wzmacniającymi dekoktami, poleconymi przez przyjaciół lub wytropionymi w ogłoszeniach. W przeciwieństwie do lady Buxted nie wpadała łatwo w zły humor ani nie była zacięta. Miała słaby, błagalny głosik, który, w razie zagrożenia, stawał się jeszcze węższy i słabszy. Na siebie i na dzieci gotowa była roztrwonić całą fortunę. Niestety, jej wdowie dożywocie (określane przez panie Jevington i Buxted jako całkiem wystarczające) nie było na tyle zasobne, by pozwolić przetrwać - bez zarządzania i oszczędności - w stylu, do którego, jak twierdziła, przywykła. A ponieważ zanadto słabowała, by osiąść tę sztukę, cały czas lękała się wizyty policyjnego konstabla. Choć od wielu lat żyła na garnuszku Alverstoke'a, Bóg jeden wie, jak bardzo pragnęła się uniezależnić od jego szczodrości. Miała jednak wrażenie, że skoro jej znakomity syn został jego dziedzicem, to Alverstoke powinien zabezpieczyć również obie jej córki.

Starsza z nich, panna Chloe Dauntry, za kilka tygodni miała skończyć siedemnaście lat. Tak więc bal debiutancki dziewczyny nie zaprzętał myśli jej matki, dopóki nie dowiedziała się z niezbyt wiarygodnych plotek, że Alverstoke zamierza wydać wspaniały bal na cześć panny Jane Buxtedówny. Chociaż pani Dauntry była słabą kobietką, to w obronie ukochanych dzieci zamieniała się w lwicę. I właśnie jako lwica wkroczyła do Alverstoke'a: uzbrojona w najpotężniejszą swoją broń - w sole trzeźwiące.

Nie stawiała żadnych żądań, nie na tym bowiem polegała jej taktyka. Kiedy weszła do salonu, ruszyła prosto na markiza, wlokąc za sobą szale i suknie i wyciągając dłonie w eleganckich lawendowych rękawiczkach:

- Kochany Alverstoke! - wyszeptwała, unosząc ogromne, zapadnięte oczy ku jego twarzy i obdarzając go jednym ze swoich pełnych smutku uśmiechów. - Mój zacny dobrodzieju! Jak mam ci dziękować?

Zupełnie ignorując jej lewą dłoń, ujął ją szybko za prawą ze słowami:

- A za co masz mi dziękować?

- Cały ty! - mruknęła. - Chociaż ty mogłeś zapomnieć o swojej szczodrości, ja na pewno o niej nie zapomniałam! Och, bardzo zmartwiłam biedną Harriet i dziewczęta wychodząc z domu w tak chłodny dzień, ale czułam, że taka jest moja powinność! Jesteś zbyt dobry dla nas!

- Hm, to coś zupełnie nowego w ostatnich czasach - zauważył. - Siadaj, Lukrecjo, i pozwól wtrącić choć słówko! Cóż więc uczyniłem takiego przez niedopatrzenie, by zaskarbić sobie aż takie laski?

Wiadomo było powszechnie, że nic nie zdoła zakłócić świątobliwego spokoju pani Dauntry ani wytrącić jej z równowagi. Toteż z wdzięcznością zajmując miejsce w fotelu, odparła:

- Obludnik! Zbyt dobrze cię znam, by się na to nabrać. Nie lubisz, by ci dziękować... i rzeczywiście, gdybym miała ci składać podziękowania za całe dobro, które uczyniłeś dla mnie i moich bliskich, za to, że nigdy nie omieszkałeś spieszyć nam z pomocą, że okazywałeś taką czułość moim najdroższym, to obawiam się, iż uznałbyś mnie za śmiertelnie nudną! Chloe, moje drogie dziecko, nazywa cię naszym dobrym

duszkciem!

- W takim razie musi być głupią gąską! - zauważył.

- Och, jej zdaniem nikt nie może się równać ze wspaniałym kuzynem Alverstokiem! - zapewniła, śmiejąc się delikatnie pani Dauntry. - Uwierz mi, że jesteś dla niej najważniejszy!

- Wcale nie musisz się tym martwić - powiedział. - Wyjdzie z tego!

- Jaki z ciebie paskudnik! - zawołała żartobliwie pani Dauntry. - Chcesz mnie podejść, ale daję słowo, że to się nie uda! Znakomicie wiesz, że przyszłam tutaj, by ci podziękować... tak, oraz by cię zganić... za... oczywiście tego nie zrobię... wspieranie Endymiona! Ten wspaniały rumak! Wspaniały aż do bólu, jak mi powiedział! Jesteś o wiele za dobry!

- Więc to jest powodem, dla którego trudziłaś się z podziękowaniami? - spytał jego lordowska mość z szyderczym błyskiem w oku.

- Nie powinnaś na próżno się fatygować. Zapewniam cię, że kiedy zaczyna wierzgać, to potrafię go doskonale okiełznać.

- Taka wspaniałomyślność! - westchnęła. - On znakomicie zdaje sobie z tego sprawę! A jeśli chodzi o mnie, często zastanawiam się, co by się ze mną stało, gdybym musiała zadowolnić się wyłącznie tym, co zostawił mi ukochany mąż, gdybyś ty nie wspierał mnie w każdej potrzebie.

- Droga kuzynko, ufam, że nie szczędzisz czasu i troski, by znaleźć sobie i inne wsparcie - odparł równie słodkim tonem. Uśmiechnął się nieznacznie, widząc, jak przygryzła wargi, a otwierając tabakierkę spytał: - Więc jakąż to potrzeba tym razem cię przywiodła?

Słyszając te słowa, szeroko otworzyła oczy i odezwała się z zakłopotaniem:

- Mój drogi, jak możesz tak myśleć? Pomijając moje słabe zdrowie... a sam wiesz, że nigdy się na nie skarzę... nigdy! Wybrałam się na zakupy, toteż muszę stąd wyjść, nim biedna Harriet zacznie się lękać, że dostałam ataku swoich nieszczęsnych spazmów. Czeka na mnie w powozie, gdyż nie chciała nawet słyszeć, bym sama wyszła z domu. Jakże ona troskliwie się mną opiekuje! Wy dwoje zupełnie mnie rozpuszczacie! - Wstała, otulając się szalem i wyciągając dłoń. Lecz nim zdołał ją ująć, dłoń opadła, a dama zawołała:

- Och, to przypomniało mi o czymś, o czym chciałam z tobą porozmawiać! Potrzebuję twojej rady, Alverstoke! Jestem w takim kłopotcie!

- Zawstydzasz mnie. Lukrecjo! - zauważył. - Chociaż ja często cię zawodzę, tobie nigdy nie zdarza się zawieść mnie!

- Jak możesz ze mnie drwić? Błagam, bądź poważny! Tu chodzi o Chloe!

- Och, w tej sprawie musisz mi wybaczyć! - powiedział lord.

- Nie mam zielonego pojęcia o dziewczynkach w wieku szkolnym, toteż obawiam się, że moja rada nie byłaby nic warta.

- Ach, ty też sądzisz, że ona jest ledwie w wieku szkolnym! Rzeczywiście, sama nie potrafię uwierzyć, że już dorasta! Ale prawda jest taka, że ma już prawie siedemnaście lat. I chociaż nie pragnęłam wprowadzać jej w świat aż do przyszłego roku, wszyscy utwierdzają mnie w przekonaniu, że popełniłabym błąd. Mówi się, jak sam wiesz, że nasza kochana królowa ostatnio tak podupada na zdrowiu, że w każdej chwili może zgasnąć, a nawet jeśli się tak nie stanie, nie będzie na tyle silna, by w przyszłym roku wydawać na dworze

bale. I to jest moim zmartwieniem, gdyż oczywiście muszę zaprezentować swoje urocze dziecko... tego życzyłby sobie biedny Henry, a jeśli królowa umrze, skończą się dworskie bale. Jeśli zaś chodzi o zaprezentowanie jej w Carlton House, nawet nie chcę o tym myśleć! Sama nie wiem, co począć w tej sytuacji! Gdyby nawet księżna Gloucester zajęła miejsce królowej... co, oczywiście, byłoby pragnieniem księcia regenta, gdyż ona od zawsze była jego ulubioną siostrą... to nie będzie to samo. A kto wie, co się stanie, jeśli miejsce królowej zajmie ta wstrętna lady Hertford?

Alverstoce, który potrafiłby sobie wyobrazić kilka równie niepożądanych wydarzeń, zawtórował jej ze współczuciem:

- Rzeczywiście, kto wie?

- Toteż uważam za swój obowiązek zaprezentowanie Chloe w tym sezonie. Bez względu na koszty! - oświadczyła pani Dauntry. - Choć się spodziewam, że w przyszłym roku potrafiłabym sobie znakomicie poradzić z takimi kosztami, ale cóż, teraz ledwie dam radę! Kochana dziecina! Kiedy powiadomiłam ją, że będzie zmuszona zaprezentować się na dworze w którejś z moich sukni, gdyż koszty sprawienia nowej daleko przekraczają moje możliwości, była tak dobra i wcale nie wyrzekała, że aż łamało mi się serce! Nie potrafiłam powstrzymać się od westchnienia: ona jest taka śliczna, że marzę o tym, aby przedstawić ją w jak najlepszej oprawie! Jednak skoro muszę uczynić to w tym sezonie, nie dam rady tego zrobić!

- Poradzę ci zatem, abyś wstrzymała się z tym do następnego - poradził Alverstoce. - I pociesz się świadomością, że jeśli nie będzie prezentacji na dworze, to przecież nie odbędzie się żaden bal debutantek, na którym by nie zabłysła.

- Och, nie! Nie mogę być taka niezapobiegliwa! - sprzeciwiła się. - Muszę sobie jakoś poradzić, by zaprezentować ją tej wiosny! Ale sam rozumiesz, sytuacja, w jakiej się znajduję... - Urwała. Najwyraźniej wpadł jej do głowy jakiś nowy pomysł. - Zastanawiam się, czy Luiza zamierza wprowadzić Jane w świat w tym sezonie? Biedne dziecko, takie piegowate i ma taką godną pożałowania figurę! Mimo to, masz moje słowo, że Luiza dołoży wszelkich starań, by odpowiednio ją zaprezentować, choć, moim zdaniem, biedactwo ma takie zapadnięte policzki, że to wszystko wyrzucanie pieniędzy w błoto. Prawdę powiedziawszy - dodała, śmiejąc się uroczo - wieść głosi, że to ty wydajesz bal na cześć Jane!

- Czyżby? - zdumiał się jego lordowska mość. - Przypominam ci, że sama twierdzisz, iż to tylko plotki. Dmą bowiem w trąby, rozdmuchują pomówienia, zazdrość, przypuszczenia... zapomniałem, co dalej... Pozwól się jednak zapewnić, droga Lukrecjo, że kiedy będą rozsyłane zaproszenia na bal tutaj, nikt nie zapomni o Chloe. A teraz pozwól odprowadzić się do powozu. Sądzę, że oddana ci Harriet, tak cierpliwie na ciebie czekająca, zaczyna już wieszać na mnie psy!

- Poczekaj! - wykrzyknęła pani Dauntry, gdyż najwyraźniej przyszła jej do głowy nowa myśl. - Może więc wspólnie z Luizą poniosłybyśmy koszty i razem wyprawiły bal dla obu naszych córek? Obawiam się tylko, że moja śliczna Chloe zupełnie przyćmi biedną Jane. Śmiem jednak twierdzić, że Luiza nie będzie na to zważać. - Uniosła dłonie w błagalnym geście i dodała głosem figlarnym i przypochlebny: - Czy gdyby Luiza się na to zgodziła, to pozwoliłbyś nam wydać bal tutaj, w tym pięknym salonie?

- Nie, najdroższa Lukrecjo, kategorycznie nie! - odpalił jego lordowska mość. - Lecz nie skarż się! Taka okazja się nie nadarzy, gdyż, wierz mi, Luizie podobny plan wcale by się nie spodobał! No tak, zdaję sobie



sprawę, że jestem obrzydliwie nieuczynny i wprost doprowadzam cię do omdlenia. A może wezwać na pomoc wierną Harriet?

Tego nawet dla pani Dauntry było nieco za wiele. Zmierzywszy kuzyna pełnym wyrzutem spojrzeniem, odeszła. Przypominała przy tym panią Siddons, którą sir Joshua Reynolds opisał jako Tragiczną Mużę.

Trzecim gościem markiza okazała się lady Jevington, która nie przybyła, by prosić o wyświadczenie przysługi, tylko po to, aby mu poradzić, żeby nie poddawał się natarczywości lady Buxted. Wyrażała się starannie odmierzonymi słowami i majestatycznym tonem. Mówiła, że skoro ona sama nigdy nie ośmieliła się zebrać o jego pomoc przy wprowadzeniu w świat Anny, a nawet go o to nie prosiła, to gdyby coś takiego uczynił dla lady Buxted, poczułaby się dotknięta, zwłaszcza że panna Buxtedówna (ciągnęła lady Jevington z wielkim naciskiem) nie może się tak jak jej kuzynka szczić tytułem chrześnej córki Alverstoke'a. Poza tym, dodała, jeśli brat okaże słabość i wyróżni Chloe, córkę Tej Kobiety, ona sama zerwie z nim wszelki kontakt.

- Augusto, prawie udało ci się mnie do tego przekonać! - zawołał jego lordowska mość.

Słowem tym, wypowiedzianym czułym tonem, towarzyszył najśłodszy z uśmiechów; mimo to rozłuszczona do białości lady Jevington opuściła salon bez słowa.

- A teraz - powiedział markiz do swojego sekretarza - brakuje jeszcze, by twoja protegowana przyszła upomnieć się, abym wydał dla niej bal.

### 3

W takich okolicznościach wydawało się wielce nieprawdopodobne, by markiz - który rzadko odczuwał potrzebę starania się o zadowolenie prócz siebie jeszcze kogoś innego - spełnił prośbę panny Merriville. Charles Trevor także nie ośmielił się odświeżać mu pamięci. Lecz czy sprawiła to ciekawość, czy może przypadkiem znalazł się na Upper Wimpole Street, pewnego dnia markiz z własnej woli złożył wizytę.

Drzwi otworzył leciwy kamerdyner, który poprowadził markiza po wąskich schodach do bawialni na piętrze. Zaanonsował go dostojnym tonem korespondującym ze swoim wiekiem i niedołęstwem.

Przystając na progu i szybkim spojrzeniem omiatając pokój, markiz poczuł, że potwierdzają się jego obawy. Owa nieznana rodzina najwyraźniej była uboga. Bawialnia okazała się urządzona bez smaku, można by nawet powiedzieć, że była nędzna. Ponieważ lord nie miał w tych sprawach zbyt wielkiego doświadczenia, nie potrafił dostrzec oznak, które mniej zamożnej osobie powiedziałyby, że jest to jedno z domostw wynajętych na sezon, a zatem urządzono je możliwie najtańszym kosztem.

Siedziała w nim tylko jedna osoba: dama, pisząca coś przy niewielkim biurczku, ustawionym pod kątem prostym do okna. Szybko uniosła głowę, mierząc Alverstoke'a wzrokiem jednocześnie zdumionym i taksującym. Dostrzegł, że była jeszcze całkiem młoda: mogła mieć jakieś dwadzieścia trzy, dwadzieścia cztery lata. Miała świetną figurę, a twarz wyróżniało spojrzenie szczerych szarych oczu, nieco zbyt władczy nos i bardzo stanowcze usta. Jasno-brązowe włosy zaplotła w warkocz w stylu Didion, a suknia, którą nosiła pod pasiastym spencerkiem, była z najprzedniejszego batystu, zapięta wysoko pod szyją i ozdobiona okrągłą, podwójnie obrębianą larnówką. Alverstoke, obyty przecież z niewieściami wdziękami, natychmiast

zauważył, że chociaż ta suknia uszyta była zgodnie z najnowszą modą, to nie była ani olśniewająca, ani kosztowna. Nikt nie mógłby jej opisać jako krzyk mody lat dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, jednakże, z drugiej strony, nikt nie mógłby powiedzieć o tej damie, że nie ma gustu. Dumnie nosiła swoją suknię i była niezwykle schludna.

Była też doskonale opanowana: fakt ten sprawił, że Alverstoke zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest starsza, niż mu się wydało na pierwszy rzut oka. Młode, niezamężne damy bowiem zazwyczaj nie przyjmują gości płci męskiej bez przyzwoitki, więc naturalnie musiałyby okazać niejaki zakłopotanie na widok obcego dżentelmena. Najwyraźniej jednak nie spieszyła jej ani jego wizyta, ani to chłodne powitanie. Nawet nie próbowała spłonąć rumieńcem, spuścić oczy, nie zdradziła się też z najmniejszą oznaką panińskiej wstydlivosti. Spostrzegł z rozbawieniem, że patrzyła na niego uważnie wielce krytycznym wzrokiem. Postąpił do przodu, jak zwykle z gracją i niespiesznie.

- Czy mam zaszczyt zwracać się do panny Merrville? - spytał. Wstała i ruszyła na jego powitanie, wyciągając dłoń.

- Owszem, jestem panną Merrville. Jak się pan miewa? Proszę mi wybaczyć... Jak pan widzi, nie spodziewałam się gości.

- Wobec tego, proszę wybaczyć, gdyż odniosłem wrażenie, że jednak pragnęła się pani ze mną widzieć!

- Zgadza się, chociaż całkiem straciłam już nadzieję na pańskie odwiedziny. Co z kolei wcale mnie nie dziwiło, gdyż jestem pewna, że ma pan o wiele bardziej atrakcyjne propozycje od wizyty u mnie!

- Ależ nie! - mruknął jednym ze swoich najbardziej ospałych tonów.

- Hm, obawiam się, że to prawda. Rzecz polega na tym, jako mieszkanka hrabstwa Hereford nie przywykłam jeszcze do londyńskich zwyczajów. - W jej oczach pojawiły się żartobliwe iskierki, kiedy dodała poufnie: - Nie ma pan pojęcia, jak trudno jest przystosować się do tego, co wypada, kiedy ktoś był... całe lata panią domu.

- Wręcz przeciwnie! - zaprzeczył żywo. - Doskonale to pojmuję! Roześmiała się.

- Naprawdę? W takim razie nietrudno mi będzie wyjaśnić, co skłoniło mnie, bym... prosiła pana o grzeczność i złożenie mi wizyty!

- Cóż za wspaniałe określenie! - zauważył. - Chyba powinienem je zapamiętać! Sądziłem bowiem, że ta pani „grzeczność” była raczej wezwaniem!

- Och, wcale nie! - zawołała wstrząśnięta panna Merrville. - Dokładam wszelkich starań, by nie być tak władczą!

- A jest nią pani?

- Owszem, lecz cóż mogę na to poradzić? Muszę opowiedzieć panu, jak doszło do tego, że... Ależ proszę, czemu pan nie usiądzie?

Skinął nieznacznie głową i ruszył w stronę jednego z foteli stojących przy kominku. Zajął miejsce po drugiej stronie paleniska i przez chwilę mierzyła go uważnym spojrzeniem. Kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała nuta zwątpienia:

- Zamierzałam wyjaśnić panu to wszystko w liście, ale tak się z tym kokosiłam... jak powiedziałby Harry, mój brat... że w końcu uznałam, iż lepiej będzie, kiedy porozmawiam z panem w cztery oczy! Przechodząc

do rzeczy: nie zamierzałam zwracać się do nikogo z krewnych tatki, gdyż sądziłam, że ciotka Scrabster pomoże mi we wszystkim, co zamyślałam. I to jest najlepszy dowód, jaka jestem naiwna! To najstarsza siostra mojej matki, we wszystkich swoich listach rozpisywała się, jak światowe wiedzie życie i jak bardzo pragnie zaprezentować moją siostrę i mnie w arystokratycznym towarzystwie.

- Gdyż trwała w błogiej nadziei, że pani nigdy się do niej w tej sprawie nie zwróci?

- Właśnie! - zawtórowała panna Merriville, obdarzając go ciepłym uśmiechem. - Nie sądziłam też, że to uczyni, gdyż majątek wuja zależy od handlu. On jest kupcem we Wschodnich Indiach, i chociaż jest absolutnie wyplącalny, nie można powiedzieć, by był zbyt zamożny. Dlatego też, kiedy znalazłam się na krawędzi przepaści, zwalczyłam wszelkie skrupuły i postanowiłam zwrócić się do kogoś z rodziny tatki, kto najlepiej mógłby sprostać moim zamierzeniom.

- I właśnie dlatego wyobraziła sobie pani, że można mnie w to wpakować? - spytał jego lordowska mość z drwiącym uśmieszkiem.

- Och, to nie ma nic wspólnego z moją wyobraźnią! - niezwłocznie go zapewniła. - Raczej ze zdrowym rozsądkiem! Jednym z powodów był ten, że tatko mawiał, iż jest pan najlepszym ze wszystkich jego krewnych. Chociaż z tego, co słyszałam - dodała - nie powinno to wbijać pana w zbyt dumę! Nigdy bowiem nie poznałam kuzynostwa ze strony Merriville'ów ani też dwóch ciotek Merriville, gdyż, jak zapewne pan wie, papa został odtracony przez całą rodzinę, kiedy zamiast poślubić wyszukaną mu przez bliskich posażną dziedziczkę, okazał się tak niewdzięczny, że uznał za stosowne poprosić o rękę mojej matki. Toteż jestem całkowicie przekonana, że i dalej nie dojdzie do naszego spotkania. A zabieganie o ich pomoc, nie, to wykluczone! - Urwała; przez chwilę z zadumą rozważała tę sprawę, po czym dodała: - Poza tym, żadne z nich nie zapewni mi takiego wsparcia, jakiego potrzebuję, gdyż podejrzewam, że są przeraźliwie nudni i zaniedbani i prawie nigdy nie zaglądną do Londynu, zatem nie mają znajomości w wielkim świecie. Dlatego też mój wybór padł na pana. Uniósł brwi.

- A skąd się wzięło u pani przekonanie, że i ja nie potępiam współczesnych obyczajów?

- Znikąd! Hm, prawdę mówiąc, nic o panu nie wiem, ale chyba nie jestem w błędzie! Z tego, co widzę, jest pan szalenie modny... a może tylko oczy mnie mylą? - dodała pytająco.

- Piękne dzięki! Ja... hm... powinienem chyba czuć się zaszczycony.

- Owszem, a co ważniejsze, obraca się pan w najlepszych kręgach.

- To jest powód, dla którego pana właśnie wybrałam - wyjawiała, Ponownie obdarzając go przyjacielskim uśmiechem.

- Rzeczywiście? I ku czemu to prowadzi? Czy muszę się domyślać?

- Hm, przypuszczam, że może pan, gdyż nie wygląda pan na Słupca... chociaż spodziewałam się, że jest pan nieco starszy. Wielka ^oda, że tak nie jest. No cóż, na to nic nie można poradzić, a podejrzewam, iż nawet pana wiek pozwala się domyślać, że może się pan okazać pomocny.

- Mam lat trzydzieści siedem, szanowna pani - wyjaśnił nieco oschłym tonem Alverstoke. - Powinienem przy okazji poinformować panią, że jeszcze nigdy nikomu nie pospieszyłem z pomocą.

Popatrzyła na niego zdumiona.

- Nigdy? Dlaczego? Wzruszył ramionami.

- Kierował mną czysty egoizm, madame. Poza tym nie znoszę nudy.

Wydawała się nieco zaniepokojona.

- Czyżby więc nudziło pana przedstawienie mnie lady Alverstoce i uproszenie jej o wyświadczenie mi ogromnej przysługi?

- Przypuszczalnie nie, lecz takie pytanie jest niedorzeczne, gdyż matka zmarła wiele lat temu.

- Nie, nie, myślałam o pańskiej żonie!

- Jestem kawalerem.

- Och, nie! - wykrzyknęła. - Cóż za strapienie!

- To mnie dyskwalifikuje, prawda? - spytał współczującym tonem.

- Ależ nie, dokładnie rzecz biorąc, wcale nie dyskwalifikuje, gdyż nie wie pan, o co go chciałam prosić - odparła, łaskawie go uniewinniając.

Zareagował ironicznym stwierdzeniem.

- Domyślałam się, że gdybym wiedział, spodziewałaby się pani po mnie, iż zaradzę temu złu?

Splonęła rumieńcem i utkwiała w jego twarzy zatrwożone spojrzenie.

- Och, błagam, proszę się na mnie nie gniewać! - poprosiła. - Wcale nie zamierzałam być bezczelna, a ośmielałam się twierdzić, że znakomicie poradzimy sobie i bez pańskiej żony, jeśli tylko dojdziemy do ugody.

- My?

Mówiąc to tłumił gniew, ale wbrew swojej woli musiał się uśmiechnąć. Panna Merriville natychmiast to zauważyła. Odetchnęła z ulgą i wyznała rozbrajająco:

- Bogu niech będą dzięki! Już myślałam, że wyprowadziłam pana z równowagi! A muszę przyznać, że nie mogłabym pana winić, iż puściły mu nerwy, gdyż sama zachowałam się jak największa prostaczka. No proszę, a sądziłam, że kiedy się spotkamy, bez trudu zdołam wyjaśnić panu, w jakich znalazłam się tarapatkach!

- I cóż, jakież to są tarapaty?

Milczała dłuższą chwilę, bynajmniej nie z powodu zakłopotania - co widać było na jej twarzy - lecz dlatego, że zastanawiała, jak najlepiej przedstawić swoją sprawę.

- Sądzę, że powstały one po śmierci ojca. Zmarł w ubiegłym roku. Ale nie mogłabym się upierać, że i wcześniej nie myślałam o tej sprawie, gdyż mijałabym się z prawdą. Lecz wtedy, kiedy jeszcze żył, nic nie mogłam zrobić.

- Przykro mi słyszeć, że ojciec pani nie żyje - przerwał - lecz korzystając z okazji pragnę panią powiadomić, że nasze kontakty były co najmniej luźne. A jeśli chodzi o nasze więzy rodzinne, to nazwałbym je wręcz nieistotnymi. Pochodzą z rodziny mojej prababki, a są tak odległe, że prawie nie istniejące.

- Przecież papa mówił o panu jako o swoim kuzynie! - zaprotestowała. Nie skomentował tego ani słowem, więc po krótkiej chwili dodała: - No tak, wiedziałam, że musimy się spotkać. Natknęłam się bowiem na pańskie nazwisko u nas w domu, w wielkiej Biblii, w której wyrysowane jest drzewo genealogiczne naszej rodziny.

- Jesteśmy jednak spokrewnieni tylko dzięki dwóm małżeństwom.

- Rozumiem. Wobec tego, nie życzy pan sobie przyznawać się do nas? W takim razie jest to ostatnia

okazja, bym wyjaśniła panu, w jakiej znalazłam się sytuacji. I proszę wybaczyć, że ośmieliłam się pana fatygować.

Na te słowa markiz, który istotnie zamierzał skrócić tę wizytę, nierozsądnie postanowił ją przeciągnąć. Nawet nie potrafił powiedzieć czy poddał się dlatego, że panna Merrville rozbawiła go, czy zaintrygowało go to, że rzadko zdarzało mu się, by ktoś bez sprzeciwu zaakceptował jego odmowę. Cokolwiek jednak to było, niespodziewanie roześmiał się i zadziwił ją słowami:

Och, cóż to za nowość! Nie, nie, proszę nie kręcić na mnie nosem! To zupełnie do pani nie pasuje! Nie mam nic przeciwko temu, by uznać w pani, jak pani sama określiła, dalekiej krewnej. Chociaż nie mogę obiecać, że zyska pani moją pomoc w przedsięwzięciu, które sobie umyśliła. Ale, ale... czego się pani po mnie spodziewa?

Odprężyła się i uśmiechnęła do niego z wdzięcznością.

- Jestem panu wielce zobowiązana! Chodzi o drobiazg: wprowadzenie w świat mojej siostry!

- Wprowadzenie w świat pani siostry? - powtórzył bezmyślnie.

- Jeśli jest pan tak łaskaw. Może powinnam przy tym ostrzec pana, że możliwe, iż będzie pan zobowiązany uczynić to także dla mnie, chyba że zdołam ją przekonać, że tak naprawdę wcale mi na tym nie zależy. W istocie jest ona najbardziej zgodną istotą pod słońcem, lecz w tym wypadku oświadczyła, że beze mnie nie pójdzie na żaden bal. Szalenie mnie tym zamecza, skoro płynie to jednak tylko z jej dobrego serca, to...

Przerwał jej bezceremonialnie:

- Moja miła panno, czy ty na serio proponujesz, byście zadebiutowały pod moją egidą? Przecież powinna pani towarzyszyć jakaś matrona, a nie stary kawaler!

- Wiem o tym - zgodziła się. - Dlatego tak gorzko rozczarowałam się na wieść, że jest pan kawalerem! Ale już wymyśliłam, jak możemy temu zaradzić! Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybyśmy oznajmili wszem i wobec, że tatko powierzył nas pańskiej opiece? No nie, oczywiście, nie całej naszej gromadki, gdyż Harry właśnie osiągnął pełnoletność, a ja skończyłam dwadzieścia cztery lata... Myślę o pozostałej trójce młodszego rodzeństwa.

- Miałbym coś przeciwko... całym sercem!

- Ale dlaczego? - zaprotestowała. - Nie byłby pan zobowiązany do niczego więcej niż do wprowadzenia Charis... możliwe, że mnie też przy okazji... do towarzystwa! Oczywiście, nie oczekuję od pana wiele więcej! Prawdę mówiąc, zadowolilibym się nawet połową tego - dodała szczerze.

- Jest pani niezrównana! Dlaczego nie przyszło pani do głowy, madame, że moje wstawiennictwo może wcale nie jest przepustką do najwytworniejszego towarzystwa?

- Czy to możliwe? - zawołała. - Sądziłam, że markiz musi być wszędzie jak najmilej widziany!

- Droga panno Merrville, to zależy od tego, kim jest rzeczony markiz!

- Och! - westchnęła, przyjmując ten fakt do wiadomości. - Tatko wszak mówił, że jest pan... birbantem. Czyżby to miało znaczyć, że jest pan niewłaściwą osobą?

- Poniżej wszelkiej krytyki! - zapewnił niezwłocznie. Parsknęła śmiechem.

- Och, bzdura! Nie wierzę! Nawet mój biedny tatko nie był aż taki zły!

- Nawet biedny tatko pani...! - powtórzył. Poszukał monokl, uniósł go do oka i niczym badacz, który

natrafił na jakiś wyjątkowo rzadki okaz, przyjrzał się jej wnikliwie.

Ona zaś, wcale nie speszona tą dociekliwością, mówiła:

- Sądzę, że nim poznał mamę, musiał być wyjątkowym ananasek... wyznam panu, że nawet to, iż ją porwał, co rzeczywiście uczynił, było tylko pomniejszym jego występkiem! Zawsze wydawało mi się dziwne, że mama się temu podporządkowała, gdyż musi pan wiedzieć, że zawsze była godna jak największego szacunku i tak bardzo... bardzo dobra! Tak czy siak, sądzę, że osoby namiętnie zakochane często robią najdziwniejsze rzeczy, a niekiedy podejrzewam, że mama była ogromnie podatna na wpływy. Chociaż niezbyt dobrze ją poznałam, gdyż umarła wkrótce po urodzeniu Feliksa, ale Charis jest jej wiernym odbiciem, a ją łatwo do czegoś przekonać! No i, oczywiście, oboje byli tacy młodzi! Proszę sobie tylko wyobrazić, że tatko osiągnął pełnoletność zaledwie tydzień przed moim przyjściem na świat! Nie potrafię zrozumieć, w jaki sposób zdołał zapewnić byt swojej rodzinie, gdyż ojciec go wydziedziczył, a nie sądzą, by zdołał znaleźć sobie jakieś intratne zajęcie. Ale po poślubieniu mamy porzucił hulawczy tryb życia. I chociaż muszę przyznać, że rodzice sprawili dziadkom wiele kłopotów i przynieśli im ogromny wstyd, to nie rozumiem, dlaczego nie przyjęli mamy na łono rodziny!

Markiz taktownie zachował milczenie. Jego wspomnienie o świętej pamięci panu Merrville, którego poznał nie tak wiele lat temu, nie kojarzyło mu się z obrazem nawróconego grzesznika.

- No i, moim zdaniem - ciągnęła panna Merrville - dostali to, na co zasłużyli za swoją niegodziwość, kiedy oboje dziadków, i wuja Jamesa, ich spadkobiercę, dzień po dniu powalił tyfus! W ten sposób cały majątek przeszedł w ręce tatki... w samą porę, by Harry urodził się w Graynard! A po nim, rzecz jasna, Charis, Jessamy i Feliks! - Urwała, widząc, że oszołomiony markiz zamrugał powiekami, i uśmiechnęła się. - Wiem, o czym pan myśli, i ma pan absolutną rację! Wszyscy, oprócz Harry'go, nosimy dziwaczne imiona! I zapewniam pana, że nie jest nam z tym łatwo. Mama musiała akurat mnie uszczęśliwić imieniem Fryderyka... po tatce, pamięta pan. Potem był Harry... gdyż mamie było Harriet. A imię siostry wybrał tatko, gdyż twierdził, że jest ona najbardziej pełnym wdzięku niemowlęciem, jakie zdarzyło mu się widzieć. Jessamy'ego ochrzczono po dziadku, a Feliks był wymysłem mamy... gdyż tworzyliśmy taką szczęśliwą rodzinę! I rzeczywiście tak było... aż do jej śmierci. - Znowu urwała, lecz błyskawicznie opanowała się, potrząsnęła głową, jakby odpędzając smutne wspomnienia, i odezwała się pogodniejszym tonem: - Musieliśmy więc zrobić z tych naszych absurdalnych imion jak najlepszy użytek! Przysięgliśmy sobie z Jessamym, że nigdy nie będziemy się zwracać do siebie per Jessie i Freddy, a i reszcie nigdy na to nie pozwolimy.

- Więc tak nie mówią?

- Hm, prawie nigdy! Przyznaję jednak, że Feliks czasami mówi Jessie, ale tylko wtedy, gdy Jessamy jest zanadto nadęty. A Harry, kiedy jesteśmy sami, niekiedy mówi do mnie Freddy... ale nie dlatego, by mnie rozwścieczyć! A już przenigdy nie woła na Jessamy'ego Jessie, bez względu na to, jak bardzo Jessamy go prowokuje. Jest bowiem starszy o całe cztery lata, poza tym został głową rodziny, toteż uważa, że niestosowne byłoby sprowokowanie bójki z Jessamym. Przecież mógłby go pokonać jednym dotknięciem palca. Choć, jak twierdzi Harry, Jessamy wcale nie jest ciepłą kluchą, lecz... Och, mój drogi, paplę tak, nie mówiąc panu, o co właściwie mi chodzi. Na czymże to skończyłam?

- Hm, sądzę, że doszła pani do śmierci matki.

- A, rzeczywiście! Cóż, tatko straszliwie to przeżył. Przypuszczam... a właściwie wiem na pewno... tatko był tak wstrząśnięty, że omal nie postradał zmysłów. Byłam zbyt młoda, by to rozumieć, ale dłuższy czas chorował... albo tak mi się wydawało, a kiedy wyzdrowiał, nie był już sobą. Prawdę mówiąc, stał się całkiem nam obcy, gdyż niezmiernie rzadko bawił w domu. Możliwe, że po śmierci mamy nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Ośmielałam się powiedzieć, iż w tamtym czasie nie bardzo by nam się to podobało, ale teraz często myślę, że najlepiej by mu zrobiło, gdyby się wtedy powtórnie ożenił. Wiem, iż nie powinnam tak mówić, lecz tatko był tak okropnie roztrzęsiony. Rozumie pan?

- Hm, owszem - przyznał Alverstoke. - Rozumiem. Lecz czyżby zostawił was samych sobie? Aż trudno w to uwierzyć!

- Skąd, oczywiście, że nie! Zamieszkała z nami ciotka Serafina... to niezamężna siostra mamy... opiekowała się nami od jej śmierci!

- I dalej jest z wami?

- Nie myli się pan! Wielki Boże, jak moglibyśmy przyjechać do Londynu bez jej zgody?

- Proszę mi wybaczyć. Nie znam jej, a do tej pory nawet nie słyszałem o pani ciotce, odniosłem jednak wrażenie, że postanowiła pani się obyć bez przyzwoitki?

- Nie jestem w aż tak opłakanym położeniu! Dlaczego pan sądzi... Och... uraziłam pańską godność, przyjmując go bez przyzwoitki! Ciotka Scrabster ostrzegła mnie, że może tak się stać, ale przecież sam pan widzi, że nie jestem nieletnią panienką! Co więcej, mimo iż i my nie całkiem przywykliśmy do obyczajów ciotki, to nie sądzę, by pan ją polubił! Po pierwsze, jest głucha jak pień, a po drugie jest... nieco ekscentryczna! Przysięgam, że gdyby się tu pojawiła, niechybnie doszłoby między wami do sprzeczki!

- A ja panią zapewniam, że wcale by się tak nie stało! - odparł. - Więc jest aż tak kłótniwa?

- Nie, tylko nienawidzi mężczyzn - wyjaśniła Fryderyka. - Podejrzewamy, że w młodości musiała się gorzko rozczarować... Obawiam się, że gdyby natknęła się na pana, natychmiast by stąd wyszła.

- No to trudno określić ją jako idealną przyzwoitkę! - zauważył.

- Zgadza się, a co gorsze, przestała jak dawniej lubić Harry'ego. Gdyż niewątpliwie nienawidziła tatki... to zrozumiałe, niezbyt ręcznie się bowiem do niej odnosił, paskudnie się zachowywał, no i w przerażająco krótkim czasie roztrwonil cały majątek. Na szczęście, zanim zbankrutowaliśmy, powalił go zawał serca.

- Rzeczywiście, całe szczęście - zgodził się, zachowując powagę.

- Prawda? Otóż kiedy ozdrowiał, nie był całkiem sprawny, a i z jego głową nie było całkiem w porządku. Nie twierdzę, że postradał zmysły, ale zapominał o tym i owym... i zupełnie przestaliśmy go obchodzić! Nie prowadził hulaszczego trybu życia, nie był więcej niespokojny ani też nieszczęśliwy. Przyznaję, wolałam go takim jak przedtem! Pozwolił mi zarządzać majątkiem i wszelkimi jego sprawami, oczywiście przy wielkiej pomocy pana Salcombe'a, który jest naszym prawnikiem. I nie dopuścić do tego, by wszystko obróciło się w ruinę. Stało się to przed pięcioma laty. Jestem przekonana, że jeśli tylko Harry'emu uda się przez kilka lat utrzymać majątek, stanie się wcale zamożny. Będzie nawet w stanie zabezpieczyć Jessamy'ego i Feliksa, co zresztą jest jego zamiarem. Uważa bowiem, że to niesprawiedliwe, iż jemu właśnie dostał się cały majątek, gdyż tatko nie zostawił testamentu.

- Wielkie nieba! A co stanie się z panią i jej siostrą?

- Och, jesteśmy doskonale zabezpieczone! - zapewniła go. - Widzi pan, majątek mamy przypadł córkom i w ten sposób każda z nas ma po pięć tysięcy funtów. Przypuszczam, że w pańskim pojęciu nie jest to wiele, ale nam pozwala na niezależność i oznacza, że Charis nie będzie panną młodą bez posagu.

- Aha! Więc jest już zaręczona?

- Nie, jeszcze nie. Dlatego też po śmierci tatki ponad rok temu postanowiłam ją przywieźć do Londynu. Rozumie pan, mieszkając w Graynard była jak żywcem pogrzebana! Nie ma tam nawet w pobliżu żadnego uzdrowiska, jak zatem mogłaby znaleźć stosowną partię? Ona... ona jest oślepiająco piękna, lordzie Alverstoke!. Kiedy ją pan pozna, sam pan zrozumie, dlaczego czułam się zobowiązana do przywiezienia jej do Londynu! Jest najcudowniejszym dziewczęciem! Ma również najśłodszy charakter, jaki można sobie wyobrazić, nigdy nie dąsa się ani nie obraża, więc zasługuje w pełni na wspaniałe zamążpójście!

- Mam potwierdzenie od mojego sekretarza, że to najczystszy brylant - potwierdził z poważną miną jego lordowska mość. - Jednak wspaniałe małżeństwa, panno Merriville, zazwyczaj oparte są na wspaniałych posagach!

- Nie zawsze! - zaprzeczyła pospiesznie. - Proszę tylko pomyśleć o siostrach Gunning! Cóż, jedna z nich poślubiła dwóch książąt, a wiem, że nie była wielką dziedziczką. Tato mi o tym powiedział, mówiąc, że Charis mogłaby je obie przyćmić! Oczywiście, nie spodziewam się, że Charis poślubi księcia - nawet nie jakiegoś arystokratę, chyba że któryś z nich jej się oświadczy! Spodziewam się jednak, że zrobi dobrą partię, jeśli tylko znajdzie sposób, aby mogła objawić swoje zalety! Byłam już na to zdecydowana, lecz pozostawało pytanie, jak tego dokonać! I kiedy już prawie się poddałam, pojawił się pan Salcombe z zapytaniem, czy nie zechciałabym wynająć komuś umeblowanego domu! I to na cały rok! Rzecz polegała na tym, że słyszał o kimś, kto niedawno wycofał się z czynnego życia i zapragnął kupić posiadłość w hrabstwie Hereford. A ponieważ nie udało mu się znaleźć nic stosownego, wpadł na pomysł, by na jakiś określony czas wynająć na prowincji dom. Chciał bowiem zyskać czas, aby się za czymś odpowiednim rozejrzeć. Natomiast nie czuł się zobowiązany do wysyłania z Londynu odpowiedzi natychmiast, kiedy otrzymywał jakąś ofertę, która wydała mu się absolutnie nieodpowiednia. No i może pan sobie wyobrazić, skwapliwie zgodziłam się przyjąć go do naszego domu!

- Owszem, mogę, a także to, że pani brat nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia!

- Hm, wtedy nie był jeszcze pełnoletni, lecz z całą pewnością nie uczyniłabym nic wbrew jego woli. Z początku ten pomysł mu się nie spodobał: przypuszczam, że zranił jego dumę. Wyznam szczerze, sama także nie byłam zachwycona, ale cóż mogłoby być bardziej bzdurnego od kurczowego trzymania się czyichś ambicji, kiedy żyje się ledwie wiążąc koniec z końcem? Jedyne dzięki największym wyrzeczeniom udało się nam nie popaść w długi, a kiedy pan Porth pojawił się, grożąc zajęciem naszego domu, stwierdziłam, że dłużej już nie mogę opierać się pomysłowi przeprowadzki do Londynu. Gdybym bowiem nawet mogła naruszyć swój majątek, na co nie wolno mi sobie pozwolić, nie sądzę, bym powinna była to zrobić, gdyż w ten sposób musiałabym całkowicie przejść na utrzymanie biednego Harry'ego. - Popatrzyła poważnie na lorda. - Rozumie pan, to niemożliwe. Nie mówię mu tego, gdyż jest bardzo miody i nie uważa, że naturalną kolejną rzeczą należy mu się przejście Graynard. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby za rok, dwa, zdecydował się



ożenić. Proszę tylko pomyśleć, jak ucieszyłaby się jego młoda żona, gdyby w Graynard rezydowały dwie siostry męża! I jakie to byłoby dla nas wszystkich kłopotliwe!

- Szczera prawda! - zgodził się. - Wątpię bardzo, czy w takich okolicznościach jakakolwiek młoda dama zdecydowałaby się na ślub!

Nie potrafiła zachować powagi i znowu parsknęła śmiechem.

- Pewnie by się bała, że będę wszystkim zarządzać? I najprawdopodobniej tak by było, gdyż nie potrafię za długo usiedzieć beczynnie, a taki nawyk ogromnie trudno zwalczyć. Nie, najlepszym rozwiązaniem będzie znalezienie dla Charis odpowiedniego męża. A dla chłopców, ciotki i mnie... jak Harry się zaręczy... własnego domu. Już dawno się na to zdecydowałam. Teraz jednak najbardziej pilną sprawą jest zabezpieczenie Charis! Przecież to niesprawiedliwe i absurdalne, aby tak piękna panienska siała rutkę! A tak by się stało, chyba że poślubiłaby pewnego obrzydliwie nudnego młodzieńca z naszego sąsiedztwa, który ostatnio nie odstępował jej ani na krok. Albo, co gorsze, jakąś nie wartą funta kłaków kreaturę! I ten właśnie powód skłonił mnie, bym uznała propozycję pana Portha za szczęśliwe zrządzenie losu. Proszę tylko pomyśleć, sir! Wynajmuje dom z przyległościami za cenę, której nigdy nie ośmieliłabym się mu zaproponować. Reszta posiadłości, która zaczyna już przynosić zyski, naturalnie nadal pozostaje we władaniu Harry'ego. Pan Porth nie zechciał brać na swoje barki kłopotów z zarządzaniem. No i najważniejsze, to w jego interesie leżało wynajęcie tak domu, jak i służby, oprócz ochmistrzyni i kamerdynera. Następne łaskawe zrządzenie losu, gdyż ani pani Hurtle, ani kochany stary Buddle nigdy nie zgodziliby się zostać w Graynard pod władaniem kogoś innego poza Merriville'ami. Toteż mogliśmy zabrać ich ze sobą do Londynu i mimo że pogardzają tym miastem i bezustannie powtarzają mi, iż dom jest okropny, meble chyba z rupieciami, i narzekają, że londyńska służba jest rozpaskudzona, tak bardzo podnosi nas na duchu ich obecność! Muszę przyznać - dodała szczerze - że dom rzeczywiście jest okropny. I, jak się przekonałam, leży w nie najlepszej dzielnicy. Ponieważ nigdy przedtem nie przyjeżdżałam do Londynu, prosiłam ciotkę Scrabster, aby znalazła mi umeblowany dom. I tu popełniłam błąd. Ona sama mieszka przy Harley Street, a widzę, że ten rejon zamieszkują przeważnie osoby związane z handlem. Tak czy siak, powiedziano mi, że za domy w rejonie Mayfair żąda się najwyższych cen, więc nie nalegałam, gdyż absolutnie nie mogłabym sobie na to pozwolić. Lecz największym moim błędem było przeświadczenie, że ciotka rzeczywiście chce wprowadzić nas do towarzystwa! - Uśmiechnęła się. - Mielę językiem, prawda? Sedno tkwi w tym, że ciotka i wuj, sami bezdzietni, nigdy nawet nie starali się żyć... w modnym świecie; biedna ciocia Amelia była jak nigdy skonsternowana, kiedy ją poinformowałam, że na ten sezon zamierzam przyjechać do Londynu! I te właśnie okoliczności, sir, zmusiły mnie do zwrócenia się do pana.

W zamyśleniu pukał w wieczko tabakierki, potem otworzył ją pstryknięciem i, krzywiąc się, lekko pociągnął niuch. Fryderyka, nie tracąc nadziei, obserwowała go. Zamknął tabakierkę, otrzepał zapylone palce i wreszcie popatrzył na kuzynkę. Wciąż miał zmarszczone czoło.

- Najlepsza rada, jakiej mogę pani udzielić, jest taka, by zadowolili się pani towarzyskim kręgiem nieco pośledniejszym od samej śmietanki - wypalił bez ogródek.

- Zatem jesteśmy aż tak niepożądani? - spytała stanowczo.

- Z pochodzenia, nie. Ze wszystkich innych powodów, tak. Nie wiem, jakimi pani może dysponować

zasobami pieniężnymi, ale...

- Wystarczy!

- Jeśli zamierza pani zaprezentować siostrę na dworze, radzę znaleźć odpowiednie fundusze. Na taką inwestycję pani nie stać.

- Wiem, i wcale o tym nie myślałam.

- O czym, w takim razie?

Energicznie opuściła dłonie na kolana i trochę zabrakło jej tchu, nim wyjawiała:

- U „Almacka”!

- Panno Merrville, sięgasz po gwiazdkę z nieba. Gdybym nawet tam panią polecił, nie zdołałaby pani pokonać tamtejszych wysokich progów! Więc, skoro przeliczyła pani arystokratyczne krewne, tak szacowne, by mogły wprowadzić panią do towarzystwa, to która z nich zgodziłaby się to zrobić?

- Nie mam takiej. Gdybym miała, nie szukałabym pana pomocy. Ale ja nie stchórzę! Jakoś sobie poradzę... przekona się pan! Wstał grzecznie.

- Mam nadzieję, że uda się pani. A może poradzę pani, by szukając szansy udała się pani do któregoś z uzdrowisk? Bath albo Tunbridge. Tam mogłaby pani znaleźć towarzystwo i bez wątpienia spotkać osoby godne szacunku.

Także wstała, lecz nim zdołała mu odpowiedzieć, przerwały jej pospieszne kroki na schodach. Za chwilę do saloniku wpadł przysadzisty chłopiec:

- Fryderyko! - krzyknął. - Mówili banialuki! Przepatrzyłyśmy wszystko, popytaliśmy wokół, ale nikt nie wie!

#### 4

Panna Merrville, nie speszona wtargnięciem do saloniku młodego dżentelmena, którego widziała zaledwie trzy godziny wcześniej, a który przez ten czas zdołał wygnieść i zabrudzić kołnierzyk i ubłocić mankiety, natychmiast zorientowała się, o co chodzi, i zawołała:

- Och, nie Feliksie. To nie mogły być banialuki. Sam pan Rushbury ci o tym powiedział, a on by cię nie okpił!

Chociaż panicz Feliks Merrville zauważył markiza, lecz mimo wszystko zalałby siostrę opowieścią o swojej porannej odysei, gdyby nie to, że do saloniku wszedł starszy chłopiec i stanowczo przywołał go do porządku. Przy jego nodze pojawił się duży, kudłaty pies, którego rodzice z pewnością nie zaliczali się do arystokracji. Kiedy chłopiec przeproszał Fryderykę, że wtargnęli tutaj, gdy zabawiała gościa, zwierzak ruszył ochoczo, by serdecznie powitać markiza. Nastawiony był przyjacielsko, co demonstrował wymachując puszystym ogonem. Najwyraźniej zamierzał skoczyć, na gościa, lecz Alverstoke, potrafiący obchodzić się z psami, uchronił się przed polizaniem twarzy, a swój wyjątkowo elegancki surdut przed umazaniem ubłoconymi łapami. Chwył po prostu psie łapy i przytrzymując zwierzaka na wyciągnięcie ramienia powiedział:

- Dobry piesek! Cieszę się, że cię widzę ale naprawdę nie musisz mnie lizać po twarzy!

- Leżeć, Lufra! - rozkazał panicz Jessamy Merriville jeszcze surowszym tonem. I dodał, gdyż siostra wcale się nie zawstydziała:

- Proszę o wybaczenie, sir. Nie przyprowadzałbym go tutaj, gdybym wiedział, że siostra ma gościa.

- Ależ nic nie szkodzi, lubię psy - zapewnił jego lordowska mość, drapiąc psa po tym miejscu na grzbiecie, którego zwierzak sam nie mógł dosięgnąć. - Jak on się wabi?

- Lufra, sir - wyjaśnił Jessamy, czerwieniąc się aż po nasadę włosów. - Ale ja nigdy bym do tego nie dopuścił! To głupi pomysł moich sióstr. Kiedy był szczeniakiem, wołałem go Wolf! Ale one tak się uparły, że w końcu przestał reagować na właściwe imię! A przecież nie jest to suka!

Podejrzewając, że jego lordowska mość może być nieco zdezorientowany, Fryderyka wyjaśniła całą sprawę:

- To z *Dziewicy z jeziora* - powiedziała. - Przypuszczam, że pamięta pan ten ustęp, w którym Władca: „odepchnął ją delikatnie”? I Lufra, „której nikt od Douglasa nie umiał przekupić ani omamić, Najszybsza suka na całej Północy, Dzielna Lufra zrozumiała i odskoczyła. Wymknęła się pogoni królewskich ogarów. I zniknęła w szarości, zachodząc go od flanki...”.

- I wężąc zapach krwi! - dokończył Feliks z uczuciem.

- Dość tych bzdur! - warknął starszy brat. - To wcale nie był buhaj, sir... zaledwie młody byczek, którego wcale nie uważaliśmy za niebezpiecznego! A jeśli chodzi o zwęsenie jego krwi... bzdura!

- Nie możesz jednak zaprzeczyć, że Luff uratował cię przed pobodzeniem! - odezwała się Fryderyka. Popatrzyła na Alverstoke'a. - Proszę sobie tylko wyobrazić. Właściwie był jeszcze szczeniakiem, ale ruszył do ataku jak burza i wczepił się w nozdrza byka, a Jessamy zdążył się wdrapać przez bramę w bezpieczne miejsce! Jestem pewna, że nawet pokusa w postaci kości ze szpikiem nie potrafiłaby go rozdzielić z Jessamym, prawda, kochany Luff?

Zadowolony z tej pochwały, wiemy pies stulił uszy, zamachał ogonem i zaskamlawszy na zachętę usiadł ziejąc u stóp pani. Jego pan natomiast, najwyraźniej dotkliwie urażony tą zdradą, wyszedłby wraz z psem i bratem z saloniku, gdyby nie zatrzymała go Fryderyka:

- Nie, proszę, nie uciekajcie! Poznajcie lorda Alverstoke'a! Oto mój brat Jessamy, sir, a to jest Feliks.

Jego lordowska mość, skinąwszy głową w odpowiedzi na ich ukłony, zorientował się, że jest taksowany: przez Jessamy'ego, którego oceniał na jakieś szesnaście lat - z rezerwą; przez młodszego o trzy-cztery lata Feliksa - niewzruszonym, ciekawskim wzrokiem dziecka. Alverstone przywykł, że go taksowano, toteż w jego oczach zamigotał błysk rozbawienia. Pomyślał, że Jessamy jest nieco przerysowaną kopią siostry: miał ciemniejsze od niej włosy, bardziej haczykowaty nos, a usta i brodę tak silnie zarysowane, że świadczyły o uporze. Nos Feliksa był wciąż perkaty, buzia pucółowata jak u malucha, lecz mimo to widać już było ów podbródek i stanowczy wzrok, którym odznaczało się jego starsze rodzeństwo. Przerastał ich natomiast śmiałością. To on przerwał ciszę, wrywając się z pytaniem:

- Sir! Czy wie pan coś o „Niech mnie ktoś dogoni”?

- Oczywiście, że nie wie! Nie bądź taki nieokrzesany! - zmitygował go starszy brat. - Proszę o wybaczenie, sir, on ma pstro w głowie!

- Nie, on ma w głowie lokomotywy - odparł Alverstoke. Popatrzył na Feliksa. - Czyż nie o to ci chodzi? O

jakaś lokomotywę parową?

- Tak, o to! - przytaknął żarliwie Feliks. - Trevithicka, sir. Wcale nie o „Dymiącego Diabła”: ruszył w drogę, ale zapalił się i spłonął.

- O! I bardzo dobrze! - wtrącił się Jessamy. - Maszyny parowe na drogach! Przecież na ich widok każdy koń oszaleje z przerażenia!

- Fiu, co z tego? Śmiem twierdzić, że szybko do nich przywykną. Poza tym, wcale nie o takich mówię. Mam na myśli te, które jeżdżą po torach... piętnaście mil na godzinę, a bardzo prawdopodobne, że wkrótce będą szybciej. - Ponownie zwrócił się do Alverstoke'a:

- Wiem, że przywieziono ją do Londynu, gdyż pan Rushbury... mój ojciec chrzestny... mi o tym powiedział, i że za szylinga można się przejechać. Twierdził, że stoi na północ od North Road, niedaleko, jak sądził, od Montague House.

- Przypuszczam, że tak było - powiedział Alverstoke. - Jakoś tak się złożyło, że nie mogłem jej zobaczyć, ale chyba sobie przypominam, że jej wynalazca... mówiłeś, że jakie nosi nazwisko?

- Trevithick! Pierwsza lokomotywa, którą skonstruował, ciągnęła pięć wagonów i mogła przewieźć dziesięć ton żelaza i siedemdziesięciu ludzi, ale z prędkością zaledwie pięciu mil na godzinę. To było w Walii... zapomniałem nazwę tego miejsca, ale w jednym był Jeden wagon, i...

- Czy przygryziesz sobie jeźor, ty wstrętna mała paplo? - wpadł mu w słowo Jessamy. - Kiedy tak trajkoczesz, można cię wziąć za rodowitego starozakonnego. I nie pozwalasz lordowi Alverstoke nawet dojść do słowa!

Skonfundowany reprimendą Feliks pospiesznie prosił jego lordowską mość o wybaczenie, lecz Alverstoke, którego chłopiec rozbawił, powiedział:

- Nonsens! Kiedy chcę dojść do słowa... zawsze mi się to udaje! Feliksie, była tam taka lokomotywa, ale obawiam się, że już jakiś czas temu. Jednak wydaje mi się, że Trevithick wynajął plac w pobliżu Fitzroy Square, ogrodził go i położył okrężny tor. Jeśli dobrze pamiętam, wywołało to spore poruszenie, lecz choć wiele osób przyszło to zobaczyć, tylko nieliczni dali się namówić na przejażdżkę, a już nikt więcej, gdy szyny pękły, a maszyna się wywróciła! Toteż musiano ten pomysł zarzucić. Ale to było co najmniej dziesięć lat temu. - Uśmiechnął się, widząc rozczarowaną buzię Feliksa. - Przykro mi! Interesują cię lokomotywy?

- Tak... nie... maszyny! - wyjąkał Feliks. - Siła parowa... sprężone powietrze! Sir, czy widział pan ten pneumatyczny dźwig w odlewni na Soho?

- Nie - odparł jego lordowska mość. - A ty?

- Nie pozwolili mi - poskarżył się smętnie Feliks. Nagle do głowy wpadł mu jakiś pomysł. Popatrzył na Alverstoke'a żarliwym wzrokiem i spytał z zapartym tchem: - Jeśli pan chciałby go obejrzyć... chciałby pan?

Fryderyka, która usiadła z powrotem w fotelu, odezwała się:

- Nie, nie, Feliksie! Lord Alverstoke wcale tego nie pragnie! Nie powinieneś nalegać, by cię tam zabrał!

Miała rację: Alverstoke'owi nawet nie przyszłoby do głowy oglądać jakiś pneumatyczny dźwig. Jednak nie potrafił się oprzeć się błagalnemu wyrazowi wyniesionych ku niemu z nadzieją oczu. Usiadł znowu, uśmiechnął się nieco smętnie, i powiedział:

- Chyba bym się zdecydował. Ale musisz mi więcej na ten temat opowiedzieć!

Wtedy Jessamy, który doskonale zdawał sobie sprawę, czym skończy się taka zachęta, spojrział żałośnie na Fryderykę. Chociaż w jej oczach błysnęło zrozumienie, nie uczyniła nic, by powstrzymać najmłodszego braciszka.

Możliwe, że nie leżało to w jej mocy. Rzadko bowiem zdarzało się, by Feliks spotkał się z zachętą do rozwodzenia się nad tematem, który interesował nielicznych, a większość uważała za nudny. Oczy chłopca rozjaśniły się, przysunął sobie fotel i usiłował wytłumaczyć prawa, według których działają windy pneumatyczne. Od tego był już tylko niewielki krok do modelu maszyny, którą skonstruowano na wzór dmuchawy w tejże samej odlewni. Nie minęło wiele czasu, a Alverstoke'a zarzucono wstrząsowym walcem, trzonami tłokowymi, poprzecznkami, stawidłami i dyszami parowozu. Ponieważ, rzecz jasna, zasób wiedzy Feliksa na ten temat był daleki od doskonałości, mówił nieco chaotycznie. Ale jego żądza wiedzy sprawiła, że wprost bombardował Alverstoke'a pytaniami. Jego lordowska mość jedynie na nieliczne potrafił dać zadowalającą odpowiedź. Jednakże na tyle orientował się w temacie, że zdołał ukryć ignorancję i spacyfikować dociekliwego malca kontrpytaniami. Toteż ogromnie podniósł swój prestiż w oczach młodego dżentelmena, zbrzydzonego ignorancją siostr i braci. Z jakiegoś nieważnego gościa przeistoczył się w kogoś bezcennego. Feliks stwierdził, że ten dżentelmen to najinteligentniejszy słuchacz, z jakim udało mu się zetknąć: jest porządnym gościem, któremu nawet można wybaczyć, gdy mówi przeproszającym tonem:

- Wiesz, Feliksie, lepiej znam się na koniach niż na maszynach! Wyznanie to zaledwie odrobinę przyćmiło jego blask w oczach Feliksa, natomiast momentalnie podniosło go w oczach Jessamy'ego. Jessamy pragnął się dowiedzieć, czy zaprzęg, który zobaczył na ulicy, i który opisał jako, powiedzmy, w dobrym gatunku, należy do jego lordowskiej mości. A kiedy dowiedział się, że tak jest w istocie, bez pardonu odsunął na bok młodszego brata i wciągnął markiza w dyskusję o tym, czym powinny charakteryzować się najlepsze konie do powozów.

Gdyby markiza ktoś wcześniej uprzedził, że będzie musiał spędzić pół godziny z dwoma uczniakami, wymówiłby się bez chwili wahania, rzadko bowiem zdarzało się, by nie nudził się w jakimś towarzystwie. Teraz jednak wcale nie był znudzony. Jako jedyny syn dobrze wychowanych rodziców, a najmłodszy z ich potomstwa, nigdy nie doświadczył rodzinnego życia, jakim cieszyli się Merrville'owie. Siostrzeńców i siostrzenice, kiedy je odwiedzał, strojono w najlepsze ubranka i surowo przestrzegano, że są na tyle dobrze wychowani, by nie zanudzać wuja paplaniną. Uznał więc, że są ociążali na umyśle i nie potrafią się wysłowić. Toteż młode pokolenie Merrville'ów sprawiło mu przyjemną niespodziankę. Jego siostry pewnie nie pochwalałyby ich szczeremu, swobodnemu zachowaniu albo braku całkowitej niewiary we własne siły, które, zdaniem siostr, powinny cechować chłopców w wieku szkolnym. On jednak uznał, że są dobrze wychowaną i miłą parą dzieciaków i odniósł się do nich z taką pobłażliwością, która wszystkich jego bliskich i znajomych sprawiłaby w osłupienie.

Polubił ich, lecz w końcu i jego cierpliwość się wyczerpała. I kiedy Feliks, przekrzykując Jessamy'ego, zażądał wyjaśnień w sprawie kotłów parowych, regulatorów odrzutu i śrub napędowych, roześmiał się i wstał ze słowami:

- Mój drogi, jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o statkach parowych, wybierz się na wycieczkę po Tamizie, a mnie o to nie pytaj! - Odwrócił się do Fryderyki, lecz w tej chwili drzwi otworzyły się i do saloniku weszły

dwie damy. Markiz spojrział i słowa pożegnania zamarły mu na ustach.

Obie damy miały na sobie spacerowe stroje, lecz na tym kończyło się ich podobieństwo. Jedna z nich była ponurą nieprzystępną niewiastą w nieokreślonym wieku. Druga - najbardziej zachwycającą panną, jaką doświadczony przecież w tej materii jego lordowska mość widział w całym swoim życiu. Zrozumiał, że patrzy na pannę Charis Merriville i że jego sekretarz nie przesadzał, opisując jej urodę.

Od złocistych loków, po maleńkie, ślicznie sklepione stopki, obute gustownie w dziecinne pantofelki, okazała się istotą, która zapierała dech w piersi każdego mężczyzny. Przy tym była szykowna; miała zgrabne kostki; karnację, którą liczne grono wielbicieli porównywało do rozkwitłej róży albo dojrzalej brzoskwini; cudowny zarys słodkich warg, a nosek prosty z delikatnymi nozdrzami. W oczach, niewinnie patrzących na świat, błękitnych jak niebo, można było dostrzec wyłącznie szczerą i błądy cień uśmiechu. Nosiła skromny czepeczek ze skróconym daszkiem, a suknię kryła lazuruwonebieska kaszmirowa narzutka. Markiz odruchowo sięgnął po monokl. Fryderyka zaś, obserwując to z siostrzaną satysfakcją, przedstawiła go ciotce.

Panna Serafina Winsham, kiedy dwaj siostrzeńcy przedstawili ją poważnym tonem, zmierzyła lorda wrogim spojrzeniem i prychnęła burkliwie:

- Coś podobnego! - Potem dorzuciła: - Och, wynoś się! - Ale to najwyraźniej skierowane było do łaszącego się Lufry. Jego lordowska mość wstał. Lekki, złożony przez niego ukłon, skwitowała zdawkowym ledwie skinieniem, po czym spojrzenie jej stało się jeszcze bardziej odpychające. Panna Winsham, powiadamiając chmurnie Fryderykę, że chyba tego wszyscy się po niej spodziewają, z godnością wymaszerowała z saloniku.

- O, mój Boże! - westchnęła Fryderyka. - Chyba jest nie w humorze! Co ją wprawilo w taki nastrój, Charis? Och, proszę mi wybaczyć! Lord Alverstoke... moja siostra!

Charis uśmiechnęła się do jego lordowskiej mości i podała mu dłoń.

- Witam pana. Wiesz Fryderyko, pewien bardzo uprzejmy młody człowiek w Bibliotece Hookhama zdjął dla mnie z półki książkę, ponieważ sama nie mogłam do niej sięgnąć. Był tak grzeczny, że nim podał mi książkę, własną chusteczką otarł ją z kurzu. Ale ciotka uznała, że jest bufonem. Aha, nie mieli *Ormonda*, więc przyniosłam *Rycerza St. John*, który, śmiem twierdzić, równie się nam spodoba.

Mówiła cichym, łagodnym głosem. Markiz, przed którego krytycznym spojrzeniem pojawiło się i znikło wiele sezonowych piękności, z aprobatą dostrzegł, że ta panna - przecież najpiękniejsza, jaką zdarzyło mu się widzieć - nie była wcale zalotna. Wręcz przeciwnie, nie zdawała sobie zupełnie sprawy ze swojej urody. Jako kawaler, który na Małżeńskim Targu od lat figurował na szczycie listy pożądaných zdobyczy, wiedział, jak rozpoznawać wszelką sztuczność, próbującą go usidlić. Z zadowoleniem więc uznał, że młodsza z panien Merriville nie jest tym zainteresowana. Spytał więc, jak jej <sup>ę</sup> podoba Londyn. Odparła, że bardzo, lecz uwagę jej zaprzętało zupełnie coś innego, gdyż nie uczyniła nic, by podjąć ten wątek. Natomiast z łagodnym wyrzutem w głosie zawołała:

- Och, kochany Feliksie, urwał ci się guzik u surduta!

- Też mi kłopot! - zawołał Feliks, niecierpliwie wzruszając ramionami. - Co to ma za znaczenie?

- Żadne! - zgodziła się. - Fryderyka zamówiła dla nas u krawca ubrania na zmianę, pamiętasz? Zaraz ci ten guzik przyszyję, tylko chodź ze mną. Nie możesz przecież paradować po mieście niczym jakiś oberwaniec,

prawda?

Widać było wyraźnie, że najmłodszy Merriville nie ma najmniejszych obiekcji, by pokazywać się na mieście w tym stroju, lecz akceptował autorytet starszej siostry. Toteż, zerknąwszy na swoją garderobę, skinął potakująco głową i posepnie powiedział:

- No dobra, zgoda! - Ale nim dał się niczym niewolnik wyprowadzić, błagalnie zagadnął markiza: - Weźmie mnie pan do Soho, prawda, sir?

- Jeżeli nie ja, to mój sekretarz - przyrzekł Alverstoke.

- Och! Cóż... cóż, bardzo panu dziękuję, sir! Tylko że lepiej by było, gdyby to pan sam ze mną poszedł! - nalegał Feliks.

- Lepiej dla kogo? - próbował dociec lord.

- Dla mnie - wypalił szczerze Feliks. - Podejrzewam, że panu pokażą wszystko, czego pan zażąda, gdyż jest pan... drugim pod względem ważności arystokratą, o jakim wiem. W pewnej książce przeczytałem, że markiz to w prostej linii potomek księcia, więc...

Słyszac tę kwestię jego zniesmaczony brat po prostu wyrzucił go z saloniku, sam przystając jedynie na chwilę, by przeprosić Alverstoke'a za nieobyczajne maniery tego dzieciaka. Ponieważ w ślad za nim ruszył Lufra, a Charis z uśmiechem wkrótce pospieszyła za nimi, markiz został sam na sam z gospodynią. Odezwała się w zadumie:

- Prawdę powiedziawszy, sędzę, że lepiej by było, by pan osobiście zaprowadził brata w tamto miejsce. Widział pan, że to wyjątkowo przedsiębiorczy młody człowiek, więc nikt nie jest w stanie przewidzieć, co mu może strzelić do głowy.

- Charles będzie wiedział, jak przywołać go do porządku - odparł niewzruszenie jego lordowska mość.

Spojrzała z powątpiewaniem, lecz nie powiedziała nic więcej. Znać było po niej, że sądziła, iż jego lordowska mość wpadł w nastrój kontemplacyjny. Nic nie widzące spojrzenie utkwiał w przeciwległej ścianie, a w kącikach jego ust pojawił się dziwny uśmieszek. Uśmieszek przerodził w uśmiech i Alverstoke niespodziewanie roześmiał się cicho, mówiąc:

- Na Boga, tak uczynię!

- Co takiego? - dopytywała się Fryderyka. Najwyraźniej zapomniał o jej obecności. Na dźwięk głosu podniósł wzrok ku jej twarzy, lecz zamiast odpowiedzieć, spytał szorstko:

- Co pani bracia właściwie tutaj robią? Powinni być w szkole!

- Hm, pod pewnymi względami sędzę, że ma pan rację - zgodziła się. - Jednakże tatce nigdy nie podobał się pomysł posyłania któregośkolwiek z synów do szkół. On sam bowiem kształcił się w domu. Oczywiście, może pan uznać, że to nie jest dostateczny powód, by chłopcy szli jego śladem... i, prawdę mówiąc, mnie także nie... lecz człowiek musi być sprawiedliwy, a byłoby niesprawiedliwością zakładać, że biedny tatko sądził, iż jego... jego błędy wynikły z takiego a nie innego wychowania. Sama nie wiem, skąd się wzięły - dodała w zadumie. - Merriville'owie zawsze wykazywali skłonność do przekory.

- Rzeczywiście? - spytał z kpiącym uśmieszkiem. - Wobec tego, czy dla Jessamy'ego i Feliksa wynajęto guwernera?

- Och, całe zastępy guwernerów! - zawołała panna Merriville. Dostrzegła zdumienie w oczach jego

lordowskiej mości, więc pospieszyła z wyjaśnieniem. - Nie jednocześnie! Jednego po drugim, pojmuje pan? Nie wyobraża pan sobie, jakie to irytujące! Rzecz polegała na tym, że kiedy byli starzy, nie podobali się chłopcom, a kiedy przychodzili młodzi, to tylko na miesiąc, dwa, przeczekując czas do objęcia posady w szkole lub na którymś z uniwersytetów, lub jeszcze gdzieś indziej. A najbardziej denerwujące, że każdy nieuchronnie zakochał się w Charis!

- Bez trudu w to wierzę.

Skinęła głową, lecz westchnęła głęboko.

- Cała bieda w tym, że nie potrafiła się zmusić do tego, by dać im odprawę. Ona ma fatalnie czułe serce i nie potrafi nikomu zadać bólu... zwłaszcza takim osobom jak nieszczęsny pan Griff, nieśmiały rudowłosy dziwak z jabłkiem Adama, które podskakiwało w górę i w dół jego gardła. To był ostatni gubernator. Teraz po prostu chłopcy cieszą się wakacjami, lecz kiedy obejrzą w Londynie już wszystko, co warte jest zobaczenia, i trochę bardziej się tutaj zaaklimatyzują, będę musiała wynająć dla nich nowego gubernatora. Jessamy jest bardzo pilny i codziennie przez dwie godziny się uczy, gdyż postanowił pójść do Oksfordu w wieku osiemnastu lat, rok wcześniej niż Harry.

- Zatem Harry studiuje teraz w Oksfordzie?

- Owszem, na drugim roku. Dlatego też wydało mi się, że to najodpowiedniejszy moment do zamieszkania na rok w Londynie. Dobrze mu zrobi, jeśli przed objęciem Graynard rozejrzy się trochę po świecie, prawda? Poza tym, odniósł się entuzjastycznie do tego pomysłu!

- W to nie wątpię - przytaknął Alverstoke. Popatrzył na Fryderykę z błyskiem w oku. - Tymczasem rozważmy pani sytuację. Za kilka tygodni zamierzam wydać bal debiutancki dla jednej z moich siostrzenic. Pojawicie się na nim również obie panie i zostaniecie zaprezentowane w towarzystwie przez moją siostrę. I bez wątpienia obie otrzymacie zaproszenia na liczne inne bale, na które będzie was eskortowała moja siostra. Aha! I moja kuzynka, pani Dauntry, której córka również ma zadebiutować na moim balu!

Usta Fryderyki! zadrżały, chochlik zatańczył w jej oczach.

- Jestem panu wielce zobowiązana! Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że Charis wróciła do domu w porę, by mógł pan ją poznać!

- Prawda? - odparował. - Inaczej nie wiedziałbym nawet, że trzymanie takiego brylantu w cieniu byłoby niewybaczalnym błędem.

- Właśnie! A dla niej nie mogłoby być nic lepszego od pojawienia się na pańskim balu. Jestem panu szczerze wdzięczna, lecz nie ma konieczności, bym i ja była zaproszona.

- Więc zamierza pani żyć w odosobnieniu?

- Nie, ale...

- Zatem jest absolutnie konieczne, by pojawiła -się i pani. Stanowczo też uważam, iż należy nakłonić pani ciotkę, by wam towarzyszyła. Ponieważ nie mieszkanie pod jednym dachem z moją siostrą, wydawałoby się podejrzane, gdyby nie ujrano szacownej przyzwoitki. Nie powinna się pani kłopotać jej dziwactwami...

- I nie robię tego! -przerwała mu Fryderyka.

- ...gdyż oryginałowie są ostatnim krzykiem mody - dokończył.

- Cóż, to mnie akurat najmniej obchodzi.. Ale nie potrafię się powstrzymać od obaw, czy pańska siostra



przystanie na taki plan.

Błysk w oczach lorda stał się jeszcze wyraźniejszy.

- Bez wątpienia!

- Skąd pan to może wiedzieć? - sprzeciwiła się Fryderyka.

- Proszę mi wierzyć, wiem.

- Nie, nie wie pan, gdyż dopiero przed chwilą sam pan to wymyślił - wypaliła bez ogródek Fryderyka. - Świetnie jest być takim pewnym siebie, lecz jeśli pańska siostrzenica nie jest, jak pan to określił, brylantem, to Charis zupełnie ją przyćmi! Która matka zgodziłaby się na debiut córki w towarzystwie Charis?

Przez jego usta przemknął uśmiech, lecz był to jedyny znak upewniający Fryderykę, że słucha. Zażył szczyptę tabaki, zamknął tabakierkę i powiedział:

- Akceptuję związki między nami... kuzynko!... ale to nie wystarcza. Sugeruje pani, że powinienem zostać waszym opiekunem: dobrze, powiedzmy, że ojciec polecił was mojej opiece. Proszę mi wytłumaczyć, dlaczego to zrobił?

- Hm, twierdził, że pan jest najlepszy z całej rodziny - wyjaśniła Fryderyka.

- To na nic! Moje siostry, gwarantuję pani, równie dobrze jak ja wiedzą, jak dalekie to pokrewieństwo! Trzeba wymyślić jakiś lepszy powód, by zaspokoić ich ciekawość.

Podchwytując wątek, Fryderyka powiedziała:

- Tatko w przyszłości oddał panu... ogromną przysługę, a pan do tej pory nie znalazł sposobności, by się za nią odwdzięczyć!

- Jakaż to przysługę? - spytał sceptycznie Alverstoke.

- To coś - ciągnęła Fryderyka z zimną krwią - nad czym wolałby się pan nie rozwodzić... zwłaszcza w obecności - sióstr.

- Och, świetnie! - zgodził się, a dyskretny błysk w jego oczach przerodził się w nieklamane rozbawienie. - Czuję się jego dłużnikiem z tego powodu postanowiłem zająć się jego potomstwem. - Podchwycił niewyraźny błysk w jej oczach. Uniósł brwi. - O co chodzi?

- Po prostu myślę... kuzynie... że jeśli pan zamierza zostać naszym opiekunem, właściwiej będzie, by to pan poszukał odpowiedniego guwernera dla Jessamy'ego i Feliksa niż żebym ja to robiła!

- Zupełnie nie znam się na tych sprawach, a moja opieka będzie absolutnie nieoficjalna!

- To panu obiecuję! - zapewniła Fryderyka. - Ale nie widzę powodu, dlaczego nie miałby pan być użyteczny!

- Chciałabym pani przypomnieć, że postanowiłem wprowadzić was do towarzystwa. I na tym moja pomoc się kończy.

- Och, jak to możliwe? Jeżeli chce pan, by wyglądało, że opiekując się nami spłaca pan dług wdzięczności, musi pan uczynić coś więcej niż zaprosić Charis i mnie na bal. Proszę mi wierzyć, jestem panu ogromnie zobowiązana... chociaż nie zrobiłby pan tego, gdyby Charis pana nie oczarowała... lecz...

- Charis - przerwał - jest wyjątkowo piękną panną... możliwe, że najpiękniejszą, jaką dotąd widziałem, ale jeśli wyobraża pani sobie, że zapraszam ją na bal dlatego, iż skradła mi serce, to grubo się pani myli, kuzynko Fryderyko!

- Przyznam, że mam nadzieję, iż tak nie jest - odparła nieco zakłopotana. - Widzi pan, jest pan dla niej trochę za stary!

- Szczera prawda! - odpalił. - Ona jest dla mnie o wiele za młoda!

- Oczywiście! - zgodziła się Fryderyka. - Co więc sprawiło, że tak nagle postanowił pan nas zaprosić?

- Tego, kuzynko, nie mam ochoty ci zdradzić.

Oceniała go, zmarszczywszy brwi. Spokojnym wzrokiem penetrowała jego twarz. Zdumiewał ją. Z początku nie wywarł na niej korzystnego wrażenia: był zgrabny, miał doskonale skrojone ubranie, a twarz, choć może nie piękną, ale wyrazistą; lecz, jej zdaniem, miał zbyt wyniosłe maniere, zimne oczy i był nieprzyjemnie kąśliwy. Nawet jego uśmiech wydawał się kpiący; wykrzywił wargi, choć oczy pozostawały twarde jak stal. Potem zaś powiedziała coś, co przemówiło do jego serca i ostra złośliwość gdzieś znikła, ustępując miejsca prawdziwemu rozbawieniu. Nie tylko w jego oczach pojawiły się cieplejsze błyski, lecz w jednej chwili przeobraził się z wyniosłego arystokraty w życzliwego dżentelmena o wyjątkowym poczuciu humoru i całkiem czarującym manierach. Nie było w nim nawet odrobiny wyniosłości, kiedy do saloniku jak burza wpadł Feliks. Cierpliwie i z jakimś rozbawieniem odpowiadał na wszystkie jego pytania i Jessamy'ego i serdecznie popatrywał na obu chłopców. Zniósł bez mrugnięcia powieką pogardę, z jaką potraktowała go panna Winsham; a kiedy patrzył na Charis, w jego wzroku wyraźnie widział się nieklamana aprobatę. Fryderyka nie miała najmniejszych wątpliwości, że to podziw dla Charis sprawił, iż zmienił zdanie, nie miała jednak pojęcia, dlaczego w jego oczach pojawił się ten złośliwy błysk. Patrzyła na niego pełna wątpliwości. Uniósł brwi i spytał:

- O co chodzi?

- Powinnam być wdową! - oświadczyła poirytowanym tonem. - Tak, gdybym miała dość rozumu, to już bym nią była!

Ów nieodgadniony wyraz jego twarzy zniknął; w oczach pojawił się tylko śmiech.

- Zostanie pani! - zapewnił.

- Wtedy to na nie! - powiedziała zniecierpliwiona. - Gdybym już teraz była wdową... - Urwała, z rozbawioną miną. - Hm, jakież głupstwa plotę!... Mam rodzinę, którą muszę się opiekować... ponieważ jestem najstarsza, ale nie mam skłonności do tyranii ani... nie jestem jędzowata! Przynajmniej tak mi się wydaje!

- Nie, nie! - zapewnił pospiesznie. - Odniosłem wrażenie, że doskonale radzi sobie pani z panowaniem nad wszystkim. Ale proszę mi wyjawić, dlaczego zostałyby pani wdową, gdyby pani miała dość rozumu? Czy raczej - dlaczego chciałaby pani nią zostać: może trzyma pani w ukryciu jakiegoś męża?

- Oczywiście, nie! Myślałam tylko, że chyba powinnam udawać wdowę. Wtedy sama mogłabym służyć Charis za przyzwoitkę i nie potrzebowałabym ciągnąć do tego ani pańskiej siostry, ani pana.

- Och, ja nie mam nic przeciwko temu!

- No tak, ale ona może mieć. I to bardzo! Poza tym, jeszcze się nawet nie znamy!

- Temu da się zaradzić. - Wyciągnął rękę. - Teraz muszę już iść, ale za dzień, dwa, odezwę się do pani. Och, proszę nie sięgać po dzwonek! Proszę sobie przypomnieć, że zostałem członkiem rodziny, więc zapomnijmy o konwenansach! Sam wyjdę.

Tego jednak nie udało mu się zrobić, gdyż w holu czekał na niego Feliks. On to bardzo grzecznie odprowadził go do powozu. A stało się tak, gdyż za wszelką cenę chciał wymóc na Alverstoke'u przyrzeczenie, iż zabierze go do odlewni na Soho.

- Nie ma obawy! - powiedział jego lordowska mość. - Zajmę się tą sprawą.

- Tak, sir, dziękuję! Ale to pan sam ze mną tam pójdzie, prawda? Nie pański sekretarz?

- Drogi chłopcze, dlaczego ja? Śmiem twierdzić, że pan Trevor o wiele lepiej ode mnie wyznaje się w tych łamigłówkach.

- No dobrze... Och, proszę iść ze mną, sir! Byłoby pierwszorzędnie!

Markiz dotąd uważał, że uodpornił się na pochlebstwa. Sądził, że spotkał się już z wszelkimi ich przejawami, lecz teraz przekonał się, w jak wielkim żył błędzie. Szczerze uwielbienie w oczach dwunastoletniego chłopca, błagalnie utkwione w nim spojrzenie, okazało się czymś całkiem nowym i przełamało jego opór. Umiał z lodowatym chłodem odprawiać chlapiące damy, a umizgi pochlebców kwitował kąśliwymi docinkami. Teraz zaś, choć zdawał sobie sprawę, jak nudna okaże się wycieczka na Soho, absolutnie nie potrafił zdobyć się na odprawienie z kwitkiem swojego najnowszego i najmłodszego wielbiciela.

W ten sposób panicz Feliks Merrmile, pędząc co tchu po schodach do saloniku siostry, mógł triumfalnie obwieścić Fryderyce, że wszystko załatwione:

- Kuzyn Alverstoke sam osobiście wybiera się ze mną na oglądanie pneumatycznego dźwigu, a poza tym, jest on kapitalnym gościem!

## 5

Nazajutrz pan Charles Trevor doznawał wstrząsu po wstrząsie. Nie minęło dwadzieścia minut od chwili, w której główny ochmistrz markiza złożył na jego biurko pokaźny stos raportów i rachunków - do bynajmniej nie lekkich obowiązków pana Trevora należało zredukowanie ich liczby do takich rozmiarów, które ich szlachetnie urodzony pracodawca skłonny był zaakceptować - kiedy markiz we własnej osobie wmaszerował do jego gabinetu ze słowami:

- Dzień dobry, Charlesie. Czy coś ci wiadomo o jakichś odlewniach na Soho?

- Odlewniach, sir? - słysząc tak niecodzienne pytanie pan Trevor osłupiał.

- Czymś, co, jak mi się zdaje, ma coś wspólnego z odlewnictwem stali - wyjaśnił markiz, stawiając szklaneczkę na stosie papierów na biurku. - Dobry Boże, Charlesie, dlaczego nigdy mi się nie poskarżyłeś, jak bardzo jesteś przepracowany? Cóż to za paskudztwo?

- To zaledwie jedna czwarta dziennej porcji, sir! - roześmiał się Charles. - Był u mnie Coleford... zajrzał, gdyż doskonale zdaje sobie sprawę, że gdyby wręczył waszej lordowskiej mości cały ten plik, nie przeczytałby pan z niego ani słowa! Ale... te odlewnie? Czy chce Pan... czy pan chce informacji na ich temat? - Nagle coś zaświtało mu głowie; oczy rozpały się, gdy spytał: - Czyżby powstały tam jakieś problemy? Czy zamierza pan o tym mówić, sir?

- Doprawdy, Charlesie, zadajesz mi bardzo dziwne pytania! - obruszył się jego lordowska mość. - Drogi

chłopcze, czy istnieje choćby cień prawdopodobieństwa, że pragnąłbym coś takiego uczynić?

- Nie, sir - odparł szczerze pan Trevor. - Rzeczywiście, nie słyszałem, by interesował się pan takimi sprawami! Markiz westchnął i potrząsnął głową.

- Otóż to, często podejrzewałem, iż uważasz mnie za lekkoducha!

- Owszem, ale... to znaczy, oczywiście, że nie, sir! - pospiesznie poprawił się pan Trevor.

- Charlesie, kłamiesz w żywe oczy! Ale masz absolutną rację - przyznał posepnie jego lordowska mość. - Odlewnie wcale mnie nie obchodzą. Mimo to nigdy nie jest za późno, by naprawić ten stan rzeczy, tak więc spróbuję się nimi zainteresować. A może lepiej zajmę się dźwigami pneumatycznymi. Czy wiesz coś o dźwigach pneumatycznych?

- Nie, sir. Ale dowiem się, jeśli mi pan poleci!

- Złe mnie zrozumiałeś! Gdzieś na Soho znajduje się odlewnia, w której pracuje dźwig pneumatyczny. Pragnę go obejrzyć. Oderwij się więc od tych ubolewania godnych dokumentów i załatw to dla mnie, drogi chłopcze!

- Tak, sir... oczywiście! - odparł mechanicznie pan Trevor.

- Zawsze wiedziałem, że mogę na tobie polegać. Przyznaję, nieco się rozczarowałem, słysząc, że nie masz pojęcia o dźwigach pneumatycznych, lecz może za to wiesz coś o kotłach i śrubach okrętowych?

Pan Trevor, który zaniemówił ze zdumienia, potrząsnął przecząco głową.

- No, no, Charles! - zganiał sekretarza jego lordowska mość.

- Trzeba to będzie naprawić! Jak zdołasz odcisnąć swój ślad na ziemi, jeśli nie czynisz nic, by iść z duchem czasu? Powinieneś wybrać się na wycieczkę po rzece parowcem, wtedy się wszystkiego dowiesz. Umęczony sekretarz odpowiedział wymijająco:

- Jestem panu wielce zobowiązany, sir, ale nie jestem inżynierem i nie interesują mnie kotły parowe! A jeśli chodzi o wyprawę parowcem, niech mnie dia... to znaczy, wolałbym nie!

- Hm, ja też nie jestem inżynierem - powiedział jego lordowska mość. - I niech mnie diabli, jeśli wsiądę na parowiec. Ale ciebie chyba wezmą, gdyż coś mi mówi, iż niebawem będzie to należało do twoich obowiązków.

Śmiejąc się niepewnie, kompletnie oszołomiony Charles spytał:

- Ale dlaczego, sir? Wiem, że raczy pan żartować, lecz mimo to...

- Wcale nie żartuję! Kiedy poznasz mojego najnowszego znajomego... aha, mojego młodego kuzyna!... zrozumiesz, że to nie żarty.

- Najnowszego... kuzyna? - wyjąkał Charles. - Sir, proszę o wybaczenie, ale co pan ma na myśli?

Markiz, przystając w progu, obejrzał się i wyjaśnił z tajemniczym uśmieszkiem:

- Drogi chłopcze, sam powinieneś wiedzieć. To ty zmusiłeś mnie do złożenia wizyty jego siostrom. Toteż jeśli pewnego dnia będziesz towarzyszył mojemu kuzynowi Feliksowi w wyprawie parowcem, sam będziesz sobie winien. A co do Charis, miałeś absolutną rację: to bezcenny klejnot!

Zamknął ze sobą drzwi. Pan Trevor został i usiłował coś z tego wszystkiego zrozumieć. Nie bardzo mu się udało, gdyż chociaż mógł łatwo pojąć, że markiz, uderzony urodą panny Merriville, postanowił uczynić ją obiektem swoich względów, to nie potrafił, nawet najbardziej wysilając wyobraźnię, uwierzyć, że pryncypał

posunął się tak daleko, by w ramach zalotów zapewniać rozrywkę jej bratu. Rzadko bowiem musiał się natrudzić, by zdobyć serce jakiejś atrakcyjnej damy. Większość z nich, pomyślał Charles z dezaprobatą, sama do niego Ignęła. Nawet jeśli dostawał kosza, to wzruszał ramionami i szedł dalej, albowiem flirtował jedynie dla rozrywki, a jeśli zrodziło się w nim jakieś uczucie, to nie było ani głębokie, ani długotrwałe. Teraz zatem, gdy wydawało się, że ogromnie się zaangażował, było to takie do niego niepodobne, iż Charles - który mniemał, że całkiem nieźle poznał jego lordowska mość - musiał przyznać, iż jest absolutnie zbity z tropu. Nie przyszło mu do głowy, że Alverstoke ustąpił wobec pochlebstw upartego urwisa; a nawet gdyby coś takiego pomyślał, natychmiast odrzuciłby taką myśl jako absurdalną.

Tymczasem markiz podążał kariolką na Grosvenor Place. Zajechawszy na miejsce, spostrzegł, iż przed progiem stoi powóz siostry, a ona sama w towarzystwie dwóch starszych córek właśnie zamierza do niego wsiąść.

- Widzę, że zdążyłem w samą porę! - zauważył. - Luizy, czy Możesz opóźnić swój odjazd o pięć minut?

Lady Buxted, w której piersiach wciąż paliła się gorycz porażki, chłodno skinęła na powitanie, po czym stwierdziła, iż zachodzi w głowę, co skłoniło brata do złożenia jej wizyty.

Kiedy jego lokaj zrównał się z końmi powozu, Alverstoke odrzucił pled przykrywający nogi i zgrabnie zeskoczył z kariolki wołając:

- Jak możesz? - Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem. - Przyjmij ode mnie wyrazy uznania! To elegancki strój i naprawdę podoba mi się kryza kołnierza!

Choć lady Buxted pogardzała frywolnym podejściem brata do spraw mody, nie potrafiła oprzeć się uczuciu dumy. Rzadko bowiem jej gust znajdował uznanie w jego oczach. Musnęła niewielką kryzę z marszczonego batystu i powiedziała:

- Chodzi ci o mój fryz? Doprawdy, wzrusza mnie twoja pochwała, Alverstoke!

Kiwnął głową, jakby uznał to za oczywiste, ale zwrócił się do siostrzenic.

- Wy dwie... Jane i... Maria, prawda?... poczekacie na matkę w powozie! Nie zatrzymam jej długo.

Lady Buxted, która oczywiście kwaśno przyjęła takie grubiańskie potraktowanie córek, była rozdarta między pragnieniem odesłania brata do wszystkich diabłów a niepohamowaną ciekawością. Ciekawość zwyciężyła. Zawróciła więc do domu, mówiąc jednakże, że owe pięć minut to absolutnie wszystko, co może mu poświęcić. Nie zareagował na to, tylko podążył za nią po schodach do jadalni. Lady Buxted nie zaprosiła go, by usiadł.

- Zatem o cóż chodzi? - spytała. - Mam wiele sprawunków do załatwienia, więc...

- Obawiam się, że nawet więcej, niż się spodziewasz - przerwał. - Zaprowadź tę swoją najstarszą pannę do krawcowej i nakaż, aby uszyła jej suknię balową! I Luizy, na miłość boską, niech nie będzie biała, bladoniebieska ani różowa! Panna jest piegowata jak zawsze, więc pasować jej mogą wyłącznie odcienie bursztynowe, żonkilowe lub słomkowe!

Niespodziewana nadzieja, która rozkwitła w sercu lady Buxted, pozwoliła jej puścić mimo uszu krytykę piegów panny Buxted. Matronie ze zdumienia niemal zaparło dech w piersiach, zdołała jednak wyjąkać:

- Alverstoke! Czyżbyś mówił... czy naprawdę mówisz, że wydasz i niej bal?

- Oczywiście, że tak - odparł i dodał: - Ale, droga Luizy, pod pewnymi warunkami!

Nie zwracając uwagi na to dodatkowe zastrzeżenie, wykrzyknęła:

- Och, kochany Vernonie, zawsze wiedziałam, że mogę na tobie polegać! Podejrzywałam, że jedynie się ze mną droczysz! Jesteś wstrętnym kpiarzem! Och, Jane oszaleje z radości!

- W takim razie bądź tak dobra i nie mów jej niczego, póki nie zniknę za horyzontem! - powiedział lodowatym tonem jego lordowska mość. - I sama, na litość boską, pohamuj swoje uniesienia! Wolę twoje biadolenie od zachwyków. Usiądź, to wytłumaczę, czego się po tobie spodziewam!

Przez chwilę wydawało się, że odburkuje, lecz trwało to ledwie mgnienie oka. Perspektywa wprowadzenia Jane w świat na wspaniałym balu, na który ona nie będzie musiała wydać ani pensa, znakomicie ułatwiła przełknięcie impertynencji brata. Usiadła, rozpinając oliwkowobrazową pelisę.

- Oczywiście! Ileż mamy do omówienia! Po pierwsze, kiedy bal ma się odbyć? Moim zdaniem, najlepiej będzie zarezerwować datę na samym początku sezonu.

- No to świetnie się składa: bal odbędzie się w przyszłym miesiącu. Powiedzmy, za trzy tygodnie.

- W kwietniu? Ależ to nie wchodzi w rachubę! Najwytworniejsze przyjęcia wydawane są w maju!

- Naprawdę? - zadrwił. - A nie przyszło ci do głowy, że maj już jest cały przepełniony balami, rautami i wszelakiej maści towarzyskimi spotkaniami?

- Tak, rzeczywiście masz rację - przyznała, marszcząc czoło. - Lecz za trzy tygodnie to będzie ledwie początek sezonu!

- Wobec tego zacznij się na dobre w Alverstoke House - odparł zimno. - Jeśli obawiasz się, Luizo, że nie dopisze towarzystwo, Upewniam cię, że jesteś w błędzie!

Świetnie się orientowała, że brat jest jednym z dyktatorów modnego światka, jednak wyniosła pycha tej uwagi znowu poprosiła ją do utarcia mu nosa. Mimo to powstrzymała się, mówiąc tylko:

- Zupełnie nie wiem, jak temu podołam! Te wszystkie przygotowania...

- Nawet o tym nie myśl! Nie spadną na twoje barki. Przekaż tylko Charlesowi Trevorowi listę gości, których pragniesz zaprosić: on to za ciebie załatwi.

Odezwała się nieco cierpkim głosem:

- Skoro bal ma być na cześć mojej córki, zakładam, iż to ja będę gospodynią! Popatrzyl na nią w zamyśleniu.

- Hm, owszem! Możesz być gospodynią, ale bal nie jest tylko dla Jane. Również Lukrecja wprowadzi swoją najstarszą córkę oraz...

- Chloe! - wykrzyknęła sztywniejąc lady Buxted. - Alverstoke, czyżbyś śmiał mi sugerować, że zawdzięczam tę... zmianę twojego stanowiska pochlebstwom Tamtej Kobiety?

- Nie, zawdzięczasz to nieprzewidzianym i cholernie kłopotliwym okolicznościom. Czy przypominasz sobie Freda Merriville'a? Wlepiała w brata oczy.

- Fred Merriville? Wytłumacz, co on ma z tym wszystkim wspólnego?

- Nic, jako że biedak już nie żyje! Poczzerwieniała jak piwonia.

- Alverstoke, upraszam cię, abys nie próbował kpić ze mnie! Z pewnością dla mnie nie ma znaczenia, czy żyje, czy nie!

- Niestety, dla mnie ma, i to wiele. Powierzył on bowiem swoją rodzinę mojej... hm... opiece. Kiedy ci

powiem, że jest ich nie mniej niż piątka...

- Czy to znaczy, że masz zostać ich protektorem? - przerwała.

- Nie, dzięki Bogu! Aż tak źle nie jest. Po prostu mi ich powierzył. Dwójka z nich jest już dorosła, ale...

- Na miłość boską! - zawołała. - On musiał postradać zmysły! Ty, ze wszystkich osób pod słońcem! Co go do tego skłoniło?

- Hm - odezwał się jego lordowska mość, folgując wrodzonej sobie diabelskiej złośliwości - uważał, że z całej mojej rodziny ja jestem najlepszy.

- Doprawdy? - prychnęła lady Buxted. - Bez wątpienia! On rzeczywiście mógł pomyśleć coś takiego, gdyż, mam nadzieję, już nigdy w życiu nie spotkam większego birbanta i egoistycznego awanturnika! Pamiętam go doskonale! Przystojny nicpoń! Aż boję się myśleć, ile musiał kosztować swoich rodziców! A ukoronowaniem wszystkich kłopotów było, że kiedy znaleźli mu odpowiednią partię i zaaranżowali małżeństwo, najzwyczajniej w świecie uciekł z córką jakiegoś lichego prowincjusza. Wtedy umyli od wszystkiego ręce i ja się temu nie dziwię. Choć wcale ich nie znałam, w swoim czasie w mieście aż huczało od plotek. Wydaje mi się, że później doszedł do jakiegoś majątku, lecz nie wątpię, że i ten przehulał. Nie jestem zdziwiona, że właśnie on powierzył Ci swoją rodzinę. Gorąco ci radzę, odpraw ich z kwitkiem!

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, ale nie mogę. Honor mi na to nie pozwala - odpowiedział kojąco. - Rozumiesz, winien mu byłem dług, którego nigdy nie miałem okazji spłacić.

- Ty byłeś dłużnikiem Merrville'a? Bzdura! On nigdy nie miał przy duszy nawet sześciopensówki, kiedy ty... Zaprotestował stanowczo, z wyraźnym obrzydzeniem.

- Luizo, powinnaś poślubić kupca. Nie wątpię, że on by cię uwielbiał. Ja natomiast, za żadne skarby nie! Czy myślisz wyłącznie o pieniądzach? Czy to, że ktoś może być dłużny komuś coś więcej niż pieniądze, przerasta twoje rozumienie?

Uniosła pogardliwie wzrok i zawołała gniewnie:

- Łatwo ci mówić tak lekko i drwić, gdy jesteś bogaczem! Gdybyś się znalazł w mojej sytuacji, inaczej byś śpiewał!

- Nie próbuj mydlić mi oczy takimi bzdurami! Zapomniałaś może, że jestem jednym z wykonawców testamentu Buxteda? Droga siostrzo, zostawił ci pokaźne zabezpieczenie. I nie zaczynaj jednej ze swoich starych śpiewek! Uwierz, nie przyjechałem, by z ciebie kpić! Wyznam ci prawdę, zamierzam... skoro udzieliłaś mi rady co do rodziny Merrville'ów... zamierzam kuć żelazo, póki gorące, w sprawie debiutu Jane. Sądzę, że zechcesz zaprezentować ją na królewskim dworze?

Owe, jakże cudowne słowa, powstrzymały lady Buxton, która właśnie miała wybuchnąć niepokonanym gniewem. Oznaczały one bowiem, że Alverstoke zamierzał sfinansować ów ogromny ^'datek, jakim byłaby suknia, w której jego siostrzenica mogłaby Sprezentować się na dworze. Dokonując w myślach szybkich obliczeń, pojęła, iż koszt takiej wykwintnej sukni, jaką sama nosiła podczas swojej prezentacji, pokryłby pomniejsze wydatki, czyli liczne krepdeszynowe i muślinowe suknie, odpowiednie dla panienki w jej pierwszym sezonie u „Almacka”. Chociaż ta refleksja nie złagodziła jej niechęci, pomogła przełknąć nierozsądne, cisnące się na język słowa. Odezwała się więc z łagodnym rozdrażnieniem:

- Nie potrafię wyobrazić sobie, co takiego mógł zrobić Merrville, że musisz spłacać dług wdzięczności!

- O tym, Luizo, wolałbym nie mówić - powiedział markiz. Pomny instrukcji, z diabelną uciechą czającą się w oczach, dodał:

- A zwłaszcza z siostrami!

Nie była zbyt spostrzegawcza, lecz mimo to chyba lepiej, że akurat nie patrzyła na brata. Stwierdziła więc tylko:

- Podejrzewam, że pomógł ci wykaraskać się z jakichś haniebnych tarapatów. Dlaczego czujesz się zobowiązany do pilnowania interesów jego potomstwa? Mam wrażenie, że po raz pierwszy w życiu zdarzyło ci się wypełniać jakąkolwiek powinność! Oczywiście, ktoś mógłby sądzić, że masz i inne zobowiązania wobec osób ci bliższych, zatem mających większe po temu prawo, którzy wzruszeni byłiby twoją łaskawością... Ale, ale, ile, mówiłeś, jest tych dzieci?

- Pięcioro. Trzech synów i dwie córki... sieroty, w tej chwili mieszkają na Upper Wimpole Street pod opieką ciotki, która, jak się domyślam, zajęła się nimi po śmierci żony Merriville'a mniej więcej dziesięć lat temu. Najstarszy syn jest pełnoletni i studiuje w Oksfordzie, ale to jego siostra, o ile się nie mylę, wszystkim rządzi! Ma jakieś dwadzieścia cztery lata i...

- I zamierza siedzieć u ciebie w kieszeni! Mam nadzieję, że z radością spełnisz swój obowiązek! Czy planujesz utrzymywanie całej rodziny?

- Nie zamierzam nikogo z nich utrzymywać, zresztą mnie o to nie proszono. Nie wyobrażasz sobie, Luizo, jaka to miła odmiana! Jeśli chodzi o chłopców, to nie muszę niczego robić. A panna Merriville zażądała ode mnie jedynie, abym dołożył wszelkich starań, aby ją i jej siostrę wprowadzić do towarzystwa.

Zmierzyła go przenikliwym wzrokiem.

- Rzeczywiście! Nie wątpię, że panna Merriville jest bardzo piękna! Ale pewnie nawet nie muszę o to pytać!

- Jest bardzo przystojną młodą kobietą, ale nie powiedziałbym, że piękną - wyjaśnił. - To i tak nie ma znaczenia: ona nie stara się złowić męża. Jej zamiarem jest zaaranżowanie zanego małżeństwa dla siostry, ładniejszej z nich dwóch. Czy zdoła tego dopiąć, wątpię, gdyż nie jest specjalnie posażna, ale to nie moje zmartwienie. Spłacę swój dług, kiedy... z twoją pomocą... wprowadzę obie panny do towarzystwa.

- Wytłumacz mi, z łaski swojej, czego się po mnie spodziewasz? - spytała stanowczo.

- Och, niczego specjalnego! Przedstawisz je na moim balu jako nasze kuzynki, zaprowadzisz je do „Almacka”, kiedy sama zabierzesz tam Jane i...

- Do „Almacka”, coś takiego! - wykrzyknęła. - Zastanawiam się, dlaczego nie przestrzegłeś swojej protegowanej, że sięga po gwiazdkę z nieba! A może zamierzasz sprokurować dla niej zaproszenie?

Błyskawicznie odparował ten pełen drwiny cios:

- Nie, ja nie potrafię tego dokonać, lecz ty tak, Luizo, mając dwie serdeczne przyjaciółki wśród patronek... jak mi się często przechwalałaś!

- Zdobyć zaproszenie dla córek Freda Merriville'a? Za wiele ode mnie wymagasz! Dwie pannice bez pensa przy duszy, mieszkające przy Upper Wimpole Street, które nawet nie są naszymi kuzynkami! Sądzę, że to i tak za wiele, że zapraszasz je na bal mający uświetnić debiut Jane, ale wprowadzanie ich do „Almacka”... Nie, Vernonie! Nie chcę okazać się niewdzięczna, lecz...



- Moja droga Luizo, oszczędź sobie dalszych słów! - przerwał, chwytając kapelusz. - Bóg świadkiem, że nie prosiłem cię o nic, co musiałabyś robić wbrew sobie! Zapomnij o całej sprawie... ściśle mówiąc, zapomnij nawet, że się dzisiaj widzieliśmy! Żegnaj cię!

Poderwała się, gniew i przerażenie walczyły w jej duszy.

- Alverstoke, poczekaj!

- Nie, już i tak za długo tu bawiłem. Pomyśl o swoich córkach, które przestępują z nogi na nogę w powozie! - To nieistotne! Ale ty musisz...

- Przyznam, że to akurat dla mnie jest nieistotne. Istotne jest natomiast, że straciłem na próżno czas. Doprawdy, nie można się spodziewać, że cały dzień zmarnotrawię na załatwianiu tej nudnej sprawy, toteż jeśli chcę porozmawiać z Lukrecją, zanim ułoży się na sofie, aby podreperować siły po porannych trudach, muszę natychmiast iść. Chwyła brata za ramię, wpiła w nie palce.

- Nie! Vernonie, jeśli ośmielisz się prosić Tę Kobietę, by pełniła obowiązki gospodyni...

- Puść mnie, siostró! - powiedział bezceremonialnie. - Ośmielę się, a przy tym mam takie zadziwiające usposobienie, że twoje groźby bynajmniej mnie nie przestraszą. A swoją drogą, dlaczego miałoby tak być?

- Nigdy bym ci nie wybaczyła! Nigdy! - oświadczyła. - Zastanów się tylko chwilę! Z jakich powodów miałabym się zajmować tymi wstrętnymi pannicami? Z jakiej racji...

- Z żadnej - odparł, oswobadzając się z jej zaciśniętej dłoni.

- Nigdy ich nawet nie widziałam - upierała się rozpaczliwie. - Och, jaki jesteś obrzydliwy! Roześmiał się.

- Może, ale nie mam kurzego rozumku...w przeciwieństwie do ciebie, Luizo! No dobrze już, zdecyduj się! Uczynisz to, o co cię prosiłem, czy nie?

Wpatrywała się w jego twarz, szukając w niej oznak jakiegokolwiek ustępstwa. Uśmiechał się, ale ona dobrze знаła ten uśmieszek. Odparła więc, zaciskając zęby, lecz z godnością:

- Naturalnie, z największą ochotą zrobię wszystko, by cię zadowolić. Jednak, czy uda mi się zdobyć zaproszenia do „Almacka” dla dwóch panien, o których nic nie wiem.... chociaż, jeśli mają dobrą prezencję, dołożę wszelkich starań...

- To już lepiej! - powiedział wciąż uśmiechnięty, lecz o wiele przyjaźniej. - Zamów Jane jak najwytworniejsze suknie i przyslij mi rachunek. Szczegóły mnie nie interesują. Przywiozę do ciebie pannę Merriville, byś ją poznała. Podejrzewam, że możesz ją polubić: nie brak jej zdrowego rozsądku... ani determinacji! I nie zapomnij przesłać Charlesowi listy gości!

Po tym upomnieniu wyszedł, rozważając rozmaite fortele, za pomocą których można by uniknąć przedwczesnej wizyty młodszej panny Merriville na Grosvenor Place. Chciał przy tym zapobiec interwencji ze strony jej władczej siostry.

W tym wypadku problem rozwiązał się szybciej niż markiz się spodziewał, i to wcale bez jego udziału. Dwa dni później Opatrzność, pod postacią Lufry, przywiodła Fryderykę do Alverstoke House. Towarzyszyła jej Charis, a stało się to w godzinie, którą jego lordowska mość, bynajmniej nie ranny ptaszek, uznał za wielce niestosowną.

Ponieważ Jessamy surowo przestrzegali narzuconego sobie obowiązku porannej nauki, siostry zgodziły się w jego zastępstwie wyprowadzać Lufre na spacer. Wyszły na długą przechadzkę, penetrując Londyn. Gdyby

nie to, że pies ciągnął tak mocno smycz, a spuszczonej z niej zachowywał się fatalnie, radość dziewcząt z wyprawy nie miałyby granic. Wychowane na wsi, przyzwyczajone były do dłuższych pieszych wędrówek, a w mieście wszystko było dla nich nowością. Wobec tego, kiedy tylko pozwalała pogoda, wyprawiały się na spacer, w czasie których Fryderyka opiekowała się Lufra, a Charis wertowała *Kieszonkowy Przewodnik*. Oglądały z zewnątrz gmachy, pomniki i arystokratyczne siedziby, do których zaprowadziła je owa nieoceniona książka; wypuściły się nawet do samego centrum i choć wzbudziły powszechne zainteresowanie, to jednak nikt ich nie zaczepił, bowiem nawet najbardziej bezczelny bufon nie śmiał podejść do dwóch panien, którym towarzyszył ogromny i kudłaty pies, prowadzony na wyprężonej jak struna smyczy, który ział demonstrując imponujące zębiska.

Ale tak się zdarzyło, że dwa dni po wizycie Alverstoke'a na Grosvenor Place Charis obudziła się z bolącym gardłem i uporczywym kaszlem. Chociaż zeszła na dół na śniadanie, szybko odprawiono ją z powrotem do sypialni. Panna Winsham, usłyszawszy trzecie kichnięcie, stwierdziła, że Charis złapała jedną ze swoich najgorszych gryp, więc jeśli nie chce, aby ta grypa przerodziła się w zapalenie płuc, musi natychmiast położyć się do łóżka.

Charis posłuchała rady, a kiedy panna Winsham przykazała kucharzowi, by przyrządził leguminę i owsiany kleik, sama zaś zajęła się sporządzaniem solanki dla chorej, Fryderyka wymknęła się potajemnie z domu. Wiedziała bowiem, że gdyby powiedziała ciotce, że wybiera się na codzienną przechadzkę, musiałaby znieść cierpkie spojrzenie, dające jasno do zrozumienia, że w Londynie nie może zachowywać się tak bez troski, jak w hrabstwie Hereford. Panna Winsham z całą pewnością usiłowałaby ją przekonać, że musi zabrać którąś z pokojówek albo chociaż Feliksa. Fryderyka jednak uważała, iż jest już w tym wieku, że niepotrzebna jej przyzwoitka, a przy tym przekonała się, że londyńscy służący niezbyt nadają się na długie, szybkie spacer. Toteż uznała, że rozsądniej będzie wyjść ukradkiem, powiadamiając o tym tylko Buddle'a. Ten potrząsnął głową z dezaprobatą, lecz prócz nieśmiałej sugestii, że może panicz Feliks powinien towarzyszyć pani, nie uczynił nic, by ją zatrzymać. Ponieważ zaś Feliks już wcześniej ją męczył, by dała mu pół korony na bilet wstępu do Muzeum Techniki Merlina (otwarte w każdy dzień powszedni między jedenastą a trzecią), siostra uznała, iż rozsądniej będzie zrezygnować z jego towarzystwa. Zresztą braciszek i tak z całą pewnością by odmówił.

Wybrała się do Green Park. Ani ona, ani Charis jeszcze tam nie były. *Kieszonkowy Przewodnik* zaś polecał, by zwiedzić go dość wnikliwie. Prawdę mówiąc, entuzjastycznie opisywał Świątynię Zgody, wzniesioną ku czci obchodów zawartego w 1814 roku pokoju. Skoro jednak ten kruchy pomnik cztery lata później uległ znacznemu zniszczeniu, Charis uznała, że nie warto zawracać sobie głowy zwiedzaniem Green Parku.

Fryderyka jednak, nie speszona wcale niezbyt zachęcającymi do przechadzki wskazówkami *Przewodnika*, postanowiła tam właśnie zabrać Lufre na spacer, a nie do modniejszego Hyde Parku, gdzie konni jeźdźcy zbyt ochoczo rzucali spacerowiczkom zalotne spojrzenia.

Pies-przyjaciel tak ciągnął ją ulicami, że do furty Bath dotarła nieco zgrzana. Toteż z ulgą spuściła Lufre ze smyczy, do której pies za nic nie potrafił się przyzwyczaić. Popędził naprzód, niuchając to tu, to tam, w nadziei, że może trafi na trop królika. Kiedy Fryderyka spacerowała nad stawem w północno-wschodnim zakątku parku, Lufra zaaportował patyk i zachęcał panią, by rzuciła mu go do wody. Kiedy jednak odmówiła

udziału w zabawie, odbiegł, ochoczo odkrywając, że poruszające się, zamazane sylwetki, które dostrzegł na horyzoncie, to trójka dzieci grających w kolorową piłkę. Kochał dzieci i uwielbiał uganiać się za piłką. Machając ogonem i strzygąc w oczekiwaniu uszami, podbiegł więc do nich. Lufra był potężnym psiskiem, toteż jego nagłe dołączenie do zabawy okazało się zbyt dużym wyzwaniem jak na hart ducha najmłodszego dziecka - dziewczynki. Mała ze strachu wybuchnęła płaczem i schroniła się pod opiekę niani, beztrzesko plotkującej z przyjaciółką w zaciszu krzewów otaczających Ranger's Lodge. Lufra zdumiał się, lecz natychmiast skupił całą uwagę na młodszym z dwójki chłopców, który trzymał piłkę, i szczeknął zachęcająco. Na co panicz John, rezygnując z odwagi, upuścił piłkę i popędził w ślad za siostrą tak szybko, jak tylko mu pozwalały krótkie, tłuściutkie nóżki. Starszy chłopiec, zaciskając zęby, stał w miejscu jak wrośnięty. Lufra skoczył na piłkę, odbił ją, złapał i wreszcie rzucił do stóp bohatera. Panicz Frank odetchnął głęboko i zawołał za młodszym rodzeństwem:

- On tylko chce się bawić, wy tchórze!

Potem ostrożnie nachylił się po piłkę i cisnął ją z całych sił przed siebie. Piłka nie poleciała zbyt daleko, lecz Lufra, doceniając jego starania, rzucił się za nią i przyniósł z powrotem. Wielce tym ośmielony panicz Frank ostrożnie pogłaskał psa. Lufra polizał go po brodzie. W ten sposób poczęła się zawiązywać obiecująca przyjaźń, przerywana jednak piskliwym krzykiem niani, aby chłopiec nie dotykał tego okropnego, groźnego psiska. Kiedy nadbiegła Fryderyka, ożywiona i hałaśliwa awantura osiągnęła apogeum - niańka piskliwie krzyczała, dwójka młodszych dzieci zanosila się płaczem, panicz Frank zaś buntowniczo odmawiał odejścia od swojego nowego towarzysza zabawy.

Przywołany surowo do nogi, Lufra posłuchał, przynosząc piłkę. Fryderyka odebrała ją i przerwała potok lamentów niańki głosem, którym od lat już rządziła całym dużym domem:

- Wystarczy! Dość!

Potem spojrzała na panicza Johna i powiedziała:

- Mam nadzieję, że nie skaleczyłeś się przy upadku? Wiem oczywiście, że wcale nie płakałeś dlatego, że mój pies chciał się z tobą pobawić, bo widzę, że jesteś już dużym chłopcem. Proszę cię zatem, byś uściśnął jego łapę. Pokaż mu, że wcale nie chciałeś być niegrzeczny, kiedy od niego odbiegłeś! Lufra, siad! Podaj łapę!

Posłuszny uciskowi jej dłoni Lufra usiadł i ochoczo wyciągnął jedną z łap. Głośny szloch panicza Johna urwał się jak nożem uciął. Chłopczyk zadziwiony wpatrywał się w Lufre.

- Piesek ściska dłonie? - spytał niedowierzająco.

- Oczywiście!

- Mnie ściska! - oświadczył panicz Frank. - Bo ja się go nie boję!

Urażony panicz John oznajmił, że Pieseczek wcale nie chce z nim ściskać łapy, toteż powstało pytanie, który z braci ma do tego pierwszeństwo i wkrótce obaj chłopcy uroczyście potrząsali łapami psa, panna Karolina zaś zazdrośnie domagała się tego samego. Fryderyka oddała piłkę paniczowi Frankowi i rozstała się z rodziną, ścigana chmurnym spojrzeniem ich opiekunki i błaganiami dzieci, aby i jutro przyszła tutaj z Pieseczkiem.

Nie speszona bynajmniej tym zajściem Fryderyka ruszyła swoją drogą, utwierdzona w przeświadczeniu, że

londyńskim dzieciakom, przyzwyczajonym jedynie do kanapowych pieszczochów swoich mam, należy tylko współczuć. Kiedy tylko skręciła za krzaczaste ogrodzenie Ranger's Lodge, przekonała się boleśnie na własnej skórze, że *Kieszonkowy Przewodnik* okazał się mało wiarygodny: nie wspomniał bowiem nic o niewielkim stadzie krów i ich pasterkach, które (jak się później dowiedziała) stanowiły znaną atrakcję parku. Krowy nie tylko napawały oczy mieszczuchów wiejskim uroczym widokiem, lecz ich opiekunki, przyodziane w tradycyjne stroje pasterek, podawały szklaneczki mleka każdemu, kto gotów był zapłacić niewielką sumkę za przywilej picia mleka prosto od krowy.

Fryderyka zbyt późno zorientowała się w niedostatkach *Kieszonkowego Przewodnika*. Lufra, biegnący z przodu, wcześniej od swojej pani zauważył stado. Stał jak wryty, postawił uszy i zjeżył się. Przewodniczka stada, znajdująca się ledwie kilka jardów od niego, groźnie nachyliła łeb. Lufra, który nie potrafił lub nie umiał odróżnić płci zwierzęcia, wydał mrozący krew w żyłach warkot - coś między skowytami a warknięciem - i rzucił się do boju.

## 6

Mniej mężna niewiasta uciekłaby z placu boju, zostawiając Lufre własnemu losowi, gdyż cała scena była rzeczywiście przerażająca. Przy akompaniamencie krzyków pasterek, nianiek i kilku starszych dam Lufra popełnił zbrodnię w postaci zaatakowania stada mlecznych krów. Co prawda, nie dokonał znowu bohaterskiego czynu, któremu zawdzięczał swoje imię, wszakże gdy ujrzał, że krowy przed nim zmykają, rozgonił je, radując się jedyną rozrywką, jaka do tej pory dana mu była w Londynie.

Choć w głowie Fryderyk! nawet nie powstała myśl o ucieczce, to do chwili, w której zdołała przy pomocy głównego pastucha i dwóch służących poskromić bynajmniej nie skruszonego psa, zorientowała się, że sytuacja jest rozpaczliwa. Na jej oczach rozgrywały się dantejskie sceny: jedna ze starszych dam dostała hysterii, druga głośno domagała się posłania po konstabla, pasterka sypała na jej głowę gromy, a dozorczy parkowi żądali uwięzienia Lufry do czasu wykonania na nim wyroku. Sprawę jeszcze pogorszyło pojawienie się niańki, z którą Lufra uprzednio się zabawiał. Niewiasta, zwabiona wrzawą, nie tracąc czasu poinformowała wszystkich, że to dzikie zwierzę napadło na dzieci i śmiertelnie wystraszyło kochane maleństwa, ukradło im piłkę i sprawiło, że panicz John upadł jak długi na Bernie, obcierając dłonie i brudząc sobie mankiety.

- Bzdura! - zawołała wzgardliwie Fryderyka.

Ani pastuch, ani dozorczy parkowi nie zwrócili większej uwagi na świadectwo niańki. Pastucha interesowało tylko jego stado, a dozorczy, którzy widzieli, jak Lufra stulił uszy i machając ogonem Powitał zjawienie się swoich młodych przyjaciół, nawet nie przyszło do głowy, że psisko może być dziką bestią. Wszystko bowiem wskazywało, iż jest to nieco przerośnięty i rozpaskudzony kundel, na tyle młody, by uwielbiał psocić, toteż w innych okolicznościach dużo łagodniej potraktowałby jego przewinienie. Jednak prawa rządzące londyńskimi parkami były surowe; stary babsztyl o końskiej twarzy zobowiązywał ich do wezwania konstabla, jej wåtleszą siostrą wciąż wstrząsały nerwowe spazmy, liczni obywatele głośno krzyczeli, że taka niebezpieczna bestia nie powinna swobodnie hasać, a stadko rozzłoszczonych nianiek

domagało się krwawej pomsty na dzikim zwierzu, który targa nerwy szlachetnie urodzonych spacerowiczów. Wszystko to razem sprawiło, że dozorczy musieli energicznie przystąpić do dzieła. Mając z jednej strony pokazną grupę osób skłaniających się do złożenia skargi na całe to zajście u zastępcy szeryfa, a z drugiej winowajcę-kundla, którego panią okazała się Młoda Osóbka - której, na domiar złego, nie towarzyszył żaden lokaj czy pokojówka - bez wahania zdecydowali, jak należy postąpić: starszy z dozorców groźnie poinformował Fryderykę, że musi im oddać Lufre, który zostanie osadzony w areszcie do czasu, aż magistrat zdecyduje o jego losie.

Lufra, któremu bynajmniej nie podobał się ani ton głosu mężczyzny, ani to, że wyciągał po niego rękę, przestał ziać. Wstał, zjeżył się i ostrzegawczym warkotem dał do zrozumienia, że nie życzy sobie, aby dozorca dokonał jakiegokolwiek zamachu na Fryderykę. Owa wojownicza postawa sprowokowała pastucha do żądania natychmiastowej egzekucji i spowodowała, że dozorca nakazał Fryderyce, aby „przyprowadziła tego psa do niego, i to już!”

Spośród całego zgromadzenia najgroźniejszy był pastuch, który uważał, że występek Lufry jest niewybaczalny. Jedno spojrzenie na jego rozplomienioną z gniewu twarz przekonało Fryderykę, iż wszelkie próby będą wyłącznie stratą czasu. Powiedziała więc w głębi duszy trzęsąc się ze strachu:

- Nie tak szybko! Ten pies jest własnością markiza Alverstoke! Pies jest wyjątkowo cenny i jeśli cokolwiek mu się stanie, jego lordowska mość rozżłości się nie na żarty!

Młodszy z dozorców, który miał własną i to całkiem fachową opinię na temat pochodzenia Lufty, zaprotestował bez ogródek:

- Bajdurzenie! Żaden markiz nigdy by czegoś takiego nie kupił! Nie warto to funta kłaków! To zwykły kundel, ot co!

- Kundel! - oburzyła się Fryderyka. - No to niech się pan dowie, iż to najczystszej rasy pasterski owczarek barceloński, przywieziony do Anglii... niesłychanym kosztem! Przykro mi, że pogonił wasze krowy, ale on tylko... tylko starał się spędzić je w jedno miejsce! W Hiszpanii te psy hodowane są w tym właśnie celu, a on... on jeszcze nie przywykł do angielskich krów!

- Usiłował je spędzić? - zachłysnął się pastuch. - Jak żyję, czegoś takiego nie słyszałem! Pani jest równie do niczego jak jej pies!

Młodszy dozorca bez wahania podpisał się pod tym werdyktem. Powiedział, że panienka przesadziła, i dodał, że chociaż nic mu nie wiadomo na temat owczarków barcelońskich, to od pierwszego wejrzenia doskonale potrafi odróżnić kundla od psa rasowego. Twierdził również, trzymając się swojej poprzedniej opinii, że żaden markiz nigdy nie kupiłby takiego bydlaka.

- Doprawdy? - zdziwiła się Fryderyka. - A proszę mi uprzejmie powiedzieć, czy zna pan na tyle dobrze mojego kuzyna, markiza Alverstoke'a?

- Co za bezczelność! - wykrzyknęła dama o końskiej twarzy. - Pani śmie mienić się kuzynką markiza, a włóczy się po mieście samopas! Ładna bajeczka!

Po gwałtownej wymianie zdań, podczas której młodszy dozorca energicznie wspierał damę o końskiej twarzy, pastuch powtórzył (i to kilkakrotnie), że markiz nie markiz, on musi dostać odszkodowanie za straty, jakie poniosły jego krowy, a starszy dozorca, krępy obywatel w tabaczkowym surducie, wysunął propozycję,

że należy zwrócić się osobiście do markiza, aby potwierdził słowa tej panienki.

- Doprawdy wyśmienity pomysł! - entuzjastycznie zgodziła się Fryderyka. - Udajmy się zatem natychmiast do jego domu! To Ełkiem blisko stąd, na Berkeley Square.

Teraz starszy dozorca skłaniał się do zapomnienia o całej sprawie. Skoro bowiem młoda dama tak ochoczo zgodziła się na konfrontację z markizem, rzeczywiście musiała być jego kuzynką, więc chociaż zdawał sobie sprawę, że nie będzie to miało większego wpływu na Przebieg wypadków, wolał dalej nie drażnić tego tematu. Uczciwie mówiąc, rzecz jasna, że markiz - jeśli naprawdę jest właścicielem tego psa - powinien zadośćuczynić szkodom, stwierdzonym przez pana Beala, głównego pasterza, jednakże kiedy ma się do czynienia z lordami, to roztropniej zachować ostrożność. Młodszy dozorca, adresat powyższej propozycji, nagle również zaczął się wahać. Pastuch natomiast nieubłaganie przyjął ofertę Fryderyk!, twierdząc, że nawet gdyby pies należał do samej królowej, to - z całym szacunkiem - on i tak dochodziłby swoich słusznych praw. Dama o końskiej twarzy zaś, smagając Fryderykę zjadliwymi spojrzeniami, powiedziała, że nawet jeśli parkowi dozorca nie znają swoich obowiązków, to ona zna je wyśmienicie, i złoży skargę o całym wydarzeniu na ręce zastępcy szeryfa. Wobec tego dozorcóm nie pozostało nic innego, jak tylko iść z młodą panną. Dama o końskiej twarzy ofiarowała się im towarzyszyć, gdyż jeśli markiz - w co ona szczerze wątpi - pojawi się we własnej osobie, musi udzielić mu kilku cennych rad.

Drzwi posiadłości Alverstoke'a otworzył kamerdyner. Był doskonale wyszkolonym młodym człowiekiem, lecz kiedy zobaczył całą kawalkadę oczekującą na wpuszczenie do środka, oczy niemal wyszły mu z orbit. Fryderyka, niezachwianie panując nad sytuacją, zagadnęła go z serdecznym uśmiechem:

- Dzień dobry! Ufam, że jego lordowska mość nie wyszedł jeszcze z domu?

Kamerdyner, jeszcze bardziej wybałuszając oczy, osłupiały wydukał:

- Nie, panienko. To znaczy...

- Bogu dzięki! - przerwała mu Fryderyka. - Nic dziwnego, że zdumiałeś się na mój widok... pod tak liczną eskortą! Sama nie mogę wyjść z podziwu. A teraz bądź tak dobry i poinformuj jego lordowska mość, że jego kuzynka, panna Merriville, chciałaby z nim pomówić!

I weszła do domu, zapraszając przez ramię swoją eskortę, a uczyniła to z taką pewnością siebie, że kamerdyner odruchowo cofnął się o krok, by ją przepuścić. Nie opierał się już temu najazdowi na dom swego pana, wyjąkał tylko niepewnie, że jego lordowska mość nie opuścił jeszcze garderoby.

- Wobec tego przekaz mu, proszę, że to sprawa najwyższej wagi! - poleciła Fryderyka.

- A może... może panienka zechciałaby porozmawiać z jego sekretarzem? - spytał kamerdyner drżącym głosem.

- Z panem Trevorem? - upewniła się Fryderyka. - Nie, stokrotne dzięki. Przekaz tylko jego lordowskiej mości wiadomość ode mnie.

Kamerdynerowi, który nigdy w życiu nie słyszał o żadnej panie Merriville, kuzynce jego lordowskiej mości, wzmianka o panu Trevorze sprawiła niekłamaną ulgę. Pomyślał więc, że rzeczywiście musi to być kuzynka markiza, chociaż co robi w tak dziwnym towarzystwie i dlaczego przyprowadziła do Alverstoke House dozorców parkowych i jakiegoś obdartusa, tego nie potrafił zrozumieć. Nie wiedział także, co począć z tak nietypowymi gośćmi, mimo że uznał za swój obowiązek zaprowadzić pannę Merriville i towarzyszącą

jej damę do salonu, nie mógł się oprzeć obawie, że ani jego lordowska mość, ani tym bardziej dostojny i o wiele bardziej groźny pan Wicken nie byłiby zachwyceni, gdyby do tego eleganckiego pomieszczenia wpuścił także będących z panną Merriville mężczyzn.

Z owego socjologicznego dylematu uratowało go godne pojawienie się na scenie pana Wickena we własnej osobie. Kamerdyner, po raz pierwszy w życiu dziękując Bogu, że widzi swego despotycznego mentora, pospiesznie poinformował go, że panna Merriville - kuzynka jaśnie pana - pragnie mówić z markizem!

Kamerdyner James mógł oczywiście nigdy nie słyszeć o panie Merriville, lecz Wicken nie był takim ciemniakiem. On wraz z osobistym lokajem jaśnie pana, jego rządcą, ochmistrzem i głównym koniuszym wiedzieli wszystko o rodzinie Merriville'ów, zaś to, co ochrzcili mianem najnowszych awansów jego lordowskiej mości, od kilku dni było głównym tematem rozmów w Pokojach Kredensowych. Poza tym Wicken nigdy nie tracił statecznej równowagi. Ukłonił się zatem panie Merriville, obojętnym wzrokiem zmierzył jej świętę i ruszył holem, by otworzyć drzwi do biblioteki.

- Poinformuję o tym jego lordowska mość, jaśnie pani. Czy zechce pani spocząć w czytelni? Pani, oczywiście, także - dodał łaskawie, skinąwszy odpowiednio głową damie o końskiej twarzy, którą uznał za guwernantkę lub może płatną damę do towarzystwa.

- Dobrze, ale ci panowie niech lepiej idą z nami - powiedziała Fryderyka.

- Bez wątpienia, proszę pani... jeśli taka jest pani wola - zapewnił Hicken. - Jednakże ośmielam się przypuszczać, że będzie im dostatecznie wygodnie w holu.

Z tą opinią nawet pastuch w pełni się zgodził - czego nie można było powiedzieć o Fryderyce:

- Nie, gdyż oni także domagają się rozmowy z jego lordowską mością - oznajmiła. Potem poprosiła kłótniawą damę, by usiadła, Wicken zaś, nawet mrugnięciem powieki nie zdradzając swoich uczuć, przytrzymał drzwi, by i reszta towarzystwa mogła wejść do środka.

Tymczasem James pobiegł po schodach do garderoby markiza i zapukał do drzwi. Uczynił to nader delikatnie, gdyż powszechnie było wiadomo, iż markiz nie jest najprzyjaźniej usposobiony do osób, które przed południem zakłócają mu spokój. Musiał wszakże zapukać po raz drugi, tym razem energiczniej. Nie poproszono go do pokoju, lecz drzwi otworzył główny lokaj. Ten zaś spojrział na intruza jak na świętokradcę i stanowczo, rozdrażnionym tonem, zażądał wyjaśnień, czego tu szuka.

- To sprawa najwyższej wagi, panie Knapp! - wyszeptał James. - Pan Wicken polecił mi przekazać ją jego lordowskiej mości!

Te słowa spełniły swoje zadanie, a kamerdyner wiedział, że tak będzie, gdyż stanowiły coś w rodzaju paszportu. Knapp pozwolił Jamesowi wejść do garderoby, ale przestrzegł przyciszonym głosem, by nie ruszał się przed drzwi i milczał jak skała, póki markiz na niego nie skinie. Potem odmaszerował do toaletki, przed którą siedział jaśnie pan, i zajął się odpowiedzialnym zadaniem wiązania fularu.

Tylko siostry Alverstoke'a twierdziły, że brat jest dandysem. On bowiem nigdy nie poddał się najbardziej wyszukany nowinkom mody, które sprawiały, że inni młodzi ludzie wyglądali groteskowo, a z całą pewnością tak właśnie oceniliby to pan Brummell, który to światowiec wciąż był londyńskim *arbiterelegantiarium*. Pan Brummell, zmuszony podłymi okolicznościami do ucieczki na Kontynent, żył w nędzy, lecz eleganci z jego pokolenia nigdy nie zboczyli z wytyczonej przez niego drogi. Młodszy o trzy lata

Alverstoke, wtedy jeszcze dandysowaty żółtodziób, miał szczęście go poznać, toteż błyskawicznie zrzucił z siebie wszystkie jaskrawe, kolorowe kamizelki, wyszukane szpilki do krawatów i rozliczne dewizki oraz pieczęcie. Pan Brummell twierdził bowiem, że mężczyzna, który przyciąga uwagę krzykliwym strojem, bynajmniej nie jest dobrze ubrany. Czysta bielizna, doskonale skrojone stroje, elegancko zawiązany fular - to znamiona światowca. Alverstoke od tamtej pory stosował się do tych prostych rad, cierpliwością i praktyką zyskując sobie reputację jednego z najbardziej eleganckich mężczyzn w mieście. Pogardził nonsensami w rodzaju kołnierzyków tak wykrochmalonych, że zasłaniały widoczność i uniemożliwiały kręcenie głową, albo takimi dziwactwami jak szaliki w matematyczne lub orientalne wzory. Wypracował swój własny styl fularów: dyskretnych, mimo to tak wyjątkowych, że wzbudzały zawiść w sercach młodszej generacji. James doskonale o tym wszystkim wiedział; a ponieważ jego skrytym pragnieniem był awans na pozycję dżentelmena przy dżentelmenie, przestrogi Knappa były całkowicie zbędne. Za nic w takiej chwili nie ośmieliłby się przeszkadzać markizowi. Nie widział też nic, co mogłoby sprowokować markiza do parsknięcia śmiechem. Żałował tylko, że nie przyszedł wcześniej i nie zobaczył wprawnego ruchu, którym jaśnie pan okręcił szeroki na stopę muślin, nim owinął go wokół kołnierzyka. Najwyraźniej udało się to za pierwszym razem, gdyż Knapp odłożył na bok sześć, siedem fularów, które trzymał w pogotowiu, by podać je markizowi, gdyby pierwsza próba się nie powiodła. Teraz dżentelmen podniósł w górę głowę. Zafascynowany James obserwował, jak stopniowo opuszczał brodę i zgrabnie ułożył śnieżnobiały muślin w długie fałdy. Kiedyś Knapp, w chwili słabości, wyjawiał mu, że aby osiągnąć te piękne fałdy, jego lordowską mość przydusza materiał cztery lub pięć razy. Na pozór wydawało się to nieskomplikowane, nie wyglądało też na trudne, lecz rozbudzający się u Jamesa instynkt eleganta podpowiadał mu, że to wcale nie takie łatwe. Podczas trwania całej operacji wstrzymał dech, a odetchnął dopiero wtedy, kiedy markiz, krytycznym wzrokiem i oceniając swoje dzieło, odłożył lusterko i odezwał się:

- No tak, tak jest dobrze.

Mówiąc to wstał i wsuwając ramiona w podaną przez Knappa kamizelkę, spojrzął przez pokój w stronę Jamesa.

- Słucham?

- Upraszam jaśnie pana o wybaczenie, to panna Merriville... Pognie niezwłocznie zobaczyć się z waszą lordowską mością! - wyjawiał James. - W sprawie najwyższej wagi! - dodał. Markiz nieco się zdziwił, lecz powiedział jedynie:

- Doprawdy? Przekaż pani Merriville, że natychmiast się z nią zobaczę. Knapp, surdut!

- Tak, jaśnie panie. W bibliotece, jaśnie panie, jak mi się zdaje. James, w ten przemyślny sposób odcinając się od wszelkiej odpowiedzialności za odstępstwo swojego przełożonego od stosownych obyczajów, przezornie się wycofał. Knapp, strzepując chusteczkę i podając ją Alverstoke'owi, zdziwił się umiarkowanie, dlaczego Wicken nie wprowadził panny Merriville do salonu. Na to jednak Alverstoke, chwytając monokl i przekładając wstążkę, na której wisiał, przez głowę, stwierdził po prostu, że najwidoczniej Wicken miał swoje racje.

Kilka minut później, doskonały jak spod igły w ciemnoniebieskim surducie, leżącym na nim tak, jakby się w nim urodził, w jasnych obcisłych spodniach i wyglansowanych butach z cholewami, zszedł po schodach.



U ich podnóża natknął się na Wickena.

- Wicken, dlaczego w bibliotece? - zapytał zdziwiony. - Nie uważasz, że moja kuzynka godna jest wprowadzenia na salony?

- Ależ uważam, jasnie panie - zapewnił Wicken. - Tylko że panna Merrville nie jest sama.

- Sądzę, że tak powinno być.

- Nie mówię o towarzyszącej jej niewieście, jasnie panie. Jest jeszcze kilka innych osób, toteż uznałem, iż roztropniej będzie wprowadzić je nie do salonu, tylko do biblioteki.

Alverstoke już od najmłodszych swoich lat doskonale znał głównego kamerdynera. Nie popełnił zatem pomyłki i nie dopuścił myśli, iż nieznanymi gośćmi są, na przykład profesorami.

- Dobrze, kim są zatem? - spytał.

- Jeśli o to chodzi, jasnie panie, chyba nie powinienem śmiało o tym mówić, chociaż dwóch z nich, sądząc po ich ubiorze, jest zatrudnionych na rządowej posadzie. Pośledniejszego wszakże autoramentu.

- Wielkie nieba! - zawołał Alverstoke.

- Tak, jasnie panie. I jest z nimi pies... bardzo duży pies. Nie potrafiłem rozpoznać jego rasy.

- Niech mnie kule, i on tutaj! Ciekawe, co za diabli... - urwał. - Wicken, coś mi podpowiada; że kiedy przekroczę próg biblioteki, znajdę się w niekich opałach.

- Och, nie, jasnie panie! - uspokoił go Wicken. - Według mnie, nie jest to groźne zwierzę.

Z tymi słowami otworzył drzwi i przytrzymał je przed Alverstokiem. A potem doznał niewielkiego wstrząsu, gdyż, kiedy markiz zatrzymał się w progu, omiatając wzrokiem całe towarzystwo, Lufra, leżący dotąd spokojnie u stóp Fryderyki, rozpoznał go. Zobaczył, że to ten sam miły gość, który bezbłędnie odnalazł na jego grzbiecie miejsce, którego pies sam nie jest w stanie dosięgnąć. Podniósł się więc, warknął przenikliwie i jak strzała rzucił się na przód. Wicken zaledwie chwilę sądził, że bestia chce zaatakować markiza. Natomiast zgryźliwa dama, nie widząc, że pies z radości stulił uszy i jak głupi machał ogonem, wrzasnęła przeraźliwie i wezwała wszystkich na świadków, że jest tak, jak mówiła od samego początku: to dzika bestia i należy ją zastrzelić.

Markiz spacyfikował pochlebstwa Lufry słowami:

- Wystarczy już! Jestem ci wielce zobowiązany, ale dosyć! Luff, leżeć! Leżeć!

Dozorcy parkowi wymienili znaczące spojrzenia: nie ma wątpliwości. Jasne jak słońce, że pies należy do markiza. Fryderyka zaś, przeczuwając, iż Lufra uczynił wiele, by zatrzeć swoje uprzednie nieobyczajne zachowanie, wstała i podeszła do Alverstoke'a:

- Och, kuzynie, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że zastałam cię w domu! Ten twój nieznośny pies wpędził mnie w straszne tarapaty! Oświadczam ci, że już nigdy więcej nie wezmę go na spacer!

Markiz, ku jej wielkiej uldze, przyjął to bez mrugnięcia okiem. Pochylając się, by pogłaskać Lufre, powiedział jak gdyby nigdy nic:

- Fryderyko, zdumiewasz mnie niepomierne! Cóż on takiego przeszkrobał?

Odpowiedziały mu chórem trzy osoby. Przerwał im:

- Po kolei, proszę... jeżeli pragniecie, bym pojął, w czym rzecz! Fryderyka i pasterz milczeli, natomiast dama o końskiej twarzy ruszyła jak z kopyta: jeśli ktoś ma taki gust, może sobie hodować barcelońskie

owczarki, ona wszakże nie wierzy w to ani za grosz. Ale wychodząc na przechadzkę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, nie życzy sobie być atakowana przez dziką bestię. Markiz sięgnął po swoją najgroźniejszą broń: podniósł monokl do oka. Najodważniejsi cofali się, kiedy spoczął na nich blask szkieleka. Ale nie zaperzona dama, choć przestała mleć językiem. Przemówił markiz:

- Proszę mi wybaczyć, madame. Mam wyjątkowo słabą pamięć... ale, ale... chyba nie miałem przyjemności być pani przedstawiony? Kuzynko, jeśli łaska, proszę mnie przedstawić!

Fryderyka, która błyskawicznie zrewidowała swoją pierwotną, niepochlebną opinię o markizie, skwapliwie wyjaśniła:

- Niestety, nie mogę, gdyż nie mam zielonego pojęcia, kim jest ta dama ani dlaczego uparła się tutaj przyjść. Zapewne chciała się upewnić, że naprawdę jesteś moim kuzynem, w co najwyraźniej wątpiła!

- Mnie nie wydaje się to wystarczającym powodem. Wszakże, jeżeli z jakichś niepojętych przyczyn tego właśnie pani pragnie, to ma moje słowo! Panna Merrville i ja jesteśmy spowinowaceni!

- Rzecz jasna, że to nie moja sprawa, lordzie! - odpaliła dama, kraśniejąc jak piwonie. - Co więcej, nie przychodziłabym tutaj, gdybym nie uważała tego za swój święty obowiązek! Poza tym wtedy gdy, panna Merrville mówiła o markizie jako o swoim kuzynie, zrozumiałam, że ci... ci dwaj posługacze będą wpuszczać do parku dziką bestię, która wszystkich atakuje!

Dozorcy parkowi słabo protestowali, lecz markiz ich zignorował.

- Zupełnie nie zdawałem sobie sprawy, że pies jest niebezpieczny

- zauważył. - Ufam, że nie wyrządził pani większej krzywdy, madame?

- Nie twierdzą, że mnie zaatakował! Ale...

- Nie zaatakował nikogo! - wtrąciła żarliwie Fryderyka.

- O, czyżby? Pominąwszy oczywiście fakt, że przewrócił na ziemię biednego maleńkiego chłopczyka i wystraszył na śmierć wszystkie nieszczęsne aniołki w parku.

Fryderyka roześmiała się.

- Ależ nie przewrócił żadnego małego chłopczyka. Przyznaję, z początku dzieci się go bały, ale kiedy zorientowały się, że tylko chce się z nimi bawić, strach minął jak ręką odjął. Dodam, że błagały mnie, bym jutro znów przysła z psem do parku!

- On rzucił się na moje krowy! - zawołał oburzony pastuch.

- A panienska mówiła, że je tylko zaganiał, do czego został wytresowany w Hiszpanii! Akurat! Ja tam nigdy nie byłem w tej całej Hiszpanii i wcale mnie tam nie ciągnie, nie będę się użerał z jakimiś obcokrajowcami, ale jedno wiem: krowy to krowy, jednakie na całym świecie i nawet jakiś ciemny poganin nie wyszkoliłby psa tak, aby wystraszył stado jak ta obrzydliwa bestia! Ten oto pan Munslow, upraszając łaski jaśnie pana, mówi, że to kundel, ja zaś tylko twierdzą, że nie jest to owczarek ani barceloński, ani żaden inny!

Młodszy dozorca parkowy poczuł się wezwany do odpowiedzi. Mnąc w dłoniach kapelusze i patrząc na markiza błagalnym wzrokiem powiedział, że bez urazy, ale panienska sama mówiła, że to barceloński owczarek, on zaś w to za nic nie uwierzy, nawet gdyby żył sto lat, i nieważne (tu śmiało zaczerpnął powietrza), kto mu to wmawia.

- Mam nadzieję - odezwał się markiz. - Oczywiście, że pies wcale nim nie jest. - Zwrócił głowę w stronę

Fryderyk! i powiedział wyraźnie znudzonym tonem: - Naprawdę, kuzynko, jesteś taka roztargniona! To pies myśliwski, a nie owczarek, i powtarzałem ci, że pochodzi nie z Barcelony, tylko z Beludżystanu! Beludżystanu, Fryderyko!

- Ojej! Rzeczywiście, mówiłeś! Jaka... jaka jestem niemądra! - zgodziła się niepewnie.

Obaj dozorczy uznali wyjaśnienia jego lordowskiej mości za wystarczające. Starszy przyznał mądrze, że tego się spodziewał, młodszy przypomniał wszystkim, że od razu wiedział, iż w psie nie płynie ani kropla hiszpańskiej krwi. Natomiast pastuch był dalej nieukontentowany, a dama o końskiej twarzy powiedziała ostro:

- Wcale nie wierzę, że takie miejsce istnieje!

- Ależ owszem! - zapewnił ją lord, idąc do okna i okręcając jeden ze stojących tam globusów. - Proszę podejść i samej się przekonać!

Reszta towarzystwa także skorzystała z zaproszenia, a Fryderyka powiedziała z wyrzutem w głosie:

- Gdybyś mi tylko, kuzynie, napomknął, że to miejsce w Azji!

- Och, w Azji! - westchnął starszy dozorca, zadowolony, że go oświecono. - Wobec tego, śmiem twierdzić, to jakiś hinduski pies.

- Cóż, niedokładnie - zaprotestowała Fryderyka. - A przynajmniej nie sądzę. To jest tutaj, proszę spojrzeć. To wyjątkowo dziki region, a psa trzeba było przeschmuglować, gdyż tubylcy są do nas bardzo wrogo nastawieni. Kuzynie, prawda, że to jedyny pies z Beludżystanu w naszym kraju?

- Och, mam taką niepłoną nadzieję - oświadczył cierpko lord.

- Hm, natomiast ja twierdzą, że to tylko pogarsza całą sprawę!

- wtrąciła rozogniona dama. - Cóż za pomysł, by przyprowadzać taką dziką bestię do parku! I to jeszcze przeschmuglowaną! Nie waham się, lordzie, powiedzieć panu, że ja, osobiście, z całej duszy potępiam takie postępowanie i zamierzam niezwłocznie powiadomić o wszystkim Izbę Celną!

- Obawiam się, że coś takiego w Beludżystanie nie istnieje

- wyjaśnił jej przepaszającym tonem i niespieszonym jak zwykle krokiem wrócił przed kominek. Wyciągnął rękę w stronę dzwonka.

- Nie ma tam także poczty, madame. Oczywiście, wolno pani wysłać posłańca, lecz przypuszczam, że będzie to wielce kosztowne, a zachodzi przy tym niebezpieczeństwo, że z punktu go zamordują. Szalenie mi więc trudno radzić pani cokolwiek w tej sprawie.

- Ja mówię o angielskiej Izbie Celnej, mój panie! - zawołała, piorunując go wzrokiem.

- Och, na to szkoda fatygi! Psa bowiem nie przeschmuglowałem do tego kraju; przyczyniłem się tylko do wyszmuglowania go z Beludżystanu.

Odezwała się głosem drżącym od tłumionej wściekłości:

- Jakkolwiek było, nie ma pan prawa puszczać wolno w parku dzikich psów. Ostrzegam więc, lordzie, że złożę o tym raport odpowiednim władzom!

- Droga pani, nic mi do tego, skoro chce pani postąpić jak wiejska gęś. Mogę tylko dodać, że właściwie nie bardzo pojmuję, jaki jest pani udział w tej nieszczęsnej aferze. Sama pani mówiła, że pies pani nie zaatakował... w co wierzę. I poinformowała mnie pani, że pofatygowała się do mojego domu, ponieważ

dowiedziała się o mojej pozycji. Oraz stwierdziła, że ci ludzie... prostacy wedle pani słów... gotowi byli przyzwolić, by w parku pies napadał na wszystkich i wszystko... w co, uczciwie mówiąc, nie uwierzę! Dochodzę więc do wniosku, że pani zwyczajnie wściubiła nos w nie swoje sprawy. Gdyby mnie poproszono, bym złożył zeznanie dotyczące tego spotkania, musiałbym oświadczyć stanowczo, że ci ludzie przyszli tutaj ze słuszną skargą. Poinformowali mnie, że mój pies popełnił wykroczenie i nalegali, że powinienem trzymać go na uwięzi. Jednakże, z jakichś nieznanych mi powodów, towarzyszyła im natrętna osoba, pozbawiona i manier, i zdrowego rozsądku, która uzurpowała sobie prawo występowania w ich imieniu. W tej sytuacji oni sami bardzo długo nie mogli dojść do głosu. - Zerknął w stronę otwartych drzwi, w których stał Wicken ze śmiertelnie poważną miną i pełen najdziwniejszych domysłów. - Bądź tak dobry i odprowadź tę panią - zwrócił się do kamerdynera. - I przekaz panu Trevorowi, że go wołam!

Ta pańska mowa, której Fryderyka wysłuchiwała ze strachem, a parkowi dozorca z aprobatą, przyprawiła damę o końskiej twarzy o bełkotliwy gulgot. Nigdy bowiem, w całej jej władczej i wyniosłej karierze, nikt jej tak bezczelnie nie obraził, o czym zresztą nie omieszkała poinformować jego lordowskiej mości. Lecz jaśnie pan przestał już na nią zwracać uwagę. Obojętnie zażył niuch tabaki, Wicken zaś, ucinając nieskładne jąkanie, odezwał się tonem wypranym z wszelkich ludzkich uczuć:

- Pozwoli pani, madame!

Wścibska dama wyzeglowała z biblioteki. Na jej policzkach wykwitły ceglaste rumieńce. Nikt, a najmniej Wicken, nie zdziwił się tą kapitulacją. Później młodszy dozorca posunął się nawet do tego, że zwierzył się starszemu, iż tylko ktoś o tak dobrym pochodzeniu mógł usadzić tę starą pieczeniare.

Pastuch natomiast, choć w zasadzie pochwalał odprawę damy, absolutnie nie dał się ulagodzić. Począł wyjaśniać markizowi, na czym polegała niewybaczalna zbrodnia Lufty, który bestialsko napadł na mleczne krowy. Poskarżył się, że jeśli poniosły jakąkolwiek szkodę, to nie daj Boże, jaki los zgotuje jemu, pastuchowi, właściciel stada.

- Cóż, to wielce nieprawdopodobne! - zawołała Fryderyka. - Z tego, co pan mówi, ktoś mógłby pomyśleć, że pies gnał je przez całe miasto. A tak przecież nie było! Jednak skoro życzy pan sobie wypasać krowy w miejskim parku, to muszę powiedzieć...

- Nie, kuzynko, nie musisz! - zainteresował markiz, biorąc na niej odwet. - Przecież poleciłem ci, byś zabrała Lufre do Hyde Parku, wobec tego ty i tylko ty jesteś odpowiedzialna za całą tę żalną aferę.

Fryderyka, szukając schronienia za chusteczką, przyznała drżącym głosem, że lęka się, iż kuzyn ma rację.

- Nie obawiaj się! - uspokoił pastucha markiz. - Wszystko będzie właściwie załatwione! O, Charles, proszę, wejdź!

Pan Trevor, nieco zdumiony sceną, jaka rozgrywała się przed jego oczami, powiedział:

- Posyłał pan po mnie, sir?

- Tak, owszem. Mój owczarek z Beludżystanu, którego kuzynka łaskawie zgodziła się wyprowadzić na spacer, wpędził mnie w niezłe tarapaty. Z przykrością muszę przyznać, że pies... hm... zapomniał się w Green Parku i rozpędził krowy.

Pan Trevor mógł na chwilę zapomnieć języka w gębie, ale bynajmniej nie postradał inteligencji. Chlebobdawca nie musiał więc posyłać mu spod półprzymkniętych powiek ostrzegawczego spojrzenia, by

przywołać go do porządku. Sekretarz spokojnie powiedział, że przykro mu to słyszeć, a kiedy popatrzył na beludzyszańskiego ogara, który z zainteresowaniem obwąchiwał jego nogawki, powagę malującą się na jego obliczu zakłócił zaledwie cień uśmiechu.

- Otóż to! - odezwał się jego lordowska mość. - Wiedziałem, że będziesz wstrząśnięty, ale jestem przekonany, że mogę ci powierzyć załatwienie wszystkiego jak należy. - Uśmiechnął się i dodał łagodnie:

- Na tobie zawsze można polegać, mój drogi. - Potem zwrócił się do skarżących. - Pan Trevor niechybnie dopilnuje, byście dostali należyte zadośćuczynienie. Idźcie więc z nim do jego gabinetu! Aha, Charles... to dwaj parkowi dozorca i pasterz!

Skinieciem głowy odprawił gości. Wycofali się ochoczo, prawidłowo wnioskując z jego słów, że dostaną nieliczne odszkodowanie, przy tym odnieśli wrażenie, że z panem Trevorem będzie o wiele łatwiej dogadać się niż z samym markizem.

Charles wypuścił ich z biblioteki, sam jednak zatrzymał się jeszcze chwilę. Popatrzył na Fryderykę:

- Panno Merriville, jak wielkie są te szkody? Fryderyka, wychynawszy spoza chusteczki, popatrzyła na niego zażawionymi, lecz zarazem roześmianymi oczyma.

- Och, wydaje mi się, że wcale nie pokaleczył krów. Udało się nam w porę go złapać!

- W takim razie...

- Nie, Charles! - stanowczo wtrącił się markiz. - Proszę załatwić tę sprawę, nie jest to więc odpowiednia chwila, by skąpić!

- Och, niezwłocznie dopilnuję, by już więcej pana nie nagabywano, sir! - przyrzekł pogodnie Charles i odmaszerował.

- Hm, cóż za ideał młodego człowieka! - zauważyła Fryderyka.

## 7

- Prawda? - zgodził się Alverstoke. Spojrzała na niego.

- Owszem, a pan także! Zachował się pan nadzwyczajnie i jestem panu ogromnie wdzięczna! Och, i proszę wybaczyć, że pana w to wszystko wplątałam! Proszę zrozumieć, oni grozili, że zastrzelą Lufre, a niechże pan sobie tylko wyobrazi, jakie mogłyby być tego konsekwencje! Dlatego właśnie skłamałam, że pies jest pańską własnością. - Zaczęła chichotać. - Jak Kot... Kot w Butach!

- Jak co? - spytał groźnie lord.

- Mój... mój kuzyn, markiz Alverstoke! - wyjaśniła. - Przecież pan doskonale rozumie!

- Bez wątpienia jestem przysłowiowym tępakiem, ale... - urwał, gdyż nagle go olśniło. Uniósł lewą brew. - Och... markiz Carabas!

- Oczywiście! I to jest odpowiedź! Prócz tej strasznej poczwary, którą pan musiał usadzić! Nigdy dotąd nie zdarzyło mi się słyszeć tak grubiańskiej mowy, lecz przyznam, że szczerze się ubawiłam! - Znowu wybuchnęła śmiechem. - Och, z trudem się opanowałam, kiedy oświadczył pan, że Luff to pies myśliwski z Beludzystanu! Niegrzeczny psie, rzeczywiście powinieneś nim być!

Tak pochwalony Luffa wspiął się na tylnych łapach i polizał ją po twarzy. Zepchnęła łapy z kolan i wstała.

- Jesteś bezwstydnym prostakiem! - powiadomiła psa. Spojrzała Alverstoke'owi w oczy i wyciągnęła rękę.  
- Dziękuję! - powiedziała z uśmiechem. - Muszę już iść. Ale wyjawi mi pan później, ile pan Trevor musiał zapłacić tym ludziom?

- Jeszcze chwileczkę! Nie wyjaśniłaś mi, kuzynko, jak to się stało, że spacerowałaś sama.

- Rzeczywiście - zgodziła się. - Lecz najpierw powinien mi pan zdradzić, dlaczego to pana interesuje.

- Uczynię to skwapliwie. Może taki jest zwyczaj w hrabstwie Hereford, ale nie w Londynie. Dziewczeta w pani wieku i z pani sfery nie mogą poruszać się po Londynie bez przyzwoitki.

- Cóż, zazwyczaj tego nie robię, a z całą pewnością nie pozwoliłabym na to Charis. Ale ja nie jestem naiwną panienką. Obawiam się, że pan, będąc o wiele starszy, może tak o mnie myśleć, lecz zapewniam z całej duszy, że taką przestałam być już wieki temu! Poza tym, w każdym razie, nie ty, kuzynie Alverstoke, musisz świecić oczami za moje postęпки!

- Och, owszem, właśnie że muszę! - wypalił gniewnie. - Jeżeli spodziewasz się po mnie, Fryderyko że wprowadzę cię do towarzystwa, musisz podporządkować się jego prawom. Albo będziesz postępować według moich reguł, albo umyвам ręce. Jeśli zaś postawiłaś sobie za cel wywołać w świecie wielki rwetes, to znajdź sobie innego opiekuna!

Zaczerwieniła się i już otworzyła usta, by odpowiedzieć równie kąśliwą uwagą, ale zdusiła ją w sobie i stanowczo zacisnęła wargi. Po chwili udało się jej uśmiechnąć i przemówić:

- Śmiałam twierdzić, że po dzisiejszej awanturze z wielką ulgą pozbyłby się pan nas.

- Och, nie - zapewnił ją chłodno. - Proszę to sobie wybić z głowy!

- Tego akurat nie mogę, choć bardzo bym chciała, bo kiedy jestem zmuszona trzymać język za zębami, cierpię okrutne katusze! Z największą przyjemnością zmierzyłabym się z jaśnie panem, jednak nie jestem aż tak zepsuta... jak panu się zapewne wydaje! - dodała szczerze.

- Dlaczegoż to miałyby mi się tak wydawać? - spytał; zaczynało go to wszystko bawić.

- Albowiem doskonale pan wie, że dając mi taki bolesny prztyczek, prowokuje mnie, bym odpłaciła pięknym za nadobne! Roześmiał się.

- I pani sądzi, że potrafi?

- Ależ oczywiście, że tak! Kiedy wpadam w złość, potrafię mówić wyjątkowo przykre rzeczy!

- Jakoś to zniosę!

Potrząsnęła głową; na jej policzku pojawił się dołeczek.

- Nie, już dawno się ucywilizowałam. Powiem panu prawdę: stało się to za sprawą ciotki, która mówi dokładnie to, co pan: nic nie wprawia człowieka w większą furję niż świadomość, że sam popełnił błąd. Mam rację?

- Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Spojrzała zdziwiona, lecz uznała, że nie warto drażnić tego tematu.

- Cóż, postaram się, by nie musiał pan za mnie świecić oczami. Rzeczy mają się tak, że Charis się przeziębila, a Jessamy, jak pan wie, każdy ranek spędza nad książkami. Dlatego właśnie z siostrą wyprowadzamy Luffa na spacer. Pies potrzebuje dużo ruchu... biedak nie ma go tak wiele w Londynie!

- Dlaczego więc nie towarzyszył pani Feliks albo chociażby jakaś dama?

- Nie mam damy do towarzystwa... to znaczy służącej. Tylko pokojówki, ale one wszystkie są wychowane w mieście, więc piesze wycieczki śmiertelnie je nudzą, ociągają się albo mówią, że uwierają je pantofle. Mogłabym poprosić Feliksa, tylko że on właśnie wybierał się do Muzeum Techniki, więc gdybym zmusiła go do pójścia ze mną, cały czas nieznośnie by wyrzekał. Och, proszę nie marszczyć czoła! Nigdy już tak nie postąpię!

- Potrzebny więc pani lokaj - stwierdził, wciąż ze srogą miną.

- Po co? Aby mnie chronił? Proszę wierzyć, Luff doskonale spełnia tę rolę!

- Aby na panią czekał... nosił za nią paczki... wysyłał pani korespondencję.

- Podejrzewam, że chodzi panu o kogoś, kto dodawałby mi powagi!

- To także! - przyznał.

Zamyśliła się i wreszcie uśmiechnęła, tym razem nieco żałośnie.

- Abym się przyzwoicie prezentowała, jak mówi Buddle! Domagał się, abym zabrała ze sobą do Londynu Petera, ja jednak zostawiłam go w Graynard, gdyż, po pierwsze, panu Porthowi ogromnie na tym zależało, a po drugie wydawało mi się to zbędnym wydatkiem. Mimo Czystko sama czuję, że w Londynie przydałby mi się lokaj, chociażby do pomocy Buddle'owi: on jest już bowiem w zbyt Podeszłym wieku na te okropne londyńskie domy.

- Zatem na przeszkodzie stanęły finanse? - spytał bez ogródek Alverstoke.

- Och, nie! Zaangażuję lokaja, zajmie miejsce pokojówki, która teraz pomaga Buddle'owi.

- Ależ proszę zostawić to mnie! Wynajęcie lokaja... londyńskiego lokaja... to nie jest zadanie dla naiwnych panienek.

- Dziękuję, wielce jestem panu zobowiązana. - Ponownie wyciągnęła dłoń. - A więc do widzenia, kuzynie.

- Jeszcze nie! Jeśli pani nie ma nic pilnego do załatwienia, proponuję, byśmy razem pojechali do mojej siostry. Pragnie panią poznać, a wydaje mi się, że to znakomita okazja, by spełnić jej życzenie.

Zawołała wystraszona:

- Och, ale Charis...! Przecież i ona powinna nam towarzyszyć. Czy lady Buxted nie potraktuje tego jako afront... skoro to ona ma wprowadzić moją siostrę na pański bal?

- Ależ nie, jakże by mogła, kiedy dowie się o zaistniałych okolicznościach? Za daleko większy afront uznałaby odwołanie grzecznościowej wizyty.

- Hm, racja, jednak Charis za dzień, dwa wydobrzeje!

- Szczerze jej tego życzę. Niestety, tak się składa, że jutro wybieram się na jakiś tydzień do Newmarket. Toteż, proszę mi wierzyć, odkładanie wizyty na dwa tygodnie przed balem przekroczyłoby wszelkie granice grzeczności!

Wydawała się zakłopotana.

- Bezsprzecznie ma pan rację! O, Boże, lady Buxted mogłaby uznać, że brak nam wszelkiej ogłady. Obawiam się tylko, że nie jestem stosownie ubrana!

Przytknął monokl do oka i badawczo jej się przyjrzał. Fryderyka miała na sobie kasztanową narzutkę, pomarańczowe, płócienne buciki, sięgające nad kostki, i elegancki kapelusik z pojedynczym strusim piórem, przegiętym nad rondem. Opuścił monokl.

- Nie dostrzegam nic niestosownego - orzekł.

- Pan może nie, ale proszę mi wierzyć, że w oczach lady Buxted na pewno okażą się flejtuchem! Tę pelisę noszę nieprzerwanie od dwóch lat!

- Przecież nie ma potrzeby, by informować o tym moją siostrę.

- Pewnie, że nie ma! - wykrzyknęła rozdrażniona. - Sama to pozna się od pierwszego wejrzenia!

- Jakim cudem, skoro ja tego nie spostrzegłem?

- Takim, że jest kobietą! Ze wszystkich idiotycznych pytań, jakie pan może zadać... W jego oczach rozbłysł złośliwy uśmiezek.

- Nie doceniasz mnie, Fryderyko! Musisz wiedzieć, że o wiele lepiej od siostry znam się na damskiej modzie! Czy mam to udowodnić? No więc dobrze! Twoja pelisa nie jest ostatnim krzykiem mody, buciki zrobiono z płótna, a nie z koźlęcej skórki, a kapelusz przyozdobiłaś farbowanym na pomarańczowo piórem, żeby do nich pasował. Zgadza się?

Spojrzała na niego z ukosa, smętnie, lecz z zaciekawieniem.

- Tak... a w dodatku widzę, że ciotka Scrabster miała rację.

- Oho! Zatem ostrzegła panią przed takim jak ja niepoprawnym zdobywcą serc. Fryderyko, zapewniam, że z mojej strony nie ma się pani czego obawiać!

Słowa te przyprawiły ją o ponowny atak śmiechu.

- Wiem o tym doskonale! Nie jestem dostatecznie urodziwa! - Utkwiła spojrzenie w jego twarzy i między jej brwiami pojawiła się zmarszczka. - Charis, owszem... - dodała w zamyśleniu. - Choć... chociaż nazywa mnie pan naiwną gąską, kuzynie, to świetnie pan wie, że od dawna jestem pełnoletnia. Toteż nic z tego!

- A skąd to możesz wiedzieć? - spytał prowokująco.

- Hm, przynajmniej, że niezbyt jestem biegła, jeśli chodzi o kolekcjonerów serc... właściwie, dotąd nigdy takiego nie spotkałam... lecz nie jestem na tyle naiwna, by nie rozpoznać w panu dżentelmena... mimo że czasem zachowuje się pan grubiańsko i prawi impertynencje! Przypuszczam, że bierze się to z tego, iż urodził się pan w arystokratycznej rodzinie.

Na chwilę tak osłupiał, że nie potrafił wydusić słowa. Potem na jego wargach wykwitł ironiczny uśmiezek.

- Zasłużyłem sobie na takie słowa, prawda? Proszę przyjąć przeprosiny, kuzynko! Czy teraz mogę zawieźć cię do domu mojej siostry?

- Hm... - westchnęła z powątpiewaniem. - Jeżeli sądzi pan, że nie może... Och, nie! Zapomniał pan o Luffie! Grubiaństwem byłoby wtargnięcie do saloniku lady Buxted z wiejskim kundlem na smyczy.

Na to się nie poważę.

- Oczywiście, jeżeli mogę w tej sprawie cokolwiek poradzić! Ktoś z mojej służby odprowadzi go na Upper Wimpole Street. Zajmę się tym! Proszę usiąść... nie każę pani czekać zbyt długo.

Mówiąc to wyszedł z biblioteki, lecz mimo że drugi koniuszy biegiem pokonał całą drogę do stajni, Fryderyka musiała czekać całe dwadzieścia minut, nim zaproszono ją do miejskiego powozu jego lordowskiej mości. W ślad za nią biegło pełne protestu wycie Lufry, trzymanego na smyczy przez Jamesa, rozsądek jednak nakazał je zignorować. Spytała niespokojnie:



- Kuzynie, czy przestrzegłeś Jamesa, aby za żadne skarby nie spuszczał go ze smyczy?

- Nie tylko jemu, tobie też to mówię - odparł Alverstoke, sadowiąc się obok Fryderyka!. - Roxton, Grosvenor Place.

- Pojmujesz, kuzynie, rzecz polega na tym - zwierzała się Fryderyka, kiedy zamknęły się drzwi powozu - że on jeszcze nie przywykł do londyńskiego ruchu, więc nie rozumie, iż musi się obyczajnie zachowywać. Więc oczywiście, kiedy spostrzeże kota po drugiej stronie ulicy, albo innego psa, pędzi ku nim jak strzała wśród woźniców i powozów. Wywołuje tym okropne zamieszanie, bo straszy konie, no i trzeba się za niego wstydzić!

- Wyobrażam to sobie. Co za diabeł podkusił cię, by zabierać go do Londynu?

Zmierzyła markiza wzrokiem pełnym zdumienia.

- A cóż innego mogłam zrobić?

- Nie mogła go pani zostawić pod opieką, sam nie wiem... ogrodnika... gajowego... zarządcy?

- Och, nigdy! - zawołała. - Jak pan może sądzić, że jestem osobą bez serca? Przecież pan wie, ocalił życie Jessamy'emu... Charis przysięga, że tak było, ale i on zawdzięcza Jessamy'emu życie! Osobiście sądzę, że pies nie pamięta już nic z tego zdarzenia, bo nawet nie boi się wchodzić do wody. Otóż kiedy był bardzo małym szczeniakiem, trzech wiejskich łobuziaków wrzuciło go do stawu z cegłą przywiązaną do szyi. Biedny Luff! Jessamy skoczył za nim do wody. Nigdy w życiu nie widziałam kogoś tak okropnie wyglądającego, jak brat, gdy wrócił do domu, niosąc Luffa! Przemoczony do suchej nitki, twarz zakrwawiona, gdyż miał rozkwaszony nos i straszliwie podbite oko!

- Chętny do bójki, tak?

- Nie... nie, tylko kiedy dzieje się coś takiego, co wprawia go we wściekłość, to, jak mawia Harry, wstępuje w niego tygrys. Ale nie jest takim wielbicielem boksu jak Harry i przypuszczam, że nie jest zanadto do tego skłonny... jeśli pan wie, co mam na myśli.

Markiz, wybitny przedstawiciel tej szlachetnej sztuki walki, poprosił, by mu to wyjaśniła.

Uniosła brew.

- Hm, mówiłam o talencie. Nie zaś o zwykłym młóceniu pięściami! Och, stawienie komuś czoła i... podjęcie walki, i... no, tak... i robienie tego wszystkiego z pogodną twarzą! Nie potrafię pojąć, jak w takich okolicznościach ktoś może zachować spokój ducha! Podejrzewam, że Harry, gdyż on z natury jest pogodny, ale nie Jessamy! Nie, nie Jessamy!

Umilkła, najwyraźniej rozmyślała o Jessamym. Alverstoke, wielce rozbawiony, po kilku chwilach spytał:

- Zatem Jessamy jest najrozsądniejszym członkiem rodziny?

- Najrozsądniejszym? - Przetrawiła to, jeszcze bardziej marszcząc czoło. - Nie, właściwie nie najrozsądniejszym. Nie potrafię go scharakteryzować, gdyż sama nie rozumiem go teraz, kiedy dorasta. Pan Ansdell... nasz wikary... twierdzi, że brat ma żarliwą duszę i że nie powinnam się zamartwiać, gdyż niebawem nabierze więcej rozumu. Wie pan, on pragnie zostać duchownym. Muszę przyznać, że myślałam, iż to za sprawą jego niedawnej konfirmacji i że wkrótce ten zamiśl mu przejdzie. Nie żebym sprzeciwiała się, by został pastorem, tylko wydaje mi się to nieprawdopodobne. Przecież to chłopiec, który pakuje się z głową w każdą nową przygodę, nawet taką, w której z trudem unika niebezpieczeństwa. Poza tym, jest

zapalonym myśliwym, a konno jeździ o wiele lepiej niż Harry, a przecież i Harry nieźle sobie radzi w siodle! Harry powiedział mi, że nie musiał dawać Jessamy'emu lekcji skakania przez przeszkody, gdyż on rzuca się na każde ogrodzenie, jakie tylko koń może pokonać! I nie jest to bynajmniej opinia stronnicza, gdyż koniuszy wyjawiał mojej przyjaciółce od serca, że Jessamy, biorąc pod uwagę jego wiek, jest najlepszym jeźdźcem w całym południowym hrabstwie Hereford!

Alverstoke, którego bracia panny Merriville, łagodnie mówiąc, niewiele obchodzili, mruknął, z trudem kryjąc fakt, że wszystko to śmiertelnie go nudzi:

- Aha. Przypominam sobie, że kiedy miałem przyjemność go poznać, sprawiał wrażenie... jeśli nie zapalonego myśliwego, to bez wątpienia zapalonego koniarza.

- Racja! - przytaknęła. - Nawet i teraz, tak samo jak dawniej, czasami wstępuje w niego diabeł... - Westchnęła, lecz chwilę później uśmiechnęła się i powiedziała: - Proszę mi wybaczyć! Zachowuję się jak trajkotka!

- Ależ nie! - zaprzeczył grzecznie.

- Wiem, że mam... coś, co pana zupełnie nie powinno obchodzić. No, nic! Nie powiem już ani słowa.

Markiz poczuł wyrzuty sumienia: sprawiło to, że odezwał się nieco cieplejszym tonem:

- Więc tak bardzo zamartwia się pani o swoich braci?

- O, nie! Czasami... trochę, gdyż nie mają nikogo prócz mnie, a ja jestem tylko ich siostrą. Ale wszyscy są bardzo dobrzy!

- Czy nie ma pani jakichś krewnych płci męskiej? Zdaje się, mówiła pani coś o jakimś opiekunie czy kuratorze... chyba to prawnik?

- A, pan Salcombe! Tak, rzeczywiście, służy nam wszelką pomocą, lecz nie jest naszym opiekunem. Widzi pan, papa nikogo takiego nie powołał. Obawialiśmy się, że młodsi mogą zostać odesłani pod opiekę państwa, lecz pan Salcombe zażegnał to niebezpieczeństwo. Często słyszałam narzekania, że prawnicy są obrzydliwie opieszali, ale ja, ze swej strony, jestem za to ogromnie wdzięczna! Pan Salcombe pisywał noty, sprzeczał się o jakieś kruczki prawne, aż wreszcie Harry osiągnął pełnoletność i mógł wziąć odpowiedzialność za dzieci. Pan może sądzić, że prawnik chętnie odesłałby nas do wszystkich diabłów, gdyż cała sprawa ciągnęła się wiele miesięcy, ale jego najwyraźniej to bawiło!

- Nie wątpię! Pewnie leżało mu to na sercu. Ale dlaczego nie chwycił cugli w ręce?

- Chodzi panu o pokierowanie chłopcami? Nie, nie jest osobą... taką osobą, która rozumie chłopców. To stary kawaler, bardzo pedantyczny i staromodny. Chłopcy mówią na niego Stary Nudziarz... niewdzięcznicy... sam pan rozumie.

Uśmiechnął się.

- Doskonale!

- A naszym jedynym krewnym jest małżonek ciotki Scrabster. Ledwie go znam, ale i tak wiem, że niewielki byłby z niego pożytek. To jegomość godny ogromnego szacunku, ale wychowany w mieście i interesuje się wyłącznie handlem.

- Dobrze chociaż, że przynajmniej pani brat Harry nie wymaga już siostrzanej opieki - zauważył mimochodem.

Namyślała się bardzo długo, nim wreszcie odpowiedziała:

- Tak, oczywiście.

Chwilę później powóz zajechał przed dom lady Buxted. Alverstoke dostrzegł wahanie w głosie Fryderyki, a także pewne zażenowanie, pomyślał więc, że lada moment dziewczyna zażąda jego rady lub wręcz aktywnej pomocy w wychowywaniu młodszych braci. Stać ją było na to; tak zresztą, jak jego na bezpardonowy odpór na wszelkie błagania o rzeczy, na które nie miał najmniejszej ochoty. Wolał jednak tego nie robić. Polubił Fryderykę. Była niezwykłą osobą, a nieczęsto miał z takimi do czynienia. Trudno byłoby o niej powiedzieć, że jest piękną, lecz była przystojna, a jej sposób bycia niezmiernie go bawił. Charis natomiast okazała się czarującą perłą, którą z największą ochotą pragnął wprowadzić w najlepsze towarzystwo. Spowoduje to poruszenie nie tylko w tym kurniku, do którego za chwilę miał wejść, to zaś akurat wielce go cieszyło.

Lady Buxted była w domu. Siedziała w saloniku w towarzystwie dwóch starszych córek. Kiedy zaanonsowano przybycie gości, wstała majestatycznie i z widoczną niechęcią odłożyła tamborek, na którym coś haftowała. Potem dopiero ruszyła, by powitać Fryderykę. Uraczyła ją surowym spojrzeniem, wyciągnęła ku niej dwa palce i chłodno powiedziała dzień dobry. Fryderyka bynajmniej się tym nie speszyła. Ledwie musnęła palce lady Buxted (co zauważył z aprobatą Alverstoke), dygając przy tym grzecznie, i odezwała się z promiennym uśmiechem:

- Jak się pani miewa, madame? Kuzyn Alverstoke był tak uprzejmy, by mnie do pani przywieźć, a ja tak ogromnie pragnęłam panią poznać... Podziękować pani za okazane nam serce i zgodę na wzięcie nas pod swoje skrzydła! Moja siostra przyjechałaby ze mną, ale zachorowała, niestety, na gripę, toteż prosi, by przekazać jej przeprosiny.

Lady Buxted trochę odtajała. Zarazem pilnie obejrzała od stóp do głów pannę Merriville. Zniknęła jej obawa, że dziewczyna okaże się jedną z owych dojrzałych i porywających piękności, które, niestety, upodobał sobie Alverstoke. Przekonawszy się, że Fryderyka nie jest ani piękna, ani też pierwszej wiosny, jaśnie pani zdołała ją obiektywnie ocenić, a nawet oddać jej sprawiedliwość. Uznała, że nie będzie musiała się czerwienić za swoją protegowaną: dziewczyna miała dobre maniery i najwyraźniej była świetnie wychowana. Ubrana zaś była schludnie i elegancko. Toteż jaśnie pani w swej łaskawości zawołała córki, aby poznały kuzynkę. Kiedy trzy młode panny pograżyły się w niezbyt składowej rozmowie, lady Buxted odciągnęła Alverstoke'a na stronę, mówiąc, że jej zdaniem Fryderyka jest dobrze wychowaną panną, więc uczyni dla niej wszystko, co w jej mocy.

- Wszakże nie podejmuję się znaleźć dla niej męża - przestrzegła brata. - Nie ma posagu, no i nie jest zbyt urodziwa, więc sam rozumiesz, nie może spodziewać się niczego więcej ponad małżeństwo z rozsądku. Jeżeli ma nadzieję, że znajdzie kogoś innego, obracając się w najlepszych kręgach, to marzy o gwiazdce z nieba.

- Och, wcale cię o to nie proszę! - oburzył się Alverstoke. - Obawiam się, że będziesz miała dosyć kłopotów łowiąc męża dla Jane.

Jedynie świadomość, że rachunki za debiut Jane już zaczynają przekraczać wszelkie granice, spowodowała, iż lady Buxted zdołała utrzymać język za zębami. Gdyż chociaż trudno byłoby powiedzieć, że

dama ma stabilny charakter, to jej namiętność do oszczędzania własnych pieniędzy była niewzruszona. Oczywiście, spiorunowała brata wściekłym wzrokiem, lecz nie odezwała się ani słowem, usiadła tylko na sofie, a potem poprosiła Fryderykę, by do niej dołączyła.

Wizyta trwała zaledwie pół godziny. Choć lady Buxted zadała Fryderyce mnóstwo pytań, to zachowała wyniosłe maniery, nie pofatygowała się, by zaproponować poczęstunek i kiedy Fryderyka wstała, chcąc się pożegnać, nie uczyniła najmniejszego gestu, by ją zatrzymać. Nie zaprosiła też Charis do Grosvenor Place, powiedziała jednak, że wkrótce musi się porozumieć z panną Winsham. Fryderyka, która odpowiadała na jej pytania z chłodną rezerwą, wyczuła, że więcej w nich ciekawości niż życzliwości, oznajmiła więc z uśmiechem na ustach i groźną iskierką w oczach, że ciotka z pewnością będzie w siódmym niebie. Alverstoke stłumił parsknięcie śmiechem i mruknął:

- Masz, na co zasłużyłaś, Luizo.

Potem uklonił się z wyszukaną uprzejmością i wyprowadził Fryderykę z salonu, zostawiając siostrę oraz siostrzenicę nie posiadające się ze zdumienia, dlaczego markiz zainteresował się taką pospolitą niewiastą (gdyż dziewczęciem nie można by jej nazwać w żadnym razie). Na dodatek niewiastą, która ma takie wysokie mniemanie o sobie i wynosi się ponad innych.

- Nie powinnam była tego mówić - wyznała skruszona Fryderyka, gdy Alverstoke siadał obok niej w powozie.

- A to dlaczego? Odpląciłaś jej pięknym za nadobne!

- Nie postąpiłam zbyt mądrze, gdyż ona przecież ma wprowadzić Charis do towarzystwa, a odnoszę wrażenie, że nie ma na to najmniejszej ochoty! - Fryderyka odwróciła głowę i zmierzyła kuzyna jednym ze swoich peszących spojrzeń. - Czy pan... pan ją do tego zmusił, sir?

- Jakże zdołałbym czegoś takiego dokonać? - sprzeciwił się.

- Tego nie wiem, podejrzewam jednak, że byłby pan do czegoś takiego zdolny. Nie sądzę, iż powodowała nią dobroć serca lub chęć wyświadczenia panu przysługi, gdyż...

- Myli się pani - przerwał z sardonicznym uśmiechem. - Siostra dołożyła wszelkich starań, by mnie zadowolić.

Wciąż nie odrywała od niego badawczego wzroku. Po chwili zaś przyznała:

- Cóż, nie bardzo mi się to wszystko podoba! A z pewnością nie spodoba się pańskiej siostrze, kiedy ujrzy Charis! Zresztą jak żadnej matce, obdarzonej córką o pospolitej urodzie Jane!

- Wobec tego zamierza się pani wycofać? Przemyślała to, lecz ostatecznie odparła rozsądnie:

- Nie. Gdyby chodziło tylko o mnie, to owszem, ale postanowiłam niczego nie zaniedbać dla Charis. Proszę mi wybaczyć, że nie mówię z większym szacunkiem o pańskiej siostrze, ale jej wścibskie pytania Piekielnie mnie rozżłościły! A teraz nie powiem już więcej ani słowa.

- Proszę się nie hamować ze względu na mnie! Nie darzymy się z siostrą największą sympatią!

- Nie? - upewniła się, otwierając szeroko oczy.

- Ani trochę! Powiedz mi, moja szczerza kuzynko, czy w dziczy hrabstwa Hereford tańczono walca?

- W niektórych domach owszem, ale nie za wiele, natomiast nigdy nie tańczono kadryla. Toteż zatrudniłam mistrza tańca, by nauczył nas kroków... proszę się więc nie niepokoić, nie skompromitujemy pana jako

kuzynki ze wsi.

- Doprawdy, wielka to ulga!

- Możliwe... chociaż sędzę, iż pana guzik obchodzi, jak się zaprezentujemy.

- Wręcz przeciwnie! Pomyśleć tylko, jak ucierpiałaby moja reputacja!

Roześmiała się, ale potrząsnęła głową.

- O to pan także nie dba. Podobnie jak... sędzę... o wszystko inne.

Na chwilę zatkalo go ze zdumienia, lecz odpowiedział bez widocznego wahania:

- Nie, nie o wszystko.

Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad jego słowami.

- Cóż, myślę, że musi to być bardzo wygodne, gdyż skoro nie dba pan o nic ani o nikogo, nie można pana o nic obwiniać, nie urazi pana byle co, nie wyprowadzi też z równowagi. Z drugiej strony, nie przypuszczam, żeby pan kiedykolwiek był *aux anges*. O mnie nie można tego powiedzieć: wtedy ja nie miałabym co robić!

- Odwróciła głowę, znowu na niego zerknęła i uśmiechnęła się. - Podejrzewam, że chyba dlatego jest pan tak strasznie znudzony!

- Często się nudzę - przyznał. - Niemniej... hm... dokładam wszelkich starań, aby się nieźle zabawić!

- No, tak, ale nie o to... - Urwała, na jej twarzy wykwitły rumieńce.

- Proszę mi wybaczyć! Powinna trzymać język za zębami!

Puścił to mimo uszu, spytał tylko z cierpkim uśmieszkiem:

- Zdaje się, że pani mną pogardza, Fryderyko?

- Ależ nie! - odpowiedziała szybko. - Choć w pańskich oczach jestem gąską, to już dawno wyrosłam z krótkich sukienek i mam trochę rozumu. Mając wszystko, czego dusza zapragnie... nie może się pan ogromnie nudzić, prawda? Podejrzewam także - dodała roztropnie - że był pan jedynym chłopcem w rodzinie, wobec tego bardzo panu pobbżano.

Alverstoke przypomniał sobie oschłe kontakty z ojcem i, z jeszcze większym trudem, chwile, w których, obracająca się w arystokratycznych kręgach matka uznawała za stosowne zaszczycić go swoim towarzystwem. Odumarła go, kiedy był jeszcze w szkole. Uśmiechnął się jeszcze bardziej ironicznie. Cóż mógł więcej powiedzieć?

- Słusznie! Urodziłem się w czepku i tak byłem cenny dla swoich rodziców, że najęli dla mnie specjalną służbę. Do czasu wstąpienia do Harrow cieszyłem się tkliwą opieką nianieek, kamerdynerów, lokajów, guwernerów i... aha, wszystkiego, co można było kupić za pieniądze!

- Och, biedny mały chłopczyk! - wyrwało się Fryderyce.

- Wcale nie! Przecież spełniano wszystkie moje zachcianki! Opanowała się, gdyż miała ochotę skwitować jego odpowiedź równie obcesowo, i po chwili milczenia odpowiedziała żartobliwie:

- Dobrze! Jestem panu wielce zobowiązana, kuzynie! Nauczyłeś mnie tego, czego biedny pan Ansdell nigdy nie zdołał!

- Naprawdę? A czego mianowicie?

- Nie czepiać się rękawa bogaczy! Kiedyś myślałam, że gdybym urodziła się bogatą arystokratką i dziedziczką, to byłabym bardzo szczęśliwa. Ale teraz widzę, że równa się to jedynie śmiertelnej nudzie! -

Powóz zajechał na miejsce, więc z kpiącą iskierką w oku wyciągnęła rękę. - Do zobaczenia! Dziękuję za udzieloną mi lekcję i za przedstawienie mnie siostrze! Wcześniej zamierzałam wyrazić panu swoją niezmierną wdzięczność za przyjęcie mi z pomocą, ale teraz tego nie zrobię, gdyż mam wrażenie, że zademonstrowanie władzy sprawiło panu niemałą przyjemność.

Ujął dłoń Fryderyki, lecz tylko po to, by z powrotem ułożyć ją na jej kolanach.

- Przedwczesny wniosek, kuzynko! Może i jestem zepsuty, ale zamierzam dla własnej przyjemności odprowadzić cię do drzwi.

- Jaśnie panie, pan ma wyśmienite maniere! - mruknęła z przesadną skromnością.

- Prawda? - odparł. - To kolejna lekcja dla ciebie... ty miedzianoskóra mała Cyganicho!

Parsknęła śmiechem ale kiedy na progu ponownie podała mu dłoń, popatrzyła prosto w oczy Alverstoke'a i powiedziała:

- Czyżbym pana uraziła? Nie, chyba nie. Naprawdę, ogromnie jestem wdzięczna, że tak wspaniale pospieszył mi pan na ratunek, a jednocześnie bardzo mi przykro, że wplątałam pana w tak żalosalną aferę.

- Ponieważ wiadomo powszechnie, że moje dobre maniere nieco szwankują, to bez wahania powiem, że łobuzica z ciebie, Fryderyko!

Znów wybuchnęła perlistym śmiechem, on także się uśmiechnął;

od niechcenia musnął palcem jej policzek i zawrócił do powozu. Ściagał go pełen dezaprobaty wzrok Buddle'a, który otworzył drzwi swojej młodej pani, a potem uznał za stosowne pouczyć ją, że nie zachowała należytego dystansu. Próżne byłoby przekonywanie, że oddana służba bowiem, która (o czym nigdy nie omieszka przypomnieć) zna cię od kołyski, nie da się zbyć byle czym.

- Panienko Fryderyko, to już doprawdy przesada! - powiedział Buddle surowym tonem. - Mówię to tylko dla dobra pani. Gdybym postąpił inaczej, nie wypełniłbym należycie swoich obowiązków. Powtarzam pani, że w Londynie nie może się zachowywać tak jak w domu. Nie byłoby pani przyjemnie, gdyby ją ludzie wzięli na języki!

Tymczasem markiza odwieziono na Berkeley Square. Wcześniej zamierzał wypróbować swój najnowszy nabytek, a mianowicie czwórkę najczystszej krwi siwków, zachwalanych przez poprzedniego właściciela jako znakomite konie do powozu, zaś przez zazdrosnego dżentelmena, którego jego lordowska mość przelicytował, jako rzeczywiście całkiem zgrabny zaprzęg. Ten miły plan przerwało wtargnięcie Fryderyki, lecz bynajmniej nie zrobiło się aż tak późno, by nie można było wyruszyć na małą przejażdżkę do Richmond albo na Wimbledon. Wsiadając na Berkeley Square z powozu, rozkazał, aby natychmiast zaprzężono do faetonu, i wszedł do domu. Tam powitały go radosne poszczekiwanie i burza powarkiwań i skomleń. Lufra, poskromiony do granic wytrzymałości, rozpoznał w nim jedyne ogniwo, łączące go z panią, i powitał niczym wybawiciela.

## 8

Ponieważ markiz nie zdołał przekrzyczeć szczekania Lufry, musiał wpierw uspokoić wiernego psa, a dopiero potem zażądać od kamerdynera wyjaśnień. Kiedy uwolniony ze smyczy Lufra przypadł do jego stóp,

piszcząc jednocześnie z radości i kurząc wspaniale lśniąca powierzchnię wysokich butów w sposób, który lokaja markiza przyprawiłby o palpacje, Alverstoke wycedził groźnię:

- Zdaje się, że rozkazałem odprowadzić psa na Upper Wimpole Street?

Jego lodowate spojrzenie spoczęło na twarzy Wickena, jednak to pod Jamesem, głównym lokajem, i jego podwładnym, Walterem, ugięły się nogi. Wicken natomiast, o wiele bardziej odważny, wyjaśnił z niewzruszonym spokojem:

- Zgadza się, jaśnie panie. Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Niestety, to zwierzę odmówiło wyjścia i z Walterem, i z Jamesem. Z przykrością pana informuję, że kiedy próbowaliśmy użyć przemocy, zwierzę zachowało się paskudnie... nawet wobec mnie! Pomyślałem więc, że najlepiej będzie, kiedy go uwiążemy aż do powrotu waszej lordowskiej mości. W przeciwnym razie - dodał tonem, jeszcze bardziej lodowatym niż markiz - podrapałby drzwi biblioteki na wióry.

- Ależ z ciebie niesforne stworzenie! - zawołał Alverstoke, ku uldze swoich lokajów zwracając się do Lufry. - Nie, nie, leżeć! Przeklęty psie, leżeć! A gdzie się podziewa pan Trevor? - I wtedy spostrzegł swojego sekretarza, który jak duch wychynął ze swojego biura, znajdującego się na tyłach domu. Przyglądał się całej scenie z cieniem uśmiechu na obliczu. - A, tutaj jesteś! No to, na miłość boską, zrób coś z tym paskudnym kundlem!

- Kundlem, sir? - upewnił się najwyraźniej zdumiony pan Trevor.

- Sądziłem, że to...

- Charles, nie wystawiaj mnie na próbę! Jasne, że nic takiego nie sądziłeś! Dlaczego nie dopilnowałeś, aby go odstawiono do jego właścicieli?

- Cóż, starałem się, sir - odparł Charles. - Ale ze mną także pies nie chciał iść.

- A teraz mi powiesz, że pies próbował cię pogryźć, a ty zwiąłeś jak niepyszny! - zakpił Alverstoke, usiłując, poskromić rozradowanego Lufre.

- Och, nie! On tylko się zapierał! - oznajmił wesoło Charles.

- A kiedy udało mi się już go zaciągnąć aż na Davies Street, uznałem, że rozsądniej będzie zawrócić. Tam właśnie trzy życzliwe niewiasty okrzyknęły mnie brutalem, który niecnie traktuje biedne stworzonko. Poza tym, nieźle się utrudziłem!

- Dlaczego, u diabła, nie zapakowaliście go do powozu?

- Próbowaliśmy... wszyscy czterej... ale to nie jest pies, którego można by gdziekolwiek zapakować, póki nie włoży mu się kagańca, sir! Waltera nawet pogryzł przy tej okazji. Przyznaję, że może zdołalibyśmy wpakować go do powozu, ale żadnemu z nas nie uśmiechałoby się podróż w jego towarzystwie. Pies uznał, że tutaj zostawiła go jego pani, więc postanowił czekać, aż po niego wróci.

- Z niezwykłym spokojem przyjmując spojrzenie Alverstoke'a, dodał:

- Mam wrażenie, że beludżystańskie ogary słyną z wierności, sir.

- Doprawdy tak myślałeś? - spytał gniewnie lord.

- Nigdy w to nie wątpiłem - zapewnił Charles. Popatrzył, jak Lufra radośnie skrobie markiza łapą i wtedy wpadł na szczęśliwy pomysł: - A może on zechce pójść z panem, sir? - zaproponował.

- Charlesie, jeszcze chwila, a odprowadzę cię bez pardonu! Chyba postradałeś zmysły, jeśli sądzisz, że będę

wędrował ulicami Londynu z tym obrzydliwym kundlem! - Odwrócił się w stronę lokajów, a zrobił to tak szybko, że nie zdążyli zetrzeć z twarzy rozbawionych uśmiechów. Pod władczym spojrzeniem jaśnie pana zastygli w pozie służalczej tępoty. Markiz odezwał się: - Jeden z was... och, nie, ty przecież już odniosłeś rany, prawda, Walterze?... Zatem ty, James, pofatygujesz się na Upper Wimpole Street! I poprosisz panicza Jessamy'ego Merriville'a, aby natychmiast przyszedł odebrać psa!

Lecz zanim jeszcze przebrzmiało echo jego słów, rozległ się dźwięk dzwonka, a we drzwi frontowe zastukano z taką energią, że jego lordowska mość aż się skrzywił. Walter ruszył otworzyć. Gwałtowne wtargnięcie panicza Jessamy'ego Merriville'a, któremu następował na pięty młodszy brat, niemal zważyło lokaja z nóg.

- Przyszedłem po mojego psa... czy jego lordowska mość jest w domu? Muszę... Leżeć, Lufra! Leżeć!... Och, sir, to pan? Proszę o wybaczenie! Niezmiernie mi przykro... gdy tylko Fryderyka powiedziała mi, co się stało, niezwłocznie wskoczyłem do powozu. Wiedziałem, że musiało do tego dojść! Jak siostra mogła przypuszczać, że Luff pójdzie z kimś obcym... niewiasty mają takie kurze mózdzki! Przepraszam pana najmocniej!

- Nie ma za co! - zapewnił markiz. - Ogromnie się cieszę, że cię widzę! Prawdę powiedziawszy, właśnie zamierzałem posłać jednego z moich ludzi, by cię tu sprowadził, gdyż nikt ze służby nie zdołał przekonać Lufry, aby opuścił ten dom!

- Oczywiście, nigdy by się nie dał do tego nakłonić! Mam nadzieję, że nikogo nie pogryzł? Nie jest dzikusiem, ale kiedy mu się wydaje, że ktoś usiłuje go ukraść...

- Ach, więc o to chodziło! - zawołał jego lordowska mość.

- Obawiam się, że to wina Waltera, iż mu wszystkiego dokładnie nie wytłumaczył. Drogi chłopcze, nie bądź taki zakłopotany! Walter uwielbia, jak gryzą go wielkie psy, tak samo Wicken... prawda, Wicken?

- Ta bestia, jaśnie panie - odezwał się Wicken z godnością - nie posunęła się aż tak daleko, aby mnie ugryźć.

- Ale na pewno to zrobi, jeśli dalej będziesz nazywać go bestią. O, Feliks, jak się masz? Co cię tu sprowadza?

- Chciałem się z panem zobaczyć, sir... w pilnej sprawie! - wyjaśnił Feliks, uśmiechając się zachęcająco.

- Przerażasz mnie!

Jessamy, który uzyskał trwożliwe zapewnienie od Waltera, że został jedynie powierzchownie draśnięty, słysząc słowa brata odwrócił się i powiedział gorączkowo:

- Nie zamierzałem dopuścić, by zawracał panu głowę, sir! Wyszedł za mną, a obawiałem się, że gdybym próbował wypchnąć go z powozu, to zapewne wpadłby pod koła innego, tak więc rad nierad musiałem go wziąć ze sobą. To także wina Fryderyk!! Gdyby nie zdradziła, że jutro wybiera się pan do Newmarket...

Nieposkromiony braciszek bezceremonialnie mu przerwał, radząc, by nie był takim nudnym plecuchem. Potem utkwiał zwoźniczo anielskie oczy w twarzy Alverstoke'a i rzekł:

- Kuzynie Alverstoke, przyrzekł pan, że mnie zabierze do windy hydraulicznej, ale obawiałem się, że może pan o tym zapomniał, musiałem więc odświeżyć mu pamięć.

Markiz nie przypominał sobie, by składał taką obietnicę, i nie omieszkał o tym powiedzieć. Jego młody



wielbiciel krótko załatwił się z tym sprzeciwem, mówiąc:

- Ależ tak, sir, na pewno! Powiedział pan: „Zobaczmy”, a to na jedno wychodzi!

Jessamy potrząsnął brata za ramię.

- Całkowicie się mylisz! I jeśli nie będziesz trzymał języka za zębami, to przysięgam, dam ci popalić!

- Fiu! - gwizdnął lekceważąco Feliks. - Spróbuj tylko, a sam się przekonasz, jak oberwiesz!

Markiz spostrzegł gniewne rumieńce na policzkach Jessamy'ego i uznał za stosowne zainterweniować. Odezwał się więc:

- Zanim wypełnicie te groźby, może wejdziecie na chwilę do biblioteki i posilicie się nieco! Wicken, nie wiem, z jakich skorzystasz zapasów, ale ufam, że potrafisz stosownie nakarmić moich gości!

Jessamy, jeszcze bardziej zaczerwieniony, powiedział sztywno:

- Jest pan niezwykle uprzejmy, sir, ale nie możemy... nie powinniśmy nadużywać pańskiej gościnności. Przyszedłem tu tylko po Lufre i... aby wyrównać wszelkie szkody, jakie mógł wyrządzić! Nie oczekujemy zatem... żadnego poczęstunku!

- Ależ owszem! - sprzeciwił się Feliks. Spojrzał na Wickena swoim niebiańskim spojrzeniem, którym dawał do zrozumienia, że za chwilę zemdleje z głodu, i powiedział grzecznie: - Jeśli pan taki łaskaw!

- Feliks! - wybuchnął Jessamy.

Jednak Wicken, równie jak jego pan odporny na błagania małych chłopczyków, najwyraźniej zmiękł i wbrew sobie zapewnił:

- Dopilnuję tego, jaśnie panie! A teraz, chłopczyku, bądź tak grzeczny i idź do biblioteki. Za chwilę przyniosę ciasteczka i lemoniadę! Tylko ostrzegam... nie molestuj więcej jego lordowskiej mości!

- Nie będę! - zapewnił z całej duszy Feliks. - Ale zabierzesz mnie do tej odlewni, kuzynie Alverstoke?

Coś jakby tłumione parsknięcie śmiechem przypomniało markizowi, że za jego plecami wciąż stoi sekretarz. Odwrócił więc głowę i uśmiechnął się z fałszywą słodyczą.

- Ach, niewiele brakowało, a byłbym o tobie zapomniał, mój drogi! - odezwał się z uprzejmą złośliwością.

- Proszę, chodź z nami do biblioteki! Chciałbym was ze sobą poznać: Jessamy i Feliks... to pan Trevor! - Oczekał, aż obaj chłopcy, pamiętając o dobrych manierach, skłonili głowy i uścisnęli panu Trevorowi dłoń, potem zagnał ich wszystkich do biblioteki. Kiedy drzwi się zamknęły, powiedział: - Masz szczęście, Feliksie. Pan Trevor o wiele lepiej ode mnie zna się na dźwigach pneumatycznych, toteż on, we własnej osobie, zaprowadzi cię do odlewni.

- Zanadto mi pan schlebia, sir! - sprzeciwił się żywo Charles. - Z całą pewnością nie jestem w tej dziedzinie ekspertem!

- Hm, wiesz nie mniej ode mnie! - zauważył lord, ledwie tłumiąc zniecierpliwienie.

- Kuzynie Alverstoke, obiecałeś przecież, że sam mnie tam zaprowadzisz!

Spocony z zakłopotania Jessamy zbeształ brata, by przestał wreszcie namawiać markiza na coś, na co najwyraźniej nie ma ochoty. Wywołało to jednak ten tylko skutek, że Feliks spojrzał na markiza z niemym wyrzutem i odezwał się śmiertelnie obrażonym głosem:

- Myślałem, że pan także pragnie to zobaczyć, sir!

- Rozumie się, że tak! - zawołał pospiesznie jego lordowska mość. - Ale akurat teraz zamierzałem wybrać

się na przejażdżkę do Richmond i wypróbować nowy zaprzęg! Może więc, zamiast do odlewni, pojechałbyś ze mną do parku?

- Och, nie! - zaprotestował Feliks.

Tego już było dla Jessamy'ego za wiele. Zawołał więc rozgniewany:

- Ty nieokrzesany smarkaczu! Ty... ty głupi mały cymbale! Wolisz jechać do odlewni, niż zasiąść za tymi świcie... świetnymi siwkami, które wi... widzieliśmy na podjeździe! Masz chyba źle w głowie!

- Ale ja wolę maszyny od koni - wyjaśnił po prostu Feliks. Markiz, chcąc zaprowadzić pokój, ponownie zainterweniował.

- Cóż, nie dyskutujemy o czyichś gustach. Jeżeli z całego serca pragniesz zobaczyć odlewnię, zgoda. Jessamy, czy chcesz obejrzeć siwki? Wobec tego idź i porozmawiaj o nich z moim koniuszym! Możesz mu przekazać, że aż do jutra nie będę ich potrzebował.

- Och! Dziękuję, sir! Gorąco chciałbym je wypróbować! - zawołał rozpromieniony Jessamy.

Udzieliwszy Feliksowi napomnienia, by poskromił Lufre, wybiegł pospiesznie z salonu. Nim wrócił, Feliks pochłonął ogromny kawał placka ze śliwkami, który popił obficie lemoniadą. Potem żwawo (choć może nieco zbyt przesadnie) zagłębił się w temat dysz parowych i zaworów bezpieczeństwa. Pan Trevor, sięgnąwszy głęboko do zasobów pamięci i przywołując całą podstawową wiedzę o zasadach rządzących elektrowniami parowymi, udatnie zdołał podtrzymać pogawędkę z chłopcem. Markiz natomiast, rozparty ż gracją w bujanym fotelu, przypatrywał się sekretarzowi z drwiącym, acz pełnym rozbawienia uśmiechem.

Gdy Jessamy wrócił, temat rozmowy uległ raptownie zmianie. Zganiwszy Feliksa, aby wszystkich nie zanudzał na śmierć, uraczył markiza własną entuzjastyczną opinią o siwkach.

- Doskonałe w każdym calu! - oznajmił. - Głębokie, szerokie piersi, a pęciny idealnie proste! I pięknie sklepione boki! Nigdy nie widziałem tak znakomicie dobranego zaprzęgu... świetnie też razem chodzą! Pański człowiek obwiózł mnie na koźle wokół Square... sądził, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu! Zwłaszcza spodobał mi się sposób, w jaki ruszają naprzód! Wysoki krok może pasować do powozików czy kabrioletów, ale dla faetonu, powozu, a przede wszystkim dla dwukółek wybrałbym ruszanie z kopyta. Zgadza się pan ze mną, sir?

- Owszem - potaknął Alverstoke. - Poczęstuj się lemoniadą!

- Och, dziękuję, sir! - powiedział Jessamy, biorąc szklanicę z ręki Charlesa Trevora. - Nie, za ciasto jednak bardzo dziękuję!

- Ale jest bardzo, bardzo dobre! - zawołał Feliks, wielkodusznie zapraszając starszego brata, aby i on wziął udział w tej uczcie.

Jessamy puścił zachętę mimo uszu, dopił lemoniadę i odezwał się:

- Gdyby był pan tak uprzejmy, sir, chciałbym się dowiedzieć, ile zapłacił pan tym ludziom... dozorcóm parkowym i pasterzowi?

- O to się nie kłopotcz! - uspokoił go Alverstoke. - Jutro wybieram się do Newmarket i zabawię tam dwa tygodnie, ale po powrocie do Londynu zamierzam wypróbować moje siwki. Czy zechcesz mi wtedy towarzyszyć?

Odpowiedź nietrudno było odgadnąć po rumieńcach, które nagle wykwitły na policzkach Jessamy'ego, i po

jego roziskrzonych oczach. Z trudem zdołał wykrztusić:

- Sir... - Lecz, zaledwie sekundę później, spowaźniał i dodał:

- Bardzo bym tego pragnął, sir, ale... ale... muszę panu zwrócić koszty poniesione na uratowanie Luffa!

Owo stanowcze stwierdzenie natychmiast postawiło Alverstoke'a w nowej sytuacji, a także przed dylematem. Nikt inny bowiem z członków jego rodziny, bez względu na płeć, nigdy nie poczuł się zobowiązany do zwrotu pieniędzy, jakie markiz od czasu do czasu na nich wykladał: znakomita większość rodziny domagała się nieograniczonych sum niczym swego prawa. A ledwie dwie godziny temu poprzysiągł sobie w duszy, że odmawia wzięcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za synów Freda Merriville'a. To było wtedy. Teraz zaś przekonał się, jak trudno byłoby ograbiać wyciągniętą ku sobie dłoń z niewielkiej przecież sumy, jaką Charles Trevor musiał wydać na Lufre. Walcząc z nieuniknionym, powiedział:

- Uwierz mi, to całkiem niepotrzebne! Nie wiem ani nie dbam o to, ile kosztowało ocalenie Lufry... i jeśli będziesz mnie dalej tym zanudzał, to nigdy nie zaproszę cię na przejażdżkę, gdy będę wypróbowywał nowy zaprzęg!

Zapadła chwila napiętej ciszy; potem Jessamy uniósł oczy, już nie rozjaśnione, lecz niepokojąco poważne.

- Zgadzam się na to, sir! - odezwał się cichym głosem. - Wobec tego, ile jestem panu winien?

- Nic, młody sztywniaku! Nic!

- Proszę o wybaczenie, sir, jednak nie widzę powodu, dla którego miałby pan być zobowiązany do płacenia za występki mojego psa.

- W takim razie zapewne nie wiesz, że wasz ojciec... hm... polecił was wszystkich mojej opiece - odparł jego lordowska mość, zapędzony do ostatnich okopów.

- Siostra wspominała mi o tym - przyznał Jessamy, marszcząc czoło. - Tylko nie rozumiem, jak to się stało, gdyż wiem, że nie zostawił ostatniej woli.

- Ponieważ był to układ między nami dwoma. Zdumiałbyś się, wiedząc, jak do tego doszło. Ale to nie ma znaczenia. Jeśli zaś chodzi o występki Lufry, nie chcę o tym więcej słyszeć. I nie wyprowadzajcie go więcej do Green Parku!

Celowa oschłość, z jaką mówił, wywarła zamierzony efekt:

Jessamy'ego mogło dręczyć sumienie, lecz stłumiło je niejasne, lecz straszliwe podejrzenie, iż popełnił towarzyską gafę. Wyjąkał:

- Nie... nie, sir! Jest... pan niezwykle uprzejmy! Sam nie wiem... Proszę nie czuć się urażonym! Nikt... nikt nie lubi być czyimś dłużnikiem... Jeśli pan rzeczywiście jest naszym opiekunem, to zmienia postać rzeczy... tak sądzę!

Markiz uśmiechnął się do chłopca, a ponieważ uśmiech skrył prawdziwe jego myśli, Jessamy poczuł nieklamana ulgę. Gdyby wiedział, że Alverstoke zachodził w głowę, co za diabeł go podkusił i że teraz spodziewa się, iż tak pochopne uznanie praw Merriville'ów co do jego osoby wpędzi go w beznadziejnie nużące terminy, Jessamy przeżyłby śmiertelnie upokarzające męki. Wszakże zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że jaśnie pan zazwyczaj z największą niechęcią włączał się w sprawy swoich krewnych. W tej sytuacji rozradowany chłopiec pożegnał się i w błogim nastroju pomaszerował z powrotem na Upper Wimpole Street. A w głowie roilo mu się od marzeń o cudownej przyszłej przejażdżce z jego lordowska

mością do Richmond, a może nawet o tym, że oddadzą mu na chwilę lejce.

Tymczasem markiz wyprawił się na Wardour Street. Jego młody towarzysz biegł przed nim w podskokach i rozpraszał nudy drogi drobiazgowymi opisami najrozmaitszych eksponatów, które tego ranka widział w Muzeum Techniki Merlina. Obejrzał takie cudeńka, jak kuglarkę, powietrzną kawalkadę, grotę Merlina i kilka starożytnych szepeczących popiersi (znakomicie zrobionych); lecz to wszystko nie zainteresowało Feliksa do tego stopnia co hydrauliczna waza, zespół muzyki mechanicznej i elektryczna oceaniczna fregata. Jeżeli dalej istnieje wystawa w Spring Gardens (albowiem przewodnik był nieco przestarzały), to Feliks zamierzał ją odwiedzić, gdyż pokazywano tam Automat Maillardeta. Tym cudem, wedle mocno sfatygowanego już przewodnika, który chłopczyk wyciągnął z kieszeni, była muzykalna kobieta. Zachwalano ją - w sposób raczej niepokojący - jako coś, co pokazuje większość funkcji istoty żyjącej oraz jest zdolne wygrać szesnaście melodii na fortepianie, faktycznie dotykając klawiszy palcami. Nie, Feliks nie zwiedzał jeszcze British Museum: tam, prócz kolekcji wypchanych ptaków, nie ma nic ciekawego - są wyłącznie zatechłe starocie, podobające się tylko takim ludzkim jak Jessamy.

Wiele osób, doskonale znających Alverstoke'a, przypadkowo spotkanych po drodze, zyskało później znakomity temat do plotek w klubowych zaciszach. Sławny dandys, pan Thomas Raikes, okrzyczany w towarzystwie jako Apollo, gdyż (z całym uszanowaniem) wstawał na wschodzie, a kładł się na zachodzie, osłupiał na widok Alverstoke'a, wychodzącego z domu przy Berkeley Square w towarzystwie chłopca w wieku szkolnym. Pan Rufus Lloyd, spotkawszy Alverstoke'a na Bond Street, spytał, gdzie się udaje. Potem nieco oszołomiony Lloyd opowiadał, iż markiz powiadomił go, że udaje się na Soho obejrzeć jakąś odlewnię. Słuchacze w zasadzie przyjęli tę wieść z niedowierzaniem. Sir Henry Mildmay, członek rozlicznych klubów, nie tylko „Red Dandy”, z pobłażliwym, pełnym wyższości uśmiechem oznajmił:

- Obawiam się, Rufusie, że po prostu z ciebie zakpił. Natomiast lord Petersham, odwieczny przyjaciel Alverstoke'a, niewiele się pomylił, cedząc przez zaciśnięte wargi:

- Śmiałbym twierdzić, że prowadził tam któregoś ze swoich młodych krewnych.

Pan Endymion Dauntry, który również natknął się na Alverstoke'a na Bond Street, mógłby potwierdzić, że Petersham się nie myli, niestety, nie było go przy tej rozmowie. On sam bowiem tylko przelotnie się zdziwił na widok markiza holującego uczniaka. Pan Dauntry był wspaniałym młodzieńcem: znakomicie zbudowany, o klasycznych rysach, profilu, będącym przedmiotem westchnień wielu dam, twierdzących, że mógłby pozować jako model do greckich rzeźb. Obdarzony piwnymi oczami, przepięknie ukształtowanymi ustami, falującymi kasztanowatymi włosami, opadającymi na szlachetnie sklepione brwi. Będąc tak wyjątkowo przystojnym nieuchronnie skupiał na sobie uwagę, a gdyby jeszcze tylko był bardziej rozgarnięty i potrafił prowadzić zajmującą rozmowę, niewątpliwie stałby się ulubieńcem dam. Niestety, to nie wchodziło w rachubę. Dauntry był uprzejmy i grzeczny, lecz przy tym także nieco powolny i nie grzeszył konceptem, toteż pogawędka z nim była ciężką orką. Ożywiał się jedynie wtedy, gdy opisywał przeszkody, szczęśliwie pokonane podczas ryzykownej gonitwy na pięć mil; okoliczności te sprawiały, że stawał na notorycznych pechowców, chyba że zwietrzył jakiegoś pewniaka. Jego brat oficer uznał go za równego gościa, lecz z życzliwą kpina ochrzcił go przydomkiem Fulary Dauntry'ego, a sam zainteresowany nie zgłaszał wobec tego przydomku najmniejszych obiekcji. Po prostu uśmiechnął się potulnie i potwierdził, że nigdy nie zaliczał się

do spryciarzy. Był także oddanym synem i dobrym bratem. I chociaż z zadowoleniem przyjął pensję od Alverstoke'a (tak samo jak stopień chorążego i konie od markiza), oszczędnie korzystał z tego dobrodziejstwa i niezmiernie rzadko zdarzało się, by zwracał się do chlebobdawcy o dalsze pieniężne wsparcie.

Kiedy zobaczył Alverstoke'a na Bond Street, niezwłocznie przeszedł ulicę, by go przywitać. Rozpromienił się i wyciągając dłoń powiedział:

- Kuzynie Vernonie! Piekielnie jesteś uprzejmy, że zaprosiłeś na swój bal moją siostrę... niech mnie kule! Mama piekielnie jest ci zobowiązana! Ja także, oczywiście!

- Czy to znaczy, że i ty zaszczytis nas swoją obecnością? - zaciekał się Alverstoke.

- Och, na Jowisza, tak! Jakże by mogło być inaczej! Cóż to będzie za ścisk!

- Piekielny! - uściślił jego lordowska mość.

- Niewątpliwie! - zawołał Endymion, mądrze kiwając głową.

- Pierwszy bal w Alverstoke House od czasu debiutu kuzynki Elizy... to słowa mamy! Nie da się wetknąć szpilki! - Tu zauważył nagle obecność panicza Feliksa Merriville'a, który, znudzony rozmową, upomniał się o swoje, pociągając markiza za rękaw. Wysoki jak bóg z Olimpu, zerknął więc w dół, nieco się zdumiał, a potem skierował pytające spojrzenie na Alverstoke'a. Uświadomiony, że to najmłodsza pociecha Freda Merriville'a, powiedział: - Nie może być! Hm, na Jowisza! Fred Merriville! - A potem nieco prostodusznie dodał: - Piekielnie szwankuje mi pamięć! Kim jest ten Fred Merriville?

- Był moim kuzynem - wyjaśnił chłodno markiz. - Niestety, przeniósł się już do wieczności. Był o dobre kilka lat ode mnie starszy, toteż wątpię, czy go znałeś.

- Prawdę mówiąc, nie - przyznał Endymion. - Ale już wszystko rozumiem! Kuzynie, zostałeś opiekunem jego dzieci! Mama mi o tym mówiła. Że wydajesz dla nich bal! Nie wydaje się tym specjalnie zachwycona, lecz niech mnie kule biją, nie rozumiem dlaczego! - Spojrzał w dół i dostrzegł zniecierpliwienie Feliksa. Zmarszczył w zamyśleniu brwi. - Chyba że... hm... wszyscy diabli... ten smarkacz chce iść na bal. Prawda, młody człowieku?

- Nie! - krzyknął nieco za gwałtownie Feliks. - Chcę zobaczyć odlewnię!

- I zobaczysz ją, Feliksie, zobaczysz! - zapewnił markiz. Przeniósł kpiące spojrzenie na swojego dziedzica i dodał: - Endymionie, może zechcesz nam towarzyszyć?

Pan Dauntry, chociaż wcale nie dążył do tego, by być (jak sam to określał) zbyt sprytnym, za żadne skarby nie chciał też uchodzić za (również wedle jego słów) wsioka. Odlewnie kojarzyły mu się mgliście z armatami, wobec tego powiedział tonem znawcy:

- Artyleria, prawda? Nie, nie, kuzynie, to wykracza poza krąg moich zainteresowań!

Potem pożegnał się z Alverstokiem i ruszył swoją drogą, wykazując absolutny brak zaintrygowania lub chociaż zaciekawienia, które męczyły jego matkę czy wścibską kuzynkę Luizę. Z niewzruszonym spokojem zaakceptował wyjaśnienia Alverstoke'a dotyczące tajemniczych Merriville'ów.

Jeśli Alverstoke żywił jakąkolwiek nadzieję, że uda mu się uniknąć wejścia do samej odlewni, to natychmiast musiał się jej pozbyć. Jego nieoceniony sekretarz zadbał, by przetrzeć mu drogę. Kiedy tylko u jakichś drzwi pokazywał wizytówkę, te natychmiast - w przenośni i dosłownie - stawały przed nim otworem.

Zarządca odlewni, otoczony wianuszkami mistrzów, pospieszył z zapewnieniem, że osobiście oprowadzi jego lordowską mość po całym zakładzie. Ten niezwykle kompetentny jegomość nie tylko oświadczył, iż wizyta lorda jest dlań zaszczytem, lecz także zapewnił dostojnego gościa, że z największą ochotą wprowadzi go we wszelkie tajniki nowoczesnej maszynery, jaka zaciekała markiza: owo przyrzeczenie przekonało Feliksa, iż nie zawiódł go instynkt, kiedy upierał się, aby nie towarzyszył mu w tej wyprawie pan Trevor.

- On by tego nigdy nie zrobił dla pana... pana Jak-mu-tam! - wyszeptał triumfująco.

Jego lordowską mość uznał za wyjątkowo szczęśliwy traf, że zarządca odlewni okazał się nie tylko antenatem licznej rodziny, lecz również wyraził współczucie, iż żaden z jego synów nie przejawia chęci pójścia w ślady ojca. Nie minęło pięć minut od poznania najmłodszego z Merriville'ów, a mistrz rozpoznał w nim pokrewną duszę. Od tej chwili markiz, zresztą ku swojej ogromnej uldze, zszedł na drugi plan. Podążał zatem jedynie za rozognionymi entuzjastami. Nudę owej wyprawy rozpraszał Feliks, który, niespodziewanie dla markiza, bardzo go zaintrygował. Niewiele wiedział o gotowaniu formy i o dźwigach pneumatycznych, a jeszcze mniej o tę wiedzę dbał, lecz bardzo szybko się zorientował, że pytania, jakie Feliks zadaje przewodnikowi, zdradzają wiadomości chłopca godne szacunku eksperta. Zaczął podejrzewać, że Feliks reprezentuje sobą o wiele więcej, niż z początku podejrzewał. Nie zdziwił się więc, kiedy pod koniec wyczerpującego obchodu odlewni zarządca pogratulował mu wybitnej wiedzy młodego panicza. Markiz przez chwilę poczuł się dumny z protegowanego, i wcale go to nie zdziwiło.

Jeżeli zaś chodzi o samego Feliksa, jasne było, że jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył tak olśniewająco królewskiego przyjęcia. Oniemiały niemal przetrawianiem informacji, jakie dotarły do jego żadnej wiedzy głowy, zdołał ledwie wyjąkać podziękowania. Na dodatek wyraził (żarliwie) nadzieję, że kuzyn Alverstoke również zajmująco spędził czas.

- Je... Jessamy twierdził, że pan nie ze... zechce iść, ale pan poszedł z ochotą, prą... prawda, sir?

- Oczywiście! - potwierdził markiz, mocno mijając się ze stanem faktycznym.

A nawet gdyby nie, to musiało to pana zainteresować! - nalegał rozpromieniony Feliks.

I na to markiz się zgodził. Potem zawezwał dorożkę, wsadził do niej Feliksa, rozkazał woźnicy, by odwiózł chłopca na Upper Wimpole Street. Jednocześnie obdarował szkraba gwineą: szczodrobliwość ta sprawiła, że dorożkarz zamasyście podciął konia, więc Feliks musiał niebezpiecznie wychylić się z okna, by wykrzyknąć podziękowania dobrodziejowi.

## 9

Podczas gdy markiz cieszył się hedonistyczną wycieczką w Cheveley, codziennie uczęszczał na Drugą Wiosenną Gonitwę w Newmarket i podziwiał, jak jego obiecująca źrebiczka, Pirebrand, przy silnej konkurencji przyszła pierwsza na metę w Gonitwie Dobroczynej, panny Merriville'ówny gorączkowo przygotowywały się do mającego nastąpić w najbliższym czasie debiutu na balu w Alverstoke. W tej sytuacji (poza jednym wypadkiem) pozostałe latorośle rodziny niezbyt się im naprzykrzały. Feliks, zorientowawszy się, że brat jest całkowicie pochłonięty nauką, siostry zaś falbankami i pliskami, postanowił zabawić się na własny rachunek. Przypomniawszy sobie zapewnienie markiza, że pan Trevor mógłby go zabrać do Margate,

gdzie zobaczy statek parowy. Kiedy jednak zawitał do Alverstoke House, aby odświeżyć pamięć Charlesa, rozczarował się na wieść, że Charles wyjechał z miasta. Chłopiec przeżył zawód, lecz uznał, że przecież może pójść nad rzekę i samodzielnie obejrzeć statek. I (jak się później tłumaczył) taki tylko miał zamiar, a gdyby dzień nie był tak piękny, koła łopatkowe parowca tak fascynujące, a cena przejażdżki do Margate tak umiarkowana (jeżeli nie ma się nic przeciwko wspólnej kabynie dla pospółstwa), nigdy by się na to nie powążył. Wszakże połączenie tych wszystkich okoliczności, plus brzęcząca moneta w kieszeni, sprawiły, że ośmielił się w swojej prostoduszności na coś, na co Fryderyka za nic nie dałaby przyzwolenia. Gdybyż tylko ofiarowana mu przez markiza gwinea była nienaruszona albo gdyby zostało z niej mniej niż dziewięć szylingów, dających przywilej spędzenia wielu godzin na zatłoczonym parowcu wśród współpasażerów nie mających nic wspólnego z najlepszym towarzystwem - większość z nich jego bardziej wybredny brat określiłby jako pospółstwo. Na dodatek Feliks na nabrzeżu zaprzyjaźnił się z mechanikiem obsługującym kocioł - wspaniałym gościem! Taka okazja poszerzenia wiedzy postawiła go przed dylematem: wiedział bowiem, iż Fryderyka stanowczo sprzeciwiłaby się tej wyprawie!

Prawdę mówiąc, niewiele spędził czasu we wspólnej kabynie. Jego nieklamany entuzjizm i łatwość w nawiązywaniu przyjacielskich kontaktów, gdziekolwiek się pojawił, przyczyniły się do tego, że marynarska brać natychmiast zapalała do niego sympatią. To było prawdziwe szczęście, jak stwierdziła Fryderyka nazajutrz, kiedy szczerze wynagradzała przysadzistego człowieka, który odstawił do niej brata. W przeciwnym bowiem razie Feliks, nie dysponując kwotą dostateczną do wynajęcia pokoju w Margate, byłby zmuszony przenocować na plaży. W tej sytuacji chłopiec ofiarował swoje usługi kapitanowi (kolejnemu równemu facetowi) i po krótkim przeszkoleniu otrzymał pozwolenie pozostania na pokładzie. Potem w charakterze pasażera na gapę odwieziono go do Londynu, który to fakt najwyraźniej sprawił mu niesłychaną satysfakcję.

Przyznał rozbrajająco, że mu przykro, iż przyprowadził rodzinę o niepokój. Gotów też jest zaakceptować każdą karę, jaką skłonna była nałożyć na Fryderyka.

Było jednak oczywiste, że nawet najsurowsza kara nie zgasi w jego pamięci cudownych wspomnień owych skradzionych wakacji, kiedy dostąpił zaszczytu choroby morskiej po drodze z Margate do Ramsgate, oraz wybrudził się od stóp do głów ropą i smarem. Toteż Fryderyka nie ukarała brata, wymogła tylko na Jessamym przyrzeczenie, iż nie będzie go spuszczał z oka. W przeciwieństwie do o wiele bardziej wrażliwej Charis, która spędziła bezsenność, nasłuchując powrotu wagarowicza, i już widziała oczyma duszy wszelkie okropne przypadki, jakie mogły mu się przydarzyć, Fryderyka zachowała stoicki spokój (prócz, rzecz jasna, nieuniknionego niepokoju). Kiedy Charis robiła jej z tego powodu wyrzuty, przypominała liczne poprzednie okazje, gdy to zniknięcia Feliksa przyprowadzało kochające siostry o palpitanie, lecz kiedy chłopiec wreszcie się Mawiał, okazywało się, że nawet włos nie spadł mu z głowy. Tę opinię podzielała panna Winsham, która orzekła, iż ten przeklęty chłopak jest jak kot: bez względu na to, w jakich się znajdzie opałach, zawsze spada na cztery łapy.

Jessamy, rozdarty między uczuciem dezaprobaty a skrytym podziwem dla wyczynu młodszego brata, zaakceptował nałożony nań obowiązek. Przy czym ograniczył się jedynie (ku niepomiernemu zdumieniu młodego dżentelmena) do łagodnego grymasu twarzy. Choć wytrwał w postanowieniu, że nie zmarnotrawi

całego czasu w Londynie, to jednak często odkładał podręczniki na bok i przynajmniej pobieżnie poświęcił się rozrywkom, jakie oferowała metropolia. Prośba Fryderyk! dała mu znakomitą wymówkę do odstąpienia od ambitnych planów. Wobec tego przegnał Feliksa przez trzysta czterdzieści pięć stopni na kolumnę upamiętniającą pożar Londynu z 1666 roku. Poinformował go, kiedy stanęli na szczycie przy żelaznej barierze, że kolumna ta jest o dwadzieścia cztery stopy wyższa od Kolumny Trajana. Była to pierwsza i zarazem ostatnia naukowa ekspedycja tego pamiętnego tygodnia. Kiedy bowiem Feliks przekonał się, że Nową Mennicę - wraz z jej mocarnymi maszynami parowymi i oświetleniem gazowym - można zwiedzać wyłącznie za specjalną rekomendacją, postanowił zadowolić się pomniejszych atrakcjami. A do nich zaliczały się lwy i tygrysy na Exeter Change, akwarium morskie przy Sadler's Wells, żywe obrazy w Surrey Theatre i mecz bokserski w Fives-Court na St Martin Street. Potem jednak skromny Jessamy odmówił współpracy i nie chciał zabrać Feliksa ani do domu publicznego, ani do kabaretu. Ponieważ dotąd nie widział nic bardziej ekscytującego od przedstawień scen z Szekspira w domu ojca chrzestnego na Gwiazdkę, melodramat zachwyił go, przytłumił jego wyrzuty sumienia i podpowiedział mu, by zaprowadzić Feliksa do Surrey Theatre. Gdy jednak ujrzał na własne oczy towarzystwo zgromadzone w Fives-Court, sumienie dało o sobie znać i Jessamy stwierdził stanowczo, że nie wystawi młodszego brata na pokusy lubieżnego Londynu. Zastępcze atrakcje, jak katedra Świętego Pawła czy Muzeum Bullocka, pogardliwie odrzucił, natomiast z radością przyjął ofertę wycieczki statkiem pasażerskim z przystani Paddington przez kanał Grand Junction do Uxbridge. Feliks musiał przystać na tę wyprawę (choć po wycieczce parowcem uznał ją za śmiertelnie nudną), mimo że w kieszonkowym przewodniku nie znalazł nic na temat Niezrówanego Jeziorka. Ten wielki teren kąpielowy z perlistym, zielonym w kolorze basenem, biblioteką i jeziorkiem z rybkami leżał w Moorfields, tuż za szpitalem Betlejem. Jessamy, który zaczynał poznawać Londyn, z położenia szpitala wnosił, że najpewniej nie znajduje się w najwytworniejszej dzielnicy. Gdy jednak dowiedział się, iż wcześniej znano go pod nazwą Jezioro Ryzykantów - wielu nieszczęśliwców utopiło się tu podczas kąpieli - natychmiast przestał protestować przeciwko odwiedzeniu tego cuda. Co więcej, ochoczo się na to zgodził, przysięgając sobie wszakże w duchu, że nie pozwoli Feliksowi wskakiwać do wody, póki sam (w drodze eksperymentu) nie przekona się, iż jest to bezpieczne. Jednak okazało się, że już od dawna Jezioro Ryzykantów przekształcono w idealnie bezpieczny basen kąpielowy, a ponieważ wiosenny dzień był dość chłodny i nad wodą nie było ludzi, obaj bracia rozsądnie zdecydowali się odłożyć pływanie na jakiś późniejszy termin w sezonie.

Feliks naturalnie opowiedział reszcie rodziny o Jeziorku Ryzykantów i o tym, że postanowili z Jessamym wybrać się tam znowu, kiedy się tylko trochę ociepli. Kiedy jednak został sam z bratem, przyznał, że wcale nie zamierzał opowiedzieć dziewczętom o wizycie w Fives-Court.

- Sam wiesz, jakie są niewiasty! - stwierdził. - O byle co podnoszą wrzawę... jakby w oglądaniu dobrej walki było coś zdrożnego!

Owe niefrasobliwie rzucone słowa zadały ostateczny cios wrażliwemu sumieniu brata. Sprawily, że Jessamy zdał sobie sprawę, iż nie tylko pominął w swoich opowieściach wyprawy do Fives-Court i Surrey Theatre, ale także uwięził swoją niegodziwość ucząc (na własnym przykładzie) Feliksa, jak mijać się z prawdą. W jego oczach więc pojawił się lodowaty błysk, którego tak obawiała się rodzina, i zacisnąwszy



wargi wycedził:

- Przyszaj, że nie powinienem był cię tam zabierać i zamierzam powiedzieć o tym Fryderyce. W samej hulance nie ma nic szkodliwego, ale to towarzystwo... zakłady... i... nieważne... popełniłem błąd prowadząc cię w takie miejsce!

- Och, bredzisz... Jessie! - zawołał z obrzydzeniem Feliks. Gotował się już do wielkiej kłótni, lecz chociaż w oczach Jessamy'ego pojawił się gniewny błysk, chłopak zlekceważył obrażę, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Kiedy mężnie przyznał się do wszystkiego Fryderyce, siostra pobłażliwie potraktowała całą eskapadę. Nie sądziła bowiem, żeby dwunastolatkowi groziła natychmiastowa deprawacja, jeśli obejrzał pasjonujący melodramat albo wymianę ciosów przez bokserów. Nawet jeśli w melodramacie - o czym powiadomił ją Jessamy - można było znaleźć sceny zdecydowanie niemoralne. Całą opowieść skwitowała z dużą dozą zdrowego rozsądku:

- Nie przypuszczam, aby Feliks zwrócił uwagę na to, co było odrobinę nieprzyzwoite. Jemu zależało tylko na przygodzie! Oczywiście, nie pochwalam prowadzenia na takie spektakle, ale nie musisz mieć wyrzutów sumienia, Jessamy! Wierz mi, nie wyrządził mi tym najmniejszej szkody! Zaś w sprawie boksu, to przyznaję, że uważam to za paskudny sport, wiem jednak doskonale, że najprzedniejsi dżentelmeni nie dopatrują się w nim niczego złego. Cóż, nawet twój własny dziad...

- Nie chodzi o boks, tylko o towarzystwo - wtrącił Jessamy.

- Nie wiedziałem, a mogłem się tego spodziewać, że ja, ja, który zamierzam zostać duchownym, sprowadzę małego braciszka na złą drogę!

Fryderyka, obawiając się, że brat wkrótce przybierze pozę - wedle nieco grubiańskiego określenia Harry'ego - wczesnochrześcijańskiego męczennika, zawołała:

- Ale to bzdura, Jessamy! Zbyt wielką przywiązujesz do tego wagę! Może ty dostrzegłeś, jakie to było towarzystwo, ale Feliksa nie interesowało nic poza walką.

- Wydaje mi się - orzekł stłumionym głosem Jessamy - że od chwili naszego przyjazdu do Londynu nie obchodzi cię nic poza debiutanckim baleem Charis i... światowymi sprawami!

- Cóż, jeśli ja o tym nie pomyślę, to kto to za mnie zrobi? - odcięła się. - Sam wiesz, że ktoś musi, bo inaczej gdzie byśmy się znaleźli? - Uśmiechnęła się. - Nie udzielaj mi nauczek, kochanie, ale popatrz na świat trochę sensowniej. I przestań zachęcać naszego sąsiada, by nas nawiedzał!

- Nawiedzał! - powtórzył marszcząc brwi. - Jeśli chodzi ci o to, że jest przyjazny i uprzejmy...

- Nie o to, żółtodziobie! Sedno tkwi w tym, że wypatruje ślepie za Charis, a niebawem będzie to dla nas dokuczliwe.

- Skoro ci się nie spodobał, dlaczego nie powiesz Charis, aby trzymała go na należyty dystans? Ja niezbyt grzecznie bym się zachował dając mu odprawę! Poza tym, dlaczego ja mam to robić? Uwierz mi, że mówię o Charis z największym szacunkiem. Co więcej, ja pierwszy go poznałem, na wiele dni przedtem, nim ją zobaczył!

W oczach Fryderyk! tańczyły iskierki śmiechu, odezwała się jednak poważnym tonem:

- Więc tak było!

- A jego matka przyszła ci złożyć wizytę. Moim zdaniem było to bardzo grzeczne i uprzejme z jej strony! Dlaczego więc tak się najeżyłaś? I dlaczego odprawiłaś ją z kwitkiem, kiedy zaprosiła nas na obiad i na spędzenie miłego popołudnia w ich domu? Czy nie jest to osoba godna szacunku?

- Śmiem twierdzić, że ogólnie rzecz biorąc tak, lecz to nie powód, by nawiązywać bliższe kontakty z tą rodziną czy kręgiem jej przyjaciół. Mówię ci szczerze, Jessamy, mogą to być uczciwi, wartościowi ludzie, ale nie zaliczają się do towarzyskiej śmietanki! Patronat pani Nutley nie przyniesie nam korzyści, prawdę mówiąc, może nawet wyrządzić znaczną szkodę! Jej maniery, sam rozumiesz, dalekie są od dystygowanych, a z tego, co wyjawiał mi Buddle, pan Nutley bynajmniej nie zalicza się do arystokracji.

- Buddle! - wykrzyknął Jessamy. Uśmiechnęła się.

- Kochanie, jeśli Buddle kręci nosem, możesz być pewny, że ma rację! Tatko kiedyś mi zdradził, że Buddle wyczuje pospólstwo na milę! Przyznaję, młody Nutley ma nieco więcej ogłady od swoich rodziców, lecz mimo wszystko jest nuworyszem.

- Jeżeli człowiek jest uczciwy i wartościowy, co sama przyznałaś, Fryderyka, nic poza tym mnie nie obchodzi! - zaproponował Jessamy.

- Hm, ze wszystkich kandydatów...! - wykrzyknęła Fryderyka.

- Z całej naszej rodziny ty najbardziej jesteś uparty! - wykrzyknęła Fryderyka. - Cóż, nawet koniuszy nie był tak surowy wobec biednego, prostodusznego człowieka, który dwa lata temu wynajął Grange'a! To ty twierdziłaś, że na polowaniu nachalnie pcha się do przodu, jest zgrzybiałym mieszczuchem i...

- Dwa lata temu! - przerwał, zaczerwieniony. - Mam nadzieję, że teraz jestem mądrzejszy!

- Owszem, kochanie, ja też! - przyznała szczerze siostra. - Gdyż jeśli zamierzasz zostać pastorem, nie powinieneś potępiać wartościowych ludzi tylko dlatego, że z powodu niewiedzy poganiają, biją albo strofują swoje ogary!

Ta uwaga skończyła dyskusję. Jessamy wycofał się w wyniosłym milczeniu, a Fryderyka wróciła do przyziemnych spraw, które sprowadziły ją do Londynu.

W tej kwestii nieświadomego wsparcia udzieliły jej Charis, na której skupiły się jej wysiłki, oraz panna Winsham, generalnie potępiająca zamążpójście jako drogę kariery dla niewiasty. Ta jednak niechętnie przyznała, że Charis zasługuje na kogoś o wiele lepszego niż taki gołowąs. Charis natomiast z umiarkowaną nadzieją wyglądała pierwszego swojego sezonu w Londynie. Dla dziewczęcia, które nigdy nie wychyliło nosa poza granice hrabstwa Hereford i którego rozrywki nie przekraczały letnich pikników i przyjęć wydawanych w ogrodzie albo niekiedy skromnych wieczorów tanecznych czy amatorskich przedstawień teatralnych, perspektywa londyńskiego balu, wykwintnych śniadań, rautów, uczt, wizyt w teatrze i w operze, a nawet, może, u „Almacka”, musiała okazać się pociągająca. Kiedy jednak zrozumiała, że kochana Fryderyka jest skłonna wydać ostatniego pensa na jej suknie, sama usiłując sprokurować sobie garderobę domowym sposobem, przestała się tym wszystkim cieszyć. Ogólnie rzecz biorąc Charis była najpotulniejszym dziewczęciem, niekiedy jednak stawała się uparta jak koza. Gdy tylko odkryła, że Fryderyka zamierza poprosić niezbyt zręczną krawcową ciotki Scrabster o uszycie dla siebie sukni, oświadczyła, równie uparta jak uroczka, że nienawidzi wspaniałych kreacji oferowanych przez najmodniejszą modystkę z eleganckiego, dyskretnego zakładu na Bruton Street, do którego Alverstoke skierował Fryderykę

Fryderyka podziękowała mu chłodno za radę, twierdząc, iż bez wątpienia jest świetnym znawcą tej materii. Kiedy jednak popatrzywszy na nią kąpiąco, powiedział, aby wspomniała jego nazwisko madame Franchot, gdyby tylko zechciała zamówić u tej geniuszki najbardziej olśniewające suknie, zapomniała się na tyle, że wykrzyknęła z żalonym brakiem panińskiej skromności:

- Tak bym zrobiła, gdybym chciała, by okrzyknięto mnie parwienuszką o wygórowanych ambicjach!

- Fryderyko, powiedz mi, z łaski swojej, co ci wiadomo o parwienuszkach o wygórowanych ambicjach? - spytał, tłumiąc śmiech.

- Niewiele, lecz tatko mówił, że stroją się trochę jak dziew... Urwała w pół słowa, lecz jego lordowska mość łaskawie zakończył za nią zdanie:

- ...dziewczęta! Szczera prawda, ale jako wasz opiekun jestem do głębi wzburzony i muszę nalegać, byś w przyszłości nie przyprowadzała mnie o rumieniec... przynajmniej publicznie!

- Och, nie! Nie miałam takiego zamiaru! Chodziło mi o to...

- napotkała jego wzrok i wybuchnęła śmiechem. - Jest pan najwstrętniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek dane mi było poznać! A teraz proszę mi zdradzić: którą modystkę uważa pan za najlepszą!

- Jest tylko jedna. Odwiedź pannę Stark na Conduit Street! Ma niezrównany gust!

- Jestem wielce zobowiązana! Spodziewam się, że jest koszmarnie droga, ale zastanawiam się, czy nie obniży ceny, kiedy dowie się, że Charis debiutuje w tym sezonie pod patronatem lady Buxted - powiedziała przebiegle Fryderyka.

I miała absolutną rację. Panna Stark, zbyt często zmuszona marnować swoje mistrzostwo na kreowanie kapeluszy i czepeków, które miały dodać urody przeciętnej twarzy, a także nazbyt często zmuszona wbrew swojej artystycznej duszy spełniać wolę bynajmniej nie pierwszej już wiosny klientek, które stanowczo domagały się kapeluszy odpowiednich dla debutantki, w młodszej panie Merriville dostrzegła spełnienie swoich marzeń. Projektowała już kapelusze dla wielu pięknych młodych dam - jej nieomylny instynkt na pierwszy rzut oka podpowiadał, że korona nie jest odpowiednia dla panny A., że panna B. nie powinna nosić zbyt obcisłego czepekka, zaś panna C. nie może odważyć się na włożenie kapelusza a la huzar. Nigdy dotąd jednak modystki nie poproszono o uszycie nakryć głowy dla klientki, która w każdym kapeluszu nałożonym na błyszczące loki prezentowałaby się tak olśniewająco. Nie było problemem znalezienie odpowiedniego fasonu, który dodałby urody pannie Charis Merriville: to panna Charis właśnie dodawała urody każdemu nakryciu głowy.

Przeobraziła nawet nieudany czepek w stylu Angouleme z białą nicianą siateczką - fason, który nie podobał się nikomu poza samą twórczynią - w czarującą konfekcję, jaką z pewnością cztery na pięć matek zdecyduje się nabyć dla swoich córek. Jeśli zaś chodzi o dumę kolekcji panny Stark - o ekstrawagancki wysoki kapelusz z wielkim, zadartym z przodu rondem i kaskadą karbowanych piór, kiedy panna Stark odstąpiła o krok, by zobaczyć, jak prezentuje się na głowie Charis, w jej oczach zakreśliły się łzy triumfu. I chociaż zwróciła się w stronę swojej głównej pomocnicy, fałszywą malkontentkę dostrzegła jedynie przez mgiełkę. Panna Throckley wątpiła bowiem w geniusz pryncypalki, utrzymując, że kapelusz zanadto wyprzedza modę i jest nazbyt wyzywający, by nałożyła go jakakolwiek niewiasta. I co teraz panna Throckley ma do powiedzenia?

Jak można się było spodziewać, panna Throckley wyraziła swój zachwyt wyglądem panienki w kapeluszu, który - jej nieśmiałym zdaniem - tylko nieliczne damy ośmieliłyby się nałożyć. Nie do niej należy udzielanie rad, ale kiedy wyobrazi sobie w nim inną, mniej wdzięczną główkę - to nie może, doprawdy, nie może znieść takiej myśli!

Ową pochwalną pieśń, do której entuzjastycznie dołączyła panna Stark, brutalnie przerwała Fryderyka, stanowczym głosem pytając o cenę. Kiedy ją usłyszała, wstała i z uśmiechem potrząsnęła przecząco głową.

- Zatem nic z tego! Obawiam się, że kapelusz jest za kosztowny. Proszę zrozumieć, że siostra potrzebuje wielu nakryć głowy, toteż nie możemy pozwolić sobie na szaleństwo przy jednym tylko kapeluszu. Bez wątplenia jest bardzo ładny, lecz równie ładny jest kapelusz w stylu rustykalnym z płaskim denkiem i kwiatami, choć i ten jest trochę za drogi. Charis, idziemy! Nie powinniśmy marnować czasu panny Stark... ani, prawdę mówiąc, naszego! Wielka szkoda, lecz z pewnością jeszcze znajdziemy coś, co równie ci się spodoba!

- Dobrze! - radośnie zgodziła się Charis, zawiązując wstążeczki własnego czepeczka pod lewym uchem. - Ja zadowolilibym się przyozdobionym satyną słomkowym kapelusikiem, który widziałyśmy na wystawie na Bond Street. Chodźmy obejrzyć go raz jeszcze!

Podczas tej wymiany zdań panna Stark dokonała w myślach gwałtownej kalkulacji. I kiedy Charis poczęła wciągać rękawiczki, poprosiła ją gorąco, by ponownie usiadła, przebiegle oskarżając pannę Throckley o to, że pomyliła cenę. Poza tym poinformowała Fryderykę, iż jej nieodmiennym zwyczajem jest oferowanie znacznych zniżek, kiedy dama pragnie nabyć kilka kapeluszy. Zapewniła jednocześnie, że z największą przyjemnością przychyli nieba wszystkim przyjaciółkom lady Buxted.

Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie poproszono jej, by służyła jaśnie pani czymś więcej niż koronkowym czepeczkiem, wiedziała jednak, kim jest ta dama, więc chytrze dostrzegła okazję dostania się w najlepsze kręgi towarzystwa. W tych kręgach zaprezentuje śliczną pannę Merriville. A jeśli widok jej urzekającej twarzy, przyozdobionej wybornym kapeluszem, nie sprowadzi na Conduit Street całego zastępu matek z najwyższych sfer, pragnących wyswatać córki, to panna Stark nie zna się na ludziach. W tej sytuacji nie pozostawało nic innego, jak tylko napomknąć delikatnie starszej panie Merriville, by ku obopólnemu zadowoleniu zawarto cichy układ i aby głośno oznajmiała wszem i wobec, że kapelusze siostry są dziełem panny Stark z Conduit Street. Nie znajdzie się chyba bowiem matrona, która powstrzyma się od wypytywania panny Charis, gdzie znalazła tak czarujący kapelusz, a wydawało się wielce nieprawdopodobne, by to niewiniątko zachowało tylko dla siebie pożądaną informację. Odpowiedź musiała więc brzmieć: „U panny Stark”, a nie „U Clarimonde’a” na New Bond Street.

Od słowa do słowa i trzy cudowne kapelusiki odniesiono do wynajętego powoziku panny Merriville - teraz uświetnionego obecnością Owena, zaufanego lokaja wybranego przez pana Trevora, a zaaprobowanego przez Buddle’a.

- Hm, czyż to nie sukces? - odezwała się Fryderyka, w której oczach mieniły się jednocześnie triumfalne i psotne iskierki. - Trzy kapelusze za cenę niewiele wyższą niż za jeden!

- Fryderyko, one były straszliwie drogie!

- Nie więcej niż mogły sobie pozwolić. No dobrze, zgadzam się, że nie były tanie, ale sama wiesz, że

kapelusze są bardzo ważne! Nie złość się, kochanie! Teraz musimy coś postanowić w kwestii twojej sukni na bal debiutancki. Czy podobała ci się któraś z tych, jakie oglądałyśmy u Franchot? Może ta z rosyjskim stanikiem i wstawkami z błękitnej satyny z przodu? - Charis potrząsnęła głową. Nieco rozczarowana Fryderyka rzekła: - Sądziłam, że najbardziej ci pasuje. Cóż, skoro jednak nie podoba ci się... A co myślisz o tej bardzo ładnej z białej satyny i z różowym staniczkiem?

- Myślę, że to ty świetnie w niej wyglądałaś! Zawsze dobrze ci było w różowym!

- Charis, nie dyskutujemy o moich sukniach, a nawet gdyby, to ja nigdy nie ośmieliłabym się ubrać w strój odpowiedni dla młodego dziewczątka! Poza tym, świetnie wiesz, że pani Chibbet uszyje mi dokładnie to, czego chcę, bo byłaś u niej ze mną, kiedy wybierałam włoski krepdeszyn w kolorze kwiatu pomarańczy i satynową halkę!

- Owszem, ale także wiem doskonale, czego ja chcę! - oświadczyła Charis. - Fryderyko, błagam, powiedz, że się zgadzasz!

- Ależ, kochanie...! - krzyknęła Fryderyka. - Oczywiście, że kupimy wyłącznie to, co się tobie spodoba! Chyba że będziesz się upierać przy czymś absolutnie dla ciebie nieodpowiednim, co jednak wiem, że się nie stanie, gdyż masz wyjątkowo dobry gust! Gdzie widziałaś tę suknię?

- Zaraz ci pokażę - obiecała Charis, z wdzięcznością ściskając dłoń siostry.

Więcej nie chciała wyjawiać, wypytywana tylko potrząsała głową i zacisnęła z uporem śliczne usta. Kiedy jednak zajęchały na Upper Wimpole Street, zaciągnęła Fryderykę do swojej sypialni i rozłożyła przed nią najnowszy numer „Magazynu dla Dam” na stronie przedstawiającej rysunek młodej smukłej damy elegancko ubranej w suknię trzy czwarte z białej lekkiej tafty, wyszywanej z przodu różyczkami z pereł, a nałożonej na białą satynową halkę.

- I... i co o tym sądzisz, Fryderyko? - spytała, niespokojnie popatrując na siostrę.

Patrząc krytycznie na szkic i w myślach usuwając takie dodatki do sukni, jak brązowiofioletowy szal, tiarę i czarną przepaskę na głowie, Fryderyka doszła do wniosku, że instynkt nie zawiódł Charis. Była wysoka, choć (Bogu dzięki) nie tak, jak dama na obrazku, która miała chyba z siedem stóp wzrostu, więc idealnie pasowałby jej prosty, smukły krój stroju.

- Podoba mi się! - odparła zdecydowanie. - Jest niewyszukana, a mimo to niepospolita. Masz absolutnie rację, Charis: znakomicie będzie na tobie leżała! A szczególnie te wdzięczne miękkie fałdy halki bez żadnych falbanek czy przymarszczeń wokół rąbka.

- Wiedziłam, że się zgodzisz! - wykrzyknęła Charis. - Tak, tęcz... - Fryderyka urwała, marszcząc czoło. Uniosła wzrok i napotkała wzruszające spojrzenie błękitnych oczu błagalnie utkwione w jej twarzy. Wobec tego dodała: - Przypuszczam, że chciałabyś, aby Franchot skopiowała tę suknię. Ale czy to zrobi? Nie jestem całkiem pewna, lecz podejrzewam, że londyńskie modystki są przywiązane do własnych kreacji.

- Nie, nie nie! - zawołała Charis z niezwykłą u niej gwałtownością. - Zamierzałam sama ją uszyć!

- Ależ to absurd! - zaprotestowała stanowczo Fryderyka. - Zamierzasz pojawić się na debiutanckim balu w stroju uszytym domowym przemysłem? Nigdy w życiu! Charis, gdybyś tylko wiedziała, od jak dawna marzyłam o zaprezentowaniu cię w takim stroju, w którym najśliczniej byś wyglądała...

- I tak się stanie! Przysięgam ci, kochana, a moja najukochańsza siostrzyczko! - oznajmiła Charis, gorąco ją

ściskając. - Tylko mnie wysłuchaj! Pojmuję, że nie jestem zbyt bystra ani wykształcona, ale jedno wiem: ciotka dopilnowała, abym umiała dobrze szyć! Tak, potrafię też skroić materiał, a również wszyć rękawy! Przypomnij sobie suknię, którą uszyłam na bal hrabstwa i jak wszyscy usiłovali dowiedzieć się od ciotki Scrabster, czy posłała po nią do Londynu, czy może znaleźliśmy w Ross lub w Hereford taką krawcową, o której do tamtej pory nikt nie miał pojęcia. Nawet lady Peasmore była poruszona, gdyż wyjawiała Mariannie, że w moim stroju jest coś, co niechybnie zdradza modystkę szyjącą dla najlepszych sfer! A poza tym, wiesz, Fryderyko, że bardzo lubię szyć!

Temu nie sposób było zaprzeczyć. Charis słynęła z mistrzowskiej igły.

Wieczorem panna Winsham, zostawszy sam na sam z ulubioną bratanicą, stwierdziła z przekonaniem:

- Pozwól jej! Nawet gdyby to spaskudziła... czego nie zrobi, gdyż twierdzę, że może jest głupiutka, lecz ma o wiele zręczniejsze palce niż ty, Fryderyko!... to przynajmniej będzie miała jakieś zajęcie, które utrzyma ją z dala od tego nachalnego pyszałka z sąsiedztwa!

Fryderyka wyraziła zgodę.

## 10

Panna Winsham, która z największą radością zgodziła się złożyć obowiązek towarzyszenia siostrzenicom na debiutanckim balu w Alverstoke na barki lady Buxted, w ostatniej chwili przed odjazdem dziewcząt wychyliła się z okna, pytając głośno, czy zabrały chusteczki do nosa. Buddle upominał je, by nie pobrudziły sukien o stopnie powozu, Owen zaś pieczołowicie pomógł im wejść do środka. Obie siostry z rozkoszą wypatrywały balu, spodziewając się, że spędzą bajeczny wieczór. Żadna z nich nie zdradziła się z typowymi dla młodych dam, wchodzących pierwszy raz w towarzystwo, lękami (bo też i takich nie miały). Charis, nie mająca bynajmniej ambicji i nieczuła na przedziwne komplementy, jakimi ją obdarzano, tkwiła w przekonaniu, że bal będzie cudowny. Zawsze uwielbiała bale: ich uczestnicy okazywali się tacy przyjacielscy! Nie miała też obaw, że podczas wszystkich tańców będzie siała rutkę, gdyż nigdy dotąd nic takiego jej się nie przydarzyło. Gdyby jednak trochę wnikliwiej się nad tym zastanowiła, to doszłaby do wniosku, iż działo się tak, gdyż w hrabstwie Hereford miała wielu znajomych. Jednakże gdyby ktoś powiedział jej, że w Londynie, gdzie była obca, przez większość wieczoru będzie podpierać ścianę w towarzystwie opiekunek pańien, ostrzeżenie takie potraktowałaby ze stoickim spokojem i bez najmniejszego nawet rozgoryczenia.

Fryderyka natomiast miała pewne ambicje, skupione jednak na siostrze. Zachwycona kwitnącą urodą Charis, a także faktem, że suknia, którą siostra dla siebie uszyła, wytrzymywała wszelkie porównania ze wszystkimi przepięknymi kreacjami od Franchot, była całkowicie spokojna. Uroda Charis i jej nienaganne maniery bez wątplenia zapewnią sukces. Jeśli zaś chodzi o nią samą (w jej własnym mniemaniu), to skoro jej pierwsza młodość była już za nią tak daleko, wcale nie musiała znaleźć się na świeczniku. Interesowało ją wyłącznie zapewnienie Charis nieskazitelnego zaplecza. I nie (dostrzegała w tym najmniejszego problemu). Za długo pełniła obowiązki pani domu ojca, by cokolwiek mogło ją speszzyć. Suknia o barwie kwiatu pomarańczy, sprokurowana przez pannę Chibbet, a udoskonalona zręcznymi palcami Charis, była akurat

odpowiednia dla damy w nieco podeszłym już wieku, która nie rości sobie pretensji do zamążpójścia. Brylantowy naszyjnik - dar świętej pamięci pana Merriville'a dla żony - dodawał jej godności, a niewielki aleksandryjski czepek, jakim, głucha na protesty Charis, uzupełniła elegancką toaletę, wyraźnie zdradzał, że jego właścicielka plasuje się wśród szacownych starych panien.

Fryderyka może niezbyt orientowała się w konwenansach, jakie obowiązywały wśród arystokracji, wiedziała jednak, że skoro markiz zaprosił Charis i ją do Alverstoke na kolację przed balem, to oczywiście po to, żeby je w ten sposób uhonorować. W kilku linijkach, jakie sekretarz skreślił starannym pismem pod jego dyktando na odwrocie pięknej wizytówki, nie pozostawił żadnych wątpliwości co do kierujących nim motywów. A te mówiły, dlaczego zgodził się zaprezentować panny swoim starszym siostronom oraz osobom, które, jego zdaniem, mogłyby się okazać użyteczne. To ostatnie słowo złośliwie podkreślił, a liścik zakończył prośbą (wyglądającą raczej na kategoryczne żądanie), aby przyjechały do jego domu trochę wcześniej przed ustaloną godziną. Jak na gust Fryderyki, owo krótkie przesłanie było nieco zbyt autorytatywne, mimo to po namyśle uznała, że powinna się doń zastosować, gdyż jaśnie pan bezsprzecznie wyświadczył jej towarzyską uprzejmość. Nie była świadoma, że tak naprawdę poświęcił się nawet do tego stopnia dla swoich przybranych podopiecznych, iż to dla nich właśnie wydawał tę kolację. Poza nielicznymi wyjątkami zaprosił na nią osoby, których zazwyczaj albo unikał, albo w ogóle nie zauważał. Pod pierwszą kategorię podpadały jego starsza siostra i jej małżonek, siostra Luiza, kochająca kuzynka Lukrecja oraz lady Sefton, której przyjaźń w jego oczach niczym nie usprawiedliwiała nieodmiennie irytującej afektacji. W drugiej kategorii natomiast znaleźli się dwaj siostrzeńcy i dwie siostrzenice, stanowiący niezłą partię, lecz nudny pan Redmure, zaręczony z najstarszą siostrzenicą, spadkobierca markiza, jego spadkobierca, siostra spadkobiercy - Chloe, oraz szacowny Alfred Parracombe, mający wątpliwą przyjemność być mężem przystojnej brunetki, której imię jeszcze tak niedawno łączono z nazwiskiem jego lordowskiej mości. Łączono je także z wieloma przedstawicielami arystokracji o głośnych nazwiskach. Kiedy pan Trevor skojarzył sobie to z nazwiskami dam Jevington i Buxted, lekko zakręciło mu się w głowie. Miał jednak na tyle rozumu, by wiedzieć, że niejaką panią Parracombe zaproszono, aby zakwasila to, co jego lordowska mość zjadliwie określał jako „drożdżowe baby”. Dalsze zaproszenia wysłano lordowi i lady Jersey oraz wieloletniemu przyjacielowi jaśnie pana - panu Darcy'emu Moretonowi. Pan Trevor, otrząsając się z osłupienia, w jakie wpadł zobaczywszy listę gości, ponownie ją przejrzał i dostrzegł pewien błąd.

- Mamy tu nieparzystą liczbę, sir - wskazał. - Jest dziesięć dam i dziewięciu dżentelmenów, wliczając w to pana.

- A dziesięciu, wliczając ciebie! - powiedział jego lordowska mość. - Nie wątpię, że wolałbyś się wymówić, i doskonale cię rozumiem, lecz jeśli łudzisz się, że zamierzam przetrwać to obrzydliwe przyjęcie bez twojego wsparcia, zapewniam cię, iż jeszcze mało mnie znasz!

Charles roześmiał się, ale jednocześnie i zaczerwienił, a potem wyjąkał:

- Będę... będę ogromnie szczęśliwy! Dziękuję, sir! Czy mam... czy chce pan, abym także uczestniczył w balu?

- Ależ oczywiście! A teraz skup się, gdyż planuję, jak rozsadzić przy stole gości: to powinno cię dość zaabsorbować!

- Muszę przyznać - zgodził się Charles, zerkając na listę - że niezmiernie trudno przyjdzie nam wykombinować zadowalający układ. To znaczy...

- Doskonale wiem, co masz na myśli, drogi chłopcze. Jeszcze zanim do ciebie przyszedłem, pojąłem, że taki układ jest niemożliwy. Ale rusz głową! Usadź moją siostrę Jevington naprzeciwko mnie: doprowadzi to lady Buxted do białej gorączki, lecz na to nic nie można poradzić. Ze wszech miar niestosownie byłoby wynosić ją ponad lady Jevington, a odnoszę wrażenie, że powinniśmy postępować zgodnie z przyjętym zwyczajem, prawda?

Pan Trevor, mając wciąż zakonotowane w pamięci nazwisko pani Parracombe, odparł drewnianym tonem:

- Racja, sir.

Markiz, z kpiną w oczach, powiedział z aprobatą:

- Dokładnie tak, Charles! Zostawiam więc całą sprawę w twoich kompetentnych dłoniach, gdyż powinienem wyjechać do Cheveley ze spokojną głową. No nie, może lepiej napiszę do lady Jevington liścik, w którym będę ją błagał, by zgodziła się czynić honory pani domu na kolacji. Przypuszczalnie to złagodzi nieco jej wściekłość, kiedy dowie się, że lady Buxted i pani Dauntry dostąpią zaszczytu witania wraz ze mną gości przybywających na bal. Jakże wyczerpujące są wszystkie te przygotowania! Gdyby ktoś o mnie pytał, kiedy będę w Cheveley, powiedz, że wyjechałem na wieś podreperować zdrowie. A co do reszty - rób, co uważasz za najstosowniejsze! Proszę cię tylko o jedno: pohamuj wrodzoną oszczędność i powstrzymaj się przed przeistoczeniem sali balowej w namiot.

- Z całymi jardami różowego jedwabiu! Raczej nie posunę się do tego, sir! Jeśli natomiast nie pan nic przeciwko temu, to chciałbym przystroić salę kwiatami.

- Oczywiście, zrób tak! - powiedział serdecznie lord. - Przypuszczam - nie wątpię w to nawet przez chwilę - że nie zostawisz mi nic do roboty, co, jak doskonale wiesz, zawsze było moim celem.

Należy zawdzięczać energii pana Trevora, jego uznanym talentom w dziedzinie organizacji i taktowi, dzięki któremu zyskał sobie współpracę tak zazdrosnych person, jak kamerdyner jaśnie pana i lokaj, że owa pełna nadziei przepowiednia dokładnie się spełniła. We wszystkich przygotowaniach markiz doszukał się tylko jednego błędu. Gdy pan Trevor przedłożył mu starannie opracowany plan rozsadzenia gości przy stole, zamienił dwa nazwiska, w rezultacie czego pan Trevor znalazł się u boku młodszej z panien Merriville. Była to sympatyczna zamiana, lecz sekretarz poczuł się w obowiązku podszeptać, że przypuszczalnie pan Endymion Dauntry niechętnie zasiądzie obok swojej kuzynki Jane.

- Bardzo prawdopodobne... prawdę powiedziawszy, z całą pewnością tak będzie - potwierdził markiz. - Ale co sprawiło, iż Przypuszczasz, że pobożne życzenia Endymiona w ogóle mnie obchodzą?

Jego lordowska mość, pomyślał pan Trevor, uczynił jedną z takich uwag, które sprawiały, iż cieszył się opinią człowieka całkiem nieprzewidywalnego. Potrafił w jednej chwili zarazem przyciągać i odpychać od siebie. Nie mogło być nic bardziej odrażającego niż chłodna obojętność, jaką okazywał członkom własnej rodziny; nic też bardziej czarującego od względów wobec przypuszczalnych pragnień jego sekretarza. Mógł jednocześnie, z szokującym brakiem delikatności, umieścić wśród gości damę, której obecność wywoła szczerą wściekłość siostr, a zarazem, zupełnie jakby to należało do obowiązków jego sekretarza, poprosić go o zaszczytowanie swoją obecnością balu. Pan Trevor doskonale zdawał sobie sprawę, że markiz na równi



spodziewa się po nim, że będzie się dobrze bawił, jak i mianował go kimś w rodzaju swojego adiutanta, niby drugiego gospodarza.

Nie wątpił, że bal okaże się dla niego radosnym przeżyciem, gdyż dostąpił zaszczytu, jaki rzadko bywał jego udziałem. A na dodatek, dzięki interwencji markiza, już cieszył się na kolację.

Jako pierwsi goście przybyli Jevingtonowie, przywożąc ze sobą pożądanego kandydata na męża swojej córki - pana Redmure'a. Lady Jevington dokonała królewskiego wejścia - miała oszłamiającą i wyjątkowo paskudną diamentową tiarę, a roztaczała wokół siebie aurę przytłaczającej łaskawości. Także się zachowała, kiedy Alverstoke powiedział:

- Przypuszczam, że nie muszę ci przedstawiać Charlesa, Augusto? Na co odpowiedziała natychmiast, wyciągając dłoń i racząc sekretarza dość protekcyjnym uśmiechem:

- Oczywiście, że nie! Hm, jak się miewasz Charles? A jak się ma twój zacny ojciec? A kochana mamusia? Nie widziałam ich już od wieków! Musisz mi wszystko o nich opowiedzieć!

Oszczędziło mu tego przybycie wpierrw rodziny Buxtedów, a po chwili pani Dauntry i Chloe. Pani Dauntry prezentowała się nadzwyczaj przystojnie w powłóczystych szatach, jakie zwykle nosiła, a które pasowały do jej smukłej sylwetki. Te jednak lady Buxted natychmiast w myślach oceniła na jakieś pięćdziesiąt gwinei, a lady Jevington nawet na więcej - były bowiem z fiołkowego, pajęczego tiulu na różowej halce. Ona również nałożyła wysadzaną brylantami tiarę, nie dorównującą swą wspaniałością dziedzicznej tiarze wieńczącej czoło lady Jevington, lecz za to o wiele bardziej subtelnej. Na nią zarzuciła jeden ze swoich koronkowych szali; bżowe skórkowe rękawiczki (francuskie, warte najpewniej nie mniej niż pięć gwinei, oceniła zazdrosna jak diabli lady Buxted) okrywały jej ręce aż po ramiona. W jednej dłoni trzymała malowany ręcznie wachlarz. Drugą wyciągnęła w kierunku Alverstoke'a, mówiąc szeptem:

- Drogi Vernonie! - Kiedy ją uhonorował, siostry zaś przyprawił o atak furii, podnosząc dłoń do ust, obróciła ogromne, zapadłe oczy ku kipiącym z wściekłości damom i powitała je omdlewającym, słodkim uśmiezkiem, ale takim, którym dawała do zrozumienia, że żadnej z nich nie uważa za gospodynię. - Drogi Vernonie! - powtórzyła. - Czyżbym się spóźniła? Och, zachowałam się okropnie! Ale wiem, że mi wybaczysz! A oto twoja najwierniejsza wielbicielka! Chloe, moja najdroższa!

Panna Dauntry, która zaledwie trzy dni wcześniej skończyła siedemnaście lat, dygnęła przed nim jak uczennica, a na jej twarzyczce w kształcie serca odmalowały się jednocześnie zdziwienie i przerażenie. Mama zapomniała poinformować ją, że powinna traktować swojego wspaniałego wuja jako kogoś w rodzaju dobrego ojca chrzestnego. Toteż panienka straciła wypracowany uprzednio spokój ducha i niespokojnie popatrywała na panią Dauntry, błagając o ratunek. Markiz, spostrzegłszy jej zmieszanie, powiedział uprzejmie:

- Och, od jak wielu lat byłem... jak to powiedzieć. Lukrecjo? A, tak!... najpierwszym dla ciebie wzorem, Chloe? Czyż nie?

- O, nie! - odparła naiwnie. Potem zaczerwieniła się jak piwonia i wyjąkała: - Ja nie myślałam... to znaczy... Hm, nie znam cię dobrze, ku... kuzynie!

Uśmiechnął się.

- Dobra dziewczynka! Wobec tego wypada mi podtrzymywać naszą znajomość, prawda? - Ale zlitował się

nad jej speszaniem i przekazał ją Charlesowi Trevorowi, w którego niestrasznym towarzystwie szybko odzyskała panowanie nad sobą. Markiz zaś, oceniając ją krytycznym spojrzeniem, oświadczył, jak zwykle bez ogródek: - To miłe dziecko i szybko może stać się jeszcze lepsze. Szkoda tylko, że rysy odziedziczyła po ojcu, a nie po tobie. Lukrecjo. Nigdy nie stanie się piękną, ale ma w sobie coś. I składam Wyrazy uznania co do jej sukni. Niewątpliwie był to twój wybór!

Panią Dauntry ukontentowały pochwały brata. Rzeczywiście na nie zasługiwała. Poświęciła wiele czasu i myśli, nie wspominając już o niebagatelnej sumie, na wymyślenie złudnie prostej sukni dla Chloe. Z nieomylnie dobrym gustem wybrała dla niej bladożółty muślin, który o wiele bardziej pasował córce niż konwencjonalna biel, błady błękit lub róż, powszechnie uważane za najodpowiedniejsze dla dziewcząt w tym wieku. Chloe miała ogromne piwne oczy, ciepłą, mleczną karnację - dlatego biel czy błękit sprawiłyby, że cera jej wydawałaby się nieco ziemista. Alverstoke dostrzegł, że chociaż miała jeszcze sylwetkę nierozkwitłej dziewczynki i była trochę za niska, to wszyscy okrzykną ją śliczną panienką. Tego, niestety, nie dałoby się powiedzieć o pannie Buxted, żalostnej w zbyt obcisłej sukni i w wianuszkach z róż na głowie. Dobre rady bynajmniej nie powstrzymały Jane. Zdecydowała się już wcześniej na różyczki i różową gazę. A ponieważ córka odziedziczyła po matce jędrzowatą naturę i całymi dniami się dąsała, lady Buxted wreszcie przystała na jej żądania. Markiz przyjrzał się jej z obrzydzeniem, czując niechęć tak wobec jej sztucznego chichotu, jak i wyglądu. Prostaczka, zostanie starą panną. Luizą, nigdy nie zdoła jej wyswatać.

Luiza i Augusta nie ustępowały sobie pola. Augusta dopytywała się o Merriville'ów i niewinnie wyrażała zdumienie na wiadomość, że Luiza zgodziła się im patronować.

- Moja droga Augusto, czułam, że to mój obowiązek - odparła lady Buxted. - Za sprawą Vernona, który nie całkiem wiedział, co począć, jak się chyba domyślasz! Wiedz, że Fred Merriville powierzył mu całą swoją rodzinę! Gdybym nie pospieszyła na ratunek, nie wiem, co stałoby się z dziewczętami, gdyż mają tylko dziwaczałą ciotkę... nieźle pomyłona, rozumiesz, która z obrzydzeniem odmówiła wejścia w towarzystwo.

- Zapewne! - powiedziała lady Jevington, przyjmując te wyjaśnienia z niemałą dozą sceptycyzmu. - Jakże wdzięczny musi ci być Alverstoke! A jakie one są? Bez wątpienia niezwykle piękne?

- Och, ależ skąd! Poznałam tylko starszą: jest całkiem przystojną dziewczyną, lecz nigdy nie powiedziałabym o niej, że to piękność. Przypuszczam, że młodsza siostra jest ładniejsza. Vernonie, czy nie mówiłeś mi, że panna Charis Merriville jest urodziwa?

- Możliwe - odparł. - W każdym razie, tak mi się wydaje. Droga Luizo, musisz później wyjawić mi, co o niej myślisz!

W tej właśnie chwili Wicken zaanonsował pannę Fryderykę Merriville i pannę Charis Merriville, zatem lady Buxted nie musiała mówić bratu, jak piorunujące wrażenie wywarła na niej Charis, gdyż miała to jasno wypisane na twarzy.

Fryderyka wkroczyła do salonu nieco wyprzedzając siostrę i na sekundę się zatrzymała, byстрым wzrokiem ogarniając całe pomieszczenie. Sama wywarła wrażenie eleganckiej kobiety. Nawet w aleksandryjskim czepeczku nie wyglądała jak stara panna; jednak krój krepy o barwie kwiatu pomarańczy nałożony na halkę o austriackim fasonie, tiulowy szal, opuszczony aż po łokcie, błysk diamentów na szyi i, nade wszystko, jej spokojna pewność siebie, wyraźnie świadczyły, że nie jest wiośnianą panienką ani się za taką nie uważa.

Wydawała się raczej młodą niewiastą, mającą za sobą wieloletnie doświadczenie.

Krewni gospodarza poświęcili tylko kilka sekund badawczych spojrzeń i to nie za jej sprawą nagle urwały się wszelkie pogawędki. Idąca za siostrą Charis wprawiła całe towarzystwo w pełne osłupienia milczenie, które spowodowała, że nawet odporny na wszystko lord Buxted urwał rozmowę w pół zdania, natomiast lord Jevington zastanawiał się (jak wyjawiał swojej surowej wicehrabinie), czy rzeczywiście bierze udział w przyjęciu w Alverstoke House czy może śpi i ma piękny sen.

Lady Jevington, uczciwa niewiasta, nie mogła go o to winić: panna Charis Merriville bez wątpienia ucieleśniała zjawisko z sennego marzenia. Smukła Królowa Śnieżka, spowita w biel, na lśniących włosach wianek z konwalii, żadnego innego koloru prócz złocistych loków, przepastnych niebieskich oczu, delikatnie zaróżowionych policzków i warg. Ani jeden mężczyzna nie mógł poczuwać się do winy, że uznał ją za niebiańskie zjawisko. Przy tym panna jest nadzwyczaj elegancka! - pomyślała jaśnie pani, udzielając cichej aprobaty wyszczuplającej sukni z lekkiej tafty, wyszywanej różyczkami z błyskotek (sprokurowanych, jak doskonale wiedziała, w Pantheon Bazaar), a wszystko to na lśniącej halce w kolorze kości słoniowej. Jediną biżuterią, jaką nałożyła Charis, okazał się pojedynczy sznur pereł, odziedziczonych po matce, a była to - jak oceniła

również z uznaniem lady Jevington - idealna ozdoba dla debiutującej panienki. Ponieważ nie mogła zganić lorda za zachwyty, całkiem niewłaściwy dla mężczyzny w jego wieku, tym bardziej nie wypadało jej przywoływać do porządku niesfornego syna, szlachetnie urodzonego Gregory'ego Sandridge'a, za otwarte usta i wybałuszony wzrok. Panna okazała się pod każdym względem cudowna. Lady Jevington, której córka Anna była szczęśliwie zaręczona, zaczęła nawet współczuć biednej Luizie, bez dwóch zdań wystrykniętej przez Alverstoke'a na dudka, toteż idiotycznie okazała swoją wściekłość: zaczerwieniona z gniewu piorunowała wszystkich gniewnym spojrzeniem. Oczywiście jasne, myślała, dlaczego Alverstoke zgodził się dźwigać złożone na jego barki brzemię! Ale panna była o wiele dla niego za młoda, poza tym w każdym calu nieodpowiednia. Cóż, to żadne zmartwienie, i tak nie minie miesiąc, jak się nią znudzi. Nie trzeba się także zamartwiać o Gregory'ego: zanim dojrzeje do małżeństwa, jeszcze wiele razy będzie się zakochiwał i odkochiwał. A nawet gdyby urok, jaki rzuciła na niego Charis, okazał się silniejszy niż oddanie urokom sportu, to mama, bez wątpienia, zdoła odseparować go od tej pannicy. Lecz jakie męki przeżyłaby biedna Luiza, gdyby mimo wszystko jej stateczny Carlton nie potrafił się oprzeć córce Freda Merriville'a! Kiedy jednak pomyślała o waporach Luizy, jej uszczypliwych uwagach, paskudnym charakterze i nieuzasadnionych pretensjach wobec Alverstoke'a, lady Jevington nie potrafiła winić brata, że tak wrednie ją okpił.

Kiedy Alverstoke ruszył, by powitać swoje podopieczne, Chloe, nie odrywając od Charis wzroku, wyszeptała bez tchu:

- Och, jaka ona jest piękna! Jak księżniczka z bajki! Pan Trevor popatrzył na nią z góry, kiwnął głową i uśmiechnął się.

- I jak tam, moje dzieci? - odezwał się markiz ojcowskim tonem. Oczy Fryderyk! zaiskrzyły się, lecz odpowiedziała spokojnie:

- A ty jak się miewasz, kuzynie? - I natychmiast przeniosła swoją uwagę na lady Buxted. - Witam panią,

madame. Czy mogę przedstawić pani moją siostrę? Charis, to lady Buxted, nasza łaskawa protektorka!

Lady Buxted wzięła się w garść, z trudem przywołała uśmiech. Podała Charis dłoń. Ta dygnęła przed nią dwornie i grzecznie.

- Muszę prosić o wybaczenie, jasnie pani, że nie towarzyszyłam siostrze, kiedy składała pani wizytę - powiedziała miękkiem głosem. - Niezmiernie mi przykro!

- Oczywiście, leżałaś złożona chyba influencą, nie myślę się, prawda? Hm, powinnam teraz przedstawić was mojej siostrze, lady Jevington - odpowiedziała lady Buxted ze sztywną serdecznością. Znakomicie zdawała sobie bowiem sprawę, że Augusta domyśla się, jak wstrętnie ją oszukano i że siostra w cichości ducha raduje się jej porażką. Łaskawość, z jaką siostra powitała panny Merriville, jeszcze utwierdziła ją w tym przekonaniu. Pozostało jej więc tylko szukanie pociechy w refleksji, że Ta Kobieta musi być głęboko zmartwiona pojawieniem się na scenie tak olśniewającej piękności, jaką niegdyś sama była.

Natomiast pani Dauntry, która słyszeła z tego, że nigdy nie zdradziła się z uczuciami tak niskimi jak gniew czy niechęć, powitała obie siostry o wiele serdeczniej niż lady Jevington. Przywołała Chloe, aby poznała nowe kuzynki, i potem zwróciła uwagę Alverstoke'a na czarujący widok, jaki stanowią razem Charis i Chloe, które w kącie saloniku usiadły na sofie zatopione w pogawędce. Wiedząc doskonale, że była tak blisko, by mogły ją usłyszeć lady Jevington i lady Buxted, opisała je jako najpiękniejsze dziewczęta w tym towarzystwie. A ponieważ Fryderyka nie zaliczała się do dziewcząt, lady Buxted, subtelnie mszcząc się za dawne przewiny kuzynek, gdyż jedynymi poza tym panienkami były panna Sandridge i panna Buxted, powiedziała:

- Nie ośmielałam się ich porównywać - dodała ze swoim pełnym zadumy uśmiechem - bowiem nawet w moich matczyńskich oczach moja mała Chloe gaśnie w blasku takiego słoneczka jak twoja prześliczna Charis. Mój drogi, ona będzie miała u swoich stóp pół Londynu! - Roześmiała się i popatrzyła łobuzersko. - A jakich narobiłeś sobie wrogów wśród mamuszek mających córki na wydaniu! Jestem przekonana, że i ja bym się do nich zaliczyła, gdyby moja Chloe nie była jeszcze za młoda, by myśleć o zamążpójściu!

Markiz, w pełni to doceniając, miał jedynie tyle czasu, aby Powiedzieć:

- Godne podziwu, droga Lukrecjo! - gdyż za sekundę musiał skupić swoją uwagę na przybywających właśnie Seftonach.

Jako ostatni gość pojawił się Endymion - wyglądający jak przystojny, choć nieco przerośnięty uczeń, przyłapany na jakimś grzeszku, i niezgrabnie wydukał słowa przeprosin za opieszałość. Usilnie upraszał o wyrozumiałość kuzyna i - rozejrzawszy się po pokoju - wszystkich pozostałych gości! Miał służbę w Gwardii, kuzyn Vernon z pewnością to zrozumie... Tu jednak urwał w pół słowa, gdyż nagle dostrzegł Charis. Stanął jak wryty, patrząc na nią z nieukrywanym zachwytem, póki nie wyrwała go z tego transu lady Jevington słowami, że chyba zna już lady Jersey i lady Sefton. Poderwał się więc z miejsca, zaczerwieniony aż po nasadę włosów, i trochę nieskładnie wyjąkał przeprosiny, kłaniając się paniom. Na szczęście obie raczej rozbawiło niż uraziło to zdarzenie, choć kiedy lady Sefton z natury była zbyt dobroduszna, by żywić urazę, to lady Jersey była o wiele bardziej surowa w ocenach. Endymiona od ostrej odprawy uratowało po części to, że zazwyczaj niezwykle dbał o etykietę, a po części, że był takim przystojnym młodzieńcem, którego każda gospodyni z ochotą pragnęła zapraszać na bale i przyjęcia. A na dodatek fakt, że Fane'owie i

Dauntry'owie (jak to określiła) znali się od wieków. Jedną z najbliższych przyjaciółek lady Jersey z dzieciństwa była najmłodsza siostra Alverstoke'a: ta nieszczęsna Eliza, która poślubiła miernego pana Kentmere i niemal zniknęła z londyńskiej sceny. I chociaż Alverstoke, cztery lata starszy od urzekającej Sally Fane, nigdy nie pretendował do jej ręki ani fortuny, to miała do niego nieklamana słabość i zaliczała go do swoich przyjaciół. Choć był pewnie dziesięć lat młodszy od lorda Jersey, znakomicie się z nim dogadywał. Obaj ukończyli Harrow, rywalizowali na wyścigach konnych i na polowaniach, a gdy pojawiali się w Londynie, to obaj rezydowali na Berkeley Square. Ta wszakże okoliczność, zdaniem lady Jersey, sprawiała, że nie tylko byli sąsiadami, lecz także stawiała ją przed niemożliwym do rozwiązania problemem: mianowicie, czy wtedy, gdy jest zaproszona na bal maskowy do Alverstoke House, powinna zavezwać powóz, czy też poniżyć się do przejścia pieszo owych pięćdziesięciu jardów na przyjęcie?

W pewnych kręgach lady Jersey słynęła jako „Pani Milczek”. Jednak każdy, kto podejrzewał, iż jej beztroska, bezładna paplanina zdradza pustkę w głowie, grubo się mylił. Była bowiem niezwykle inteligentna i mało co uszło jej uwagi. Od chwili wkroczenia do salonu nie zamilkła nawet na chwilę, a poruszyła imponującą liczbę tematów - od niebezpiecznego zalewu spodziewanych ślubów w rodzinie królewskiej po uniknięcie przez groźnego mordercy szubienicy, a to dlatego, że odkrył jakiś starożytny posąg, dzięki któremu miał prawo domagać się wystawienia go pod sądy boże. Trajkocząc tak, jednocześnie wnikliwie przyglądała się temu, co działo się wokół, a zaiste, było się czemu przyglądać. Już przedtem - dzięki przyjaciółce i innej patronce od „Almacka” - poznała okropną panią Burrell, która z ust samej lady Buxted dowiedziała się, iż Alverstoke ustanowił się opiekunem jakichś młodych kuzynów i w typowy dla siebie, rozlazły sposób chce wprowadzić w towarzystwo dwie przedstawicielki tej rodziny, zapraszając je na bal debiutancki na cześć swojej siostrzenicy. A taka wieść wystarczyła, by pobudzić jej ciekawość. Lady Jersey, o wiele lepiej znająca Alverstoke'a od pani Burrell, ani przez chwilę nie wierzyła, że markiz postanowił wydać bal na cześć Jane - i żadnej innej z siostrzenic. Musiały więc kierować nim jakieś inne, tajemnicze powody - a to również wydawało się nieprawdopodobne. Kiedy jednak zobaczyła Charis, podejrzenie, że panna mogłaby być najnowszą flamą Alverstoke'a, natychmiast poszło w niepamięć. Dziewczyna była śliczna, ale nie w stylu Alverstoke'a. Niewinny kwiatusek, właśnie rozwijający płatki, nigdy dotąd nie padł jego ofiarą, a ten szczególny, będący poza tym pod jego opieką, wydawał się kompletnie pozbawiony pieprzyka. Piękna ciamajda, uznała lady Jersey, dla Alverstoke'a po pięciu minutach znajomości musi być śmiertelnie nudna. Jeśli zaś chodzi o wyjaśnienia, jakich gładko udzieliła Luiza odwiecznej przyjaciółce, pani Drummondowej Burrell, że Alverstoke uważa za swój obowiązek opiekę nad potomstwem Freda Merriville'a, w takie bzdury nikt znający Alverstoke'a nie dalby wiary. W takim razie, dlaczego...? I nagle jaśnie pani przyszło do głowy możliwe wytłumaczenie. Utwierdziło ją w tym jedno spojrzenie na lady Buxted: markiz zaprosił tę piękność na bal, aby dać nauczkę Luizie! Bez kpienia zatruwała mu życie nagabywaniami o wydanie balu dla własnej pospolitej córeczki, a brat, diabeł wcielony, w ten właśnie sposób się zemścił! I absolutnie sobie na to zasłużyła, pomyślała lady Jersey, gdyż jej żądania były zupełnie bezpodstawne, nie miała żadnych praw, by go molestować. Podobnie zresztą jak Lukrecja: na jej twarzy widniał słodki, pełen zadumy uśmiech, lecz musiała być równie wściekła jak Luiza, a może nawet bardziej, gdyż nie tylko jej córka została zepchnięta w cień, ale tak wychuchany Endymion

wlepiął oczy w Charis, jak cieleń w nie malowane wrota.

No i ci Parracombe'owie - czy ściślej biorąc pani Parracombe - gdyż niedorzecznością byłoby przypuszczać, że ten majętny, choć zakuty łeb, jej małżonek, interesował się czymś więcej poza kolacją i rozmowami o koniach wyścigowych. Cóż zatem, dumiała lady Jersey, sprawiło, że Alverstoke zaprosił panny Merriville na kolację? Od kilku miesięcy jego nazwisko łączono z imieniem Karoliny, ale ostatnio niezbyt często widywano go w jej towarzystwie - lady Jersey przypuszczała, że okazała się ona zbyt kapryśna i nadmiernie zaborcza. Czyżby zatem Alverstoke zaprosił ją na przyjęcie, przecież bez wątplenia wydane na cześć swoich podopiecznych, zamierzając dać taktownie do zrozumienia, iż jej rządy już się skończyły? Cóż, byłby do tego zdolny! Nieszczęsna Karolina! Ale powinna mieć na tyle rozumu, by zdawać sobie sprawę, czym skończy się igranie z Alverstokiem! Zwrócenie jego uwagi było bez wątpienia triumfem, natomiast zakładanie, że potrafi go przy sobie utrzymać, nie szczędząc przy tym względów innym amantom, zakrawało na wielką głupotę. Markiz nie darzył jej na tyle silnym uczuciem, by pragnął pokonać rywali. Jeśli dama, którą zechciał uhonorować swoim (jakże niestałym!) uczuciem, przyjmowała również innych wielbicieli, on tylko wzruszał ramionami; albowiem nawet gdyby mu na niej zależało, to nie życzył sobie dzielić się nią z kimkolwiek. Lady Jersey podejrzewała, że jego flamy (bo przecież nie były nikim więcej) wpadały w sieci innych mężczyzn, gdyż markiz szybko się nimi nudził i wcale o nie nie dbał.

Już kilka miesięcy temu pani Parracombe zaczęła go nudzić. Była przystojna, zabawna i na tyle bystra, by żeglować - ale nie narażając się na ryzyko - z wiatrem. Odnalazł w niej arystokratkę o duszy kurtyzany, toteż cieszył się tym dyskretnym romansem, póki nie wyczerpała się jego namiętność. A ta nie potrwała długo. Przesłodzona piękność wzbudziła pożądanie, ale bynajmniej nie isierkę miłości w jego sercu.

Zdawała sobie z tego sprawę, a ponieważ sama nie była zanadto skłonna do miłości czy cieplejszego uczucia, niewiele ją to obeszło.

Poza tym okazała się na tyle przebiegła, że nim w towarzystwie rozeszła się wieść o jego słabnących względach, dała do zrozumienia, iż to ona się nim znudziła. Nie dorównywała jednak inteligencją lady Jersey, więc doszła do wniosku, że piękna panna Charis Merriville jest najnowszą miłostką markiza. Mimo to ze spokojem zniosła prezentację, szepcząc tylko do niego w odpowiedniej chwili:

- Uważaj, drogi przyjacielu! Kiedy mężczyzna w twoim wieku zaczyna mieć skłonności do panienek w wieku szkolnym, jest to niewątpliwie oznaka starczego dzieciństwa!

- Będę uważał! - przyrzekł, uśmiechem odpowiadając na uśmiech. Charles Trevor ostrzegwał markiza, że Endymion może nie być zachwycony, mając podczas kolacji za partnerkę kuzynkę Jane, lecz szybko przekonał się, że na tym wszystkim ucierpiała raczej Jane. Sekretarz wraz z Charis zajęli miejsce naprzeciw kuzynostwa. Endymion, albo otumaniony, albo uważający, że z własną siostrą cioteczną nie musi się bawić w uprzejmości, większość czasu spędził bezwstydnie wgapiając się w niezemskie zjawisko po drugiej stronie stołu. A urok Charis bynajmniej nie ustępował jej urodzie. Poza tym, jak zawsze, zwracała uwagę wyłącznie ku osobie, z którą akurat rozmawiała, toteż zazwyczaj nawet nie zdawała sobie sprawy z kierowanych ku niej tęsknych spojrzeń. A gdyby to sobie uświadomiła, to bynajmniej nie czułaby się tym zachwycona, przeciwnie, potępiłaby w myślach takiego wielbiciela jako osobę grubiańską i niewychowaną, i zastanawiałaby się, czy może na jej twarzy wykwitł jakiś wyprysk albo może się pobrudziła. Ale żadna z

tych obaw nie przeszła jej przez głowę, kiedy spojrzała we wpatrzone w nią pełne uwielbienia piwne oczy Endymiona. Spłonila się i natychmiast odwróciła wzrok. Pragnęła tylko, by się w nią tak nie wpatrywał, gdyż wcale nie chciała go uznać za jakiegoś okropnego grubianina. Nigdy dotąd nie spotkała tak cudownego młodzieńca: ucieleśnienia wszystkich herosów, którzy (zdaniem ciotki Serafiny) istnieli tylko w balladach lub na idealizowanych okładkach romansów. Gdyby nie spostrzegła, że na nią spogląda, to sama posłałaby mu kilka ukradkowych spojrzeń. Ale przecież wiedziała, a jest dobrze Wychowaną panienką, pilnowała się zatem, by odwracać głowę w innym kierunku. W dalszej części stołu Fryderyka, cała zamieniona w słuch, prosiła lorda Buxteda, by wprowadził ją w szczegóły zarządzania majątkiem ziemskim. Po drugiej stronie lady Buxted, obserwując obie siostry spod przymrużonych powiek, niespodziewanie powiedziała:

- Świetne posunięcie, Alverstoke! Obie mi się spodobały. Nie zadzierają nosa, mają dobre manieri. A ta piękność urzeka wyjątkową skromnością. Chyba zatem poprosisz mnie, bym wydała im bileciki wprowadzające do „Almacka”?

To wyzwanie, rzucone przed damę o ostrym jak rapier spojrzeniu, bynajmniej nie zmieszało markiza. Zadowolony, że siedząca po jego lewej ręce lady Sefton akurat zagłębiła się w pogawędkę z panem Mortonem, odparł zimno:

- Nie! Wybaw mnie tylko od śmiertelnej nudy, Sally! Ufam, że bileciki załatwi im Luiza.

- I tu popełniasz błąd - oznajmiła stanowczo lady Jersey. - Na pewno powie ci, że pani Burrell odmówiła jej wyświadczenia tej przysługi, a nawet ty, będąc takim niewrażliwym potworem, nie ośmielisz się w takiej chwili prosić o pomoc Emilii Cowper! Owieczki są zbyt przerażone po śmierci lady Melbourne, a Emilia jest przecież jedną z nich. - Ponownie zerknęła na koniec stołu i parsknęła stłumionym śmiechem. - Dobry Boże, popatrz tylko na Luizę! Zrobię to! Tak, na pewno to zrobię! Przyrowadź tylko do mnie swoje podopieczne, Vernonie!

- Najmilsza, na pewno tego nie uczynię. Nigdy nie interesowało mnie naprzykrzanie się komuś! A może twoje snobistyczne upodobania zarezerwowane są wyłącznie dla książąt?

Wybuchnęła perlistym, pełnym uznania śmiechem.

- Wellingtona? Ależ on usiłuje pogwałcić nasze prawa, a do tego, jestem głęboko przekonana, nigdy nie dopuścisz!

- Co ty wiesz! Spytaj tylko moje kochające siostry!

- Nie ma potrzeby! I tak znam odpowiedź! Jakże dokuczały mi... Augusta i Luiza, lecz nie najdroższa Eliza, to pewne, kiedy były już młodymi damami, a ja jeszcze nieopierzoną uczennicą! Czy gdybym zaprotegowała twoje podopieczne, dokuczyłabym im paskudnie? Och, dobry Boże, na pewno tak będzie! Mario!

Lady Sefton, wezwana tak stanowczo, odwróciła głowę i z życzliwym zaciekawieniem spojrzała na przyjaciółkę.

- Czy wprowadzimy podopieczne Alverstoke'a do „Almacka”?

- Och, na pewno, skoro uważasz, że powinnyśmy! To takie ładne i dobrze wychowane panny... prawda? A na dodatek córki biednego Freda Merriville'a! Och, sądzę, że musimy dla nich zrobić wszystko, co w naszej mocy! - przytaknęła lady Sefton, ponownie odwracając się w stronę pana Moretona.

- Oczywiście! - potwierdziła lady Jersey. - Och, jakie to wywoła wzburzenie! Tylko nie wiem do tej pory, czy zaprosiłeś mnie właśnie w tym celu?

- To nieistotne! - pocieszył ją Alverstoke. - Pomyśl tylko, jaką radość sprawi ci danie nauczki moim siostram!

- Szczerza prawda! - Jeszcze raz popatrzyła na gości siedzących przy stole. - Piękność, oczywiście, rozgniewa się nie na żarty. Starsza z sióstr ma jednak więcej rozsądku, ale, ale... Alverstoke, jakim one dysponują posagiem?

- Nie najgorszym. Zmarszczyła nos.

- Och, a to kłopot! No, przynajmniej nikt o tym nie wie! Chociaż, chwała Bogu, ta młodsza nie musi rozpaczliwie szukać odpowiedniego męża! Zobaczymy, co da się zrobić!

## 11

Jedna część przepowiedni lady Jersey szybko się wypełniła: panna Charis Merriville stała się najmodniejszą debiutantką tego wieczoru. Na długo przedtem, nim Alverstoke i jego siostra Luiza powitali ostatnich gości, miała już w karneciku zamówione wszystkie tańce, natomiast spóźnieni elegancy młodzieńcy mogli tylko pomarzyć o objęciu kibici dziewczęcia w walcu lub chociażby poprowadzeniu jej do rundy tańców ludowych. Z nikim nie zatańczyła więcej niż dwa razy, jednak przyzwoliła Endymionowi zaprowadzić się na kolację, uzyskując jego najświętsze zapewnienie, iż odbędzie się to z zachowaniem wszelkich manier. Dodał przy tym, widząc jej pełną zważenia minę:

- Może zatem uprosimy pani siostrę, aby nam towarzyszyła? Oto ona, z młodym Gregiem... jak pani wie, jest moim kuzynem! Dobry pomysł, prawda?

- Och, tak! Jakże będzie miło! Błagam zatem, niech pan uprosi i swoją siostrę, aby zechciała nam towarzyszyć!

Nie zwrócił jednak większej uwagi na tę prośbę, gdyż okazało się, że Chloe przyciągnęła uwagę młodego lorda Wrenthrope'a, jednego z grona spóźnialskich, którzy nie zdołali zamówić sobie u niej tańca. Któryś z kompanów Endymiona spośród oficerskiej braci nie zawahał się przed wyrażeniem swojego zdania na temat podstępnego szubrawca, który zakrada się na terytorium przyjaciół; lord zaliczał się do ulubieńców dam i bywał niezwykle głośny i pełen życia. Endymionowi wcale nie spieszyło się do włączenia go do towarzystwa. Dodał zatem:

- Och... ach, owszem, ale przecież jej towarzyszy Wrenthrope?

- Czyż nie zechce się do nas przyłączyć? - spytała naiwnie-

- Pańska matka przedstawiła nas sobie, a on okazał się taki miły i taki zabawny, kiedy musiałam przyznać, że nie mogę się z nim równać! Pańska mama mówiła, że to przyjaciel, prawda?

- Och, tak! Tak, oczywiście! Jeden z najlepszych! - potwierdził Endymion. - Pomyślałem tylko, że nie spodobałoby się pani... sama pani rozumie, to rodzinne przyjęcie! Nikogo spoza rodziny!

Lecz sytuacja wymknęła się spod jego kontroli za sprawą najlepszego przyjaciela, który w tej akurat chwili podszedł do nich prowadząc Chloe pod ramię. Jemu także wpadła do głowy szczęśliwa myśl zjedzenia



przytulnej kolacyjki w niewielkim gronie. Gorąco wspierała go Chloe, która zapałała młodzieńczą admiracją do cudownego nowego kuzyna, poza tym wstydliwie skrywała nadzieję, iż przedstawi ją licznym swoim przyjaciołom. W tej sytuacji Endymion na próżno upierał się przy rodzinnym gronie. Jego niepokonany przyjaciel rzucił beztrąsko, że rodzina zawsze powinna się trzymać razem przed intruzami, którzy pragną do niej wtargnąć. Zatem Endymionowi nie pozostało nic innego, jak tylko odszukać Fryderykę i kuzyna Gregory'ego i zaprosić ich na ucztę. Do czynu popędził go perfidny przyjaciel, radząc:

- Pospiesz się, panie Nikt, albo nie zdążymy na paszteciki z krabów.

Lady Buxted wyraziła wcześniej obawę, że bal ten przejdzie nie zauważony, a ponieważ przed sezonem wszelkie rozrywki były w pełnym rozkwicie, towarzystwo może nie dopisać. Teraz jednak, gdy zeszła na kolację, rozumiała, że wszystkie zapowiedziane rauty, bale lub przyjęcia będą mu ustępować przepychem czy dystynkcją. Tak więc czuła się rozdarta między dumą a niechęcią. Wystarczyło, by jej wstrętny brat kiwnął palcem, a całe towarzystwo na wypródki pospieszyło do jego domu, dokładnie tak, jak przepowiedział. Naturalnie, tego właśnie pragnęła, niemniej doprowadzało ją to do białej gorączki: znakomicie by mu zrobiło, gdyby spotkał się z kilkoma miażdżącymi słowami odmowy. Bez wątpienia uhonorował ją, dając sposobność wprowadzenia Jane w najlepsze i najmodniejsze kręgi, lecz okazało się, iż wcale nie taki cel mu przyświecał:

Zmierzał przemycić panny Merriville i dopiął swego. Kilka matron błagało, by i na ich bale przyprowadziła swoje czarujące protegowane -Jej protegowane, rzeczywiście!- a już szczytem wszystkiego było, że Sally Jersey obiecała wprowadzić pannice do „Almacka”, poza tym udzieliła bezczelnej rady, by ona - ona! - zaprezentowała je na dworze!

- I tę swoją... Jane, prawda?... rzecz jasna - dodała lady Jersey tak łaskawie, że lady Buxted z największą ochotą strzeliłaby ją w ucho. - Przyślę bilecik... tak, tak z pewnością uczynię! A gdybym zapomniała, przypomnij mi, droga Luizo! Wiesz, jaka jestem roztargniona!

Kiedy lady Buxted wspomniała małą impertynentkę Sally Fane, wstrętną szkolną koleżankę, którą niegdyś słusznie traktowała z góry, smakołyki, przygotowane dla gości przez francuskiego kucharza, stanęły jej kością w gardle. W tej chwili nic nie zrobiłoby jej większej przyjemności niż ponowne upokorzenie Sally. Jednak mimo całego wzburzenia lady Buxted nie mogła stracić z oczu swojego głównego celu. Żadna matka, pragnąca wydać córkę za mąż, nie ośmieliłaby się z własnej woli odtrącić patronatu lady Jersey, uznanej królowej najbardziej ekskluzywnego z londyńskich klubów, złośliwie nazywanego Mażeńskim Targiem. W ten sposób lady Buxted, choć bez apetytu, musiała przyjąć propozycję Sally z uśmiechem równie słodkim i fałszywym, jakim obdarzała ją rozmówczyni.

Tego wieczoru, naznaczonego zmartwieniem walczącym o lepsze z triumfem, oszczędzono jej tylko jednej udręki: Alverstoke nie zaprosił żadnej z podopiecznych, aby stanęła u jego boku. Nie tylko lady Buxted, ale i inne oczy obserwowały z ciekawością jego poczynania. Goście poczuli ulgę lub zawód - zależnie od ich nastawienia - kiedy przekonali się, że do tańca prowadził wyłącznie damy zasługujące na to z racji ich pochodzenia lub wieku. Szczerze mówiąc, znalazł chwilę, by zamienić kilka słów z Fryderyką, lecz zarazem zdołał, mimo wrodzonego lenistwa, pogawędzić i z resztą gości.

- Zadowolona, Fryderyko? - spytał.

- Nie wiem, jak mam dziękować! - odparła impulsywnie. - Proszę wierzyć, jestem wniebowzięta! - Rozjaśniła się w uśmiechu. - Nie uważa pan, że to wieczór triumfu? Wiedziałam, że wystarczy tylko pokazać Charis, aby ją doceniono! - Potem, ponieważ markiz milczał, dodała niespokojnie: - Nie jestem zaślepiona, prawda? Ona rzeczywiście zrobiła furorę?

- Bez wątplenia. Ale czy pani zdarza się myśleć jeszcze o kimkolwiek prócz Charis?

- Oczywiście! - wykrzyknęła, wzburzona nie na żarty. - Myślę o nich wszystkich, tylko w tej chwili, proszę zrozumieć, trochę więcej o siostrze niż o reszcie rodzeństwa, gdyż to ona właśnie jest powodem mojej największej troski.

Popatrzył na nią dziwnie.

- A czy twój własny los cię nie obchodzi, Fryderyko?

- Mój los? - powtórzyła, marszcząc brwi. - Hm, gdyby zaszła taka potrzeba, to... na pewno! Ale w tej sytuacji...

- Powiniennem raczej powiedzieć, czy sobie poświęcasz choć jedną myśl - przerwał. - Określiła pani ten wieczór jako wieczór sukcesu dlatego jedynie, że Charis zrobiła furorę, mnie się jednak wydaje, że panią równie często jak siostrę zapraszano do tańca.

Parsknęła śmiechem.

- Zgadza się... czy to nie zabawne? Najwyraźniej jestem rozrywana. Widocznie moi partnerzy mają nadzieję, że jeśli okażą się niezwykle uprzejmi i uważający, to może przedstawię ich siostrze!

- Jesteś nietuzinkową istotą - zauważył.

Uklonił się, uśmiechnął i odszedł, gdyż pojawił się Buxted, by poprowadzić Fryderykę do kadryla.

Zdumiała ją ostatnia uwaga markiza, nie marnowała jednak czasu, by zastanawiać się, co może oznaczać, a już zupełnie nie obchodziło jej, czy rozmaici dżentelmeni, ponownie proszący ją do tańca, czynili to rzeczywiście jedynie ze względu na siostrę. Nie posiadałaby się ze zdziwienia, gdyby jej powiedziano, że wśród licznych kawalerów, którzy kompletnie potracili głowę dla Charis, znalazło się wielu takich, którzy ją właśnie uznali za atrakcyjniejszą z sióstr.

Do tego grona zaliczał się pan Moreton. Popatrzył pytająco na Alverstoke'a i zażądał wyjaśnienia, jakie szachrajstwo planuje tym razem.

- Ależ żadne - zapewnił chłodno Alverstoke. Pan Moreton westchnął.

- Drogi chłopcze, nie chcesz chyba... nie, do diabła, chyba naprawdę nie zamierzasz wystrychnąć mnie na dudka! Cokolwiek byś mi powiedział o powodach, dla jakich stałeś się patronem tych Panien, to i tak w nie nie uwierzę. Z jednej strony wiem, że byłeś winien przysługę Merriville'owi, ale z drugiej uważam, że padłeś ofiarą boskiej urody Charis. Mnie nie wykiwasz, Ver!

- O, dlaczego? - odparił jego lordowska mość. - Darcy pomyśl tylko o wszystkich pięknościach, które mnie omotały.

- Właśnie o nich myślę. Wszystkie były dojrzałe! - stwierdził pan Moreton.

- Aha, lecz chyba nie widziałeś do tej pory tak doskonałych rysów i figury?

- Nie, rzadko widuje się śliczniejszą zdobycz - odpalił bez ogródek pan Moreton. - Problem polega na tym, że ja nie gustuję w słodkich głupiątkach... podobnie jak ty, drogi chłopcze! O wiele ciekawsza jest starsza z

siostr. Nie jest dzierlatką, nie jest też osobą przeciętną. Ale także nie jest w twoim stylu, więc zdradź wreszcie, dlaczego wzięłeś tę parę pod swoje skrzydła.

- Jaki miałem wybór, skoro Merriville... hm... powierzył je mojej opiece?

- Zobligował cię do tego! O, nie, Ver! - sprzeciwił się pan Moreton. - Nigdy nie słyszałem większej bzdury! Przecież ledwie wymienialiście ukłony!

- Możliwe - mruknął jego lordowska mość - że kierowało mną współczucie.

- Co takiego? - przyjacielowi zabrakło tchu.

- Nie podejrzewałeś, że jestem zdolny do takiej słabości? - spytał markiz, w którego oczach zabłyśły kpiące iskiereki. - Złe mnie oceniasz! Czasami mi się to zdarza... niezbyt często, rzecz jasna, ale niekiedy!

- Och, nie, nie oceniam cię błędnie! - odpalił nieubłagane pan Moreton. - Śmiem twierdzić, że dla przyjaciół zrobiłbyś prawie wszystko... dobry Boże, czyż o tym nie wiem? Myślisz, że nie orientuję się, kto wypchnął nieszczęsnego Ashbury'ego na szerokie wody...

- Muszę założyć, że doskonale się w tym orientujesz - przerwał mu cierpko Alverstoke - ale ja nie przyłożyłem do tego ręki! Co więcej, Darcy, stajesz się śmiertelnie nudny! Jednak poznaj prawdę. Córki Merriville'a wprowadzam do towarzystwa na złość Luizie!

- Tak, tak właśnie sądziłem - odparł z kamiennym spokojem pan Moreton. - Nie tłumaczy to jednak, dlaczego wyprawileś się z dzieciakiem do jakiejś odlewni!

Alverstoke parsknął śmiechem.

- Feliks! Cóż, Darcy, gdybyś miał okazję go poznać, zrozumiałbyś, Kaczego tam z nim poszedłem!

Innym dżentelmenem, który wyrobił sobie znakomitą opinię o starszej z panien Merriville, okazał się lord Buxted. Jego matka przyglądała się temu z mieszanymi uczuciami. Oczywiście poczuła ulgę, kiedy spostrzegła, że (w przeciwieństwie do swojego głupkowatego kuzyna) nie oczarowała go Charis, jednakże z dezaprobatą obserwowała, iż z niecodziennym ożywieniem zagadywał Fryderykę podczas kolacji, a już ze zdecydowaną wrogością potraktowała jego dalsze postępowanie. On bowiem, nie zadowolony dwoma tańcami ludowymi, podczas chwil odpoczynku najwyraźniej się wokół niej kręcił, co przeraziłoby lady Buxted, gdyby później nie wychwalał Fryderyki jako niewiasty, z którą miło się gawędzi i która przy tym ma sporo zdrowego rozsądku. Kiedy zaś jednak dodał, że wcale nie uważa, by była nieładną młodą damą, lady Buxted mogła pozbyć się obaw, gdyż pomyślała, że owa chłodna pochwała nie wskazuje na burzę uczuć.

Byłaby mniej spokojna, gdyby wiedziała, że już następnego dnia syn zawitał na Upper Wimpole Street, aby zapytać, jak miewają się damy po, jak to określił z nieco przyciężkawym humorem, trudach nocy. Okazało się, że bynajmniej nie był jedynym gościem. Wielu innych dżentelmenów pojawiło się pod błahymi pretekstami, natomiast Endymion Dauntry w ogóle nie szukał wymówki. Najzwyczajniej w świecie dawał wszystkim do zrozumienia, w jak zażytych jest związkach z Merriville'ami, przybierając wobec nich postawę jakby dobrego wujaszka. Takie zachowanie natychmiast Wzbudziłoby w sercach pozostałych dżentelmenów palące uczucie zazdrości, gdyby nie dał do zrozumienia, że obiektem jego troskliwości jest nie Charis, tylko Fryderyka.

Podczas tygodnia, jaki nastąpił po balu wydanym przez Alverstoke'a, panny Merriville otrzymały wiele

zaproszeń. Pannę Winsham zaszczyciła wizytą lady Jersey, która przyniosła obiecane bileciki do „Almacka”. Przywiodła ją po części ciekawość, po części zaś chęć zadowolenia Alverstoke’a, a upokorzenia jego siostry, Luizy. Jednak w chwili, gdy eskortowana przez Buddle’a wspinała się po schodach, Już żałowała swojej łaskawości. Choć była nieobliczalna, przestrzegała konwenansów, nikt więc nie mógłby o niej powiedzieć, że tolerowała prowincjuszy, a już na pewno nie wprowadzała ich w towarzystwo. Dom oceniła jako nędzny, poza tym przypomniała sobie, że Fred Merriville ożenił się z wiejską parweniuszką. Jednak za późno było na odwrót, zatem do saloniku wkroczyła ze stanowczym postanowieniem, by pannę Winsham utrzymać na odpowiedni dystans. Ale wystarczyły ledwie dwie minuty i zapomniała o swoich wyszukanych i wielkopańskich manierach: może i panna Winsham miała na sobie dziwaczny strój i niewątpliwie okazała się dziwaczką, nie była jednak w najmniejszym stopniu parweniuszką i podobnie jak przy wcześniejszej wizycie lady Buxted, teraz, gdy zaszczyciła ją Królowa Towarzystwa, nie okazała najmniejszego zmieszania. Gdyby lady Jersey uznała za stosowne być w najpyszniejszym ze swoich nastrojów, mogłaby ją zmiażdżyć. Ona jednak zdecydowała się na coś zupełnie innego. Nie minęło więc wiele czasu, a już panna Winsham uraczyła ją swoją opinią na temat londyńskich domów w ogóle, a ich umeblowania w szczególności; o małżeństwach, fanfaronach, o swojej zapiekłej nienawiści do pici męskiej. Lady Jersey skwitowała to perlistym śmiechem i pożegnała się, by zanieść przyjacielom wiadomość, iż panna Winsham jest najzabawniejszą... najbardziej zwariowaną... pełną czarnego humoru istotą... i na pewno nie paple o byle czym.

Lady Jersey bez wątpienia nie zaliczała się do osób powszechnie lubianych, aura, jaką wokół siebie wytwarzała, i jej wdzięk gorzej usposobionych znajomych skłoniły do porównywania jej do „Tragicznej Jilly”, zaś częste nietakty towarzyskie wobec nieszczęśliwców, którzy popadli w jej niełaskę, szokowały damy złośliwie tak, jak pani Burrell i księżna Lieven. Mimo to niewiele dam z towarzystwa odważyłoby się nie iść za jej przykładem. W tej sytuacji pannę Winsham zaszczycono wizytami, które powinny uhonorować ją bardziej, niż było w istocie. Kiedy zaś (protestując ze wszystkich sił) musiała eskortować siostrzenice do „Almacka”, była tak oblegana, a każde jej słowa kwitowano takim aplauzem, że mogłaby zacząć podejrzewać, iż jest najdowcipniejszą damą, a nie, że wszyscy jej schlebiają. W zaistniałych okolicznościach poczuła się zobowiązana przekształcić reumatyczne bóle w okrutne ataki ischiasu i pod tym pretekstem odrzucać zalew napływających zaproszeń, składając obowiązek towarzyszenia siostrzenicom na barki lady Buxted lub pani Dauntry.

Trudno byłoby powiedzieć, która z dam z większą niechęcią odniosła się do wypełnienia tej powinności, obie natomiast, kierowane podobnymi względami, przymusiły się doń, robiąc dobre miny do złej gry. Lady Buxted straszliwie się lękała, że jej nieokrzesany brat nie zawaha się przed odmówieniem płacenia za stale rosnącą górę rachunków od mody siki, dostarczającej Jane (a prawdę mówiąc i jej samej) suknie, szale, kapelusze, rękawiczki i wszystkie ozdoby niezbędne dla osób, które pragną się odpowiednio zaprezentować w najlepszych kręgach towarzyskich. Pani Dauntry natomiast, chociaż nie żałowała ani jednej gwinei wydanej na wyprawę najstarszej córki, wiedziała, że gdyby Alverstoke przestał ją wspomagać, musiałaby, niestety, mocno zacisnąć pasa. Z dwóch kuzynek tej ostatniej jednak należało bardziej współczuć, lady Buxted bowiem wiedziała, że Carlton nie poddał się urokowi Charis, a wierzyła, że ma dość zdrowego

rozsądku, by nawet nie myśleć o jakimś tam związku z Fryderyka. Pani Dauntry nie miała nawet tej pociechy. Endymion, od pierwszego wejrzenia oszołomiony Charis, zakochał się w niej bez pamięci. Zachowywał się przy tym tak, że nawet oddana matka musiała określić go mianem krety. Każdą sekundę poświęcał Charis, wpatrywał się w nią pełnym uwielbienia wzrokiem, bez wątpienia chodził za nią jak na smyczy i zdradzał niepokojącą chęć związania się z nią na zawsze. Pani Dauntry pozostała zatem jedynie nadzieja, że uczucie to spopielili się równie szybko, jak się rozpałiło, gdyż na rozsądek syna absolutnie nie mogła liczyć. Co gorsza, także Chloe gorąco zaprzyjaźniła się z Charis: okoliczność ta dawała Endymionowi doskonały pretekst do ciągłych wizyt na Upper Wimpole Street. Do tej pory, na swój niezgrabny sposób, zawsze był oddanym bratem, teraz w ciągu jednego wieczoru przeistoczył się w brylant bez skazy, poświęcając się (na ile pozwalały mu nie nazbyt uciążliwe wojskowe obowiązki) całkowicie dla przyjemności siostry. Eskortował ją na przyjęcia, a nawet do „Almacka”, czego uprzednio starannie unikał, uważając takie towarzyskie okazje za niezwykle ludne. Spacerował z nią po parku, a jeśli siostra kiedykolwiek wyraziła ochotę zobaczenia się z Charis, zawsze mogła na niego liczyć. Od najmłodszych lat i Chloe, i jej siostra Diana uwielbiały i podziwiały brata, lecz ponieważ był on od nich kilka lat starszy, patrzyły na niego raczej jak na kogoś wszechmocnego, kto częstował je śliwkowym puddingiem i od czasu do czasu zabierał do Astley’s Royal Amphitheatre lub na pantomimę do Sadler’s Wells, niż na swojego rówieśnika. Chloe wcale nie spodziewała się, że będzie się dla niej fatygował, choć przestała już być uczennicą, a stała się młodą damą wkraczającą w pierwszy sezon. Była więc jego zachowaniem niezmiernie wzruszona i wdzięczna. W przyływie szczerości wyznała matce, że mając tak przystojnego i dobrego brata jak Endymion, czuje się najszcześniejszą istotą pod słońcem.

- Tak cudownie się czuję, mamó, kiedy on towarzyszy mi na przyjęciach! A pomyśl, jak wspaniale jest przechadzać się właśnie z nim, a nie z Dianą i panną Nunny! Jestem przekonana, że jest najwyborniejszym bratem pod słońcem!

Tylko wyjątkowe przywiązanie pani Dauntry do własnych dzieci sprawiło, że po krótkiej walce z sobą potrafiła odpowiedzieć:

- Szczera prawda, kochanie!

Jednak później zaufanej kuzynce Harriet zwierzała się bez zahamowań, lamentując nad zauroczeniem Endymiona i mówiąc, że kraje jej się serce, kiedy widzi, jak biedna, niewinna Chloe dała się tak omamić.

- Doskonale wiem, że chodzi z nią wszędzie tylko po to, by mieć wymówkę do ugania się za tą przeklętą Charis Merriville! Och, moja droga Harriet, ona bezsprzecznie rzuciła na niego jakiś urok... na Chloe także! Och, cóż to za bezwzględnie dążące do celu stworzenie!

Na te i inne podobne uwagi panna Plumley zareagowała uspokajającymi cmoknięciami i potokiem sprzecznych ze sobą zapewnień, które na wdowę najwyraźniej wywarły błogosławiony skutek. Otóż kuzynka była pewna, że Endymion wcale nie został zauroczony; dalej, na tej samej nucie, przypomniała jego matce rozmaite panny, w których wcześniej zakochał się po uszy. Nie sądziła bynajmniej, by Charis była przebiegła, lecz podejrzewała, że dziewczyna zagięła parol na lorda Wrenthrope’a lub na sir Digby’ego Meetha. Nie myślała też, by Endymionem - takim przykładnym bratem! - kierowały jakieś inne, skryte motywy, kiedy ofiaruje się eskortować kochaną Chloe na bale; chociaż nie może pozbyć się uczucia, że

szczęśliwie się złożyło, iż nadzieja spotkania Charis sprawiła, że tak ochoczo prowadzi siostrę na bale, do których, ogólnie rzecz biorąc, nie ma serca. Jakaż to musi być ulgą dla najdroższej Lukrecji, która przecież jest wątłego zdrowia, że może powierzyć Chloe jego opiece!

Te przyjacielskie wywody - jeśli nawet nie odpędziły całkowicie uprzedzeń pani Dauntry - to zdołały je trochę przytłumić. A kiedy panna Plumley zaczęła z niekłamany podziwem mówić o jej szczerze świętej życzliwości wobec panien Merriville - w porównaniu ze skrajnie przeciwnym zachowaniem lady Buxted - dama przestała rozpyływać się we łzach:

- Harriet! Dasz wiarę? Ta obmierzła kobieta twierdzi, że to niemajątne dziewczęta i rozpowiada wokół, że nie mają żadnego posagu! A wszystko pod fałszywym pretekstem, że darzy je przychylnością, ja zaś doskonale wiem, iż to wyłącznie mydlenie oczu! Oczywiście, boi się, że Carlton także wpadł po uszy! Hm, ja, ze swej strony, pogardzam takimi jezuickimi sztuczkami, a mam nadzieję, że jestem na tyle dobrą chrześcijanką, by ich nie powielać!

Panna Plumley potwierdziła, że tak jest w istocie, a ponieważ była bezkrytyczna i pełna uwielbienia, to nie przyszło jej do głowy, iż pani Dauntry mogłaby powiedzieć - co bardziej zgadzałoby się z prawdą - że nie jest na tyle głupia, by powielać owe jezuickie sztuczki.

Szczerze mówiąc, pani Dauntry poświęciła się i dokładała wszelkich starań, aby przedstawiać Charis wszystkich możliwych kawalerów, którzy, jej zdaniem, mogliby ją usidlić albo oszołomić swoimi koneksjami. Przekonana, że Charis poluje na tytuł, nie tylko stała się orędowniczką lorda Wrenthrope'a (znanego utracjusza), ale nawet posunęła się do tego, by prezentować Charis każdemu potomkowi szlacheckiego rodu, którego sama za nic nie chciałaby ujrzeć w roli zięcia. Trzeba wszakże oddać jej sprawiedliwość, że w tej chwili nie szukała odpowiedniej partii dla swojej Chloe, która dopiero co wyrosła z lat dziecińczych i była trochę za młoda na poważne związki. Jedynie temu, że postanowiła z całej duszy nie dać się Uprzedzić Luizie Buxted, należy zawdzięczać debiut Chloe w tym, a nie w przyszłym roku. Pani Dauntry do tego stopnia uważała córkę ^ dziecko i tak bardzo poświęciła się zadaniu odseparowania

Endymiona od Charis, że wzrastająca zażyłość między Chloe i panem Charlesem Trevorem kompletnie uszła jej uwagi.

Co zaś do panien Merriville - ich pokrewieństwo z Alverstokiem, splendor, z jakim wprowadził je do towarzystwa, patronat lady Jersey i lady Sefton, a także nie dające się bliżej określić oznaki dobrego pochodzenia sprawiły, że otrzymywały wiele zaproszeń. Niewiele osób dawało wiarę fałszywym życliwym podszeptom lady Buxted, że panny są bez pensa, a tylko najbardziej zazdrośni rodzice odmawiali Charis urody. Powszechnie zgodzono się, że jest wyjątkowo słodką, skromną panią, Luiza Buxted natomiast dokładała wszelkich starań, by zepsuć szansę Charis, gdyż jej własna latorośl okazała się wyjątkowo niepociągająca. Gdyby to pani Dauntry, także mająca córkę na wydaniu, puszczała takie pogłoski, można by uznać, że tkwi w nich źdźbło prawdy. Z pewnością panny wynajęły dom w niemodnej dzielnicy, lecz prawdopodobnie stało się tak za sprawą dziwacznej panny Winsham. Nikt bowiem nie dostrzegłby w nich śladów ubóstwa: dziewczęta zawsze były eleganckie; wysmienity kamerdyner zjadł zęby na służbie w tej rodzinie; wynajęły też bardzo szacownego lokaja. Co więcej, nie bez udziału pani Dauntry rozniosła się wieść, że majątek ich brata w hrabstwie Hereford można zaliczyć do godnych uwagi. Wtedy wielu osobom

przypomniało się jak przez mgłę, że Fred Merriville, po hulaszczym życiu, które spowodowało, iż jego rodzice osiwiali ze zgrzyzoty i w efekcie znaleźli się w grobie, niespodziewanie stał się właścicielem rodzinnej posiadłości. Ponieważ zaś ani ojciec Freda, ani jego starszy brat nie byli znani w Londynie, nikt nie dysponował dokładnymi informacjami na temat wielkości tego majątku - nawet spokrewnieni z nimi Dauntry'owie nigdy nie odwiedzili Graynard. W ten sposób pani Dauntry, w najdelikatniejszy z możliwych sposobów, a także bez obaw, że posądzą ją o kłamstwo, mogła dawać do zrozumienia, że obecny dziedzic jest człowiekiem niezwykle majątnym, a jego siostry są szczerze zaopatrzone.

## 12

Fryderyka szybko zorientowała się, że w towarzystwie wytworzyło się błędne mniemanie o spadku, jaki pozostawił im ojciec. Kilka przypadkowo rzuconych uwag wskazywało jasno, że jeśli nawet nie uważano jej i Charis za dziedziczki, to przynajmniej traktowano je jako bardzo posażne panny. A kiedy pani Parracombe, którą zniechęciła od pierwszego wejrzenia, spytała, w jakiej części kraju znajduje się Graynard, dodając, iż słyszała, że to wyjątkowo piękna posiadłość, zaczęła podejrzewać Alverstoke'a o autorstwo tych pogłosek. Pannie Jane Buxted, najwyraźniej zamiłowanej plotkarce, zawdzięczała wiadomość, że pani Parracombe jest jedną z *cheres amies* Alverstoke'a, więc chociaż dała Jane ostrą odprawę, to nie miała powodu, by wątpić w jej słowa. Styl życia jego lordowskiej mości absolutnie jej nie interesował, mimo to z irytacją spostrzegła, że czuje się oszukana, postanowiła zatem jak najszybciej sprawdzić, czy to naprawdę on przyłożył do tego rękę.

Niestety, nieprędko nadarzyła się po temu okazja, a kiedy już, to Fryderyka znalazła się w takich nie sprzyjających okolicznościach, że wypadało jej jedynie zadać owo pytanie w jak najgrzeczniejszy sposób. Jaśnie pan nie zapomniał o obietnicy danej Jessamy'emu i zabrał go z sobą na przejażdżkę do Richmond, by wypróbować nowo nabyty zaprzęg siwków. Czy raczej przypomniał mu o tym Curry, główny koniuszy, który o Jessamym wyrobił sobie jak najpochlebniejsze zdanie. Toteż markiz któregoś ranka wybrał się na Upper Wimpole Street po chłopca: co Jessamy'ego wprawilo w niemałe zażenowanie. Wyznał Fryderyce, która na schodach odbierała przekazane przez Owena zaproszenie od jaśnie pana, że ten rano postanowił poświęcić nauce, zatem nie powinien poddawać się pokusom. Fryderyka rozsądnie podpowiedziała bratu, że uczyć się może później, w ciągu dnia, na co twarz chłopca natychmiast się rozjaśniła. Pospieszył umyć ręce, prosząc jednocześnie Owena, by powiadomił jego lordowską mość, że stawia się, nim markiz się spostrzeże.

Wszakże to Fryderyka przyniosła tę wiadomość Alverstoke'owi, prosząc przy tym, by po powrocie był łaskaw poświęcić jej chwilę.

Popatrzył na nią z góry, gdyż stała na chodniku, a jego leniwe przecież spojrzenie okazało się zadziwiająco przenikliwe.

- Oczywiście - przyrzekł. - Czy to coś wielkiej wagi? Zawahała się.

- Tak mi się wydaje, lecz pewnie pan będzie innego zdania.

- Intrygujesz mnie, Fryderyko. Czyżbym doszukał się w pani głosie niechętniej nuty?

Pojawienie się Jessamy'ego uchroniło ją od odpowiedzi. Zbiegł po schodach i zadyszany wyraził nadzieję, że nie przetrzymał zbyt długo jego lordowskiej mości. Składając siostrze zdawkowy ukłon wsiadł do

faetonu, a wyglądał na tak uszczęśliwionego i tak szczerze dziękował Alverstoke'owi za jego łaskawość, iż stłumiło to w sercu markiza inne, mniej miłosierne uczucia.

Kiedy po kilku godzinach wrócili, chłopiec był rozanielony. Siłą przyprowadził Alverstoke'a do salonu wołając:

- Fryderyko! O, jesteś tutaj! Proszę dalej, sir! Och, Fryderyko, to było wspaniałe! Od kiedy przyjechaliśmy do Londynu, nigdy tak dobrze się nie bawiłem! Byliśmy w parku Richmond... kuzyn Alverstoke miał bilety wstępu... i pozwolił mi wziąć lejce, i... Sir, sam nie wiem, jak mam panu dziękować!... On na... nauczył mnie, jak brać łagodnie zakręty i jak powozić, i...

- Drogie chłopcze, już dostatecznie mi podziękowałeś... prawdę mówiąc, zbyt gorąco! - odparł wyraźnie ubawiony Alverstoke. - Jeśli powiesz choć słowo więcej, zanudzisz mnie!

Jessamy roześmiał się, zaczerwienił i trochę wstydliwie powiedział:

- Chyba się nieco zagalopowałem, sir! Dla pana... dla pana uczenie takiego nieobytego smarkacza musiało być niezmiernie nudne! Ale postąpił pan niezwykle uprzejmie, pozwalając mi powozić siwkami, choć musiał pan podejrzewać, że mogę być zaledwie zbzikowanym na punkcie koni żółtodziobem!

- Gdybym odniósł takie wrażenie - powiedział poważnym tonem Alverstoke - nie dałbym ci lejcy do rąk. Nie jesteś jeszcze biegły, ale masz lekkie dłonie, stosunkowo dobrze oceniasz odległość i wiesz, jak prowadzić konie.

Taki komplement z ust niedoścignionego ideału sprawił, że Jessamy zaczął się jąkać z zakłopotania. Zdołał raz jeszcze podziękować jego lordowskiej mości, a potem zniknął, by spędzić jałowe godziny nad książkami. Otworzył je, lecz myślami błędził gdzieś daleko.

- Ja także muszę panu podziękować - odezwała się Fryderyka z ciepłym uśmiechem. - Ale nie śmiem! Czy naprawdę pan się nudził?

- Ku swojemu zdumieniu stwierdzam, że nie. To nowe doświadczenie! Nigdy dotąd z nikim nie dzieliłem się swoimi umiejętnościami, a teraz odkryłem, że jestem wyśmienitym nauczycielem i mam nadzwyczaj pojętnego ucznia. Ale nie przyszedłem tutaj, by rozmawiać o sztuce powożenia. Cóż takiego zrobiłem, że rozdrażniłem cię, Fryderyko?

- Nie wiem. To znaczy, jestem wściekła, tylko że nie wiem na pewno, czy za pańską sprawką - wyjaśniała szczerze. - Chodzi o to, iż rozniosła się wieść, że jesteśmy niezwykle majątne. Kuzynie, czy ty jesteś autorem tych plotek?

- Ależ skąd! - zapewnił, unosząc brwi. - A niby dlaczego?

- Hm, może chciałeś nam pomóc.

- Nie potrafiłbym wymyślić czegoś bardziej bzdurnego.

- Zgadza się, ja także nie! Poza tym, to wyjątkowo wulgarne! Brzydzę się kłamstwem! To zupełnie tak, jakbym poświęcała własny honor, aby tylko zapewnić Charis olśniewające małżeństwo. Jak gdyby podobne oszukaństwa mogły w czymkolwiek pomóc!

Uśmiechnął się.

- Oho! Ale uciekłyby się pani do nich, gdyby miały podzielać? W jej oczach pojawił się cień uśmiechu, jednak potrząsnęła Przeczaco głową.



- Nie... to odrażające! Zgadza się pan ze mną?

- Owszem, tylko zdaje się, że pani mnie podejrzewa o taki haniebny postępek.

- Tak, wiem jednak, że musiały panem kierować jak najlepsze Atencje - zapewniła.

- Tym gorzej. Uważa mnie pani za prostaka! Roześmiała się.

- Z pewnością nie! Proszę zatem o wybaczenie... ale jeśli nie pan rozpuścił te wieści, to kto mógł to zrobić?

I... i dlaczego? Przysięgam, nigdy nie usiłowałam wywierać na ludziach wrażenia osoby bogatej, Charis też nie, daję głowę. Prawdę powiedziawszy, kiedy pani Parracombe zaczęła mówić o Graynard i dawać do zrozumienia, że chętnie by je zobaczyła, opisując je tak, jakby to była książęca posiadłość, wytłumaczyłam jej, jak w wielkim jest błędzie.

- Teraz wiem, dlaczego podejrzenie padło właśnie na mnie! - mruknął wyzywająco.

Nic dziwnego, że zaskoczona cichutko westchnęła.

- I wciąż przeraża mnie, co plotkarze bez skrupułów mogą powtarzać niewinnym paniąkom - ciągnął zasmucony lord.

- Jeśli już o tym mówimy - Fryderyka odzyskała rezon - to nie posiadaję się ze zdumienia, jakie rzeczy pan potrafi mi poprawić bez skrupułów, kuzynie!

Westchnął.

- Hm, wiem dobrze! A sama myśl o tym spędza mi sen z powiek.

- Chyba się trochę zagalopowałaś, mój panie! - wypaliła, nim zdołała poskromić ostry język. I dodała pospiesznie, kiedy w przesadnym zdumieniu uniósł brwi: - Tak mawia Harry!

- Nie wątpię! Lecz takie paskudne słowa nie powinny padać z ust delikatnych, dobrze wychowanych niewiast!

Znakomicie tego świadoma, Fryderyka już miała go przeproszać, lecz kiedy dostrzegła kpiący błysk w oczach markiza, powiedziała:

- Jakież z pana wstrętne człowiek! Wolałabym, żeby pan był poważniejszy! Roześmiał się.

- Znakomicie, bądźmy w takim razie poważni! Chce się pani dowiedzieć, kto rozsiewa pogłoski o jej rzekomym majątku...

- Tak, a także, co mam z tym fantem począć!

- Nic. Jeśli chodzi o osobę, która zaczęła plotkować, to znam ją lepiej, toteż nie widzę powodu, dla którego miałyby pani tak się denerwować. I, skoro dalej mówimy poważnie, proszę przyjąć moja radę i ukrócić zaloty Ollertona do pani siostry!

Błyskawicznie zmierzyła go wzrokiem.

- Z jakiego to powodu?

- Gdyż, moje niewiniątko, on jest kimś, kogo nazywamy światowcem.

Kiwnęła głową.

- Cieszę się, że pan mi to powiedział, lecz sama już to podejrzewałam. Choć muszę przyznać, że jest bardzo grzeczny i uprzejmy, i ma wrodzone maniery... prócz tego, że od czasu do czasu może nieco przekracza granice dobrych obyczajów. Tak czy siak, jest wielu innych, nawet lepszego pochodzenia, którzy owe granice przekraczają o wiele dalej!

- Są tacy! - zgodził się. - Kto go wam przedstawił?

- Pani Dauntry na balu u lady Jersey. Z tej też przyczyny doszłam do wniosku, że musiałam się co do niego omylić.

- Och, moja siostra? - upewnił się. - No, no! - Kiedy Fryderyka na próżno usiłowała mu wszystko wyjaśnić, był wyraźnie rozbawiony. Otworzył tabakierkę, w zamyśleniu pociągnął niuch tabaki i niespodziewanie wybuchnął śmiechem. - Kto by pomyślał, że adopcja waszej rodzinki dostarczy mi takiej rozrywki?

- Pan sam! - odparła bez wahania Fryderyka. - Z początku nie zorientowałam się, ale teraz jestem absolutnie pewna, że zajął się pan nami tylko po to, by rozwścieczyć lady Buxted!

- I pani mnie o to wini?

Wbrew sobie parsknęła śmiechem.

- Cóż, może nie aż tak, jak powinnam! Lecz pan uznał to wszystko za wielce zabawne!

- Prawda... i rzeczywiście świetnie się bawię! Jednego tylko nie przewidziałem. Tego mianowicie, że tak bardzo pochłoną mnie losy Merriville'ów! - Urwał, lecz nim Fryderyka zdołała mu odplacić pięknym za nadobne, spytał surowym tonem: - Można wiedzieć, kogo widziałem wczoraj w towarzystwie pani siostry? Kolejny adorator w pasiastej kamizelce?

- Pan Nutley! - wyjawiała rozpaczliwym tonem.

- A kim, u diabła, jest ów Nutley?

- Nasz sąsiad! Bardzo wartościowy młodzieniec, ale zupełnie bez koneksji, poza tym całkiem oszalał na punkcie Charis! On... on się przylepił! Śle jej kwiaty i tkwi pod naszym progiem, kiedy siostra Wychodzi z domu tylko w towarzystwie Owena! - wyjaśniła Fryderyka.

- Wielki Boże! Czy Charis się ku niemu skłania?

- Nie, oczywiście, że nie! Ale problem tkwi w tym, że nie potrafi się zdobyć na to, by go odprawić! A jeśli pan sądzi, kuzynie, że potrafi ją przekonać, iż lepiej to zrobić wcześniej niż później, twierdzę, że absolutnie jej nie znasz! Ma wrażliwe serduszko, rozumie pan, i...

- Równie ptasi rozumek! - niecierpliwie wpadł jej w słowo.

- Owszem, to także - zgodziła się z westchnieniem. - Wolałabym, aby nie była taką gąską, gdyż śmiem twierdzić, iż każdy jej może zaimponować. Wyznaję, że nieustannie się tym martwię.

Potaknął i powiedział:

- Uważam, że nie powinna być widywana w towarzystwie Ollertona. Jemu zależy jedynie na flirtach. Sam tego dopilnuję!

- Piękne dzięki..., lecz nie uczynił nic wbrew regułom... to znaczy, nie życzę sobie, aby mu pan cokolwiek mówił! Byłaby to przesada.

- Och, nie musi mnie pani pouczać! - odparł z ironicznym uśmiechem. - Podobnie jak reszta towarzystwa, Ollerton uważa, że Charis znalazła się pod moją opieką. Możliwe także, że uwierzył, iż jestem obojętnym na wszystko protektorem. Temu da się zaradzić. Wybieracie się na przyjęcie do Crewe'ów? Będę wam towarzyszył... spełnię dobry uczynek! Mogę także zaprosić was obie do teatru albo na przejażdżkę po parku w godzinie przechadzki osób najdostojniejszych.

- Jest pan bardzo szlachetny! Doprawdy, czujemy się zaszczycone!

- Racja, rzadko zabieram do powozu niewiasty.

- Boję się, że zanudzi się pan na śmierć!

- Możliwe, lecz szlachetne intencje podtrzymają mnie na duchu.

- Och, wkrótce znuży się pan tą odmianą! - wypaliła. Zniknął ironiczny uśmiezek.

- Doskonale, Fryderyko! - powiedział z aprobatą. - Nie przypuszczam, aby przejażdżka z tobą po parku okazała się nudna.

- Cóż za ulga, proszę mi wierzyć! Nie ma jednak najmniejszej potrzeby okazywania mi takiej łaskawości! Proszę tylko od czasu do czasu zabrać ze sobą Charis, a będę niezmiernie wdzięczna! - Bez większego powodzenia usiłowała stłumić swawolny chichot i dodała z rozbrajającą szczerością: - Nie ma pan pojęcia, jak schlebienie pańskiej próżności niezgodne jest z moim charakterem, kuzynie, ale kilka tygodni w Londynie nie poszło na mamę, zatem doskonale się orientuję, jak bardzo liczy się pan w towarzystwie!

- Żmija! - powiedział z uznaniem lord. - Jakoś zniosę towarzystwo twojej pięknej, lecz głupiutkiej siostry, ale pod warunkiem, że niekiedy twoje nieocenione przymioty pomogą mi znieść ten ciężar. A przy okazji, czy plotki kłamią, czy mój młody kuzyn o równie ptasim mózdzku szczególnie daleko posunął się w swoich awansach?

- Nie... chociaż z pewnych względów wolałabym, żeby tak się stało! - odparła Fryderyka. - Lecz co do szczególnie daleko posuniętych awansów... Zdaje się, że od pierwszego wejrzenia zadurzył się w Charis po uszy. Muszę przyznać, że wolałabym, żeby był mniej przystojny! Obawiam się, że jest tylko jednym z wielbicieli, do których Charis ma pewną słabość, więc nie przypuszczam, aby stało się cokolwiek niestosownego! Podejrzewam także, że i pani Dauntry nie spodobałby się taki związek.

- Bez wątplenia. Moja świętoszkowata krewna Lukrecja jest niewolnicą konwenansów!

- Cóż, nie może jej pan winić, że pragnie dla swego syna jak najkorzystniejszej partii - odparła rozsądnie Fryderyka. - Poza wszystkim, tego samego pragnę dla Charis! Nie zamierzam pana urazić, jasnie panie, lecz nie sędzę, by Endymion był dla niej odpowiednim kandydatem na męża. Owszem, wszystko świetnie, kiedy jego matka rozpowiada, iż Endymion zostanie pańskim dziedzicem, ale kto może powiedzieć, kiedy tak rzeczywiście się stanie? Nie jest pan przecież jeszcze zdziecinniałym staruszkciem!

- Piękne dzięki! - niewyraźnie ucieszył się jego lordowska mość. W jej oczach błysnęły złośliwe iskierki, jednak odpowiedziała grzecznie:

- Ależ oczywiście, że nie! Istota rzeczy tkwi jednak w tym, że kiedy Charis towarzyszy Endymion, mogą być całkiem spokojna. Odnosi się do niej z największym szacunkiem... nawet z rewerencją!

- No tak, zawsze był nieco ociążały na umyśle - skomentował markiz. - Biedne dziewczę! A czy Buxted również smali do niej Polewki?

- Och, wielkie nieba, nie! - zapewniła, spuszczać wzrok i skromnie splatając dłonie na podolku. - Lord Buxted, kuzynie, najwyraźniej wybrał mnie!

Wybuchnął śmiechem.

- Nie, naprawdę? Wobec tego współczuję ci, lecz sądziłem, że on ma lepiej poukładane w głowie! Ciekawi mnie tylko, jakie wynajdujesz tematy do rozmowy?

- Hm, wcale nie jestem do tego zobligowana! On nigdy nie traci rezonu. Kiedy gawędzimy o sytuacji w

polityce, jest tak łaskaw, że zwraca moją uwagę na jakiś artykuł w gazecie, który mógłby zapewne ująć mojej uwagi, przy okazji ma nieodmiennie wiele do powiedzenia o sobie, swoim majątku i swoich przemyśleniach na rozmaite kwestie. - Urwała, krztusząc się ze śmiechu, lecz zaraz dodała skruszona: - Ale nie powinnam z niego drwić! Jest miły, ma sporo zdrowego rozsądku, nawet jeśli jest nieco nudnawy!

- Solenny i godny szacunku. Podejrzewam wszakże, że nie jest on jedynym z twoich wielbicieli. Doprawdy, serce mi krwawiło z żalu nad nieszczęsnym Aldridge'em, kiedy ujrzałem, jak na tym nudnym przyjęciu w zeszłą środę Darcy Moreton wyrzucił go z siodła.

- Och, nonsens! - zawołała. - Wolałabym, by nie plótł pan takich bzdur! Za chwilę powie pan, że flirtuję z panem Moretonem, a zapewniam, że jest on jak najdalszy od tego. Ja zresztą też!

- Nim pani zacznie ze mną zadzierać, proszę poczekać, aż będzie miała wróbla w garści!

Uśmiechnęła się.

- Na pewno, lecz proszę mi wierzyć, że nie flirtuję ani nie uganiam się za mężem!

- Chyba że za mężem dla Charis. Powiedz mi jedno, Fryderyko! Czy spodobał się pani pierwszy sezon w Londynie?

- Och, nadszpiewanie! - zawołała impulsywnie. - Prawdę powiedziawszy, do tego stopnia, że obawiam się, iż muszę być, choć wcale tego nie podejrzewałam, nieodrodną córką nieszczęsnego papy!

Markiz doskonale umiał nad sobą zapanować, więc z lekkim jedynie drżeniem głosu powiedział:

- Cóż za przerażająca myśl! Z pewnością się pani myli!

- Hm, mam nadzieję, że tak! - odezwała się poważnie. - Przecież zupełnie nie interesuję się grą w karty. Jak zresztą nikt z nas, prócz, może, Jessamy'ego, a on, jak pan wie, ma takie żelazne zasady, że wcale się o niego nie lękam. Przypuszczam, że przedwcześnie byłoby mówić coś o Feliksie, lecz nie sądzę, by stał się hazardzistą.

Markiz parsknął śmiechem.

- Wielki Boże, nie! Już teraz na tyle pochłania go wynalezienie parowego oszusta albo mechanicznego krupiera, że nie interesuje się samą grą! A jak miewa się Feliks? I gdzie się podziewa? Proszę tylko nie mówić, że znowu wyprawił się na wycieczkę parowcem!

- Chyba nie... chociaż podejrzewam, że teraz skupił się na projekcie wybudowania parowca, który przemierzałby oceany! Przypuszczam, iż dowiedział się o tym podczas eskapady do Ramsgate, ale mam wrażenie, iż wynalazcą jest jakiś Amerykanin, za co dziękuję Bogu! Nawet Feliks nie zdoła wyprawić się w tak daleką podróż!

- Nie dałbym za to złamanego pensa! Możliwe, że zaciągnął się jako chłopiec okrętowy na statek odpływający do Ameryki, a pierwsze wieści, jakie od niego otrzymamy, napłyną z Nowego Jorku!

- Na miłość boską, proszę tylko nie poddawać mu takiego pomysłu! - zaklinała Fryderyka markiza, równie rozbawiona, jak zaniepokojona. - On naprawdę mógłby się na to poważić! Ale teraz jest na górze, gdzieś na poddaszu, w tej części strychu, którą oddaliśmy mu na jego eksperymenty!

- Wielkie nieba! - wykrzyknął Alverstoke. - Zatem mamy nad głową beczkę z prochem! Pożegnaj się, zanim Feliks wysadzi cały dom w powietrze!

- Och, nie, na pewno tego nie zrobi! - roześmiała się rozbawiona. - Przyrzekł mi wziąć pod uwagę, że to

nie nasz własny dom! Markiz popatrzył na Fryderykę z uznaniem.

- A więc nie miałyby pani nic przeciwko temu, gdyby w powietrze wysadził rodzinne domostwo? Podziwiam pani hart ducha!

- Jak pan może pleść takie banialuki? Oczywiście, że bym protestowała! Chodziło mi tylko o to, że w domu miał swoją pracownię i mógł robić tam, co mu się żywnie podoba.

- Rozumiem! Czy często wylatywała w powietrze?

Uśmiechnęła się.

- Nigdy jej nie wysadził! Kiedyś zaproszył ogień, ale wtedy wypróbował nową zapałkę, która zapaliłaby się bez draski. Niewiele wyrządził szkody, zaledwie trochę osmalił sobie brwi. - Jesteś bardzo dobrą siostrą, Fryderyko! - pochwalił ją.

- Cóż, staram się - odrobinę pokraśniała. - Moja ciotka i nasza stara niania ogromnie się niepokoiły... albo tak mi się tylko wydawało... lamentowały pod niebiosami nad wybrykami chłopców, na co nie reagowałam, gdyż zaczęłyby wyrzekać i wcale nie zwróciły uwagi na moje słowa.

- Szkoda tylko, że wasza ciotka nie zamartwiała się również losem swoich siostrzenic! Jedno muszę powiedzieć, Fryderyko: moim zdaniem jest jak najgorszą opiekunką!

- Owszem, lecz należy oddać jej sprawiedliwość! Nigdy nie chciała przeprowadzać się do Londynu, a przyzwoliła na to jedynie pod warunkiem, że nie będziemy jej ciągać po balach. Proszę wziąć pod uwagę, że jestem na tyle dorosła, by opiekować się Charis! I, prawdę mówiąc, robię to od chwili jej debiutu!

- Nigdy - stwierdził energicznie lord - nie zdarzyło mi się słyszeć większych bzdur!

- Może... ale nie dałabym za to głowy! Tak czy siak, nie można winić ciotki, gdyż ma teraz poważniejsze zmartwienie. Wuj Scrabster słabuje, biedna ciotka Amelia ze zmartwienia po prostu odchodzi od zmysłów, więc we wszystkim zdała się na ciotkę Serafinę.

Nie skomentował tego, zacisnął tylko wargi, jak gdyby powstrzymywał się od udzielenia niegrzecznej odpowiedzi. Na jego czole pojawiły się dwie głębokie bruzdy, zniknęły jednak w chwili, kiedy drzwi otworzyły się z impetem. Do salonu wpadł Feliks wołając:

- Jest pan tutaj, sir! Wydawało mi się, że to pan, kiedy ujrzałem faeton! Fryderyko, mogłaś mnie powiadomić! Wiesz przecież, jak bardzo mi zależało na spotkaniu z markizem! Jesteś wstrętna!

- Boże, miej mnie w swojej opiece! - westchnął jego lordowska mość. - Feliksie, tylko nie następna odlewnia!

- Nie, nie! Prawdę mówiąc, niedokładnie! Chodzi o nową mennicę! Jest tam gazowe oświetlenie, parowe silniki o wielkiej mocy, ale kiedy poszedłem z Jessamym, nie pozwolono nam wejść do środka bez... bez specjalnych rekomendacji. Kuzynie Alverstoke, czy wyświadczyłbyś mi tę wielką uprzejmość? Błagam!

- Jakim cudem? - zdziwił się markiz. - Nie znam ani zarządcy, ani nawet mistrza.

- No tak, ale zarządcy odlewni pan także nie znał, sir! - zaoponował Feliks.

- Hm, to coś całkiem innego! Zdajesz sobie chyba sprawę, że w mennicy zachowują wyjątkową ostrożność, nie sądzę więc, aby moja rekomendacja okazała się czymś „specjalnym”.

Feliksowi już śmiesznie zrzędał mina, ale słysząc słowa markiza rozjaśnił się. Krzyknął radośnie:

- Na pewno tak! Pan chce mnie wystawić na próbę! Oczywiście, że to jest w pańskiej mocy!

- Kochanie, okropnie się zachowujesz! - skarciła brata Fryderyka.

- Bardzo cię proszę, przestań zawracać głowę kuzynowi Alverstoke!

- Przecież mu się nie narzucam! - zaprotestował rozgorączkowany chłopczyk. - Prosiłem go tylko, by udzielił mi rekomendacji! Wcale nie chciałem, by poszedł tam ze mną, bo wiem dobrze, że gdyby on nie zechciał, to pan Trevor z ochotą wybierze się do mennicy!

- Z jak największą! - potwierdził, nieco oszołomiony markiz.

- Temu nieszczęśnikowi także należy się jakaś rozrywka!

- Ale, oczywiście, najlepiej, gdyby to pan ze mną tam poszedł! - kusił Feliks.

- Och, nie, nie powinienesz mnie rozpieszczać! - odparł jego lordowska mość, zachowując zimną krew. - Pamiętaj, że raz już mnie uhonorowałeś!

- Hm, dobrze! - poddał się Feliks. - Nie jest co prawda kimś, jak pan, ale ma trochę rozumu w głowie!

- I to całkiem sporo - z poważną miną potaknął markiz. - I dostąpi wielu zaszczytów! Śmiem twierdzić, że dożyjemy dnia, w którym zostanie ministrem skarbu, więc pilnuj się, aby mu się nie narazić!

Było jasne, że takie ambicje w oczach Feliksa wydawały się co najmniej mierne, lecz odezwał się niewinnym tonem:

- No, tak! Lecz nie jest przy tym nudziarzem! Z początku myślałem, że mógłby nim być, ale teraz nieźle się z nim zaprzyjaźniłem, no i polubiłem go.

Potem pożegnał się z markizem, który pytająco uniósł brew i spojrzał na Fryderykę:

- Jakim cudem, jeśli mogę spytać, twój zajmujący brat nawiązał tak zażyłą znajomość z Charlesem?

Odpowiedziała z pewną rezerwą:

- Och, niekiedy odwiedza nas w niedziele, kiedy zapraszamy grono przyjaciół na kolację... rozumie pan, to nic formalnego... po prostu przyjacielskie spotkanie osób, które nie trawia modnych spędów, lecz wolą spędzić miły wieczór grając w remika, bawiąc się w ciuciubabkę czy w zgaduj-zgadule...

- Lub wypatrując oczy za Charis?

- Nie, myli się pan! - zapewniła szybko. - Pan Trevor tego nie robi!

- Cieszę się. Ona absolutnie do niego nie pasuje.

- Jeśli już o to chodzi, to on do niej nie pasuje!

- Najprawdopodobniej. Dlaczego więc postanowił tak się wydurniać?

- Proszę jego o to zapytać, nie mnie!

- Nie jestem aż tak nietaktowny.

- Ma mu pan więc za złe, że składa nam wizyty?

- Ani trochę. Po prostu się dziwię. Zapewne coś go tutaj wabi! Charles nigdy nie narzekał na brak zaproszeń, jest mile widziany i pochodzi z zacnej rodziny. Lecz nim familia Merriville'ów zjechała do Londynu, rzadko z nich korzystał. W moim przekonaniu musiał się zakochać: zapomniał nawet któregoś dnia przypomnieć mi, że mam się pojawić na wielkim balu. Zapewniam, że dotąd nic się takiego nie zdarzyło! Ale jeśli to nie Charis... - Urwał, gdyż nagle zrozumiał. - Wielki Boże! Chloe?

- Nie jestem jego powiernicą, sir! A nawet gdybym była, to nie zdradziłabym jego sekretów!

Zlekceważył jej słowa. Na jego ustach pojawił się uśmiezek, a po chwili zadumy powiedział:

- Jeżeli to prawda, życie dostarcza nam niespodzianek. Muszę więc zaskarbić sobie przyjaźń Chloe!

### 13

Fryderyka nie bardzo widziała, czy markiz podjął jakiegokolwiek kroki, by zaprzyjaźnić się z młodą kuzyneczką, szybko jednak wypełnił drugą obietnicę i zademonstrował całemu towarzystwu zainteresowanie swoimi domniemanymi podopiecznymi. To potwierdziło jej podejrzenia, iż słynne jego zapominalstwo było w dużej mierze udawane. Zawitał na Upper Wimpole Street, by zabrać Charis, i obwoził ją po Hyde Parku w najmodniejszych godzinach, wielokrotnie zatrzymując siwki, by wymienić powitania z przyjaciółmi albo by umożliwić Charis odpowiedzenie na pozdrowienia licznej rzeszy wielbicieli. Czyniła to jak najśłodziej i bez cienia kokieterii. Alverstoke znał wiele pięknych kobiet, lecz żadna z nich nie była tak niewinnie nieświadoma swojej urody jak młodsza panna Merriville. Nie zdawała sobie również sprawy z zaszczytu, jakiego dostąpiła z jego strony ani zdziwienia dociekaniem, jakie to wywołało. Podziękowała tylko uprzejmie, że zabrał ją na przejażdżkę, a odpowiadając na pytania wyjawiała, że od Hyde Parku woli Ogrody Kensington, gdyż tam rosną takie śliczne kwiaty i tereny do spacerów są zupełnie jak na wsi.

- Więc nie polubiłaś Londynu?

- Och, tak! - odparła spokojnym tonem. - Jest tu przyjemnie i zabawnie, tylko nie tak wygodnie jak na wsi.

- Ależ zazwyczaj uważa się, że u nas jest dużo wygodniej!

- Naprawdę? - Zmarszczyła czoło. - Ciekawe, dlaczego?

- Powiedzmy, że tutaj jest o wiele więcej sposobności do rozrywek.

- Och! - Przez chwilę rozważała jego słowa. - No tak, oczywiście, tu s<sup>^</sup> teatry, koncerty, pokazy i mnóstwo wielkich balów. Lecz londyńskie bale... choć takie wspaniałe, nie są tak miłe jak na prowincji, prawda?

- Prawda? A z jakich to powodów?

- Nie wiem. Nie jestem na tyle mądra, by dobrze coś wytłumaczyć - powiedziała przepraszająco. - Wolę przyjęcia, na których wszystkich znam... rozumie pan, co mam na myśli? - Po dalszej chwili zastanowienia dodała: - To chyba dlatego, że nie przywykłam do życia w mieście, do ciekawskich spojrzeń, jakimi ludzie mierzą obcych.

- To bardzo nieprzyjemne - zgodził się poważnie. - Przypuszczam, że najlepiej bym zrobił wywożąc was z miasta do jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi zakątka, zamieszkanego jedynie przez kmieci.

- Ale przecież musiałby pan odbyć długą podróż. Zaczęło go to nudzić, więc odparł nieco szorstko:

- Szczera prawda.

Zatopiła się w milczeniu. Po chwili markiz przymusił się do poruszenia innego tematu, lecz chociaż Charis miała w kilku kwestiach własne zdanie, potulnie zgodziła się ze wszystkim, co mówił, toteż ogarniało go coraz większe znużenie. Zatem po jeszcze jednej rundce po parku odwiózł ją na Upper Wimpole Street, ganiać się w duszy, że tak pochopnie przyrzekł otoczyć ją opieką. Normalnie zapomniałby o dziewczynie natychmiast po wysadzeniu jej z powozu, lecz te okoliczności nie były takie zwykłe. Doszedł do wniosku, że honor nakazuje mu zaproszenie Charis na następną przejażdżkę. Uczynił więc to, pytając jednocześnie, gdzie chciałaby się wybrać. Odparła impulsywnie:

- Och! Jaki pan jest miły! Nade wszystko pragnęłabym zobaczyć Hampton Court, sir! Czytałyśmy o nim z Fryderyka i ogromnie chciałyśmy kiedyś tam się znaleźć. Tylko że... - Zawahała się, w jej ogromnych, utkwionych w nim oczach pojawiło się powątpiewanie.

- Tylko że co? - nalegał.

- Czy pan... czy pan zgodzi się nam towarzyszyć, kuzynie Alverstoke? To znaczy, nam wszystkim! Czy... czy wolałby pan tego nie robić? Chodzi mi o to, że jest tam słynny labirynt i chłopcy byłiby nim zachwyceni!

W ten sposób kilka dni później markiz eskortował całą rodzinę do Hampton Court w powoziku, zaprzężonym w kłusaki, tak doskonale znane wszystkim bywalcom Four-Horse Club. Kilku z nich ze zdumienia przecierało oczy na widok tego, jaki użytek zrobił ze swoich koni. Jego lordowska mość nie przypiął klubowej odznaki, lecz Jessamy, na którego po Feliksie przyszła kolej siedzenia u jego boku na koźle, zapewnił siostry, że każdy, kto choćby przelotnie spojrzy na zaprzęg, będzie świetnie wiedział, że do tego klubu należą.

Zdaniem Merriville'ów wycieczka była najcudowniejszym przeżyciem, jakiego dotąd doświadczyli. Nawet Feliks przyznał, że radość z zabłądzenia w labiryncie i odszukania go potem przez strażników, którzy - jak to ujął - pluli jadem, przewyższyła wręcz uciechę z eskapady do Ramsgate. Pochłonął taką ilość kanapek z dżemem, że jego brat wyzwał go od żarłoków i powiedział, że ktoś mógłby pomyśleć, że dotąd głodował. Feliks odpowiedział na to pogodnie, że (prócz dwóch porcji lodów i kilku ciastek na lunch) od śniadania nie miał nic w ustach. Śniadanie to składało się tylko z jajek, bułeczek, grzanki i konfitur, nic więc dziwnego, że jest głodny jak wilk.

Markiz, dzięki temu, że już wcześniej poznał klucz do labiryntu, spędził ten dzień o wiele milej, niż się spodziewał, gdy tylko znudziło mu się błądzenie po labiryncie, wyprowadził stamtąd Fryderykę, porzucając młodszą trojkę, która wciąż usiłowała dotrzeć do środka. Wszyscy tryskali humorem, a kiedy znaleźli się w ślepych alejkach, uznali to za przedni żart. Dozorca, mający pieczę nad całym labiryntem, a do którego obowiązków należało wyprowadzenie stamtąd zmęczonych gości, kilkakrotnie oferował swoje usługi. Ale za każdym razem któreś z Merriville'ów twierdziło, że sami odnajdą wyjście.

Fryderyka, spacerując alejkami u boku markiza, uznała, że tylko szczęśliwym trafem znaleźli się w środku labiryntu, lecz kiedy Alverstoke bez wahania poprowadził ją do wyjścia, roześmiała się i zawołała:

- Pan zna tajemnicę! Co za oszustwo! A już zaczynałam myśleć, że jest pan taki sprytny!

- Tylko przezorny! - odparł. - Perspektywa spędzenia większej części popołudnia na błądzeniu między żywopłotami wydawała mi się taka nieciekawa. A pani?

Uśmiechnęła się.

- Hm, przyznaję, że wolę przechadzkę po ogrodach i głuszy! Ale dzieciaki świetnie się tutaj bawią. Ogromnie panu dziękuję, że nas tutaj przywiózł! Jest pan niezwykle uprzejmy, gdyż jestem przekonana, że musi się pan setnie nudzić!

- Ależ skąd! - zapewnił. - Ma to urok nowości!

- Czy kiedykolwiek przywoził pan tutaj swoich siostrzeńców i siostrzenice? - zaciekała się.

- Nigdy!



- Nawet kiedy byli dziećmi? To dziwne!

- Zapewniam, że dziwniejsze byłoby, gdybym to uczynił!

- Nie dla mnie.

- Byłoby. Ostrzegam cię, Fryderyko, nie jestem skory ani do narzekań, ani do dobrych uczynków.

- Hm, przyznaję, że dla swoich sióstr nie jest pan zbyt dobry - przyznała szczerze. - Nie potępiam pana za to, przynajmniej nie do końca! One bez wątpienia dokładają wszelkich starań, by panu odplacić pięknym za nadobne! Zastanawiam się, czy wiedzą, że wsadzanie własnemu bratu szpil jest okropne. Lecz cokolwiek pan powie, to nie jest pan straszliwym samolubem. Tyle serca okazuje pan przecież Jessamy'emu i Feliksowi, jeśli już o tym mówimy.

- Tylko wtedy, kiedy mnie nie zanudzają - zaprotestował.

- Wycieczka do odlewni musiała pana ze wszech miar znudzić - przypomniała Fryderyka.

- Owszem, dlatego właśnie to Charles zabierze Feliksa do mennicy - odparł chłodno.

- Więc czemu nie polecił mu pan dzisiaj, by z nami pojechał? - dopytywała się niewinnym tonem, któremu przeczyło pełne kpiny spojrzenie. - Mógł się pan spodziewać, że ta wycieczka okaże się równie nudna jak wyprawa do mennicy!

Spojrzał na nią z góry, wyraźnie zdetonowany. Zdumiała się tym, lecz po chwili odezwała się żartobliwie:

- Zastanawia się pan, czy zdołał mnie okpić twierdząc, że nie ufa pan swoim układom z panem Trevorem?

- Nie - odparł powoli. - Chociaż tak mogłaby wyglądać prawda! Myślałem jednak tylko o tym, jak do twarzy jest ci w tym kapelusiku! Był rzeczywiście czarujący, z jedwabistym różowym piórem wijącym się nad daszkiem z marszczonego jedwabiu. Jednak Fryderyka wybuchnęła perlistym śmiechem i zawołała:

- Och, kuzynie, jakże próbujesz ułatwić mi zadanie! Dlaczego usiłujesz doprowadzić mnie do przekonania, że myślisz wyłącznie o sobie i jesteś całkiem nie do zniesienia? Obawiasz się, że mogłabym rozpowiadać, iż w gruncie rzeczy masz dobry charakter? Przyrzekam, że tego nie zrobię!

- Nie, wcale się tego nie obawiam.

- Jasne, że zawsze potrafi pan sprowadzić mnie na ziemię, prawda? - zgodziła się, wesoło mrugając oczami.

- To niemożliwe! I tak się zaraz podniesiesz na równe nogi! - odpalił, prowadząc ją ku wygodnie usytuowanej ławeczce. - Usiądziemy na chwilę i poczekamy na dzieciaki, chyba że uważasz, iż jest za zimno?

Potrząsnęła przecząco głową i usiadła.

- A obchodziłoby pana bardzo, gdyby tak było - zapytał.

- Jesteś niesprawiedliwa, Fryderyko! Prawie tak niesprawiedliwa jak przy swojej poprzedniej uwadze! Wytłumacz mi, błagam, kiedy śmiałem cię upokorzyć?

- Och, już podczas naszego pierwszego spotkania! Był pan wtedy nieznośnie wyniosły!

- Naprawdę? Proszę zatem przyjąć moje pokorne przeprosiny. Zapewniam, że nigdy więcej pani nie obrażę!

- No tak, rzeczywiście! - zawołała żarliwie. - To znaczy, nie zrobi już nam pan afrontu! Ale dwukrotnie słyszałam... Cóż, wcale nie chodzi mi o mnie! Nie lubi pan, gdy mu się dziękuje, ale proszę pozwolić, że

powiem... jeden, jedyny raz, jak szczerze jestem panu wdzięczna! Uczynił pan dla nas o wiele więcej, niż się spodziewałam... hm, pospieszył pan nawet na pomoc Luffowi, a jeśli to nie życzliwość, to chciałabym wiedzieć, co?!

- Lecz przecież tego właśnie ode mnie oczekiwałaś! - stwierdził.

- Właściwie nie tego. Ja... ja miałam tylko nadzieję, że tak właśnie pan postąpi! Och, ale przecież dotąd nie powiedział mi pan, ile musiał pan zapłacić, by go wykupić! Zupełnie o tym zapomniałam! Błagam więc, ile...

- Nic z tego! - przerwał. - Nie wiem ani mnie nie obchodzi, ile to kosztowało. A jeśli dalej będziesz mnie zarzucała bzdurami, Fryderyko, to dam ci... hm... całkiem lodowatą odprawę!

- Bardzo to uprzejme z pańskiej strony, kuzynie, ale kiedy prosiłam pana o pomoc, to absolutnie nie zamierzałam siedzieć w pańskiej kieszeni! Co więcej, i teraz tego nie pragnę!

- W takim razie muszę dokładnie obliczyć, jak bardzo się dzisiaj na was wykosztowałem - powiedział. - Zastanawiam się, dlaczego nie pomyślałem o zachowaniu rachunków? Ale, ale, daj mi się zastanowić! Cztery bilety za wstęp do labiryntu... o, zapłaciliśmy także za wejście do pałacu, prawda? Wynosi to wszystko...

- Wolalabym, aby pan nie kpił! - przerwała, przygryzając drżącą wargę.

- Ależ ja wcale nie kpię. Poza tym jestem szczodry, - gdyż nie zmuszałem was do wynajęcia powozu.

- Och, proszę nie pleść bzdur! - zawołała rozgniewana. - Jest wielka różnica między tolerowaniem moich długów a zaproszeniem nas, ku swojemu zresztą zadowoleniu, na wycieczkę do Hampton Court!

- Oczywiście, tylko że nie zrobiłem tego z własnej woli - wyjaśnił. - Do tej uprzejmości namówiła mnie Charis! Z trudem złapała oddech.

- No proszę... co za samochwalstwo! - wykrzyknęła zupełnie od rzeczy. - Wie pan doskonale, że nigdy nie przyszłoby to jej do głowy, gdyby jej pan uprzednio nie spytał, gdzie chciałaby pojechać!

- Cóż, jeśli uważa pani za zaproszenie, bym wyprawił się do Hampton Court w towarzystwie jej siostry i obu braci...

- Jest pan wstrętny, wstrętny! - powiedziała, usiłując pohamować śmiech. - Dobrze, nie powiem już nic więcej. Nawet panu nie dziękuję! Czy może powinnam błagać o wybaczenie, że narzuciliśmy się panu dzisiaj, ja i moi bracia?

- Przeciwnie! Gdybyście odmówili, musiałbym poszukać innego towarzystwa. Charis jest może najmilszą z dziewcząt, lecz z pewnością prochu nie wymyśli. Z największym trudem udaje mi się podtrzymywać z nią rozmowę... przyznam, że to wielce wyczerpujące! Kiedy usiłuję zażartować, pyta, co mam na myśli.

Fryderyka nie zdołała powstrzymać chichotu, lecz mimo to stanęła w obronie siostry:

- Może i nie jest zbyt bystra, ale zapewniam pana, że ma wiele zdrowego rozsądku! O wiele więcej ode mnie. Potrafi prowadzić gospodarstwo, poza tym znakomicie szyje, na zawołanie potrafi uszyć suknię i... och, zrobić mnóstwo pożytecznych rzeczy!

- Niestety, niewiele z tych zalet przydało się podczas przejażdżki po parku.

- Bez wątpienia Charis nie jest papłą! - wypaliła Fryderyka. Roześmiał się.

- Bez wątpienia!

- Sądziłam, że dżentelmeni nie lubią kobiet, które zbyt pytlują!

- Prawda, ale jest pewna różnica między mieleniem językiem a umiejętnością podtrzymania rozmowy. Nie, proszę się nie oburzać! Przyznaję, że Charis jest wyjątkowej urody, przy tym bardzo uprzejma i pełna cnót! Lecz... - Urwał, zmarszczył czoło.

- Lecz? - powtórzyła.

Marszcząc wciąż czoło podziwiał trzymane w jednej dłoni rękawiczki, lecz teraz uniósł wzrok i spojrzał na Fryderykę. I wbrew swojej naturze powiedział łagodnie:

- Moje dziecko, czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że przyszłość, jaką dla niej planujesz, może nie być taka, jaką by sama wybrała?

- Nie, jakim to cudem? Jeśli tylko planowałabym dla niej to, co pan określa „złapaniem dobrego męża”, ale mnie wcale o to nie chodzi! Przysięgam, że nie! Chciałabym tylko widzieć ją wygodnie zabezpieczoną: żeby nie musiała się martwić, jak związać koniec z końcem, lecz mogła sobie pozwolić na wygodne życie! - Spozrzęła, że uniósł brwi, więc dodała: - Myślę, że dla pana to nie ma znaczenia. Radzę więc przypomnieć sobie, że pan nigdy nie musiał zaciskać pasa!

- Nie musiałem - przyznał. - I powinienem zgodzić się, że pani lepiej zna swoją siostrę, lecz z tego, co zdołałem zaobserwować, to chyba byłaby szczęśliwsza prowadząc skromny dom niż wiodąc wystawne życie. Przyznała mi się, że woli wiejskie bale od londyńskich.

- Wielkie nieba, naprawdę to powiedziała? - zawołała Fryderyka nie posiadając się ze zdumienia. - Musiała żartować! Proszę tylko Pomyśleć o sukcesie, jaki odniosła! O bukietach kwiatów, jakie dostaje! O tym, że bez przerwy ktoś puka do naszych drzwi! Och, Pan musi się mylić, kuzynie!

Dostrzegł, że jest zaniepokojona, toteż zapewnił lekkim tonem:

- Bardzo możliwe. W każdym razie nie widzę powodu, by miała się pani tym trapić.

- Lecz jeśli ona naprawdę nie dba o to... nie pragnie godnego zamążpójścia... to wszystkie moje starania idą na mamę! - wyjaśniła.

- Bzdura! Pani akurat podoba się londyńskie życie.

- To bez znaczenia! - zawołała zniecierpliwiona. - Jak mogłabym w ogóle wpaść na pomysł, by dla zaspokojenia swoich zachcianek ciągnąć do Londynu chłopców!

- Przypuszczam, że Jessamy nie miałyby nic przeciwko temu, aby zostać w domu, ale nie zaszkodzi mu, kiedy zobaczy trochę świata. Natomiast Feliks jest szczęśliwy jak szczygiełek! Dziwi mnie tylko, że uważała pani, iż Charis podziela jej gusta.

Potrząsnęła głową.

- Wcale tak nie myślałam. Tyle że wstydem byłoby trzymanie jej w ukryciu lub pozwolenie na poślubienie młodego Rushbury'ego czy jakiegoś innego mężczyzny z sąsiedztwa jeszcze przed jej debiutem. - Zawahała się, a potem dorzuciła nieśmiało:

- Wie pan, na nią tak łatwo można wpłynąć! Przeważnie zgadza się ze wszystkim, co się jej zasugeruje, i chociaż ma żelazne zasady, czasami jest tak ustepliwa, że aż woła to o pomstę do nieba!

- Potrafię to sobie wyobrazić... jeśli ulega nagabywaniom każdego gołowąsa, który do niej smali cholewki! Ale czy się w nich zakochuje?

- Nie przypuszczam, by dotąd w kimkolwiek się zakochała - odparła szczerze Fryderyka. - To znaczy, żadnego z nich nie wyróżniała! Ale jest wyjątkowo sentymentalna i ma tak czułe serce, że nie sposób się nie niepokoić!

- Życzliwa dla całego świata, co? Biedna Fryderyka!

- Łatwo panu mówić! Ale czuję się za nią odpowiedzialna. Ona poślubiłaby byle kogo, a proszę tylko pomyśleć, co by było, gdybym pozwoliła jej wyjść za jakiegoś, jak pan to określił, gołowasa, który nie wiedziałby, jak uczynić ją szczęśliwą... albo, dajmy na to, za jakiegoś... jakiegoś łowcę posagów!

Zadrgały mu wargi, jednak odparł z poważną miną:

- Doprawdy wstrząsające! Ale... hm... łowcy posagów zazwyczaj ubiegają się o rękę posażnych dziedziczek.

- Hm, nie to dokładnie miałam na myśli - zgodziła się. - Może powinnam była raczej powiedzieć, że Charis nigdy nie durzy się w odpowiednich kawalerach. Sama tego nie robię, więc nie mnie ją osądzać. I nie wydaje mi się, by teraz cokolwiek się zmieniło.

Do tej pory słuchał z roztargnionym rozbawieniem, ale ostatnie słowa zaniepokoiły go.

- Nigdy się pani nie zakochała? - powtórzył z niedowierzaniem. - Nigdy, Fryderyko?

- Nie... to znaczy, chyba nie! Kiedyś żywiłam do kogoś coś w rodzaju uczucia, ale wtedy byłam bardzo młoda i szybko się z tego otrząsnęłam, więc nie sędzę, aby to naprawdę była miłość. Co więcej, podejrzewam, że gdybym nie poznała go na balu, kiedy miał na sobie mundur swojego regimentu, nawet bym na niego drugi raz nie spojrzała. - I dodała szczerze: - Wiesz, kuzynie... moim zdaniem, nie powinno się pozwalać dżentelmenom na uczęszczanie na bale i przyjęcia w eleganckich mundurach. Jest w tym coś oszukańczego. Na szczęście, gdyż przekonałam się, że jest całkiem nieodpowiedni, miałam okazję kilkakrotnie zobaczyć go bez munduru, toteż nie zdażyłam się w nim tak naprawdę zakochać. Wprost nie mogę opisać, jak bardzo się rozczarowałam!

- A kim był ów nieszczęśnik? - spytał z roześmianym wzrokiem.

- Nie pamiętam jego nazwiska! To było tak dawno!

- No tak! - powiedział współczująco. - Nim jeszcze stałaś się podstarzałą jędzą!

- Podstarzałą jędzą...! - Aż się zachłysnęła, a potem powiedziała ze smętnym uśmiechem: - Mój Boże! Pewnie taka naprawdę jestem!

- Czyżby? Wobec tego, pozwól sobie powiedzieć, moje dziecko, że kiedy mówisz o zamierzonych czasach, gdy byłaś bardzo młoda, pleciesz wierutne bzdury!

- Nie, wcale nie! Mam dwadzieścia cztery lata i już od wieków sieję rutkę! - odpaliła.

- I co z tego? - zadrwił.

- Nic! Proszę tylko pomyśleć, co by się z nimi wszystkimi stało, gdybym nie była starą panną?

- Nie wiem i wcale o to nie dbam.

- Cóż, ja wiem i bardzo mnie to obchodzi! Co więcej, uważam, że status starej panny jest niezmiernie wygodny, mam z głowy Wszystkie nużące ograniczenia! Gdybym była panną na wydaniu, nie mogłabym, na przykład, rozmawiać z panem bez wścibskiej przyzwoitki! Ludzie natychmiast pomyśleliby, że usiłuję pana złowić! Ale teraz, gdyby księżna Lieven albo nawet pani Burrell przechodziły obok, to tylko

uniosłyby pogardliwie brew, sądząc, że jestem kimś w rodzaju panny Berry!

Porównanie z damą, która liczyła sobie mniej więcej sześćdziesiąt pięć wiosen, niemal powaliło markiza z nóg. Zapanował jednak nad sobą, lecz w jego głosie dało się słyszeć wyraźne drżenie:

- Święta prawda! Dziwne, że jeszcze mi to nie przyszło do głowy.

- Przypuszczam, że w ogóle się pan nad tym nie zastanawiał - podsunęła życzliwie Fryderyka.

- Nie - przyznał. - Rzeczywiście nie!

- Przecież pan nie musiał! Dżentelmeni nie zwracają sobie głowy przyzwoitkami - dodała, z pewną zazdrością obserwując jego rozbawienie.

- Zapewniam, że często przysparzały mi wiele kłopotów! Uważam, że są niezmiernie irytujące!

Smutne spojrzenie nagle stało się bardzo wesołe.

- Jest pan nadzwyczaj zdumiewającym osobnikiem, kuzynie! - powiedziała uprzejmie.

- Tak, i wstrętnym jegomościem! Czy pani przed tym nie przestrzegałem?

- Możliwe, ale powiedział już pan tyle banialuk na swój temat, że przestałam zwracać na to uwagę. - Odwróciła w jego kierunku głowę i powiedziała z uśmiechem w prawdomównych oczach: - Wiele osób ostrzegało mnie, że jest pan wyjątkowo niebezpieczny! Ma pan nie najlepszą reputację, kuzynie! Ale nam pan okazał wiele życzliwości... chociaż absolutnie nie chciał się pan z nami zaprzyjaźnić! Tak więc nie oddam nawet guzika za to, co pan mówi o sobie.

Spojrzał jej prosto w oczy, lecz z jego spojrzenia trudno byłoby odgadnąć, co naprawdę myśli.

- Czyżby? Ależ to podrażnia moją ambicję!

- Chciałabym, aby przestał mnie pan uważać za głupią gąskę - poprosiła surowo. - Zamiast mówić bzdury, proszę powiedzieć co panu wiadomo o sir Marku Lynehamie!

- Czy to kolejny z adoratorów Charis? Drogie dziecko, nie jest już on najpierwszej młodości!

- Nie, ale... coś, co Charis mi wczoraj wyznała, dało mi do myślenia, że najszcześniejszą byłaby ze starszym mężczyzną. Z kimś, na kim by mogła polegać, kto by się nią opiekował i kto by nią nie poniewierał, kiedy wpadnie w złość. Z tego, co się zorientowałam, młodzi mężowie za często mają muchy w nosie, a tego nie życzylabym Charis! Jest taka wrażliwa, że nawet kiedy nasi chłopcy się pokłócą, czuje się nieszczęśliwa. I nawet najlżejsze skarcenie sprawia, że całkiem się załamuje! Hm... hm... moim zdaniem sir Mark jest nadzwyczaj łagodny, prawda?

- Nie potrafię tego powiedzieć, gdyż znamy się tylko przelotnie. Ale sądząc po sobie, uważam, że mógłby ją zamordować... albo gdzie indziej szukać pociechy! I uważam, że mógłby go spotkać o wiele gorszy los niż poślubienie beksy.

- Ona nie jest żadną beksą! A sir Mark nie będzie szukał gdzie indziej pocieszenia! Cieszy się... nieskalaną reputacją!

- Aha! Hm, zawsze uważałem go za nudziarza! - zauważył jego lordowska mość.

- Mężczyzna nie musi być nudny tylko dlatego, że jest godzien szacunku! - odparła.

- Nie, nie musi być, ale tak często się zdarza.

- Z wiarygodnych źródeł wiem, że sir Mark w młodości doznał gorzkiego rozczarowania i od tamtej pory nigdy, powtarzam, nigdy, nie zainteresował się inną kobietą! - powiedziała lodowatym tonem Fryderyka.

- Och, mój Boże! - wykrzyknął markiz wyraźnie zdegustowany.
- Nie, proszę zamilknąć! Mam wyjątkowy słaby żołądek!
- Dobrze! - Fryderyka zmierzyła go wrogim spojrzeniem. - Pan chyba nie ma w sobie ani cienia przyzwoitości!
- Zgadza się.
- No to nie ma pan być z czego dumny!
- Wcale nie jestem dumny! Powiedz mi jedno, Fryderyko, czy ty naprawdę lubisz takie ciepłe kluski?
- Oczywiście! - odparła. - Ogólny szacunek musi wzbudzać Podziw!
- Baniałuki! - zauważył. - Uderzasz w zanadto górnolotne tony, moje dziecko! Zważ, że dawno już wyszedłem z wieku niemowlęcego!
- Hm, a przynajmniej powinien taki podziw wzbudzać - dodała obronnym tonem.
- To już lepiej - pochwalił ją. - Zaczynałem się już obawiać, że sama zaczęłaś żywić wobec tego nudziarza żywsze uczucia. A wierz mi, że taki związek nie miałby żadnej przyszłości. Po prostu do niego nie pasujesz!
- Z łatwością w to uwierzę! - przyznała, śmiejąc się. - Może więc przestanę nakłaniać Charis do czegokolwiek! Jeśli tylko zdołam!
- Potrafię wyobrazić sobie o wiele więcej niepożądanych okoliczności.
- Rzeczywiście? Więc albo wszystkie one są owocem pańskiej imaginacji, albo jest pan jeszcze większym ode mnie oszustem! - zawołała energicznie.

## 14

Ku zdumieniu wszystkich, a zakłopotaniu kilkorga, markiz, mimo swawolnej pamięci, zachował strzegę informacji udzielonej przez Fryderykę, toteż w najbliższą niedzielę po południu pojawił się na Upper Wimpole Street. Zapamiętawszy także, że cotygodniowe spotkania w domu są jak najbardziej nieformalne, przyszedł w codziennym stroju: w niebieskim surducie o wyjątkowo eleganckim kroju, w pasiastej kamizelce, jasnych bryczesach, które idealnie opinały jego nogi, i w szykownych długich butach, zapewnienie którym idealnego połysku należało do najważniejszych obowiązków kamerdynera. Siostrzeniec Alverstoke'a, lord Buxted, był bardzo stosownie ubrany w białą kamizelkę, czarne pantalony i pasiaste pończochy noszone do zwyczajowego wieczorowego stroju, a dwóch młodzieńców włożyło marszczone koszule z wysokimi, nakrochmalonymi sztywno kołnierzykami, sięgającymi aż do kości policzkowych, potężnych rozmiarów fulary i pełny komplet dewizek, sygnatów i pierścieni. Owi, dopiero co rozkwitający dandysi mnóstwo czasu i myśli poświęcili doborowi strojów i dopóki w saloniku nie pojawił się markiz, byli wielce ukontentowani rezultatem swoich wysiłków. Lecz kiedy na progu pojawiła się wysoka, świetnie prezentująca się postać, ogarnęły ich straszliwe wątpliwości. Jego lordowska mość, którego natura pobłogosławiła szerokimi barami, nie musiał uciekać się do watowania ramion, nie musiał także ścisnąć się w pasie. Rożki jego kołnierzyka nie sterczały nadmiernie, fular był pięknie, lecz dyskretnie zawiązany, biżuteria zaś składała się tylko z jednego łańcuszka i ciężkiego złotego sygnetu - a mimo to bez wątpienia okazał się najelegantszym mężczyzną w tym towarzystwie.

Gdy wszedł, towarzystwo zabawiało się pogawędką. Kiedy jednak Buddle go zaanonsował, zapadła pełna zdumienia cisza. Przerwał ją Feliks, wpadając do saloniku z okrzykiem:

- A niech mnie! Kuzyn Alverstoke! Jak się pan miewa, sir? Jestem panu wielce zobowiązany! Pan Trevor mówi, że pan wszystko załatwił. Od razu wiedziałem, że tak będzie! Już w najbliższym tygodniu wybieramy się do mennicy! Jest pan pewny, że nie zechce nam towarzyszyć?

Panu Darcy'emu Moretonowi, który z zaciekawieniem przyglądał się przyjacielowi, przyszła do głowy myśl, że rzadko zdarzało mu się zaobserwować u przyjaciela tak łagodną minę jak teraz, kiedy odpowiadał na powitanie. Potem podeszła do niego Fryderyka, wyciągnęła dłoń, więc odwrócił spojrzenie od rozpalonej twarzyczki Feliksa i uśmiechnął się do gospodyni, co pana Moretona z kolei wprowadziło w niemałe osłupienie. Nie był to bowiem taki uśmiech, jakim zwykł obdarzać swoje flamy, ale o wiele cieplejszy i czulszy. Wielkie nieba! - zawołał w duchu pan Moreton. - Czyżby zamierzał tutaj rzucić kotwicę?

Tymczasem Fryderyka, ściskając rękę niespodziewanego gościa, odezwała się uprzejmym tonem:

- Jak się pan miewa? - i dodała ciszej: - Cóż za bogowie pana przywiedli, kuzynie?

- Poczucie obowiązku - odparł, patrząc na nią kpiąco. I dorzucił prowokująco: - Na wypadek, gdyby miała się pani znaleźć w nieodpowiednim towarzystwie!

Zatkało ją, lecz zadowolona się jedynie wymownym spojrzeniem, potem odwróciła się i powiedziała z promiennym uśmiechem:

- Mam wrażenie, kuzynie, że znasz większość gości, ale może przedstawię cię pannom Upcott i Pensby. - Odczekała, kiedy lekko się skłonił obu damom, a potem zaprezentowała obu młodych adeptów mody. Markiz zaszczycił ich skinieniem głowy i ogarnął przepyszny uniesieniem brwi oraz znudzonym, peszącym uśmiechem. Po czym przestał zwracać na nich uwagę i obejrzał sobie resztę towarzystwa. Prócz Darcy'ego Moretona i cichego mężczyzny, w którym rozpoznał sir Marka Lynehama, zastał ich jeszcze czworo, a wszystkich świetnie znał, oni zaś popatrywali na niego z różnym stopniem zakłopotania. Byli więc tam: jego siostrzeniec - lord Buxted, kuzynostwo - Endymion i Chloe Dauntry, a także jego osobisty sekretarz - Charles Trevor. Chloe mogła się spieszyć dlatego, że zdenerwowała się na widok markiza, który - jak uczono ją od niemowlęctwa - jest wszechpotężny, więc za żadne skarby nie należy go urazić. Pozostali jednak trzech dżentelmeni zrobili miny złoczyńców, przydybanych na gorącym uczynku. Pan Trevor nie usiłował nawet tłumaczyć swojej tu obecności, lecz Endymion, patrząc na Alverstoke'a z obawą, twierdził, że Chloe prosiła, by ją eskortował, lord Buxted natomiast bąknął, że wpadł jedynie, by dowiedzieć się o zdrowie panien. Jego lordowska mość wszakże nie okazał najmniejszych oznak dezaprobaty, lecz uśmiechnął się do nich jak najżyczliwiej, a potem skierował się w stronę, gdzie siedziała panna Wisham, supłając frędzle i od czasu do czasu obrzucając gości ponurym spojrzeniem. Kiedy ujrziała markiza, w jej oczach pojawiły się groźne błyski, a na pełne uszanowania powitanie skwitowała z peszącą szorstkością. Zupełnie tym nieporuszony lord usiadł obok i wciągnął ją w cokolwiek jednostronną rozmowę. Tak zręcznie zdołał ją rozchmurzyć, że później wyznała Fryderyce, iż ten przynajmniej ma dobre maniery i mówi jak człowiek rozumny.

Nie przeciągał zanadto wizyty, nie wziął też udziału w hałaśliwej zgadywance, zainicjowanej przez młodzież, całą uwagę skupił na pannie Winsham. Prawie zlekceważył swoich krewnych, a już zupełnie obu

dandysów. Kiedy jednak wychodził, miał tę satysfakcję, że w wielu kwestiach zaspokoił swoją ciekawość. Endymion stracił dla Charis głowę; Buxted, zdaje się, interesował się Fryderyka; natomiast Charles Trevor, jak zawsze opanowany, nie potrafił zataić przed oczami eksperta, iż bez wątpienia jest zakochany. I najwyraźniej jego uczucia odwzajemniano. Równie wyraźnie dało się zauważyć, że obawia się, iż pracodawca owe uczucia wydrwi bez litości. Tego samego, sądząc po wyrazie jego oczu, lękał się Endymion, przyjmując obronną pozycję. Niepokój Endymiona prawdopodobnie brał się ze strachu, że Alverstoke może go zdradzić przed matką: był bowiem panem samego siebie (oddając sprawiedliwość temu pompatycznemu, wolno myślącemu młodzieńcowi), zatem nigdy nie zabiegał o łaski wuja. Gdyby tylko obaj młodzieńcy zdawali sobie sprawę... Ani on, ani Endymion nie mieli najłżejszych powodów do niepokoju: jego lordowska mość ledwo się interesował przyszłością swojego dziedzica, a w ogóle - przyszłością siostrzeńca. O wiele bardziej zależało mu na sekretarzu i choć wcale nie zamierzał ingerować w jego romanse, nie pochwalał widocznego jak na dłoni pragnienia poślubienia panny Dauntry. Uważał ten związek za zupełnie nieodpowiedni. Charles był młodzieńcem uzdolnionym, lecz niemającym, ambicje swoje wiązał z polityką, a małżeństwo z panną o skromnym posagu i bez żadnych wpływów z całą pewnością nie wpłynie korzystnie na przebieg jego dalszej kariery. Podtrzymując rozmowę z panną Winsham, Alverstoke spod przymkniętych powiek obserwował Chloe. Całkiem ładna, pomyślał obojętnie, lecz dopiero co wyrosła z krótkich spódniczek, by naprawdę rozwinąć się z pąka w kwiat. Co chwila oblewała się rumieńcem, a to zdradzało tak młodość, jak i miłość, jednak przy tym marszczyła w zamyśleniu brew i roztaczała wokół siebie aurę zadziwiającej powagi. Jego lordowska mość zaczynał pojmować, co Charles, sam poważny młody człowiek, dostrzegł w niej tak pociągającego. Cóż, jeśli to zauroczenie potrwa dłużej, przypuszczalnie będzie musiał wesprzeć chłopca. Jeśli nie ożeni się z zamożną i majątną panną, potrzebny mu będzie patron: ktoś, kto okaże się odpowiedni do pokierowania jego dalszymi krokami - bynajmniej nie pod względem finansowym (na co z całą pewnością Charles by nie wyraził zgody), lecz protegując go w kołach rządowych, gdzie jego gorliwość i talenty szybko zyskają mu uznanie i zapewnią szybki awans. Z tym nie będzie najmniejszego problemu; jedyny kłopot polegał na tym, skąd markiz weźmie równie oddanego i lubianego przez siebie sekretarza. W tej kwestii jednak nie należało niczego robić na siłę: Alverstoke podejrzewał, że Chloe to pierwsza prawdziwa miłość Charlesa, a już z pewnością pierwsza panienki, toteż prawdopodobnie wszystko skończy się niczym.

Trudniej było oszacować, czy Charis poczuła większą skłonność do Endymiona niż do innych wielbicieli. Najwyraźniej na wszystkich spoglądała z jednaką życzliwością; a jeśli na niego patrzyła nieco cieplejszym wzrokiem, to nic w tym dziwnego: Endymion był najprzystojniejszy.

Jeśli zaś chodzi o faworyta Fryderyki, jego lordowska mość, nisko ceniąc melancholijnych romantyków, pomyślał, że sir Mark bez wątpienia buja w obłokach i równie dobrze mógłby oświadczyć się Charis, jak i jakimś posagowi. Nie czynił bowiem nic, by zwrócić na siebie jej uwagę, zadawała się tylko wodzeniem za nią rozanielonym wzrokiem, z błąkającym na wargach bladym uśmiechem, który markiz ocenił jako wyjątkowo głupkowaty. Adorator wymówił się od gry w zgadywanek i wciąż siedział wpatrzony jak cielę w malowane wrota, kiedy Alverstoke, pożegnawszy się z panną Winsham, podszedł do niego energicznie i zagadnął znudzonym tonem, w którym dawało się wyczuć kpinę:



- Zatraciłeś się w uwielbieniu dla mojej podopiecznej, Lyneham? Sir Mark, nagle przywrócony do rzeczywistości, podniósł wzrok, a ujrawszy pytającego, ostrząsnął się z zadumy, wstał i skłonił się.

Odpowiedział po prostu:

- Owszem, lordzie. Ona jest jak z Botticellego, prawda? Można pomyśleć, że w poprzednim wcieleniu musiała mu pozować do *Narodzin Wenus*. No cóż, jej nie uda się oprawić w ramy, by dostarczała oczom błogich doznań! Można sobie tylko życzyć, by pozostała taka na zawsze: czysta i doskonała! - Westchnął. - Ale to, oczywiście, niemożliwe. Ta cudowna niewinność u samego zarania kobiecości szybko zniknie. Wiek i doświadczenie wycisną swoje piętno, wyłobią bruzdy na pięknej twarzy i...

- I doczeka się podwójnego podbródka! - wtrącił jego lordowska mość, brzydzący się fanaberiami.

Zostawił bez pardonu sir Marka i poszedł pożegnać się z Fryderyka. Rozdawała właśnie pytania i odpowiedzi przy stoliku karcianym, lecz kiedy zobaczyła nadchodzącego markiza, oddała pudełko siostrze i odprowadziła go do schodów.

- Mam wrażenie, że nigdy się pan bardziej nie wynudził. Lecz ufam, iż przekonał się pan, że nie obracamy się w nieodpowiednim towarzystwie!

- Owszem! Za to w całkiem nieszkodliwym! - odpalił. - Nie bardziej szkodliwym od pani faworyta, którego jedynym marzeniem jest oprawienie pani siostry w ramki, powieszenie jej na ścianie i na wieki napawanie siebie nią wzroku.

- Oprawić ją w ramki! - zawołała z niedowierzaniem. - Nigdy niczego takiego nie mówił!

- To proszę go spytać! Popatrzyła z niedowierzaniem.

- Ależ to niedorzeczność! Nie przypuszczałam, że może być aż tak wyprany z werwy!

- Nie, skąd! To tylko romantyk z duszą poety i z wielką admiracją dla piękna!

- Nie dostrzegam nic romantycznego w pragnieniu traktowania Charis jak jakiś obrazek! Teraz skłonna jestem przyznać panu rację, że jest on nudziarzem! - stwierdziła jak zwykle bez ogródek.

Roześmiał się.

- No tak!... Ale z całym szacunkiem, zapewniam! Uważa Charis za przezrystą i doskonałą istotę i chce, aby taką na zawsze pozostała!

Fryderyka przez chwilę patrzyła na niego marszcząc brwi, a potem powiedziała stanowczo:

- To dowodzi, że wcale nie ma wobec niej poważnych zamiarów! Cóż za głupota! Pan rozumie, wydawał się najbardziej obiecujący!

W oczach markiza zapalił się niepokojący błysk, lecz odpowiedział jak najpoważniej:

- Będzie pani musiała rozejrzeć się za inną odpowiednią partią! Może mógłbym służyć pomocą? Doszedłem bowiem do wniosku, że do Charis nie pasowałby jakiś młodzieniec, więc zdaje mi się... Proszę powiedzieć, czy miałaby pani coś przeciwko wdowcowi?

- Owszem, tak! - zawołała Fryderyka. - I co więcej, kuzynie, upraszam, aby nie zwracał pan sobie głowy naszymi sprawami! Nigdy nie prosiłam o cokolwiek ponad wprowadzenie nas do towarzystwa, a to nam pan zapewnił... i jestem panu dozgonnie wdzięczna!... Ale nie spodziewam się, ani sobie nie życzę, dalej zwracać panu głowy! Naprawdę, nie ma takiej konieczności!

- Och, nie, nie doprowadzaj mnie pani do gniewu! - zaprotestował. - I to teraz, kiedy zainteresowałem się

wami!

- Wynajdując dla Charis wdowców!

- Ależ to żart! - wyjaśnił.

- Ogromnie śmieszny! - zauważyła surowo.

- Tysiączone przeprosiny! Nie przedstawię pani siostrze żadnego wdowca, ale proszę wierzyć, mówię poważnie, iż w każdej chwili możecie szukać mojej pomocy albo rady.

Wydawała się zdumiona i przez chwilę podejrzewała markiza o kpiny. Lecz w jego oczach nie pojawił się znajomy, drwiący błysk-Zdjął rękę z poręczy, mocno ujął dłoń Fryderyk! i spytał:

- Zgoda? Nie brakuje pani rozumu ani hartu ducha, moje dziecko, ale jeszcze brakuje wyczucia.

- Tak... Wiem, wiem, że nie jestem w tym dobra - wyznała, nieco się jękając. - Dziękuję! Jest pan nadzwyczaj dobry! Prawdę powiedziawszy, zupełnie nie mam pojęcia, do kogo innego mogłabym się zwrócić, gdybym potrzebowała rady... lub wpakowała się w tarapaty! Ale przysięgam, nie zamierzam już panu dostarczać żadnych kłopotów!

Mówiąc to, chciała cofnąć dłoń, ale markiz przytrzymał ją, uniósł znad poręczy i leciutko musnął wargami. Fryderyka poczuła się tak dziwnie, jakby przeszył ją prąd, nawet trochę zakreśliło jej się w głowie. Minęło wiele długich minut po jego odejściu, nim wróciła do saloniku. Nie zdarzało się bowiem, aby dżentelmeni całowali damy w rękę, i chociaż staroświeccy panowie często całowali dłonie zamężnych kobiet, jego lordowska mość żadną miarą nie zaliczał się do staromodnych panów, a ona przecież była panną. Zastanawiała się, co markiz chciał tym wyrazić, ale natychmiast zmusiła się do odepchnięcia tych myśli. Przypuszczalnie nie kierowały nim żadne głębsze intencje, co najwyżej próbował flirtować. Wszystko wskazywało, że właśnie szukał czystej rozrywki, gdyż niemądrze zdradziła, iż nigdy dotąd nie była zakochana. Było to ponizające uczucie - nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie, tylko że do tej pory zwykła uważać go za bezpiecznego przyjaciela, a teraz została pozbawiona owego luksusu. Jeżeli markiz spodziewał się, iż Fryderyka stanie się jego najnowszą flama, bardzo się mylił. Po pierwsze, nie była zwolenniczką flirtów, a po drugie, nie życzyła sobie powiększać szeregów odtrąconych przez niego pań serca.

Ale kiedy trzy dni później spotkała go na Bond Street, nie okazał najmniejszych oznak galanterii. Powitał ją zmarszczeniem brwi i groźnym pytaniem, dlaczego jest tutaj sama.

- Fryderyko, odnoszę wrażenie, że przestrzegałem cię, iż w Londynie nie uchodzi postępowanie takie jak na prowincji!

- Zgadza się! - odparła. - I chociaż muszę przyznać, że nie Przykładam większej wagi do pańskiej rady, to dzisiaj akurat towarzyszy mi ciotka!

- Która do innych swoich zalet dodała umiejętność stawania się niewidzialną?

Fryderyka nie potrafiła pohamować śmiechu, wyjaśniła jednak na tyle chłodno, jak tylko zdołała:

- Załatwia sprawunki w tym sklepie i mamy się za chwilę spotkać w Bibliotece Hookhama. Sądzę zatem, że jest pan usatysfakcjonowany?

- Absolutnie nie. Jeśli nie chce pani sprawiać wrażenia łatwej panienki, nie powinna pojawiać się sama w najmodniejszych miejscach Londynu, a już najmniej na Bond Street! Ale skoro widać, że taka panią kieruje

ambicja, to proszę poszukać innego sponsora! I nie zawracać mi głowy banialukami o swoim statecznym wieku! W hrabstwie Hereford może pani uchodzić za kobietę rozumną, ale tutaj jest po prostu gąską... wyjątkowo naiwną gąską, Fryderyko!

Te szorstkie słowa wzbudziły w niej mieszane uczucia. W pierwszym odruchu chciała mu dać ostrą odprawę. Taka arogancją z całą pewnością zasługiwała tylko na to. Ale przecież zachodziła obawa, że markiz zaniecha narzuconych sobie obowiązków opiekuna, i chociaż nie oznaczałoby to całkowitej klęski, byłoby w najwyższym stopniu kłopotliwe. Zaświtało jej w głowie, że wraz z utratą przyjaźni Alverstoke'a, zniknie spokój ducha. Wymyśliwszy więc stosowny kompromis, powiedziała:

- O, z pewnością jestem bardzo zielona, gdyż dopóki nie zobaczyłam, jak idzie pan w moją stronę, nie wiedziałam, że to jest modny deptak! Wielce jestem zobowiązana, że mnie pan oświecił! Wprost niewiarygodne, jak mogłam być tak niemądra! Zupełnie jakbym nigdy nie słyszała o pięknościach z Bond Street, a przecież to nieprawda! Czy pan... jak wy to nazywacie... odbywa tutaj przechadzkę?

- Nie, sekutnico! - odparł z błyskiem uznania w oczach. - Po prostu idę do Salonu Boksu Jacksona!

- Jakie to wstrętne!

- Takie określenie - powiedział jego lordowska mość - padające z ust kogoś, kto ostatnio tłumaczył mi, jak ważna jest umiejętność artykułowania myśli, wydaje się zanadto górnołotne, Fryderyko!

Roześmiała się.

- Cóż, tak czy owak, to okropne! Jakże wstrętne pan postąpił prowokując, bym zrobiła z siebie taką przemądrzałą gęś, kiedy, śmiem twierdzić, zna się pan na sporcie o wiele lepiej ode mnie!

- Nie zdziwiłbym się, gdyby w istocie tak było - zgodził się.

- A także znacznie bardziej orientuję się w obyczajach, do jakich powinny się dostosować młode, szanujące się damy.

- Już teraz ćwierkają o tym wróble na dachu! Jak może pan być tak niemiły i besztać mnie! Czyż nie przyznałam się do winy?

- Jeżeli niczym nie uzasadnione przytyki uważa pani za przyznanie się do winy...

- Och, skąd! Wcale nie takie nieuzasadnione! - zaprotestowała.

- Któregoś pięknego dnia - odezwał się lord, starannie dobierając słowa - otrzymasz to, na co zasłużyłaś, moja panno! A przynajmniej mam taką nadzieję!

- Och, jaki pan paskudny! - Spojrzała rozbawionym wzrokiem, lecz niemal natychmiast przybrała poważną minę i dodała skruszona:

- Jakimż musimy być dla pana obciążeniem! Proszę o wybaczenie: jest pan dla nas niezwykle uprzejmy! Zapewniam, że nigdy nie zamierzałam wściubiać nosa w pana sprawy i przysięgam sobie, że już nie zwrócę się do pana o pomoc w wyplątywaniu nas z jakichś doraźnych tarapatów.

- Z pani słów wnioskuję, iż bracia nie są... przynajmniej nie w tej chwili... zamieszani w jakieś ryzykowne przedsięwzięcia - zauważył.

- No i - zawołała rozwścieczona - zachował się pan naprawdę paskudnie! Przecież nie wzywaliśmy pana na ratunek, kiedy Feliks wyprawił się parowcem, a Jessamy nie zwykł wdawać się w takie awantury!

Markiz przyznał jej rację. Ale nie minęło kilka dni, gdy Jessamy wciągnął go w parku w burdę, związaną z

Powozem Pieszych.

Ta pomysłowa machina była ostatnim krzykiem mody, który przypuszczalnie błyskawicznie okryje się kurzem niepamięci. Prosta konstrukcja - dwa koła, a między nimi zawieszona siodełko; pierwszym kołem sterowano czymś w rodzaju drążka. Machina poruszała się dzięki naciskowi stóp jeźdźca, a mistrzowie jazdy mogli osiągnąć zdumiewającą prędkość. Godnie podziwu balansowali, odbijając się nogami od ziemi i, ku zdumieniu gapiów pokonując imponujący dystans. Jessamy zobaczył jednego z tych mistrzów, Jeżdżących Pieszym Powozem po parku, i natychmiast rozgorzał w nim duch współzawodnictwa. Awanturyczna żyłka, stłumiona tak Ostaniem z ukochanymi końmi, jak i narzuconym surowym rygorem

nauki, rozpalila się i zbuntowała. Tutaj, założył, jest coś, czego mógłby dokonać, nie narażając Fryderyki na dodatkowe koszty. I tu mógłby dać upust tłumionej energii oraz zademonstrować całemu światu, że nie tylko jego wstrętny braciszek ma tyle odwagi, by poważnie się na ryzykowne przedsięwzięcia. Dowiedział się, że powstało wiele szkółek uczących nowej sztuki jazdy, a każda z nich chętnie wypożycza maszynę pojętnym uczniom. Szybko więc się zapisał, a potem, kiedy na wypożyczonym wehikule wyzeglował ze szkoły, nauczył się tak umiejętnie lawirować na ruchliwych ulicach, jakby jeździł po cichych zaułkach. W wyprawach tych towarzyszył mu Lufra. Obserwując to, siostry stwierdziły z zadowoleniem, że zaniechał już surowych restrykcji wobec wiernego psa.

- Wreszcie zaczęłam cieszyć się, że przywieźliśmy Lufre do Londynu - oznajmiła Fryderyka, dodając ze śmiechem: - A także, że pies pogonił krowy w Green Parku i sprawił, że Jessamy uważa, iż niewiastom nie należy ufać. Jedynie tym sposobem zdołałyśmy odciągnąć go od książek!

Jessamy, chcąc zadziwić rodzinę niespodziewanym bohaterstwem, nie przyznał się siostrą do nowego hobby. Kiedy już nauczył się zachowywać równowagę i poczuł się fachowcem w jeździe Pieszym Powozem, pragnął zajechać pod próg domu i zawołać siostry, by podziwiały jego mistrzostwo. Niekiedy miał drobne trudności ze wspięciem się na maszynę, ale zamierzał się z tym zdradzać - zwłaszcza gdyby wśród jego publiczności znalazł się Feliks. Toteż wiele godzin poświęcił ćwiczeniu tej umiejętności. I nim zdecydował pochwalić się rodzinie, postanowił śmiało spenetrować najbardziej ruchliwe dzielnice miasta. Tak dobrze sobie radził, że nie oparł się pokusie wycieczki w dół Piccadilly, a obie nogi śmiało unosił ponad chodnikiem. Wszyscy się za nim oglądali - niektórzy z podziwem, niektórzy z oburzeniem. Ale w końcu Jessamy ściągnął na siebie więcej uwagi, niżby sobie życzył.

Za całe nieszczęście należałoby winić ostrowłosego psa myśliwskiego. Zwierzę, biegnące dotąd statecznie przy nodze pana, jak tylko zoczyło dziwny wehikuł, powzięło ku niemu jak najbardziej wrogie zamiary i wysforowało się do przodu, ujadając i warcząc. Jessamy już przywykł do psów, które rzucały się w ślad za powozami więc wcale nie zwrócił uwagi na tę napaść. Lufra natomiast, zwłóczywszy nieco z tyłu za jakimś obiecującym zapachem, gdy tylko zorientował się, że zaatakowano jego pana, co tchu rzucił się na ratunek. Łatwo przewidzieć skutek. Oba psy, szczekaniem wyzywając się do walki na śmierć i życie, z impetem wpadły na Pieszy Powóz. Jessamy, usiłując zachować równowagę, zatoczył się z kolei na człowieka reperującego krzesło i stracił kontrolę nad maszyną. Wywrócił się na brukowaną drogę, niemal pod kopyta kłusaków zaprzężonych do powozu. Woźnica zdołał skierować konie obok. Jessamy z trudem podniósł się na nogi, podrapany, posiniaczony i nieco drżący, jednak cały i zdrow. Trochę oszołomiony i głęboko

upokorzony, ujrzał scenę tak koszmarną, że pozbawiłaby hartu ducha każdego, nawet mniej od niego spokojnego szesnastolatka. Nagły skręt powozu zatrzymał cały uliczny ruch, słychać było gniewne, pełne przekleństw okrzyki, wszyscy wzajemnie się oskarżali, obrzucając się obelgami i przysięgając zemstę. Majętna wdowa w kabriolecie dostała spazmów. Reperowacz krzesel, również z trudem podnoszący się z ziemi, domagał się ogromnego odszkodowania za poniesione na ciele szkody i za rujnację krzesła. Właściciel psa myśliwskiego rozwścieczony żądał, aby rozdzielić psy. Tym właśnie zajął się Jessamy. Kiedy już przekonał zdenerwowanego dżentelmena, by przestał tłuc zwierzęta i przytrzymał mocno swojego ogara, szybko odciągnął od niego Lufre. Właśnie miał wyjąkać słowa przeprosin w stronę rozwścieczonego dżentelmena, ale ten zawołał, że Lufra to dzika bestia i jego obarczył winą za zaatakowanie rasowego psa. To, oczywiście, sprawiło, że słowa przeprosin uwięzły Jessamy'emu w gardle. Chłopiec zaczął dowodzić, że wina leży po stronie ogara, który złośliwie go zaatakował.

- Czyżby pan sądził, że należy skarcić psa, który chciał obronić swojego pana, sir? - spytał gniewnie. - Bo ja nie!

Od tej chwili całe zajście przerodziło się w koszmar. Wiele osób twierdziło, iż doznało uszczerbku, groziło wytoczeniem sprawy w sądzie, wreszcie biednemu Jessamy'emu aż zakręciło się w głowie. Kiedy zażądano, by wyjawiał swoje nazwisko i adres, przeraził się, widząc już oczami duszy, jak cały sznurek poszkodowanych nachodzi Fryderykę, domagając się ogromnych odszkodowań. Toteż, kierując się instynktem, rzucił śmiało:

- Berkeley Square! To... dom mojego opiekuna... ma... markiza Alverstoke!

Chciał tylko ochronić Fryderykę, lecz błyskawicznie zorientował się, że słowa te wywarły magiczny skutek. Przyjęto zapewnienia o odszkodowaniach (dotychczas traktowano je pogardliwie). Zdenerwowany dżentelmen powiedział, iż ma nadzieję, że opiekun da chłopcu stosowną nauczkę, i ruszył w swoją drogą. Natomiast wdowa, ochłonawszy ze spazmów, wygłosiła surowe kazanie i stwierdziła, że nie omieszka osobiście powiadomić markiza o grubiańskim zachowaniu chłopca.

W ten sposób już drugi członek rodziny Merriville'ów pojawił się na Berkeley o nietypowej porze i domagał się natychmiastowej rozmowy z markizem. W przeciwieństwie do Fryderyk! jednak, Jessamy nie odrzucił pomocy Charlesa Trevora. Właśnie gwałtownie i nieco bezładnie opowiadał mu na ucho całą historię, kiedy do pokoju wkroczył Alverstoke. Na elegancki poranny strój narzucił długą i strojną pelerynę do jazdy konnej. Zawołał:

- Co znowu? Wicken poinformował mnie... - Urwał i podniósł do oka monokl, by lepiej przyjrzeć się poturbowanemu chłopcu. Potem opuścił szkło i ciągnął: - Niepoprawny dzieciaku! Czyżbyś wpadł w młyńskie tryby? Do diabła, Charles, dlaczego go jeszcze nie opatrzyłeś?

- Nie pozwolił mi, sir - wytłumaczył pan Trevor.

- Nie, nie, to nic wielkiego! - zawołał niecierpliwie Jessamy, ocierając z czoła strużkę krwi. - Nic mi nie jest! Nic poważnego! Chciałem tylko... wcale nie zamierzałem pana nachodzić, ale stało się tak... tak się stało... Och, sir, proszę się nie kłopotać!

- Nie ruszaj się - rozkazał Alverstoke, biorąc brodę Jessamy'ego i obracając chłopca ku światłu.

- To wcale nie był młyn! Upadłem... i słusznie mi się należało! - wyjaśnił Jessamy cicho, wyraźnie

zgnębiony.

- Bez wątpienia, ale mnie wcale nie zależy na załamu krwią całego domu. Charles, bądź tak dobry i... Nie, sam się tym zajmę. Chodź ze mną, młody pyskaczu! Opowiesz mi o wszystkim, kiedy będę naklejał plastry.

Rad nierad Jessamy wyszedł za nim z pokoju. Szedł po szerokich schodach i całą drogę głośno protestował, że rany i zadrapania są powierzchowne, zaś w domu jego lordowskiej mości pojawił się wyłącznie po to, by wytłumaczyć się ze swojej niegodziwości i uprzedzić markiza, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wiele osób najróżniejszego autoramentu zgłosi się do niego, aby wyrównał im poniesione rzekomo szkody. Jessamy upraszał markiza, by powiedział mu, jakie wyłoży pieniądze, by mógł niezwłocznie je zwrócić.

Teraz zaś, obmywszy z rąk i twarzy brud i krew, oraz przekazawszy zabłocony surdut Knappowi, pozwolił, by opatrzone mu większość z ran, a na czole przyklejono plaster. Kiedy posłusznie połknął podaną mu miksturę w postaci mieszanki brandy z wodą, uspokoił się na tyle, by zdać markizowi mniej więcej składną relację z całego zajścia. Opowiadał spokojnym tonem i tylko zaciskane i rozwierane szczupłe dłonie zdradzały, że pod pozornym spokojem kryje się wielkie wzburzenie. Zakończył opowieść szorstko i popatrzawszy rozpalonym wzrokiem na Alverstoke'a, natknął się na jego chłodne spojrzenie. Markiz wydawał się rozbawiony.

- Nie miałem prawa podawać im pańskiego nazwiska, sir, ani sugerować, że tutaj mieszkam. Wiem o tym i błagam o wybaczenie! Ja... pragnę się wytłumaczyć! Postąpiłem tak tylko dlatego, że nie chciałem, by to wszystko spadło na barki Fryderyk!! Nie wiem, ile będę musiał zapłacić. Przypuszczam, że niemało, gdyż i wehikuł, i krzeselko uległy zniszczeniu, i... Ale nieważne, za wszystko zapłacę ja, a nie siostra! Teraz, przy tych wszystkich wydatkach związanych z debiutem Charis... Przysięgłem sobie, że ja nie będę dodatkowym obciążeniem!

Ostatnie słowa wypowiedział drżącym głosem, lecz markiz zastosował skuteczną kurację, odzywając się prozaicznym i lekko znudzonym tonem:

- Bardzo słusznie. Więc czego się po mnie spodziewasz? Przywołany do opamiętania - a już był na granicy płaczu - Jessamy zaczerwienił się, przygryzł wargę i wreszcie zdołał wyjąkać względnie opanowanym głosem:

- Że pożycz mi pan taką sumę, jaka może okazać się konieczna... będę panu ogromnie zobowiązany, sir! Spłacę ją z mojej comiesięcznej pensji. Tylko, rozumie pan, akurat teraz... niewiele mi z niej Ostało. Pobierałem lekcje, wynająłem maszynę i...

- O to się nie martw! - uspokoił go lord. - Nie będę cię monitował!

Jessamy jeszcze bardziej się zaczerwienił.

- Wiem! Proszę nie mówić, że nic nie muszę panu zwracać, ani zapewniać, że nie mam się czym martwić! Nic nie powstrzyma mnie przed spłaceniem długu, a powodów do zmartwień mam aż nadto! Przy pierwszej sposobności uległem pokusie! Z próżności! Chciałem zaćmić Feliksa! Czyż cokolwiek może być bardziej godne pogardy lub jasno pokazać, że... że wcale nie nadaję się do święceń kapłańskich?

- Nieprawda, wiele wskazuje, że się nadajesz - odparł Alverstoke. - I przestań wyolbrzymiać owo błahe zajście do rozmiarów śmiertelnego grzechu! Wpakowałeś się jedynie w tarapaty, chociaż nie ze swojej winy,

więc nie ma potrzeby, by dręczyły cię wyrzuty sumienia. Nie martw się, że czasami narobisz sobie kłopotów. Będziesz lepszym pastorem, jeśli potrafisz być wyrozumiały dla ludzkich słabostek, niż gdybyś w wieku szesnastu lat miał zostać świętym!

Jessamym najwyraźniej wstrząsnęły te słowa, ale po chwili intensywnego namysłu powiedział:

- No tak, lecz kiedy komuś dany jest wybór... i nie ma dość sił, by oprzeć się pokusie, to zdradza wielką słabość charakteru... prawda, sir?

- Jeśli twój wybór polega na tym, że chcesz zachowywać się jak asceta, to jasno dowodzi, iż stanąłeś przed wielkim niebezpieczeństwem, a mianowicie pychy! - bez ogródek stwierdził lord. - Cóż, jednak zwróciłeś się do mnie o pomoc, a to znak, że w potrzebie nie tracisz głowy. Zapłacę wszystkie należności. Zwrócisz mi pieniądze, kiedy będziesz mógł. Jeśli zaś chodzi o groźby, jakimi cię obrzucano, zapomnij o nich! Gdyby jakiś woźnica, reperowacz krzeseł albo ktokolwiek inny miał czelność się tutaj zjawić, żądając twojej krwi, polegaj na panu Trevorze. On znakomicie poradzi sobie z takimi natrętami! Ale nikt tutaj nie przyjdzie!

- Och, nie! - zawołał zachmurzony Jessamy. - Nie z tego powodu podałem pańskie nazwisko... to nawet nie przyszło mi do głowy! - Ale gdy tylko powiedziałem, że pan jest moim opiekunem... - Urwał. zaplątawszy się we własne słowa, potem dodał, patrząc poważnie na Alverstoke'a: - To jest równie ohydne jak cała reszta!

- Możliwe, ale przyznasz, że także wygodne! Oszczędź mi kazań o fałszywych snobizmach na temat arystokracji. Raczej skup się os tym, co chcę ci powiedzieć!

- Dobrze, sir! - zgodził się pokrzepiony na duchu Jessamy.

- Żądałeś mojej ochrony jako opiekuna, więc teraz musisz pogodzić się z jego sądem. A ten brzmi: od tej pory powinienes mniej ślęczyć nad książkami... uwierz mi, nie należy przesadzać! I poświęć część dnia ćwiczeniom fizycznym. Jessamy, nie jest ci potrzebny Pieszy Powóz, lecz koń.

W posępnych oczach Jessamy'ego rozbłysły iskierki. Wbrew sobie wykrzyknął:

- Och, gdybym mógł! - Urwał w pół słowa i potrząsnął głową.

- Nie mogę. Nie w Londynie! Te koszta...

- Nie będzie żadnych wydatków. Pojeździsz na jednym z moich wierzchowców... wyświadczysz mi tym wielką uprzejmość!

- Mam do... dosiąć pańskiego konia? Pan... pan pozwoli mi... zaufa? - jąkał się Jessamy. - Och, nie, nie zasługuję na taką nagrodę, sir!

- To wcale nie nagroda, to rozkaz! - powiedział Alverstoke.

- I nowe dla ciebie doświadczenie, młody człowieku! - Wzruszył go wyraz rozjaśnionych, zwróconych ku niemu oczu. Uśmiechnął się, położył dłoń na ramieniu chłopca i uściskał je. - Odwagi, romantyku! Nie złamałeś ani jednego z dziesięciorga przykazań, więc przestań robić z igły widły! Kiedy tylko Knapp wyczyści twój surdut, odwiozę cię do domu.

przepraszała za Jessamy'ego, który przysporzył tyle kłopotów. Alverstoke przeczytał list z uznaniem, gdyż świetnie zdawał sobie sprawę, iż grzeczne słowa kryją - czy raczej mają ukryć - głębokie upokorzenie. Kiedy dwa dni później spotkał Fryderykę na przyjęciu, sama się do tego przyznała. Na kpiące wymówki markiza odparła:

- Och, nie, nie, nie jestem zagniewana, tylko bardzo, bardzo upokorzona! Po wszystkich uroczystych zapewnieniach z mojej strony... Naprawdę, szczerze proszę o wybaczenie.

- Bzdura! Cóż pani ma z tym wspólnego?

- Och, wszystko! - westchnęła. - Przywiozłam brata do Londynu wbrew jego woli, zaniedbałam, poświęcając cały czas Charis. Nie powinnam zostawiać go tak często samemu sobie. - Myślała chwilę i dodała otwarcie: - Chociaż wcale nie byłby zachwycony, gdybym zbyt często narzucała mu się ze swoim towarzystwem. Prawdę mówiąc, byłby wściekły jak osa. Brat jest... jak pan wie, zaprzysiężonym samotnikiem. I to także moja wina: przypuszczam, że mogłabym spróbować choć trochę go z tego uleczyć.

- Marnowałyby pani tylko czas. Ale chciałbym się dowiedzieć, dlaczego przywiązuje pani tak wielką wagę do błahego przecież i całkiem zrozumiałego wydarzenia? Nic dziwnego, że Jessamy się frasuje, gdyż jest tak młody, ale dlaczego i pani się zamartwia?

- Och, wcale nie! - zaprzeczyła szybko. - Gdyby się zwrócił do mnie, zamiast do pana, tylko bym się uśmieła! Ale irytuje mnie, że pana właśnie wciągnął w tę awanturę. No tak, i chociaż zezłościł się, gdy go o to zapytałam, i powiedział, że to nie moja sprawa, mam wrażenie, że musiał pan zapłacić za wyrządzone szkody. A tego doprawdy nie potrafię znieść!

- On także, więc tylko pożyczylem mu potrzebną kwotę... a on w zamian przyrzekł, że nieco pofolguje sobie z nauką. Wiem, że pani aż się pali, by mi natychmiast zwrócić wyłożoną kwotę, ale zapewniam, że wtedy okazałaby się pani wyjątkowo wścibska... i zarazem, gdybym na to pozwolił, czego nie zrobię... wniwecz poszłoby to, co próbowałem zyskać dla jego dobra.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi ciepła i wdzięczności.

- Rzeczywiście, tak się stało! Bałam się, że Jessamy wpadnie w okropne przygnębienie, jak zawsze, kiedy coś zbroi, lecz teraz jest bardziej wniebowzięty niż zdesperowany. Szkoda, że pan go nie widział, gdy podjechał pod drzwi domu na pańskim wierzchowcu i zawołał mnie, bym podziwiła klasę konia! Był taki dumny i szczęśliwy! Nie będę się więc wtrącać, ale proszę przynajmniej pozwolić mi sobie podziękować!

- Nie, cała ta sprawa zaczyna mnie nudzić. Proszę mnie w zamian oświecić, kim jest ten pełen werwy chwyt, towarzyszący Charis?

Spojrzenie Fryderyk! powędrowało ku siostrze, która tańczyła walca z jakimś żwawym młodym dżentelmenem, najwyraźniej hołdującym najnowszym nowinkom mody i mocno zajętym panną.

- Pan Peter Navenby. Poznałyśmy go na przyjęciu u lady Jersey. Wyjawiała mi, że gdy tylko ujrzał Charis, natychmiast zaczął błagać, by go przedstawiono. Nic dziwnego, oczywiście, ale on najwyraźniej bardzo się zaangażował i... co najbardziej znaczące... namówił matkę, by złożyła nam poranną wizytę! Ogromnie ją polubiłam! A najważniejsze, że ona też polubiła Charis. Z tego, co mówiła, rozumiałam, że bardzo się lęka, by jej syna nie złowiła jakaś okropna, wyrafinowana pannica polująca na bogatego męża. Przekonała się natychmiast, że Charis wcale taka nie jest! - Popatrzyła niespokojnie na lorda. - On byłbym odpowiednią



partią, prawda?

Markiz, który badawczo przyglądał się przez monokl panu Navenby, powiedział:

- A więc to młody Navenby? Och, tak, jest odpowiednią panią! Ma wszelkie zalety, jakie daje arystokratyczne pochodzenie, i godny majątek... oczywiście w perspektywie, ale miejmy nadzieję, że jego ojciec długo nie pożyje.

- Wcale nie o tym myślałam! - zawołała Fryderyka, czerwieniejąc z gniewu. - Nawet jak na pana, były to wyjątkowo wstrętne słowa!

- Sądziłem, że pani postawiła sobie za cel wydać Charis bogato za męża!

- Nie, i nigdy tak nie twierdziłam. Pragnę tylko, by była zabezpieczona na przyszłość, co wcale nie oznacza polowania na tytuły i majątek! A już na pewno nie pragnęłabym dla niej kogoś takiego jak pański przystojny, acz nierozgarnięty kuzynek, który ma równie ograniczony majątek, jak rozum! I byłabym wielce zobowiązana, gdyby ukrócił pan jego zaloty już w zarodku!

Popatrzył rozbawiony, lecz zauważył jedynie:

- Musiała się pani nasłuchać gadania mojej kuzynki Lukrecji. Proszę się uspokoić! Endymion nie jest goły i bosy. Odziedziczył całkiem niezłą sumkę.

Fryderyka uświadomiła sobie, że przez swoją zapalczywość skierowała rozmowę na niepożądane tory, więc powiedziała sztywno:

- Nie powinnam tak mówić o pańskim kuzynie. Przepraszam!

- Och, nie mam nic przeciwko temu! - zawołał lekceważąco. - Zapewniam. Endymion niewiele mnie obchodzi, a już zupełnie nie obchodzą mnie jego zmartwienia. Nie musi mnie pani zatem przepraszać. Może to panią jakoś pocieszy. - Popatrzył kpiąco, ale Fryderyka odwróciła twarz i przygryzła wargi. - No i co? Nie pocieszyło?

- Nie. Usiłuje mnie pan wyprowadzić z równowagi i uciera mi nosa, lecz ja naprawdę nie chciałam pana urazić. Mam nadzieję, że nie jestem taka niewdzięczna!

- Nie obraziłem się i nie potrzebuję wdzięczności - odpalił. Przestraszona szorstkim tonem, podniosła wzrok. Na jej twarzy odmalowało się zwątpienie i pewne zmieszanie. Nie potrafiła rozszyfrować miny markiza, który po chwili uśmiechnął się i odezwał zwykłym przeciągłym tonem:

- Zawsze kiedy ktoś stara się okazać mi wdzięczność, śmiertelnie się nudzę.

- W takim razie musi pan pilnować, abym nie miała po temu okazji - odpaliła. Popatrzył na Charis i odezwał się szorstko:

- Młody Navenby to rozkwitający dandys. Czyżby to oznaczało, iż porzuciła pani nadzieję na tamtego rozmarzonego zalotnika?

- Tak, całkowicie! Miał pan absolutną rację. To człowiek, który buja w obłokach! Proszę, niech pan chociażby teraz na niego popatrzy! Usiadł przy pani Porthcawl i z rozanielonym uśmiechem obserwuje Charis! Nic go obchodzi, że musi tańczyć z Navenby'm!

- Prawda! - zgodził się Alverstoke. Znów uniósł monokl, omiół wzrokiem salon, aż znalazł tego, o kogo mu chodziło. - Podobnie jak mój nierozgarnięty kuzynek!

- Cóż, on naprawdę jest nierozgarnięty! - powiedziała prowokująco.

- Nigdy temu nie przeczyłem. Powstrzymałem się nawet przed odpłaceniem pięknym za nadobne.

Na policzku dziewczyny pojawił się niepokonany dołeczek, odpowiedziała jednak z powagą:

- Podejrzewam, że może pan przypuszczać, iż moja siostra nie jest... nie jest zbyt inteligentna... czy nazbyt bystra...

- Jeśli pani życzy sobie tak to określić... Pani siostra, Fryderyko, jest piękną gąską... z czego doskonale zdaje sobie sprawę!

Ponieważ wrodzona uczciwość nie pozwalała jej gwałtownie zaprzeczyć, zdołała tylko zauważyć:

- I to jest kolejny powód, dla którego powinna poślubić rozsądnego i wartościowego dżentelmena!

- Prawdopodobnie ma pani rację. Czy jednak młody Navenby rzeczywiście może poszczycić się tymi przymiotami? Nie powinienem się nad tym zastanawiać, ale może znowu się pani nie myli. Poza tym nic o nim nie wiem, więc chyba nie należy nikogo osądzać po wyglądzie?

- Ze wszystkich paskudnych osób, które dane mi było poznać... - Urwała, odetchnęła głębiej i odezwała się rozsądnie: - Nie, tego bym nie powiedziała! Lecz może się pan domyślić, o kim mówię! - dodała, nie mogąc już dłużej zapanować nad sobą.

- Nie, nie mam bladego pojęcia. Proszę mi wyjawić! - kusił. Parsknęła śmiechem i z ulgą odwróciła się, aby powitać Darcy'ego Wreitona, który właśnie do nich podszedł. Markiz pozostał jeszcze tylko chwilę, wymienił kilka słów z panem Moretonem, a potem oddalił się, aby przyłączyć się do towarzystwa otaczającego lady Jersey. Najwyraźniej obojętne mu było zaciekawienie, jakie wzbudził wyróżniając starszą pannę Merriville, kiedy rozmawiał z nią całe dwadzieścia minut. Wiele osób nie spuszczało z niego wzroku: niektórzy przypatrywali się ze zdziwieniem - jedni z zazdrością, a drudzy z drwiną. Nie uszło też niczyjej uwagi, że większość tego czasu poświęcił przypatrywaniu się młodszej z sióstr. Ten i ów pomyślał, że szkoda, by ta niewinna piękność stała się jego kolejną ofiarą; inni uznali, że wreszcie trafił swój los; a kilka dam - niektóre z nich piastowały w sercu cichą nadzieję, że może ich córki znajdą uznanie w oczach markiza - było niedwuznacznie zgorszonych. Zaliczała się do nich lady Buxted. Nie miała powodu zgrzytać zębami. Równie gorąco jak starsza siostra pragnęła, by Alverstoke wreszcie odpowiednio się ożenił i wydziedziczył przypuszczalnego spadkobiercę, lecz mimo to od chwili, w której ujrzała Charis, powzięła do niej głęboką niechęć. Żywiła przekonanie, iż przyczyną niepowodzenia Jane był nie kto inny, tylko właśnie Charis; natomiast komplementy, jakimi ją obsypywano za świetne maniery i znakomity styl protegowanych, tylko spowodowały, że znenawidziła Charis równie mocno, jak Fryderykę. Lady Buxted zmuszono, by wprowadziła je do towarzystwa, ale teraz mogła już przestać się nimi zajmować. Lecz nawet tę sprzyjającą okoliczność zepsuła świadomość, że dziewczęta tak szybko i pewnie znalazły grunt pod nogami. Mogła sobie wmawiać, że panie domu zapraszają je na przyjęcia tylko ze względu na ich szlachetnie urodzonego opiekuna, świetnie jednak wiedziała, iż nie jest to prawda. Wszyscy polubili panny Merriville - księżna Lieven nie omieszkała poinformować jej o tym, z bladym, złośliwym uśmiechem.

- Moim zdaniem, zanadto się je chwali - zwierzała się starszej siostrze. - Nie robi na mnie wrażenia ekliwość Charis, zaś co do jej siostry, Fryderyki, czy jak tam jej na imię, chyba i ty zauważyłaś, że bardzo zadziera nosa!

- Skąd! - zaprzeczyła obcesowo lady Jevington. - Nie zauważyłam. Obie są bezpretensjonalnymi, świetnie

wychowanymi pannami-Charis jest śliczną gąską, a co do Fryderyki, sędzę, że to młoda kobieta o wyjątkowo przenikliwym umyśle.

- Och, wyjątkowo przenikliwym! - zawołała lady Buxted. Jej oczy rzucały gniewne błyski. - Na tyle, aby złapać męża! Ciekawe, jakim cudem zdołała cię tak omamić! Ja już po tygodniu znajomości doskonale wiedziałam, jaki cel jej przyświeca!

- Ach! - westchnęła lady Jevington. - Więc Buxted smali do niej cholewki, prawda? Już kilka razy mi o tym mówiono, ale ja nigdy nie daję wiary plotkom. Uspokój się, Luizo! Nic z tego nie będzie!

Lady Buxted, coraz bardziej zaczerwieniona ze wzburzenia, odpaliła:

- Nigdy! Nigdy, jeśli ja mam w tej sprawie coś do powiedzenia! - Powątpiewający uśmiech na twarzy siostry jeszcze ją rozjątrzył, więc dorzuciła: - O Carltona wcale się nie obawiam, o, nie! Ale ciekawe, moja droga Augusto, co byś powiedziała, gdyby ta piękna gąska została twoją szwagierką! - Spozrzęła, że te słowa odniosły zamierzony skutek, toteż ciągnęła triumfalnym tonem: - Jakim cudem ty, która uważasz się za tak bystrą, nie zauważyłaś, że ubiegłego wieczoru Vernon prawie nie odrywał wzroku od tej pannicy?

Lady Jevington otworzyła usta, potem je znowu zamknęła i wreszcie, po dłuższym przypatrywaniu się siostrze niedowierzającym wzrokiem, odezwała się:

- Jesteś idiotką, Luizo!

Tymczasem myśli panien Merriville błędziły daleko od matrymonialnych podbojów. Gorąco witały głowę rodziny, radosnymi okrzykami kwitując niespodziewane pojawienie się brata na Upper Wimpole Street. Ścisnęły go, całowały, posadziły w saloniku w najwygodniejszym fotelu, podtykały pod nos przysmaki i były tak wniebowzięte jego widokiem, jak można się było spodziewać po kochających siostrach.

Oczywiście, Fryderyka pierwsza wróciła na ziemię i ona stanowczym głosem zażądała wyjaśnień, co spowodowało brata do Londynu. Pokrzepiwszy się potężnym łykiem z kufla, który mu właśnie podała, na jej zaniepokojone spojrzenie odpowiedział pełnym otuchy uśmiechem i wyjaśnił:

- Cóż, relegowano mnie z uczelni.

- Harry! Nie! - krzyknęła przerażona.

- Owszem, tak... Barny'ego również! Wiesz, o kim mówię: Barny Peplow, mój serdeczny przyjaciel. Świetny facet!

Nie miała dotąd przyjemności poznać pana Peplowa, lecz entuzjastyczne pochwały, jakimi brat obrzucał tego młodego dżentelmena, od dawna nie wróżyły niczego dobrego. Jednak Charis dopiekła Harry'emu do żywego, wołając słodkim, lecz pełnym przerażenia tonem:

- Mój Boże! I co teraz zrobimy?

- Nie da się już niczego zrobić! Ależ z ciebie gęś! - zgasił ją gniewnie. - I nie rozumiem czemu wyglądacie jak śledź w Wielki Piątek! Można by pomyśleć, że odprawiono mnie na dobre! Oczywiście, że nie! Zawieszono tylko do końca semestru!

- Ale za co, Harry? - dopytywała się Fryderyka, bynajmniej nie uspokojona. Roześmiał się.

- Och, za nic wielkiego! Po prostu drobna awanturka! Poza tym, nie my jedni braliśmy w tym udział. Błahostka, zanadto się rozbrykaliśmy. To było na urodzinowym przyjęciu starego George'a, George'a Leigha, jeśli o to chodzi, ale jego chyba też nie poznałaś? Sławny gość! No więc, wywiązała się bójka i

burda... i o to poszło! Przysięgam, że nie zaszło nic takiego, byś miała się aż tak denerwować!

Ponieważ rozwiały się jej najgorsze obawy, zgodziła się z bratem i nie wypytywała o nic więcej. Doskonale wiedziała, że tylko bardziej się najeży. Wiedziała, że i tak nigdy nie zdoła zrozumieć, co Harry widzi zabawnego we wszczyntaniu burd, nieodmiennie zaczynających się od towarzyskich spotkań lub (jak się domyślała) bibek z winem, a kończących się dzikimi wybrykami, na równi bezsensownymi, jak i zgubnymi.

- Powiem prawdę - mówił wesoło Harry -już od dłuższego czasu myślałem, że powinienem do was przyjechać, by osobiście sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nic nie mówię, ale mogliście coś przeskrobać, a przecież ja jestem głową rodziny!

Charis zachichotała, lecz Fryderyka, choć w oczach jej też czał się śmiech, odpowiedziała drwiąco:

- Jakież jesteś miły Harry! Oczywiście, twoim obowiązkiem było dać się relegować z uczelni!

- Co ty, Freddy... - zaprotestował. Wbrew wysiłkom, nie potrafił zapanować nad drżeniem warg. - Tego nie powiedziałem!

- Ja też się tego nie spodziewałam! - zawołała Charis, poruszona do głębi zmianą nastroju brata. - Już od ponad miesiąca mieszkamy w Londynie, a tobie do końca semestru pozostało zaledwie kilka tygodni! Jakaż z ciebie zakała, ty wstrętny potworze!

Uśmiechnął się, zdetonowany.

- Hm, naprawdę sędzę, że powinienem mieć na was wszystkich oko. Nikt z was nie jest zbyt obyty, sami wiecie, a poza tym nigdy nie byliście w Londynie.

- Przyznaję, że pod tym względem masz nad nami przewagę - przyznała Fryderyka.

- Wielkie nieba, a kiedy to Harry bawił w Londynie? - zdziwiła się Charis.

- Nie pamiętam dokładnie, ale kilką lat temu. Zaprosiła go ciotka Scrabster, jego matka chrzestna. Tydzień przemieszkał na Harley Street i oprowadzano go po całym mieście. Prawda, Harry?

Uśmiechnął się krzywo.

- Dosyć, Freddy! Boże, wuj ciągał mnie do wszystkich najnudniejszych miejsc! Ale pojmij, że od kiedy zacząłem studiować w Oksfordzie, wiele się nauczyłem, i przypuszczam, że dobrze się orientuję, co w trawie piszczy. Przyjmijcie do wiadomości: jedno mi się na pewno nie podoba, a tym czymś jest ten dom!

- Nam także, lecz chociaż ma mocno sfatygowane umeblowanie i znajduje się w niemodnej dzielnicy, że udało się nam dostać do najprzedniejszych kręgów towarzyskich!

- Wiem o tym i to także mnie nie zachwyca. Wprowadził was tam ten gość, Alverstoke, prawda? Nie wiedziałem o jego istnieniu, dopóki nie napisałaś mi, że to nasz kuzyn, ale musicie coś wiedzieć!... Usłyszałem to i owo i przyznam, Fryderyko, że nie mogę pojąć, dlaczego zgodziłaś się na jego opiekę. Przecież nie masz kurzego mózdzku!

- Ale, Harry, o co ci chodzi? - zawołała Charis. - Jest dla nas niezwykle miły i uprzejmy! Nie masz o tym pojęcia!

- Czyżby? - spytał gniewnie. - To ty nie masz pojęcia, ja natomiast doskonale się orientuję. Miły i uprzejmy, dobre sobie!

- Owszem, a zwłaszcza dla chłopców! Czy uważasz, że zanadto Odziera nosa? Na pozór rzeczywiście,

wiem także, iż niektórzy uważają go odpychająco wyniosłego, takiego, który myśli wyłącznie o sobie, ale to przecież nieprawda. Zgodzisz się ze mną, Fryderyko? Przypomnij sobie tylko, jak zabrał Feliksa do odlewni i umożliwił mu wycieczkę do Nowej Mennicy, nie mówiąc już o tym, że pozwolił Jessamy'emu dosiadać swojego pięknego wierzchowca!

- Lord Alverstoke miał pewne zobowiązania wobec papy - lodowatym tonem wyjaśniła Fryderyka. - Z tego względu zgodził się... i to nie bardzo ochoczo... przyjąc na siebie obowiązki naszego opiekuna!

- Opiekuna! Dla mnie nie jest żadnym opiekunem! - przerwał jej urażony na honorze Harry.

- Jasne, że nie. Moim także. Jakże mógłby nim być, skoro oboje jesteśmy pełnoletni?

- Hm, zgoda... och, ale ty niczego nie rozumiesz!

- Zapewniam cię, że wręcz przeciwnie! Powiedziano c<sup>^</sup>, że jest niepoprawnym rozpustnikiem?

- Naprawdę? - wtrąciła się Charis, szeroko otwierając oczy.

- Myślałam, że rozpustnik inaczej wygląda! Dobrze wiem, jacy oni są! Usiłują flirtować, a kiedy coś powiedzą, to trzeba się tylko czerwienić i... och, dobrze wiesz, Fryderyko! Kuzyn Alverstoke jest inny! Przyznam, że czasami boję się go, gdyż wydaje mi się aż nadto surowy!

- Owszem, prawiąc kazania i patrząc na człowieka tak, jakby sądził, że ktoś dopiero co przestał być uczniakiem - odparła Fryderyka z niemalym rozdrażnieniem. - Uspokój się, Harry! Jakąkolwiek reputacją cieszyć się Alverstoke, wobec nas zawsze zachowywał się nienagannie! Poza tym nie wkroczyliśmy w świat pod jego egidą. Prawda, że zaprosił nas na bal, który wyprawił na cześć siostrzenicy, ale to jego siostra, lady Buxted, jak to się mówi, wprowadziła nas w świat.

Harry najwyraźniej nie zadowolił się tym wyjaśnieniem, ponieważ jednak w tej chwili do salonu wszedł Jessamy, poniechano temat. Chłopiec sposepniał, dowiedziawszy się, co spowodowało przyjazd brata. Uprzedzony, że starszy brat nie życzy sobie, by nad nim lamentować, powiedział jedynie:

- Oczywiście, nie!

- I nie będziesz mi prawil żadnych umoralniających kazań! - zażądał Harry, patrząc na niego podejrzliwie.

- Nie musisz się obawiać. Nie mam do tego prawa - odparł z westchnieniem Jessamy.

- Hej, a o co chodzi? - spytał gwałtownie Harry. - Nie mów, stary ważniaku, że i ty wdałeś się w bójki i burdy!

- W coś bardzo podobnego - przyznał ciężko Jessamy, któremu przed oczami stanęła jak żywa scena z Piccadilly.

Obie siostry żarliwie temu zaprzeczyły. A kiedy już Harry'emu opowiedziano całą historię z Pieszym Powozem i wybuchnął niepohamowanym śmiechem, Jessamy zaczął podejrzewać, że mimo wszystko nie było to takie okropne i nawet zdołał trochę pośmiać się z siebie. Opowiedział bratu o znakomitych skutkach tej przygody, szczególnie zagłębiając się w opisy zalet wierzchowców i koni zaprzęgowych Alverstoke'a. W tej sytuacji damy uznały, że mają coś do zrobienia w domu i wycofały się.

Kiedy już omówili dokładnie ten temat, Harry przyznał, że markiz postąpił wyjątkowo szlachetnie oddając swoje wierzchowce do dyspozycji Jessamy'ego i uszczęśliwił brata słowami:

- Przecież może być absolutnie spokojny. Twierdę, że jak na twoje lata, młokosie, znakomicie trzymasz się w siodle i masz wyjątkowo lekką rękę do lejców.

- Zgadza się, ale on nie miał o tym pojęcia! - odparł prostodusznie Jessamy.

Harry uśmiechnął się drwiąco, lecz powstrzymał się od dalszych komentarzy. Nigdy bowiem nie mógł przewidzieć reakcji Jessamy'ego, kiedy zacznie się z niego kpić, a uważał, iż nie powinien rozdrażniać chłopca. Poza tym chciał się dowiedzieć czegoś więcej o markizie. Jessamy był sześć lat młodszy, ale brat cenił sobie jego umiejętność trafnej oceny, niekiedy zaś zazdrościł mu odwagi przyznawania się do swoich wad. Jessamy nie był sam dla siebie zbyt pobłażliwy.

Tymczasem Jessamy wyrażał się o markizie w samych superlatywach. Rozumiał powody, dla których Harry mógł się niepokoić, więc przyznał, że na samym początku i on się obawiał, iż markiz Zmierza uwieść Charis.

- Ale okazało się, że wcale mu na tym nie zależy. Moim zdaniem nie zwraca na nią większej uwagi. Raz zabrał ją na przejażdżkę po Parku, ale Fryderyka wytłumaczyła mi, że uczynił to wyłącznie po to, by ostrzec niektórych wstrętnych zalotników, jacy się wokół niej kręcą. Nie przysłała jej zresztą kwiatów ani nie przesiaduje u nas ciągle, jak kuzyn Endymion!

- Jaki kuzyn? - spytał zdumiony Harry.

- Endymion. Cóż, tak go nazywamy, a Fryderyka twierdzi, że w jakiś sposób jesteśmy z nim spokrewnieni. Jest dziedzicem kuzyna Alverstoke'a i służy w Gwardii Królewskiej. Oszalał na punkcie Charis, ale nie ma powodów do zmartwień! To duży tępy facet, nieszkodliwy, co prawda, ale Bóg świadkiem, że ma zakuty łeb! Jest jeszcze kuzyn Gregory... jeden z siostrzeńców kuzyna Alverstoke'a, i kuzyn Buxted. Ten jednak zajmuje się wyłącznie Fryderyką, i...

- Ilu jeszcze? - przerwał bratu oszołomiony Harry.

- Dokładnie nie wiem. Dziwne mi się tylko wydaje, że nagle odkryliśmy cały zastęp kuzynów, o których istnieniu dotąd nie mieliśmy pojęcia, prawda?

- Piekielnie dziwne!

- Cóż, są jednak kuzynami i tak czy siak jesteśmy spokrewnieni. Sami to przyznają!

Harry potrząsnął głową, ale powiedział:

- Hm, przypuszczam, że wszystko jest mocno naciągane. Ale, ale... czyżbyś napomknął, że jeden z nich zaleca się do Fryderyki?

- Tak, i to jest największy dowcip! - odparł Jessamy, ogromnie zadowolony z niedowierzania brata. - A już najlepsze, że to taki śmiertelny nudziarz... - Urwał, zmarszczył czoło. - Nie powinienem tak o nim mówić - stwierdził. - To człowiek zasługujący na szacunek. Jest uprzejmy i inteligentny. Tylko że czasami, kiedy zaczyna prawić morały, mam ochotę spłatać mu figla. Wiem, że to nieładnie, ale zrozumiałem, co miał na myśli kuzyn Alverstoke, twierdząc, że będę lepszym pastorem, jeśli poznam ludzkie słabości.

Owo zwierzenie bardziej przemówiło do Harry'ego niż wszystko, co Jessamy powiedział dotąd dobrego o markizie. Oświadczył, że nie może się już doczekać spotkania z nim, a nawet posunął się do tego, iż wysunął przypuszczenie, że to gość z ikrą.

- Hm, chyba będziesz chadzał z dziewczętami na bale, więc bez wątpienia go poznasz.

- Chadzał z dziewczętami na bale? - powtórzył ze zgrozą Harry. - Na Jowisza, za nic! Na pewno nie!

Nic nie mogło go odwieść od tej decyzji. Na perswazje siostr odpowiadał, że wyrósł z wieczorowego

stroju, i niech go diabli, jeśli wyda forszę na następny. Poza tym jego przyjaciel Barny spodziewa się, iż spędzą ten czas razem. Prócz tego sądzi, że będzie musiał wyprawić się do hrabstwa Hereford, aby sprawdzić, czy w Graynard jest wszystko w porządku. I na dodatek uciekł się do ostatecznej wymówki, iż jest tak słabym tancerzem, że gdyby zaciągnęły go na któryś z rautów, to przyniosłby im wyłącznie wstyd.

Dziewczęta były rozczarowane, ale bynajmniej nie zaskoczone. Harry, uderzająco podobny do Charis, nigdy nie mógłby przynieść im wstydu - nawet jeśli nie potrafił tańczyć - gdyż był przystojny, miał zgrabną sylwetkę i sporo wdzięku. Mimo to Harry nie gustował w towarzyskim życiu i wcale nie żywił ambicji poznania londyńskiej śmietanki. Chociaż gotowy w każdej chwili przyłączyć się do hulanki (jak to określał) z kolegami, zdradzał wyraźne oznaki, że za kilka lat będzie wiodł szczęśliwy żywot rozmiłowanego w sportach prowincjonalnego dżentelmena.

Jeżeli ktokolwiek mógł bardziej utwierdzić go w uporze, to tym kimś okazała się panna Winsham. Lodowatym tonem wyraziła opinię, że najlepsze, co mógłby zrobić, aby zmazać hańbę relegowania z uniwersytetu, to stać się użytecznym dla siostr. Dziesięć minut spędzone w towarzystwie ciotki sprawiło, że Harry, zazwyczaj tak wyrozumiały dla innych śmiertelników, odkrył w sobie mordercze skłonności. Fryderyka dostrzegła niebezpieczne błyski w oczach brata, a także zacięty grymas ust. Oczekała zatem dłuższy czas, nim ośmieliła się zaproponować Harry'emu, że skoro pragnie poznać Alverstoke'a, to stanie się tak z pewnością, jeśli pójdzie z siostrami na mające się odbyć w najbliższym czasie towarzyskim spotkanie z lady Sefton.

Jednak Harry i na to miał gotową odpowiedź. Nie uważał, by potrafił błyszczeć wśród członków wytwornego i arystokratycznego towarzystwa, choć miał nadzieję, że potrafi się dobrze zachować. Chłodnym tonem dodał, iż teraz nadarza się dobra okazja, aby okazał swój szacunek markizowi! Przemyślał całą sprawę: ponieważ wygląda na to, iż mają Alverstoke'owi wiele do zawdzięczenia, czuje, że powinien mu złożyć formalną wizytę na Berkeley Square. Nie tylko z grzeczności, lecz także po to, by spłacić dług zaciągnięty przez Jessamy'ego.

- Hm, byłabym bardzo rada, gdybyś to uczynił - powiedziała Fryderyka - ale nie sądzę, aby markiz ci pozwolił! Uważam, że postępujesz właściwie, chcąc złożyć mu poranną wizytę, lecz przestrzegam cię, Harry: cokolwiek zamierzasz, nie rób tego przed południem! Jessamy i ja już dwukrotnie wtargnęliśmy do jego domu, nim jeszcze opuścił garderobę. Przy trzecim z rodu Merriville'ów przepelni się miarka!

- Co za nędzny gość! - zawołał z pogardą Harry.

Kiedy jednak, zastosowawszy się do rady Fryderyki, zawitał na Berkeley Square, jeden rzut oka przekonał go, że epitet: „nędzny” w rzeczywistości jest jak najdalszy od prawdy.

Szczęśliwy traf sprawił, że pod domem Alverstoke'a pojawił się w chwili, kiedy markiz akurat wychodził, elegancko ubrany w niebieski surdut prosto spod igły pracowni krawieckiej Westona, jasne bryczesy, śnieżnobiały fular i wysokie buty tak wypastowane, że lśniły w promieniach słonecznych. Harry'ego, który właśnie stawiał nogę na pierwszym stopniu schodów, olśniło wrażenie nienaganej elegancji, lecz ani przez sekundę nie pomyślał, że właśnie spogląda na Pierwszego Dandysa Towarzyskiej Śmietanki. Najprzedniejszy niebieski surdut opinał potężne barki, a luźne pantalony wcale nie kryły imponującej muskulatury nóg, zdradzającej wyraźnie, iż człowiek ten uprawia sporty.

Markiz przystanął u szczytu schodów i popatrzył z góry na niespodziewanego gościa. Na chwilę zmarszczył brwi, lecz błyskawicznie się rozpozgodził i powiedział:

- Proszę się nie przedstawiać. Jeśli się nie mylę, widzę pana Harry'ego Merrville'a.

Harry potwierdził. Przywykł już, że rozpoznawano go po podobieństwie do ślicznej siostry, więc nawet się nie zdziwił domyślnością jego lordowskiej mości. Lord, trafnie oceniwszy zmianę wyrazu twarzy gościa, dał kolejny dowód, iż tak było w istocie.

- Jest pan ogromnie podobny do siostry - odezwał się łagodnym tonem. - Zapraszam do środka. Proszę powiedzieć, co sprowadza pana do Londynu! Ale... nie muszę przecież pytać! Na jak długo pana relegowano?

Ponieważ w jego tonie słyszało się wyłącznie pełne współczucia zainteresowanie, Harry nie widział powodów, by poczuć się urażonym. Toteż uśmiechnął się szczerze i odparł:

- Och, zaledwie do końca semestru, sir. Za głupstwo... trochę zabawy i szumu! Szanownemu rektorowi włosy stanęły dęba i kazał to ukrócić. Ale chyba zatrzymuję pana. Może pan ma umówione spotkanie?

- Nic ważnego - zapewnił markiz, oddając kamerdynerowi kapelusz, rękawiczki i trzciniową laseczkę. Poprowadził Harry'ego do biblioteki. - Proszę wypić ze mną szklaneczkę sherry i powiedzieć, co mogę dla pana zrobić?

- Wielki Boże, sir, nie! - zawołał wstrząśnięty Harry. - Wydaje mi się, że i tak już wiele uczynił pan dla mojej rodziny. Przyszedłem tylko, by podziękować za okazaną nam dobroć.

- Niezwykle pan uprzejmy! Ale błagam, proszę nie dziękować!

- No cóż, wszystko świetnie - zaprotestował Harry. - Tylko nie widzę najmniejszych powodów, dla których moglibyśmy mieć do pana jakiegokolwiek prawa, sir!

- Zapominasz o naszym pokrewieństwie.

- Wcale nie zapominam, gdyż ono w rzeczywistości nie istnieje - bez ogródek odparł Harry. - Fryderyka twierdzi, że jesteśmy kuzynami, ja jednak nie potrafię opędzić się od myśli, że wszystko to wymyśliła.

- Mylnie ją oceniasz. Może nasze pokrewieństwo jest rzeczywiście dalekie, lecz... hm... zapewniam, pochodzimy z tego samego drzewa genealogicznego.

- Cóż, to niewykluczone - przyznał z powątpiewaniem Harry.

- Nigdy dotąd nie interesowałem się drzewem genealogicznym swojej rodziny, ale, oczywiście, zdaję sobie sprawę, że każdy ma tuziny krewnych, o których istnieniu nie ma bladego pojęcia.

- A niektórzy z nich są całkiem pomyleni! - mruknął lord.

- Na Jowisza, zgadza się pan ze mną? - zawołał Harry, Podzielając jego uczucia. Parsknął śmiechem i popatrzył wyzywająco w oczy markiza. - Och, wcale nie miałem pana na myśli, sir! Jakżebym mógł? Ale proszę tylko wyobrazić sobie moją ciotkę Serafinę! Ta nie jest nieznaną krewną, a Bóg świadkiem, Ołałbym, żeby tak było! Przypuszczam, że miał pan okazję go poznać?

- Owszem, i proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. Harry pokiwał głową, lecz powiedział:

- No cóż! Dla dziewcząt nie jest wstrętą, a sędzę, że ktoś powinien grać rolę przyzwoitki. - Umilkł na moment, gdyż do salonu wkroczył Wicken. Podstawił na stoliku obok markiza suto zastawioną srebrną tacę. Kiedy Harry przyjął z rąk Alverstoke'a szklaneczkę sherry, zaczął znowu: - Problem tkwi w tym, sir, że



skoro jesteśmy tylko daleko spokrewnieni, nie widzę najmniejszego powodu, dla którego miałby pan sobie zawracać nami głowę. Nie podoba mi się również, że moja siostra, Fryderyka, wmanewrowała pana w to wszystko! Gdyż - dodał chytrze - dałbym sobie uciąć głowę, że tak właśnie się stało!

- Och, pan się myli! - zaprzeczył jego lordowska mość. - Rozumiem, że nie ma pan pojęcia o długu, jaki zaciągnąłem wobec pańskiego ojca.

- Najmniejszego - potaknął Harry,

- No bo i skąd? - ciągnął jego lordowska mość ze słodkim, zbijającym z tropu uśmiechem, którym na ogół udawało mu się poskromić czyjeś pretensje.

Harry już chciał zapytać, czym mianowicie jego niepoprawny rodzic zasłużył sobie na aż taką wdzięczność i zobowiązania, lecz uśmiech markiza przestrzegł go, iż owo pytanie mogłoby być poczytane za impertynencję. Powstrzymał się zatem, lecz kiedy następny łyk sherry dodał mu animuszu, powiedział, unosząc hardo brodę:

- Jakkolwiek było, sir, muszę przyznać, że jestem panu niezmiernie wdzięczny. Nie tylko za wprowadzenie moich sióstr do towarzystwa, za co... za co nigdy nie będę w stanie się panu odwdziżyć, ale także za pospieszenie na ratunek mojemu młodszemu bratu. A za to mogę się wypłacić i... i chciałbym to uczynić już teraz! Proszę więc łaskawie powiedzieć, jaką sumę pan na niego wydał?

- Obawiam się, że musi mi pan wybaczyć - przeprasającym tonem odparł lord. - Po pierwsze sam nie mam pojęcia. Całą sprawą zajął się mój sekretarz. A po drugie ja tylko pod określonymi warunkami pożyczyłem Jessamy'emu pewną kwotę.

- Tak, sir... wspomniał mi o tym... i jestem panu ogromnie wdzięczny! Tylko dlaczego ten głupek nie przywiózł ze sobą do Londynu konia, zamiast robić z siebie męczennika. Mógł też wynająć konia.

- Wątpię, czy usatysfakcjonowałby go koń pracujący na polu. A ponieważ postanowił z całej duszy nie narażać rodziny na koszta związane z wynajęciem wierzchowca i koniuszego w Londynie, to może przestanie pan uprzejmie drażnić dalej ten temat?

Harry zaczerwienił się.

- Proszę mi wybaczyć, ale to nie w porządku, sir! To znaczy, nie rozumiem, dlaczego Jessamy zwrócił się do pana. Powinien zwrócić się do mnie. Ja jestem jego opiekunem, nie pan!

- Och, nie miałem najmniejszego zamiaru wkraczać w pańskie kompetencje! - zapewnił markiz.

- To nie tak bardzo... hm, prawdę mówiąc, siostra sprawuje opiekę nad młodszym rodzeństwem - wyznał Harry. - Lecz kiedy przychodzi do tego, by brat... mój podopieczny... zaciągał długi... Co to, to nie!

- Aha, to kwestia między wami, a mnie nic do tego! Zbesztaj go pan surowo... jeśli uważasz to za swój obowiązek!

- Teraz, kiedy mnie samego wydalono z uczelni? - zawołał Harry. - Nie jestem taką świnią! Poza tym - dodał szczerze - nie mam ochoty nadebrać Jessamy'emu na odcisk!

Markiz uśmiechnął się.

- Wobec tego radzę raz jeszcze, niech pan się nie wtrąca! - Kiedy spostrzegł, że Harry bynajmniej nie jest zadowolony z tej rady, popatrzył coraz bardziej ubawiony. - Może pan też za niego poręczyć, skoro uważa, że nie zechce spłacić długu.

Harry zeszywniał i wycedził przez zęby:

- Nie, nie mam takich obaw, sir!

- Ja także.

- Boję się tylko - ciągnął Harry, trochę ułagodzony - że przy tym wszystkim może osiąść na mieliźnie.

- W takim wypadku - odpowiedział lord - pana obowiązkiem... jako opiekuna... będzie przywołanie go do porządku. Chociaż nie sądzę, by tak się miało stać. Mam wrażenie, że owa suma jest Elkiem mizerna. Tymczasem Jessamy co rano dosiada któregoś z moich wierzchowców, a nie ślęczy nad książkami. Prawdę mówiąc, to ja jestem mu dłużny: o wiele chętniej powierzam konie jemu niż któremuś z moich stajennych.

- Oczywiście! - zawołał gorąco Harry. - Może brat ma kręćka na punkcie tego czy owego, ale jeźdźcem jest zawołanym! To znaczy podczas polowań! Powierzył pan lejce w najodpowiedniejsze dłonie!

- W takim razie, skoro nie musi się pan już więcej o to troskać, zapomnijmy o całej sprawie - powiedział lord. - A jakie pan ma plany? Czy i pan zamierza przedstawić się w towarzystwie?

Nie można było powiedzieć, że Harry się tym w pełni zadowolił, lecz po trosze, nie mając do markiza zaufania, a po trosze dlatego, że miał wrodzoną niechęć do ponoszenia jakiegokolwiek odpowiedzialności, pominął ten temat milczeniem. Zapewnił markiza, że nie ma najmniejszej chęci pojawić się w towarzystwie. Dodał, że nie sądzi, aby w tych okolicznościach było to rozsądne.

- Chcę pojechać do przyjaciela, a we dwóch, śmiem twierdzić, możemy przenosić góry.

- Rozumiem. Tylko proszę trzymać się z dala... od pokus Tothill Fields, a gdyby kiedyś znalazł się pan na posterunku policji z pustymi kieszeniami, to niech wiadomość o tym trafi tutaj, a nie na Upper Wimpole Street. Wykupię pana.

- Dziękuję! Jednak nie przypuszczam...

- Nie można wszystkiego przewidzieć - mruknął lord. - Może się to zdarzyć każdemu, toteż należy się na taką ewentualność przygotować. - Zamyślony popatrzył na młodzieńca. - Przypominam sobie, że siostra mówiła, iż jest pan miłośnikiem boksu. Może chciałby pan wstąpić do szkoły Jacksona... na Bond Street, pod trzynastym... proszę wtedy tylko mu to pokazać! Otoczy pana specjalną opieką! - Wyciągnął wizytówkę, szybko napisał coś na jej odwrocie i rzucił ją Harry'emu.

- Och, na Jowisza! - wykrzyknął Harry. Złapał kartonik i skwapliwie odczytał wypisane na nim przesłanie.

- Jest pan piekielnie uprzejmy, sir! Wdzięczność moja nie ma granic! Rzecz jasna, jestem tylko amatorem, ale do sportu mam szczególną słabość! Bardzo panu dziękuję! Chociaż, niech mnie diabli, nie mam pojęcia, dlaczego pan ma sobie również mną zawracać głowę! - Zaczerwienił się i przepaszającym tonem dodał: - To znaczy... hm, te bzdury, że pan ma cokolwiek do zawdzięczenia mojemu ojcu...

- To urok nowości - odparł lord. Wstając z krzesła dał znak do pożegnania. - Od kiedy przyjąłem na siebie obowiązki opiekuna... oczywiście tytułarnego... twoich... hm, przedsiębiorczych braci, nie znam dnia ani godziny. Do tej pory doskonale wiedziałem, co dalej będzie. Śmiertelna nuda, proszę mi wierzyć!

Tym musiał się Harry zadowolić. Z całą rewerencją pożegnał markiza i wyszedł. Nie bardzo potrafił ocenić, czy Alverstoke mu się spodobał, czy nie.

Markizem natomiast nie targwały takie wątpliwości. Po dziesięciu minutach rozmowy z Harrym uznał, że chłopak po ojcu odziedziczył nie tylko zalety, ale także i przywary. Był miły, szczery, dobrze wychowany,

trudno było go nie polubić. Brakowało mu jednak siły charakteru - zawsze chętnie wsparłby się o czyjeś ramię i na kogoś zrzucił odpowiedzialność.

Ale, do diabła, dlaczego właśnie ja mam go wspierać? - zapytywał siebie markiz. Chyba coś mi się pomieszało w głowie!

## 16

Jeżeli Harry miał wątpliwości co do markiza, to w przypadku kuzyna i dziedzica Alverstoke'a szybko uznał, że jest kapitalnym gościem. Prawdę mówiąc, ten młody dżentelmen ujmował ludzi od pierwszego wejrzenia. I tak stało się tym razem, mimo lekkiego uprzedzenia, jakie zrodziło się w głowie Harry'ego, który dowiedział się, że Fryderyka patrzy na pana Dauntry'ego niezbyt przychylnym wzrokiem. Endymion nie był skłonny do głębszych przemyśleń, lecz doszedł do przekonania, że polubi Harry'ego - lub jakiegokolwiek innego krewnego Charis. Był od niego o kilka lat starszy i obyty w wielkim mieście, czego chłopakowi brakowało. Nietęgi na umyśle, jak wiele innych osób, którym nauka przychodziła z największym trudem, z szacunkiem traktował wszystkich studentów.

Mogłoby się wydawać, że różnica wieku i inteligencji stworzy między oboma dżentelmenami barierę nie do pokonania. Tak zakładała Fryderyka, nie przewidziała wszakże jednego: obaj mieli bzika na punkcie sportu. Jedno przypadkowo rzucone słowo uświadomiło Harry'emu, że jego wydawałoby się tępy rozmówca jest kibicem Melton, a z jego zachwyty nad środkowymi hrabstwami Anglii wywnioskował, iż jest zapalonym koniarzem. Endymion, skromny młodzieniec, wcale nie przechwalał się swoją dzielnością. Jedyna anegdota, jaką o sobie opowiedział, brzmiała, że widziano, jak regularnie przegrywał gonitwy w Barkby Holt, a raz nawet spadł z konia w Wissendine. Wtedy Harry błyskawicznie zorientował się, że Endymion o swoje wpadki nie obwinia wcale konia, tylko siebie, i choć może wydawać się niezbyt rozgarnięty, to na pewno znakomicie trzyma się w siodle. Od polowań niedaleko było do wszelkich innych sportów. A kiedy już omówili wyższość nowego sztucera mantena i walk, jakie każdy z panów stoczył z ogromnym łososiem, trudno byłoby powiedzieć, który z nich darzył drugiego większym szacunkiem.

Fryderyka była nieco zdetonowana tym, jak szybko Endymion podbił serce jej swawolnego brata, lecz Charis, która z błyskiem uznania w pięknych oczach przysłuchiwała się ich rozmowie, zdobyła się na śmiałość i, zostawszy sam na sam z bratem, powiedziała błagalnym tonem:

- Harry, polubiłeś go, prawda? - I sploniona dodała: - Oczywiście naszego kuzyna... pana Dauntry!

- Och, to o niego chodzi! - zawołał Harry. - No tak, to świetny gość! Taki ścicachapek!

- Do tego wyjątkowo przystojny, nie sądzisz? - zasugerowała nieśmiało.

Ponieważ ta kwestia dotąd nie zaprzętała Harry'emu głowy, musiał się zastanowić. Dopiero po chwili odparł:

- Tak, tak myślę. Chociaż nadto zwałisty. Podejrzewam, że biedak musi ważyć co najmniej ze sto kilo! Przy tym, może jest niebrzydki, ale uwierz mi, że będzie zwlekał z wręczeniem ci zaręczynowego pierścionka! Ci potężni, ociążali mężczyźni tacy już są! Nadmiernie powolni!

Charis, troszkę zrażona tym podejrzeniem, odparła:

- Lecz przecież jest taki uprzejmy... prawdziwy dżentelmen! Brat zgodził się, lecz dodał uszczypliwie:  
- Ostrzegam cię tylko, że nie jest zbyt bystry! Prawdę powiedziawszy, gdyby nie nasza rozmowa o polowaniu, uznałbym go za zwykłego prostaka!

- Mylisz się!

- Teraz wiem. Piekielnie dobrze zna się na komach i... - Urwał, i nagle, wbrew sobie, zapytał bez ogródek:

- Tylko mi nie mów, że znowu się zakochałaś?

- Nie! I nigdy przedtem nie byłam zakochana! Nigdy!

- Nigdy dotąd nie byłaś zakochana? A co z...

- Nie! - płątała się. - Nie wiem! Nic nie rozumiem! To coś takiego... całkiem, całkiem innego!

- Cóż - z powątpiewaniem stwierdził Harry - jeżeli zakochiwałaś się w każdym z tych durni, którzy robili do ciebie maślane oczy, to mogę wyłącznie stwierdzić, że jesteś beznadziejną flirciarą! Przecież nawet nie usiłowałaś ich odprawić!

W jej oczach pojawiły się łzy. Zduszonym głosem wyjąkała:

- Och, Harry, przestań! Nie jestem flirciarką! Oni byli tylko moimi dobrymi przyjaciółmi! Jak mogłabym być nieuprzejma wobec kogoś, kogo znałam całe życie? A jeśli myślisz o biednym panu Griffie, przysięgam, że niczym go nie zachęcałam!

- Ale czemu przynajmniej nie utarłaś mu nosa? - zapytał Harry.

- Ależ, kochanie, zastanów się... jakież to byłoby brutalne! Był tak straszliwie nieśmiały, przy tym taki rozumny! Nie potrafiłabym go zranić!

- Jednak w tamtym dandysie, którego w zeszłym roku przywiózł ze sobą do domu Tom Rushbury, trudno było doszukać się nieśmiałości! Ten bufon miał piekielną czelność wyśpiewywać serenady pod twoim oknem i swoim okropnym wyciem potrafił postawić cały dom na nogi!

- Och, Harry! - zawołała z wyrzutem. - Wiesz, że miał bardzo ładny głos! A ja wiem, że go nie lubiłaś. W dodatku byłeś na tyle niegrzeczny, że wylałeś na niego dzban wody, a potem udawałaś, iż to sprawka kota! Przyznaję, raz czy dwa wydawało mi się, że jestem może zakochana, ale teraz wiem, jak się myliłam. Nikogo nie kochałam tak, jak kocham mojego najdroższego Endymiona, i nigdy już nikogo nie pokocham!

- Owszem, pokochasz! - pocieszył ją Harry. - Sama wiesz, jaka jesteś, Charis! Podejrzewam, że już w przyszłym tygodniu serce zabije ci czulej na widok innego gościa!

Rozpląkała się i odwróciła głowę, mówiąc smutnym tonem:

- Miałam nadzieję, że chociaż ty zrozumiesz!

- Na miłość boską, nie bądź taka delikatna! - poprosił Harry, z lękiem obserwując owe oznaki rozpaczki. - Do diabła, o co tu płakać? Fryderyka powiedziała mi, że on jest... a wcale nie musiała tego robić! Przecież każdy tuman sam może to dostrzec!

- Fryderyka go nie lubi - chlipnęła Charis.

- Cóż to ma za znaczenie? W moim przekonaniu nie zdaje sobie sprawy, że zakochałaś się w nim... na zawsze! Dlaczego, u diabła nie przyznałaś się jej? Dobry Boże, chyba się jej nie boisz?

- Och nie, nie, nie! - wykrzyknęła Charis. - Ale i tak by mi nie uwierzyła, podobnie jak ty! To wszystko jest takie okropne! Z mojego powodu przeprowadziliśmy się do Londynu, bo Fryderyka postanowiła wydać

mnie dobrze za mąż! Wiem, że jej zdaniem, nie byłabym szczęśliwa z Endymionem i po... powinnam zapomnieć o nim w tej samej chwili, w której zniknie mi z oczu! Robi mi wyrzuty, chroni mnie... i to wszystko dla mojego dobra! Jakże mogłabym okazać się tak niewdzięczna, by...

- Bzdury! - przerwał rozsądnie Harry. - Powiem ci coś, Charis! Jeśli nie przestaniesz robić wszystkiego, by zadowolić innych, sama znajdziesz się w kropce! Poza tym Fryderyka jest zbyt do ciebie przywiązana, aby chciała ci się przeciwstawić, nawet gdyby mogła!

- Ależ może, Harry! Och, nigdy, przenigdy by tego nie uczyniła, gdyby nie była przekonana, że będę żałować, iż po... poślubiłam ukochanego Endymiona! W to właśnie wierzy! Wiem, że myśli, iż nie musi zawracać sobie głowy jego odwiedzinami, gdyż ja i tak szybko się nim znudzę!

Ponieważ Harry podzielał to przekonanie i skłonny był raczej zgodzić się z Fryderyką, powiedział tylko:

- Och, dobrze! Nie ma powodu wpadać w rozpacz! To... to znaczy, kiedy Fryderyka przekona się, że jesteś naprawdę zaangażowana, na pewno się zgodzi!

Charis znowu zaszlochała.

- Jest jeszcze gorzej, niż podejrzewasz! Lękam się z całej duszy, że zabiorą mi Endymiona!

- Nie, chyba teraz przesadzasz! - oburzył się Harry. - Wolałbym, abyś nie opowiadała takich głupstw! Zabiorą ci go, rzeczywiście! Podejrzewam, że za sprawą Fryderyk!!

- Och, nie, nie! Kuzyna Alverstoke'a! Brat wybałuszył oczy.

- A co on, do diabła, ma z tym wszystkim wspólnego?

- Endymion to jego dziedzic - wyjaśniła posępnie Charis.

- No i co z tego? - Tknięty wcześniejszymi przecuciami, dodał:

- Czyżby i on smalił do ciebie cholewki? Dojrzała zdumiona. - Alverstoke? Wielkie nieba, nie! Woli ode mnie Fryderykę, ale nie zaleca się do żadnej z nas! Podejrzewam, że jeśli miałby się żenić, to tylko z kimś znakomitego pochodzenia i wielkiej fortuny. Powiada się, że jest bardzo dumny, nie mówiąc już o tym, że jest najprzedniejszą partią. I możesz mi wierzyć, iż jego zdaniem to samo tyczy się Endymiona. Tak też uważa jego mama. Postanowiła za wszelką cenę świetnie go ożenić. Mówiła mi o tym Chloe. Wiesz, to jego siostra i najmilsza z dziewcząt! Twierdzi, że pani Dauntry od dawna rozglądała się za odpowiednią dziedziczką. Nie można się temu dziwić ani jej o to winić. Endymion nie jest bogaty. Gdyby kuzyn Alverstoke nie wypłacał mu pensji, byłby całkiem biedny. Mnie to akurat nic nie obchodzi, on twierdzi, że jego też nie, lecz... och, Harry, on przywykł obracać się w najpierwszych kręgach, jeździć na polowania na najlepszych koniach. I na dodatek nie lubi martwić się, skąd wziąć następnego pensa, boję się zatem, że znienawidziłby potrzebę oszczędzania!

Harry zaczął podejrzewać, że Fryderyka jest mądrzejsza, niż się spodziewał. Znał jednak na tyle Charis, by wiedzieć, że siostra lada chwila znowu wybuchnie płaczem, toteż usilnie starał się wymyślić coś, co dodałoby jej ducha. Wreszcie odezwał się:

- Nie widzę powodu, żebyś miała aż tak się zamartwiać! Jeden do dziesięciu, że Alverstoke nie będzie się sprzeciwiał. Przecież do tej pory wcale się nie wtrącał, prawda?

- Nie - przytaknęła Charis, wcale niepokieszona. - Pani Dauntry coś podejrzewa, ale Chloe mówi, że mama ma nadzieję, iż to tylko jakiś flirt. Lecz jeśli Fryderyka zdaje sobie sprawę z moich uczuć i poprosi kuzyna

Alverstoke'a o interwencję... - Wzdrygnęła się i mocno spłótła dłonie. - Wiesz, Harry, on jest do tego zdolny! Może spowodować, na przykład, że Endymiona wyślą za granicę, a ja tego nie przeżyję! Och, kochany bracie, nikt oprócz ciebie nie może mi pomóc. Liczę na twoje wsparcie!

W tej chwili Harry gorzko żałował wydalenia z uczelni. Wyglądało bowiem na to, że pewnie znajdzie się w tak niezręcznej sytuacji, jakiej ze wszech miar pragnęłby uniknąć. Powiedział więc speszony:

- No, owszem, ale doprawdy nie wiem, co mógłbym uczynić. Charis chyba także nie wiedziała, gdyż w jednej chwili zaklinała brata, by nie zdradził jej przed Fryderyka, w drugiej zaś błagała, aby sprawił, żeby spojrzęła na Endymiona życzliwszym okiem i nie prosiła Alverstoke'a o interwencję.

Harry - nawet najbardziej wysiliwszy wyobraźnię - nie potrafiłby sobie wyimagować zakazywania Fryderyce czegokolwiek, lecz się do tego nie przyznał. Nie powiedział także Charis, że chociaż może to nie jest zupełnie nieprawdopodobne, by Fryderyka uległa jego perswazjom, przypuszczalnie tak się nie stanie. Przrzekł natomiast, że uczyni wszystko, co w jego mocy, i przy pierwszej nadarzającej się okazji dopełni obietnicy. Powiedział mianowicie Fryderyce, że jego zdaniem Endymion - którego określił jako kapitalnego i równego faceta - jest dla Charis odpowiednią partią.

- Kapitalny facet! - zawołała Fryderyka. - Tylko dlatego, że należy do Melton i ma bzika na punkcie psów myśliwskich? Harry, jak możesz pleść takie bzdury? On jest wyłącznie przystojnym tępakiem!

- Och, wcale nie udaje, że jest rozumny! - odparł Harry. - Nie twierdzą też, że jest najbystrzejszy, lecz... wybacz, Freddy... nasza Charis też nie jest najulotniejsza!

Siostra nie potrafiła temu zaprzeczyć, powiedziała jednak:

- Dlatego właśnie powinna poślubić kogoś mądrego! Z pewnością sam to rozumiesz... Harry, proszę cię, byś nie popierał jej w tych mrzonkach! Doskonale ją znasz! Może i oszołomił ją wygląd Endymiona... tego nie wiem, ale prawdopodobnie tak, gdyż rzeczywiście jest nadzwyczaj przystojny, a ona, na nasze nieszczęście, ujrzała go w mundurze gwardii. Ale tylko on zniknie jej z oczu, natychmiast o nim zapomni! Mój kochany, gdy nie pozwolisz chyba, by twoja siostra wydała się za głupca, który w dodatku nie ma wielkiego majątku i w najbliższej przyszłości żadnych na to widoków!

- Tego nie wiem! - zaprotestował Harry. - Przecież jest dziedzicem Alverstoke'a.

- Owszem, teraz tak. Ale kiedy Alverstoke się ożeni i będzie miał synów, sam powiedz, co wtedy?

- Och, nie sądzę, by tak się stało! - zawołał Harry. - Chyba jest na to za stary, prawda?

- Za stary? - wybuchnęła. - Skoro uważasz, że trzydziestosiedmioletni mężczyzna jest stary, to masz chyba bardziej zielono w głowie, niż podejrzewałam! On jest w kwiecie wieku!

Trochę speszony, powiedział:

- Hm, jednak, mimo wszystko, nie jest już pierwszej młodości! Nie sądzisz, że musi być zatwardziałym kawalerem? Niech mnie diabli, ale w ciągu ostatnich kilkunastu lat musiały ubiegać się o niego setki niewiast!

Odparła oschłym tonem:

- Wielce prawdopodobne! - I natychmiast zmieniła temat, pytając brata, czy pan Navenby, ze swoim znakomitym pochodzeniem, fortuną i doskonałymi manierami nie byłby dla Charis idealną partią.

Niestety, Harry'emu nie spodobał się pan Navenby. Chociaż sam nie miał najmniejszych ambicji, by stać

się światowcem, to z pogardą spoglądał na takich nieudanych pretendentów do miana dandysa jak pan Navenby. Zawołał więc:

- Co, ten modniś? Mam nadzieję, że Charis ma dosyć rozsądku, by się za niego nie wydawać! Na Boga, Dauntry jest o całe niebo od niego lepszy!

Fryderyka doskonale zdawała sobie sprawę, że wszelkie próby wytłumaczenia Harry'emu, iż bycie zapalonym sportowcem nie jest najlepszą kwalifikacją na męża, toteż już nic więcej nie powiedziała. Owa powściągliwość sprawiła, że brat doszedł do wniosku, iż znakomicie wypełnił dane Charis przyrzeczenie. Mając więc czyste sumienie skierował swoją uwagę na inne, o wiele większej wagi sprawy.

A najpierwszej pilności okazała się konieczność zaprezentowania wizytówki Alverstoke'a na Bond Street pod numerem trzynastym, tam, gdzie John Jackson od wielu lat uczył sztuki samoobrony. Harry'ego jeszcze nie było na świecie, kiedy Jackson, w ostatniej ze swoich trzech walk przed publicznością, pokonał w ciągu dokładnie dziesięciu i pół minuty wielkiego Mendoza, lecz jak każdy młody amator (i prawdę mówiąc, zawodowiec) potrafiłby w najdrobniejszych szczegółach opisać tamtą rundę i dwie poprzednie. Świetnie wiedział o wyjątkowej pozycji, jaką sobie zdobył i potrafił utrzymać bez najmniejszej ostentacji ten pięściarz, któremu wytworne maniery i wyjątkowa inteligencja zapewniły przydomek Dzentelmena. Na Bond Street pod numerem trzynastym każdy, uściwszy odpowiednią opłatę, mógł pobierać lekcje, lecz próżno by marzył o nauce u samego Dzentelmena Jacksona. A taką nadzieję miał Harry uzbrojony w wizytówkę Alverstoke'a. Jeżeli nawet żywił jakiegokolwiek wątpliwości co do mocy owego talizmanu, rozwiął je natychmiast jego osławiony przyjaciel, pan Peplow, oglądając wizytówkę z największym szacunkiem. Alverstoke, stwierdził pan Peplow, wśród kibiców boksu cieszył się sławą wybitnego pięściarza: to nie byle jakiś tam facet wymachujący pięściami, tylko bokser o znakomitej technice, nieodmiennie w świetnej formie i zawsze gotowy przewodzić we wszystkich zawodach. Koryntianin? Nie: pan Peplow po namyśle orzekł, iż, jego zdaniem, lord nie należy do tej sitwy ani, w zasadzie, do żadnej innej. Oczywiście, jest znakomitym bokserem i świetnym napastnikiem, można nawet powiedzieć, że przoduje we wszystkich dziedzinach sportu. Poza tym jest wyjątkowo elegancki: można powiedzieć, wyprostowany jak struna, ale wyrobił sobie własny dyskretny styl i nigdy nie podąża na oślep za nowinkami mody.

- Rzecz polega na tym - wyznał poufnym tonem pan Peplow - że jest diabelnie wyniosły! - Zbyt młody, by wiedzieć, że markiz obrał sobie za wzór pana Brummella, dodał: - Ustanawia własną modę. Nigdy nikogo nie naśladowe. W rezultacie zawsze wszystkich wyprzedza, rozumiesz, i bardzo wysoko się ceni. Tylko nie sądz, broń Boże, że twierdzą, iż jest takim zarozumiałcem, który myśli, że jest lepszy od innych... chociaż zdarza mu się niekiedy mocno kogoś usadzić!

- Czy ty go lubisz? - stanowczym tonem spytał Harry.

- Ja? - zawołał wstrząśnięty pan Peplow. - Wielkie nieba, Harry, ja nawet go nie znam! Powtarzałem ci tylko opinię osób trzecich!

- Hm, mnie nie usadził, a moi młodszy bracia przysięgają, że jest wspaniałym facetem. I ani trochę się go nie boją!

- Och! No, cóż, chyba jesteś z nim spokrewniony?

- Owszem, ale to nie ma nic do rzeczy! Jeden z jego siostrzeńców wypatruje oczy za moją siostrą Charis...

to też jakiś mój kuzyn! Gregory... Gregory Sandford czy Sandridge: nie pamiętam, ale wydaje mi się, że zna Alverstoke'a jedynie na tyle, aby przy przypadkowym spotkaniu wymieniać z nim zdawkowe ukłony! Dlatego zastanawiam się... - Urwał. Pan Peplow, nadzwyczaj taktowny, nie nalegał, i za to został nagrodzony zwierzeniami. - Cóż, Harry, nie mam skrupułów, by ci powiedzieć, że sposób, w jaki zajął ^e Jessamym i Feliksem, i że dał mi wizytówkę do Jacksona, wskazuje wyraźnie, że on także ugania się za Charis!

Jego obyty w świecie przyjaciel przemyślał starannie to przypuszczenie, ostatecznie jednak pokręcił przecząco głową i powiedział:

- Nie sądzę! Cóż, zastanówmy się! Jest jej protektorem, prawda? I nic ponad to! Chyba że chce przyciągnąć jej uwagę?

- Hm, nie. A w każdym razie nie mojej siostry. Charis twierdzi, że Alverstoke preferuje Fryderykę, a w ogóle to obie ledwie toleruje. - Niespodziewanie uśmiechnął się. - Boże, tylko pomyśl! Fryderyka! No dobrze, jest kapitalna i bardzo roztropna, ale ona nigdy nie wyjdzie za mąż! Nikt nigdy jej się nie oświadczył! Ona... ona nie należy do takich kobiet!

I Harry, i Charis mówili to wszystko w jak najlepszej wierze, lecz oboje się mylili: niespodziewanie starszą pannę Merriville aż dwóch dżentelmenów prosiło o rękę: mianowicie lord Buxted oraz pan Darcy Moreton. Natomiast lord Alverstoke na pewno ją polubił, a nie tylko tolerował. Jednakże sama przyznała, że nie wybiera się za mąż. Poinformowała o tym stanowczo lorda Buxteda, odrzucając jego oświadczyzny. Powiedziała, że urodziła się po to tylko, by być ciotką, a lord, słysząc te słowa, uśmiechnął się i orzekł:

- Raczej siostrą!

- No dobrze, tak! Teraz tak, ale wyglądam dnia, w którym zacznę piastować siostrzeńców i bratanice, kimkolwiek będą ich rodziciele, albo może wyprawię się na wycieczkę do Europy.

Buxted uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Śmiem twierdzić, że będzie pani ukochaną ciotką, gdyż jest w pani tyle życia, iż oczaruje pani dzieci bardziej niż ich rodzice. Ale proszę na chwilę zachować powagę i zastanowić się, czy pani, jako siostrze, mąż nie przyniosłby jakichś korzyści? Pani ma trzech braci... z tego, co wiem, tylko Harry jest pełnoletni, jednak nie sądzę, by był na tyle dojrzały, przynajmniej jeszcze nie teraz, aby nie trzeba nim było pokierować, a pani, z całym szacunkiem dla pani szlachetności i odwagi, które wzbudzają mój podziw, pani czuje się za nich wszystkich odpowiedzialna. Jednak czy niewiasta, bez względu na to, jak byłaby oddana, jakkolwiek rozumna, podoła takiemu zadaniu? Nie sądzę, że to możliwe. Prawdę mówiąc, często zadaję sobie pytanie, czy pani nie czuje, że potrzebne jej wsparcie męskiego ramienia.

- Och, nie! - zawołała pogodnie. - Chłopcy bardzo się mnie słuchają.

- Rzeczywiście! Jeden samowolnie wyprawia się do Margate, drugi zaś wynajmuje niebezpieczną maszynę i... jak można się było spodziewać!... powoduje wypadek! - Wybuchnął niepohamowanym śmiechem.

- Nie uważam, aby machina była niebezpieczna. Poza tym, nie zabroniłam im tych wyczynów, toteż nie ma mowy o nieposłuszeństwie.

- I nie ma obawy, aby na ich głowy spadły jakiegokolwiek konsekwencje!,

- Nie... ani za nic innego! Moi bracia są wyjątkowo samodzielni!



- Szczera prawda. Nikt nie mógłby życzyć sobie lepiej. Ale chłopcy... jak sama pani mówi... którzy są bardzo pomysłowi, powinni czuć, że kieruje nimi jakaś twarda ręka. To samo jest z moim młodszym bratem. Widzi więc pani, że mam w tej kwestii pewne doświadczenie! Matka zawsze była stanowcza, ale teraz z ulgą powierzyła mi wychowanie George'a. Zdała sobie bowiem sprawę, że mężczyzna lepiej wie, jak i kiedy udzielić nagany, no i jest bardziej rozumny.

Fryderyka z trudem zachowała powagę. Nie poznała George'a, lecz jeśli wierzyć jego najmłodszej siostrze, był to pełen wigoru młody dżentelmen, już skłaniający się ku wszelkim uciechom życia i gotów oddać wszystko dla zabawy. Przy tym najbardziej na świecie brzydziło go to, co nazywał reprimendami brata. Podobnie nie przynosiły rezultatów kazania wygłaszane Feliksowi. Chłopak bowiem nie tylko błyskawicznie otrząsnął się z wszelkich wyrzutów sumienia, że straszliwie przeraził siostry, ale także błyskawicznie przeistoczył Jessamy'ego w zagorzałego poplecznika. Przy całej swojej bystrości Jessamy pytał stanowczo, jakie kuzyn Buxted ma prawo do wtykania nosa w nie swoje sprawy. I chociaż później sztywno przeprosił Buxteda za impertynencję, całym sercem zgadzał się z Feliksem, że ten facet to podstępny, przyziemny nudziarz, na dodatek niezbyt roztropny.

Ponieważ Fryderyka pamiętała tamto zdarzenie, stłumiła tylko śmiech, nim odpowiedziała:

- Odnoszę wrażenie, że ma pan rację, kuzynie, lecz jeśli Kiedykolwiek wyjdę za mąż, to na pewno nie po to, by zapewnić naciom... mentora!

- Ależ mówiłem to wyłącznie dlatego, iż wydawało mi się, że może... gdyż myślałem, iż wtedy pani przychylniej potraktuje moje oświadczenia!

Fryderykę wzruszył jego pokorny ton, jednak potrząsnęła przecząco głową. A kiedy zaczął górnolotnie wychwalać niepoliczalne i wyjątkowe zalety jej charakteru, które od pierwszej chwili wzbudziły w nim taki podziw, że natychmiast wiedział, iż chciałby ją poślubić, odprawiła go bardziej stanowczo. Uprzejmym, choć nieco rozbawionym głosem, powiedziała:

- Jestem panu wielce zobowiązana, kuzynie, lecz błagam, proszę więcej nie nalegać! Niech pan tylko się zastanowi: pańska matka byłaby przeciwna takiemu związkowi!

Popatrzył ponuro, westchnął, jednak odparł:

- Odnoszę wrażenie, że darzę matkę dostatecznym szacunkiem, lecz w takich sprawach mężczyzna sam musi decydować.

- Och, przecież nie może pan ożenić się wbrew jej woli! Proszę pamiętać, jak bardzo na panu polega!

- Ależ błagam, niech pani nie sądzi, iż nie wiem, jakie mam wobec niej obowiązki. Albo że nie rozważyłem wszelkich za i przeciw, nim zdecydowałem się ubiegać o pani rękę - wyznał ^ szczerze.

W oczach Fryderyki zaigrały chochliki.

- Oczywiście, nie! Któż mógłby coś takiego przypuścić! Nadzwyczaj mi pan schlebił... cóż więcej mogę powiedzieć, ale mówiąc krótko, naprawdę nie rozglądam się za mężem... szczerze mówiąc, nie zamierzam zmieniać pańskiego stanu! Znakomicie czuję się będąc osobą wolną. O wiele lepiej, niż gdybym przyjęła pańskie oświadczenia, Carltonie!

Wydawał się zdruzgotany. Milczał dłuższą chwilę. Wreszcie, przemyślawszy wszystko raz jeszcze, uśmiechnął się.

- Byłem zbyt popędliwy, lecz proszę wybaczyć naturalną niecierpliwość zakochanego mężczyzny. Podejrzewam, że pani jest do tego stopnia oddana sprawom rodziny, iż nie pozostaje jej ani chwila na poświęcenie choćby myśli własnej przyszłości. Wobec tego nie będzie już więcej poruszał tego tematu, lecz także nie tracę nadziei.

Kiedy odszedł, a zrobił to godnie, Fryderyka zakazała Charis opowiadania komukolwiek o tym wydarzeniu. Nie chciała także nikomu się zwierzać z oświadczeń pana Moretona, gdyż uczynił to w taki prosty sposób. Polubiła go na tyle, by go nie zdradzać. Odmówiła mu najłagodniej, jak umiała, lecz kiedy westchnął i powiedział, że tego właśnie się obawiał, w jej oczach zamigotały nieposkromione iskierki.

- I teraz jest pan zrozpaczony!

- Oczywiście!

- Ale również poczuł pan niemałą ulgę. Proszę się przyznać!

- Panno Merriville! Przysięgam, że nie!

- No to będzie pan ją czuł - zapewniła. - Świetnie pan wie, jak wygodnie jest wieść kawalerskie życie i jakim przekleństwem byłoby uwiązanie do żoninego fartuszka.

Roześmiał się nieco smętnie, jednak zaprzeczył.

- Uwiązanie do żoninego fartuszka nie byłoby żadnym przekleństwem.

- Ani granie roli mentora wobec moich młodszych braci? - dopytywała się kpiąco. - Orientuje się pan przecież, że i ich musiałby przyjąć do swojego domu!

- Tak... chociaż, czy nie zamieszkaliby oni z pani najstarszym bratem?

- Och, skąd! Biedny Harry! Przyprawiliby go o obłęd! Jest za młody na stawienie czoła takim obowiązkom... zbyt młody, by zyskać ich posłuszeństwo i szacunek. Na dodatek, nie minęłyby dwa tygodnie, a pokłóciliby się z Jessamym na śmierć i życie!

- Rozumiem. Cóż, nie znam się na wychowywaniu chłopców, ale uczyniłbym wszystko, co w mojej mocy! - przyrzekł bohatersko. Roześmiała się i wyciągnęła do niego rękę.

- Nawet sama myśl o tym mrozi panu krew w żyłach! Ale doceniam pana dobrą wolę, drogi przyjacielu! Dziękuję! Cóż to byłby za kłopot, gdybym przyjęła pana oświadczenia! Jednakże tego nie zrobię, więc może pan się odprężyć!

Ujął jej dłoń i ucałował ją.

- To nie całkiem tak. Czy mogę wciąż i na zawsze zaliczać się do grona pani przyjaciół?

- Proszę wierzyć, w głębi duszy mam taką nadzieję - zapewniła serdecznie.

Kiedy odszedł, pośmiała się chwilę, lecz życzliwie. Chociaż miał wielce rozczarowaną minę, to szybko się otrząsnie i niebawem będzie dziękował Opatrzności, iż pozwoliła mu w porę umknąć. Sama wizja wtargnięcia w jego beztróskie życie dwóch młodych dżentelmenów tak przedsiębiorczych, jak Jessamy i Feliks, w jednej chwili trafiła do jej poczucia humoru. Tylko Buxted, dumiała, mógłby ich gorzej wychowywać. Natomiast potrafiłby tego dokonać Alverstoke, nie budząc nawet cienia wrogości, gdyż chłopcy z niewiadomych powodów uznali, iż jest on osobą godną wyjątkowego szacunku. Lecz w tym punkcie jej wyobraźnia gwałtownie przestała pracować. Fryderyka musiała się otrząsnąć, przypominając dane sobie przyrzeczenie, że o Alverstoke'u w ogóle nie będzie myśleć. Okazało się to niełatwe. Świadomie

czy nie, markiz był stałym, acz mocno niepożądanym gościem w jej myślach - a pozwolenie mu na to w rezultacie sprowadziłoby ją na manowce. To jedno było pewne. Fryderyka żywiła nadzieję, że ma tyle zdrowego rozsądku, by to rozumieć. A także dosyć dumy, aby nie powiększyć grona jego ofiar. Markiz był zatwardziały kawalerem... o wiele bardziej zatwardziały od Darcy'ego Moretona, który, mimo wszystko, miał czułe serce. Natomiast w Alverstoke'u próżno by szukać ciepła, nie mówiąc już o czułości. Na swój sposób okazywał życzliwość; kiedy mu to odpowiadało, potrafił być najmilszym z kompanów; jednakże bezlitośnie traktował swoje siostry, a także wszystkich, którzy go nudzili. Twardy, zimny egoista - oto cały Alverstoke! I, jeśli wierzyć plotkom, niepoprawny rozpustnik. A chociaż wydawało się, że to prawda, należało nawet tak zdeprawowanemu człowiekowi oddać sprawiedliwość: w stosunku do niej i jej ślicznej siostry zawsze zachowywał się poprawnie. Raz jeden podejrzewała go, że chce z nią nawiązać flirt, lecz szybko doszła do wniosku, że musiała się pomylić. Co więcej - chociaż nikt nie mógłby zaprzeczyć, że zgodził się patronować jej i Charis tylko dlatego, iż złośliwie chciał rozwścieczyć własną siostrę, Luizę, to wobec Jessamy'ego i Feliksa zachował się nadzwyczaj przyjaźnie. Dalej, sprawiedliwie oceniając lorda, przypomniała sobie wycieczkę do Hampton Court, która na pewno musiała śmiertelnie go nudzić; energię, z jaką ratował Lufre od niechybnie smutnego końca; to, jak umiejętnie potrafił pokierować Jessamym. Niemożliwe byłoby doszukać się w tych czynach jakichkolwiek nikczemnych, ukrytych motywów. Zachowywał się tak, jakby naprawdę był ich opiekunem. Przeto, wbrew sobie, Fryderyka zaczęła traktować go jak kogoś, do kogo należy się zwrócić w razie jakichś trudności. Peszyło to ją, gdyż do tej pory nie przywykła szukać czyjejś rady lub wsparcia. Podejrzewała także trafnie, iż jeśli chce zachować siłę, nie może przywyknąć do polegania na markizie. Z jakichś niewiadomych powodów na razie bawiło go okazywanie przyjaźni Merriville'om, lecz w każdej chwili może się tym znudzić - odepchnie ich z taką samą łatwością, a jaką zaadoptował. Bo przecież cóż o nim wiem? - zastanawiała się Fryderyka. Nic oprócz plotek: nawet nie wiem, czy lubi mnie bardziej niż innych! Czasami miała takie wrażenie, ale kiedy indziej, gdy podczas jakiegoś przyjęcia zamieniał z nią ledwie pół słowa, a potem szedł dalej, ku jakiemuś innemu towarzystwu, czuła, że jest mu całkowicie obojętna. To wszakże, gdyby się nad tym na chłodno zastanowić, przypuszczalnie okazałoby się szczerą prawdą - gdyż, skoro nudziły go oszołamiące piękności, gotowe w każdej chwili dać mu bilecik wizytowy (co zresztą demonstracyjnie czyniły), jakże musiała go nużyć kuzynka z prowincji, na dodatek ani zbyt ładna, ani pierwszej młodości. Rzeczywiście, kiedy pomyślała o urodzie pani Parracombe albo o tej prześlicznej wdowie, o której mówiono, że jest jego ostatnią zdobyczą, mogła się tylko dziwić, że zechciał zaprzętać sobie głowę jej sprawami. Fryderyka zdumiałaby się niepomniernie, gdyby ktoś jej powiedział, że markiz ją zupełnie usidlił.

## 17

Markiz, prawdę mówiąc, zachowywał się nadzwyczaj roztropnie, nie wystawiając się na żer plotkarzy. Świadom, jaką sławą się cieszy, i wiedząc, że, gdyby pannie Merriville okazał nadzwyczajną uwagę, huczałoby od plotek, dokładał wszelkich starań, by nie dostała się na zazdrosne lub złośliwe języki. Aby ukrócić ciekawość tych, którzy zastanawiali się, dlaczego zaszczyca tak wiele gospodyń, pojawiając się na

wydawanych przez nie balach, przyjęciach i podwieczorkach, udawał, że jego najnowszą flamą jest pani Ilford. Wiedział doskonale, że wdzięki energicznej wdowy dorównują jej przebiegłości. Chociaż markiz robił wrażenie człowieka bez skrupułów, wcale nie pragnął łamać niczyich serc, a obiektem jego zalotów nigdy dotąd nie stała się przyzwoita, niewinna panienka. Ogólnie rzecz biorąc lekceważył rzucane mu spojrzenia, lecz wyrobił sobie własny, bezlitosny sposób odsuwania każdej pannicy, która podejmowała ryzyko zarzucenia na niego sieci. Wdawał się z nią w krótki, burzliwy flirt, prowadzony na oczach zazdrosnych lub oburzonych rówieśniczek, a podczas następnego spotkania zapominał już, jak panna ma na imię, a nawet, że byli sobie przedstawieni. Ta okrutna taktyka zyskała mu miano człowieka niebezpiecznego i spowodowała, że przezorni rodzice ostrzegali córki przed przyjmowaniem jego awansów. Przyczyniło się to nawet do tego, że jego najbliższy przyjaciel, pan Moreton, kilkakrotnie oskarżył go o okrucieństwo, nie zyskał jednak nic prócz pogardliwego uśmiechu i wyrażonej lodowatym tonem nadziei, iż ofiara otrzymała dobrą naukę na przyszłość. Od chwili, w której osiągnął wiek męski, markiz był łakomym kąskiem na Małżeńskim® Targu, lecz przez lata nie nauczył się traktować tego filozoficznie. tolerować mamusiek bawiących się w swatki lub śmiać się tylko z zakusów, jakie czyniły na niego ich ambitne córki. W dniu, w którym dowiedział się, że jego pierwsza miłość zamierza poślubić garbusa o znakomitej pozycji i majątku, coraz bardziej utwierdzał się w cynizmie, aż wreszcie, w wieku trzydziestu siedmiu lat, kiedy to w jego życie wtargnęła Fryderyka, wolałaby rzucić się do Tamizy, niż wstąpić w związki małżeńskie.

Fryderyka jednak poważnie wzburzyła spokojne wody jego wygodnej egzystencji. Nie od razu, ale dość szybko spostrzegł, że panna bardzo go pociąga - i to w sposób całkiem dla niego nowy. Do tej pory jedynymi kobietami, które wzbudzały jego zainteresowanie, były dobrze urodzone flirtiary, z którymi zabawnie się romansowało, oraz cały zastęp pośledniejszych dam, z którymi nawiązywał bardziej intymne związki. Żadnej z nich nie obdarzył większym uczuciem, a już najmniej pragnąłby związać się z nimi na stałe. Perspektywa uwiązania sobie kuli u nogi w postaci niewiasty, która - choć może pełna życia czy piękna - nieuchronnie po kilku miesiącach stałaby się nudna, wydawała mu się na tyle odrażająca, że nawet nie miał zamiaru jej rozpatrywać. Nie życzył sobie niewieściego towarzystwa i nie chciał brać sobie na barki trosk i odpowiedzialności, jakie niósł stan małżeński.

I wtedy pojawiła się Fryderyka, burząc jego wszystkie chłodne kalkulacje, obarczając go odpowiedzialnością, coraz dotkliwiej zakłócając ustalony tryb życia i przyprawiając go o niepożądane wątpliwości. Mimo że bardzo się starał, nie potrafił odnaleźć w sobie przyczyny tej niepokojącej przemiany. Fryderyka była raczej przystojna niż piękna; nie robiła też nic, by przyciągnąć jego uwagę. Była rzeczowa i energiczna, wcale nie przypominała tych kobiet, które kiedykolwiek chciał zdobyć. Co więcej, wmówiła mu dwóch nieznośnych uczniaków, a to była ostatnia rzecz na świecie, której pragnął!

Ale czy naprawdę to uczyniła? Kiedy lord nad tym rozmyślał, w kącikach jego ust zagościł smętnawy uśmiech. Nie: wcale nie. Sam, z własnej woli, uległ namowom Feliksa (co za paskudne diable!). Następnie Jessamy wpadł w tarapaty (marudny szczeniak!) i zwrócił się do niego o pomoc, którą, oczywiście, otrzymał. Lecz doprawdy, niesprawiedliwie byłoby winić Fryderykę za wszystko, co się stało. Ogromnie przejęła się sprawą Jessamy'ego, zarozumiała gąska! Zadufana w sobie, naiwna, zaradna, ledwie przeciętnie przystojna: dlaczegóż więc, u diabła, tak bardzo ją polubił?

Nieświadomie naśladowując tok rozumowania Fryderyki, począł oddawać jej sprawiedliwość, usiłując doszukać się zalet panny, które wyrwały go z błęgiego hedonizmu i wprawiły w stan dokuczliwej niepewności. Owo umysłowe ćwiczenie okazało się przyjemne, lecz ani o krok nie przybliżyło do rozwikłania problemu. Spodobało mu się opanowanie Fryderyki, jej szczerość, iskierki śmiechu w oczach, skłonność do żartów, pogodna odwaga, z którą przyjęła na swoje barki ciężar o wiele za duży jak na kobietę, sposób, w jaki peszyła się, kiedy wyrwało się jej niezbyt obyczajne wyrażenie, zaczerpnięte ze słownika brata, skupiony wyraz twarzy, gdy zamierzała zadać podchwytliwe pytanie, wszystkie te nieoczekiwane rzeczy, o których nagle mówiła i... ale, czy to naprawdę wystarczyło, aby zmaćła jego dotychczasowe życie i wystawiła beztroską przyszłość na niebezpieczeństwo? Oczywiście, że nie: z pewnością wzbudziła w nim uczucia, jakich się dotąd nie spodziewał, lecz mimo to nie mogła być nikim więcej od przelotnego kaprysu.

Kiedy się wnikliwiej zastanowił, na jego czole pojawiła się głęboka bruzda. Diabli nadali. Im częściej ją widywał, tym silniejsze żywił wobec niej uczucie - bynajmniej nie miłość (to bowiem odeszło wraz z zielonymi latami) ani zwyczajną przyjaźń. Można to nazwać afektem! Myślenie o niej zanadto mąciło spokój jego umysłu. Poza tym (naprawdę, chyba się starzeje!) nieustannie miał świadomość, iż pragnie zdjąć ciężar z jej ramion. W tej kwestii był bezradny, mógł służyć pomocą wyłącznie w drobnostkach, a nie, jak podejrzewał, w najdotkliwszych z obecnych strapień Fryderyki. Podejrzewał, że źle oszacowała wydatki związane z londyńskim debiutem. A gdy okiem znawcy wypatrzył, że pod aksamitną narzutką, przyozdobioną najprzedniejszym tiulem, kryje się wielokrotnie przerabiana suknia, nie miał już wątpliwości, że Fryderyka z trudem wiąże koniec z końcem. Pomyślał gniewnie, iż każdy pens idzie na Charis. Zanadto był obeznany w tych sprawach, aby nie zorientować się, iż Charis także zbyt często obnasza te same, subtelnie tylko przerobione suknie, jednak niesprawiedliwie przypuszczał, iż jest to dzieło rąk Fryderyki. Nawet wyobraził sobie, jak w migotliwym blasku świec pochyła się nad igłą. Gdyby mu powiedziano, że ta pańszczyzna, a także pomysły, pochodzą od jej młodszej siostry (tylko że dla niej nie była to żadna pańszczyzna), byłby niebotycznie zdumiony. Od dawna bowiem zdecydował, iż Charis nie ma do zaofiarowania nic prócz niezaprzeczalnej urody. Jego lordowska mość patrzył na nią nieco niezyczliwym wzrokiem, więc zapewne dlatego uważał, iż Charis brakuje tego, co w towarzystwie nazywa się drobiazgiem, to znaczy - charakteru, a ten niewątpliwie miała Fryderyka. Przejawiał się on, dumal Alverstoke, we wszystkim, co robiła: od elegancji, z jaką obnaszała przerobione stroje, po pewność siebie, z jaką zapewniała gości, przyjmując ich w lichym domu, że wynajęła go tylko na jeden sezon. Lord pragnął wyrwać ją z Upper Wimpole Street, umieścić w otoczeniu bardziej godnym, zapewnić wszelkie wygody, a nawet ofiarować kieszonkowe, które umożliwiłoby sprawienie nowej sukni, gdyby przyszła jej na to ochota. Teraz zaś, przy całym swoim bogactwie, mógł jedynie wspomóc ją, gdy Jessamy i Lufra zaciągali śmiesznie niskie zobowiązania pieniężne! Całkiem możliwe, że łaskawy los pozwoli mu na dalsze wsparcie tego rodzaju, lecz nawet taka pomoc absolutnie odbiegała od tego, co pragnąłby dla niej uczynić.

Jeszcze bardziej zmarszczył brwi. Wszystko wskazywało, że najstarszy brat okazał się raczej kulą u nogi niż oparciem. Chłopak był nieszkodliwy, lecz jeśli nawet nie dorównywał lekkomyślnością ojcu, to najwyraźniej brakowało mu poczucia odpowiedzialności. Za jakiś rok, dwa najpewniej szczęśliwie osiadzie w majątku w hrabstwie Hereford, teraz jednak bez dwóch zdań rzucił się na oślep w nowy dla siebie wir

uciech londyńskiego życia. Toteż nic dziwnego, że ochoczo złożył problemy związane z prowadzeniem domu, wychowaniem młodszych braci, oraz wszystkie inne, polegające na wiązaniu końca z końcem, w sprawne ręce Fryderyki. Markiz obserwował go ukradkiem, przekonany, że Harry wkrótce wpadnie w szpony lichwiarzy. Na szczęście chyba nie miał skłonności do hazardu, tak więc nie ugrzęźnie w tej matni, obracającej w perzynę złudne nadzieje młodych prowincjonalnych szlachciców i błyskawicznie zajmującej lepsze łupy. Harry wymyślił sobie kilka innych, nudniejszych czy mniej dochodowych sposobów na spędzenie wieczorów, niż poddanie się szponom hazardu, przed którym Przestrzegął go pan Peplow. Z pewnością znakomicie byłoby wygrać fortunę, lecz Harry miał na tyle bystry umysł, aby podejrzewać, że fortuna nie uśmiecha się do osób, które grają z - jak to określił jego przyjaciel - grecką szajką.

Konie wszakże to całkiem inna sprawa. Jeśli ktoś miał konie we krwi (a Harry tym się szczycił), dbał o formę, nie spuszczał oka z Cockera, by wiedzieć, jakie są stawki, wnikliwie przypatrywał się, jak młodzi dandysi z wyścigów zastawiają swoje pieniądze u Tatta i rozumiał, kiedy należy dać sobie spokój, to z pewnością da sobie radę. W pierwszy poniedziałek po przyjeździe do Londynu wraz z panem Peplowem udał się do Tattershall, a potem stał się częstym gościem u bukmacherów. A skoro okazał się większym zwolennikiem samego sportu, niż pieniędzy, jakie mógł wygrać stawiając własne typy, to uczęszczał na wszystkie gonitwy, rozgrywane nie opodal miasta. Jeździł tam wraz z Barneyem powozem, który za radą Endymiona Dauntry'ego nabył za psi grosz na Long Acre. Para koni, jakie kupił do powozu, już wcale nie była taka tania. Skrywając wyrzuty sumienia tłumaczył Fryderyce, jak fałszywą oszczędnością byłoby sprawienie sobie tanich szkap, które niechybnie szybko by okulały, ochwaciły się lub żarły za trzech.

Siostra zgodziła się, tłumiąc słowa protestu na taką ekstrawagancję brata. Pohamowała ją świadomość, że słowa krytyki z jej strony nie byłyby najlepiej przyjęte, a jeszcze bardziej to, skąd czerpała pieniądze na wydatki. Na londyński sezon pieniądze zapewniło Graynard, które nie należało do niej, lecz do Harry'ego. Pozwoliła więc sobie tylko na udzielone pół żartem upomnienie, aby nie wszedł w konflikt z konstabłem. Na co odparł zniecierpliwiony:

- Och, bzdura! Nie jestem zabijaką! Spodziewasz się, że będę powoził dobrymi końmi jak niedzielny woźnica? A to dlaczego?

- Nie, nie! Tylko wynajęcie stajni w Londynie jest takie kosztowne. Poza tym stajenny...

- Bzdura! Wierutna bzdura! Gdybyś miała dość oleju w głowie, Freddy, zabrałabyś do Londynu własne konie wraz z Jasiem woźnicą! Powtarzam ci, nie podoba mi się, że musisz wyprawiać się na przejażdżki wynajętymi powozikami. Przecież się dobrze prezentować. A jeśli sądzisz, że jestem nazbyt rozrzutny, to bardzo, bardzo się mylisz!

Zapewniła go, że ta myśl nawet nie powstała jej w głowie, i na tym skończyła. Natomiast cokolwiek surowszy brat, Jessamy, nie był tak pobłażliwy. Nie tylko wykazał absolutny brak zainteresowania parą eleganckich walijskich gniadoszy Harry'ego, lecz także orzekł stanowczo, że ten zakup to jedynie wyrzucanie pieniędzy w błoto. A zrobił to z takim brakiem szacunku dla starszego brata, że ten (jak zagroził Jessamy'emu) z największym trudem powstrzymał się, by mu nie przylać.

Po tym wszystkim rodzina niewiele widywała Harry'ego. Nowy powóz umożliwił mu odwiedzanie wielu wyścigów i kilku meczów bokserskich, dyskretnie rozgrywanych poza miastem, chociaż w tak dostępnych

miejscach, jak Mousley Hurst czy Cophall Common.

Markiz wiedział wszystko o rodzinnej kłótni i o tym, że w rezultacie między braćmi zapanowały chłodne stosunki. Kilka razy zaprosił Jessamy'ego na przejażdżkę po parku, a przy tych okazjach kilkakrotnie natknęli się na Harry'ego, który wypróbowywał szybkość swoich znakomitych koni. Markiz orzekł:

- To nadzwyczaj świetna parka! Czy już nimi jeździłeś?

- Nie! I wcale nie mam zamiaru! - z ogniem w oczach odparł buńczucznie Jessamy złowieszczo wydymając dolną wargę. - Harry znakomicie wie, co sędzę o jego wybryku!

- Ja natomiast niezbyt się orientuję. Powiedz zatem, co o tym myślisz?

To wystarczyło: Jessamy opowiedział o wszystkim w prostych słowach. Chłopiec zazwyczaj był powściągliwy aż do granic sztywności, lecz teraz już od dawna uznał, że lord jest o wiele bardziej godny zaufania niż ktokolwiek z jego bliskich. Wyraził nadzieję, że kuzyn Alverstoke zgani Harry'ego za bezprzykładną rozrzutność.

- Moje słowa ma głęboko w nosie! - zakończył gorzkim tonem.

- Nie sędzę. Raczej traktuje cię pobłaźliwie, gdyż... hm... tobie nie dano szansy stania się... lepszym gościem! - stwierdził Alverstoke. I dodał z przelotnym, kpiącym uśmiechem: - Jak byś się czuł, gdyby Feliks prawil ci kazania?

Jessamy zaczerwienił się niczym piwonia, ale po dłuższej chwili odparł:

- Zgoda, sir! Nie powinienem tego mówić! Ale... ale to tak mnie wzburzyło, że nie potrafiłem utrzymać języka za zębami! Fryderyka niech sobie myśli, że on może robić, co chce, ale ja uważam, że Harry powinien raczej myśleć o tym, w jaki sposób jej pomóc, niż marnotrawić majątek na swoje przyjemności!

Markiz całkowicie się z nim zgadzał, nie przyznał się jednak do tego. W zamian usiłował ukoić gniew Jessamy'ego i wytłumaczyć chłopcu, że zakup powozu i parki koni z pewnością nie doprowadzi jego rodziny do bankructwa.

Mówił to szczerze. Nie sądził bowiem, aby Fryderyka zanadto przejęła się wybuchem ekstrawagancji brata. Przeczuwał jednak, że coś ją niepokoiło; a kiedy tak się działo i to w niewyobrażalnym stopniu, postawił sobie za cel, by zdjąć z jej ramion wszelkie troski i dowiedzieć się, co spowodowało, iż w jej oczach pojawił się wyraz napięcia. Zaprosił więc któregoś wieczoru Charis i Fryderykę, lorda i lady Jevington oraz pana Petera Navenby do Opery, trzymając w odwodzie siostrę Luizę i jej prozaicznego syna na wypadek, gdyby Augusta odrzuciła jego ofertę. Nie stało się tak jednak, co go nieco zdziwiło, skoro Jevingtonowie również wynajmowali własną lożę w Operze. Jeszcze bardziej zdumiał się fajtlapowaty małżonek Augusty.

W tej sytuacji jego lordowska mość pojawił się na przedstawieniu w nienagannym towarzystwie; a wszystko to było na tyle chłodno wykalkulowane, aby przekonać nawet najbardziej podejrzliwe osoby, że markiz, choć wyraźnie znudzony, jedynie uprzejmie wypełnia obowiązki opiekuna. Teraz już mógł bez przeszkód zagłębić się podczas antraktu w pogawędkę z Fryderyką, nie zwracając niczyjej uwagi: wycofał się z nią tylko z powrotem do loży, zostawiając wolne pole tym z wielbicieli Charis, którzy pojawili się, by złożyć uszanowanie.

- Sędzę, że jest pani ze mnie zadowolona - powiedział. - Poczuję się źle potraktowany, jeśli nie spotkam się

z wybuchem żarliwej wdzięczności!

Tylko na chwilę się spłoszyła. A kiedy dostrzegł w jej oczach iskierki śmiechu, pomyślał, że jeszcze nigdy dotychczas go nie zawiodła, pytając idiotycznie: „Co pan ma na myśli?” Zamiast tego potwierdziła:

- Rzeczywiście, jestem panu ogromnie wdzięczna, sir! Wolałabym tylko... - Urwała, westchnęła i dodała: - Czy nie sądzi pan... masz teraz sposobność przyjrzeć się mu bliżej... że on właśnie byłby dla, niej odpowiednim mężem?

Zerknął przelotnie na pana Navenby.

- Możliwe, któż to może wiedzieć? Czy to właśnie panią niepokoi?

- Nie, właściwie nie mogę twierdzić, że niepokoi. Pragnę jedynie z całej duszy, żeby Charis była wygodnie i szczęśliwie zabezpieczona.

- Cóż więc w takim razie?

- Hm, nic! Tylko że musiałam odprawić kucharkę, a to naprawdę zmartwienie, gdyż świetnie gotowała. Moi domownicy poinformowali mnie, że zanadto gustuje w dzinie, musiała więc odejść. Czy w tej sytuacji dziwi się pan, że jestem nieco zakłopotana?... Chociaż miałam nadzieję, iż nie dają tego po sobie poznać!

- Och, proszę się nie przerażać! Śmiem twierdzić, że nikt, kto pani dobrze nie zna, nie zauważy w niej najmniejszej zmiany. Może nawet darować sobie pani bajeczkę o kucharce.

- To wcale nie bajeczka! - zapewniła rozwścieczona.

- No dobrze, jednak byle kucharka nie zdołałaby zakłócić pani pogody ducha, Fryderyko. Proszę przyznać, dręczy cię, podobnie jak Jessamy'ego, fakt, że wszyscy znaleźliście się w kropce, gdyż Harry nabył sobie wytworny powóz i parkę koni.

- Wielkie nieba, skąd! Przysięgam, wolałabym, żeby tego nie zrobił, gdyż nie ma bladego pojęcia, ile kosztuje utrzymanie własnego powozu w Londynie, ale zapewniam, że to nie on zakłócił moją pogodę ducha, jak pan był uprzejmy określić! Jessamy panu o tym opowiedział? Szkoda, że pan go nie pouczył, iż to jego wina, że wygłaszał Harry'emu kazania, jak ma postępować!

- Och, właśnie to zrobiłem! - odparł.

- Dziękuję! - popatrzyła na markiza z wdzięcznością. - Jessamy szanuje pana bardziej niż kogokolwiek innego, więc mam nadzieję, że kiedy następnym razem spotka Harry'ego, nie będzie patrzył na niego z taką naganą.

Lord uniósł brwi.

- Kiedy zobaczy go następnym razem? Harry zatem wyjechał?

- Hm, tak... na kilka dni! Nie jestem pewna, lecz myślę... to znaczy, wyprawił się gdzieś z kilkoma przyjaciółmi - wyjaśniła lekkim tonem.

- A, więc o to chodzi! - uśmiechnął się.

- Oczywiście, że nie! Jak pan może prawić takie banialuki?

- Czy mam skwitować tę odprawę grzecznym ukłonem, czy może woli pani, abym dodał jej ducha? - Uśmiechnął się szerzej. - Jest pani bardzo dobrą siostrą i nie ma pani nic przeciwko temu, że Harry wyjechał gdzieś z przyjaciółmi, boi się tylko, aby nie wpadł w złe towarzystwo, prawda? Cóż, w tej kwestii może się pani uspokoić. Nie znam osobiście młodego Peplowa, ale z tego, co słyszałem, nie jest birbantem.



Oczywiście, że razem z Harrym popełnią mnóstwo głupstw, ale tym przecież nie powinna się pani martwić: po młokosach można spodziewać się takich wybryków. - Przerwał, umilkł na chwilę, potem dodał: - Fryderyko, mogę uczciwie zapewnić, że nie powinna się pani obawiać, iż Harry pójdzie w ślady ojca. Dostrzegam między nimi pewne podobieństwo, ale też znaczne różnice, a najważniejsze, że Harry'ego wcale nie pociąga hazard. Czy udało mi się panią uspokoić?

Kiwnęła głową i odparła przyciszonym tonem:

- Tak... i dziękuję! Wyznaję, że coś takiego przyszło mi do głowy, tylko nie rozumiem, jak pan się tego domyślił. - Uśmiechnęła i jak zwykle powiedziała szczerze: - Jest pan bardzo dobry i jestem z całego serca wdzięczna... szczególnie za życzliwość okazaną moim braciom. Ale zupełnie nie pojmuję, dlaczego zainteresował się pan również Harrym... który nigdy nawet nie pretendował do fałszywego miana pana podopiecznego!... Cóż, i tak ogromnie panu dziękuję!

Mógłby wyjaśnić, dlaczego zadał sobie trud, by zainteresować się Harrym, ale tego nie zrobił, chcąc uniknąć wyznania, które bliskie byłoby oświadczydom. A postanowił za wszelką cenę do tego nie dopuścić. Fryderyka była urocza, lecz on nie zamierzał się angażować, a także za nic w świecie nie chciał, aby dotknął ją choć cień upokorzenia. Po chwili, kiedy jeszcze raz wszystko przemyślał, zrozumiał, że istnieje jeden powód jego powściągliwości: obawia się, że może ją stracić. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś ucałował jej dłoń i że nawet tak niewielki objaw atencji mocno wytrącił ją z równowagi. Później, kiedy na nowo powróciły między nimi serdeczne więzi, Fryderyka nigdy okazywała, że spodziewa się po nim czegoś więcej prócz przyjaźni.

Dla markiza było to nowe doświadczenie. Tak wiele pułapek zastawiano na niego na Targu Małżeńskim, że nawet nie przeszło mu przez myśl, iż jego oświadczyzny mogłaby odrzucić jakaś dama, która by zaszczycił ubieganiem się o jej rękę. Fryderyka jednak wcale nie robiła wrażenia osoby, która zagieła na niego parol. Trwał w przekonaniu, że nie chciałaby poślubić ani jego, ani nikogo innego - nie bacząc na to, jaką ten ktoś ma pozycję czy majątek. Poza tym bał się, czy lubi go na tyle, aby przyjąć jego oświadczyzny. No i na zdrowie! - pomyślał z drwiącym uśmiechem. I niespodziewanie zaczął się zastanawiać, czy dzięki łatwości, z jaką podbił Julię Parracombe, pełną werwy panią Ilford i cały zastęp innych dam, nie stał się aby fanfaronem, któremu się wydaje, iż żadna kobieta nie jest w stanie mu się oprzeć.

Kilka dni później jeszcze usiłował dojść do ładu sam ze sobą i z Fryderyką, i wtedy, kiedy pewnego wieczoru wrócił do domu o zmierzchu, natknął się w hallu na cały stos waliz i pudeł oraz dwóch lokajów dźwigających po schodach owinięty powrozem kufer. Kamerdyner markiza obrzucił go ojcowskim spojrzeniem.

- Co, u diabła...?! - zawołał markiz.

- To lady Elizabeth, jaśnie panie - wyjaśnił Wicken, odbierając od niego kapelusz i rękawiczki. - Całkiem jak w dawnych dobrych czasach! Przybyła niespełna dwadzieścia minut temu.

- Tak? - nieco ponuro zdziwił się lord. Ta lady Elizabeth... Biedna Eliza, która poślubiła pospolitego pana Kentmere... w tej akurat chwili wyłoniła się z biblioteki, wciąż w podróżnym stroju, i powiedziała z wielką rewerencją:

- Zgadza się, Vernonie, to właśnie ja! Ale nie powinienes wpadać w zachwyty! To wcale niepotrzebne. Poza

tym, doskonale wiem, jak bardzo się cieszysz!

Mówiąc to podeszła do niego. Wysoka, raczej szczupła kobieta, bliższa wiekiem markizowi niż pozostałe siostry, podobna do niego, lecz bardziej energiczna i mająca mniej od niego wdzięku.

- Cóż za elegancki stój! - zauważyła ze śmiechem. - Wyglądasz jak spod igły!

- Chciałbym odwdzińczyć się podobnym komplementem! - odpalił, przelotnie całując nadstawiony policzek. - Cóż za dziwacznym kapeluszu! Zupełnie bezguście. Elizo, co cię sprowadza do Londynu?

- Oczywiście mój dziwacznym kapeluszu. Muszę... za wszelką cenę... muszę sobie sprawić nowy! - I dodała rozbawionym tonem: - A jeśli pozwolę mi fundusze, to również nową suknię... najukochańszy bracie! Markiz nie dał się oszukać, gdyż ich rodzice zaakceptowali pospolitego pana Kentmere z jednego tylko powodu - mianowicie dysponował on okazałym majątkiem. Popchnął siostrę z powrotem do biblioteki i zamykając drzwi powiedział:

- Elizo, postaraj się poprawnie zachowywać!

Roześmiała się.

- Jakby Wicken nie wiedział o nas wszystkiego! A przy okazji, jak miewa się nasza droga siostra Luiza?

- Łaskawy los oszczędził mi od tygodnia jej widoku... i zrządzenia. - Popatrzył przenikliwie na Elizę spod zmrużonych powiek. - Poza kapeluszem, co właściwie przywiodło cię do Londynu?

- Nie możesz pomijać sprawy kapeluszy - zaprotestowała. - Muszę także mieć nową fryzurę, no i rozejrzeć się w panującej obecnie modzie. Wszakże powodem, dla którego naprawdę przyjechałam, jest ten, na który ty sam narzekasz: nuda, mój drogi!

- Co takiego? Czyżby znużył cię wiejski spokój?

- Gdybyś - odparła surowo - bardziej interesował się swoimi siostrzenicami i siostrzeńcami, nie mówiłbyś o spokoju! Ten rok rozpoczęliśmy od koklusu. Nabawiła się go cała trójka, jedno po drugim. Koklusz się jeszcze nie skończył, kiedy Karolina zachorowała... i to w jej wieku!... na wietrzną ospę, po czym zaraziła Toma i Mary! Potem Jack przywłókł do domu z Eton jakieś paskudne zaziębienie, i wszyscy na nie zapadli, nie wyłączając Johna! Sama bym chciała na to zachorować, bo wtedy mniej bym się uszarpała! Pozostałam w posiadłości, jak przystało na oddaną żonę i matkę, aż wyzdrowieli, potem zaś szybko spakowałam kufry, nim mieli dostać wysypki czy poskarżyć mi się na ból gardła albo złamać nogę!

Uśmiechnął się, mimo to jednak patrzył na siostrę poważnym wciąż wzrokiem.

- A jak długo zamierzasz tutaj zabawić? - spytał.

- Wielkie nieba, skąd mam wiedzieć? Może tydzień, dwa. Czy to ma jakieś znaczenie? A może wolisz, bym odjechała?

- Nie, wcale nie - zapewnił uprzejmie.

- Cóż, miło to słyszeć, gdyż zamierzam odwiedzić starych przyjaciół i odnowić stare kontakty. A także rozejrzeć się za odpowiednim domem do wynajęcia na następny sezon. Pamiętasz, że wtedy Karolina ma zadebiutować w towarzystwie? Hm, nie pamiętasz, chociaż powinieneś. Dom z salą balową, oczywiście... nie, nie mam najmniejszej ochoty na wydawanie balu pod czyimkolwiek dachem prócz własnego, więc nie musisz się tak przerażać! Vernonie, co, na Boga, sprawiło, że wydałeś taki bal dla Jane Buxted?

- Wcale nie dla niej - odparł. - Wydałem go, by wprowadzić w świat córkę Freda Merriville'a. Czyżbyś nie

słyszała, że podjąłem się obowiązków opiekuna wyjątkowo pięknej panny?

Próbowała zachować kamienną twarz, jednak na widok kpiących błysków w oczach brata parsknęła śmiechem.

- Nie, nie może być! Ależ jesteś wstrętny! No dobrze, płonę z ciekawości. Jak do tego doszło?

- Och, bardzo prosto! Możesz nazwać to splatą długu. Prawdę powiedziawszy, nie jestem opiekunem dzieci Merriville'a, ale zostali oni oddani pod moją pieczę. Mogłem przynajmniej tyle zrobić, by wprowadzić ową piękność w świat... i uczyniłem to. To znaczy, przekonałem Luizę, by to zrobiła.

- Potworze! - zawołała siostra z uznaniem. - Augusta napisała mi, że zapłonęła żywym ogniem, kiedy ujrziała tę twoją piękność, i do tej pory bulgoce z wściekłości! A ta druga panna? Czy też jest urodziwa?

- Och, nie! Nie może równać się z Charis! - powiedział obojętnie. - Jest najstarsza z rodzeństwa i opiekuje się młodszymi. Jak się domyślasz, moje obowiązki opiekuna są czysto symboliczne. W rzeczywistości nie mam z tą rodziną zbyt wiele do czynienia.

W tym momencie do biblioteki wkroczył Wicken i powiedział afektowanym tonem:

- Przyszedł panicz Feliks. Pragnie zobaczyć się z jaśnie panem. Czy mam go wprowadzić?

- A czegoż on, u diabła, znowu chce? - zawołał markiz znudzonym głosem. - Przekaż mu, że... Nie, chyba muszę z nim porozmawiać. Wprowadź go! - Zerknął na siostrę i dodał z cieniem ponurego uśmiechu: - Będziesz miała okazję poznać najmłodszego z Merriville'ów, Elizo... piekielnego urwipołcia! - Odwrócił głowę, gdyż Wicken zaanonsował Feliksa, i spytał: - No i cóż, Feliksie? Znowu Jesteś w opałach?

- Sir! - rzucił oburzony Feliks. - Nic podobnego!

- Proszę zatem przyjąć moje przeprosiny! Po prostu składasz mi towarzyską wizytę! Elizo, pozwól, że ci przedstawię Feliksa, jednego z moich podopiecznych! Feliksie, to moja siostra, lady Elizabeth Kentmere!

- Och!... Nie wiedziałem... przepraszam, madame! - wyjąkał Feliks nieco speszony, po czym skłonił się szarmancko. Potem niespokojnie popatrzył na Alverstoke'a. - Może przyjdę do pana jutro, sir? Nie chciałem przeszkadzać, tylko Wicken mnie nie uprzedził, a mam coś wyjątkowo pilnego do powiedzenia!

Lady Elizabeth, matka trzech niesfornych synów, wtrąciła:

- Wobec tego nie należy z tym ani chwili zwlekać! Czy to sprawa natury prywatnej? W takim razie, drogi bracie, pozwolisz, że opuszczę was na moment?

Feliks, zauważywszy błysk w jej oczach, doszedł do wniosku, że ta niewiasta jest, jak to określał - „w porządku”, i zapewnił:

- Och, nie, madame... dziękuję! To tylko trochę prywatna sprawa! Ale nie powie pani nikomu?

- Przysięgam na mą duszę! - odparła poważnie,

- Streszczaj się, Feliksie! - zażądał Alverstoke. - Jeśli nie wpadłeś w tarapaty, to o co chodzi?

- Hm... o balon, kuzynie Alverstoke! - wyjąkał Feliks, biorąc byka za rogi.

Lady Elizabeth parsknęła śmiechem, ale błyskawicznie udała, że to tylko atak kaszlu, natomiast lord odezwał się głosem osoby wystawianej przez los na ciężkie próby:

- Doprawdy? A co ja... albo ty, prawdę powiedziawszy, mamy wspólnego z balonami?

- Ależ, sir! - zawołał Feliks do głębi duszy wstrząśnięty. - Przecież musi pan wiedzieć, że w czwartek w Hyde Parku odbędzie się lot!

- A jednak nic o tym nie wiem. I pozwól się zapewnić, tu i teraz, że absolutnie nie interesuję się jakimiś tam balonami! Więc jeśli zamierzasz prosić mnie, bym zabrał cię na ten pokaz, to moja odpowiedź brzmi: kategorycznie NIE! Równie dobrze możesz udać się do Hyde Parku bez mojej eskorty.

- No tak, ale problem tkwi w tym, że nie mogę! - wyznał Feliks. I nagle przybrał minę biednego opuszczonego sieroty, podniósł pełne łez niebieskie oczy na markiza i wyjąkał błagalnie: - Och, kuzynie!

Alverstoke, zaklinam, proszę iść tam ze mną! Pan musi! To... to pana obowiązek! - naciskał.

- Dlaczego obowiązek? - spytał lord, zachowując zwykły kamienny spokój, lecz kierując przy tym gniewne spojrzenie na swoją wyraźnie cierpiącą siostrę.

- Hm... hm, przecież pan jest moim opiekunem i... i powiedziałem już kuzynowi Buxtedowi, że zaprosił mnie pan, bym z nim pojechał

- wytłumaczył Feliks z rozbijającą szczerością. Uśmiechnął się promiennie do markiza i dodał: - Wiedziałem, że pan wszystko zrozumie, kiedy to panu wyjaśnię, kuzynie Alverstoke! Pan też przecież nie cierpi kuzyna Buxteda!

- Czyżbym kiedykolwiek mówił coś takiego? - zapytał groźnie lord.

- Och, nie, ale byłbym zakutym łbem, gdybym tego nie spostrzegł! - odparł pogardliwie Feliks. - Poza tym, gdy opowiedziałem o nudnym kazaniu, jakim mnie uraczył, kiedy popłynąłem parowcem, sam pan twierdził... Markiz pospiesznie przerwał chłopcu:

- Hm, dobrze, nieważne! Ale dlaczego Buxted ma cokolwiek wspólnego z tym twoim balonem?

- Oznajmił, że zabierze nas do parku swoim powozem, byśmy mogli podziwiać lot... hm, Harry'ego nie, ale całą naszą resztę! - wyjaśnił Feliks głosem kogoś, kto relacjonuje przebieg katastrofy.

- I niech pan nie mówi, jak Jessamy, że to bardzo miłe i uprzejme z jego strony, gdyż jeśli się kogoś nie lubi, to wcale się nie chce od i niego uprzejmości!

- Szczera prawda! - zauważyła lady Elizabeth, wielce poruszona. - Prawdę mówiąc, człowiek wolałby, żeby Buxted nie był wobec niego miły i uprzejmy!

- Zgadza się! - potaknął Feliks, obdarzając ją ciepłym, pełnym aprobaty spojrzeniem. - Poza tym, wiem, jak to będzie, więc prawie Olałbym wcale tam nie jechać! Może się pan założyć, co się stanie.

Jessamy usiądzie na koźle z woźnicą, a ja zostanę zmuszony do zajęcia miejsca obok kuzyna Buxteda i wysłuchiwanie jego nudziarstw. I prawdopodobnie będzie plótł do dziewcząt o aeronautyce, gdyby miał o niej pojęcie, a nie ma, a potem tłumaczył będzie mu bardzo uprzejmym tonem i... Och, sir, pan doskonale wie, że to nie do zniesienia! - Spostrzegł, że w kącikach ust Alverstoke'a zaczął czaić się uśmiech, i dodał triumfalnie: - Wiedziałem, że pan to zrozumie! Więc kiedy wszedłem do salonu... nie miałem pojęcia, że on tam jest... i Fryderyka oznajmiła, że nas zaprosił, powiedziałem, że z nim nie pojedę, bo już wcześniej pan mnie zaprosił! A jeśli Jessamy oznajmi panu, że zachowałem się jak grubianin, to proszę mu nie wierzyć! Zapewniam, że bardzo grzecznie podziękowałem! No tak, i w tej sytuacji w ogóle tam nie pojedę, jeśli pan mnie nie zabierze, bo wtedy dopiero zachowam się niegrzecznie!

- A sam twierdziłeś, że nie wpadłeś w opał! Czy swoją rodzinę nabrałeś na tę wymyśloną historyjkę?

- Ależ skąd! Fryderyka i Jessamy oczywiście wiedzą, że to nieprawda. Przyznaję, że Fryderyka surowo zakazała mi nagabywać pana, aby mnie zabrał. Ale ja wcale pana nie nagabuję! Ja tylko proszę, sir! Ona

twierdzi, że pan wcale nie chce oglądać lotu balonem, ja jednak sędzę, iż dla pana będzie to wielkie wydarzenie!

- Naprawdę? - spytał markiz. - Więc powiem ci coś, ty paskudny i bezczelny szczeniaku... Przerwano mu.

- I tak będzie! - odezwała się lady Elizabeth. - Wielkie wydarzenie! Ja sama ogromnie się na to cieszę, gdyż jeszcze nigdy w życiu nie widziałam lotu balonem. Kochany Vernonie, przecież zachodziłeś w głowę, jak mnie zabawić, prawda? A teraz już wiesz! Zawieziesz nas z Feliksem do Hyde Parku i obejrzymy sobie, jak balon wzbija się w górę!

- Żmija! - syknął markiz. - Zgoda!

- Wiedziałem, że tak będzie! - zawołał Feliks. - Mówiłem Jessamy'emu, że pan się zgodzi! - Umilkł na chwilę, nim dodał prosząco: - Pojedziemy faetonem, sir?

- A ty czemu się nagle zainteresowałeś faetonami czy końmi? - zdziwił się Alverstoke. - Wolałbyś może, bym zawiózł was do Hyde Parku jakimś parowozem?

- Na Jowisza, wolałbym! - zawołał Feliks z rozjaśnionym wzrokiem. - Ale tego pan nie może, gdyż wypada on na zakrętach. Jessamy tak się napuszył, kiedy pozwolił mu pan powozić swoim zaprzęgiem, że jest nie do zniesienia! Więc będzie cudownie, jeśli zabierze pan mnie zamiast niego! - Ogarnęły go wątpliwości, spojrzał na lady Elizabeth i dodał grzecznie: - Chyba nie będzie pani miała nic przeciwko temu, madame!

- Oczywiście, że nie! Nie wyobrażam sobie nawet oglądania lotu balonem z czegoś tak niezdarnego jak pospolity powozik - zapewniła szczerze. - Na dodatek, jak inaczej moglibyśmy przyćmić kuzyna Buxteda?

Owe wyjątkowo trafne zdania utwierdziły Feliksa w przekonaniu, że lady Elizabeth jest „w porządku”, i zaskarbiły jej dozgonną wdzięczność chłopca. Zgłoszone przez Alverstoke'a zastrzeżenie, że faeton nie jest przewidziany dla trzech osób, zostały szybko odrzucone, i Feliks pożegnał się. Natomiast lady Elizabeth długo nie mogła otrząsnąć się z uciechy.

## 18

Odwiedziny Feliksa spowodowały, że już następnego ranka lady Elizabeth wybrała się z wizytą do lady Jevington. Zdumiewające, choć całkiem zrozumiałe było, że Alverstoke zainteresował się tak zajmującym młodym dżentelmenem; nieskładne jednak słowa Feliksa zdradzały, że to zainteresowanie przeniosło się także na Jessamy'ego - któremu markiz pozwolił powozić swoimi wypieszczonymi końmi. Tego już za nic nie dało się pojąć, chyba że takie niesłychane postępowanie brało się z chęci uszczęśliwienia rodzinnej Piękności. O boskiej Charis Eliza dowiedziała się z jednego z rzadkich listów od jednej ze swoich najstarszych przyjaciółek, nie bardzo jednak dawała wiarę zapewnieniom Sally Jersey, że Alverstoke pojmie za żonę niespełna dwudziestoletnią panienkę. Sally mogła utrzymywać, że coś takiego zawsze przydarza się zatwardziałym kawalerom, lecz Elizabeth sądziła, że lepiej zna swojego brata, zatem ową przepowiednię uznała za zwykłą plotkę.

Jedząc kolację we dwójkę z bratem, była na tyle ostrożna, by okazać jedynie umiarkowane zainteresowanie pannami Merriville. Zauważyła od niechcienia:

- Mam nadzieję, że zechcesz mi je przedstawić. Jeśli są tak urocze jak Feliks, nie dziwię się, że przyzwoliłeś na ich przyjaźń! A jak sobie radzą? Czy udało ci z powodzeniem wprowadzić je w świat?

- Owszem, i to bez najmniejszego trudu. Moja rola ograniczyła się jedynie do przedstawienia ich w towarzystwie. Gdybyś tylko mogła zobaczyć minę Luizy, kiedy panny wkroczyły do salonu. Przedtem poznała już Fryderykę i mam wrażenie, że mile się zdziwiła, kiedy się przekonała, iż panna jest już me pierwszej młodości, nie zalicza się też do piękności, że to tylko dość przystojna młoda kobieta, obdarzona sporą porcją zdrowego rozsądku i o nieco władczy sposób bycia. Luiza zatem absolutnie nie była przygotowana na Charis. - Uśmiechnął się lekko na to wspomnienie. - Widziałem chyba wszystkie Piękności w ciągu ostatnich dwudziestu lat, ale przyznaję, że żadna z nich nie mogłaby się równać z Charis. - Uniósł kielich i upił łyk wina: - Ma cudowną twarz i figurę, i robi piorunujące wrażenie. Nie sposób doszukać się w niej jakiegokolwiek wady! Nawet jej ruchy są pełne powabu. Wszyscy są zgodni, że ma wyjątkowo ujmujące maniery. Osłupiała i cokolwiek oszołomiona Eliza zawołała: - Wielkie nieba! Muszę więc zobaczyć ten ideał!

- Może jutro, jeśli wyrazisz zgodę! Przypuszczam, że pojawi się na przyjęciu u Seftonów. Może więc zechcesz mi towarzyszyć... choćby dlatego, by Maria Sefton nie robiła mi wymówek, że cię ze sobą nie zabrałem. Nie posiadałbym się ze zdumienia, gdyby uroda Charis i na tobie nie wywarła piorunującego wrażenia.

W przeciwieństwie do siostr, Eliza nigdy nie próbowała wyszukiwać bratu odpowiedniej żony. Przyjaźnili się, nawet darzyli się ciepłym uczuciem, lecz więzy łączące całą rodzinę Dauntrych nigdy nie były zbyt silne. Eliza, pozostająca w szczęśliwym związku z Johnem Kentmere, zaabsorbowana swoim potomstwem i rzadko odwiedzająca Londyn, nie interesowała się przyszłością Alverstoke'a. Kiedyś nawet doprowadziła do wściekłości Luizę mówiąc, że małżeństwo brata nic jej nie powinno obchodzić. Lecz teraz, zamieszkawszy ponownie w Alverstoke House i jakby wchodząc w tryby dawnego życia, poczuła, że jednak ją to interesuje, gdyż wydawało się, iż markiz jest gotów zawrzeć małżeństwo, które może się skończyć wyłącznie katastrofą. Może i wybranka odznaczała się niepospolitą urodą, ale młoda dziewczynka po roku małżeństwa - a prawdopodobnie nawet wcześniej - śmiertelnie go znudzi. Nie przywiązywała większej wagi do rewelacji lady Jersey, zaś jeszcze mniej do Pełnego wzburzenia listu od Luizy, w którym ta zaklinała siostrę, by postarała się użyć wszelkich swoich wpływów na Alverstoke'a chronić go (oraz Rodzinę) od strasznego megaliansu. Mimo to dytyramb, jaki Alverstoke wygłosił na cześć Charis, sprawił, że już nazajutrz wybrała się do Augusty. Pominąwszy wszystkie jej wady, Augustcie nie brakowało ani zdrowego rozsądku, ani trzeźwości umysłu.

Lady Jevington przyjęła ją z umiarkowaną radością. Wypytała, zgodnie z nakazami dobrego wychowania, o zdrowie rodziny, a potem wyraziła nadzieję, że bawiąc w Londynie siostra zdoła wymienić swoją garderobę.

- Elizo, zaniedbałbym obowiązki starszej siostry, Elizo, gdybym nie powiedziała ci, że w tej niemodnej sukni bardzo źle się prezentujesz. Bez wątpienia to było powodem twojej wizyty w Londynie.

- Hm, szczerze mówiąc, nie - odparła Eliza. - Przyjechałam, by osobiście sprawdzić, czy Vernon naprawdę zakochał się po uszy w pannie, która jeszcze nie skończyła dwudziestu lat.

- O ile wiem, to plotki - powiedziała lady Jevington z imponującym spokojem. Obdarzyła siostrę bladym uśmiechem, którym potrafiła wyrazić zarówno pobożanie, jak i pewną pogardę. - Przypuszczam, że Luiza ci o tym napisała. Luiza jest idiotką.

- Owszem, ale Sally nie jest, a ona także mnie poinformowała, że Vernon jest o krok od popełnienia największej głupoty w swoim życiu!

- Nigdy nie uważałam - oświadczyła lady Jevington - że Sara Fane wyróżnia się zbytnim rozsądkiem.

- Augusto, wczoraj wieczorem Alverstoke opisał mi tę dziewczynę takimi słowami, jakich nigdy jeszcze od niego nie słyszałam!

- Wobec tego zakpił sobie z ciebie - stwierdziła lady Jevington. Eliza zmarszczyła czoło w strapieniu.

- Więc twierdzisz, że ona nie jest tak uderzająco piękna? Skoro tak, to dlaczego on...

- Mam wrażenie, że nigdy nie widziałam panny piękniejszej od Charis Merriville, a niewiele takich, które by miały lepsze od niej maniery - wydała sąd jaśnie pani. - Nic dziwnego, że kiedy pojawiła się na balu wydanym przez Vernona, natychmiast podbiła wiele serc. Teraz mnóstwo znakomitych kawalerów leży u jej stóp. Między innymi - dodała z niezmaconym spokojem - Gregory. Ale nic z tego nie wyjdzie, toteż jestem szczęśliwa, iż swoje pierwsze uczucie skierował w stronę skromnej i znakomicie wychowanej panienki. Śmiem twierdzić, że to mu tylko dobrze zrobi.

- No dobrze, ale co z Vernonem? - odezwała się zniecierpliwiona Eliza. - Jeżeli nie miłość, to co sprawiło, że zajął się nie tylko nią, ale także, jej braćmi? To takie do niego niepodobne!

- Nie uzurpuję sobie prawa do miana jego zauszniczki, jednak znam go dość dobrze, więc podejrzewam, że wprowadził do towarzystwa siostry Merriville na złość Luizie i Lukrecji. Ta Kobieta - oświadczyła Augusta z wyraźnym obrzydzeniem - zamęczała go, by wydał bal w Alverstoke House i aby tam zadebiutowała Chloe. A także Jane. Można się tylko domyślać, jakimi sposobami wymógł na Luizie, by matkowała dziewczętom! Alverstoke pozwala sobie bez umiaru zaspokajać swoje kaprysy, teraz jednak uważam, że jego postępowanie było ze wszech miar zrozumiałe. Przyznaję, że sama doradzałam mu serdecznie, by nie uległ nagabywaniom Luizy i Lukrecji.

Eliza powstrzymała się przed przypomnieniem, że nigdy nie słyszano, aby brat posłuchał siostrzanych rad, więc powiedziała tylko:

- Zgadza się, że mógł te panny zaprosić na bal, by utrzyć nosa Luizie, ale to nie tłumaczy jego dalszego postępowania. Jeden z tak zwanych podopiecznych... Feliks, uroczy łobuziak!... wczoraj naszedł go w domu. Widać było wyraźnie, że uważa Vernona za kogoś, kto powinien spełniać jego zachcianki. Wcale nie ma przed nim respektu, co mówi samo za siebie. Wyjaśnij mi zatem, proszę, z jakiego to powodu Vernon, zawsze tak obojętny dla dzieci, zainteresował się Merriville'ami, jeśli by nie chciał zaskarbić sobie wdzięczności siostry chłopca?

- Bez wątplenia, jest to powód. Lecz jeśli się nie mylę, to starsza z pańien, a nie młodsza, podbiła jego serce.

Eliza wlepiła w nią osłupiały wzrok.

- Dobry Boże, jak to możliwe? Przecież sam mi powiedział, że ona jest ledwie przystojna, nie pierwszej młodości, jest rozumna władczą!

- Szczera prawda - zgodziła się lady Jevington. - Ma chyba ze dwadzieścia cztery lata, ale po przedwczesnej śmierci matki, kiedy na jej barki spadł cały ciężar zarządzania domem, może wydawać się jeszcze starsza. Moim zdaniem jest to młoda niewiasta obdarzona silnym charakterem, toteż dochodzę do wniosku, że znakomicie pasowałaby do Alverstoke'a.

- Augusto! - zachłysnęła się Eliza. - Ledwie przystojna kobieta dla Alverstoke'a? Chyba postradałaś zmysły! Przecież sama wiesz, że on ma słabość jedynie do skończonych piękności!

- Elizo, ale dlaczego te, jak twierdzisz, skończone piękności nudzą go już po kilku miesiącach? - sprzeciwiła się Augusta. - Pod względem urody, przynajmniej, Fryderyka nawet nie umywa się do Charis, lecz jest pewna siebie i ma bystry umysł, czego z kolei brakuje jej siostrze. Obie są miłymi, dobrze wychowanymi pannami, lecz Charis to śliczna głupia gąska, Fryderyka zaś, wedle mojej oceny, to kobieta o wybitnym intelekcie.

Eliza, nieco ogłuszona tą wyważoną oceną, zawołała:

- Augusto, czyżbym się przesłyszała? Czy naprawdę chcesz mi wmówić, że któraś z córek Freda Merrimile a byłaby odpowiednią partią dla Alverstoke'a?

- Hm, przynajmniej, że nie o takiej żonie dla niego marzyłam - przyświadczyła lady Jevington. - Jednak po zastanowieniu doszłam do wniosku, że- to wcale nie byłoby takie złe. Jeśli nie chcesz patrzeć, jak ten tępak Endymion zastępuje Alverstoke'a, zgodzisz się ze mną, że Vernon koniecznie powinien się ożenić i spłodzić potomstwo, nim na dobre przywiąże się do swojego statusu kawalera. Sądzę, że chyba mogę oszczędzić sobie trudu i nie przedstawiać mu każdej panny, która, według mnie, byłaby dla niego stosowną partią. Muszę przyznać, że wszelkie moje wysiłki w tej materii poszły na marne... wysiłki Luizy także! Ale tego należało się spodziewać! - poskarżyła się, na chwilę opuszczając wyżyny swojego Olimpu. - Gdybym ci powiedziała, Elizo, jak idiotycznie zachowała się Luiza... - Opamiętała się, przybrała godną minę i dokończyła: - Nie jest na to odpowiednia pora. Powiem tylko, że ani jej, ani moje wysiłki nie zakończyły się powodzeniem. - Znowu umilkła, lecz po chwili mówiła dalej z surowym rozsądkiem, przygważdżając siostrę wzrokiem. - Moje rodzinne sentymenty - oświadczyła - nigdy nie zaślepiły mnie na tyle, bym nie widziała, jaki ułomny charakter ma Alverstoke, ale chociaż go potępiam, czuję się w obowiązku sprawiedliwie przyznać, że nie przeważają one jego zalet. Pomińmy nawet przywileje zagwarantowane mu w chwili narodzin, tak go wielbiono, chuchano na niego i, nie bójmy się tego słowa, polowano na niego, że nawet trudno się dziwić, iż wyrobił sobie cyniczne spojrzenie na kobiety. Zapewniam cię, Elizo, niejedną raz musiałam się rumienić za swoją płęć! I sądę, że dlatego zainteresował się Fryderyka. Wierz mi, że dobrze się jej przyjrzałam. Lecz jeśli mnie zapytasz, czy ona zdaje sobie z tego sprawę lub czy przyjmie jego oświadczenia, muszę ci wyznać, że absolutnie nie wiem. Mogę ci tylko powiedzieć, iż nigdy nie widziałam, by rzuciła w jego kierunku zalotne spojrzenie czy zdradziła się, że żywi wobec niego coś więcej niż stosowną dla kuzynów przyjaźń. Eliza, przemyślawszy słowa siostry, odezwała powoli:

- Rozumiem. Uważasz, że ona go intryguje, i zapewne masz rację. Lecz, moim zdaniem, dziwne, iż tak Luiza, jak Sally, twierdzą, że zakochał się w drugiej z sióstr!

- Zachowuje się nadzwyczaj powściągliwie - przypomniała Augusta.

- Chyba po raz pierwszy w życiu!



- Właśnie! Podejrzewam, że sam jeszcze nie w pełni jest świadom tego, czego naprawdę chce. Jednak twierdzą, iż wielką wagę ma fakt, że dokłada wszelkich starań!... chyba także po raz pierwszy w życiu... aby Fryderyka nie stała się obiektem złośliwych plotek. Nawet Luiza potrafiła dostrzec, że Alverstoke ma zupełnie inne spojrzenie, kiedy rozmawia z Fryderyka. Gdy zwraca się do Charis, patrzy na nią kpiąco.

- No dobrze! - zawołała Eliza. - Nie miałam pojęcia ani o tym, ani o przyczynach, dla których stał się taki poważny! Rzecz jasna, wczoraj wieczorem, kiedy pojawił się Feliks, by prosić go o przysługę, przyszło mi do głowy, że Alverstoke nie jest... taki nieczuły, jakiego zawsze udaje! Jeżeli to pod wpływem Fryderyk!... Och, ależ, Augusto, przecież naprawdę nie możesz tak sądzić! Pomyśl tylko o jej obciążeniach! Alverstoke sam mi wyznał, że Feliks i jego brat Pozostają pod jej opieką. Czyżbyś się spodziewała, że z własnej woli Przejmie na swoje barki choćby część tej odpowiedzialności?

- Z tego, co słyszałam - odparła sucho Augusta - już zaczął to robić. I jestem szczerze zadowolona: pozwala mu to bowiem myśleć o czymś innym prócz zaspokajania własnych przyjemności. Nigdy nie tałam, iż, według mnie bezczynność doprowadza go do zguby. Bogactwo pozwala mu spełniać wszystkie zachcianki, nie oglądając się na koszty. Nigdy nie musiał martwić się o kogoś innego. I do czego to doprowadziło? Nim dobiegł trzydziestki, już był śmiertelnie znudzony!

- Utrzymujesz zatem, że opieka na dwoma chłopcami w wieku szkolnym byłaby skuteczną kuracją? - Eliza parsknęła śmiechem, wspomniawszy własnych synów. - Cóż, w tej sytuacji na pewno nie będzie się nudził! - Zaczęła wciągać rękawiczki. - Mam nadzieję, że dzisiaj po południu poznam panny Merrville i już nie potrafię się tego doczekać. Mimo wszystko, trudno mi uwierzyć, że kobieta, którą opisałaś, byłaby dla Alverstoke'a odpowiednią partią.

Jednak kiedy wieczorem odjeżdżała spod domu Seftonów, skłaniała się ku myśli, że Augusta chyba się nie pomyliła. Ogromnie polubiła Fryderykę, jej szczerłość, otwarty sposób bycia, aurę wrodzonej elegancji, jaką wokół siebie roztaczała, iskierki śmiechu w oczach. Uznała, że właśnie to musiało oczarować Alverstoke'a - jeśli rzeczywiście go oczarowało. Nie potrafiła jednak dowiedzieć się tego na pewno, gdyż chociaż najwyraźniej był bardzo zaprzyjaźniony z tą panną, to jednocześnie pozwolił sobie na przelotny flirt z panią Ilford. Lady Elizabeth zauważyła, że Fryderyka wcale nie wodzi za nim wzrokiem, ani też nie szuka go w przepelnionym gości salonie. No tak, Augusta miała rację, dumiała: panna ma klasę. Lecz opisywanie jej jako ledwie przystojnej było niesprawiedliwe. Oczywiście, siostra przyćmiewała ją urodą, mimo to w innym towarzystwie okazałaby się wcale ładna. Co więcej. Opatrzność obdarzyła ją nieokreślonym urokiem, który, w przeciwieństwie do ulotnej urody Charis, będzie trwał wiecznie.

Uśmiechając się, zagadnęła:

- Muszę przyznać, że straciłam serce dla pani brata, Feliksa! Przypuszczam, iż pani już wie, poznaliśmy się wczoraj po południu. Jakież to cudowne dziecko!

Fryderyka roześmiała się i potrząsnęła przecząco głową.

- Owszem, ale jest też nieznośny i zupełnie nie zważa na moje wymówki... nic sobie z nich nie robi! Surowo zabroniłam nachodzić lorda Alverstoke'a, który okazał mu tyle życzliwości... a prawdę mówiąc, również nam wszystkim.

- Och, on wcale go nie nagabywał! Wyznał nam, że pani mu tego zabroniła, i zapewnił mego brata, że

tylko go prosi...

- Wielkie nieba, cóż to za paskudne chłopaczysko! Proszę id wybaczenie. On twierdził, że pani właśnie wyraziła ochotę na oglądanie lotu balonem. Ja jestem absolutnie pewna, że tak nie jest, madame!

- Wręcz przeciwnie! Już teraz się na to cieszę, a szczególnie na przedstawienie, jakie z siebie robi mój brat, dając owinać się wokół jednego małego i przypuszczalnie brudnego paluszka!

- Brudnego z całą pewnością! - przyznała ponuro Fryderyka. - Czy to nie dziwne, że wypuszcza się z domu małego chłopca czystego jak łza, a on za pół godziny zjawia się upačkany jak nieboskie stworzenie?

- Owszem, pod tym względem oni wszyscy są jednakowi. Wie pani, że sama mam trzech synów, panno Merri... Och, dlaczego musimy być takie oficjalne? Fryderyko! Przecież jesteśmy kuzynkami, prawda?

- Hm, przypuszczam, że tak - odparła Fryderyka. - Chociaż obawiam się, iż bardzo odległymi. - Zastanowiła się, potem dodała szczerze: - Musi się pani ogromnie dziwić, że poprosiłam lorda Alverstoke'a o opiekę nad nami. Rzecz w tym, że okazał się jedynym krewnym, którego nazwisko znałam. Mój ojciec wielokrotnie mi o nim opowiadał, więc... więc byłam na tyle bezczelna, że się do niego zwróciłam. Proszę zrozumieć, iż szalenie mi zależało, aby moja siostra zadebiutowała właśnie w Londynie.

- To potrafię zrozumieć bez trudu - potwierdziła Eliza, spoglądając w stronę Charis, która w otoczeniu młodych ludzi stała po drugiej stronie salonu. - Widzę też, że prowadzi Endymiona Dauntry'ego na smyczy. Gdyby nie był taki przystojny, ktoś mógłby go wziąć za Wieżycowe ciele! Czy z młodym Wrenthroe'em rozmawia jego siostra, Chloe? Potworne, że musi być tak wyjątkowo przystojny! - Oderwała od nich spojrzenie i uśmiechnęła się do Fryderyki. - Alverstoke mówił mi, że opiekuje się wami ciotka, lecz przecież nie ma jej tutaj dziś wieczorem. Powinnam ją poznać. Jak pani sądzi, czy przyjąłaby mnie, gdybym złożyła jej wizytę jutro z rana?

- Z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu, tylko obawiam się, że nie zastanie jej pani w domu - odparła Fryderyka. Zmarszczyła brwi i westchnęła. - Niestety... a to doprawdy bardzo nieszczęśliwy zbieg okoliczności!... mój wuj, mieszkający na Harley Street, ciężko zachorował. Nie spodziewamy się, by wyzdrowiał i, prawdę mówiąc, nikt z nas mu tego nie życzy, gdyż od dawna cierpi na bardzo bolesną i nieuleczalną chorobę. Ciotka Serafina uważa za swój obowiązek pomagać siostrze, więc prawie całe dni spędza na Harley Street. Ciotka Amelia bowiem jest ogromnie strapiona, co najwyraźniej pozbawiło ją wszelkiej zdolności myślenia. Ona jest... tak wrażliwa, a ostatnie wydarzenia wytrąciły ją zupełnie z równowagi. - I dodała pospiesznie: - Wcale nie chcę przez to powiedzieć, że to błahostka!

- Doskonale rozumiem, co miała pani na myśli - wtrąciła Eliza.

- Biedactwo! Szczerze jej współczuję, lecz oszczędzę pani wszelkich kwiecistych frazesów. Przypuszczam, że jesteśmy do siebie podobne i wolimy nie owijać niczego w bawełnę. Jakaż to niedogodność, iż musiało się to zdarzyć właśnie teraz! Bez przyzwoitki znalazła się pani w straszliwie niezręcznym położeniu. Cóż, zamierzam kilka tygodni zabawić w Londynie, więc może mogłabym przyjść pani z pomocą.

- Och, nie, nie! Jest pani nadzwyczaj uprzejma, lecz w mojej sytuacji nie ma nic niezwykłego! Ciotka nie cierpi arystokratycznych przyjęć i rzadko nam na nich towarzyszy. Prawdę powiedziawszy, zgodziła się przeprowadzić na Upper Wimpole Street jedynie dlatego, iż wiedziała, że nie można inaczej. Jak sądzę, o wiele lepiej byśmy się prezentowały, gdyby widziano ją razem z nami. Lecz powinnam pani wyjaśnić, że

zawsze to ja byłam przyzwoitką Charis. Widzi pani, kiedy ona doszła do lat siedemnastu, ja sama już prawie przekroczyłam wiek, kiedy panie niezbędna jest dama do towarzystwa... bez względu na to, co mówi kuzyn Alverstoke!

- A cóż on takiego mówi? - zaciekawiała się Eliza.

- Same niemiłe rzeczy! - odparła Fryderyka ze śmiechem.

- Twierdzi, że przepadłam z kretesem ponieważ nie biorę ze sobą pokojówki, kiedy wychodzę z domu! To absurd! Jak gdybym była niedojrzałą panienką, a sama pani widzi, że nie jestem!

- No nie. Lecz nie jest pani również taką, która powinna stracić już wszelką nadzieję! Fryderyka uśmiechnęła się.

- Ośmielam się twierdzić, że żadna kobieta nigdy nie traci wszelkich nadziei. Lecz to bez znaczenia: problem tkwi w tym, że jeśli wuj akurat teraz umrze, będzie ze wszech miar niestosowne, by Charis pojawiała się na przyjęciach, prawda? - W jej oczach ponownie pojawiły się figlarne chochliki i powiedziała komicznie:

- Och, Boże! Jak wstrętne to brzmi! Ale skoro wszystko tak starannie obmyśliłam i zaplanowałam, i przywiozłam na jeden chyba sezon do Londynu bardzo piękną i bardzo kochaną siostrę... okropnie ciężko byłoby z tego zrezygnować tylko dlatego, że jakiś wuj, którego ledwie znamy i który nie jest krewnym z naszej krwi... choć to miły i wartościowy człowiek ten akurat nieodpowiedni... moment wybrał sobie, by umrzeć!

W oczach lady Elizabeth zamigotał wesoły błysk; mimo to odpowiedziała całkiem poważnie:

- Tak, pojmuję. Fatalna sytuacja! Lecz jeśli on jest z wami spokrewniony tylko przez małżeństwo, to skłaniam się do opinii, że nie będziecie musiały robić niczego innego poza noszenia żałoby.

- Ale w żałobie nie wypada tańczyć! - zaproponowała Fryderyka. Lady Elizabeth zastanowiła się.

- Przypuszczam, że ma pani rację. Nie znam się zbyt dobrze na tańcach, ale wiem, że kiedy nosiliśmy żałobę po jednej z ciotek, matka wprowadzała w świat Luizę, i wydaje mi się, że pamiętam, iż co wieczór chadzała na przyjęcia. Ja sama nie bardzo przywiązuję wagę do najnowszych trendów, a podejrzewam, że pani podobnie.

- Dla dobra siostry jestem zmuszona stosować się do nich. Dziwnie by było, gdyby lady Elizabeth Dauntry potępiono za niegodne zachowanie panny Merriville - z kamienną twarzą oznajmiła Fryderyka.

Eliza z obrzydzeniem zmarszczyła nos.

- Chyba to prawda. Jakie to wstrętne! Cóż, w takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak...

Lecz w tej chwili przerwała jej lady Jersey, która pojawiła się, szeroko rozpościerając ramiona i wołając:

- Eliza! Och, wielkie nieba, nie miałam najmniejszego pojęcia... Kochana, jak śmiałaś przyjeżdżać do Londynu, nie zdradzając mi się z tym ni słówkiem?

Fryderyka odeszła więc, nie dowiedziawszy się, co zdaniem lady Elizabeth należałoby zrobić. Mogła żywić jedynie nadzieję, że pan Navenby, który skrupulatnie prosił o jej zgodę, gdy chciał rozmawiać z Charis, wreszcie podbije to czułe serduszko. Ale skoro Charis zwykła wybuchać płaczem na samą wzmiankę o nim, nadzieja ta była co najmniej nikła. Fryderyka, porównując go z Endymionem, nie mogła uwierzyć, że nawet taka gąska jak Charis naprawdę woli przystojnego tępaka od tak interesującego młodego człowieka.

Prawdę mówiąc, do tego stopnia zdenerwował ją widok Charis wpatrzony z uwielbieniem w Endymiona dwa dni temu u „Almacka”, że dość obcesowo poprosiła siostrę, by u Seftonów nie robiła z siebie przedstawienia.

- Takie same maślane oczy robiłaś do młodego Fraddona, kiedy wydawało ci się, że jesteś w nim zakochana - przypomniała nieszczęsnej siostrze. - Ale wtedy miałaś zaledwie siedemnaście lat. Teraz skończyłaś już dziewiętnaście i, doprawdy, moja droga, czas najwyższy, byś okazała więcej rozsądku! A ty zachowujesz się jeszcze gorzej! Gdyby Fraddon miał do zaoferowania coś więcej prócz przystojnej aparycji, ani ja, ani jego rodzice nie sprzeciwilibyśmy się temu związkowi. Nic z tego nie wyszło, a ty ponownie postanowiłaś robić z siebie gąskę dla innego kawalera, przy tym dużo mniej odpowiedniego i przystojnego! Charis, z całą pewnością musisz sobie zdawać sprawę, że takiemu związkowi sprzeciwiam się równie mocno, jak pani Dauntry... czy, bez wątpienia, lord Alverstoke? Nie, przestań płakać! Postaraj się tylko rozsądnie pomyśleć! Nie chcę sprawiać przykrości. Przysięgam, że doskonale rozumiem, jak mógł cię oszłomić tak wspaniały... manekin! Proszę cię, przemyśl to raz jeszcze! Czy mogłabyś być szczęśliwa z człowiekiem, którego nawet jego najbliżsi uważają za tępaka?

Rezultat tego trzeźwego i rozsądnego przemówienia był taki, że rozgorączkowana Charis wprost nie mogła się doczekać pierwsze) okazji, przy której opowie o wszystkim Endymionowi. Kiedy tylko na przyjęciu u Seftonów udało mu się wyprowadzić ją z grupą wielbieli, wsączyła mu w ucho całą historię. Ukochana błagała go, by przez resztę wieczoru nawet się do niej nie zbliżał.

Mam najstraszliwsze przeczucie, że Fryderyka zdradziła sekret naszego związku Alverstoke'owi! - wyznała dramatycznym tonem.

- Chyba spostrzegłeś, że od chwili, w której do mnie podszedłeś, on cały czas nas obserwuje. Przyznaję, że o mało nie mdleję, kiedy podnoszę wzrok i widzę utkwione we mnie jego świdrujące spojrzenie!

Endymion nie zdołał dostrzec takich peszących okoliczności, zgodził się jednak, że to złowróźbne. Po bolesnych rozmyślaniach stwierdził:

- Można uczynić tylko jedno: muszę złożyć dymisję w pułku!

- Och, nie! - sprzeciwiła się Charis. - Nigdy nie zniżaj się do tego przez wzgląd na mój nieszczęsny los!

- Cóż, pozwól sobie powiedzieć prawdę. Nigdy nie pociągała mnie armia - wyznał Endymion. - Ale rzecz w tym, że kuzyn Alverstoke zapewne utnie mi pensję, jeśli się wycofam. A wtedy, sama rozumiesz, znaleźlibyśmy się na bruku. Czy miałabyś coś przeciwko temu, żebyśmy na jakiś czas stali się prowincjuszami? Śmiem twierdzić, że gdybym został po trosze wieśniakiem, zajmowałbym się uprawą roli albo hodowlą koni lub czymś w tym guście, to szybko stanęlibyśmy na nogi.

- Czy miałabym coś przeciwko temu? - wykrzyknęła. - Ależ skąd! Cóż, całe życie byłam, jak to określiłeś, prowincjuszka! Ale ty to zupełnie coś innego! Nie powinieneś dla mnie poświęcać kariery!

- Wcale nie będzie tak źle - zapewnił. - Nie jestem zbyt majątny, ale nie jestem też golcem. A jeśli chodzi o dymisję, kuzyn przynajmniej nie będzie mógł wysłać mnie za granicę.

- Ależ jak mógłby to uczynić? - spytała zaniepokojona. - Harry mówi, że Królewskiej Gwardii nigdy nie wysyłają za granicę, chyba że trwa wojna.

- Owszem, jednak może wysłać mnie w jakiejś misji. Charis szeroko otworzyła oczy.

- W jakiej misji, najdroższy?

- Hm, dokładnie nie wiem, ale oni zawsze wysyłają nas tu i tam jakimiś misjami, a bardzo często wmieszany jest w to człowiek gwardii. Sprawy dyplomatyczne - wyjaśnił niejasno Endymion. Kilka lat temu lord Amherst wyruszył do Chin, a pozostał tam nad rok. Jakieś nieporozumienia z mandarynami - dodał, dalej zdradzając tajemnice. - Coś takiego absolutnie mi nie odpowiada, ale nie mogę gwarantować, iż mnie to nie spotka, kiedy dostanę przydział. Alverstoke ma diablo dużo znajomości.

Charis, której do tej pory nawet nie przyszło do głowy, że służba w Królewskiej Gwardii wymaga od Endymiona podjęcia jakichś dyplomatycznych misji, oczyma duszy natychmiast ujrzała śmierć i zagładę. Gdyby nawet okręt, wiozący jej ukochanego, nie zatonął, to ukochany albo wpadnie w łapy przypuszczalnie żądnych krwi mandarynów, albo powali go śmiertelna malaria, typowa dla Orientu, Ze zbielełą twarzą wyjawiała mu cichym, pełnym uczucia głosem, że aby zapobiec temu nieszczęsnemu losowi, zgadza się przyjmując jego oświadczenia. Endymion był bardzo wzruszony, gdyż wizja takich nieszczęść nigdy nie powstała mu w głowie, nie wyczuł, co się dzieje, a co gorsza, uznał, że Charis ogromnie się dla niego poświęca. Lecz kiedy Charis nagle zaczęła go zaklinać, by odszedł, gdyż przypatruje się im lady Elizabeth, poczuł całym sercem, że dalej tak być nie może, nie mogą się przecież do końca życia ukrywać.

- Och, nie! I to sprawia mi największe cierpienie! - zgodziła się Charis.

- No, mnie tak samo, kiedy widuję cię tylko ukradkiem i nic z tego nie wynika - zgodził się posepnie Endymion. - Powiem ci coś, Charis. Musimy o tym poważnie porozmawiać... pojmujesz, zdecydować się na coś... Niech mnie diabli, jeśli jutro nie zawiozę Chloe i Diany, aby zobaczyły lot balonem! A, tu jest pies pogrzebany! Powiedz siostrze, że chcesz rozmawiać z Chloe, nie ma w tym nic zdrożnego! Ja postaram się schodzić wam z oczu, a kiedy wszyscy wpatrzą się w balon, to my się wymkniemy. Nie powinno to być trudne w tym tłumie, jaki pojawi się w parku.

- Nie, nie! - powiedziała zrozpaczona. - Jeśli przywieziesz siostry, by podziwiały wznoszenie się balonu, to przysięgnij, że nawet się do mnie nie zbliżysz! Feliks nakłonił lorda Alverstoke'a, by go tam zabrał, a wierz mi: jak tylko markiz zobaczy nasz powóz, to natychmiast do nas podjedzie!

- Alverstoke ma oglądać lot balonem? - zawołał z niedowierzaniem Endymion. - Chyba żartujesz?

- Nie, wcale nie! Zabiera również lady Elizabeth, więc widzisz-

- Musiało mu się coś pomieszać pod sufitem! To znaczy-

Alverstoke! Co za diabeł sprawia, że musi być wszędzie i we wszystko wtykać nos? Co za chole... co za niefortunny zbieg okoliczności! Wydaje mi się, że ostatecznie będziemy zmuszeni szukać schronienia gdzieś na rubieżach! - Endymionie! - wyjąkała wstrząśnięta i oszołomiona. - Nie możesz prosić mnie o coś tak okropnego! Chyba żartujesz. To byłoby nie do zniesienia!

- Owszem, wiem. Nie spodobałoby się także mojemu pułkownikowi. Ale, kochanie, nie możemy wiecznie trwać w tym samym punkcie! Musimy coś z tym zrobić!

- Musimy... och, wiem, że w końcu nam się powiedzie! Ci... zbliża się lord Wrenthroe!

Kiedy nazajutrz rano Knapp otworzył okiennice w sypialni jaśnie pana, markiza oślepił blask słońca. Właśnie wtedy kamerdyner poinformował go, iż zapowiada się przepiękny dzień. Alverstoke miał nadzieję, że będzie deszcz, zawierucha, nawet śnieżyca: prawdę mówiąc, cokolwiek, co uniemożliwi lot balonu. Lecz ujrzał tylko bezchmurne niebo. A kiedy, grzebiąc już nadzieje, spytał Knappa, czy może jest bezwietrznie, ten odpowiedział tonem człowieka nawykłego do przekazywania dobrych wiadomości:

- Tylko miły, lekki wietrzyk, jaśnie panie. Śmiem twierdzić, że to idealny czerwcowy dzionek!

- Mylisz się! - zawołał ostro markiz. - O której ma się wznieść ten cholerny balon?

- O drugiej, jaśnie panie... wedle tego, co panicz Feliks mówił Wickenowi - poważnym tonem odparł Knapp.

- Można się założyć - burknął lord - że ten szczeniak będzie warował na naszym progu z wybiciem dwunastej!

Lecz kiedy wynurzył się w południe z garderoby, dowiedział się, że młody pan Merriville przybył już trochę wcześniej, a teraz pod baczynym okiem lady Elizabeth spożywał suty posiłek. Dzięki wysiłkom sióstr, Feliks prezentował się nienagannie w czystych jak lza nankinach, najlepszej marynarce i koszuli prosto z pralni. Miał wyszorowane paznokcie, a kędzierzawą czuprynę tak wyszczotkowaną, że aż lśniła. Z buzią pełną słodkiej bułeczki, wprowadzał swoją gospodynię w tajniki aeronautyki. Gorąco powitał Alverstoke a, przepaszając, że pojawił się może nieco za wcześnie, ale wiedział, że zarówno markiz, jak i kuzynka Elizabeth, z pewnością chcieliby dotrzeć do parku na czas, by zająć faetonem dogodne miejsce.

Otrzymawszy wyraźnie kąśliwą odpowiedź, natychmiast zmiękczył serce lorda wypytując się niespokojnie:

- Ale przecież pan naprawdę pragnie tam jechać, zgadza się, sir?

- Owszem... Ale ty jesteś wstrętnym młodym męczybułą! - zawołał lord.

Feliks potraktował to jako komplement, obdarzył markiza anielskim uśmiechem i ponownie zajął się ciastem.

- A także... - ciągnął lord, odstawiając szklaneczkę na przeładowaną tacę. Wzdrygnął się lekko. - ...szpikulcem do mięsa!

- Rozumiem. Sir, czy pan wie, czym dawniej napełniano balony, a czym napełniają je teraz?

- Nie - powiedział Alverstoke. - Ale nie wątpię, że szybko się o tym dowiem.

Miał rację. Od tej chwili bowiem Feliks, który gdzieś zdobył podniszczony egzemplarz *Historii i Teorii Aeronautyki*, wdał się w potoczystą konwersację, po większej części pouczającą, choć przerywaną zadawanymi żarliwie pytaniami. W faetonie usadowił się między Alverstokiem a Elizą. Zwracał się jednak wyłącznie do markiza, toteż Eliza mogła się oprzeć wygodnie i z rozbawieniem oraz niejakim zdumieniem przysłuchiwać się wiarygodnym odpowiedziom na zalew pytań, jakimi obrzucał jej brata młody wielbiciel. Feliks, choć oddawał sprawiedliwość *Historii Cavallo*, przekonał się, że jest ona w godny ubolewania sposób staroświecka. Ubolewał nad tym, bowiem doskonale zdawał sobie sprawę, jak niewiele jeszcze wie na temat aeronautyki. I jakaż to szczególna zaleta jedwabiu, że jest lepszym materiałem na czaszę balonu niż len.

Od właściwości jedwabiu do zawiłości zaworów był tylko jeden krok, lecz wtedy Eliza doszła do wniosku, że jej towarzysze porozumiewają się w jakimś obcym dla niej języku. Zaniechała więc wszelkich prób

zrozumienia tematu i zaczęła myśleć o czymś innym. Z zadumy wyrwał ją okrzyk Feliksa, który wyraził przemożną ochotę, by skoczyć na ziemię ze spadochronem. Zawołała:

- Co za straszliwy pomysł! Ja umarłabym ze strachu!

- A to dlaczego, proszę pani? - zdziwił się chłopiec. - Proszę sobie tylko wyobrazić, jak to musi wyglądać! Kuzyn Alverstoke mówi, że kiedyś widział człowieka, który dawał takie pokazy: ja też bym chciał!

Akurat dojechali do parku. Kiedy dotarli na miejsce, Feliks ku swojemu niepomiernemu zadowoleniu zorientował się, że chociaż balon już został przywiązany, beczułki z wodorem, których zawartość za pomocą gumowego węża miała być do niego przepompowywana, wciąż stoją w ogrodzonym linami odosobnieniu. Aż się zachłysnął z zadowolenia, spytał Alverstoke'a, czy teraz nie jest szczęśliwy, że wyruszyli nieco wcześniej. Potem wyskoczył z faetonu i co tchu popędził tam, gdzie wszystko się odbywało.

- Mam nadzieję, że nikt go nie przepędzi! - zauważyła Eliza. - Popsułoby mu to cały dzień!

- Sądzę, że raczej spotka się z całkiem zbędną zachętą - odparł Alverstoke. - W odlewni zaprowadzono go do samego serca fabryki, a miałem nieszczęście mu tam towarzyszyć. Mam wrażenie, że podobny sukces odniósł na parowcu, na który się zaokrętował. Feliks jest żądny wiedzy na temat wszystkich mechanicznych wynalazków, no i, jak na swój wiek, zdobył godną podziwu wiedzę na ten temat.

- Zdaje się, że wiesz o tych sprawach o wiele więcej, niż podejrzewałam!

- Niewiele więcej od każdego, kto ma choć trochę rozumu. A teraz zamierzam przejechać w cień drzew... nie bacząc na to, czy zechcesz może przebywać jak najbliżej miejsca startu balonu!

Roześmiała się.

- Będę ci ogromnie wdzięczna... ale obawiam się, że Feliks uzna nas za bojaźliwych!

Mimo że przyjechali tak wcześnie, nie byli pierwszymi widzami. Wokół ogrodzenia już zgromadziła się grupka gapiów, a w cieniu drzew stało kilka powozów. Między nimi kabriolet lady Buxted. Na jego widok Eliza wykrzyknęła:

- Dobry Boże, czyż to nie powóz Luizy? Ciekawe, co ją tutaj przywiodło? Przecież sam wiesz, jak nie cierpi Merriville'ów.

- Przypuszczam, że w tej sprawie nie miała wielkiego wyboru. W moich oczach Carlton jest śmiertelnie nudny, ale jedno mogę rzec na jego korzyść: wcale nie boi się języka Luizy i nie da sobie dmuchać w kaszę. Tak sądzą po lamentach, jakimi Eliza raczy mnie od czasu do czasu wbrew mojej woli.

- Nie przypuszczałam, że jest obdarzony tak silnym charakterem. Podjedźmy do ich powozu! Muszę podtrzymać moją przyjaźń z Fryderyka.

Markiz zastosował się do życzenia i uplasował faeton tuż przy boku powoziku. Chociaż wysokie zawieszenie faetonu uniemożliwiło siostrze markiza uściśnięcie dłoni Fryderyk, mogły wymienić pozdrowienia i zagłębić się w pogawędkę, gdyby Eliza nie uznała, że rozmawianie z kimś, kto siedzi tak wysoko, szybko przyprawi Fryderykę o zdrętwienie karku. Z powoziku zeskoczył Jessamy i z niezdatną rycerskością pomógł Elizie zejść na ziemię, gdyż wyraziła ochotę na bliższe spotkanie z jego siostrami. Uśmiechnęła się do chłopaka i powiedziała:

- Dziękuję! Ty musisz być Jessamy... ten sam, który tak znakomicie powozi zaprzęgiem! Jak się miewasz?

Jessamy zarumienił się, a gdy pochylał się ku jej wyciągniętej dłoni, wyjąkał jakieś słowa zaprzeczenia.

Lady Eliza jest wielce łaskawa, jednak całkowicie się myli! On przecież jest tylko najędźniejszym woźnicą, na pewno kuzyn Alverstoke musiał jej o tym powiedzieć!

- Ależ nie! Brat mówi, że masz... masz talent! O, Carltonie, witam! Cieszę się, że cię widzę, ale pewnie wolisz popatrzeć na wznoszenie się balonu, niż rozmawiać z ciotką, zatem pozwól, że na chwilę zajmę twoje miejsce.

Na pozór nie było powodu, dla którego lady Eliza nie mogłaby zająć miejsca Jessamy'ego, lecz lord Buxted, uśmiechem kwitując odprawę i biorąc ją za dobrą monetę, ustąpił ciotce. Pomógł jej wejść do powozu, a potem zwrócił się do wuja, mówiąc dowcipnie:

- Domyślam się co... chyba jednak powinienem powiedzieć: kto!... sprowadził wuja o tak idealnej porze!

- Tak, to siła wyższa. Ale co sprawiło, że i ty pojawiłeś się tutaj tak wcześnie?

- Och, mniej więcej to samo! - wyjaśnił Carlton, zerkając na Jessamy'ego, który wcale nie zwracał na niego uwagi, pochłonięty na poły doglądaniem koni jaśnie pana, a na poły rozmową z jego lokajem. - I dodał, ścisząc głos: - Wiem dobrze, że nasz młody kuzynek pragnie tu wszystko dobrze sobie obejrzeć od samego początku, toteż myślę, że byłby ogromnie rozczarowany, gdybyśmy Przyjechali dopiero na wzniesienie się balonu!

Markiza ogarnęła śmiertelna - i tak dobrze wszystkim znana nuda; jego usta wykrzywił cierpki grymas, milczał jednak, choć zmierzwszy badawczym wzrokiem młodego siostrzeńca stwierdził, że ten nadęty tępak mówi szczerze. Uwierzył, że jak najzyczliwiej poszedł na rękę Jessamy'emu. Dalsze słowa Buxteda udowodniły, iż zrobił wszystko, by wyprawa była tak pouczająca, jak ekscytująca.

- Zdawałem sobie sprawę, że będą się po mnie spodziewać odpowiedzi na wszelkie pytania, więc wczoraj przezornie zajrzałem do encyklopedii - mówił Buxted. - Przyznaję, że i mnie samego zaciekał ten temat! Informacje w encyklopedii są nieco przestarzałe, ale trudności, jakie musieli pokonać pierwsi baloniarze, absolutnie mnie oczarowały! Zabawiałem swoich towarzyszy opowieściami o eksperymentach profesora Charlesa! Mam wrażenie, że Jessamy będzie w stanie opowiedzieć wujowi, na jaką wznosił się wysokość, hej, Jessamy? - zawołał głośno.

Musiał powtórzyć pytanie, nim odwrócił uwagę Jessamy'ego od konia, do którego chłopak właśnie czule przemawiał, więc odpowiedzi udzielił sam Alverstoke.

- Na dwa tysiące stóp - powiedział, spiesząc Jessamy'emu z pomocą. - Jessamy, nie na darmo przyjechałem tutaj w towarzystwie twojego brata! Więc nie próbuj mówić mi, że Lunadri napełnił balon gazem wymieszanym z cynkiem albo że Tyler wznosił się w Edynburgu na pół mili, czy nawet, że Blanchard wylądował na dębie, gdyż o tych i o innych sprawach doskonale już wiem!

- Ach, Feliks ma taki dociekliwy umysł! - zawołał Buxted, uśmiechając się pobłaźliwie. - Cóż to za mały łobuziak!

- Pewnie bierze czynny udział w przygotowaniach.

- Nie przypuszczam, żeby go odprawiono, ale sądzę, Jessamy, że powinniśmy tam pójść i przekonać się, czy nie wystrychnięto go na dudka. Podejrzewam, że i ty chcesz obejrzeć, jak napełniają balon - miłym tonem odezwał się Buxted.

Odwrócił się, zaproponował damom, by im towarzyszyły, a Jessamy patrząc na markiza, powiedział:



- Chciałbym być taki jak Feliks! No i te pańskie siwki! Czy prosił pana, by pozwolił mu pan powozić? Przykazałem mu, by tego nie robił, więc teraz się na mnie trochę bocy. Mały dzikus! Tak, kuzynie Buxtedzie, już idę!

Damy odmówiły udziału w tej wycieczce, toteż Buxted i Jessamy poszli sami, lecz chłopiec zaledwie po kilku chwilach wrócił Alverstoke, który zsiadł z faetonu i stał rozmawiając z Fryderyka, odwrócił głowę.

- Zamordowałeś go? - spytał.

Jessamy mimo woli parsknął śmiechem, ale błyskawicznie się opanował i odpowiedział:

- Nie, nie! Ale nie mogłem tego znieść, więc wymówiłem się i odszedłem. Już i tak źle, że zanudzał wszystkich niemożliwymi pytaniami na temat aeronautyki, jakbym do tej pory nie słyszał o tym dosyć od Feliksa, ale kiedy zaczął pouczać Feliksa i jął przeproszać tych ludzi, że im się naprzykrzają, zrozumiałem, że jeśli tam dłużej zostanę, to zaraz mnie zanudzi! Więc odszedłem.

- Czyżby Feliks naprawdę się naprzykrzał? - spytała Fryderyka. - Mam go stamtąd zabrać?

- Nie pójdzie... szczególnie teraz, kiedy kazał mu to uczynić kuzyn Buxted! Kuzyn twierdził, że ludzie zajmujący się ważnymi sprawami nie lubią, kiedy płaczą się im pod nogami „mali chłopczkowie”. I mówię ci, że słysząc to Feliks zaparł się jak osioł! Ale czy można się temu dziwić?

- Buxted poczynił nieroztropną uwagę - poważnie zgodził się Alverstoke.

- Cóż, pan nigdy nie powiedział mu w oczy, że jest „małym chłopczkiem”, prawda?

- Oczywiście, że nie zrobiłby tego! - potwierdziła Eliza, odwracając wzrok. - Przypominam sobie wyraźnie, że akurat dzisiaj nazwał go wstrętnym, natrętnym małym łobuziakiem!

- Bo to szczerza prawda, madame! - zawołał Jessamy. - Nie przywiązywałby do tego większej wagi, niż gdybym ja mu powiedział, że jest okropnym małym smarkaczem! Ale nazwanie go „małym chłopczkiem”...! Hm, nigdy bym tego nie zrobił, bez względu jakbym był na niego wściekły!

- Wnioskuje z tego - zrezygnowanym tonem odezwała się Fryderyka - że wszelkie wysiłki, jakie włożyliśmy z Charis, by go „temperować, poszły na marnie.

- Faktycznie, wygląda jak rozczochraniec - przyznał szczerze Jessamy. - Lecz jeśli chodzi o plątanie się pod nogami tym ludziom... Oni go polubili, Fryderyko! A nawet jeśli nie, to Buxtedowi taić do tego! Jakże ma prawo postępować tak, jakby był naszym opiekunem? I wtykać komuś szpile... aż do bólu. - Urwał, zacisnął wargi i po chwili wahania dodał: - Nie powinienem tego mówić. To wyjątkowo godny szacunku człowiek i... i wcale mnie nie skarcił, kiedy zachowałem się wobec niego niegrzecznie. Postanowiłem, że nie pozwolę mu, by jeszcze kiedyś mnie sprowokował. Idę tam zatem.

- Bardzo rozsądnie - powiedział Alverstoke. - A dowiedziałeś się, kiedy balon ma wzbić się w powietrze?

- Nie, sir. To znaczy, słyszałem przypadkiem, jak ktoś mówił, że jest słaby wiatr i mam wrażenie, że mówi się o tym, czy zdecydować się na lot, czy go odłożyć na później. Ale tak naprawdę to nic nie wiem na pewno.

- Proszę cię więc, byś się dowiedział! - polecił Alverstoke. - Cała ta impreza nudzi mnie tak samo jak ciebie, więc z przyjemnością już bym się stąd zabrał. O, mój Boże... gdyby odłożono lot, Feliks będzie oczekiwał, że powtórzymy całe przedstawienie!

Fryderyka roześmiała się.

- Proszę się nie przerażać! Nie pozwolę mu, by ściągał pana tutaj po raz drugi.  
- Obiecanki cacanki! Wmówi pani, a mnie także, że wcale nie ma zamiaru mnie nagabywać i...  
- Zwyczajnie cię poprosi! - wtrąciła Eliza.  
- Tak... albo wyświadczy mi tym wielką uprzejmość, a jeśli odmówię, to zrobi minę nieszczęsnej sierotki - potwierdził gorzko lord.

- Będzie odgrywał swoje sztuczki! - zauważył Jessamy. - Oczywiście, tak postępuje, gdyż wie, że potrafi pana omotać, sir! Dlaczego pan go ostro nie odprawi?

- Zamiast utwierdzać go w przekonaniu, że gotów jest pan spełnić wszelkie jego zachcianki - zawtórowała Fryderyka. - Jessamy, nie sądzisz, że czas go stamtąd zabrać? Mam wrażenie, że ci ludzie chętnie posłaliby go już do diabła!

Jessamy potrząsnął przecząco głową i powiedział z niechętnym uśmiechem:

- Nie, wcale nie. Któryś z nich wytłumaczył nawet kuzynowi Buxtedowi, że Feliks jest bardzo pomocny! Prawdę mówiąc, usłyszał od nich tyle słów otuchy, co od kuzyna Alverstoke'a... i, wielkie nieba, przez kilka następnych tygodni będzie całkiem nie do zniesienia!

- Mam wrażenie, że traciłbym tylko czas, gdybym zapewniał, że nigdy go do niczego nie zachęcałem ani nie czułem takiej potrzeby! - oburzył się Alverstoke. Ujrzał nadchodzącego siostrzeńca i powitał go gniewnym pytaniem, dlaczego kazał na siebie tak długo czekać.

- Och, chyba nie aż tak długo! - zaprzeczył Buxted. - Pogawędziłem sobie z głównym aeronautą, to bardzo przyjemny człowiek! Wiesz, że jest tam ich dwóch. Ten... Oulton, tak zdaje się brzmie jego nazwisko... opowiedział mi wiele interesujących rzeczy, dotyczących trudności i niebezpieczeństw związanych z baloniarstwem, o tym, jak delikatny jest wentyl, i jakie to wszystko ryzykowne, kiedy obniża się lot podczas silnego wiatru, gdy kotwice zahaczają się o krzaki i wyrwywają je, a balon bez żadnego obciążenia wzbija się w górę... To zaledwie kilka kwestii! Trzeba być nieustraszonym śmiałkiem, żeby odważyć się na wzbicie w powietrze: ja mówię bez wstydu, że nigdy w życiu bym się na to nie odważył!

- Ależ oczywiście! - poparła go Charis i wstrząsnęła się przerażona.

- A prędkość, jaką osiągają - ciągnął. - Pomyślcie tylko, podróżowanie z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę! Lecz dzisiaj, mam wrażenie, to się nie zdarzy, gdyż wiatr jest umiarkowany. Obawiam się, że nie stanie się nic poza próbą krótkiego lotu, chyba że przyjdzie silniejszy podmuch. Charis, ciekawe, czy wiesz, na jak niebotyczną... ktoś mógłby powiedzieć niewiarygodną... wysokość już do tej pory się wzniesli?

- Feliks mi mówił: na pół mili. Och, mam nadzieję, że dziś to się nie przydarzy! Sama myśl o tym śmiertelnie mnie przeraża! i Markiz, ze złośliwą celnością odgadując powód tak pewnego siebie zachowania siostrzeńca, zawołał:

- No, no, Carltonie! Chyba nie jesteś takim tępakiem, że spodziewasz się czymkolwiek zaimponować siostrze Feliksa? Jeśli przez i cały ubiegły tydzień brat udzielał jej wykładów, to pewnie potrafi z pamięci wyrecytować wszystkie te dane! - zerknął na Charis z rozbawieniem. - Charis, błagam jednak, byś tego nie robiła!

- Och, skąd, jakżebym mogła! Jestem zbyt lotna, by pojąć te sprawy!

- A może to tylko braciszek nie do końca je pojmował, kiedy usiłował ci je objaśnić! - wtrącił Buxted. - To

nie wysokość lotu powoduje ryzyko, lecz czułość zaworów bezpieczeństwa, kontrolujących wznoszenie się w powietrze. Należy bardzo ostrożnie operować przyłączoną do nich linką. Jeśli nie otworzy się zaworu precyzyjnie, można nie trafić na wybrane miejsce lądowania. A jeśli za szeroko się go otworzy, gaz ucieknie z taką siłą, że balon natychmiast opadnie na ziemię z potwornym impetem!

Charis zbladła, wyobrażając sobie, że mogłaby być świadkiem takiej katastrofy. Na szczęście Jessamy w tym momencie odwrócił ich uwagę wołając:

- Patrzcie! Zaczynają się wznosić!

I rzeczywiście. Jedwabna czasza balonu, która dotąd leżała rozciągnięta na ziemi, unosiła się nad głowami gapiów. Kiedy wzbijała się w górę i kołysała, z piersi widzów wyrwało się westchnienie podziwu. I chociaż ci, którzy z ciekawości obserwowali całe wydarzenie z bliska, widzieli, że powietrzny statek o klasycznym kształcie pomalowany jest na niebiesko-czerwono i ozdobiono go złotym szlaczkiem, dopiero kiedy balon zaczął się napełniać i wzniósł w górę, spostrzegli, że dawniejszy bezwładny worek ma pionowe czerwono-białe pasy z niebieskim obramowaniem przypominającym szarfę.

- Pańska pańszczyzna dobiega już prawie końca! - zauważyła Fryderyka.

Nim zdążył odpowiedzieć, oboje wzdrygnęli się słysząc przenikliwy pisk Charis. Fryderyka błyskawicznie się odwróciła, akurat w porę, by ujrzeć, jak opada wyciągnięta w górę ręka siostry. Podtrzymała Charis, gdy biedaczka omdlała. Przerazona rozejrzała się wokół i wtedy zobaczyła balon. Odkotwiczony, błyskawicznie wzbijał się ku niebu, a w połowie jednej z lin, wcześniej przytwierdzonych do ziemi, widać było małą, kurczowo ją trzymającą postać. Fryderyka zdrewniała, tak sparaliżowana, że niezdolna była ruszyć się ani przemówić. Oslupiałym z przerażenia wzrokiem śledziła znikającą w przestworzach figurkę Feliksa. Nie zdawała sobie nawet sprawy z wrzawy, jaką narobili zdumieni widzowie, ani pełnej przerażenia ciszy, która zapadła wśród jej towarzystwa.

Ciszę tę przerwał Jessamy. Błady tak samo jak Charis, nagle wychrypiał:

- Wciągają go w górę! Ty głuptasie, nie próbuj wspinać się wyżej! Nie!... Boże! Nie uda mu się utrzymać!

Ukrył twarz w dłoniach, jednak ponownie uniósł głowę, gdy Alverstoke odezwał się zimnym tonem:

- Owszem, uda się. Spokojnie, chłopcze! Błyskawicznie wciągną go do kosza.

Podobnie jak Fryderyka nie odrywał wzroku od Feliksa, teraz małej, niewidocznej prawie sylwetki na tle nieba. Napięcie, które w rzeczywistości trwało kilka sekund, zdawało się przeciągać w nieskończoność. Buxted zawołał:

- Nic nie widzę! Nie mogę...

- Tak, tak! - krzyknął Jessamy drżącymi wargami. - Wciągnęli go do kosza! Och, mały potworze, świetna robota, ty diable nasienie! Poczekaj tylko, aż dostaniesz się w moje ręce! Poczekaj! - Nagle gwałtownie osunął się na murawę i schował głowę między kolana.

Alverstoke, wspinając się na schodki powozu, chwycił rękę Fryderyki.

- Już dobrze! - oznajmił autorytatywnie. - Chyba nie zamierzasz mdleć! Feliks jest całkiem bezpieczny.

Buxted, podobnie jak Jessamy odreagowując zdenerwowanie, wykrzyknął:

- Bezpieczny? Sir, na mą duszę, jeśli sądzi pan, że on jest bezpieczny, kiedy...

- Zamilknij! - przerwał Alverstoke, mierząc siostrzeńca tak groźnym spojrzeniem, że bojaźliwemu

młodzieńcowi zrobiło się słabo.

Fryderyka opanowała się. Odezwała się nieco zdławionym głosem, lecz ze spokojem dorównującym opanowaniu Alverstoke'a:

- Ja nigdy nie mdleję. - I uświadomiwszy sobie, że na jej ramieniu opiera się omdlała Charis, zawołała: - Charis! Chyba... Chyba postradałam zmysły! Zapomniałam...

- Weź to! - odezwała się Eliza, wyciągając z torebki ocet winny. - To nic strasznego! Oprzyjmy ją o siedzenia! Ja się nią zajmę! Vernonie na miłość boską, co mamy począć?

- Ocuć Charis! - rozkazał.

- Nie o to mi chodziło! - prychnęła, rozluźniając wstążki czepeczka Charis i odrzucając go na bok. - Fryderyko, zamień się ze mną miejscami albo niech Vernon pomoże ci wysiąść z powozu!

Wciąż zszokowana Fryderyka posłusznie poddała się dłoni Alverstoke'a i zeszła na ziemię z powoziku. Tak drżały jej kolana, że z wdzięcznością wsparła się na ramieniu markiza. Z trudem zdołała się uśmiechnąć.

- Proszę o wybaczenie: jestem tylko gąską! Zupełnie nie potrafię pozbierać myśli, ale pan powinien wiedzieć, jak mam postąpić! Powiedz mi to, kuzynie!

- Teraz nic nie może pani zrobić - wyjaśnił.

Przez chwilę wlepiła w niego oszołomiony wzrok, lecz potaknęła:

- Nic! Masz, oczywiście, rację, kuzynie. Nie wiem nawet... Kuzynie, dokąd oni zmierzają? Aeronauci, zdaje się, pragną się przekonać, jak daleko mogą zalecieć?

- Tak sędzę, lecz nie jest to powód, by się pani denerwowała! Oni równie gorąco pragną pozbyć się Feliksa, jak pani go odzyskać! Nie potrafię przewidzieć, gdzie to będzie, ale sądząc po kierunku słabego wiatru, przypuszczam, że wylądują gdzieś w okolicach Watford.

- Watford! Czy to nie bardzo daleko?

- Nie, mniej niż dwadzieścia mil stąd. Pojmij, proszę, że nie ośmielą się zejść na ziemię, nim przelecą nad stolicą i jej okolicami. Wzbicie się w niebo w Hyde Parku to jedno, ale opadnięcie tym piekielnym balonem w ludne rejony miasteczek i wiosek to coś zupełnie innego.

- Tak. Tak, rozumiem. Nie zdawałam sobie sprawy... Chyba przedsięwzięli wszystkie środki ostrożności... jak pan myśli?

- Bez wątpienia.

Zdołała przywołać na twarz uśmiech.

- Nie boję się, że zdarzy się jakiś wypadek..., a przynajmniej nie tak bardzo się boję! Tylko że lord Buxted mówił nam, że na tak dużych wysokościach jest strasznie zimno, i tego się właśnie obawiam! Proszę zrozumieć, Feliks, choć na pozór krzepki, najłatwiej z całego rodzeństwa się przeziębia, a grypa atakuje jego płuca. Nie jest to skłonność do gruźlicy: nasz lekarz domowy określa tę chorobę jako bronchit, doktor twierdzi też, że Feliks z tego wyrośnie, ale ja... nic potrafię zapomnieć, jak okropnie cierpiał, kiedy dwa lata temu zachorował. A poleciał tam tylko w cienkim surduciku...! - Zamilkł i ponownie zmusiła się do uśmiechu. - Idiotycznie się zachowuję. Rzeczywiście, teraz nic nie można poradzić.

- My nic nie możemy poradzić, ale zapewniam panią, że baloniarze opatulili go po uszy.

Przemawiał zwykłym tonem człowiek niezbyt zaangażowanego Osiągnął wszakże zamierzony efekt:

Fryderyka poczuła się wielce pokrzepiona na duchu. Buxtedowi udał się podobny wyczyn, tylko że postąpił wręcz przeciwnie. Zawołał gniewnie:

- Wielkie nieba, sir, czy to wszystko, co ma pan do powiedzenia, kiedy oni znaleźli się w tak straszliwej sytuacji?

Alverstoke popatrzył na niego spod uniesionych brwi.

- Wszystko - zapewnił. Dostrzegł, że Buxted zaciska dłonie w pięści i uśmiechnął się leniwie. - Nie radziłbym - przestrzegł.

Przez chwilę wydawało się, że Buxted ulegnie impulsowi; zdołał się jednak opanować. Z rozognioną wciąż twarzą odezwał się głosem, w którym dał się słyszeć tłumiony gniew:

- Czy jest pan tak nieświadomy niebezpieczeństwa, na jakie narażony jest chłopczyk, czy może brak panu wszelkimi ludzkich uczuć?

- Ani jedno, ani drugie - zapewnił Alverstoke. - Cieszę się, że wreszcie zawrzała w tobie krew, ale jeśli nie utrzymasz języka za zębami, to nie wiem, czy zdołam oprzeć się pokusie, by trochę ci jej nie upuścić!

- Och, przestańcie, uspokójcie się! - zawołała Eliza. - Charis, posłuchaj mnie! Feliks jest absolutnie bezpieczny! Nie musisz go opłakiwać... słyszysz mnie? Ocknij się!

Charis jednak, wróciwszy do przytomności, wybuchnęła histerycznym płaczem. Najwyraźniej nie była w stanie ani opanować szlochu, ani pojąć słów Elizy.

- Wapory! - orzekł Alverstoke. - Jeszcze tego nam brakowało! Teraz przyciągnie ku nam całą zgraję gapiów! Fryderyka szybko wskoczyła do powozu.

- Kuzynko, proszę, ja się tym zajmę! Uspokajanie pogorszy tylko sprawę.

Mówiąc to, wyrwała Charis z rąk Elizy i wymierzyła siostrze barczysty policzek. Czyn ten zdumiał tak całe towarzystwo, jak penitentkę. Charis zachłysnęła się między jednym szlochem a drugim. Uniosła do góry przerażone, pełne łez oczy ku stanowczej i opanowanej siostrze.

- Feliks! - wyjąkała. - Och, Feliks, Feliks! Och, Fryderyko!

- Opanuj się! - rozkazała Fryderyka. - Ani słowa więcej, dopóki się nie opanujesz!

Eliza, która wysiadła z powozu, ściszonego tonem wyznała bratu:

- Cóż, postępuje skutecznie, choć raczej brutalnie! Przecież to nieszczęsne dziecko doznało straszliwego szoku, a nietrudno spostrzec, że jest bardzo wrażliwa.

- Za bardzo - burknął lord.

Jessamy, pokonawszy siłą woli nagły atak słabości, poderwał się na nogi. Dalej był blady, oddychał płytko i szybko, jak gdyby właśnie ukończył bieg. Utkwił twarde spojrzenie w Alverstoke'u i wychrypiął:

- Sir, proszę pożyczyć mi faeton! Ja... błagam pana! Nie będę nim powoził... Curry siądzie na koźle! Daję panu słowo! Sir, pan musi mi go pożyczyć!

- Czyżbyś chciał ścigać balon? - zdziwił się Alverstoke, popatrując na niego z lekkim zdumieniem.

- Jessamy, na miłość boską, nie zachowuj się jak głupiec! - zawołał Buxted. - Jakby już teraz nie było dostatecznie źle! Doprawdy, zdumiewasz mnie! To nie moment na odgrywanie dramatycznych scen!

- Wprost przeciwnie! - odezwał się Alverstoke. - Akurat ta chwila jest jak najbardziej właściwa!

- To nie pora na płocze żarty! - odpalił Buxted, znowu czerwieniejąc jak cegła.

- Sir! - zawołał błagalnie Jessamy. - Zgodzi się pan? Zgodzi? Alverstoke potrząsnął przecząco głową.

- Przykro mi, Jessamy. Balon odleciał już na wiele mil stąd. Wiem, że wciąż go widać, ale wierz mi, to jest złudna odległość. Lecz wszystko nie wygląda tak dramatycznie, jak to przedstawia Buxted ani jak ty podejrzewasz: katastrofy zdarzają się niezmiernie rzadko.

- Ale jednak się zdarzają! - zawołał Jessamy. - Tylko że nawet jeśli nic takiego się nie stanie, Feliks może umrzeć z zimna, a nie ma pieniędzy ani... Sir, sam pan mówił, że opuszczą się na ziemię wtedy. kiedy to będzie bezpieczne, więc gdybym nie spuszczał ich z oczu.-

- Pobożne życzenia! - warknął Buxted.

- Czy da się to zrobić? - spytała Eliza w zastępstwie brata.

- Chyba tak, ale po co? Osiądą na ziemi na długo przedtem, nim zdołamy do nich dotrzeć. A baloniarze, choć całą duszą pragną pozbyć się Feliksa, nie zostawią go samemu sobie. Kiedy odszukamy już miejsce lądowania... choć wątpię, by nam się to udało... Feliks w wynajętym powozie będzie jechał z powrotem do Londynu.

- Sir, sam pan twierdził, że wylądują gdzieś na otwartej przestrzeni! Może całe mile od jakiegokolwiek osady! A jeśli... jeśli nie i wylądują szczęśliwie... Muszę pojechać! Mówię panu, muszę! Ach, dlaczego Harry nie jest teraz z nami? - zawołał udręczony Jessamy.

- Kuzynie...! - poparła go Fryderyka. Gdy spojrział jej prosto w oczy, odczytał w nich nie wypowiedziane pytanie. Uśmiechnął się drwiąco i wzruszył ramionami.

- Zgoda!

Popatrzyła na niego z niekłamana wdzięcznością.

- Dziękuję! Nie miałam prawa o to pana prosić, ale jestem taka wdzięczna... nie wiem, jak mam dziękować!

- Pomyśl tylko, że przyjechałem tutaj, obawiając się nudy! - wyznał Alverstoke. - Elizo, przebacz, ale muszę cię na pewien czas opuścić!

- Mną się wcale nie przejmuj! - zawołała. - Odwiozę do domu twoich kuzynów, a potem Carlton może odwiedzić mnie do Alverstoke House.

Markiz kiwnął głową i zwrócił się do Jessamy'ego.

- Jadę z tobą!

Twarz chłopca rozjaśniła się. Wykrzyknął:

- Pan ze mną! Och, bardzo dziękuję! No to ruszamy!

## 20

Nastrój otuchy nie potrwał zbyt długo. Nim dotarli do Stanhope Gate, wymyślili wiele nieszczęść, jakie mogły przydarzyć się Feliksowi. Jessamy zamilkł, jego oczy, chwilę wcześniej tak pełne żarliwego blasku, pociemniały i sposepniały. Kiedy faeton podjechał do bramy, natknął się na jadący w przeciwnym kierunku elegancki powozik. Na koźle siedział wyjątkowo brzydki mężczyzna ubrany wedle kanonów najnowszej mody. Kiedy jego zapadnięte oczy spostrzegły siwki Alverstoke'a, zatrzymał w miejscu swoje kasztanki i

zawołał:

- Alverstoke! Właśnie pana potrzebuję!

Markiz także zwolnił bieg koni, lecz potrząsnął przecząco głową.

- Nic z tego. Kangurze! Nie mam chwili do stracenia!

- Lecz gdybyś zechciał... Do diabła, gdzie się wyprawiasz? - zawołał Coole, obracając się na koźle, kiedy faeton go mijał.

- Ścigam balon! - rzucił przez ramię Alverstoke.

- Dlaczego pan to powiedział? - zdenerwował się Jessamy. - On uzna, że postradał pan zmysły!

- Prawdopodobnie! I chyba za bardzo się nie pomyli! Zapadła chwila ciszy; potem Jessamy odezwał się rezolutnie spokojnym głosem:

- Czy sądzi pan, sir, że jedziemy na oślepie?

- Ależ skąd! - zapewnił Alverstoke, słysząc przerażenie w głosie chłopca. - Możemy przegrać jedną partię, ale nigdy całą grę! Przez pół mili panowała cisza. Przerwał ją Jessamy, odzywając się gwałtownie:

- Zasługuje na to, by obedrzeć go ze skóry! I zrobię to, kiedy znajdziemy go zdrowego i całego!

- Nic z tego, jeśli mam coś do powiedzenia! - sprzeciwił się markiz. - Już od godziny drażni mnie myśl o tym, że obedrę go ze skóry i osobiście. I nikt, nawet Harry, nie pozbawi mnie tej przyjemności. - Słyszac te słowa Jessamy roześmiał się, lecz po chwili zauważył:

- W takim razie, lepiej niech pan mnie obedrze. To moja wina... tylko moja!

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie przyznasz się, że za to wszystko należy cię obwiniać - powiedział oschle Alverstoke. - Nie mam zielonego pojęcia, jakim cudem doszedłeś do takiego idiotycznego wniosku, ale nie trudź się, aby mi to wyjaśniać! Jeżeli oprócz Feliksa można kogoś winić, to jedynie mnie! Przypominam ci, że znajdował się pod moją, a nie twoją opieką.

Jessamy potrząsnął głową.

- Nie powinienem był zostawiać go samego w tym ogrodzeniu. Przecież doskonale wiem, jaki z niego gagatek, sir!

- Czyżby? I naprawdę podejrzewałeś, że gotów zaryzykować życie, by tylko wziąć udział w locie?

- Nie. Dobry Boże, nie! Nawet mi się to nie śniło... Lecz powinienem mieć na niego oko i... i gdybym nie dał się znokautować kuzynowi Buxtedowi... myślę, że dopełniłbym obowiązku - wyznał Jessamy, utkwivszy wzrok przed sobą. - To mój przekłety temperament! Zazdrość, egoizm, to, że obraziłem się tylko dlatego, że kuzyn ośmielił się powiedzieć Feliksowi, by się uspokoił! I miał rację! - Ukrył twarz w dłoniach i dodał zduszonym tonem: - Nigdy nie postąpię właściwie, nigdy!

- Owszem, nigdy, chyba że uda ci się opanować skłonność do popadania w czarną rozpacz - stwierdził obojętnie Alverstoke. Pozwolił, by Jessamy przez chwilę przetrawił ten cios, potem zaś dopowiedział tonem już bardziej dodającym otuchy: - Nie wątpię, że ci się powiedzie. Nie obrażę cię, nazywając małym chłopaczkiem, ale sam wiesz, że masz niewiele lat!

Jessamy opuścił dłonie. Spróbował się uśmiechnąć.

- Tak, sir. Trzeba umocnić swój umysł... nie pozwolić, by go opanowały czy... przemogły grzechy, bo to jest jakby pobłażanie samemu sobie... Jak pan myśli?

- Możliwe. Ale w tej dziedzinie do tej pory wcale sobie nie Poblązałem - oświadczył sucho lord.

- Podobnie jak Fryderyka. Ona też nie wygłasza zawołanych pouczeń! A jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam! - Potem dodał z niespodziewaną naiwnością: - Obawiam się, że dziwnie jest tak mówić o siostrze, ale to prawda i nie wstydę się tego powiedzieć! Może nie jest tak piękna jak Charis, lecz jest... jest...

- Warta tuzina Charis! - uzupełnił lord.

- Tak, na Jowisza, właśnie tak! - zawołał Jessamy z rozjaśnionym wzrokiem.

I ponownie zamilkł. Na pytania Alverstoke'a odpowiadał monosylabami. Ten zaś chciał, na przykład wiedzieć, z jaką, jego zdaniem, prędkością leci balon. Raz jeden Jessamy zawołał szczerze i z własnej woli:

- Postąpił źle... bardzo źle, ale nie może pan zaprzeczyć, że nie brakuje mu odwagi, sir!

- A owszem! Do tego jest uparty jak osioł i pozbawiony wyobraźni.

- Hm, chyba tak... Ale ja nigdy bym się na coś takiego nie odważył!

- Bogu dzięki!

- Nie miałbym tyle ikry - wyznał Jessamy, nie owijając niczego w bawelnę.

- No, to jest nadzieja, że masz więcej rozumu! - stwierdził surowo Alverstoke. - Gdybyś dzisiaj, w twoim wieku, miał choć w połowie taki kurzy mózdzek, powinien byś znajdować się w domu wariatów!

- No tak... gdybym to zrobił! Ale przeraża mnie sama myśl, że młodszy brat ośmielił się uczynić coś, na co starszy nigdy by się nie poważył!

Owo zdradzenie się z chłopięcą zazdrością rozśmieszało Alverstoke'a, nie wyjaśnił jednak Jessamy'emu, dlaczego się śmieje, nakazał mu za to śledzić wzrokiem balon, który - pominąwszy krótkie chwile, kiedy skrywały go drzewa lub zabudowania - pozostawał w zasięgu ich oczu. Wzniósł się na znaczną wysokość, ale najwyraźniej nie szybował zbyt szybko. Od faetonu, wedle szacunków Alverstoke'a, oddalony był o jakieś osiem, dziesięć mil, a odległość ta niewiele się powiększała. Od chwili startu leciał w kierunku zachodnim: okoliczność ta - gdy przesuwał się jeszcze bardziej na zachód - wielokrotnie sprawiała, że Jessamy z największym trudem powściągnął niecierpliwość. Udało mu się to jednakże, choć bardzo chciał ponaglić Alverstoke'a, by ten zjechał z drogi dla dyliżansów i ścigał balon pełną dróżką, która na pozór prowadziła w tamtą stronę. Mimo wszystko rozum podpowiadał mu, by nie robił z siebie głupca. Wiejskie dróżki są niezwykle zdradliwie kręte i często kończą się przy jakiejś zagrodzie czy domostwie. Poskromił więc nerwowe rozdrażnienie, przekonał sam siebie, że balon leci w kierunku północno-zachodnim, zatem należy tylko trzymać się drogi. Ale jeśli musieli czekać na podniesienie szlabanu lub kiedy strażnik opieszale reagował na kierowane ku jego budce władcze żądanie Curry'ego, miał ochotę krzyknąć ze zniecierpliwienia. Drażnił go nawet stoicki spokój Alverstoke'a; gdy markiz wstrzymywał konie, Jessamy aż wbijał paznokcie w dłonie, by nie wybuchnąć i nie powiedzieć czegoś głupiego. Wydawało mu się, że Alverstoke nawet nie próbuje dogonić balonu! Ale potem, kiedy ukradkiem zerknął na niewzruszony profil Alverstoke'a i dostrzegł, że spod przymrużonych powiek śledzi balon, poczuł się raźniej. Uwierzył, że markiz doskonale wie, co robi. Tuż za Stanmore Alverstoke rzucił przez ramię:

- Curry, gdzie za Watford mogę zmienić konie?

- Sam już się nad tym zastanawiałem, jaśnie panie. Moim zdaniem, w Berkhamsted.



- Jeśli ten przeklęty balon szybko nie wyląduje, muszę je zmienić w Watford. Sądzę, że musimy być niedaleko Berkhamsted, a prędzej szlag mnie trafi, niż zagonię na śmierć siwki! Oczywiście, ty przy nich zostaniesz.

- A jak daleko jesteśmy od Berkhamsted, sir? - spytał Jessamy.

- Jakieś dziesięć, dwanaście mil. Rozczarowany Jessamy zawołał:

- Zatem znajdziemy się tam dopiero za godzinę!

- Chyba jeszcze później... pewnie o wiele później!

- Uwaga, sir! - przerwał im Curry. - On chyba ląduje! Jessamy tak wpatrywał się w balon, że oczy zaszczyły mu łzami. Otarł Je dłonią i zawołał gniewnie:

- Och, to piekielne słońce! On wcale nie schodzi do lądowania! Jest tak wysoko jak... Nie, na Jowisza, schodzi, schodzi! Sir, niech Pan spojrzy!

Alverstoke zerknął w tamtym kierunku.

- Niewątpliwie ląduje. Co za ulga! Mówiłem, że opuści się gdzieś w okolicach Watford.

W ten sposób Jessamy'ego ogarnęło szczęście, ogarnął go optymizm i szampański humor. Wybuchnął ochryplym śmiechem i wykrzyknął:

- Jakże ma pan oko, sir! Och, nie powinienem tego mówić! proszę o wybaczenie, sir!

- Mam nadzieję!

- Jak gdyby to pana cokolwiek obchodziło! Pan nie oszuka mnie, sir, gdyż doskonale wiem... - Urwał, a po chwili niezręcznego milczenia dorzucił niepewnie: - Dlaczego on tak skręca? Przecież lada chwila wyląduje!

- Może przypatrujesz mu się pod złym kątem.

- Nie, wcale nie! Pewnie nie ma teraz znaczenia, jak leci! Po jakiejś minucie lasek przesłonił mu widok, a kiedy faeton minął ostatnie drzewa, okazało się, że balon całkiem zniknął im z oczu. Jessamy zaczął zasypywać markiza pytaniami, na które nie było odpowiedzi: co spowodowało, że balon skręcił? Czy można nim w jakiś sposób kierować? Czy sądzi, że nastąpiła awaria zaworu?

- Raczej przypuszczam, że kiedy opuścili się bliżej ziemi, to okazało się, że wieje silniejszy wiatr, niż się spodziewali - odparł Alverstoke.

Jessamy otworzył szeroko oczy.

- Wiatr! Czy pan pamięta, jak kuzyn Buxted nam opowiadał o kotwicach wrywających całe zarośla, a wcale nie mogących zahaczyć balonu, i wtedy musiano zamknąć zawór i ponownie wzbić się w powietrze i...

- Mgliście sobie przypominam, że czarował twoje siostry jakimiś mrozącymi krew w żyłach bajeczkami, ale ponieważ nigdy w życiu nie zdarzyło mi się słyszeć, by powiedział coś godnego uwagi, więc nie przysłuchiwałem się jego oracjom. Mam wrażenie, że nieszczęśliwe wypadki mogą się zdarzyć, lecz skoro balon nie wzbił się ponownie w górę, śmiem twierdzić, że zapewne nie spotkał go zły los.

- No tak, właśnie! Nie myślałem... ach, tylko...

- Jessamy - przerwał znużony lord - twoje uwagi na ten temat są równie bezwartościowe jak Buxteda. Obaj nie macie o tym zielonego pojęcia. Ani ja, muszę przyznać, toteż nie ma najmniejszego sensu bombardowanie mnie pytaniami. A jeszcze mniej sensu ma, byś wyobrażał sobie jakieś katastrofy, gdy,

drogi chłopcze, nie masz żadnych powodów, by się ich spodziewać.

- Proszę mi wybaczyć, sir! - odezwał się sztywno Jessamy. - Nie miałem zamiaru pana zanudzać!

- Wiem, i dlatego udzieliłem ci tej reprimendy - powiedział ugodowo lord.

Jessamy musiał przygryźć wargi, słysząc wielkopańską naganę, i odwrócił twarz, aby Alverstoke nie spostrzegł, że go rozśmieszyło. Kiedy wreszcie dojechali do Watford, wciąż był urażony, jednak wieści, jakie dotarły do nich w „Essex Arms”, całkowicie odwróciły jego myśli ku innym sprawom.

O tak, powiedział karczmarz, widziano tu balon jak na dłoni! Jaśnie pan nie uwierzy, jakie wywołał zamieszanie, wszyscy wybiegli na próg, by go podziwiać, a potem zaczęli uciekać, gdyż zdawało się, że opadnie na sam środek miasteczka.

- Rzecz jasna, tak się nie stało, o czym reszta, prócz kilku zakutych łbów, świetnie wiedziała, jaśnie panie. Ale słyszałem, że balon wylądował gdzieś między nami a King's Langley. I jeśli jest tam jakiś chłopiec, to przysięgam na głowy swoich synów, że to więcej niż się spodziewałem! Niektórzy tam pobiegli, inni okazali się na tyle dorośli, by nie brać udziału w tej głupocie, gdyż mogli się spodziewać, gdzie balon wyląduje, a jaki jest sens biec całe mile, aby obserwować go z ziemi?

- Jak dawno tutaj się wznosił? - spytał niecierpliwie Jessamy.

- Hm, sir, dokładnie nie potrafię powiedzieć - odparł karczmarz, uśmiechając się pobłaźliwie. - Nad miasteczkiem przeleciał jakąś godzinę, może półtorej temu.

Jessamy podniósł ku Alverstoke'owi rozjaśnione oczy, na jego wargach wykwitł uśmiech i odezwał się po prostu:

- Co za ulga! Jak daleko jesteście od King's Langley?

- Nie więcej niż pięć mil, sir. Ale sądząc po tym, co doszło moich uszu, to nie wierzę, by balon tam właśnie wylądował. Mogę tylko powiedzieć, że te tępaki, które za nim pobiegły, jeszcze nie wróciły, więc jeśli nie wgapiają się dotąd tam, gdzie opadł na ziemię, to migają go do sąsiedniego hrabstwa!

- Rozumiem - powiedział Alverstoke. - Może mnie pan uraczyć kuflem warzonego w domu piwa. Jessamy, zamów sobie, na co masz ochotę. Muszę zamienić stówko z Currym.

Mówiąc to wymaszerował z gospody i pośpieszył do Curry'ego, który prowadził siwki do stajni. Okiem eksperta ocenił swoje konie. Były zroszone potem, ale bynajmniej nie wyczerpane.

Curry stwierdził z dumą:

- Pierwszorzędny zaprzęg, jaśnie panie! Nie mówiłem jaśnie panu, że znakomicie idą pod wiatr?

Alverstoke kiwnął głową, jednak Curry dostrzegł, że lekko zmarszczył brwi i popatrzył pytająco.

- Nic się im nie stało, jaśnie panie. Nakarmię je owsem i...

- Tak, dopilnuj tego i daj stajennemu ściśle instrukcje. Zabieram cię z sobą.

- Dobrze, jaśnie panie. Mam nadzieję, że nie stało się nic złego?

- Nie jestem pewny. Nie ma potrzeby mówić o tym paniczowi Jessamy'emu, lecz nie ulega wątpliwości, że balon zboczył z kursu. Cóż, jeśli wiatr się utrzyma, mają tutaj otwartą przestrzeń i może uda się im bezpiecznie wylądować.

- Nie widzę powodu, by miało stać się inaczej, jaśnie panie.

- Zgadza się, lecz ludzie, którzy pobiegli za balonem, chyba jeszcze nie wrócili. Cóż więc mogło ich

zatrzymać? Przecież nie czasa i pusty kosz?

- Hm, jasnie pan sam wie, jacy są chłopcy! - podsunął Curry.

- Wiem doskonale! Ale to nie byli sami chłopcy. Możliwe, że udzieliło mi się podenerwowanie panicza Jessamy'ego, jednak przeczucie mówi mi, że mogą cię potrzebować. Za kwadrans!

Wrócił do karczmy i zastał Jessamy'ego popijającego z wielkiego kufła. Chłopiec odstawił go, westchnął z zadowoleniem i wręczył markizowi podobny kufel ze słowami:

- Chryste, ale chciało mi się pić! To pana, sir. Barman twierdzi, że to piwo naprawdę zwala z nóg!

- W takim razie za chwilę zakręci ci się w głowie i będę cię tutaj musiał zostawić, żebyś się trochę przespał.

- Hm, podejrzewałem, że mogę się upić, więc zamówiłem dla siebie tylko pół kufła.

- Dzięki Bogu!

Jessamy roześmiał się i trochę nieśmiało zauważył:

- Mam wrażenie, że jak na dzisiaj już dość przysporzyłem panu kłopotów, sir! Moimi... moimi niepoohamowanymi obawami.

- A cóż takiego powiedziałem, że tak sądzisz? - zdziwił się Alverstoke.

- Może pan próbować mnie okpić, ale świetnie pan wie, sir! Takie skarcenie...! Lękam się, że byłem niegrzeczny, a nie powinienem!

- Elegancko powiedziane! - pochwalił Alverstoke. - Lecz jeśli sądzisz, że cię skarciłem...!

- Hm, miałem nadzieję, że nie pogniewa się pan na mnie - wyznał szczerze Jessamy. - Sir, kiedy ruszamy w dalszą drogę? Myślę, i wcale bym się nie zdziwił, gdybyśmy spotkali ich, jak będą wracać do Londynu. Tylko że... co stanie się z balonem?

- Nie mam zielonego pojęcia. Choć przyznaję, że to trafne pytanie.

- Chwilę temu wpadło mi do głowy. Nie przewiozą go, nie napelnią też na nowo czaszy, bo skąd by wzięli wodór? A nie mogą załadować tego wszystkiego do wozu... prawda, mogliby, ale zajęłoby im to cały dzień, nim by się stąd wydostali, nawet gdyby wiedzieli, gdzie wylądują, a przecież nie wiedzieli.

- Szczera prawda. Należy zatem podejrzewać, że zmuszeni będą przewieźć go jakimś chłopskim zaprzęgiem czy czymś w tym rodzaju w jakieś bezpieczne miejsce... gdzie będą go mogli ponownie napelnić.

- Hm, jeśli tak sobie radzą, czy nie jest to dowodem, że cała ta impreza jest czystym szaleństwem? - zauważył pogardliwie Jessamy.

- Świetny sposób na wybranie się w podróż! Łądowanie w szczerym polu, prawdopodobnie wiele mil od celu, a następnie przymus pakowania gondoli, kotwic i całej reszty sprzętu na jakąś przygodną furmankę, nim po wielu trudach znajdzie się odpowiedni powóz!

- Trzeźwo myślisz - pochwalił Alverstoke. - Ale zastanawiam się, czy balony wynaleziono wyłącznie dla celów podróży. Gotów do dalszej drogi?

Jessamy natychmiast zerwał się i wybiegł na podjazd. Krytycznym spojrzeniem oceniał nowy zaprzęg, kiedy dołączył do niego Alverstoke wymieniający z Currym rozmaite obraźliwe uwagi na temat tych pociągowych koni. Zdumiał się, gdy Curry wysforował naprzód, lecz nim powiedział, że sądził, iż to jemu

właśnie markiz powierzy Pieczę nad siwkami, ugryzł się w język.

Pograżał się w myślach, ledwie skinął głową, gdy milę za Watford Alverstoke lodowatym tonem krytykował konie, które wyrobiły w sobie nawyk ciągnięcia się noga za nogą.

Nie spotkali żadnych innych pojazdów poza pocztowym dylizansem i jakimś prywatnym powozikiem - oba co koń wyskoczy podążyły w kierunku południowym. Jedynym pieszym okazał się czcigodny dżentelmen w roboczym ubraniu, który z oburzeniem wyparł się wszelkiej znajomości z jakimikolwiek balonami, dodał przy tym, że nie ma nic wspólnego ani z nimi, ani z żadnym innym paskudnym nowomodnym wynalazkiem. Aż wreszcie Alverstoke dostrzegł na widnokręgu grupkę gapiów, więc podjechał w tamtą stronę. Większość zgromadzonych była niedorostkami, a wtargnęli na pocztową drogę, pokonując furtę prowadzącą do zabudowań farmy i do niezmiernych przestrzeni pastwisk. Przekrzykiwali się jeden przez drugiego, przy tym (stwierdził ironicznie markiz) wyglądali na takich, co bez trudu pokonają dwie mile, by podziwiać balon, z którego uszło powietrze.

Rzeczywiście, okazało się to prawdą; ich ciekawość została sownie zaspokojona. Co prawda przybyli za późno i żaden z nich nic nie zdążył zobaczyć, ale kiedy przybyli (jak chórem zapewniali jego lordowską mość), stali się świadkami niezwykłego widowiska, jakie nigdy nie wydarzyło się w tych stronach ani jakiego nikt nigdy nie widział. Baloniarze musieli być niespełna rozumu, gdyż mając dobre trzy akry pustego pola, zdecydowali się wylądować akurat na kępie drzew, no i zaplątali się w gałęzie. Och, co za straszliwy wypadek! Bo choć jeden z dżentelmenów bezpiecznie zszedł na ziemię, to drugi próbował pomóc smarkaczowi, który był z nimi, i wszystko wskazuje, że uczynił to tak niezgrabnie, że złamał sobie rękę. A szczeniak spadł z drzewa, zalał się krwią i wyglądał jak nieboszczyk.

- To zaś - powiedział markizowi najstarszy z gapiów - już wcale nie było śmieszne, reszta zresztą też nie.

- Gdzie? - wychrypiał Jessamy. - Gdzie?

- Och, teraz niczego pan nie zobaczy, sir! Ponad godzinę temu zabrano ich na Farmę Monka, a smarkacza to położyli na desce. Cóż. my wszyscy, którzyśmy przybiegli tu z Watford, spóźniliśmy się i nie zobaczyliśmy nic poza balonem zaplątanym w konary wiązu, nie wiadomo też, kiedy zamierzają go zdjąć, ale nie warto na to

Czekać.

- Widziałem, jak doktor jechał swoim gigiem! - zawołał piskliwie jeden z łobuziaków.

- A tak, widziałeś, i panna Judbrook utarła ci nosa za wścibstwo!

- Gdzie leży ta farma? - spytał Alverstoke, przerywając wesołość, lka zapanowała po ostatniej uwadze.

Powiedziano mu, że w Clipperfield: oświadczenie to najwyraźniej f miało mu wszystko wyjaśnić. Kiedy jednak markiz zażądał dokładniejszych informacji, to z chaotycznych, sprzecznych z sobą i nieskładnych wskazówek, udzielanych przez kilka osób naraz, dowiedział się, że leży przy skrzyżowaniu drogi wiodącej do wioski i pocztowego traktu do King's Langley.

Lord uciał wysiłki skorego do pomocy młodzieńca, który chciał dokładnie opisać położenie Farmy Monka, i odjechał mówiąc:

- Prędzej dowiemy się, gdzie jest ta farma, kiedy dojedziemy do Clipperfield. - Zerknął przelotnie na Jessamy'ego i dodał: - Weź się w garść! Pamiętaj, że jest przy nim lekarz!

Jessamy, blady jak ściana, desperacko usiłował zapanować nad dreszczami, wstrząsającymi jego wątłym ciałem. Wreszcie zdołał przemówić:

- Oni... oni mówili...

- Słyszałem! - przerwał Alverstoke. - Wyglądał jak nieboszczyk i był zalany krwią. Wielkie nieba, chłopcze, całe życie spędziłeś na wsi i dotąd nie wiesz, że ci niepiśmienni chłopci z najbliższego wypadku robią cały dramat? „Wyglądał jak nieboszczyk”, to można zrozumieć, że po upadku stracił przytomność, a „cały zalał się krwią”...! Do diabła, może tylko podrapał sobie twarz o gałęzie, gdy stracił równowagę i spadał z drzewa?

Jessamy, zdobywszy się na dzielny uśmiech, przyznał:

- No tak, oczywiście! Albo może leciała mu krew z nosa!

- Wielce prawdopodobne!

- Owszem. Tylko... - Urwał, przez chwilę niezdolny zapanować nad głosem, potem wybuchnął: - Ale to... nie jest błahy... wypadek!

- Nie, i obawiam się, że mógł sobie coś połamać - odparł spokojnie Alverstoke. - Miejmy nadzieję, że będzie to dla niego nauczka! A teraz, młody przyjacielu, zamierzam zrobić coś, o co prosiłeś mnie od początku naszej wyprawy: popędzić konie!

Kiedy to powiedział, konie poderwały się do kłusa i szybko wydłużyły krok do galopu. W każdych innych okolicznościach Jessamy skupiłby całą uwagę na trudnej sztuce powożenia nieznanym zaprzęgiem, galopującym krętą, wąską aż do granic bezpieczeństwa, a przy tym bardzo uczęszczaną drogą. Teraz jednak zżerał go straszliwy niepokój, więc gdy Alverstoke bezbłędnie podjeżdżał pod wzgórze lub lekko brał niespodziewany zakręt, zdolny był jedynie do ponaglania. To nie on, lecz Curry zamknął oczy, kiedy Alverstoke o włos minął niewidoczny wcześniej zakręt, ledwie mieszcząc się między faetonem a nadjeżdżającym z przeciwka powozem; to Curry, gdy na horyzoncie pojawiły się pierwsze zabudowania King's Langley, westchnął:

- Na miłość boską, jaśnie panie...!

Lecz nawet te słowa uwięzły mu w gardle, markiz bowiem jeszcze popędził konie. Kiedy zaprzęg galopem wjechał do miasteczka, markiz rzucił przez ramię:

- Tak, Curry? O co chodzi?

- O nic, jaśnie panie! Tylko że myślałem, iż jaśnie pana nieco zamroczyło, z przeproszeniem waszej wielmożności! - odparł wiemy sługa, zdobywając sobie tym samym patent starego i zaufanego członka świty.

- Mogłeś mieć takie wrażenie! Niezbyt bystry mam wzrok.

- Patrzcie! Drogowskaz! - zawołał nagle Jessamy, wychylając się do przodu.

- Clipperfield i Sarratt! - odczytał Curry.

Lord pospiesznie skręcił za róg, ale natychmiast musiał powstrzymać konie i jechać wolniej. Podjazd był kręty i wąski, wysadzony rozwichrzonymi krzewami i poryty takimi koleinami, takimi dziurami, że Curry w przyływie czarnego humoru zauważył, iż mają szczęście, że to czerwiec, a nie styczeń, gdyż wtedy droga naprawdę okazałaby się pełna zdradliwych pułapek. Pod koniec dwóch przejechanych mil, kiedy nerwy

Jessamy'ego napięte były do ostatnich granic, koniuszy odezwał się:

- Na skrzyżowaniu prosto, jaśnie panie, a po lewej widzę jakieś dwa kominy. To chyba tu!

Jeśli w Clipperfield wypadek wzbudził jakieś zainteresowanie, to dawno ono wygasło. Ujrzeni tylko jedną mieszkankę: przysadzistą niewiastę, zajęta ścinaniem kapusty z grządki w ogródku na froncie domu. Poinformowała ich, że dosyć ma zmartwień na głowie, by zajmować się jeszcze balonami, nie mogła zatem udzielić Jessamy'emu żadnych nowych wiadomości o Feliksie. Wyjawiała jednak Alverstoke'owi, że Farma Monka leży jakąś milę w dół drogi, w kierunku Buckshill. Nożem pokazała kierunek południowy i stwierdziła, że nie sposób pobłądzić: nie bardzo jej uwierzył, ale okazało się, że mówiła prawdę.

Sto jardów w bok od drogi leżało obszerne, rozrosłe domostwo, wyraźnie zasiedziałe tu od wieków, a otaczały go stodoły, chlewy i obory. Przed otwartymi drzwiami, obok gigu doktora, stał pilnujący go człowiek. Alverstoke wykręcił przy masywnej białej bramie i zajechał pod farmę.

Jeszcze zanim faeton przystanął, Jessamy wyskoczył z powozu i niemal biegiem popędził do domu. Ktoś piskliwym głosem zaczął się dopytywać, kim jest, i po co tutaj przyjechał.

- Aha! - zrozumiał markiz. - To chyba dama, która dała nauczkę młodemu... hm... wścibskonosemu!

## 21

Otwarto drzwi domostwa. Oczom podróżnych ukazała się nierówno wyłożona kamiennymi płytami sień, a na jej końcu podest zdeptanych dębowych schodów, prowadzących na piętro. Jessamy, po gwałtownym wtargnięciu, zawahał się, stanął bowiem twarzą w twarz z kościstą niewiastą, której ostre rysy natychmiast zdradzały, iż cierpi chronicznie na złe humory. W odpowiedzi na gniewne zapytanie, wyjąkał:

- Proszę o wybaczenie! Chodzi o mojego brata! Chłopca... którego tu przywieziono!

Wyjaśnienie to bynajmniej nie ułagodziło gospodyni, a efekt wywarło podobny do tego, jakby pod wagon pełen prochu podłożono zapalną.

- O, tak, brata? Wobec tego jestem wielce zobowiązana widząc tu panicza, sir, i ufam, że go panicz stąd zabierze! Mój dom to nie szpital, i proszę się dowiedzieć, że mam zbyt dużo roboty, by jeszcze doglądać chorych smarkaczy! Co więcej, nie jestem siostrą miłosierdzia i niech panicz wie, że nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności!

Zanosilo się na długie kazanie, lecz kobieta nagle urwała i otworzyła szeroko usta. Na progu stanął Alverstoke. Zawsze imponujący, teraz wręcz przerażał. Miał na sobie długi płaszcz z jasnej wełny z licznymi, opadającymi z ramion, pelerynami a pod nim wyjątkowo elegancki strój, jaki markiz zwykł nosić w Londynie - niezwykle wytworna kamizelka, jasne bryczesy i wyglansowane do połysku buty do konnej jazdy. Na Bond Street zginałby w tłumie, ale w tej prowincjonalnej miejscowości wydawał się zupełnie nie na miejscu. Panna Judbrook wszakże była zszokowana i zdumiona.

Markiz odezwał się łaskawym, choć nieco lekceważącym, charakterystycznym dla osób z wyższych sfer tonem:

- Ależ dlaczego, droga pani? Przypuszczam, że mam do czynienia z panną Judbrook. Jestem lord Alverstoke. Jeśli pani pozwoli, chciałbym się widzieć z lekarzem.

Panna Judbrook, tak podekscytowana, że prawie zapomniała o konwenansach, powiedziała:

- Oczywiście, jasnie panie! - Jednak była na tyle trzeźwą w osądach damą, że szybko odzyskała rezon. - Mam nadzieję, że nie okażę się nieczułą, jasnie panie, ani nikt z mojej służby, lecz nie jest moim powołaniem opieka nad chłopakami, którzy wypadli z balonów. Nie mogę i nie chcę się tego podjąć. I Judbrook doskonale powinien o tym wiedzieć, miast przywozić go tutaj bez słowa uprzedzenia. On tylko poprosił Betty dojarke, aby przy nim siedziała! Ja nie zamierzam za nią oporządzać krów, niech nawet o tym nie myśli! Pewnie, że bardzo współczuję młodemu paniczowi, lecz gdyby miał tutaj pozostać w takim złym stanie, a ja miałabym czuć, że ruszy ręką czy nogą, to dziękuję! Brak mi i czasu, i cierpliwości. Powiedziałam o tym zresztą od razu doktorowi Elcotowi. A gdyby panna Hucknall przestąpiła próg tego domu, to natychmiast wyjeżdżam, postanowione!

- Hm, cóż, bez wątpienia wszystko uda się polubownie załatwić... kiedy zamienię słowo z doktorem! - przekonywał Alverstoke.

Panna Judbrook z oburzeniem pociągnęła nosem, lecz wyraźne znudzenie markiza zbiło ją z tropu. Odezwała się więc już bardziej ugodowo:

- Jestem tego pewna, jasnie panie! Lekarz jest w saloniku... zaśmiecił go bandażami, łubkami, misami z wodą i Bóg jeden wie, czym jeszcze! Tędy! - Otworzyła drzwi po lewej stronie korytarza, mówiąc: - Panie doktorze, chce się z panem zobaczyć lord Alverstoke i brat chłopca. A ja będę wielce zobowiązana, jeśli pan przestanie bez ustanku zalewać wodą mój nowy dywan!

- Och, daj spokój, kobieto, odejdz! - zawołał gniewnie lekarz. Wbrew swym oczekiwaniom, Jessamy zastał w salonie tylko doktora i dwóch aeronautów. Jeden z nich, z czołem zalepionym Plastrem, siedział na krześle przy stole, lekarz zaś bandażował mu złamane ramię. - Gdzie Feliks?! - wybuchnął Jessamy. - Mój brat?

Doktor przerwał zajęcie i spod krzaczastych brwi zmierzył intruza przenikliwym wzrokiem.

- Więc jesteś jego bratem? Hm, nie ma potrzeby, byś tak się denerwował: nie zdołał się zabić! - Przeniósł spojrzenie na Alverstoke'a i łaskawie obdarzył go skinieniem głowy. - Dzień dobry, mój panie. Czy pan jest krewnym chłopca?

- Kuzynem... hm... i opiekunem! - wyjaśnił Alverstoke. Doktor, nie przerywając pracy, ciągnął:

- W takim razie, pozwoli pan sobie wypomnieć, że opiekunem jest pan wyjątkowo beztroskim!

- W istocie, tak może się wydawać - zgodził się Alverstoke. - Czy chłopczyk jest ciężko ranny?

- Powiem to panu za kilka dni. Doznał silnego wstrząsu, poranił twarz, zwichnął nadgarstek, lecz prócz kilku żeber nic sobie nie połamał. Oczywiście, jest nieźle podtluczony. Ocknął się jakieś półtorej godziny temu. Skarżył się na ból głowy. Co może oznaczać...

- To z powodu wysokości! - wtrącił pacjent, którym zajmował się lekarz. - Wiele osób cierpi na dotkliwe bóle głowy, gdy...

- Nie jestem ignorantem! - warknął doktor. - Proszę się nie ruszać!

- Czy on... czy on... uszkodził sobie mózg? - spytał Jessamy, choć lękał się usłyszeć odpowiedź. Lekarz ponownie przeszył go badawczym spojrzeniem.

- Nie ma powodu, by tak przypuszczać. Nie doszedł jeszcze całkiem do siebie... i nie należało się tego po

nim spodziewać... ale, pamięta, co mu się przydarzyło. Powtarza w kółko, że źle zrobił i coś tam mamrocze o spadaniu.

I tym razem wtrącił się aeronauta, zwracając się do Alverstoke'a.

- Jaśnie panie, myślałem, że jest bezpieczny! Wszystko szło dobrze do chwili, w której zaczęliśmy podchodzić do lądowania! Wtedy zniósł nas wiatr. Proszę zrozumieć, kiedy opuści się pan już blisko ziemi...

- Tak, rozumiem, że wtedy często napotyka się wiatry, których nie ma na większych wysokościach - przerwał Alverstoke. - No i zarzuciło was na drzewa. Nieważne! Chcę tylko wiedzieć, jeśli laska, co zdarzyło się, kiedy już zaplątaliście się w... hm... w ten bodajże wiąz?

- Tak sir, zdaje się że to był wiąz. Nie bardzo znam się na drzewach. Kiedy pan Oulton zorientował się, że lądowanie nie przebiegnie tak gładko, jak zakładaliśmy, albowiem zaciął się zawór bezpieczeństwa, gdy próbował go zamknąć, krzyknął do mnie, bym pochwycił gałąź i po niej zszedł z kosza. „Ty pierwszy, Beenish, i pomóż zejść chłopcu!” - powiedział. Wykonałem polecenie, poszło dość gładko. Nawet wtedy nie zanosilo się na większe niebezpieczeństwo, gdyż wcześniej zrzuciliśmy z kosza balast, więc balon nie połamał gałęzi i nie spadł na ziemię jak kamień. Zawór był otwarty i gaz szybko uchodził, więc nie było obawy, że balon znowu się uniesie. A ten mały gość wcale się nie bat! Przysięgam! Zachowywał się jak stary wyjadacz, a zajmowało go wyłącznie sterowanie balonem! „Proszę się o mnie nie martwić! - powtarzał. - Poradzę sobie!” W co nie mam prawa wątpić, jaśnie panie! To pan Oulton pomagał mu zejść z drzewa i kiedy pomyślałem, że nie potrzebuje mojej pomocy, nagle zobaczyłem, że chłopiec stracił głowę. No i... nie wiem, co mogło się stać, gdyż moim zdaniem konary były masywne i stabilne, ale wszystko stało się tak szybko, że nie mogę być całkiem pewien. Wiem jedynie, że zawołał: „Nie dam rady!” i... i spadł. Jaśnie panie, przysięgam na wszystko! Próbowałem go schwycić, ale straciłem równowagę, a potem sam zleciałem z drzewa!

Jessamy, który słuchał tego wszystkiego z narastającym niedowierzaniem, zawołał:

- Feliks! Ależ on wspina się po drzewach jak kot!

- Młody człowieku - odezwał się doktor. - Jeśli sam nie rozumiesz, dlaczego twój brat nie zdołał chwycić się gałęzi, to cię oświecę! Miał zdrewniałe z zimna ręce, ot co!

- O, Boże! - wyrwało się Beenishowi. - Nie przyznał się...

- Nie sądzę, aby to rozumiał. Wiedział, że zmarł, ale nie zdawał sobie sprawy, iż ręce nie są w pełni sprawne. Jak to chłopiec... zanadto był podekscytowany!

Beenish, popatrując na markiza, najwidoczniej rozdarty był między wyrzutami sumienia a pragnieniem, by go z nich oczyszczono.

- Jaśnie panie, to nie moja wina! Może powinienem był odesłać go zawczasu, ale nie czynił nam żadnej szkody, a sam pan Oulton stwierdził, że to taki bystry dzieciak... niepodobny do swoich rówieśników, którzy zadowolają się jedynie obserwowaniem wznoszenia się balonu i nie interesują się, dlaczego tak się dzieje lub...

- Proszę mi wierzyć, o nic pana nie oskarżam! - zawołał markiz.

- Jeśli należałoby kogokolwiek winić, to tylko mnie, że nie upilnowałem chłopca, kiedy pozostawał pod moją opieką.



- To nie pana wina! Moja... tylko moja! - krzyknął przyjęty Jessamy.

- Jaśnie panie, my nie podejrzewaliśmy, że chłopiec planuje coś zrobić! Tak, powiedziałem, że z radością przyjęlibyśmy go na pokład, ale nawet nie wyobrażaliśmy sobie... Wie pan, błagał nas, lecz pan Oulton odprawił go surowo, mówiąc, że jest za mały i... dzieciak najwyraźniej był urażony... jeśli jaśnie pan rozumie, co mam na myśli...

- Doskonale to rozumiem - przyznał ponuro markiz.

- No i właśnie, wielmożny panie! Powiedziałem mu, że nie możemy go zabrać bez zgody ojca... i wtedy odwołał mnie pan Oulton! No tak, i mnie uświadomił, że jeśli weźmiemy na pokład niepełnoletniego chłopca bez zgody jego ojca, wylądujemy w więzieniu! - Na to wspomnienie pan Beenish uśmiechnął się gorzko.

- I niech mnie diabli, ale ten łobuziak wypomniął mu te słowa, kiedy już wciągnęliśmy go do kosza. „Wszystko w porządku! - uspokoił pana Oultona, niewzruszony jak kamień! - Nie wsadzą pana do więzienia, gdyż jestem sierotą!” - Parsknął śmiechem. - Ma żelazny charakter. Nerwy jak ze stali! Kiedy spostrzegłem, że uczeplił się liny, a balon bardzo szybko wzbijał się w górę, jak zwykle, jaśnie panie, pomyślałem, że musi być przerażony i zaraz zrobi coś głupiego, my zaś mogliśmy uczynić tyle tylko, że krzyczeliśmy do niego, by się mocno trzymał! Trzymał się i, jak pan widział, udało się nam go wciągnąć. Ach, cieszył się każdą chwilą lotu, nawet kiedy z zimna szcząkał zębami! - Jessamy jęknął, więc aeronauta odwrócił głowę. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, sir, ale niewiele mogliśmy zaradzić.

- Wiem. Uratowaliście go. Jestem... jestem niezwykle wdzięczny. Sir, a gdzie on jest? Czy mogę go zobaczyć?

- O tak, oczywiście, możecie go zobaczyć! - odezwał się doktor.

- Jest na piętrze, zapakowany do łóżka, pierwsze drzwi na prawo od schodów. Możesz tam iść i posiedzieć przy nim. I przekaz dziewczynie, którą przy nim zostawiłem, że może wracać do krów. Chłopiec mocno śpi, więc nie waz się go budzić! No i nie przerażaj się, że ma obandażowaną głowę! Musiałem założyć kilka szwów!

- Dobrze! - zgodził się posepnie Jessamy. - Lecz jeśli sam się obudzi, to mam pana zawołać?

- Nie obudzi się, dałem mu środki nasenne, bo chcę, żeby spał jak najdłużej. Idź już! - Popatrzył, jak Jessamy pospiesznie wybiega z pokoju, uśmiechnął się do Alverstoke'a i poprawił temblak, który zawiązał na szyi Beenisha. - Skończyłem już z panem - powiedział.

- Niech to będzie dla pana nauczka! Gdyby Wszechmogący chciał, żeby ludzie latali, to wyposażyłby ich w skrzydła! Przez jakiś czas niech pan lepiej siedzi spokojnie.

- Och, nic mi nie jest! - odparł pogodnie Beenish. - Jestem w kapitalnej formie, panie doktorze... dzięki za wszystko, co pan zrobił! Pragnę tylko, żeby małemu się nie pogorszyło. A teraz idę sprawdzić, czy ściągnęli już balon.

- Ma więcej ikry niż rozumu! - stwierdził lekarz, kiedy za Beenishem zamknęły się drzwi. - Balony! Pytam, co dalej?

- Feliks mógłby udzielić panu wyczerpującej odpowiedzi, ja nie potrafię - odparł Alverstoke. Zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło.

- Doktorze, teraz poważnie, proszę! Jak ciężkie obrażenia odniósł chłopiec? Lekarz burknął pakując instrumenty medyczne do torby:

- Proszę mnie zapytać o to jutro, mój panie. Nie kłamałem, mówiąc, że jeszcze na to za wcześnie. Ale co mogłem innego powiedzieć w obecności jego brata? Znam takie typy i nie chcę, aby i on stał się moim pacjentem. Kłębek nerwów! No a ten drugi... jak pan o nim mówił? Feliks? Hm... tak... zatem nie połamał sobie nic więcej, prócz kilku żeber, a tym naprawdę nie ma powodu się martwić. Doznał jednak silnego wstrząsu... dlatego nafaszerowałem go największą bezpieczną dawką laudanum. Ogólnie, nie sędzę, nie wierzę w to, ale w takich wypadkach najważniejsze jest pozostawienie chorego w spokoju. Nie przywiązuję większej wagi do bólu głowy, ale nic jeszcze nie wiadomo, więc jeśli pan planuje, lordzie, przewiezienie go stąd, to stanowczo się sprzeciwiam.

- Proszę się uspokoić, doktorze, wcale nie mam takiego zamiaru!

- Świetnie! Ale jeżeli się nie mylę, chłopcu będzie potrzebna troskliwa opieka, i w tym cały problem. Judbrook jest przyzwoitym chłopem, lecz na jego siostrze nie można polegać, a ja, niestety, nie zdołam przysłać pielęgniarki. W okolicy mieszka tylko jedna i ma pełne ręce roboty ze skomplikowanymi porodami...

- Jeżeli - przerwał markiz - mówi pan o panie Hucknall, to możemy nie marnować czasu omawiając jej zalety! Panna Judbrook zdążyła mnie już poinformować, że kiedy pani Hucknall przestąpi próg tego domu, to ona się wyprowadzi. Ale proszę nie niepokoić się w tej kwestii! Jutro albo ciotka Feliksa, albo, co prawdopodobniejsze, jego siostra, panna Merriville, przyjedzie tutaj, by się nim zająć. A teraz nalegam, niech pan niczego nie owija w bawełnę i poinformuje mnie, czego się obawia.

Doktor Elcot zamknął torbę i przez chwilę milczał. Zmarszczył brwi. Wreszcie odezwał się:

- Chłopak, mój panie, przemarzył do szpiku kości.

- Ja sam od bardzo niedawna się nim opiekuję, ale wiem od jego siostry, że Feliks ma skłonność do jakichś płucnych chorób, bronchitów, zdaje się.

Doktor obruszył się.

- Jasne! Nowe określenie na starą chorobę! Jeżeli nie przyplącze się nic poważniejszego, chłopak może mówić o szczęściu! I, lordzie, nie powiem nic więcej, niż wiem. Przekonamy się! Poity Judbrook jest gderliwą starą panną, ale miała przynajmniej tyle zdrowego rozsądku, że owinęła chłopca w koce i położyła mu w nogach rozgrzaną cegłę. On zaś wydaje się zdrowy jak rydz... tryska zdrowiem, jak mniemam! - I lekarz dodał gburliwie: - Jak pan chce, lordzie, to może pan posłać do Londynu po jakiegoś z waszych doktorków, nie mam nic przeciwko temu! Ale na razie nie powie panu nic więcej niż ja, nie będzie też w stanie dać innych wskazówek. Trzymać chłopca w cieple, w spokoju, dawać mu tyle jęczmiennego kleiku, ile zdoła wypić... powiem Poity, by go przyrządziła, i bez obawy, zrobi to, a jeśli mały dostanie gorączki, to podawać mu sól przeczyszczającą! Przyrządzę tę miksturę i przyślę przez służącego. Żadnego grzanego wina ani innych babskich remediów! - Urwał, popatrzył powątpiewająco na markiza. - Zakładam, że lord pozostanie przy dzieciaku?

- Oczywiście! Ponieważ jednak niewiele mam doświadczenia w chorobach i nigdy dotąd nie pielęgnowałem osoby cierpiącej, będę zobowiązany, jeśli pan wyjaśni mi dokładnie, czego się po mnie

spodziewa i co powinienem robić. A także gdzie, w razie potrzeby, będę mógł pana znaleźć.

- Wszyscy w okolicy powiedzą to panu, a gdyby w stanie zdrowia chłopca zaszły jakieś niepokojące zmiany, Judbrook pośle po mnie któregoś ze swoich parobków. Sam także zajrzę - dodał z przebłyskiem wisielczego humoru - gdyż wygląda mi pan na rozsądnego człowieka, lordzie. Nie takiego, który wpadnie w panikę, jeśli chłopiec zacznie majaczyć, kiedy przestanie działać lekarstwo. Jego przypadek nie jest beznadziejny. Odwiedzę go rano.

Kiedy doktor odszedł, markiz przez dłuższą chwilę rozważał zaistniałą sytuację. Z pewnością była niezwykła; i kiedy przygotowywał się, by sobie z nią poradzić nie tracąc ani głowy, ani zimnej krwi, zerknął na kilka uwag zanotowanych pospiesznie przez lekarza. Wolałby, żeby instrukcje były bardziej szczegółowe. Popatrzył smętnie na karteczkę, potem złożył ją i wsunął do notesu, następnie ruszył na poszukiwanie Curry'ego.

- W niezłych znaleźliśmy się opalach, jaśnie panie! - zawołał Curry. - Powiedziały mi... Betty i ta stara baba-dragon, że panicz Feliks niebawem opuści ziemski padół, ale mam nadzieję i ufam, że tak się nie stanie.

- I ja tak sądzę. Curry, chcę posłać cię do Londynu.

- Tak, jaśnie panie? - Curry wlepił wzrok w pryncypała.

- Owszem, i to jak najszybciej - zapewnił Alverstoke, wyjmując zegarek. - Powinieneś dojechać tam przed północą. Konie zmieniaj tak często, jak tylko uznasz za stosowne! Zabierzesz ze sobą panicza Jessamy'ego. Tutaj nie będzie z niego żadnego pożytku, a panna Merriville może uznać, że sprawa jest bardzo poważna, jeśli ani on, ani ja nie wrócimy dziś wieczór. On może jej nawet pomóc, a poza w tym będzie towarzyszyć siostrze jutro, gdyż jestem prawie pewien, że przyjedzie opiekować się paniczem Feliksem.

- Jeśli nie przyprawi jej o rozpacz - zauważył Curry. - Jaśnie Panie, on miota się jak mucha w dziegiu!

- Rzeczywiście! Lecz, jeśli się nie mylę co do niego, przestanie, kiedy tylko poczuje się odpowiedzialny za siostrę. Do Watford wrócisz faetonem i tam go zostawisz. Resztę drogi odbędziesz dyliżansem. Weź to!

Curry, biorąc zwitek banknotów, zawahał się chwilę.

- Jaśnie panie, może pan ich potrzebować!

- Nie w tej chwili. Jutro przywieziesz mi więcej gotówki, dopatry tego pan Trevor. Kiedy zajedziesz na Upper Wimpole Street, postaraj się zamienić słówko z panną Merriville! Poinformuj ją, że mój powóz zajedzie po nią jutro rano o żądanej przez nią godzinie, lecz nie pozwól, aby wyruszyła w drogę jeszcze dzisiaj w nocy! Mam nadzieję, że ma dość rozsądku, by tego nie robić. Kiedy już wszystko z nią ustalisz, ruszaj do Alverstoke House. Tam oddasz panu Trevorowi list, który zaraz napiszę. Będziesz jutro towarzyszył pannie Merriville... albo, możliwe, pannie Winsham... do Watford, tam zaś weźmiesz siwki i mój faeton i przywieziesz je tutaj do mnie. Aha, Curry, jeszcze jedno! To ty dowodzisz całą wyprawą, a gdyby panna Merriville mówiła coś o wynajęciu karety pocztowej albo czegoś innego, przekaz jej, iż rozkazałem, aby podróżowała moim powozem... z całą pewnością się przyda, kiedy już będzie można stąd zabrać panicza Feliksa. Teraz natomiast postaraj się wydobyć od tej wyjątkowo niemilej damy pióro, kałamarz i papier listowy, i przynieś mi je do gabinetu! Podejrzewam, że ta dama będzie się bardzo na mnie krzywić!

- Zrobię to, jaśnie panie! - zawołał z uśmiechem Curry. - Prawdziwa z niej jędza! Ale powiem jej: „Jego lordowska mość za wszystko, co potrzebuje - tak będę mówił - sownie panią wynagrodzi!” A wtedy, jaśnie panie, na pewno spuści z tonu!

- Miło mi to słyszeć. Przekaż, by wynajęła jakąś kobietę z wioski... albo tyle kobiet, ile zechce, a ja im zapłacę! Gdzie podziewa się jej brat? Widziałeś go może?

- Nie, nie widziałem, jaśnie panie. Ruszył z kilkoma mężczyznami, by zdjąć balon i załadować go na furgon. To następna przyczyna, dla której panna Brimstone kręci nosem!

- Zdumiewasz mnie! - zawołał lord.

Materiały piśmienne, które Curry dostarczył do salonu, pozostawiały wiele do życzenia: atrament zgęstniał, pióro wymagało natychmiastowej naprawy, a papier miał ośle uszy i był nieco chropowaty. Lord uczynił, co w jego mocy, jednak zde gustowany licznymi kleksami, po prostu złożył kartkę, na której pisał polecenia dla Charlesa Trevora. Może i zmuszony był do pisania koślawym piórem na niechlujnym papierze, lecz nie miał najmniejszego zamiaru opieczętować tego listu zjadliwym różem, błękitem czy równie zjadliwą zielenią.

Wręczył list Curry'emu i już miał wejść na piętro, kiedy zatrzymało go przybycie pana Oultona w towarzystwie wieśniaków. Musiał więc zdobyć się na cierpliwość i wysłuchać jego wyjaśnień, wymówek i przeprosin. Szybko zorientował się, że Judbrook to człowiek nie gadający po próżnicy, a przy tym pełen dobrej woli.

- Proszę mi tylko powiedzieć, czego panu potrzeba, a ja natychmiast się tym zajmę, lordzie - powiedział. - Moja siostra ma muchy w nosie, ale tutaj ja jestem panem, nie na obawy!

Feliksa położono w obszernym, nisko sklepionym pokoju. Leżał na łożu ze szkarłatnym baldachimem, przykryty kołdrą zszytą z różnokolorowych kawałków. Spał ciężkim snem, oddychał chrapliwie, miał obandażowaną głowę. Wydawał się taki mały i kruchy, że gniew Alverstoke'a natychmiast się ulotnił. Teraz żywił dla chłopca jedynie współczucie. Przez chwilę stał patrząc na Feliksa, potem odwrócił głowę i spostrzegł, że Jessamy utkwiał w nim wzrok - w jego oczach widniało pełne bóleści pytanie. Kiedy się przyjrzał uważniej, zrozumiał, że w spojrzeniu Jessamy'ego kryło się coś więcej: mianowicie ufność. Ten dziwny chłopiec, który niekiedy zdawał się dorosły ponad swój wiek, nie tylko mu ufał, lecz także na nim polegał, przekonany, że markiz, który całe swoje życie unikał jakichkolwiek nieprzyjemnych obowiązków i niezmiernie rzadko poświęcał się dla innych, a w dodatku absolutnie nie umiał opiekować się chorymi, doskonale wie, jak zająć się Feliksem i rozmawiać z doktorem, a nawet poradzi sobie z tą nieprzyjazną panną Judbrook. Wydawało się to szczytem absurdu, lecz lordowi daleko było do śmiechu: pomyślał, że ufność Jessamy'ego poruszyła go równie silnie jak stan jego brata. Gdyby chłopiec wiedział o tym, że on wcale nie pragnie podjąć się nad nim opieki i jak źle czuje się w tej roli...! Poza tym naprawdę nie znał się na tym wszystkim!

Uśmiechnął się do Jessamy'ego i odezwał się cicho:

- Spodziewamy się, że nie odniósł większych obrażeń, prócz kilku złamanych żeber i pokiereszowanej buzi, prawda? Mały czort!

Te słowa nieco rozładowały napięcie. Po chwili Jessamy powiedział:

- Lekarz mówi, że za wcześnie, by być czegokolwiek pewnym. Feliks wygląda okropnie... i tak ciężko

oddycha...

- Pewnie dlatego, że dostał silny narkotyk - przerwał Alverstoke.

- Och! Sir, wie pan to na pewno?

- Oczywiście - przyświadczył Alverstoke, wmawiając sobie, że nie należy wyjawiać całej prawdy, ważniejsze jest uspokojenie obaw Jessamy'ego. - Lekarz twierdzi, że chłopak ma silny organizm. Zakrawałoby jednak na cud, gdyby Feliks nie nabawił się grypy, skoro przebywał w takim zimnie. Wobec tego, moje dziecko, przede wszystkim należy sprowadzić Fryderykę. Ona najlepiej będzie wiedziała, czego mu trzeba.

- Och, tak, jasne! Tak chciałbym, aby tu była! Lecz jakim sposobem...

- Postanowiłem, że pojedziesz po nią do Londynu - oznajmił Alverstoke. Jessamy zachnął się.

- Nie, nie! Za nic! Nie, nie, nie opuszczę brata! Czy pan myśli...

- Myślę o Fryderyce, a nie o tobie, Jessamy.

- No tak..., ale czy pan sam nie może pojechać? Ja zająłbym się Feliksem? To moja powinność!

- Mylisz się. On jest pod moją opieką i ja za niego odpowiadam! - Popatrzył na Jessamy'ego, spostrzegł upór na jego twarzy i dodał kpiąco: - Myślisz, że poradzisz sobie lepiej ode mnie?

- Nie! Wcale nie o to mi chodziło! Pan najlepiej wie, co robić, kiedy on się obudzi, będzie niespokojny i... on lepiej się z panem porozumie. Ale... Och, sir, czy Curry nie może jechać?

- Curry jedzie. Właśnie zaprzęga konie. Kolację zjecie w Watford, a stamtąd pojedziecie dalej dyliżansem.

- Kolacja! Nie przelknę ani kęsa! Czy naprawdę muszę jechać z Currym?

- Cicho! Nie tak głośno! Twoim zadaniem Jest pomóc Fryderyce i podtrzymać ją na duchu! Nie wpadaj tylko w jeden ze swoich humorów! Pomyśl, jaka będzie niespokojna, jeśli dziś wieczorem obaj nie wrócimy do Londynu! Curry w żaden sposób zdoła jej przekonać, że stan Feliksa wcale nie jest beznadziejny. Fryderyka zdziwi się, że ja zostałem przy Feliksie, ale jeśli i ty nie przyjedziesz, wyobrazi sobie, że mały jest umierający. A co do kolacji, to od śniadania nie miałeś niczego w ustach, więc gdybyś zawitał na Upper Wimpole Street omdlewając z głodu, niewiele byś zdołał pomóc. I, prawdę powiedziawszy, drogi chłopcze, głodzenie się, ponieważ Feliks się poturbował, jest nieco melodramatyczne, nie sądzisz?

Na zapadniętych policzkach wykwit! rumieniec. Jessamy zwiesił głowę, mamrocząc:

- Przepraszam! Nie zamierzałem okazać się... nie panującym nad uczuciami słabeuszem! Jeżeli pan uważa, że powinienem jechać, to posłucham.

- Owszem, tak właśnie uważam. Ona może cię potrzebować. Trzeba będzie pewne sprawy załatwić, mam wrażenie, że nawet dość liczne. Siostra może nawet woleć, byś został w Londynie z Charis, gdyż z całą pewnością nie zechce zostawiać jej samej. O ile wiem, wasza ciotka całe dnię spędza na Harley Street.

- A Harry udał się z tym swoim nadętym przyjacielem do Wells na wyścigi! - dodał gorzko Jessamy. - Teraz akurat, kiedy jest najbardziej potrzebny!

- Nie można go winić, iż nie przewidział, że tak się stanie. Nie sądź, że nie doceniam Harry'ego, ale w tym przypadku na miejscu Fryderyki raczej do ciebie niż do niego zwróciłbym się o pomoc.

Chłopiec znowu się zaczerwienił, lecz tym razem z wdzięczności.

- Dziękuję! - wyjąkał. - Nie myślałem... Ale uczynię wszystko, co w mojej mocy! I jeśli Fryderyka zechce,

bym został z Charis... tak się stanie! - Wziął głęboki oddech i dodał bohatercko: - Najlepiej, sam się z tym zaofiaruję! - Ponownie ogarnęły go wątpliwości, popatrzył niespokojnie. - Tylko... sir, proszę mi wytłumaczyć, co dokładnie powinienem zrobić? To znaczy, z tym dyliżansem, wynajęciem ludzi. I ile to może kosztować? ... i obawiam się, że nie dysponuję dostateczną kwotą na podróż!

- Curry się tym zajmie. Nie ma też potrzeby, byś wynajmował bryczkę dla Fryderyki: przyjedzie moim powozem, który zostanie tutaj, póki nie będzie można przewieźć Feliksa do domu. Będzie mu Wygodniej niż w wynajętej bryczce.

- Tak, rzeczywiście! - zawołał Jessamy, patrząc rozjaśnionym z wdzięczności wzrokiem. - Dziękuję! Dziękuję panu za wszystko, sir! Jestem panu ogromnie zobowiązany! Dokładnie wypełnię wszystkie pańskie polecenia!

Alverstoke uśmiechnął się nieco kpiąco, ale powiedział tylko:

- Curry przekáže ci moje polecenia. Idź już do niego, czas ruszać w drogę.

Jessamy kiwnął głową, lecz jeszcze ociągał się chwilę, patrząc na Feliksa. Odwrócił się, przygryzając wargi.

- Dobrze, sir. Wiem... wiem, że przy panu będzie bezpieczny! Tylko że... Nie zostawi go pan, prawda? Och, nie! Proszę o wybaczenie! Wiem, że pan tego nie zrobi.

- Możesz być absolutnie pewien - potwierdził Alverstoke, popychając chłopca w stronę drzwi. - Chociaż z trudem mi to przyjdzie, kiedy zaraz po obudzeniu będzie mi wyjaśniać, jak można uruchomić balon gorącym powietrzem!

Jessamy roześmiał się cicho, krótko uściśnął dłoń markiza i szybko wyszedł.

Markiz zamknął drzwi i, zerknąwszy przelotnie na Feliksa, podszedł do okna. Curry wyprowadził faeton przed dom. Po chwili pojawił się Jessamy, wsiadł i Curry zaciął konie. Markiz patrzył za faetonem, póki nie zniknął mu z oczu, potem odwrócił się i podszedł do szerokiego łóża. Spojrzał na Feliksa.

Nic dziwnego, pomyślał, że wygląd chłopca tak zaniepokoił brata. Nie dlatego, że przerażający był bandaż owinięty wokół jego głowy, ani to, że chrapliwie oddychał, tylko że był nieruchomy, leżał na wznak, wyprostowany jak struna, kołdrę miał podciągniętą aż pod brodę. Bez wątpienia doktor ułożył go w tej pozycji - może połamane żebra uniemożliwiły mu wygodne leżenie na boku, jednak teraz wyglądał jak nieboszczyk przygotowany do pochówku. Markiz widział to, lecz nie miał zbyt wybujałej i rozchwianej wyobraźni, toteż bez trudu zdołał nad sobą zapanować. Wyrobił sobie pozytywną opinię o doktorze Elcocie i postanowił wierzyć w jego diagnozę. Elcot bez wątpienia obawiał się możliwych powikłań, nie spodziewał się jednak, by jakaś zmiana nastąpiła szybko. No i wyraźnie nie sądził, aby Feliksowi zagrażało bezpośrednio niebezpieczeństwo. Markiz czuł, że teraz musi uzbroić się w cierpliwość i nie wpadać w przygnębienie. A ponieważ Feliks w dalszym ciągu leżał pogrążony w głębokim śnie, nie pozostawało nic więcej, jak tylko czekać.

Prawdopodobnie pomoże mu w tym fotel: wydawał się twardy i niewygodny. Przypomniawszy sobie, że tego wieczoru zaproszono go na wesołą biesiadę do Castle Inn. Uśmiechnął się ironicznie, porównując tę perspektywę z sytuacją, w jakiej obecnie się znajdował. Miał nadzieję, że Charles Trevor zajmie się wszystkim i przeprosi w jego imieniu. Oczywiście, że tego dopilnuje: nigdy nie zapominał o takich

sprawach. Będzie też czekał na jakieś wiadomości, gdyż Eliza z pewnością opowiedziała mu, co się stało, toteż spodziewa się, że markiz przekaże jakieś polecenia. Charles naprawdę jest sekretarzem, na którym można polegać: będzie mu go szalenie brakować, jednak musi pozwolić mu odejść. A to z kolei wiązało się z koniecznością rozejrzenia się za innym sekretarzem.

Tak więc jego lordowska mość zasiadł w fotelu, zastanawiając się, jak rozwiązać ten problem.

## 22

Niebawem zadumę markiza przerwało ciche skrobanie do drzwi. Otworzył je i wpuścił Judbrooka, który wszedł niosąc tacę. Odstawił ją po cichutku na stół, szepcząc, że prócz jęczmiennego kleiku siostra przysłała wazę z octem winnym i wodą, na wypadek gdyby młodego dżentelmena bolała głowa. Wydawał się niezwykle zatroskany, a kiedy popatrzył na Feliksa, potrząsnął smutno głową.

- Eh, źle z nim! - wymamrotał.

- Nie, mam nadzieję, że nie tak źle, jak wygląda. Czy myśli pan, że pańska siostra mogłaby przysłać mi trochę zimnego mięsa lub coś w tym rodzaju?

- Ależ skąd, jaśnie panie, coś podobnego, nawet nie przyszło to do głowy! Prosiła, bym panu powtórzył, że za pół godziny w gabinecie będzie podana dla pana kolacja. Prosi też o wyrozumiałość, że nie będzie to nic z rzeczy, do których pan przywykł, gdyż nie miała czasu, by przyrządzić pieczone albo kurczę. Myśmy już jedli w dzień - wyjaśnił - ale Poiły doskonale wie, jak obsłużyć dżentelmena, gdyż przez piętnaście lat prowadziła w Londynie dom arystokraty. Czasami wołałbym, aby tak dalej było, gdyż nie polubiła życia na wsi, zresztą nigdy go nie lubiła, a to sprawia, że stała się zrzędliva! Jednak po śmierci mojej pani uznała to za swój obowiązek, a mimo pozornej opryskliwości ma dobre serce. Kiedy bez uprzedzenia przywiozłem tutaj młodego dżentelmena, zezłościła się, gdyż nie lubi takich niespodzianek. Ale proszę pomyśleć, jak mogłem ja uprzedzić, kiedy akurat pracowałem na swoim polu Trzy Akry, gdzie się zdarzył wypadek, a to jest ćwierć mili stąd? Nie mam pojęcia, jak miałem to zrobić. Ale cóż? - Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Po chwili dodał tonem człowieka doświadczonego: - Jaśnie pan doskonale rozumie, jakie są niewiasty!

- Doskonale - potwierdził markiz. - Ufam jednak, że mimo wszystko potrafię obłaskawić pannę Judbrook... i właśnie o tym chciałbym z panem porozmawiać. Co do kolacji, to proszę przekazać siostrze, by się nią nie kłopotowała! Wystarczy mi zimne mięso i ser. Proszę też, by mi je przyniesiono tutaj!

- Myślałem, że może ja posiedzę przy paniczu, kiedy jaśnie pan przejdzie do gabinetu?

Alverstoke potrząsnął przecząco głową.

- Dziękuję bardzo, ale nie. Gdyby chłopiec się obudził i ujrzał koło siebie kogoś obcego, mógłby się wystraszyć - wyjaśnił taktownie.

- Skoro tak pan mówi, jaśnie panie. Jeszcze jedno... Hm... Zupełnie nie wiem, co podać jaśnie panu do picia! - wyjął Judbrook. - Poza cienkim winem domowej roboty Poiły - a ona twierdzi, że nie wypada - nie mamy nic innego. Mógłbym posłać któregoś z parobków do szynku, ale wątpię...

- Och, nie ma zmartwienia! A może macie w domu piwo? To wszystko, czego mi potrzeba... chcę napić się piwa!

- Skoro tak, jasnie panie!... - zawołał Judbrook, któremu wyraźnie spadł ciężar z serca. - Zaraz przyniosę dzban piwa!

Przyniósł również drugą tacę, niemego świadka ambicji jego siostry. A kiedy markiz zasiadł do posiłku, zaczynającego się od wazy z wyśmienitą zupą, następnie półmiska z pospiesznie przyrządzoną baraniną i dwoma gołąbkami upieczonymi na rożnie, długi letni wieczór począł dobiegać końca. Markiz ku swojej radości spostrzegł, że podopieczny zaczął się trochę ruszać, nieznacznie zmienił pozycję, obrócił głowę na poduszce. Potem Alverstoke wdał się w długie negocjacje z farmerem, którego ośli upór w przyjęciu jakiegokolwiek zapłaty za gościnę w innych okolicznościach śmiertelnie by go znudził. Posłał też po pannę Judbrook, aby wyrazić szczerze uznanie dla jej talentów kulinarnych, w nadziei, iż rzucając kilka miłych słówek pomaga Fryderyce. Gospodyni nie dała mu powodów, by mógł pogratulować sobie tej przebiegłości; chociaż potraktowała go z szacunkiem, dalej zachowywała rezerwę, kiedy poinformował ją, iż wkrótce na Monk's Farm przybędzie panna Merrville i zdjęcie z jej barków wszelkie obowiązki. Judbrook pokazał mu sypialnię, zobowiązał, by obudził go w razie potrzeby, zaopatrzył w zapas świec i odszedł, życząc możliwie dobrej nocy. Pojawił się wszakże jeszcze raz (tym razem w koszuli nocnej, za co zaczerwieniony przeproszał) i przyniósł butelkę z przywiezioną przez parobka lekarza solą przeczyszczającą.

Markiz przygotował się na wiele godzin czuwania, ale nim jeszcze na farmie wstał pierwszy parobek, podejrzenia, że minie tydzień wyczekiwania, ustąpiły miejsca niepokoju, które ogarnęły markiza, gdy tylko u chłopca zaczęły mijać skutki oszołomienia laudanum.

Z początku Feliks był tylko niespokojny, mamrotał coś niezrozumiałego, lecz wciąż zapadał w sen, później jednak coraz trudniej przychodziło go uspokoić, gdyż przechodził ze stanu półświadomości do niepokoju wywołanego tym, że znajduje się w obcym otoczeniu. Ze spierzchniętych warg wyrывało mu się imię siostry, usiłował wyswobodzić ręce spod prześcieradeł. Gdy uraził się w wywichnięty nadgarstek, krzyknął boleśnie. Lecz kiedy Alverstoke mocno uchwycił go za drugą rękę i przemówił, wydawało się, że chłopiec go rozpoznał. Zaciśnął kurczowo palce, wlepił oczy w twarz Alverstoke'a i wyszeptał:

- Nie pozwól mi umrzeć! Nie pozwól!

- Nie pozwolę! - uspokajał Alverstoke, sięgając po miksturę doktora Elcota, którą nalał na pierwszą oznakę wzburzenia dziecka. - Jesteś już całkowicie bezpieczny. - Oswobodził dłoń, uniósł Feliksa, przytknął mu do warg szklaneczkę i powiedział: - Tutaj masz coś do picia! Otwórz buzię!

- Fryderyka! - zawołał Feliks, nerwowo odwracając głowę. Zareagował jednak na rozkaz Alverstoke'a, kiedy ten powtórzył:

- Otwórz buzię, Feliksie! Dalej! Zrób, co mówię! - I markiz, który miał nikłe doświadczenie w lekarstwach, a już żadne w szczególnie paskudnych, nie dał chłopcu najmniejszej szansy wyplucia płynu, lecz bezlitośnie wlał mu go do gardła.

Feliks przełknął sól, i chociaż najpierw z oburzenia mało się nie popłakał, to potem najwyraźniej nieco oprzytomniał. Alverstoke ułożył go znowu na poduszkach i cofnął ramię.

- Tak lepiej! - stwierdził.

- Chcę, żeby przyszła Fryderyka! - powtórzył Feliks.

- Niebawem do ciebie przyjedzie - przyrzekł Alverstoke.



- Chcę teraz! - domagał się Feliks. - Powiedz jej!

- Tak, powiem.

Zapadła krótka chwila ciszy. Alverstoke miał nadzieję, że Feliks zapadł w sen, jednak gdy już miał odejść od łóżka, spostrzegł, że chłopiec na niego patrzy, jak gdyby usiłował ostrzej zobaczyć twarz. Najwyraźniej mu się to udało, mruknął bowiem z westchnieniem ulgi:

- Och, to pan! Proszę nie odchodzić!

- Nie odejdę.

- Chce mi się pić!

Alverstoke znowu go uniósł, Feliks z wdzięcznością wypił kleik. Tym razem, kiedy już położono go na poduszce, zasnął.

Sen jednak był niespokojny i krótki. Chłopiec obudził się gwałtownie, mamrocząc coś pod nosem. Widocznie śnił mu się jakiś koszmar, gdyż dopiero po dłuższej chwili dotarł do niego głos Alverstoke'a. Wtedy powiedział nieprzytomnie:

- Kuzyn Alverstoke - ale po sekundzie jęknął, że jest mu zimno.

Markiz sposepniał, gdyż dłoń dziecka, którą uchwycił, była ciepła i sucha. Odezwał się kojącym tonem i udało mu się: Feliks przez chwilę leżał spokojnie, nie zamknął jednak rozognionych oczu. Nagle odezwał się przestraszony:

- To nie jest mój pokój! Dlaczego tu jestem? Nie chcę! Nie wiem, gdzie jestem!

Markiz wyjaśnił rzeczowym tonem:

- Jesteś ze mną, Feliksie.

Przemówił instynktownie, pierwszymi słowami, jakie mu przyszły do głowy, ale moment później, kiedy się zastanowił, wydały mu się one wyjątkowo niemądre. Jednak Feliks zamrugał oczami i zawołał:

- O, tak! Zapomniałem! Nie odejdzie pan, prawda?

- Oczywiście, że nie. Zamknij oczy! Przysięgam, że jesteś zupełnie bezpieczny.

- Wiem. Dopóki pan tutaj będzie, nie umrę - mruknął niewyraźnie Feliks. - Wiem na pewno! Alverstoke nic nie odpowiedział, a za chwilę z zadowoleniem spostrzegł, że chłopczyk zasnął. Ostrożnie wyjął dłoń z bezwładnej ręki Feliksa i cofnął się, by przenieść świecę tak, aby jej światło nie padało na jego twarz. Zdawało się, że dzieciak zapadł w bardziej naturalny sen, nadzieja ta jednak błyskawicznie się rozwiała i markiz ponownie zaczął się niepokoić. Przez resztę nocy wydawało mu się, że stan zdrowia Feliksa wyraźnie się pogarsza. Twarz mu płonęła. Miał niepokojąco szybki puls, bywały chwile, gdy drzemał, nigdy jednak zbyt długo, a kiedy się budził, był rozgorączkowany aż do granicy delirium. Wyglądało na to, że straszliwie cierpi. W pewnej chwili poskarżył się, że „wszystko go boli”, ale kiedy Alverstoke usiłował na tyle, na ile pozwalał bandaż, wytrzeć mu czoło, odepchnął jego dłoń.

- To nie głowa! - zawołał gniewnie.

Następna porcja mikstury przyniosła ulgę, mimo to Alverstoke kilkanaście razy rozważał, czy nie powinien wezwać Judbrooka i nie poprosić, by posłał po doktora Elcota. Powstrzymało go jedynie wspomnienie ostatniej uwagi lekarza, który ostrzegał, że Feliks może gorączkować, i świadomość, że do tej pory udawało mu się uspokoić wzburzone myśli chłopca.

Z nastaniem świtu gorączka nieco opadła, ból jednak się nie zmniejszył. Feliks cicho zapłakał:

- Fryderyko! Fryderyko! - szeptał przez łyżę.

O piątej markiz posłyszał skrzypienie ostrożnie otwieranych drzwi i szybko wyszedł z pokoju na spotkanie Judbrooka, który trzymając w rękach buty stapał na palcach korytarzem.

Judbrookiem wstrząsnęła wiadomość, że Feliks jest tak poważnie chory. Przyrzekł wysłać któregoś z parobków po doktora do jego domu w Hemel Hempstead. Zerknął na Feliksa, a usłyszawszy, że przydałoby się więcej owsianki, zasugerował, iż chłopcu może dobrze zrobiłaby filiżanka herbaty. Markiz w to powątpiewał, lecz Feliks, choć wydawało się, że śpi, odezwał się ciekawym głosem:

- Napiłbym się herbaty!

W tej sytuacji markiz skinął Judbrookowi.

- Mógłbym przynieść, sir! - powiedział farmer, dodając szeptem:

- Jaśnie panie, na pewno mu nie zaszkodzi!

Jeszcze większe wątpliwości ogarnęły markiza, kiedy wniesiono tacę. Alverstoke, w przeciwieństwie do swojego przyjaciela, lorda Petershama, nie był koneserem herbaty, mimo to z ogromną podejrzliwością popatrzył na mahoniowy napar w imbryku. Spodziewał się, że Feliks to odrzuci. Ale tak się nie stało, co więcej, herbata najwyraźniej orzeźwiła chłopca. I kiedy godzinę później przyjechał doktor Elcot, to tylko powiedział:

- Dopóki pan nie napoi go nagrzany winem, to nie zgłaszam żadnych obiekcji. A teraz, lordzie, nim do niego zajrzę, proszę powiedzieć, co się dzieje? Wydaje się pan cokolwiek wytrącony z równowagi: miał pan przy chłopcu ciężką noc?

- Bardzo ciężką - odparł nieco lodowatym tonem Alverstoke. - A co do równowagi, to mniemam, że pan na to jakoś zaradzi! Feliksa dręczyła bardzo wysoka gorączka, niekiedy nawet deliryczna, cały czas narzekał, że go boli... mówił, że boli go wszędzie, lecz chyba nie głowa, dzięki Bogu!

- Słaba pociecha! - burknął lekarz.

Jakiś czas zabawił w pokoju chorego; wreszcie, po długim i starannym badaniu, przykrywając ponownie Feliksa, powiedział pogodnym tonem:

- Wszystko dobrze, młody człowieku, nie wątpię, że wydobrzejesz, ale nie stanie się to szybko! A teraz podam ci coś, po czym poczujesz się lepiej.

Feliks nie majaczył, ale też nie był zupełnie przytomny. Gwałtownie zaprotestował przeciwko badaniu przez lekarza, wołał, że każdy dotyk sprawia mu ból. Poddał się dopiero wtedy, gdy markiz stanowczo tego zażądał. Teraz zbuntował się na widok paskudnie wyglądającego lekarstwa, które doktor Elcot odmierzył do niewielkiej szklaneczki, toteż markiz, ponaglony wymownym spojrzeniem lekarza, ponownie zainterweniował, biorąc od niego miksturę. Sam podsunął ją chłopcu, mówiąc, kiedy Feliks odwrócił głowę:

- Stajesz się śmiertelnie nudny, Feliksie. Nienawidzę nudziarzy. Więc jeśli chcesz, abym przy tobie został, wypijesz to... natychmiast!

Przestraszony tą groźbą, Feliks przełknął lekarstwo. Kiedy Alverstoke nachylił się nad nim i cofnął podtrzymujące ramię, chłopiec upewnił się niespokojnie:

- Nie opuści mnie pan, prawda?

- Nie.

Słowa te uspokoiły Feliksa. Po kilku minutach przymknął oczy. Doktor Elcot dotknął ramienia markiza i wyprowadził go z sypialni.

- Czy ma pan własne dzieci? - spytał zamknawszy drzwi.

- O ile mi wiadomo, nie.

- Och! Wobec tego musi pan sobie je sprawić: najwyraźniej potrafi pan sobie z nimi radzić. Cóż, wywiązało się to, czego się spodziewałem: gorączka reumatyczna, gościec. Może się pan nie fatygować, pytając, na ile to poważne, bo nie potrafię panu powiedzieć. Mogę stwierdzić tylko jedno, chłopiec wymaga troskliwej opieki. Mówił pan, że przyjedzie jego siostra. Czy można na niej polegać? Proszę wybaczyć, że pytam bez ogródek, ale to sprawa najwyższej wagi.

- Panna Merrville jest osobą ze wszech miar godną zaufania - zapewnił Alverstoke. - To wyjątkowo rozsądna niewiasta. Od wielu lat zastępuje Feliksowi matkę. Ja sam zupełnie nie znam się na chorobach, muszę więc pana prosić, by mnie oświecił. Czy gorączka reumatyczna jest groźna?

- Może mieć groźne konsekwencje - odparł Elcot. - Jednakże chłopiec jest silny i, moim zdaniem, w dobrej kondycji, toteż nie będziemy straszyć jego siostry. Kiedy się pan jej spodziewa?

- Trudno powiedzieć, ale na ile ją znam, pojawi się najszybciej jak to możliwe. Oczywiście, będzie chciała z panem porozmawiać.

- Ja także pragnąłbym się z nią zobaczyć! Chłopiec przez jakiś czas będzie spokojny: zaaplikowałem mu środek uśmierzający i sędzę, że prześpi większość ranka. Panu radzę uczynić to samo, lordzie!

- Rad bym się ogolić!

- Zatem niech pan zrobi obie rzeczy! - polecił doktor. Markiz zadowolił się samym goleniem. Podejrzliwie obejrzał staroświecką brzytwę pożyczoną od Judbrooka, lecz chociaż źle leżała w dłoni, to okazała się świetnie naostrzona, więc zdołał ogolić się bez zacięcia. Tymczasem panna Judbrook doprowadziła jego muślinowy fular do jakiegoś takiego porządku i chociaż nie powierzył jej surdutu do prasowania, to Fryderykę powitał w całkiem dobrym stanie. Unikał mimo to wzroku swojego kamerdynera. Fryderyka przybyła tuż po dziesiątej w lekkiej kolasce na dobrych resorach. Przyjechała sama. Markiz pomógł jej wysiąść. Przez chwilę przytrzymał ją w swoich silnych ramionach i powiedział:

- Dobra dziewczyna! Wiedziałem, że nie będziesz zwlekać.

- Nie wyjechaliśmy z Londynu tak szybko, jak bym pragnęła, lecz pański woźnica pędził tutaj niczym wicher. - Popatrzyła na markiza szczerym spojrzeniem, które tak uwielbiał, i powiedziała z uśmiechem w oczach: - Powinnam panu stokrotnie dziękować, kuzynie, ale nie ma słów, którymi potrafiłabym to wyrazić.

- Nie ma pani pojęcia, jak się z tego cieszę! - odpalił.

- No tak! Uważa pan, iż podziękowania są koszmarnie nudne... mam jednak nadzieję, że pan wie, co czuję!

- Nie, ale chciałbym wiedzieć! Uśmiechnęła się.

- Teraz pan ze mnie żartuje! Wybaczam panu tylko dlatego, że wiem, iż zachowywałby się pan inaczej, gdyby... gdyby sprawy wyglądały poważnie! Proszę mi powiedzieć? Jak on się czuje?

- Wciąż śpi. Rano lekarz dał mu jakiś środek uśmierzający. Przyrzekł odwiedzić go znowu koło południa. Uprzedziłem, że pewnie zechce się pani z nim zobaczyć. Zapewnił, że sam pragnie panią widzieć! Miał

nawet czelność mnie pytać, czy można na pani polegać! Może wejdzie pani do środka? Przygotowano już sypialnię, a obok gabinecik do pani dyspozycji.

- Jeśli pani zechce pójść za mną, madame, wskażę salonik - odezwała się stojąca w progu panna Judbrook.

Mówiła sztywno, lecz odtąjała trochę, kiedy Fryderyka, wyciągając dłoń, zawołała:

- Serdeczne dzięki! Jestem tak wdzięczna za wszystko, co pani zrobiła! Obawiam się, że musi to być dla państwa straszliwy kłopot.

- No, cóż, madame, nie należę do osób, które się uskarżają! - odparła panna Judbrook, ujmując dłoń i z ociąganiem składając ukłon. - Jestem pewna, że gdyby Judbrook mnie poprosił, powiedziałabym mu, aby natychmiast przywiózł tutaj panicza, nie mogę się jednak podjąć opieki nad nim!

- Ależ oczywiście! - zgodziła się Fryderyka. - I bez tego zapewne ma pani dosyć na głowie! - Idąc za powściągliwą gospodynią do saloniku, zatrzymała się na progu, szybkim spojrzeniem obrzuciła pokój i zawołała: - Och, co za wspaniałe dywan!

Markiz, któremu dywan wydawał się raczej paskudny, zamrugał powiekami; zorientował się jednak po chwili, że Fryderyka powiedziała dokładnie to, co trzeba. Panna Judbrook pojaśniała z zadowolenia i wyjaśniła, że położono go tutaj niecały miesiąc temu. A potem, niemal serdecznie, zaprosiła Fryderykę na piętro.

Markiz, rozsądnie zostając na dole, poszedł narodzić się ze swoim totumfackim. Curry, który na farmę zajechał faetonem za kolaską, przy pomocy któregoś z parobków Judbrooka wyładowywał ogromną ilość bagażu. Kamerdyner, który przetrwał podróż na koźle nie tracąc nic ze swojej godności, kierował całą operacją. Markiz polecił forysiom odstawić powóz do Sun w Hemel Hempstead. Zajazd ten polecił mu doktor Elcot; przykazał Knappowi, by załatwił tam kwatere. Curry natomiast miał poczekać przy faetonie, póki markiz nie będzie gotów do odjazdu z farmy. Potem wrócił do domu.

Nie musiał długo czekać na Fryderykę, która szybko dołączyła do niego w salonie. Zrezygnowała z fotela i usiadła przy stole, opierając złożone dłonie o blat.

- Dalej śpi, ale niespokojnie. Myślę, że muszę jak najszybciej do niego wracać, ale przedtem proszę, kuzynie, byś łaskawie przekazała mi opinię lekarza. Sama widzę, że Feliksa dręczy wysoka gorączka, domyślam się więc, jak ciężką noc musiał pan przy nim spędzić. - Odczytała na twarzy Alverstoke'a wahanie i dodała cichym głosem: - Proszę się nie obawiać i wyjawić mi całą prawdę! Nie jestem głupia i nie załamuję się tak łatwo. - Uśmiechnęła się blado. - Nie po raz pierwszy któryś z moich braci zachorował albo robił wszystko, by postradać życie. Więc proszę mówić!

- Elcot podejrzewa gorączkę reumatyczną - oznajmił bez ogródek. Kiwnęła głową.

- Tego się obawiałam. Matka kiedyś na to zachorowała i potem już nigdy nie doszła do siebie: choroba zaatakowała jej serce. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, lecz dobrze pamiętam, jak poważnie zaniemogła... mam wrażenie, że bardziej niż teraz Feliks. Ale nie mieliśmy zbyt dobrego lekarza, toteż nie otoczono odpowiednią opieką. Pamiętam, że zrywała się z łóżka, gdy słyszała, że niemowlę płacze... był to, oczywiście, Feliks. Cóż! Z Feliksem tak nie będzie! Jest o wiele bardziej odporny od mamy, a od tamtego czasu sztuka medyczna poczyniła wielkie postępy. Nie zamierzam poddawać się rozpacz, przyrzekam, zatem proszę nie patrzeć na mnie, jakby obawiał się pan, że za chwilę będzie musiał mnie cucić!

- Z całą pewnością nie obawiam się tego: ma pani na to zbyt silną wolę! Jeżeli patrzę z troską, to dlatego, że czekają panią denerwujące i wyczerpujące dni. Mam tylko nadzieję, iż wystarczy pani sił.

- Dziękuję! Nie jestem biedną i włąką istotką! Jessamy mi pomoże... może już nawet od jutra, jeśli Harry dzisiaj wieczorem wróci do Londynu, jak się spodziewamy. Kochany Jessamy! Tak bardzo chciał od razu ze mną przyjechać, ale nie powiedział ani słowa. Rozumiał, jak wielce niestosowne byłoby zostawianie nieszczęśliwej Charis samej tylko w towarzystwie służby. Ofiarował się więc, że zostanie na Upper Wimpole Street do przyjazdu Harry'ego, który go zwolni z tego obowiązku. Do Watford dostanie się dyliżansem, a ja przyznaję, że powitam go z wielką radością. Mogę powierzyć mu czuwanie przy Feliksie, kiedy malec będzie spał, a wtedy sama trochę się prześpię. Widzi pan zatem, kuzynie, jaka jestem rozsądna!

- Nigdy w to nie wątpiłem. Czy mogę spytać, jaką rolę odegra panna Winsham?

- Znikomą - wyznała. - Wuj umarł wczoraj w nocy.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia! Mógłbym sądzić, że tym samym panna Winsham powinna być zwolniona z narzuconych sobie obowiązków, ale wydaje mi się, że jestem w błędzie.

- Owszem, gdyż ciotka Amelia jest teraz zrozpaczona, dostaje ataków hysterii i ciotka Serafina jej nie opuszcza. Spazmuje, ma wapory i... Och, nie powinnam tak mówić! Sama jestem tak mało wrażliwa, że niełatwo przychodzi mi współczuć osobom pokroju ciotki Serafiny. Ja raczej skłaniałabym się ku... Nie!

- Doskonale wiem, ku czemu by się pani skłaniała - powiedział markiz z uśmiechem. - Widziałem, jak w podobnej sytuacji poradziła sobie pani z Charis!

- Ależ tu nie ma porównania! - oburzyła się. - Biedna Charis przeżyła okropny wstrząs, można ją zatem zrozumieć. A śmierci wuja spodziewano się od tygodni... no i, w każdym razie, nie wymierzyłabym ciotce policzka!

- Chociaż bardzo swędziałyby panią ręka - zgodził się.

- Oczywiście, że nie! - zapewniła z powagą, której przeczyło roześmiane spojrzenie. - Jest pan... to znaczy, gdybym nie była panu tak głęboko wdzięczna, powiedziałabym...

- Że jestem najokropniejszym typem pod słońcem?

- Wstrętnym, to słowo miałam na myśli! - odcięła się błyskawicznie. Potem jej spojrzenie złagodniało. - Nie, nie powinnam! Dla nas jest pan niezwykle dobry, choć potrafi pan również być wstrętny! Ale teraz bądźmy poważni, sir! Sprawy nie mają się aż tak źle, jak pan podejrzewa! Ciotka przyrzekła mieć baczenie na Charis, jednak uważa, że większe obowiązki ma wobec rodzonej siostry. Cóż... spodziewam się, że zachowałabym się podobnie, toteż nie mogę mieć do niej pretensji! Ciotka uważa także, że w tej chwili, skoro Charis nie wypada uczestniczyć w balach, Harry będzie jej towarzyszył na przechadzkach lub przejażdżkach, a pani Hurley dobrze się nią opiekuje, obecność ciotki nie jest wcale konieczna. Muszę też panu powiedzieć, że pańska siostra... to znaczy, kuzynka Elizabeth... jest równie jak pan nam życzliwa! Dziś rano przesłała Charis bilecik, zapraszając ją w gościnę do siebie podczas mojej nieobecności. Ofiarowała się także towarzyszyć jej na dzisiejszym przyjęciu u lady Castlereagh. Charis odmówiła, oczywiście... Doprawdy, w tej sytuacji ani jej w głowie zabawy... i wiem... wiem, że mogę polegać na Harry'm! Jest niezwykle do Charis przywiązany, więc nie pozwoli, by siostra wpadła w depresję. - Wstała. - Muszę już iść. Czy mógłby pan po powrocie do Londynu opowiedzieć Charis, jak sprawy się tutaj przedstawiają i

zapewnić, że nie ma powodów do obaw? Byłabym bardzo wdzięczna!

- Z przyjemnością, ale jeszcze przez jakiś czas nie mam zamiaru tam wracać. Czy sądzi pani, że chcę jak najszybciej stąd uciec? Mam nadzieję, że nie jestem aż tak wstrętny! A jak myślałaś, dlaczego posłałem po kamerdynera?

- Nie zastanawiałam się! Och, więc on jest pańskim kamerdynerem? Przypuszczałam, że to jakiś kurier i ciekawiło mnie, dlaczego uznał pan za stosowne, aby mnie nim uszczęśliwić.

- Ach, tak! Fryderyko, jesteś niemądra!

- Wcale nie! Jakim cudem mogłabym odgadnąć, co za piekielny pomysł przyszedł panu do głowy? - odparowała. - Nigdy w życiu nie widziałam człowieka równie ekstrawaganckiego jak pan! Ale nie musi pan tutaj dla mnie zostawać! Doprawdy, nie ma takiej potrzeby!

- Jesteś w wielkim błędzie. Po niepokojach i trudach ostatnich dwudziestu czterech godzin jestem do cna wyczerpany i muszę kilka dni odpocząć w wiejskim zaciszu. Zatrzymam się w Sun, w Hemel Hempstead... i proszę się ze mną nie spierać! Niewiele rzeczy nudzi mnie bardziej od czczych sporów! - Ujął jej dłoń i uściśnął. - Teraz odejdę, ale niebawem wrócę, aby sprawdzić, czy dobrze pielęgnujesz mojego podopiecznego.

## 23

Markiz na wrócił Monk's Farm dopiero tuż przed szóstą po południu. Do tej pory znakomicie odpoczął, pozwalając sobie na długi sen, przebranie się i całkiem znośny obiad. Po krótkiej rozmowie z obojgiem Judbrooków poszedł na piętro do pokoju, w którym leżał Feliks. Cicho wszedł do środka. Mimo iż zaciągnięto zasłony przed popołudniowym słońcem, natychmiast dostrzegł, że wiele się zmieniło. W sypialni pachniało lawendą, znikł gdzieś zapach choroby. A kiedy oczy przywykły mu już do półmroku, zobaczył, że wniesiono dodatkowe łóżko, z łoża z baldachimem zdjęto ciężką, pikowaną kołdrę i ustawiono parawan, który osłaniał Feliksa przed światłem stojącej na stoliku lampki naftowej. Chłopiec rzucał się we śnie, pojękiwał i coś mamrotał. Fryderyka zaś siedziała w fotelu, który przysunęła do okna. Na widok markiza wstała. Podeszła do niego niczym duch, szepcząc:

- Proszę go nie budzić!

Wyprowadziła Alverstoke'a z sypialni, zamykając za nimi drzwi. Spostrzegł, że dziewczyna jest blada i bardzo zmęczona, powiedział więc:

- Ani trochę lepiej? Pani wygląd świadczy, że przeżyła piekło! Potrząsnęła głową.

- Nie. Sam pan wie, że na razie nie należy spodziewać się poprawy. O tej porze chory najbardziej gorączkuje. Doktor Elcot pouczył mnie, co mam robić.

- Uważasz pani, że doktor Elcot sobie poradzi? Możemy zasięgnąć opinii innego lekarza, proszę tylko powiedzieć! Natychmiast poślę do Londynu po Knightona... lub każdego lekarza, którego pani wskaże.

- Dziękuję bardzo... ale nie. Myślę, że doktor Elcot jest właśnie tym, kogo potrzebujemy.

- Znakomicie, a teraz proszę iść do saloniku i zjeść obiad! Jeśli pani tego nie uczyni, panna Judbrook gotowa się obrazić. Dołożyła wszelkich starań i przygotowała dla pani wytworzy poczęstunek, który... jak

mi zdradziła... szybko się popsuje. A poza tym, moja droga, jeżeli nie ośmielisz się zostawić Feliksa pod moją opieką, mnie osobiście urazisz!

- Och, przecież nigdy bym tego nie powiedziała! Wiem od doktora Elcota, jak radził pan sobie z Feliksem, i jaki był dla niego dobry. Tylko ja wcale nie jestem głodna... doskonale jednak rozumiem, że niegrzecznie byłoby odmówić poczęstunku, zatem zejść na dół. Gdyby Feliks się obudził i skarżył na pragnienie, w niebieskim dzbanku na stoliku jest lemoniada.

- Do diabła, dlaczego nie pomyślałem o lemoniadzie, kiedy wczoraj w nocy chciało mu się pić? - zawołał markiz. Fryderyka uśmiechnęła się.

- Skąd miał pan wiedzieć? Poza tym, nie sądzę, by panna Judbrook miała cytryny. Przywiozłam kilka z Londynu... co mi przypomina, że będę ich więcej potrzebować. Czy sprowadzi je pan dla mnie jutro z Hemel Hempstead, kuzynie?

- Tak, i wszystko, czego potrzebujesz, ale teraz musisz już zejść na dół!

Posłuchała, a kiedy wróciła za pół godziny, markiz jednym ramieniem podtrzymywał Feliksa, a drugą ręką niezgrabnie usiłował odwrócić poduszkę. Natychmiast pospieszyła z pomocą. Alverstoke powiedział przepaszająco:

- Obawiam się, że nie nabrałem jeszcze wprawy! Chłopczyk nieustannie kręcił głową, pewnie próbował znaleźć chłodniejsze miejsce. Fryderyko, czy jesteś pewna, że nie chcesz sprowadzić do niego innego lekarza? Wydaje mi się, że Feliks ma większą gorączkę niż ubiegłej nocy.

Zaczęła obmywać twarz i ręce chusteczką nasączoną wodą lawendową.

- Doktor Elcot uprzedził mnie, że nim się bratu polepszy, musi przyjść pogorszenie. Zaraz dostanie następną porcję lekarstwa, a to Poniesie mu trochę ulgi, przekona się pan! A wreszcie... czy zamierza pan natychmiast wracać do Sun, czy może pan poczekać jeszcze dwadzieścia minut i potrzymać go, kiedy będę aplikowała lekarstwo? Kiedy jest nieprzytomny, trudno mi poradzić sobie bez pomocy.

- Fryderyko, oddaję się całkowicie do pani dyspozycji. Czy zjadła pani obiad?

- Owszem, i wypłam kieliszek wina, które pan dla mnie przywiózł, kuzynie. Panna Judbrook powiedziała mi, że przywiózł pan butelkę z Sun. Dziękuję! Od razu stanęłam na nogi!

- Miło to słyszeć - odparł oschle. Odsunął się, ale kiedy ujrzał, jak usiłuje uspokoić Feliksa, aby się nie odkrywał, podszedł ze słowami: - Pozwól, niech spróbuję, może mnie uda się coś zdziałać! Nie, zostaw go mnie! Poradziłem sobie wczoraj w nocy, więc może powiesz mi się i tym razem.

Ustała mu miejsca. Usiadł, wziął rozpaloną rączkę Feliksa, przemówił do niego stanowczym tonem, który już przedtem przyniósł tak dobre rezultaty. Tym razem nie przywrócił Feliksa do świadomości, Fryderyce wydało się jednak, że chociaż w rozgorączkowanych oczach nie pojawiło się zrozumienie, to ten spokojny głos jakoś przedarł się przez malignę. Feliks uspokoił się, jęczał, ale już się nie rzucał. Nie chciał wziąć lekarstwa, jednak Alverstoke mocno przytrzymał go za ramiona, a Fryderyka błyskawicznie wlała mu je do gardła, kiedy otworzył buzię, by krzyknąć, że nie chce. Zakrztusił się, zakaszał, zaczął spazmatycznie szlochać, ale pomału szlochy ucichły, chłopiec zaś westchnął ciężko. Alverstoke położył go i odwracając głowę powiedział cicho:

- Fryderyko, idź się zdrzemnąć! Zamrugła i odszepnęła:

- Przyłożę się na tym rozkładanym łóżku.

- Położysz się w sypialni. Obudzę cię o północy... albo wcześniej, jeśli uznam, że cię potrzebujemy! Pozwól mi wezwać Curry'ego i przykazać mu, by trzymał konie w gotowości.

- Nie może pan o tej porze wracać do Hemel Hempstead!

- Ależ z pewnością mogę... w świetle księżycy! Proszę, byś nie sprzeciwiała mi się z tak błahych powodów! Jakież będzie z ciebie pożytek jutro rano, kiedy ze zmęczenia będziesz się słać nogach.

Musiała przyznać, że to prawda. Ubiegłej nocy trawiona niepokojem nie mogła nawet zmrużyć oka, wstała zaś jeszcze przed świtem, pakowała się i wydawała ostatnie polecenia. Podróżowała dwadzieścia pięć mil, a teraz od ośmiu godzin opiekowała się chorym bratem, była więc rzeczywiście potwornie zmęczona. Uśmiechnęła się drżącymi wargami i rzekła po prostu:

- Dziękuję! - I poszła do sypialni.

Kiedy wróciła, jeszcze przed północą, wyglądała o wiele lepiej, choć dręczyły ją wyrzuty sumienia.

- Zdumiewające! - zawołała. - Musiałam być bardzo zmęczona, o zapomniałam podać lekarstwo! Kuzynie, Feliks powinien je przyjąć o jedenastej!

Markiz uśmiechnął się.

- I tak się stało. Na szczęście zostawiłaś na stoliku kartkę z instrukcjami doktora Elcota, więc ją przeczytałem. Dobrze ci się spało?

- Och, znakomicie! Jak kamień i to całe cztery godziny! Co z Feliksem?

- Bez zmian. Teraz już cię opuszczę, ale pojawię się znowu jutro rano. Nie muszę mówić, by się pani dzielnie trzymała! Dobranoc, dziecko!

Z wdzięcznością skłoniła głowę, nie protestując, podobnie zresztą zachowała się, kiedy wrócił po śniadaniu i oznajmił, że od tej pory muszą podzielić się dyżurami przy chorym. Zdrowy rozsądek podpowiedział jej, że skoro Feliks jest ciężko chory, to sama nie zdoła unieść ciężaru opieki nad bratem. I jeśli gdzieś w zakamarkach mózgu zaświtała jej myśl, że przecież ani ona, ani Feliks nie mają najmniejszych praw domagać się czegokolwiek od markiza, to szybko ją odepchnęła. Teraz bowiem wydawało jej się naturalne, że przyszedł jej z pomocą. Potrafił opiekować się chłopcem równie dobrze jak ona, a może nawet lepiej, więc gdyby oznajmił, że zamierza wracać do Londynu, miałyby ochotę błagać go, by został. Nie spieszył się jednak, zatem chętnie zgodziła się na pomoc.

Markiz, który świetnie zdawał sobie sprawę, że Fryderyki nie interesuje teraz nikt prócz jej paskudnego braciszka, podchodził do tego z czarnym humorem. Polubił Feliksa, ale głupotą byłoby twierdzić, że z radością go pielęgnował. Gdyby tak bardzo i wbrew swojej woli nie pokochał jego siostry, nigdy nawet nie przyszłoby mu do głowy, by z własnej woli równie skwapliwie obarczać się podobnymi obowiązkami. Ale w hrabstwie Hertford nie został tylko dlatego, by zaskarbić sobie przychylność Fryderyki; myślał wyłącznie o tym, że panna znalazła się w straszliwych opałach, a on ma obowiązek przynajmniej trochę jej pomóc. Poleciał Charlesowi Trevorowi odwołać wszystkie najbliższe spotkania, a choć uczynił to z pewnym żalem, zrobił to bez najmniejszego wahania. Po raz pierwszy od wielu lat jego kompani z Jockey Club na próżno będą go wyglądali na wyścigach w Ascot: szkoda, ale nic na to nie można poradzić. Wystawił tam konia, jednak nie dane mu było zaznać przyjemności cieszenia się z jego zwycięstwa - a to właśnie zamierzał, nim



Fryderyka wpadła w tarapaty i potrzebowała jego wsparcia.

Tak więc markiz, który rzadko poświęcał się dla bliźnich, a dotychczasowe życie spędzał na przyjemnościach i pobjażaniu sobie, wkroczył w etap najbardziej pracowitego i niewygodnego okresu w swoim życiu. Musiał zamieszkać w skromnej i staroświeckiej gospodzie, niemal cały czas opiekował się chorym chłopcem, a ponieważ jego przybycie na farmę było dla Fryderyki sygnałem, że wreszcie może odpocząć, rozmawiali ze sobą ledwie kilka chwil, a i to na temat ich pacjenta. W następnych latach mawiał, że kiedy przypomina sobie tamten okres, to przeszywa go dreszcz, jednak teraz nie poskarżył się ani słowem i ani na chwilę nie tracił spokoju i opanowania.

Jessamy przyjechał nazajutrz. Drogę z Watford zamierzał pokonać na piechotę, polami, lecz markiz posłał Curry'ego na spotkanie dyliżansu, więc nie musiał tego robić. Może i szczęśliwie się stało, gdyż prócz skromnego bagażu przywiózł ze sobą ogromną walizę książek. Wyjaśnił Alverstoke'owi, który akurat pełnił dyżur, że oprócz podręczników zabrał też powieści, które można by poczytać choremu.

- Bo to jest akurat coś, co ja mogę robić - powiedział. - Lubi, jak mu się czyta, kiedy jest chory. Więc wzięłem wszystkie jego ulubione książki, a także „Waverleya”. Harry przypomni mi coś, o czym ja sam zapomniałem: mianowicie kiedy Fryderyka czytywała nam „Waverleya” wieczorami, Feliks już spał, bo był za mały, by się nim cieszyć. Ale teraz, jak pan myśli, sir, na pewno mu się spodoba.

- Nie wątpię, tylko obawiam się, że jeszcze nie w tej chwili.

Twarz Jessamy'ego zachmurzyła się.

- Wiem. Curry mi powiedział. Och, kuzynie, dziękuję, że wysłał go pan na moje spotkanie! Curry mówi, że to gorączka reumatyczna, że Feliks jest bardzo chory i straszliwie cierpi. Sir, czy on... on przecież nie umrze?

- Nie, z całą pewnością nie, lecz czuje się nie najlepiej i nim nastąpi przesilenie, jego stan może się jeszcze pogorszyć. Teraz śpi, lecz taki sen rzadko trwa długo, więc muszę do niego wracać. Jeśli chcesz, możesz iść ze mną, tylko mów szeptem, żeby go nie obudzić.

- Tak, proszę - odezwał się Jessamy. - Chciałbym... go zobaczyć.

- Oczywiście. Ale nie zdziw się, jeśli po przebudzeniu cię nie rozpozna. Zrozum, on nie zawsze jest sobą.

Na szczęście Jessamym tak wstrząsnął widok brata, że nie mógł wydobyć głosu i usiadł przy oknie na krześle, by się opanować, gdyż kiedy Feliks się ocknął, rzeczywiście go nie poznał. Wzburzony zawołał:

- Gorąco mi! Chce mi się pić! Fryderyko!

- Cóż, temu możemy szybko zaradzić - odezwał się Alverstoke, podpierając go ramieniem i lekko unosząc.

- Oto twoja lemoniada, a kiedy będziesz pił, Jessamy strzepnie poduszki, żebyś mógł znowu wygodnie się ułożyć. Nie wiesz jeszcze, że Jessamy przyjechał cię odwiedzić, prawda?

- Jessamy - powtórzył Feliks obojętnie. Ale gdy znowu go ułożono, rozejrzał się wkoło i spostrzegłszy brata, próbował się uśmiechnąć. Po chwili odezwał się ponownie, tym razem z prawdziwą radością: - Jessamy!

Ujmując jego rękę, Jessamy powiedział niezgrabnie:

- Nie, to balwierz, staruszkule!

- Żałuję, że to zrobiłem! - wyznał Feliks nieszczęśliwym głosem. - Nie wiedziałem, że tak będzie bolało.

Bardzo jesteś na mnie zły?

- Nie, nie, przysięgam, że nie!

Feliks westchnął, a kiedy Alverstoke zaczął obmywać mu twarz, znowu zamknął oczy.

Jessamy poczuł tak ogromną ulgę, że Feliks obudził się w pełnej świadomości, iż poweselał, więc kiedy brat zasnął, mógł nawet opowiedzieć Alverstoke'owi, co wydarzyło się na Upper Wimpole Street.

Generalnie wiadomości były dobre; chociaż Charis płakała za każdym razem, kiedy pomyślała o nieszczęsnym Feliksie, zaś panna Winsham, którą przeciwności losu nieodmiennie wytrącały z równowagi, uważała wypadek za umyślną złośliwość ze strony Feliksa, który chciał jeszcze dołożyć się do jej obecnych trosk. Między innymi stwierdziła, że straciła cierpliwość i do niego, i do Fryderyk!, która zresztą sama jest winna, gdyż rozpuściła brata jak dziadowski bicz. Harry wrócił z Wells poprzedniego wieczoru i natychmiast przejął stery domu. Jessamy uważał jego powrót za prawdziwe błogosławieństwo, chociaż pierwsze, co zrobił, to pokłócił się z ciotką, i to tak, że ta natychmiast spakowała się i przeniosła na Harley Street. Alverstoke wyraził wątpliwości, czy spodoba się to Fryderyce, ale Jessamy wyznał mu poufnie:

- Owszem, na pewno, sir, gdyż wie, że ciotka i Harry działają na siebie jak ogień i woda, a poza tym powiem jej bez ogródek, że Charis bez ciotki będzie się lepiej czuła. Ona... ona mówiła takie rzeczy... takie nieżyczliwości! A to ogromnie przygnębiło Charis! Pan wie, sir, że Charis potrzebuje raczej wsparcia. No i Harry ją podtrzymuje na duchu. Kiedy tylko wszedł do salonu, natychmiast nabrała otuchy. I skoro on przy niej zostanie... co, przysięgam, zamierza... to ciotka nie będzie jej wcale potrzebna.

Na oschłe pytania Jessamy odparł, że chociaż sam niekiedy spiera się ze starszym bratem, ale nigdy nie wątpił, iż jest oddany rodzinie. I na potwierdzenie tych słów dodał, że o ile wie, to Harry wyjaśnił swojemu przyjacielowi, Peplowowi, że musi zrezygnować ze wszelkich wcześniejszych zobowiązań: nawet z wyjazdu na wyścigi do Ascot! W pierwszej chwili Harry chciał natychmiast ruszać do Hertfordshire, jednak dał się przekonać, że powinien pozostać w Londynie.

- I muszę przyznać, sir - powiedział szlachetnie Jessamy - że go za to podziwiam! Bo byłem przekonany, że się obruszy, kiedy przypomniałem mu, iż gdy ktokolwiek z nas zachorował, to z niego nigdy nie było pożytku!

Harry nie tylko przełknął z pokorą tę wymówkę; wyposażył także Jessamy'ego w pieniądze na podróż, obdarzył pokrzepiającym liścikiem dla Fryderyki, wykpił depresję Charis, a nawet przyrzekł zająć się Lufką.

- I przy tym nie nazwał Lufkę przeklętym kundlem! - dokończył Jessamy.

- To rzeczywiście miło z jego strony - poważnie odparł Alverstoke.

- Tak. On jest bardzo miły! To znaczy, nigdy nie próbuje komuś przyłożyć ani nie złości się, gdy go ktoś prowokuje, co, obawiam się, czyni większość starszych braci. - Westchnął i dodał z żalem:

- Chciałem zabrać ze sobą Luffę, ale chyba by mi nie pozwolili, prawda?

Markiz w duchu podziękował Opatrzności, że uchroniła go przed dodatkowym obowiązkiem, polegającym na chronieniu trzody Judbrooka przed napaściami Lufty. Powiedział więc tylko z takim współczuciem, na jakie mógł się zdobyć:

- Obawiam się, że masz rację. Ale możesz pocieszać się myślą, że pies będzie pod dobrą opieką.

- Tak! - zawołał naiwnie Jessamy. - Owen przyrzekł go karmić i wyprowadzać na spacer.

Jeżeli nawet Fryderykę nie bardzo ucieszyła wieść, iż ciotka wykręciła się od opieki nad swoimi młodszymi krewnymi, przyjęła tę nowinę filozoficznie, mówiąc Alverstoke'owi, że pewnie dobrze i się stało, iż przeprowadziła się na Harley Street.

- Ciągłe kręcenie nosem i wymówki, jakby to wszystko było winą Charis, wcale by nie pomogły! Ale ona wcale nie myśli tak, jak mówi, i nie wątpię, że będzie miała na wszystko oko, nawet mieszkając z ciotką Amelią. Charis będzie szczęśliwsza z Harrym, a wiem, że brat dobrze się nią zaopiekuje. Jedno tylko...

Urwała, w jej oczach pojawiła się troska; Alverstoke po chwili zapytał:

- O co chodzi Fryderyko? O mojego młodego tępego kuzynka?

Błady uśmiech potwierdził, że strzelił w dziesiątkę, lecz Fryderyka odparła:

- Cokolwiek to jest, nic nie mogę poradzić, więc głupotą byłoby teraz się tym zadreć.

Markiz nie powiedział już nic więcej, wiedząc, że myśli dziewczyny skupiły się na Feliksie. Przyszłość Charis niewiele go obchodziła, chyba tylko w tym sensie, że niepokoiła jej siostrę, zatem z zadowoleniem porzucił ten temat. Skłaniał się ku podejrzeniu, że Endymion poddał się uczuciu równie gwałtownemu, jak ulotnemu. Jeżeli natomiast cała ta afera okaże się poważniejsza, niż przypuszczał, i przysporzy zmartwień Fryderyce, to wtedy bez skrupułów zainterweniuje. Prawdę mówiąc, jego lordowska mość, uprzednio zajęty wyłącznie sobą, teraz był gotów poświęcić każdego, by oszczędzić swojej Fryderyce nawet chwili cierpienia. Może poza dwoma najmłodszymi członkami rodziny, których tak bardzo kochała: Jessamy'ego, zamartwiającego się, że prawie wykluczono go z opieki nad chorym i niezgrabnie wyrażającego gotowość służenia jako posłaniec, tragarz czy sprzątaczką, i Feliksa, którego zależało od jego siły i opieki. Nie: jeśli chodzi o Jessamy'ego albo Feliksa, wcale nie było to poświęcenie; co więcej, szczerze polubił tych niesfornych braci - chociaż zachodził w głowę, jak to się stało.

W ciągu następnych dwóch dni nie miał ani czasu, ani nastroju do zastanawiania się nad tym pytaniem. Zgodnie z przepowiednią doktora gorączka Feliksa wzrosła. Chociaż Alverstoke zdołał zachować stoicki spokój, zaczął żywić najczarniejsze obawy. Wyczuwał też, że i Fryderyka je podziela, mimo iż nigdy o tym nie mówiła i nie okazywała najmniejszych oznak niepokoju. Była nieodmiennie pogodna; dostrzegał jednak lęk w jej oczach, widział, jak zmizerniała, zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma, nim się załamie.

Nad ranem trzeciego dnia, kiedy wszedł do sypialni chorego, powitała go dziwna cisza. Do tego stopnia niepokoił go krytyczny stan Feliksa, że poprzedniego wieczoru nie odjechał z farmy. Teraz stanął jak wryty w progu, sparaliżowany przerażeniem. Feliks leżał nieruchomo, ani nie mamrotał, ani się nie rzucał, a Fryderyka stała przy łóżku. Na dźwięk otwieranych drzwi odwróciła głowę. Alverstoke, widząc łzy spływające po jej twarzy, szybko ruszył do niej, mówiąc:

- Och, moja biedna dziewczynko...! Potem ujrzał, że uśmiecha się przez łzy. Wyjaśniła po prostu:

- Śpi. Gorączka opadła. W pewnej chwili zobaczyłam, że się poci, i już wiedziałam! Kuzynie, udało się nam!

wiele zmian. Nie trzeba już było bez przerwy czuwać nad dzieckiem; i chociaż Fryderyka, sypiąca na dostawianym łożku w jego pokoju, musiała trzy lub cztery razy w nocy wstawać, by go obsłużyć, nie potrzebowała już kogoś, by jej pomagał lub ją zmieniał. Również w ciągu dnia nie musiała stale przebywać w zasięgu głosu brata. Feliks dużo spał, a gdy się budził, zachowywał się ulegle, zanadto osłabiony, aby jak zwykle stawać okoniem: okoliczność ta sprawiła, że Jessamy, któremu pozwolono wreszcie także poopiekować się chorym, poczuł się tak zdezorientowany, aż zwrócił się do markiza po radę.

- Nie chciałbym niepokoić Fryderyki, sir - wyjaśniał. - Tylko że on zachowuje się jak nie on! Nie chodzi wcale o to, że jest panu czy Fryderyce posłuszny, bo oczywiście taki jest. Ale robi to, co ja mu mówię, że musi, i nawet się ze mną nie spiera! Sir, czy pan nie sądzi, że może ma jakiś uszkodzony mózg?

Zachowując kamienny wyraz twarzy markiz zapewnił, że nie ma racji; Jessamy jednak nie uspokoił się, aż do dnia, kiedy Feliks nie chciał połknąć lekarstwa i wyzwał go od najgorszych bestii pod słońcem.

- Teraz już wiem na pewno, że nic mu nie jest! - opowiadał rozpromieniony markizowi. - Przypuszczam nawet, że niebawem rzuci we mnie kubkiem!

- Cóż, jeśli to ma ci sprawić przyjemność, to mam nadzieję, że tak zrobi! - powiedział lord. - Ale przestrzeż go, by nie ważył się rzucać we mnie!

Kolejna zmiana zaszła za sprawą Knappa. Pozmagawszy się ze swoją dumą, pogodził się z nudą, którą cierpiał w Sun, i zazdrością wobec Curry'ego, który całe dni spędzał na farmie usługując markizowi, po czym przemógł niechęć poniżenia i zaoferował swoje usługi.

W ten sposób Feliksowi, któremu bynajmniej to nie zaimponowało, usługiwał kamerdyner o wyjątkowych kwalifikacjach; rejon kuchni zaszczyliła obecność osoby o wielkim mniemaniu o sobie, którą panna Judbrook uznała za dżentelmena nad dżentelmenami. Toteż Fryderyka powiedziała markizowi, iż nagle nie ma nic do roboty.

Można się było spodziewać, że w tej sytuacji lord natychmiast wyjedzie do Londynu, lecz taka zmiana nie nastąpiła. W dalszym ciągu mieszkał w Sun w warunkach, do których przecież nie przywykł, i dni spędzał na Monk's Farm. Kiedy tylko Fryderyka uznała, że na godzinę, dwie może bezpiecznie zostawić Feliksa pod opieką brata, namawiał ją na przejażdżkę faetonem, by zaczerpnęła świeżego powietrza; a potem, kiedy już trochę odpoczęła, zapraszał ją na przechadzki. Czyniła to z ochotą; gawędziła z nim jak odwieczna przyjaciółka, radziła się we wszystkich kłopotach, jakie się narodziły; jednakże całkowity brak zainteresowania nim wyjawiał mu, że nawet nie przyszło jej do głowy, by potraktować go jako konkurenta. Zastanawiał się wręcz, czy nie odnosi się do niego jak do starszego brata lub nawet (ponizająca myśl!) do wuja.

A on sam już wreszcie przestał się wahać. Im częściej ją widywał, tym bardziej był zakochany, tak jak jeszcze nigdy nie kochał żadnej kobiety. Nawet najpiękniejsza z dotychczasowych flam nie skłoniła go, by pragnął ochronić ją przed wszelkimi przeciwnościami losu; nigdy też nie wyobrażał sobie, by któraś z jego arystokratycznych dam zarządzała którąkolwiek z jego posiadłości; co więcej, nawet nie myślał, by z jakąś związać się na dłużej. Fryderykę znał ledwie od dwóch miesięcy. Zdołała jednak poważnie zakłócić jego ustalone podejście do życia, polegające mianowicie na niezdecydowaniu: było to nowe doświadczenie, którego bynajmniej nie uznał za złe. Kiedy przemocą został wciągnięty w fantastyczną przygodę jej

młodsze brata, wciąż jeszcze się wahał; gdy jednak spędził cały tydzień u boku Fryderyki. a okoliczności były tak nieromantyczne, jak niewygodne, wszystkie te wątpliwości rozwiały się: zapragnął spędzić z nią resztę życia - okazała się bowiem tak doskonałą istotą, o jakiej dotąd nawet nie śmiał marzyć.

Mówiąc szczerze, jego lordowska mość zakochał się po same uszy, to zaś było dla niego zupełnie nowym doświadczeniem. Fryderyka natomiast zdawała się wcale nie odwzajemniać jego uczuć. Wiedział, że go polubiła, raz czy drugi ośmielił się żywić nadzieję, że jest to coś więcej niż zwykła życzliwość, ale tego nie był pewny, nie zapomniał też, że kiedy raz jeden okazał, iż ją kocha, bez wahania odprawiła go chłodno. Wydawało się to tak dawno temu. Może zmieniła zdanie. Przecież wtedy, na początku sam nie umiał podjąć decyzji, nie robił też nic, by zwrócić uwagę. W sytuacji, w jakiej się niespodziewanie dla siebie znaleźli na farmie Monk's, oboje okazali się na tyle niemądrzy i niezdarni, że nie potrafili rozwinąć rodzącego się uczucia. Moment był wyjątkowo niesprzyjający, zwłaszcza że gdyby go odepchnęła, oboje byliby wielce zakłopotani, bo przecież jego pomoc w opiece nad Feliksem była bardzo potrzebna.

Feliks przeżył i czuł się coraz lepiej, toteż markiz nie miał już pretekstu, by dalej pozostawać w hrabstwie Herford.

Poszli razem na przechadzkę. Nim zawrócili, przystanęli, by chwilę odpocząć. Opierając się o poprzeczną belkę ogrodzenia, wbiła wzrok przed siebie. Miała zakłopotaną minę.

- Fryderyko! - odezwał się lord, nierozważnie zbierając się na odwagę.

Najwyraźniej nie usłyszała, ale kiedy potworzył jej imię, odwróciła się.

- Przepraszam! Zamyśliłam się! Mówiłeś coś, kuzynie?

- Jeszcze nie! - odparł. - Próbowałem tylko przyciągnąć twoją uwagę! A o czym to myślałaś tak intensywnie?

- Usiłowałam sobie przypomnieć przepis na wyśmienitą galaretkę, którą pani Ansdell... pamięta pan, to żona naszego wikarego... polecała mi, kiedy Jessamy i Feliks zachorowali na różyczkę - odpowiedziała spokojnie. - Ogromnie im pomogła, więc sądzę, że i teraz byłaby dobra dla Feliksa, gdybym tylko mogła... Och! „Wzmacniająca Galaretka Doktora Ratcliffe'a”! Jak mogłam być tak głupia? Hm, a co by pan powiedział, gdybym zaczęła skakać z radości?

- Nic! - odparł ze śmiechem markiz.

- No więc, co chciał mi pan powiedzieć? - dopytywała się, marszcząc zabawnie brwi.

- Nic ważnego, Fryderyko! - powtórzył. - Jakie to szczęście, że przypomniłaś sobie nazwę tej galaretki! Czy mam pojechać do Hemel Hempstead i spróbować ją kupić?

- Nie sądzę, żeby się panu udało ją zdobyć. Jeśli doktor Elcot to zaaprobuje, to napiszę do Harry'ego i poproszę, by mi ją przywiózł.

- O, więc Harry ma nas odwiedzić? - zdziwił się markiz.

- Tak... nie mówiłam panu o tym? Curry przywiózł mi dzisiaj list z poczty. Harry pisze, że może przyjechać dylizanssem, a potem zaraz wracać do Londynu, by zjeść z Charis kolację. Wie pan przecież, że gdyby Jessamy, słusznie zresztą, mu tego nie wyperswadował, to natychmiast by się tutaj stawił. Gdyby wtedy ujrzał Feliksa, z pewnością wpadłby w przygnębienie, gdyż sam bardzo rzadko choruje i nie ma zielonego pojęcia, jak opiekować się chorymi. Ale, oczywiście, teraz już nie może się doczekać, kiedy nas

zobaczy, zatem napiszę, by to zrobił, tylko go przestrzegę, by nie zabierał ze sobą Charis. Przykro mi z tego powodu, gdyż z całego serca pragnęłabym ją ujrzeć, ale nie możemy pozwolić, by i ona nam tutaj zasłabła!

- Ależ oczywiście! - zawołał przerażony Alverstoke. - Chyba się tu nie wybiera?

- Cóż. może za jakiś dzień, dwa. Zależy od dylizansów - wyjaśniła. - Sam pan wie, jakie są te żółte powozy! Nim zdążyliby dotrzeć do Edgware, już miałyby mdłości.

Jego lordowska mość uznał, że to nie najwłaściwszy moment na oświadczyzny, rozsądnie się przed nimi powstrzymał, a gdy wracali na farmę, rozmawiał z Fryderyka na całkiem obojętne tematy.

Harry, który przybył w planowanym terminie, przywożąc ze sobą zapas „Wzmacniającej Galaretki Wieprzowej Doktora Ratcliffe’a”, doznał wstrząsu na widok wychudłego, bladego i tak osłabionego Feliksa. Dopiero Fryderyka i Alverstoke wspólnymi siłami zdołali go przekonać, że brat nie leży na łożu śmierci. On sam skłaniał się raczej ku podejrzeniu, że Fryderyka zbyt beztrzesko traktuje całą sprawę i nalegał, by posłać po londyńskiego lekarza - twierdził nawet, że to on, a nie siostra, jest opiekunem małego biedactwa - Alverstoke musiał więc pospieszyć jej z pomocą. Odciągnął Harry’ego na bok i z cudowną cierpliwością wytłumaczył mu, iż na tym etapie byłoby zarówno nierozsądne, jak i niewskazane wzywanie innego doktora. Harry nie wyglądał na specjalnie przekonanego, rozjaśnił się jednak, gdy Alverstoke zaproponował, że jeśli po powrocie do domu Feliks nie będzie szybko wracał do zdrowia, Harry skonsultuje się z londyńskim specjalistą.

Nie tylko chęć zobaczenia brata powodowała Harrym, gdy zdecydował się na przyjazd na Monk’s Farm. Pragnął takie spłacić dług markizowi.

- Sir, musiał pan ponieść ogromne wydatki. Jestem panu wielce zobowiązany, że zgodził się pan mnie zastąpić - powiedział skrupulatnie. - Zatem, jeśli to panu będzie odpowiadało, pragnąłbym panu wystawić czek do mojego banku.

Zacisnął uparcie wargi, w jego oczach pojawiło się coś jakby wyzwanie, lecz markiz, który przewidział to żądanie, wytrącił młodzieńcowi broń z ręki. Odparł niefrasobliwie:

- Och, doskonale! Wyślę ci rachunek po powrocie do Londynu. Wolałbyś rachunek szczegółowy czy może zgodzisz się na zbiorczy?

- Ach, oczywiście, wystarczy zbiorczy, sir! - zawołał Harry całkowicie zbity z pantafelku. - Chodziło mi tylko o... to znaczy, mam nadzieję, że pan o tym nie zapomni?

- Gdybym się tak stało, to proszę odświeżyć mi pamięć -poprosił markiz.

I Harry musiał się tym zadowolić. Dopilnował jednak, by powiadomić Fryderykę, aby poinstruowała doktora Elcota, by nie wystawiał rachunków na Alverstoke’a.

- Przywiozłem dla ciebie pokaźny zwitek mamony - mówił - a gdybyś potrzebowała jeszcze więcej na bieżące potrzeby, upraszam cię, byś mnie natychmiast zawiadomiła, gdyż nie życzę sobie, abyś angażowała Alverstoke’a z powodu byle bzdury! Nie byłbym mężczyzną, gdybym sam nie umiał zadbać o swoich braci i swoje siostry!

Zgodziła się, lecz dodała:

- Wolałabym tylko, abyś nie musiał uciekać się do... nie wolno ci!

- Uciekać się do hazardu?

- Tak, nie rób tego. Wolą pożyczyć pewną sumę. Sam wiesz, że byłam przekonana, iż za wszystko zapłacimy dzięki wpływom z Graynard, ale utrzymanie domu w Londynie i uczęszczanie na tak liczne bale okazało się o wiele bardziej kosztowne, niż się spodziewałam.

- E tam! Kogo to obchodzi?

- Mnie... prawdę mówiąc, jestem śmiertelnie upokorzona! Harry, nigdy nie zamierzałam wyciągać od ciebie pieniędzy. Wszystko ci zwrócę, obawiam się jednak, że teraz muszę skorzystać z twojej pomocy.

- Freddy, może przestałabyś wreszcie pleść bzdury? Ktoś mógłby pomyśleć, że jestem całkiem splukany!

- Nie, wiem doskonale, że nie jest aż tak źle, jednak jestem pewna, iż nie opływasz teraz w dostatki. Obawiam się także, że zaciągnąłeś długi.

- Nic poważnego! - zapewnił, lecz zdradził go rumieniec. - Nie powinnaś zaprzętać sobie głowy! A jeśli chodzi o twoje wydatki, zawsze dam sobie radę. Rozumiesz, Salcombe to dla mnie załatwi.

- Czyżbyś miał zamiar sprzedać fundusz powierniczy? Nie, tego nie możesz zrobić!

- Och, nie kłopotz się. Salcombe załatwi to w jakiś inny sposób! Więc, jaka to suma?

- Mój drogi, ja też jeszcze nie jestem całkiem bez pieniędzy! Po prostu ostrzegam cię, że mogę potrzebować twojej pomocy! Kłopot polega na tym, że nie powinnam trzymać Feliksa w Londynie, a dom wynajęłam na pół roku. Sądziłam, że żyjąc bardzo oszczędnie, zdołamy tam mieszkać przez całe lato już po skończeniu sezonu. Ale rozmawiałam z doktorem Elcotem, a on zalecił, by wywieźć Feliksa z miasta na czas, póki całkiem nie odzyska sił. Pośpiech i wszelkie rozrywki Londynu nie są dla niego wskazane. Nie powinien mu pozwolić, by zanadto wypróbowywał swoje siły. Teraz mały ma się zupełnie dobrze, lecz, jak wiemy z doświadczenia, gorączka reumatyczna niekiedy zostawia przykre ślady.

- Tak jak było z mamą - powiedział. - Dobry Boże, Feliksa powinien obejrzeć londyński lekarz! Taki, który zna się na wszystkich najnowszych kuracjach!

- Hm, sama tak uważam. Prawdę powiedziawszy, doktor Elcot też mi to radził. Zwrócimy się zatem do sir Williama Knightona, by zaszedł na Upper Wimpole Street, kiedy tylko Feliks poczuje się na tyle dobrze, by znieść trudy podróży, co, mam nadzieję, szybko nastąpi... zwłaszcza że będziemy podróżować powozem Alverstoke'a, a to najbardziej luksusowy powóz, jaki w życiu widziałam!

A potem, jeśli sir William wyrazi zgodę, planuję przenieść się w jakieś ciche, dość odludne miejsce... chyba nad morze? Tylko muszę, oczywiście, zabrać ze sobą Charis i Jesammy'ego, więc obawiam się, że to będzie bardzo kosztowne, nawet gdybyśmy znaleźli niezbyt drogie lokum. Harry, czy mógłbyś rozejrzeć się po nadmorskich miejscowościach i znaleźć nam jakieś odpowiednie miejsce? Albo wynająć umeblowany domek.

Harry jednak uznał, że nie ma dostatecznych na to kwalifikacji. Stwierdził, że Fryderyka dużo lepiej to zrobi, a sam szlachetnie ofiarował się towarzyszyć siostrze w tym rekonesansie.

Nie naciskała, zauważyła jedynie, że może byłoby to nie najmądrzejsze, by nie powiedzieć idiotycznie, zostawiać wybór lokum osobie tak niedoświadczonej jak jej brat. I zapytała go, jak radzi sobie Charis. Zapewnił, że Fryderyka nie musi się zadręczać, gdyż Charis ma się całkiem nieźle; przyznał jednak, że jest w niezbyt dobrym nastroju. Oczywiście włożyła żalobę i wymówiła się z wszystkich przyjęć, na które były uprzednio z Fryderyka zaproszone. Nie, nie sądzi, że popadła w melancholię, zaś co do osamotnienia, to jest

wręcz przeciwnie! Wielkie nieba, drzwi się nie zamykają! A przy okazji, chciał już wcześniej spytać, kim, do diabła, jest ten wariat, który wystaje na progu, dopytuje się o Feliksa, wręcza Buddle'owi kwiaty i bileciki dla Charis, i w ogóle robi z siebie głupca? Prawdziwy fanfaron: Nutley czy jakoś tak.

- O jej! Nasz sąsiad - zawołała Fryderyka. - Godny szacunku młodzieniec, lecz... intruz! Nie mogę powiedzieć o nim złego słowa, gdyż doskonale wiem, że Charis... choć wcale tego nie zamierzała, tylko ma takie miękkie serce... sama go zachęciła! Usiłowałam się go delikatnie pozbyć...

- Cóż, ja postąpiłem bardziej zdecydowanie! - przerwał Harry. - Jak on śmie myśleć o mojej siostrze? Kiedy posunął się do tego, że stwierdził, iż pragnie jej służyć w „tych ciężkich chwilach”... co za tupet!... powiedziałem mu, że Charis nie potrzebuje pomocy ani od niego, ani od nikogo innego poza mną! I mogę z radością oświadczyć, że to go ostudziło w zapałach!

- Biedny pan Nutley! A pan Navenby? Czy zachodził do was?

- O, tak! Nawet przyprowadził ze sobą matkę. Śmiała się z całej tej afery, ale jemu wcale nie było do śmiechu! Najpierw nie mógł uwierzyć, potem usiadł wybałuszając oczy. Wypadek opisano w gazetach, sama wiesz... dzięki Bogu, nie ze wszystkimi szczegółami, ale wystarczyło!

- Przypuszczałam, że tak się musiało stać - westchnęła. - Czy ktoś był tym zszokowany?

- Nie sądzę. Cóż, lady Elizabeth nie była wstrząśnięta, prawda? I powiem ci, że podobnie zareagowały jeszcze dwie osoby: Barny i Dauntry! Myślą, że Feliks miał przyciągnąć większą uwagę publiki, ale wybiłem im ten pomysł z głów!

- Mam nadzieję! Harry, spodziewam się, że Endymion Dauntry nie nachodził domu?

- Nic z tych rzeczy! Nachodzenie, coś podobnego! Ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego wolisz tego lekkoducha Navenby'ego od Endymiona. Na twoim miejscu, Freddy, dałbym mu swoje błogosławieństwo! Nie twierdzą, że to olśniewająca partia, ale, mimo wszystko, całkiem stosowna. I skoro Charis nie przeszkadza, że to tępak, po co ty się tym martwisz? Przynajmniej jest stateczny, a nie jakiś tam dandys!

- Gdyby zniknął jej z oczu, zapomnieliby o nim w ciągu miesiąca - odparła Fryderyka. - Ale nie spierajmy się! Nigdy się bowiem w tej kwestii nie zgodzimy. Powiedz mi lepiej, co Charis ma dzisiaj robić? Czy jest przy niej lady Elizabeth?

- Nie, ale nie jest też sama. Ma spędzić dzień z Chloe Dauntry, przed południem wybierają się na spacer. Będę szczebiotać całe popołudnie!

- A ja wołałabym, aby pański durny kuzyn nie służył im jako eskorta! - powiedziała później Fryderyka, opowiadając o wszystkim markizowi.

Wyglądał na rozbawionego.

- Podejrzewam, że ich eskortą... jeśli w ogóle jakaś będzie... stanie się mój niegłupi sekretarz. Czy zanoszą się na to, by to uczucie przetrwało dłużej?

Obrzuciła go baczny spojrzeniem.

- A pan jest temu przeciwny?

- Moja droga panno, a cóż mnie to może obchodzić? Muszę przyznać, że Charles sam doskonale potrafi myśleć i jestem absolutnie przekonany, że natknąłby się na zdecydowany opór ze strony kochającej mamuśki Chloe. Uważam nawet, że ma dość rozsądku, by się dobrze zastanowić, nim odważy się na jakiś



zdecydowany krok. Nie mam jednak najmniejszego zamiaru wtrącać się w tę aferę.

- Cieszę się. Zgadzam się także z kuzynem, a Chloe jest za młoda, by myśleć o małżeństwie... chociaż, oczywiście, już o tym rozmyśla! Za młoda na formalne zaręczyny. Podejrzewam jednak, że to uczucie okaże się trwałe. A co do pani Dauntry, domyślam się, jak straszliwie zmartwiłoby ją takie małżeństwo. I przyznam, że wymyśliłam znakomity plan!

Markiz spojrział na nią, ogarnięty złym przecuciem.

- Fryderyko, jeżeli w swoim planie i mnie uwzględniłaś...

- Och, owszem, ale tylko w małym stopniu! Kiedy ostatni raz widział się pan z Dianą?

- Mam wrażenie, że bardzo dawno, gdyż nie potrafię przypomnieć sobie nikogo o tym imieniu - wyznał. - Ale sama wiesz, jak zawodną mam pamięć! Kim... hm... jest owa Diana i co ma ona wspólnego z całą tą sprawą?

- Alverstoke! - wykrzyknęła. - To przecież jest siostra Chloe! Czyżbyś o tym zapomniał?

- Och, z łatwością! - zapewnił i dodał z niejakim triumfem w głosie: - Ale teraz, kiedy mi o tym przypomniałaś, zdaje się, że doliczyłem się trzech sióstr!

W oczach Fryderyki zaigrały chochliki, odparła jednak poważnie:

- Sir, twierdzą, że jest pan wyjątkowo wstrętnym człowiekiem!

- Owszem, jestem! Często mi to pani powtarza, a ja absolutnie polegam na tym osądzie. Parsknęła śmiechem.

- Banialuki! Błagam, proszę choć przez chwilę zachować powagę!

- Jestem śmiertelnie poważny!

- A ja wieki temu oślepiłam i ogłuchłam! - odparła. - Proszę przestać żartować i uważnie mnie posłuchać! Jeżeli się nie mylę, Diana, gdy dojdzie do wieku, w którym będzie mogła zostać wprowadzona w świat, zrobi oszołamiającą karierę. Drogi panie, ona zapowiada się na wyjątkowo obiecującą pannę! Ona i Endymion są niezwykle podobni do pani Dauntry, a traciłby pan tylko czas, gdyby chciał mi opowiadać, że pani Dauntry za młodych lat nie była diamentem najczystszej wody! A ponieważ to nic nie szkodzi, jeśli niewiasta ma ptasi mózdzek...

- A ona ma? - przerwał.

- Och, tak! Kochane kurczątko! - Umilkła na chwilę i dodała ostrożnie: - Chciałam powiedzieć, że jej rozum jest... jakby to określić... przeciętny! To nie ma znaczenia: zaakceptuje Charis taką, jaka jest, i bardzo prawdopodobne, że uda się jej zdobyć wspaniałą partię... z niewielką pomocą z pana strony! Oczywiście wyda pan dla niej bal...

- Słucham? Powiedziałaś „oczywiście”?

- Ależ tak! Proszę pamiętać, że wydał pan już bal dla Chloe!

- Wcale sobie tego nie przypominam. Bal wydałem dla pani i Charis.

- Owszem, to był najbliższy pretekst! Mimo to miło z pana strony, że zapewnia mnie pan, iż było inaczej. Ale sedno tkwi w tym, że skoro pomyślał pan, by wydać bal debiutancki dla Jane Buxted i Chloe Dauntry, to siłą rzeczy uczyni pan to samo dla Diany!

- I siłą rzeczy dla sióstr Jane? - upewnił się. Zmarszczyła brwi, rozważając tę kwestię.

- Muszę powiedzieć - przyznała otwarcie - że to niezwykle kusząca propozycja! Ale pamiętam, że mają one brata, który potrafi je znakomicie zabezpieczyć i... trzeba oddać mu sprawiedliwość!... z pewnością chętnie to uczyni. I ja także chciałabym tego od ciebie, kuzynie, kiedy nadejdzie pora... zakładając, że pani Dauntry jest wciąż pochłonięta sprawami Chloe... zasugerowanie jej, iż przed debiutem Diany najpilniejszą potrzebą jest wydanie Chloe za mąż. A tak może się stać, jeśli przed upływem drugiego sezonu Chloe nie trafi się jakaś inna partia. Więc błagam, miej to na uwadze!

Popatrzył na dziewczynę i uśmiechnął się olśniewająco.

- Nie dam rady. Ale pani, Fryderyko, musi mi o tym przypomnieć. Tylko dlaczego to panią obchodzi?

- Uważa pan, że to nie moja sprawa? Oczywiście, że nie, ale tak polubiłam ich oboje... i jeśli chodzi o dwie osoby darzące się nawzajem uczuciem, to nikt nie może być obojętny na ich sprawy i każdy powinien im służyć pomocą.

Najwyraźniej uznała za pewnik, że markiz podziela jej zapatrywania. On nic nie odpowiedział, kiedy jednak przemyślał tę kwestię, doszedł do wniosku, że jedynie do nielicznych osób żywił cieplejsze uczucia - a prawdę mówiąc, nie było nikogo takiego, dla kogo gotów byłby się poświęcić. Raz pospieszył przyjacielowi z pomocą finansową, ale bynajmniej nie przypisywał tego sobie za cnotę: po prostu taka pomoc nie wymagała od niego większego poświęcenia. Charles? Owszem, lubił Charlesa i zamierzał wspierać go w dalszej karierze, lecz tym także nie mógłby się szczycić: nie musiał się bowiem zbytnio fatygować. Jediną osobą, która rzeczywiście zmusiła go do jakiegokolwiek wysiłku, okazał się Feliks, a markiz uczynił to wyłącznie dlatego, że pokochał Fryderykę. Ale czy naprawdę? Czy gdyby Fryderyka nie wchodziła w grę, to powierzyłby Feliksa opiece nieznannej pani Hucknall, ciemnej niewiasty, która nie zna się na niczym prócz położnictwa? Nie, tego by nie zrobił! W istocie, nie ponosił żadnej odpowiedzialności za Feliksa i Jessamy'ego, jednak szczerze ich polubił: może dlatego, że go zainteresowali, a może z tego względu, że tak wierzyli, iż on jest w stanie rozwiązać każdy ich problem i nigdy nie zwątpili, iż uczyni to z największą ochotą. Żadna z jego własnych sióstr natomiast ani nie chciała, ani potrzebowała pomocy w wychowaniu potomstwa, Fryderyce jednak, chociaż nie przyznawała się do tego nawet sama przed sobą, była ona konieczna. Gdyby to on decydował, posłałby Feliksa do szkoły, znalazłby też odpowiedniego guwernera dla Jessamy'ego, a nie takiego, który chętnie podejmuje się edukacji dzieci w różnym wieku i o różnych zdolnościach.

Kiedy Alverstoke poważnie zastanawiał się nad tymi sprawami, dwa dni po wizycie Harry'ego na Monk's Farm zawitał inny z pretendentów do ręki panny Merriville, równie przekonany, iż należy pilnie pokierować lekkomyślnym bratem Fryderyki.

Wkroczył do salonu, gdzie Jessamy ślęczał nad rozłożonymi na stole książkami, a Alverstoke, marszczył brwi nad jakimś trudniejszym ustępem w podręczniku, który usiłował chłopcu objaśnić.

Gość wykrzyknął:

- To pan, sir? Jeszcze tutaj? Sądziłem, że musi pan bawić już w Ascot!

Markiz podniósł głowę i powiedział z naganą w głosie:

- Wobec tego myliłeś się Buxted! Co za diabli cię tutaj przygnali?

- Przyjechałem zobaczyć, jak miewa się mój młody kuzynek i, oczywiście, pragnę ofiarować się z pomocą

jego umęczonej siostrze. Straszliwy wypadek! Obwiniam się, że nie użyłem całego swojego autorytetu i nie nalegałem, aby został przy nas i wrócił do domu moim powozem.

Markiz dotąd opierał dłoń o oparcie krzesła Jessamy'ego, ale teraz przeniósł ją na ramię chłopca. Posłuszny znaczącemu naciskowi Jessamy milczał.

- Carltonie, niesłusznie się obwiniasz - odezwał się lord.

- Nie masz żadnego autorytetu, a odpowiedzialność spoczywała... i dalej spoczywa... na moich barkach. Dlatego tutaj jestem. A co do reszty, Feliks w zadowalający sposób wraca do zdrowia. Fryderyka bez wątplenia będzie ogromnie wdzięczna za zaoferowaną pomoc, która byłaby jak najmilej widziana, gdybym na tyle stracił rozum, aby zapomnieć o swoich obowiązkach opiekuna tej rodziny.

Lord Buxted nigdy nie był zależny od wuja, nigdy się też go nie bał, lecz kiedy tylko znalazł się w jego towarzystwie, czuł się niedoświadczonym młodzieńcem, a nie głową domu i wsparciem dla braci i siostr, czym przecież bez wątplenia był. Zaczerwienił się.

- Och, gdybym wiedział, że pan tu jest, sir! Nie byłbym... Cóż, miło mi słyszeć, że nieszczęsny chłopczyk odzyskuje siły! Będzie to dla niego nauczka, chociaż nikt nie mógłby mu życzyć, aby przecierpiał tak okrutną lekcję. Jessamy, czy byłbyś tak uprzejmy i zaprowadził mnie do jego pokoju? Przywiozłem mu książkę i znakomitą układankę.

- Za nic! - wyrwało się Jessamy'emu. - To znaczy, jest pan niezwykle uprzejmy, sir... Brat będzie ogromnie wdzięczny... lecz... - urwał, gdyż poczuł na ramieniu uścisk dłoni Alverstoke'a.

- Obawiam się, że nie mogę pozwolić ci na wizytę u chłopca - powiedział markiz. - Doktor zaleca, by nikt go jeszcze nie niepokoił... Należy dopilnować, by miał absolutny spokój!

- Och, oczywiście, ale zapewniam, że nie będę go niepokoił! Sam pan wie, że jesteśmy od dawna kumplami!

- Ale nie aż takimi jak on i Harry - zauważył oschle Alverstoke.

- Nawet Harry'emu nie pozwoliliśmy na odwiedzenie chorego, ale nie mówmy już o tym, gdyż nie prowadzi to do niczego. Jessamy, idź na górę i powiadom Fryderykę, że przyjechał Buxted!

Zostawszy sam na sam z wujem, Buxted przypatrzył mu się spod zmarszczonych brwi.

- Muszę przyznać, wuju, że nie mogę ochłonąć ze zdumienia, iż wuj jest tutaj przez cały ten czas! Myślałbym raczej... gdyż wiem, że panna Winsham wciąż nie opuszcza Londynu...

- Och, zamartwiasz się o dziedzictwo? Niech więc cię uspokoję! Zamieszkałem w gospodzie Sun w Hemel Hempstead, a jest tam piekielnie niewygodnie! Cóż, spodziewam się jednak, że za kilka dni będę już mógł wrócić do Londynu: dokładnie mówiąc, gdy Feliksowi nie będą już potrzebne usługi mojego kamerdynera.

Buxted prawie wybałuszył oczy.

- Pański kamerdyner, sir? Usługujący Feliksowi? Hm, nie posiadam się ze zdumienia, że potrafi się pan bez niego obejść!

- Bo nie potrafię - zapewnił Alverstoke. - Dlatego też jestem tu uwiązany. - Odwrócił się, gdyż do salonu weszła Fryderyka. Uśmiechnął się do niej, w jego oczach zabłyśły drwiące iskierki. - O, Fryderyko! Wiedziałem, że zechcesz powitać Buxteda, który przyjechał dowiedzieć się o zdrowie Feliksa!

- No tak, oczywiście! - odezwała się grzecznie. - Jak to miło z twojej strony, kuzynie! Chwycił jej dłoń i

przytrzymał ją, mówiąc:

- Nie mogłem stać na uboczu!

Markiz, obserwując tę scenę przez monokl, ze stoickim spokojem zachęcił Fryderykę, by opowiedziała całą historię choroby Feliksa, a potem się wycofał.

Jednak gdy tylko Buxted odjechał, natychmiast znowu się pojawił.

- Jak pan mógł mnie z nim zostawić sam na sam? - zawołała gniewnie Fryderyka. - To... to największa podłość pod słońcem!

- Ależ sama mnie wielokrotnie zapewniałaś, że w twoim wieku nie potrzebujesz już przyzwoitki!

- Przyzwoitki! Oczywiście, że nie! I nie o to mi chodziło, o czym pan doskonale wie! Ale zostawić mnie tak bez litości...

- Ależ skąd! Poczytuję sobie za zasługę fakt, iż nie okazałem się aż tak bez serca, aby pozbawić go sam na sam z panią, czego wyraźnie się spodziewał. Nieszczęsny facet, za swoje oddanie powinien zyskać większą nagrodę! Czy ponowił oświadczenia?

- Owszem! Okropne przeżycie, gdyż musiałam się zarumienić, kiedy tak życzliwie mówił o Feliksie, utrzymałam jednak język za zębami. Wiem bowiem, że chciał być tylko serdeczny i pomocny... no i przywiózł Feliksowi książkę i układankę, którą brat byłby zachwycony (a spodziewam się, że nawet oszalałby na jej punkcie), gdybym okazała się na tyle niemądra i przekazała mu ją, czego, rzecz jasna, nie zrobię. Powtarzał też, jak byłby szczęśliwy, gdyby mógł zdjąć ten ciężar z moich ramion... jak gdyby chłopcy kiedykolwiek byli dla mnie ciężarem! W tej sytuacji mogłam się zdobyć wyłącznie na to, by go grzecznie odprawić! Chociaż teraz wołałabym nie być tak grzeczna, gdyż on mi odpowiedział, że wcale nie zamierza rozpaczać! Głupotą dorównuje Endymionowi!

- Ależ nie, nie! - odezwał się kojącym głosem Alverstoke. - Pod względem głupoty Endymion nie ma sobie równych!

- Hm, proszę sobie wyobrazić coś idiotyczniejszego od proszenia mnie o rękę w tej sytuacji...! - zawołała. - Pan by popełnił taki idiotyzm? Z pewnością nie! Endymion też pewnie nie!

Markiz popatrzył na nią przez chwilę, dziwnie wykrzywił wargi. Potem odezwał się:

- Za Endymiona nie mogę odpowiadać, ale jeśli chodzi o mnie, Fryderyko... to za nic bym tego nie zrobił!

## 25

Trzy dni później Markiz wyjechał z Hertfordshire. Kiedy oznajmił Fryderyce o swojej decyzji, wydawało mu się przez chwilę, że dostrzegł błysk rozczarowania w jej oczach. Ale natychmiast spokojnie go zapewniła:

- Tak, oczywiście, sir! Zaczęły mnie już dręczyć wyrzuty sumienia, gdyż teraz nie zachodzi potrzeba, bym trzymała się kurczowo pańskiego rękawa, a chociaż jesteśmy ogromnie zadowoleni z pańskiego towarzystwa, to pan musiał się do tej pory zanudzić prawie na śmierć!

- Wiesz, Fryderyko, najdziwniejsze, że nie jestem ani odrobinę znudzony - wyznał. Roześmiała się.

- Rzecz jasna, nie miał pan czasu na nudę, prawda? Jeżeli nie towarzyszył mi pan w przechadzkach albo

nie zabawiał Feliksa, to był pan zobowiązany... jeżeli nie zmuszony!... pomagać Jessamy'emu w jego gimnazjalnej edukacji!

- Przyznaję, że to akurat okazało się ciężką próbą, ale pocieszałem się myślą, że sam wiele się przy okazji nauczę. Wyszło bowiem na jaw, jak straszliwie jestem niedouczony! Obawiam się, że nigdy nie przykładałem się do książek tak jak Jessamy.

- Cóż, w to pod pewnymi warunkami potrafię uwierzyć! - odparła rozbawiona. - I, oczywiście, nie posiadał się pan z radości, że może uzupełnić szkolne braki! Jednak proszę mi nie wmawiać, że równie polubił pan to, że musiał pan wstawać z łóżka na długo przed południem!

- Och, na wsi nigdy nie przestrzegam miejskiego trybu życia! - zapewnił lekko.

- Jakież to obrzydliwe, że zawsze ma pan w zanadrzu gotową odpowiedź! - zauważyła. - Ale teraz... błagam, niech pan choć przez chwilę zachowa powagę! Nigdy nie zdołałam wyrazić, jak głęboko jestem panu wdzięczna za...

- Właśnie teraz miałaś okazję, lecz widzę wyraźnie, że nie masz nic ważnego do powiedzenia, więc bez skrupułów ci przerwę. To, co chcę powiedzieć, jest o wiele istotniejsze! Porozmawiałem sobie z Elcotem i dowiedziałem się od niego, a niestety nie od ciebie, że zamierzasz wywieźć Feliksa do jakiegoś nadmorskiego kurortu. Na pani miejscu ja bym tego nie robił. Fryderyko, w sezonie będziesz miała ogromne trudności ze znalezieniem odpowiedniego lokum nawet w niemodnej miejscowości. A nawet gdyby to się udało, spotka tam pani ograniczonych ziemian, nowobogackich i pyszałkowatych głupców!

- Ależ z pewnością muszą być też jakieś spokojne zakątki!

- Bez wątpienia, tylko ja o nich nie mam zielonego pojęcia, a pani tym bardziej! I nim znajdziemy coś odpowiedniego, minie z pół lata. Jeśli myśli pani o Worthing, to proszę wybić to sobie z głowy! Jest tam drogo, poza tym wszyscy, którym brak gustu, co roku jeżdżą tam na letnisko. Mam więc daleko stosowniejszą propozycję: mianowicie mogłabyś wraz z rodzeństwem przenieść się do Alver i zostać tam tak długo, jak zechcesz.

- Do Alver? - powtórzyła zdumiona. - Ale... czy pan mówi o Alver Park? W przewodnikach piszą, że to pańska główna rezydencja.

- Oczywiście, że mówię o Alver Park. Już wcześniej o tym myślałem, kiedy tylko stało się jasne, że należałoby wywieźć Feliksa z Londynu. Posiadłość leży dwanaście mil od Bath, więc jeśli zajdzie potrzeba, można tam jechać do wód albo zażyć ciepłych kąpiel, gdyby lekarz je zalecił. Poza tym jest tam o wiele spokojniej niż w jakimkolwiek innym uzdrowisku, ale sądzę, że zarówno Feliks, jak i Jessamy nie będą uskarżać się na brak rozrywek. Polecę swoim ludziom, aby się nimi zaopiekowali. Hodujemy tam kucyki, na których będą mogli jeździć, a gdyby zapragnęli łowić w strumieniach pstrągi, wyrażę na to zgodę!

- Och, Jessamy byłby zachwycony! - wykrzyknęła. - Dziękuję, dziękuję! Jaki pan jest dobry! Ale nie mogę przyjąć tak wielkodusznej opozycji! Proszę mnie nie kusić!

- A z jakiego to powodu? Czyżby w pani zwyczaju leżało odrzucanie zaproszeń?

- Nie, nie, lecz... to jest coś zupełnie innego! Już i tak zbyt wiele od pana wymagaliśmy, a...

- Fryderyko, nie zachowuj się jak prostaczka! To do pani niepodobne! Nie czujesz, że w Alver powinna zainstalować się gospodyni? A nic prostszego, by taką dla pani znaleźć! Skoro panna Winsham nie wyrazi

ochoty opuszczenia siostry, to mam jedną owdowiałą ciotkę, dwie podstarzałe panny i całą kolekcję kuzynek, i każda z nich byłaby zachwycona, gdyby mogła porezydować w Alver! Większość z nich od lat o to zabiega! Fryderyka musiała się roześmiać.

- A potem pan nigdy nie zdoła się od nich odczepić!

- Nie docenia mnie pani! Ponieważ nie możemy polegać na pannie Winsham, skłaniam się ku decyzji, by zainstalować którąś z ciotek... albo może zaprosić ją, by tam zamieszkała, gdybym sam zechciał odwiedzić Alver. Nie uważam co prawda, żeby to było konieczne: ochmistrzyni, która opiekuje się posiadłością jeszcze od czasów przed moim urodzeniem, doskonale zajmie się panią i Charis, a chłopców zagłaska na śmierć. Może tam pani mieszkać tak długo, jak zechce... i proszę, by nie podejrzewała, że wyświadczam uciążliwą przysługę! Sprawa ma się zgoła inaczej: byłbym rad, gdyby w domostwie ktoś zamieszkał. Zatem rozważmy poważnie tę sprawę!

- Ale... Westchnął znużony.

- Jeśli obawia się pani, co ludzie mogą na to powiedzieć, to zapewniam, że natychmiast ukroćę ich komentarze, zabierając wszystkich plotkarzy do Alver. Pod najbłahszym pretekstem. s - Nieodmiennie pozbawia mnie pan możliwości odpowiedzi. Czuję, że powinnam ulec, gdyż będzie to dla dobra Feliksa, i oczywiście, Jessamy'ego. Najwyższa pora, abym przede wszystkim nimi się zajęła. Zaniedbałam ich bowiem dla Charis, i popełniłam okropny błąd. Całkiem... całkiem na próżno. Miałam nadzieję, że siostra zdobędzie sobie odpowiednią partię!

- Niech pani nie wpada w rozpacz! Jeszcze może tego dokonać.

Przytaknęła bez przekonania, bo doskonale wiedziała, że nie zdoła zapewnić Charis drugiego sezonu w Londynie.

- To jest druga kwestia, którą pragnę z panią omówić - odezwał się Alverstoke. - Nie mam pojęcia, co pani o tym myśli, ja jednak jestem zdania, że już najwyższa pora, by chłopcy mieli innego guwernera... zwłaszcza Jessamy. Przydałaby mu się pomoc kogoś doświadczonego, a nie taka, którą ja mogę mu zaoferować. Co do Feliksa... jeśli Harry zamierza wysłać go na jesieni do szkoły, powinno się go do tego przygotować, w każdym razie już dosyć długo hasał samopas. Och, moja droga, nie bądź taka zmieszana! To ty masz zdecydować: ja służę wyłącznie radą... i przy okazji staję się jeszcze bardziej odrażający!

Potrząsnęła głową.

- Nie, wcale nie! Ma pan absolutną rację, to kolejny dowód na moje zaniedbanie. Powinnam zainteresować się tym już wiele tygodni temu. Proszę powiedzieć, jak najlepiej powinnam teraz postąpić! Gdybyśmy na stałe mieszkali w Londynie, byłoby nam łatwiej, ale...

- Najlepiej pani zrobi nic nie czyniąc. Proszę zdać się na mnie, a znajdę Jessamy'emu najlepszego guwernera, a przy tym takiego, który nie będzie się wtrącał w inne zainteresowania chłopca, no i będzie w zbyt podeszłym wieku, by zakochać się w Charis, ale nie aż tak stary, aby zanudził twoich braci na śmierć...

- Proszę przestać! - zawołała udając zażenowanie. - To niemożliwe! Ale nawet gdyby było, nigdy nie śmiałybym cię o to prosić, kuzynie!

- Jakże to? - zdumiał się, unosząc brwi. - Już mnie pani o to prosiła!

- Ja? Prosiłam pana, by wynajął guwernera dla moich braci? Przekracza pan wszelkie granice! Nic takiego

nie mówiłam.

- Kiedy się poznaliśmy, Fryderyko, sama powiedziałaś, że tak będzie stosownie, gdyż stałem się opiekunem twoich braci. I dodałaś, że nie widzisz powodu, dla którego nie miałbym być użyteczny.

Przypominasz sobie?

- Nie. Jeśli nawet coś takiego mówiłam, musiałam po prostu żartować. Zaś moja pamięć... w przeciwieństwie do pańskiej, drogi kuzynie... nie szwankuje!

- Owszem, moja zawodzi - przyznał niespeszony. - Pamiętam wyłącznie o tym, co mnie interesuje. Nie obiecuję, że uda mi się znaleźć odpowiedniego guwernera, ale obiecuję, że gdyby tak się stało, dopilnuję, aby na was czekał, gdy tylko wrócić do Londynu.

- Dziękuję - powiedziała ulegle. - Życzę sobie tylko, aby takie zadanie nie zanudziło pana na śmierć!

Markiz był przekonany, że tak właśnie będzie, ale bieg zdarzeń pokazał, jak bardzo się pomylił. Dzień po powrocie na Berkeley Square, kiedy wraz z sekretarzem przeglądał papiery, rzucił od niechcienia:

- Powiedz, Charles, czy nie masz wśród swoich znajomych nikogo, kto podjąłby się edukacji Jessamy'ego i Feliksa? Na pewien czas... powiedzmy, na trzy miesiące.

- Hm, sir, nie, chyba że...

Urwał, Alverstoke zaś, unosząc wzrok znad trzymany w ręku dokumentów, spostrzegł, że Charles zakłopotał się.

- Przecież mi nie powiesz, że znasz takiego człowieka?

- Nie... nie... sir. Tylko przyszło mi do głowy, że taką osobą mógłby być Septimus. Lecz nie wiem, czy mógłbym go polecać, więc proszę nie wahać się, gdyby...

- Kim jest Septimus?

- Moim bratem, panie. Ma stypendium, ale wiem dobrze, że rozpaczliwie poszukuje jakiejś posady na czas letniej przerwy i na uczelni. Śmiem twierdzić, że spodobałby się panu bardziej niż ktokolwiek inny... szczególnie że zamierza pan sprowadzić Merrville'ów do Alver. Mógłby co dzień przyjeżdżać, a sam mieszkać w naszym rodzinnym domu, co ogromnie ucieszyłoby ojca.

- Charles, jesteś perłą wśród sekretarzy! - zawołał Alverstoke.

- Natychmiast pisz do brata! To znaczy, jeśli uważasz, że poradzi sobie z dwoma tak... hm, zajmującymi podopiecznymi. Charles roześmiał się.

- Lordzie, z pewnością! Polubi ich i jestem przekonany, że i oni go polubią. To znakomity człowiek, zapewniam pana! Zna wiele gier i jest zapalonym miłośnikiem sportów na świeżym powietrzu. - Opanował się, zaczerwienił. - Ale pan sam musi osądzić, sir! Proszę nie polegać wyłącznie na moim słowie.

- Drogi chłopcze, czy kiedykolwiek mnie zawiodłeś? Zaproś go do nas w przyszłym tygodniu! Przypuszczam, że do tej pory Feliks już będzie mógł podróżować, zatem twój brat pozna pannę Merrville. Co mi przypomina, że jutro muszę zajrzeć na Upper Wimpole Street i przekazać Charis najnowsze wieści o Feliksie. Dopilnuj, bym to zrobił!

Tymczasem młodszą panną Merrville targwały mieszane uczucia. Najpierwsze wzburzenie ukoiliły czułe słowa Harry'ego; szybko jednak zastąpiła je desperacja, ale bynajmniej nie z powodu Feliksa, tylko jej własnych trosk. Tak więc miotała się między błogością a czarną rozpaczą. Kiedy był przy niej Endymion (co

zdarzało się nader często), zapominała o zmartwieniach: kochał ją i był dla niej podporą. Dla bezstronnego obserwatora jego kamienny spokój mógł się po części brać z jego wspaniałego charakteru, a po części z nadmiernej skłonności do optymizmu, Charis wszakże daleko było do bezstronności. Kiedy Endymion zapewniał ją, że nie powinna rozpaczać, gdyż wszystko dobrze się ułoży, albo szlachetnie, choć niejasno, mówił, iż powinna zdać się na niego, spływał na nią spokój, albowiem nigdy nie wątpiła w rozsądek swojego bożyszczka. Kiedy jednak nie było ani jego, ani jego niewzruszonego spokoju, ogarniały ją wątpliwości, czy na pewno im się powiedzie. Alverstoke stał się kimś w rodzaju *advocatus diaboli*, który mógłby zachwiać postanowieniem Endymiona, Fryderyka natomiast przeistoczyła się z ukochanej siostry w zaprzysiężonego wroga. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, nieobecność Fryderyki w połączeniu z nie nazbyt uciążliwą służbą Endymiona sprawiły, iż mógł odwiedzać ją tak często, by nie całkiem straciła głowę. Gdy pojawiał się na Upper Wimpole Street, to tylko pod pretekstem porozmawiania z Harrym bądź towarzyszenia Chloe, toteż Buddle, mimo wszelkich podejrzeń, nie mógł odmówić mu wejścia do środka. Harry zaś uznał, że ten gość jest całkiem do rzeczy, więc stał się sojusznikiem owych manewrów. Zachowywał jednak w swoim mniemaniu wszelkie reguły konwenansów i nigdy na dłużej niż pół godziny nie wychodził z salonu, kiedy w domu przebywał Endymion. Natomiast Chloe całym sercem była oddana Charis i własnemu bratu. Nagły atak influency pospieszył jej niespodziewanie z pomocą. Złożona tą chorobą lady Dauntry cierpiała jak mało kto. Ponieważ opiekę mogły zapewnić jej pokojówka i oddana kuzynka, zabroniła córkom wchodzić do swojej sypialni i powierzyła je opiece panny Plumley i guwernantki Diany. Skoro jednak Chloe wyrosła już z pokoiów dziecińczych, a pannę Plumley bez reszty pochłonęła opieka nad chorą, żadna z owych dam nie mogła położyć kresu przyjaźni między Chloe a Charis albo zapobiec jej wyprawom pod egidą brata.

Przeciwnie postąpiła panna Winsham. Kiedy dowiedziała się od pani Hurley, jak często Endymion odwiedza Upper Wimpole Street, natychmiast wzięła sobie na cel Charis i skarciła ją tak surowo, że dziewczyna zalała się łzami. Ciotka dopełniła swojego zadania ostrzegając niefortunną, że postąpiłaby rozsądnie wybijając sobie z głowy Endymiona, gdyż Fryderyka nigdy w świecie nie przyzwoli na to małżeństwo.

Przywiezione przez Harry'ego nowiny, iż Fryderyka planuje wywieźć rodzinę z Londynu, oboje błędzących z głowami w chmurach zakochanych przyprawiły o rozterkę. Endymion pierwszy się pozbierał, powiedział buńczucznie, że równie dobrze może postarać się o wysłanie na placówkę do Ramsgate lub jakiegoś innego nadmorskiego resortu, aby być w stanie (choć osobiście jest przeciwny takiemu zachowaniu) ukradkiem spotykać się z Charis. Jednakże panna była pełna jak najgorszych przeczuć.

Akurat wtedy do Londynu powrócił Alverstoke. Zaraz następnego dnia zawitał na Upper Wimpole Street. Zaproszono go do salonu, gdzie zastał tylko Charis sam na sam z Endymionem.

Wyraźnie speszona młoda para wcale nie uspokoiła się, kiedy jego lordowska mość bacznie się jej przyjrzał przez monokl. Endymion, zaczerwieniony jak burak, wyjąkał:

- Przy... przyszedłem dowiedzieć się o stan zdrowia... Feliksa, sir! I chciałem zamienić kilka słów z Harrym!

- Tylko że Harry akurat wyszedł - odezwała się Charis, bohatercko go wspierając. - Jedynie na chwilę, więc uprosiłam ku... kuzyna Endymiona, aby na niego poczekał!



Lord, z trudem tłumiąc śmiech, zareagował tak przyjaźnie, że para grzeszników przeraziła się do głębi duszy:

- Możemy zatem mówić o szczęściu, że zjawiłem się w porę, by uchronić cię przed niezręczną sytuacją, Endymionie! I mogę z radością cię powiadomić, iż Feliks wraca do zdrowia i ufam, iż wkrótce będzie mógł wrócić do Londynu. Zatem nie ma potrzeby, abyś dalej czekał! Jeśli zaś masz coś bardzo ważnego do przekazania Harry'emu, proponuję, byś zostawił wiadomość u Buddle'a! Nie wątpię, że z przyjemnością do ciebie wstąpi!

W obliczu tak bezlitosnej rady Endymionowi nie pozostało nic innego, jak tylko się wycofać i to jak najszybciej. Przez głowę przemknęła mu szalona myśl, by wyznać wszystko Alverstoke'owi, ale szybko jej poniechał. Po pierwsze, widział przerażenie w oczach Charis; po drugie, był zaskoczony i nie miał czasu, by przygotować się na oświadczenie czy zgromadzić argumenty za małżeństwem, na które, jak wiedział od własnej matki, markiz nie dałby błogosławieństwa.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, markiz opuścił monokl i wszedł dalej do salonu ze słowami:

- Charis, w zastępstwie twojej siostry i ciotki czuję się w obowiązku przypomnieć, że nie powinnaś przyjmować młodych mężczyzn bez towarzystwa brata. Prawdę mówiąc, to ze wszech miar niestosowne!

Zaczerwieniła się, zadrżała, zdołała opanować głos na tyle jedynie, by wyjąkać:

- Kuzynie... to przyjaciel Harry'ego... i chciał tylko dowiedzieć się o zdrowie Feliksa...

- Niezbyt zręcznie przychodzi ci kłamstwo, moje dziecko - zauważył. - Można ci to poczytywać za cnotę, jednak musisz nauczyć się więcej sztuczek, jeśli pragniesz okpić takiego starego szpaka jak ja! Och, błagam, tylko nie rozplywaj się we łzach! Szalenie drażnią mnie szlochające niewiasty. Dam ci dobrą radę: nigdy nie traktuj flirtów serio i zawsze zachowuj je w dyskrekcji!

Na próżno usiłowała się uśmiechnąć. Alverstoke'a zaczęło ogarniać tak znajome i paralizujące poczucie nudy, zdołał je zdusić i dodał ze słabym uśmiechem:

- Smuteczki? Współczuję serdecznie, toteż obdarzę cię jeszcze jedną mądrością z mojego dekalogu: romanse mogą być rozkoszne albo bolesne, ale jedno i drugie mijają, wierz mi! Oczywiście, teraz nie wierzysz, ale powinnaś: przemawia bowiem przeze mnie wieloletnie doświadczenie. Cóż, czy to szokujące? Nie powtarzaj tylko tego ciotce!

Roześmiała się histerycznie, przyrzekła jednak:

- Nawet nie pisnę!

- Oczywiście, że zawsze tak jest! - powtórzył.

- Pan nic nie rozumie! - wybuchnęła gorzko.

- O, te słowa - odezwał się nieco chłodno lord - to niemądre oskarżenie, któremu brak nawet wdzięku oryginalności! Moje dziecko, każde pokolenie twierdzi lub myśli, że poprzednie wcale go nie rozumie, a nie ma w tej kwestii doświadczenia! Kiedy wyjeżdżałem z hrabstwa Hertford, Feliks po raz pierwszy usiadł na łóżku i grał w karty z Jessamym. A ponieważ jednocześnie żądał wielkim głosem siekanych kotletów baranich, tuszę, że za kilka dni całkowicie wróci do zdrowia.

Ponownie usiłowała zdobyć się na uśmiech, lecz także niewesoły, i wymamrotała prawie bezgłośnie:

- Och, kochany Feliks! Co za ulga!

Alverstoke uznał jej zachowanie za tak nużące, że nie mógł się powstrzymać przed kąśliwą odpowiedzią. W tej sytuacji Charis znowu załapała się łzami. Na jego liście najbardziej odpychających rzeczy mazgające się niewiasty zajmowały poczesną pozycję. Uznał więc, że rozsądniej będzie się wycofać, nim zdradzi dziewczynie plan co do Alver. Najwyraźniej niemądra pannica zakochała się po same uszy w równie głupim kuzynie, więc gdy dowie się, że niebawem znajdzie się poza zasięgiem czaru Endymiona, zapewne uraczy markiza atakiem waporów.

Alverstoke skłaniał się ku przekonaniu, że Endymion wcale nie myślał serio o małżeństwie. Przecież wcale nie żądał od swojego dziedzica, by znalazł sobie jakąś stosowną partię, a mimo to ten głupiec nie zwrócił się do niego po radę. Endymion bowiem nieodmiennie zwierzał mu się ze wszelkich kłopotów, a musiał przecież doskonale wiedzieć, że jego kuzyn jest niezwykle wpływowym człowiekiem. Przypuszczalnie była to przelotna miłość, z której szybko się otrząśnie, skoro jednak Charis najwyraźniej się zakochała, a należała do kategorii niewiast, które załamują się, gdy ich nadzieje okażą się płonne, markiz uznał, że im szybciej położy się kres tym amorom, tym lepiej. Postanowił, że sam wy szepcze w ucho Endymiona słówko przestrogi.

Ponieważ do tej pory nie robił nic poza ciągłym karceniem Endymiona, więc interwencja całkowicie chybiła celu. Endymion wysłuchał opowieści Charis o ingerencji markiza i wykrzyknął:

- Wiedziałem! On zamierza nas rozdzielić! Och, co mamy począć?

- I co z tego, nawet jeśli ma taki zamiar? - zdumiał się Harry, którego zaczęły denerwować kłopoty i niezdecydowanie zakochanych.

- Endymionie, chyba nie jesteś od niego zależny?

- Nie... chociaż wypłaca mi piekielnie wysoką pensję, sam wiesz. Sam mam własnych około dwóch tysięcy funtów rocznie... i, rzecz jasna, nadzieję na spadek, lecz, uwierz, nigdy nie pokładałem w tym zbyt wielkich nadziei. Cóż, chodzi mi o to, że nie można przewidzieć, kiedy on wreszcie się ożeni?

- Och, nie sądzę! Jest na to za stary! - uznał Harry. - I przecież cię nie wydziedziczy, prawda? Wszystko, do czego może się posunąć, to wysłanie cię na jakąś zamorską placówkę! Niech mnie diabli, nie pojmuję, dlaczego trzęsiesz się jak galareta!

- Wcale nie! - burknął Endymion. - Zapewniam, wcale nie boję się kuzyna Vernona! Raczej... raczej jego siostr i mojej matki, i Fryderyk!! Chyba się w niczym nie orientujesz.

Owo niewyartykułowane wezwanie do współczucia wzbudziło nić sympatii. Chociaż Harry nie miał żadnego doświadczenia w tym, co naprawdę przerażało Endymiona, męski instynkt podpowiadał mu, że należy lękać się burzy wznieconej przez niewiasty. Odezwał się zatem stłumionym głosem:

- Na Boga! Nie pomyślałem o tym! Wielkie nieba, mogą wszystko udaremnić! Endymion spojrzał na niego z wdzięcznością.

- Właśnie. Nie chodzi o matkę - dodał skrupulatnie. - Ona, prawdę mówiąc, niczemu się nie sprzeciwia.

- Cóż, skoro tak...

- Tylko położy się do łóżka - wyjaśnił szczerze Endymion.

- Spazmy! Gdybym powiedział jej, że zamierzam poślubić Charis, dostałaby waporów: zawsze tak robi, gdy ktoś postępuje wbrew jej woli! Potem kuzynka Harriet bezzwłocznie pošle po tego piekielnego lekarza,

Halforda, i obie spowodują, że będę się czuł jak bezlitosny morderca! Rozumiesz, wyprany ze wszelkich uczuć! Doprowadzić własną matkę do nerwowego ataku, cóż za haniebnny czyn! No i wcale tego bym nie chciał, jestem do niej szczerze przywiązany!

- Och, nie, nie! - powiedziała szybko Charis. - Za nic na świecie bym tego nie chciała! Biedna pani Dauntry, jak mogłaby się poczuć? Och, tak jej współczuję!

Poruszony do głębi Endymion uściśnął jej dłoń, ucałował gorąco, mówiąc, że jest aniołem. Brat Charis, nieco mniej entuzjastyczny, poradził, by nie była sentymentalna, Endymionowi zaś powiedział, ucinając czułości, że zaśpiewałby całkiem inaczej, gdyby i jemu zaczęła współczuć.

- A to na pewno zrobi, zapamiętaj moje słowa! Możesz nazywać siebie aniołem kogoś, kto usiłuje wszystkim dogodzić i współczuć tym, których nie potrafi zadowolić, ale ja ci w tym nie zamierzam sekundować! Powtarzam, to próżne wysiłki!

- Och, nie! - wyrwało się błagalnie Charis.

- Och, tak! - odpalił. - Już ci to wcześniej mówiłem! Jeśli nie będziesz rozważniejsza, Charis, to wreszcie skończysz współczując samej sobie! We wszystkim należy zachować odrobinę rozsądku! Co z tego, że pani Dauntry i Fryderyka są przeciwne? Pogodzą się! Endymionie, nie musisz mierzyć mnie takim dzikim wzrokiem. Mówię tylko, czego bym pragnął dla swojej siostry!

W tej kwestii sprzeciwiła się Charis, którą dotkliwie uraził bezpardonowy opis szlachetnego zachowania ukochanego Endymiona, wobec tego z niezwykłym dla siebie ogniem stanęła w jego obronie. Podczas wynikłej kłótni Endymion, przyznając Harry'emu jego braterskie prawa, zagłębił się w niezwykle głębokie rozmyślenia, a teraz się ocknął i zdumiał zwaśnionych mówiąc:

- No tak, z pewnością to uczynią!

Dostrzegłszy, że dwójka Merriville'ów wpatruje się w niego, wyraźnie żądając wyjaśnień, dodał:

- To, co powiedziałaś, Harry! Moja matka i Fryderyka! Zgodzą się ostatecznie! Co więcej, jeśli możemy coś zrobić... połączyć się węzłem... bez ich wiedzy, pobijemy je na obu frontach! To znaczy... nie ma sensu podnosić rabanu! Dostawać spazmów! Zastanówmy się, nie ma potrzeby, bym zabiegał o przenosiny albo został wysłany na jakąś przeklętą placówkę ani w jakieś równie piekielne miejsce! Zachowajmy rozsądek!

W łagodnych oczach Charis pojawił się blask podziwu dla jego mocarnego rozumowania, jednak na Harrym nie zrobiło to wrażenia.

- Nie, nie ma co również bujać w obłokach! Jakim cudem zdołacie połączyć się małżeńskim węzłem tak, by nikt o tym nie wiedział? Jeżeli przemyślisz o ucieczce z Charis, to kładę ci do głowy, że nic z tego! I jeśli spodziewasz się, że pomogę własnej siostrze pograżyć się po uszy, to jeszcze mnie nie znasz!

- Nigdy, przenigdy się na to nie odważę! - oświadczyła Charis.

- Oczywiście! - zawołał Endymion, zaczerwieniony jak pomidor. - To ty mnie jeszcze nie znasz, Harry, jeżeli mnie o to posądzasz! Mówienie o życiu na kocią łapę...! W tej sytuacji zastanawiam się, dlaczego pozwoliłeś Charis rozmawiać ze mną na osobności!

- Och, przyhamuj! - odezwał się Harry. - Oczywiście nie o to mi chodziło! Ale skoro nie myślisz o ucieczce, to właściwie na czym polega twój plan? Niech mnie diabli, jeśli widzę inny sposób potajemnego ślubu!

- Ja też nie! - przyznał ponuro Endymion.

- Więc, na miłość boską...

- Nic mi nie przychodzi do głowy - wyznał Endymion. - Myślałem tylko, że byłoby piekielnie dobrze, gdybyśmy mogli tak postąpić.

Na szczęście, gdy Harry starał się odzyskać mowę, a na jego twarzy pojawiły się oznaki gwałtownie miotających nim uczuć, zegar na kominku wybił godzinę, przypominając Endymionowi, że czas już na obowiązki związane ze służbą. Toteż pożegnał się pospiesznie i wyszedł niezwłocznie.

- Nigdy w życiu nie spotkałem podobnego tępaka! - wybuchnął Harry. - „Myślałem tylko, że byłoby piekielnie dobrze, gdybyśmy mogli tak postąpić...!” Tak, a kolejną piekielnie dobrą rzeczą byłoby, gdybyście mieli tyle rozsądku, ile para wróbli! Ale nie macie i jestem przekonany, że nigdy nie będziecie mieli!

Charis zalała się łzami.

## 26

Chociaż Harry, żałując swoich szorstkich słów, stał się niezwykle czuły dla siostry, trzy dni później, kiedy z Hertfordshire wrócili wygnańcy, sprawy wciąż nie rozwiązano zadowalająco dla młodych.

Fryderyka, nim jeszcze stopy jej dotknęły podjazdu, spostrzegła, że Charis jest blada i ślania się na nogach, jednak podczas zamieszania wywołanego powrotem nie znalazła okazji, by porozmawiać z nią na osobności. Dopiero gdy wniesiono bagaże, powitano służbę, rozpakowano lekarstwa Feliksa, a jego samego z trudem zapędzono do łóżka, aby odpoczął po podróży, mogła skupić uwagę na siostrze. Zaprosiła ją więc do swojej sypialni, aby pomogła rozpakować jej torbę podróżną, i zawołała:

- Nie widziałyśmy się od miesiący! Mam nadzieję, że nigdy już nie przytrafią się nam takie kłopoty!

- Och, nie! - zawtórowała Charis, wzdrygając się. - Jakież to wszystko musiało być dla ciebie okropne!

- Cóż, takie było w istocie - przyznała Fryderyka. - Prawdę mówiąc, nie wiem, jak bym sobie poradziła bez pomocy Alverstoke'a. Nigdy nie zdołam mu się za to wywdzięczyc. Był taki stanowczy i czuły dla Feliksa! Dla mnie zaś był ogromną podporą, zwłaszcza podczas tych dwóch dni, kiedy lękałam się, że... Ale nie mówmy już o tym! Moja droga, czy źle się czujesz? Jesteś blada jak ściana!

- Och, nie, czuję się doskonale! To tylko z powodu tego upału.

- Bardzo możliwe. Nawet na wsi czułam się podobnie: okropnie ospała, słaba i przygnębiona. Tutaj musiało być o wiele gorzej. Kiedy wjechaliśmy między zabudowania, nawet sam Jessamy twierdził, że to jest tak, jakby wjechać do pieca. Ale nie martw się! Mam nadzieję, że za kilka dni znajdziemy się wiele mil od Londynu. Czy Alverstoke opowiedział ci, co wspaniałego dla nas wymyślił?

- Nie - odparła Charis, wpatrując się w nią z lękiem.

- Jedziemy do Alver i będziemy mogli tam mieszkać tak długo, jak się nam spodoba! - oznajmiła Fryderyka, zabierając się za rozpakowanie sakwojażu. - Przypuszczam, że powinnam odrzucić tę propozycję, ale była taka kusząca! I tak bardzo odpowiednia dla chłopców! Wiesz, to w Somerset, niedaleko Bath, co jest dodatkową zaletą. Och, kochanie, popatrz tylko na ten muślin! Powinnam cię przed wyjazdem

do Alver ubłagać, abyś ty zapakowała moje rzeczy! - Nie uzyskawszy odpowiedzi rozejrzała się i ujrzała, że Charis osunęła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach. - Charis! Najdroższa, o co chodzi?

- Jestem taka nieszczęśliwa!

- Wielki Boże, dlaczego?

- Nie chcę jechać do Alver!

Tłumiąc irytację, Fryderyka spytała spokojnie:

- Chodzi ci o to, że wolałabyś nie jechać nad morze?

- Och, nie! Nigdzie nie chcę jechać!

- Charis, podejrzewam, że niedokładnie mnie zrozumiałaś. Dla zdrowia konieczne jest wywiezienie Feliksa z Londynu. A ponieważ Londyn podczas letnich miesięcy jest nieznośnie duszny i zakurzony, jestem przekonana, że wszystkim nam wyjdzie to na zdrowie! Obawiasz się, że będzie tam nudno? Możliwe, że tak uznasz po tych wszystkich balach, ale nigdy przecież nie uważałaś wsi za nudną. Przypuszczam, że w Alver jest bardzo pięknie: przypominasz sobie, co pisano w przewodniku o tamtejszym parku, ogrodach, stawie i rzadkich okazach krzewów? Przenigdy nie zdołamy się na to napatrzeć! Alverstoke mówi, że chłopcy mogą w strumieniu łowić pstrągi. Szkoda, że nie widziałaś twarzy Jessamy'ego, kiedy dowiedział się o tym planie! A poza tym, kochanie, ani on, ani Feliks nigdy niczego nam nie odmawiali, prawda?

- Och, nie, nie! Nie myślałam wcale o... Oczywiście, oni muszą tam pojechać! Ale może ja mogłabym tu zostać!? Sądzę, że mogłabym zamieszkać na Harley Street. Jeśli ciotka Serafina wyjedzie z tobą, to uważam, że biednej ciotce Amelii może być miło, jeśli przy niej będę!

- Ciotka Serafina wcale z nami nie pojedzie, poza tym nie zamierzam jej o to prosić. Nie widzę potrzeby zabierania przyzwoitki, a gdyby nawet, o to się do niej nie zwrócę, gdyż wiele straciła w moich oczach! Co zaś do zamieszkania u ciotki Amelii, wybij to sobie z głowy!

- Och, Fryderyko!

- Jeśli nie chcesz, bym się naprawdę rozżłościła, przestań jęczeć! - prychnęła Fryderyka. - Przestań także mydląć mi oczy! Rzeczywiście, Charis, dziwię ci się! Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie chcesz wyjeżdżać z Londynu tylko dlatego, by dalej robić słodkie minki do Endymiona Dauntry'ego! Sądzę, że tak właśnie było, kiedy byłam poza miastem! Wolałabym, żebyś się nikomu nie narzucała!

- Kocham Endymiona! - oświadczyła Charis, unosząc dumnie głowę. - Z wzajemnością!

- Wobec tego nie widzę powodu do fum - odparła po prostu Fryderyka. Charis poderwała się. Na jej twarzy odmalowała się nadzieja.

- Czy to znaczy... czy mówisz, że dajesz przyzwolenie na nasz ślub?

- Nie będzie potrzebne, jeśli twoje uczucie okaże się równie trwałe jak wszystkie dotychczasowe - odparła lekko Fryderyka.

- Nigdy nie pozwolisz mi go poślubić! - zawołała Charis łamiącym się głosem. - Zamierzasz nas rozdzielić!

- W jaki sposób? Wyjeżdżając na kilka miesięcy do Alver? Jeśli wasze wzajemnie uczucie nie przetrwa...

- Na zawsze! Na zawsze! - przerwała Charis. - Umyśliłaś sobie nas rozdzielić w nadziei, że o nim zapomnę! Ale ja nie zapomnę, Fryderyko, nie zapomnę!

- Cóż, nie popadaj w przygnębienie! Przypomnij sobie, że za dwa lata będziesz mogła (jeśli wcześniej nie

zmięknę) postępować dokładnie wedle swojej woli!

- Och, wcale nie zdajesz sobie sprawy, jak to jest być zakochaną! - wykrzyknęła Charis.

- Nie, i muszę przyznać, że jestem za to wdzięczna... jeśli ten stan oznacza niepokój, wapory i idiotyczne zachowanie! Powiem ci, że też powinnaś dziękować za to Bogu! Przekonasz się, że to niezwykle irytujące uczucie! A teraz proszę, kochanie, opanuj się! Nie jest to chwila, by robić wiele hałasu o nic. Kiedy będziesz miała czas, by się spokojnie zastanowić, sama zrozumiesz, co naprawdę czujesz. Zatem nie spierajmy się! Nie zamierzałam być wobec ciebie niemiła, ale zbyt wiele ostatnio miałam zmartwień, aby zajmować się czymś, co wydaje mi się...

Urwała, lecz Charis dokończyła za nią to zdanie. - Całkiem nieistotne! - krzyknęła, wybiegając z pokoju. Fryderyka nawet nie pomyślała, by pospieszyć za siostrą. Zdołała nad sobą zapanować, jednak nigdy dotąd Charis wyprowadziła jej do tego stopnia z równowagi. Wydało się jej straszliwe, że po wszystkim, co musiała przejść, w domu powitała ją taka scena, na dodatek wtedy, kiedy sama czuła się przygnębiona. Może Charis nie zdawała sobie sprawy, że kiedy ktoś niedawno przeżył okropne chwile, nie tak szybko zdoła odzyskać równowagę umysłu. Rzecz jasna, nie spodziewała się, że po pierwszych wybuchach radości chwyci ją w swoje kleszcze przygnębienie, ale spodziewać się, że Charis już w godzinę po przyjeździe zrobi jej dramatyczną scenę.

Mimo wszystko, mówiła sobie Fryderyka, stało się tak dlatego, że wciąż jestem śmiertelnie zmęczona i pewnie z tego powodu tak łatwo dałam się sprowokować. Wymęczył ją ostatni tydzień na Monk's Farm, już po wyjeździe Alverstoke'a, który wszystko za nią organizował. Przywykła bowiem do stałej pomocy lub rady z jego strony, więc naturalnie poczuła się bardzo zagubiona. Brakowało jej także towarzystwa markiza. Podejrzała, że gdyby został na Monk's Farm, nie popadłaby w taką depresję. To również wydawało się całkiem naturalne: jakkolwiek mocno kochała młodszych braci, nie mogła pogawędzić z nimi jak z Alverstokiem lub kimś innym z dorosłych.

Zamyśliła się. Kiedy wieszala w szafie suknie i odkładała do szuflad komódki gorseciki i halki, wspominała przejażdżki i przechadzki w towarzystwie Alverstoke'a, rozważając niektóre z jego stów; a uśmiechając się do innych.

Owe przyjemne, choć nostalgiczne myśli przerwało nagle stukanie do drzwi. Do sypialni wpadł Harry, dopytując się porywczo:

- Co słyszysz, Freddy? Charis powiedziała mi, że zamierzasz wyjechać na lato do posiadłości Alverstoke'a w Somerset! Daję słowo, zastanawiam się, dlaczego chcesz się tak od niego uzależnić, więc kładę ci do głowy, że ja nie mam na to ochoty! Sam doskonale potrafię zaopiekować się swoją rodziną i możesz mu to przekazać! Co więcej, chciałbym wiedzieć, jaką przebiegłą grę on stosuje! Ty może nic nie wiesz o jego reputacji, ale ja wiem i... niech mnie diabli, nie pozwolę ci na to!

- Czyżby, Harry? - spytała Fryderyka groźnie opanowanym głosem. - Wobec tego, zacznij się wreszcie opiekować swoją rodziną! Gdyż dotąd nie uczyniłeś w tym kierunku najmniejszego kroku! Nawet nie znalazłeś mi lokum, kiedy cię o to poprosiłam! Pozwoliłeś... och, nie! wręcz zachęcałeś Endymiona Dauntry'ego, aby omotał Charis, lekceważąc wszelkie konsekwencje! Nigdy nie poczyniłeś żadnej próby, aby... wziąć za coś odpowiedzialność! Z radością złożyłeś wszystko na moje barki! A teraz... teraz, kiedy

niemal odchodziłam od zmysłów i mój kuzyn, a nie rodzony brat, pospieszył mi z pomocą, śmiesz twierdzić, że nie pozwolisz i że nie chcesz być od niego zależny! I zastanawiasz się, dlaczego mnie to się podoba! Cóż, nie podoba mi się, ale tak będzie, gdyż nie mam nikogo innego na świecie, na kim mogłabym polegać! Dziwisz mi się? Jednak nie aż tak, jak ja dziwię się tobie, wierz mi!

Jej głos załamał się, odwróciła się, równie skonsternowana jak Harry. Przy Charis zdołała się opanować, nie sądziła więc, że Harry wyprowadzi ją z równowagi. Wcale nie chciała powiedzieć mu tylu gorzkich słów i teraz była przerażona swoim postępowaniem. Nie potrafiła zrozumieć, co ją opętało, lecz nagle zaczęła drzeć i ogarnęła ją taka wściekłość, jakiej nigdy dotąd w życiu nie doświadczyła. Oszołomiona, osłabła, z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy. Stłumionym głosem powiedziała:

- Przepraszam! Nie chciałam... nie jestem sobą ze zmęczenia! Zapomnij o tym... błagam! I jeśliś łaskaw, odejdz już!

- Oczywiście! - zawołał Harry. - Z największą ochotą. Mówiąc to wymaszerował z pokoju, kipiąc z upokorzenia i palącego poczucia niesprawiedliwości. W gwałtowanych oskarżeniach Fryderyki znalazło się tyle prawdy, że dotknęło go to do żywego i sprawiło, iż rozgniewał się bardziej, niż gdyby to była nieprawda. Czyja to wina, że on nie wypełnia swoich obowiązków? Fryderyki, oczywiście! Jaki podniosłaby raban, gdyby spróbował wtrącić się w to, w jaki sposób rządziła rodziną! Czy kiedykolwiek prosiła go o radę? Nigdy! W każdym razie nie do chwili, w której błagała go, aby podczas jej nieobecności w Londynie poświęcił trochę czasu Charis. Czy tego nie uczynił? Ależ tak, i to bez słowa skargi, chociaż musiał odwołać wszystkie spotkania towarzyskie, na jakie z góry się cieszył! Czy może z przyjemnością zgodził się pozostawać przez kilka ostatnich tygodni w Londynie? Nie, na Boga nie! Uczynił to na jej prośbę. Gdyby to od niego zależało ruszyłby co tchu na Monk's Farm.

Rozumował dalej w ten sposób, zadając sobie pytania i natychmiast znajdując na nie odpowiedzi, niewiele przyniosły mu jednak satysfakcji, wzrosło natomiast poczucie krzywdy. Toteż kiedy Charis niebawem odnalazła go i poprosiła, aby jej pomógł, znajdował się akurat w odpowiednim nastroju, by podjąć się każdego przedsięwzięcia, które mogło dokuczyć Fryderyce.

Wobec wymuszonego i przypuszczalnie szybkiego zesłania do Alver Charis uznała za najpilniejszą i żywotną sprawę skonsultowanie się z Endymionem: czy drogi Harry zanieś mu od niej liścik? I czy mógłby wymyślić sposób na jakieś dyskretne spotkanie?

Oczywiście, mógłby! Jeszcze tego popołudnia odwiedzi Endymiona, co zaś do niewinnego spotkania, to nic łatwiejszego! Spotkają się w Kensington Gardens, gdzie on sam osobiście przyprowadzi Charis.

- Och, Harry, wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć! - westchnęła Charis.

Był to balsam na jego zranioną duszę. Przynajmniej jedna z sióstr go doceniała! Szkoda pod pewnym względem (ale nie pod innymi), że Fryderyka nie słyszała tej deklaracji wiary. Ale tak czy siak, wkrótce przekona się, że nie jest takim godnym pogardy trzpiotem, za jakiego go uważała, lecz reprezentuje sobą siłę, z którą należy się liczyć.

Kiedy jednak tuż przed obiadem weszła do saloniku, wiele z jego żalów wyblakło. Był sam, więc podeszła prosto do niego, objęła go za szyję, ucałowała w policzek i powiedziała:

- Och, Harry! Masz taką jędzę za siostrę! Wybacz mi! Poczucie krzywdy wciąż silnie w nim tkwiło, choć

szybko topniało. Po chwili milczenia powiedział:

- Cóż, Freddy, muszę przyznać, że moim zdaniem zachowałeś się wobec mnie bardzo niesprawiedliwie.

Przygotował się, by udowodnić siostrze punkt po punkcie - tak jak to uczynił wobec siebie samego - że straszliwie mylnie go osądziła. Pozwoliła mu na to, więc szybko własna gadanina wprawiła go w dobry nastrój. Jej jednak nie. Przecierpiała już dwie gwałtowne sceny z rzędu, była zmęczona, bolała ją głowa. Nade wszystko pragnęła położyć się do łóżka, a najmniej na świecie wdawać się w kolejny spór. Odezwała się więc:

- Tak, kochanie, wiem. Pomówmy o czymś innym!

- Wszystko pięknie, ale to ty poruszyłaś temat Endymiona i Charis, i...

- Na miłość boską, Harry, przestań! - zawołała. - Nie mogę i nie chcę się z tobą spierać! Natychmiast zeszywniał.

- Jak sobie życzysz! - powiedział z lodowatą uprzejmością.

Wiedziała, że uraziła jego uczucia, ale w tej chwili nie miała cierpliwości, żeby go uspokajać i pocieszać. Uśmiechnęła się tylko znużona pocieszając się, że dąsy Harry'ego nigdy nie trwają długo.

Charis zeszła na obiad z zaczerwienionymi oczami, lecz całkiem opanowana; kiedy wraz z Fryderyka przeszły do saloniku, zajęła się szyciem, odpowiadając na podejmowane przez siostrę próby rozmowy, sama jednak jej nie zagadując.

Wcześniej poszły do łóżek. Fryderyce lżej się zrobiło na sercu, kiedy na pocałunek na dobranoc została czule uściskana.

Niemal natychmiast zapadła w sen, Charis jednak czuwała, nasłuchując kroków Harry'ego na schodach. Kiedy je usłyszała, usiadła w oczekiwaniu, gdyż brat przyrzekł powiadomić ją o rezultatach misji. Ledwie zamknął drzwi, dopytywała się niecierpliwie:

- Och, Harry, widziałeś się z nim?

- Oczywiście. Nie mów tak głośno! - odparł, patrząc znacząco na ścianę, która oddzielała pokój od sypialni Fryderyki.

- I co powiedział? - nalegała, posłusznie ścisząc głos. - Co, jego zdaniem, powinniśmy zrobić?

- Twierdzi, że musi mieć czas na rozważenie wszystkiego - odparł, nie mogąc powstrzymać się od ironicznego uśmiechu.

- Naturalnie, musiało to być dla niego ogromnym wstrząsem - powiedziała Charis z godnością.

- O Boże, tak! Powaliło go na kolana! Wydawał się niezdolny do wyjąkania niczego poza: „Co za piekielna sprawa!” Tak czy siak, spotkamy się z nim jutro, więc możesz się uspokoić! Przy okazji, lepiej wymyślmy jakąś wymówkę, gdy Fryderyka będzie chciała dowiedzieć się, gdzie się wybieramy. Daję głowę, że tak będzie!

- Och, Harry, musimy? Nie potrafiłabym jej oszukiwać! - zawołała żałośnie Charis.

- Cóż, w takim razie lepiej nie spotykajmy się z Endymionem!

- Ale ja muszę!

- Więc przestań zachowywać się jak gaska! Czy jest może coś, co chciałabyś sobie kupić?

Po dłuższym zastanowieniu Charis stwierdziła, że gdyby była zmuszona wyjechać do Alver, to



potrzebowałyby bloków rysunkowych, choć nie wie, czy by z nich korzystała. Zgodzili się więc na ten fortel i Harry poszedł spać, radząc siostrze, by nie popadała w melancholię.

Nazajutrz była okropnie zdenerwowana, ale szczęście jej sprzyjało. Kiedy nadszedł czas wybrania się do Kensington Gardens i poszła pożegnać się z Fryderyka, ujrzała, że siostra zabawia porannego gościa - ni mniej, ni więcej tylko lorda Buxteda we własnej osobie.

Wejście Charis stworzyło mile widzianą przerwę. Jego lordowską mość bowiem podkusił jakiś zły duch zaraz potem, jak uścisnął dłoń leżącego na sofie Feliksa. Wyraził zatem nadzieję, że chłopiec nigdy już nie narazi siostry na taki straszliwy niepokój. Fryderyka zainteresowała, ale bez skutku. Lord Buxted już dawno temu uznał, że jest zbyt pobłażliwa, toteż z uśmiechem, na widok którego trójka Merrville'ów natychmiast się najeżyła, powiedział:

- Masz wyjątkowo wyrozumiałą siostrę, Feliksie! Obawiam się jednak, że zasłużyłeś sobie na to, co cię spotkało! Nie powiem słowa więcej, lecz...

- Nie będę słuchał, cokolwiek pan powie! - wybuchnął Feliks. Jego policzki nabiegły purpurą, oczy ciskały błyskawice. - Pan nie ma prawa! Nie jest moim opiekunem!

- Feliksie, zamilcz! - zawołał ostro Jessamy, siłą układając brata z powrotem na poduszkach. Zerknął na Buxteda i odezwał się, starannie dobierając słowa: - Sir, zapewniam pana, besztanie mojego brata jest całkiem niepotrzebne.

- On nie ma prawa mnie besztać! - pieklił się Feliks. - To sprawa kuzyna Alverstoke'a i on już to zrobił! I nie było to... gderanie, bo on jest fajnym człowiekiem, wiedział, że jest mi przykro z całego serca. Gdybym się jeszcze raz na coś takiego odważył i gdyby sprawił mi lanie, to bym się nie dziwił, bo ma do tego prawo!

Stało się jasne, że Feliks coraz bardziej się rozpałał, a jeszcze wyraźniej było widać, że nie da się zmusić do przeprosin, więc Fryderyka z wielką ulgą powitała pojawienie się siostry.

Ani przez chwilę nie uwierzyła, że Harry zamierza towarzyszyć siostrze w wyprawie po sprawunki, ale udała, iż wierzy w tę bajeczkę. Powiedziała tylko:

- Zabierasz Lufre? Na twoim miejscu zostawiłabym go w domu!

- Och, tak! - zawołała Charis, puszczając obroź psa. - Ale on zorientował już się, że wychodzimy, więc wyskoczy za próg, gdy tylko otworzymy drzwi. Dlatego przyprowadziłam go pod twoją opiekę, Jessamy.

Kiwnął głową i chwycił Lufre, który obwąchiwał wyglansowane do połysku buty Buxteda. Charis wycofała się, wdzięczna Bogu, że uniknęła dalszych pytań.

Obecność Buxteda musiała wykluczyć wszelkie podejrzenia, ale Fryderyka i tak ich nie miała. Nie była strażniczką więzienną, nie chciała też, by Charis czuła, iż jest pod jakimś nadzorem. Nasunęły się jej przelotne wątpliwości, czy siostra nie zamierza sekretnie spotkać się z Endymionem, jednak zaraz stłumiła niepokój. Uznała, że nie powinna przeszkadzać w ostatnim spotkaniu przed wielomiesięcznym rozstaniem. W dodatku Charis zabierała ze sobą Harry'ego.

Wyrzuciła więc całą kwestię z głowy i zajęła się zabawianiem lorda Buxteda, który irytował Jessamy'ego komentarzami o tym, jakie zdziwienie potencjalnych gości wywołała widok takiej bestii jak Lufra w saloniku Fryderyki.

Jednakże żadne z trojga gości, których niebawem wprowadzono do środka, nie okazało najmniejszego

zdumienia. Pierwszym był Darcy Moreton - Buxted zmierzył go złym wzrokiem. Po kilku minutach zaanonsowano lady Elizabeth Kentmere i lorda Alverstoke'a.

Efekt był piorunujący, co zauważył ponuro pan Moreton. Nie można było błędnie zinterpretować uśmiechu w oczach Fryderyki. Bez wątpienia Alverstoke był w jak najlepszych stosunkach ze swoimi podopiecznymi. Feliks przywitał go głośnym, radosnym okrzykiem i poderwał się na nogi. Jessamy, zatrzymując się tylko, by skłonić się lady Elizabeth, zaczął mu natychmiast opowiadać, co wydarzyło się na Monk's Farm po jego wyjeździe. A ponieważ Feliks również pragnął mu coś opowiedzieć, Lufra zaś także wziął udział w powszechnej radości szczekając i piszcząc, na dłuższą chwilę zapanowało istne pandemonium. Lady Elizabeth roześmiała się i ściskając dłoń Fryderyk; zawołała:

- Wiedziałam, że go polubili, ale nie zdawałam sobie sprawy, że nasza wizyta wywoła takie zamieszanie!

- Tak, bardzo za nich przepraszam! - powiedziała ze śmiechem Fryderyka. - Można by przypuścić, że wychowali się na ulicy!

- Prawie! - stwierdził Buxted. - Ale czy Feliksowi nie zaszkodzi takie podniecenie? Może Jessamy odprowadzi go do innego pokoju?

- Och, nie! - odparła Fryderyka. - Alverstoke doskonale umie sobie z nimi poradzić.

Już po chwili okazało się, że mówiła prawdę. Lord stłumił wrzawę bez najmniejszego trudu, kazał Feliksowi położyć się z powrotem na sofie, poprosił Jessamy'ego, by wyprowadził beludzystańskiego ogara i dodał, że jeśli będzie pragnął, aby ogłuszyła go para łobuziaków to ich o tym poinformuje. Ostre słowa przyjęto niemal wybuchem radości, co Buxted stwierdził z pewnym zdziwieniem i znaczną dezaprobatą. Równie niezadowolony był, kiedy Alverstoke usiadł przy Fryderyce i oboje zagłębili się w cichej pogwarce. Ponieważ gawędząca z panem Moretonem Eliza z dobrego serca wciągnęła go do rozmowy, musiał ku niej zwrócić uwagę, miast zazdrośnie nastawiać ucho ku temu, co Alverstoke prawi Fryderyce. A było to całkiem niewinne.

- Znacząca poprawa! - zauważył Alverstoke.

- Tak sędzę. Ale trochę zmęczył się podróżą, a upał sprawił, że znowu poczęł odczuwać bóle.

- Im szybciej wyjedziecie do Alver, tym lepiej. Napisała pani do Knightona?

- Dziś rano. Jak pan prosił, wspomniałam pańskie nazwisko, i dołączyłam list od doktora Elcota.

Kiwnął głową.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się pod koniec tygodnia. Przy okazji, w sprawie guwenera, obawiam się, że wypełniłem pani instrukcje.

- Czy to znaczy, że znalazł pan kogoś odpowiedniego? - zawołała.

- Nie ja, a Charles. Podsunął swojego brata, Septimusa, a ja go zaangażowałem. Zatrzymał się teraz na Berkeley Square: sympatyczny młodzieniec, taki, którego chłopcy polubią. Mam nadzieję, że i pani się spodoba!

- Och, nie mam wątpliwości! Na pewno zaakceptuję brata pana Trevora! Proszę przekazać swojemu sekretarzowi moje wyrazy wdzięczności!

- Oczywiście, lecz układ ten jest z równą korzyścią dla Septimusa, jak dla pani. Szukał zajęcia na wakacyjną przerwę, a to stanowisko... jeśli zdecyduje się pani spędzić w Alver lato... umożliwi mu

mieszkanie w rodzinnym domu. Probostwo bowiem leży zaledwie kilka mil od Alver. Powiedz mi, Fryderyko, kiedy najwygodniej będzie ci się z nim spotkać, to go przyślę!

- Kiedykolwiek. Obecnie wychodzę z domu najwyżej na kilka minut. - Urwała, gdyż przyszło jej coś do głowy. - Zastanawiam się, czy powinnam prosić Harry'ego, aby go przesłuchał? Przypuszczam, że chciałby to zrobić.

- Naprawdę? Ja natomiast jestem przekonany, że wcale nie! Byłby okropnie speszony... gdyby zmuszono go, w co szczerze wątpię, do sprawdzania umiejętności Septimusa! Septimus studiuje na czwartym roku, moja droga, a teraz pracuje nad pracą dyplomową. Ale, ale, nie widzę nigdzie Harry'ego... ani Charis: czyżby w dalszym ciągu szlachetnie wypełniał wobec siostry swoją powinność?

Chociaż uśmiechnęła się, odpowiedziała z wyraźnym napięciem w głosie:

- Rzeczywiście! Mam wrażenie, że zabrał ją na sprawunki. Sama w to nie wierzyła, toteż nie byłaby zdziwiona, gdyby się dowiedziała, że w tej chwili Charis siedzi na ławeczce w odludnej części Kensington Gardens między bratem a ukochanym i wzburzona opowiada Endymionowi o tym, że wszyscy chcą ich rozdzielić.

- Przestać prawić takie banialuki! - obruszył się Harry. - Powtarzam ci do znudzenia, że nikt nigdy was nie rozdzieli!

- A w każdym razie nie na zawsze - zgodził się Endymion.

- Kiedy zostanę uwięziona w Alver...

- Aha, to najgorsze! - potwierdził Endymion chmurząc czoło.

- Piekielnie chytra sztuczka, ot co! Podejrzewam, że to spisek: z Alverstoke'a diabelnie sprytny gość, kuty na cztery nogi! Wiesz, nie mogę się uspokoić od chwili, gdy powiedział mi, bym nie był aż taki pewny swoich uczuć. Uczynił to przyjaźnie, lecz jakby dał lekcję... tak myślę! Miałem rację. Hm, to znaczy, że mógłbym cię odwiedzać w Ramsgate, ale nie w Alver. Wszyscy mnie tam znają, więc nie miej złudzeń: jakiś wścibski plotkarz powiadomiłby Alverstoke'a, gdybym pojawił się w promieniu dziesięciu mil od posiadłości.

- A kiedy wyjedziemy z Alver, ciebie wyślą na jakąś okropną placówkę, a mnie Fryderyka zawlecze do Graynard!

- Po co, jeżeli jego wyślą na placówkę - zauważył trzeźwo jej brat. - Zastanówmy się, nie może tego zrobić, bo dom w Porth wynajęła na rok.

- Zatem do Harrogate, aby Feliks mógł pić wody lecznicze!

- zauważyła gorzko Charis.

- Może to uczynić - przyznał Harry.

- Nie wyjadę na placówkę - oświadczył niespodziewanie Endymion. - Wystąpię z armii. Kuzyn nie zdoła mi tego zabronić. Co więcej, kiedy już to uczynię, nikt nie powstrzyma mnie przed poślubieniem Charis!

- Ale jestem jeszcze niepełnoletnia - przypomniała Charis i bardzo posmutniała.

- Aha, i tu jest pies pogrzebany! Kiedy pomyślę, że musimy czekać całe dwa lata, a wielce prawdopodobne, że nie będę miał szansy cię widywać... cóż, to wystarczy, by wygnać kogoś na pogranicze! Nie, żebym tego chciał! - dodał pospiesznie, zerkając z obawą na Harry'ego. - To zbyt godne potępienia!

- Och, nie! Nigdy nie odważyłabym się na taki skandal! Może gdy Fryderyka zrozumie, że jesteśmy absolutnie zdeterminowani... Lecz i tak nie udzieli zgody! Wiem, że nie!

- Chwileczkę! - przerwał Harry, gwałtownie wstając. - Boże, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem? Na Jowisza, mam! W jego stronę zwróciły się dwie pełne napięcia twarze.

- Co takiego, kochanie? - spytała Charis bez tchu.

- Wcale nie potrzebujesz jej zgody: ona nie ma nic do gadania! - oświadczył Harry z przebiegłym błyskiem w oczach. - Przecież to ja jestem twoim prawnym opiekunem, a nie ona!

## 27

Zdumiewające, rozmyślała Fryderyka, jak wiele dobrego mogą sprawić dwie spokojnie przespane noce. Poczula się o wiele lepiej, była dużo mniej przygnębiona i zirytowana. Wszystkie kłopoty złożyła w pewne ręce markiza, toteż niewiele miała obecnie zmartwień: żadnych skomplikowanych ustaleń, związanych z przeprowadzką rodziny z Londynu do domostwa oddalonego o sto mil, żadnych trosk, związanych z prowadzeniem gospodarstwa po przyjeździe na miejsce. Osobie, która od wczesnych lat dziewczęcych nie miała wychnienia od tych spraw, wydało się to prawdziwym błogosławieństwem. Powinna więc być szczęśliwa i prawie już tak się stało, kiedy zorientowała się, że na myśl o kilku miesiącach spędzonych w bukolicznym otoczeniu ścisła jej się serce. Oczywiście, nie będzie to całkowite odludzie: pojedzie tam Charis, będą chłopcy i nieznaną jej pani Osmond, owdowiała kuzynka, którą Alverstoke, jak zwykle arbitralnie, postanowił zainstalować w Alver. Pojawi się również Septimus, no i bez wątpienia odwiedzi ich jego matka. Z początku wydało się to nieco mdłe, no i z pewnością zabraknie jej londyńskich przyjaciół. Jednak Alverstoke obiecał przyjechać na kilka dni, a to stworzy miłą odmianę. Dał jej także wolną rękę w zapraszaniu wszystkich przyjaciół, których zechce. Upraszał, aby uznała domostwo za swoje. Wcale nie zamierzała trzymać go za słowo, skoro jednak nie potrafiła wymyślić żadnego z przyjaciół, którego szczególnie pragnęłaby gościć, postanowienie to przyszło jej bez trudu.

Alverstoke zamierzał odwiedzić ich do Alver: oto kolejna z jego despotycznych decyzji! W imię honoru protestowała, lecz on po prostu powiedział, że ma pewne sprawy do załatwienia, więc zmilczała, chociaż podejrzewała, iż te sprawy to chęć przedstawienia jej kuzynce i upewnienie się, iż służba zapewni przyjezdnym wszelkie wygody. Jak ktokolwiek mógł twierdzić, że markiz jest bezprzykładnym egoistą bez serca! Niewiele osób mogłoby się z nim równać, toteż paliła ją wściekłość na tych, którzy ośmielili się tak fałszywie go oceniać.

Co do reszty, wszystko układało się jak najlepiej. Pan Peplow zaprosił Harry'ego, by towarzyszył mu do Brighton; Buddle i pani Hurley nie posiadali się z wdzięczności, że obdarowano ich długim urlopem po trudach życia w londyńskim domu; Charis natomiast, mimo iż przygnębiona, wydawała się coraz bardziej pogodzona z losem. Oczywiście, miewała ataki smutku, kiedy wybiegała z pokoju z chusteczką przyciśniętą do oczu, lecz Fryderyka, wspominając cierpienia, jakie towarzyszyły odprawieniu jej pierwszego niepożądanego pretendenta do ręki, miała nadzieję, że obecna depresja nie potrwa długo.

Od pierwszego wejrzenia polubiła Septimusa Trevora, znakomicie ułożonego młodzieńca o gładkich

manierach i roztaczającego wokół siebie aurę pełnego powagi. Co ważniejsze, spodobał się także jej braciom. Pod błahym pretekstem zostawiła ich samych, aby się lepiej poznali. Troszeczkę obawiała się o Feliksa, któremu w przeciwieństwie do Jessamy'ego wcale nie spieszyło się do podjęcia nauki. Jednak kiedy wróciła do salonu, braciszek powitał ją informacją, że ten pan Trevor wie o wiele więcej od tamtego pana Trevora: gawędzili o gazie węgłowym i przekazywaniu siły za pomocą sprężonego powietrza. Toteż wszelkie wątpliwości rozwiały się i pozostał tylko jeden poważny lęk - o zdrowie Feliksa.

Budziło to w niej prawdziwy niepokój, który nie zniknie, póki sir William Knighton nie obejrzy chłopca. Feliks oczywiście czuł się o wiele lepiej, ale daleko mu było od zwykłej formy. Szybko się męczył, zbyt łatwo się ekscytował... podejrzewała nawet, że odrobinę gorączkował, a jego normalna pogoda ducha przerodziła się w poirytowanie i niekiedy w drażliwość.

- Rozumiem, że nie odzyskał jeszcze w pełni sił i że na wsi poczuje się lepiej, jednak nie potrafię opędzić się od niepokojów - zwierzyła się Alverstoke'owi.

- No tak. I nie możesz myśleć o niczym innym, prawda, Fryderyko?

- Chyba nie - wyznała. - Chociaż bardzo się staram!

- Czy sądzisz, że może ci się to udać, jeśli Knighton wyda zadowolającą opinię? - dopytywał się.

- Och, przyniosłoby mi to niewymowną ulgę! Tak, oczywiście!

- Cieszę się - powiedział zagadkowo. - Jestem całkowicie przekonany, że tak się stanie, i ufam, że stanie się to niebawem!

- Przychodzi do nas w czwartek przed południem.

- Dobrze! W takim razie i ja się zjawię! - obiecał lord. - Po południu!

- Oczywiście! - rozjaśniła się. - Tak bardzo chciałabym, żeby podczas wizyty Feliks grzecznie się zachowywał, ale obawiam się, że stanie się inaczej. Już teraz się złości... twierdzi, że świetnie się czuje i nie pozwoli, by jakiś lekarz go maltretował, i że zgadza się leżeć w łóżku, aż sir William go zbada. Och, nic to! Jeśli będzie nieznośny, poproszę Harry'ego, by spróbował go uspokoić!

Lecz kiedy w czwartek rano Fryderyka, mając na głowie krnąbrnego brata i rozliczne domowe obowiązki do wypełnienia, poprosiła Buddle'a, aby przysłał Harry'ego do sypialni Feliksa, Buddle powiadomił ją, że, niestety, obawia się, iż pan Harry wyszedł.

- Och! - zawołała zdumiona Fryderyka. Zawahała się chwilę, rozważając, czy nie posłać po Charis. Jednak Charis ten akurat rano wybrała, by demonstrować melancholię, chlipała nad filiżanką herbaty i odmówiła zjedzenia czegokolwiek, chociaż na stoliku śniadaniowym przygotowano tyle potraw, Fryderyka zdecydowała więc, że lepiej tego nie robić.

- Przypuszczam, że musiał wyjść z panną Charis na spacer, proszę pani, gdyż nie ma jej w saloniku - dodał Buddle.

Fryderyka rozjaśniła się. Pomyślała bowiem bardzo niezyczliwie o Harrym, że tak beztrąsko wyszedł się rozerwać, kiedy jego braciszka ma badać jeden z najsłynniejszych lekarzy tych czasów, jednak teraz błyskawicznie zreflektowała się, że niesprawiedliwie go oceniła: najwyraźniej starał się pomóc, zajmując się Charis! Powiedziała więc:

- Och, bardzo prawdopodobne! Nic nie szkodzi: pójdę na górę do pokoju panicza Jessamy'ego. Zastała

brata ślęczącego nad książkami. Zgodził się mimo to natychmiast uczynić wszystko, co w jego mocy, by zabawić Feliksa. A kiedy przeprosiła, że mu przeszkadza, odparł miłym uśmiechem:

- Najwyższy czas, aby któreś z nas uczyniło coś, by ci pomóc!

Potem wyszedł z Lufką u nogi.

Poruszona jego porywem Fryderyka zawołała za nim, że nie potrwa to długo, gdyż sir William spodziewany jest w każdej chwili, potem zeszła na dół, aby omówić z ochmistrzynią rozmaite sprawy, które należało załatwić przed wyjazdem.

Nie uszła daleko. Pani Hurley, zwalista niewiasta, wspinała się po schodach z sutereny, szukając Fryderyki. Zatrzymała się na pierwszym piętrze, usiłując odzyskać oddech przed dalszą wspinaczką.

- Och, Hurley, nie powinnaś wchodzić po tych wszystkich stopniach! - zawołała Fryderyka. - Właśnie do ciebie szłam!

- Tak, proszę pani, wiem, że nie powinnam, bo mam palpacje - odparła pani Hurley. - Ale uznałam za swój obowiązek natychmiast panią powiadomić!

Ów wyświechtany frazes, zazwyczaj zapowiadający jakieś pomniejsze domowe katastrofy, niespecjalnie przejął Fryderykę.

- Och, moja droga! - zawołała. - Czyżby coś zginęło? Chodźmy do saloniku i o wszystkim mi opowiesz!

- Bóg mi świadkiem, panno Fryderyko - mówiła pani Hurley idąc za nią - że czymś takim bym pani nie niepokoiła, gdyż i tak ma pani dość zmartwień na głowie. Ale czuję, że chciałaby pani dowiedzieć się jak najprędzej.

Stłuczona porcelana! - pomyślała Fryderyka.

- Lecz - naciskała pani Hurley - jak tylko Jemima mi to przyniosła, a ona potrafi czytać jedynie drukowane litery, a i to nie za dobrze... powiedziała sobie: „Doktor nie doktor, panna Fryderyka musi to natychmiast zobaczyć!” I nie dowiedziałyby się pani, gdybym nie posłała Jemimy do sypialni pani Charis, by zdjęła zasłony do prania, gdyż pokój sprzątnięto, a łóżko zaścielono, kiedy pani Charis była na śniadaniu, więc nie było powodu, aby ktoś tam jeszcze rano zaglądał.

- Pani Charis? - spytała ostro Fryderyka.

- Pani Charis - potwierdziła pani Hurley. - Tam był, leżał na stoliku, Jemima myślała, że to list do wysłania, więc zniosła go do mnie na dół. To do pani, panno Fryderyko.

- Do mnie? - Fryderyka niemal wyrwała list z ręki ochmistrzyni.

- Na toaletce nie ma też grzebienia i szczotki pani Charis, nie ma też flakonika perfum, ani nic, co powinno się tam znajdować - oświadczyła pani Hurley głosem wieszczącym nieuniknioną katastrofę.

Fryderyka nie zwróciła na to uwagi, wiadomość ta była bowiem całkiem niepotrzebna. List, który trzymała wyłoni, wyraźnie napisano pod wpływem wzburzonych uczuć. Plamiły go kleksy łez, toteż miejscami był nieczytelny, lecz zdanie, które go otwierało, wyraźnie rzucało się w oczy.

*Najdroższa, najdroższa na wieki, Fryderyka! - pisała Charis z bolesną starannością. - Kiedy to będziesz, czytać, ja już będę mężatką i znajdę się o cale mile stad.*

Potem pismo zamieniło się w bezładną bazgraninę, jak gdyby Charis, uczyniwszy ten obiecujący początek, nie wiedziała, co dalej począć, i ostatecznie resztę dopisała w pośpiechu.

Jednakże dla Fryderyki ów początek okazał się najważniejszy. Usilnie wpatrywała się w słowa, aż litery zaczęły tańczyć jej przed oczami. W pierwszej chwili, kiedy obezwładnił ją wstrząs, nie potrafiła uwierzyć w tę niewiarygodną wiadomość.

Pani Hurley położyła dłoń na jej ramieniu, przywracając ją do świadomości.

- Proszę usiąść, kochana panno Fryderyko! Sama przyniosę pani kieliszek wina, nie ma potrzeby powiadamiać Buddle'a!

- Nie, nie, nie chcę wina! Muszę pomyśleć... muszę się zastanowić! Pozwoliła posadzić się na krześle i usiłowała odcyfrować resztę listu. Najwyraźniej zawierał błagania o wybaczenie pomieszane z zapewnieniami, że tylko desperacja przywiodła autorkę do popełnienia tak straszliwego czynu. Najpierw Fryderyka odczytała, że Charis podpisała się: „Twoja nikczemna Charis”, lecz po bliższych oględzinach okazało się, że to nie „nikczemna”, ale „nieszczęsna”. Fryderyka pomyślała gorzko, że to pierwsze słowo ściślej opisałoby jej siostrę.

Podniosła oczy ku pani Hurley.

- Hurley... nie wiem, co począć... jeżeli cokolwiek, ale zaklinam, proszę nie opowiadać nikomu o tym, co się stało!

- Oczywiście, że nie pisnę słówka, jaśnie pani! Proszę na mnie polegać!

- Dziękuję. Rzecz jasna, domyśliłaś się wszystkiego.

- Tak, jaśnie pani! - potwierdziła ponuro pani Hurley. - I doskonale wiem, czyja to sprawka! Gdyby niektórzy, a nie nazwę ich po imieniu, wypełniali to, co do nich należy, zamiast wzniecać swary i sprawiać, by cały dom trząsł się w posadach, takie coś nigdy by się nie zdarzyło. No bo ten wielki fircyk nie przychodziłby tutaj, kiedy tylko ochota, mimo tego, co ja, a także Buddle, kładliśmy jej do głowy! Zatem uciekła! Och, Boże, Boże, jak ośmieliła się na coś takiego? Ludzie będą gadali, że niedaleko pada jabłko od jabłoni, bo przecież dokładnie tak samo postąpiła jej nieszczęsna matka!

- Och, gdybym tylko domyślała się, co się święci! - zawołała Fryderyka, nie zważając na jej słowa. - Trzeba coś zrobić... chociaż prawie skłonna jestem pozostawić sprawy swojemu biegowi! Uczynić coś takiego i akurat teraz...! Nie, nie, co ja plotę? Gdybym była milsza, bardziej współczująca! - Poderwała się. - Hurley, muszę zobaczyć się z lordem Alverstokiem! Jeżeli ktokolwiek może mi pomóc, to tylko on! Powiedz Owenowi, aby złapał dorożkę, a ja pobiegnę po czepeczek i rękawiczki. Nie ma co tracić czasu na zaprzeganie do powozu! - Zatrzymała się w progu. - Nie, nie mogę! Zapomniałam! Sir William Knighton!

- Właśnie o tym myślałam, panno Fryderyko - odezwała się pani Hurley. - Przed chwilą na naszą ulicę zajechał pojazd. To z pewnością ten dżentelmen. Zaraz zapuka do naszych drzwi... o właśnie!

Fryderyka pospieszyła do biurka, usiadła, przysunęła arkusik papieru i zamoczyła pióro w kałamarzu.

- Napiszę do niego! Hurley, poczekaj, zanieś list Owenowi! Przekaż mu, aby natychmiast odniósł go do Alverstoke House... to pilne! Nie ma jeszcze dwunastej, jego lordowska mość pewnie jest w domu. Powiedz Owenowi, że ma to przekazać lordowi do rąk własnych... nie kamerdynerowi ani żadnemu z lokajów! Czy to sir William?

- Cóż, ma w ręku torbę lekarską, tak jak się jaśnie pani spodziewała - raportowała pani Hurley spod okna - ale wcale nie wygląda na doktora, taki jest schludny jak spod igły! Aha! Buddle wpuścił go do domu, więc to musi być on, gdyż poleciła pani nie wpuszczać żadnych innych gości!

- Wielkie nieba, pojawi się tu lada moment! - zawołała w rozpaczy Fryderyka. Błyskawicznie podpisała się na krótkim liściku, opieczętowała go lakiem i usiadła wyczekująco akurat w porę, gdyż Buddle zaanonsował sir Williama.

Wstała, przekazała liścik pani Hurley i przywoławszy cały spokój ducha, na jaki było ją stać, ruszyła na powitanie sir Williama.

Jeżeli nawet lekarz uznał, że jej uprzejmość jest wymuszona, a odpowiedzi na jego pytania nieskładne, to przypuszczała, iż złożył to na karb nieśmiałości albo obawy o werdykt. Doktor bowiem nie okazał najmniejszego zdumienia rozmawiając z niewiastą, która powtarzała:

- Tak... nie... nie pamiętam... niech pomyślę!

Nawet się nie zniecierpliwił. Pod jego kojącym wpływem szybko odzyskała równowagę ducha. Wyrzuciła z głowy niepokój o Charis, skoncentrowała się natomiast na tym, co do niej mówiono.

Lekarz znakomicie poradził sobie z Feliksem. Kiedy na powitanie spostrzegł wrogą minę, zagadnął z miłym uśmiechem:

- Jak się masz? Tak, jestem kolejnym tępym lekarzem... mimo iż już dostatecznie cię wymęczyliśmy!

Grymas zniknął. Feliks zaczerwienił się, wymienili uścisk dłoni.

- Dzień dobry, proszę pana! Jednak zapewniam pana, że czuję się wyśmienicie, więc nie ma żadnego powodu, dla którego siostra po pana posłała!

- Cóż, bez wątplenia wszystko wskazuje na to, że błyskawicznie odzyskujesz zdrowie - zgodził się sir William. - Mimo to, skoro już tutaj się znalazłem, to może zgodzisz się, żebym cię zbadał?

Feliks zgodził się. Pod koniec badania dopytywał się donośnie, czy wreszcie pozwolą mu wstać, na co sir William odpowiedział:

- Oczywiście, że możesz wstać. Znakomicie posłuży ci świeże powietrze, więc proponuję, aby twój... to przecież twój brat... zabrał cię na przejażdżkę po Parku. Paskudna duchota, prawda? Ale z tego, co wiem, wyjeżdżasz do Somerset. Jakże ci zazdroszczę!

Fryderyka, spojrzawszy pytająco na Jessamy'ego, uzyskała potwierdzenie, zatem zaprosiła sir Williama do saloniku.

Lekarz zabawił dwadzieścia minut i Fryderyce ubyła przynajmniej jedna troska. Nie należało lekceważyć możliwości nawrotu choroby, jednak zdaniem lekarza zagrożenie było nikłe, jeżeli starannie wypełni się jego zalecenia. Wyraził się z wielkim uznaniem o doktorze Elcocie i wypisał receptę na nowe lekarstwo, mówiąc, że chociaż tamto było doskonałe, to obecnie, podczas rekonwalescencji, to będzie skuteczniejsze. Na pożegnanie z pełnym zrozumienia uśmiechem poradził, aby nie trząść się zanadto nad chłopcem.

- Gdyż, rozumie pani, jego wprawia to w zdenerwowanie! - powiedział. - Zapiszę nazwisko i skierowanie do lekarza w Bath, którego może pani obdarzyć pełnym zaufaniem. Nie przypuszczam jednak, by musiała pani skorzystać z jego usług!

Tymczasem Owen wręczył markizowi list od Fryderyki. Trafił akurat na chwilę, w której wyprawiał siostrę



do Somerset House, gdyż lady Elizabeth przypomniała sobie, że nie widziała jeszcze Wystawy Królewskiej Akademii: skandaliczne zaniedbanie, które należało koniecznie naprawić, jako że nazajutrz wieczorem bezwzględnie musi wyjechać. Lekceważąc poranne przyzwyczajenia brata, zakłóciła je. Oznajmiła mianowicie markizowi, że skoro przez większą część jej pobytu zostawił ją samą sobie, teraz może przynajmniej za to odpokutować, towarzysząc jej do Somerset House.

Markiz rozpostarł pojedynczy arkusik papieru, jednym spojrzeniem ogarnął wiadomość od Fryderyki i skinieniem głowy odprawił Owena. Lady Elizabeth nie odrywała wzroku od twarzy brata.

- Co się stało, Vernonie? Chyba nic z Feliksem? Podał jej liścik.

- Nie wiem. Elizo, musisz mi wybaczyć, ale nie mogę ci towarzyszyć do Somerset House!

- Nie bądź takim cymbałem! To ja z tobą pojedę! Vernonie, mam okropne przecucie, że któremuś z nich musiało przydarzyć się coś złego! *Zaklinam, aby Pan natychmiast przyjechał. Nie mam czasu, by więcej napisać, ale kiedy się zobaczymy, wszystko wyjaśnię. Błagam, proszę się pospieszyć!* Biedna dziewczyna, najwyraźniej ze strapienia straciła głowę!

- Tak. Wobec tego nie zwlekajmy! - rzucił krótko.

Na Upper Wimpole Street pojawili się w momencie, kiedy Fryderyka niczym we śnie wyprawiła braci na przejażdżkę i weszła znowu do saloniku, gdzie raz jeszcze usiłowała odcyfrować list od Charis. Gdy do pokoju wpadł nie zaanonsowany uprzednio Alverstoke który biegnąc na górę pokonywał po dwa stopnie naraz, zostawiając za sobą siostrę, Fryderyka popatrzyła na niego wyczekująco i zerwała się na nogi.

- Wiedziałam, że pan przyjedzie! - zawołała z wdzięcznością.

- Przepraszam, że wysłałam taką pospieszną wiadomość, ale, rozumie pan, akurat w progu stanął sir William i nie miałam czasu...

- Nieważne! - przerwał. - Co się stało, Fryderyko? Coś z Feliksem?

- Nie, nie! Brat ma się lepiej... sir William uważa, że niebawem w pełni odzyska siły. To coś o wiele, wiele gorszego... nie, to nie tak, ale...

- Spokojnie, moje dziecko, spokojnie! - powiedział ujmując jej dłonie i przytrzymując je w stanowczym uścisku. - Jeżeli mam pomóc, wyjaśnij, o co chodzi! Tylko przestań się tak nerwowo miotać!

Lady Elizabeth, która stanęła w drzwiach właśnie wtedy, by usłyszeć ów ostry rozkaz, zamrugła zdumiona, jednak Fryderyka odzyskała panowanie nad sobą, zdobyła się na wymuszony uśmiech i odparła:

- Dziękuję! Fatalnie się zachowuję. Boję się, że nawet pan niewiele tu może pomóc. Nie wiem, dlaczego błagałam, aby pan przyjechał, ale była to pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy... nim miałam czasu się zastanowić. Obawiam się jednak, że wszystko na próżno.

- A ja wciąż błędzę w ciemności - zauważył Alverstoke.

- Proszę wybaczyć! Z najwyższym trudem przychodzi mi wyjawienie panu... Kuzynka Eliza! Stokrotnie przepraszam! Nie zauważyłam...

- Nieistotne, moja droga. Przyjechałam pomóc, jeśli potrafię, ale wydaje mi się, że wolisz porozmawiać z Alverstokiem na osobności. W takim razie wycofam się - powiedziała Eliza.

- Nie. Jest pani niezwykle uprzejma! Miałam nadzieję utrzymać to w tajemnicy, lecz teraz widzę jasno, że to absolutnie niemożliwe.

- Westchnęła boleśnie. - Widzicie... Charis... uciekła z Endymionem!

Eliza zachłysnęła się, Alverstoke natomiast zareagował z niewzruszonym spokojem:

- Masz na to jakiś dowód? Trudno mi uwierzyć, że Charis mogłaby się zdobyć na taki bohaterski wyczyn, a jeśli namówił ją do tego Endymion, muszę przyznać, że popełniłem błąd w ocenie jego charakteru. Mój tępy kuzynek wydawał mi się w najwyższym stopniu układny!

Bez słowa podsunęła mu liścik Charis. Wziął go i rzuciwszy nań okiem, sięgnął po monokl. Eliza usadziła Fryderykę na sofie i odezwała się:

- Ależ kochanie, z całą pewnością musisz się mylić? Nie twierdzisz chyba, że wierzysz, iż uciekli do Gretna Green?

- Sądzę, że tak właśnie jest - odparła Fryderyka. - Gdzie indziej mogliby...

- Więc przestań sądzić! - wtrącił się Alverstoke, podnosząc wzrok znad listu. - Fryderyko, najwyraźniej postradałaś rozum. *Kiedy będziesz czytać ten list, będę mężatką wiele mil stąd.* Moja droga, nawet niewiasta o tak kurzym mózdzku jak Charis nie mogłaby przypuszczać, że w ciągu godziny czy dwóch zdoła wyjechać za granicę! Jakie szczęście, że nie zalała łzami tych bzdur!

- Zatem gdzie mogli uciec? - spytała z rozpaczą Fryderyka.

- Tego jeszcze nie wiem. I wątpię, czy kiedykolwiek się dowiem, ale to nic pewnego: coś może wyjść na jaw.

- Równie dobrze mogła sobie zaoszczędzić trudu pisania tego listu - westchnęła Fryderyka.

Nic nie odpowiedział. Jeszcze kilka minut pochylał się nad listem, Eliza zaś, ująwszy dłoń Fryderyki, gładziła ją uspokajająco. Ciszę, która zapanowała, przerwał dopiero markiz.

- Aha! To nie „lukrecja”, tylko „licencja”! Klucz do tego labiryntu znalazł się właśnie w naszych rękach, Fryderyko! Szkoda, że poprzednie słowo zamazał kleks, ale z pewnością brzmi ono „specjalna”. Moja droga, twoja siostra zamierzała poślubić tego osła za pomocą specjalnej licencji. Czy to jest ucieczka kochanków, nie mnie oceniać, lecz prawdę mówiąc, nie ma to najmniejszego znaczenia. Sprawa nie jest beznadziejna, nie będę zatem zmuszony ścigać tej pary do granicy, a przyznaję, że taka perspektywa napawała mnie najwyższą niechęcią. Teraz pozostaje nam tylko zmylenie plotkarzy i ludzi żądnych sensacji. Uczynię to z miłą chęcią. Ciekawe, kto powiedział Endymionowi, że może wziąć ślub dzięki specjalnej licencji? Fryderyka wyprostowała się.

- Ależ nie może! - zaprotestowała. - Charis nie jest pełnoletnia!

- Czy więc sądzisz, że Endymion uzyskał specjalną licencję, zatajając prawdziwy wiek Charis? - spytała gwałtownie Eliza. - Nie wierzę w to! Przecież to poważne przestępstwo!

- Nie, wcale tak nie sądzę - zapewnił markiz. - Endymion może jest matolem, ale nie jest świnią, droga Elizo! Nigdy nie poślubiłby Charis ani dzięki specjalnej licencji, ani wbrew prawu, bez zgody jej prawnego opiekuna.

- Ale skoro nie tym nim jesteś, to kto? Nie odpowiedział. Nie spuszczał wzroku z Fryderyki, a kiedy dostrzegł, że ta sztywnieje, na jego twarzy pojawiło się rozbawienie.

- Harry! - wyjąkała. - Harry!

- No i?

Wstała szybko, niedowierzanie w jej oczach przerodziło się we wściekłość.

- Jak śmiał? Jak mógł? Pomagać Charis w takim katastrofalnym zamążpójściu... pomagać jej w oszukiwaniu mnie... wiedząc, jakie jest moje zdanie i uczucia! A ona! Nic dziwnego, że przez całe śniadanie popłakiwała! Mając coś takiego na sumieniu!

- Naprawdę? - zainteresował się lord. - Z pewnością też chlipała nad tym listem. Cóż za niewyczerpane źródło! Sądziś, że wciąż płakała, kiedy dołączyła do Endymiona przed ołtarzem?

- Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi! - prychnęła Fryderyka, która zaczęła nerwowo przemierzać pokój, jak gdyby pałacy ją gniew musiał znaleźć jakieś ujście.

- Nikogo to nie obchodzi! - zgodziła się Eliza. - Vernonie, doprawdy, jak możesz być tak beztroski? To przecież nie farsa!

- Jednak szalenie ją przypomina! - odpalił.

- Ciekawe, czy tak samo by pan myślał, gdyby chodziło o którąś z pańskich siostr? - spytała zaczepnie Fryderyka.

- Moja droga, nie mam wątpliwości! Może Luiza? Nie, wolę w tej roli Augustę.

Zakrztusiła się i wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

- Teraz już lepiej! - powiedział z otuchą w głosie. - Może wreszcie uda nam się omówić tę sprawę na spokojnie? Nie odpowiedziała, ale po chwili wróciła do sofy i usiadła.

- Chyba zgodzi się pan ze mną, że jeżeli to, co pan podejrzewa, jest prawdą, już nic nie da się zrobić. Gdybym miała więcej czasu i wnikliwiej przeczytała ten list... i rozważyła go... wcześniej bym się zorientowała, iż na próżno byłoby zakładać, że zdołamy zapobiec małżeństwu, które do tego czasu musiało już stać się faktem.

- Uśmiechnęła się blade. - Przyznaję, że bez sensu posłałam po pana! Proszę o wybaczenie, kuzynie!

- Och, nie, wcale nie bez sensu! - zaproponował. - Oczywiście, zapobieżenie temu małżeństwu przerasta moje możliwości, jednak ufam, że mogę powstrzymać ciebie, Fryderyko, przed zrobieniem z tego jeszcze większego bigosu! Teraz powinniśmy załatwić wszystko w białych rękawiczkach. Doskonale znam twoje marzenia: pragnęłaś dla Charis czegoś, co świat nazywa stosowną partią, i wierzyłaś, że uda ci się tego dokonać.

- A dlaczego miałyby się jej nie powieść? - wtrąciła się Eliza.

- Charis jest wyjątkową piękną panną, ma świetne maniery i słodkie usposobienie. Jeżeli nawet nie błyszczy intelektem, to powiedz, kuzynie, ilu dżentelmenów interesuje się inteligentnymi kobietami?

- Z jednej jedynej przyczyny - wyjaśnił. - Brakowało jej ambicji znalezienia takiej partii, a nawet zajęcia wysokiej pozycji w towarzystwie. - Uśmiechnął się kpiąco do Fryderyki. - Nigdy nie mogłaś w to uwierzyć, prawda? To była twoja ambicja... och, nie dla ciebie samej! Podejrzewam, że na sobie samej nie poświęciłaś nawet jednej myśli!... I ty byłaś zachwycona powodzeniem, jakie zdobyła siostra. Ona zaś wprost przeciwnie. Kiedyś mi się zwierzyła, że woli wieś od Londynu, gdyż tutaj ludzie ciągle wlepiają w nią wzrok. Wolała wiejskie zabawy niż londyńskie bale, gdyż uważała, że o wiele przyjemniej tańczyć z przyjaciółmi niż z obcymi. I to mówiła panna, która zdobyła prawie wszystkie najcenniejsze trofea na Małżeńskim Targu! Nigdy przed tobą nie ukrywałem, że uważam ją za uroczą i wyjątkowo nudną gąskę,

lecz jedno muszę jej oddać: nie ma w niej ani uncji próżności!

- Wcale nie pragnęłam dla niej zdobycia olśniewającej partii, tylko takiej, która... Ale nic nam nie przyjdzie z tego, że będę powtarzała to, co już panu mówiłam wcześniej!

- Niczego nie zapomniałem. Chciałaś ją wygodnie urządzić. Jednak jej pojęcie wygody różni się od twojego, Fryderyko. Łatwo na nią wpłynąć, więc śmiem twierdzić, że mogłabyś wreszcie ją przekonać i poślubiłaby młodego Navenby, gdyby nie poznała Endymiona i nie zakochała się w nim.

- I wtedy byłaby szczęśliwa!

- Wielce prawdopodobne. Niestety, poznała Endymiona i zdaje się, że od tej chwili była już zdecydowana.

- Bzdury! Gdyby pan wiedział, ile razy odkochiwała się równie szybko, jak się zakochiwała...

- Wierzę na słowo. Mimo to pragnę ci uświadomić, drogie dziecko, że bez względu na to, jak wiele świetniejszych kawalerów mogłoby ubiegać się o jej rękę, Charis nie przestanie kochać Endymiona. Zatem owo małżeństwo może wcale nie okazać się taką katastrofą, jak sobie wyobrażasz. Sposób jego zawarcia... łagodnie mówiąc!... jest godny pożałowania i jedynie to powinno być obecnie naszym zmartwieniem. Musimy wszystko jakoś elegancko załatwić.

- Jeżeli się da - zauważyła z powątpiewaniem Eliza.

- Nie da się. Proszę tylko zważyć na okoliczności! - zawołała Fryderyka. - Nie było zawiadomienia o zaręczynach, nie zaproszono gości na wesele, a ślub odbył się na dwa dni przed naszym wyjazdem z Londynu! Jakim cudem moglibyśmy zapobiec skandalowi?

Alverstoke otworzył tabakierkę, pociągnął niuch tabaki.

- Przyznaję, że będzie to niełatwe, jednak wcale nie niemożliwe. Nie potrafię natychmiast wymyślić, jak zdołamy gładko wytłumaczyć brak anonsu o zaręczynach... chyba że poświęcimy Lukrecję? Co ty na to, Elizo? Jeżeli uważasz, że to jest jakieś rozwiązanie, ja się pod tym podpisuję.

Fryderyka nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Jest pan wstrętny - poinformowała markiza. - Ale... jak tego dokonać?

- Och, zmuszając ją, by została adwokatem tego małżeństwa! Pewnie dostanie palpacji... na pewno!... na samą myśl, że ominęła ją radość z ujżenia anonsu w prasie.

- Natomiast wieść, że Endymion wziął sekretny ślub, bez wątpienia posłuży jej zdrowiu! - dodała sarkastycznie Eliza.

- Cóż za szczęście, że przyjechałaś tutaj ze mną! - zauważył niewzruszenie lord. - Możesz się przydać! Zastanów się, dlaczego małżeństwo zawarto w tajemnicy. Powiem ci dlaczego: zaproszono tylko najbliższą rodzinę. - Strzepnął kilka paprochów tabaki z rękawa. - Z powodu żałoby w rodzinie panny młodej ceremonia była ściśle prywatna. I takie oświadczenie damy do prasy. Lady Elizabeth zgodziła się z ociąganiem:

- Owszem, to dałoby się zrobić. Jednak dlaczego na ślubie zabrakło Lukrecji?

- Nie zabrakło.

- Nigdy nie zmusisz jej, aby to potwierdziła! Markiz uśmiechnął się drwiąco.

- Założysz się?

- Nie! - zawołała gwałtownie Fryderyka. - Pan zamierza... przekupić ją, a ja na to nie pozwolę! Poza tym,

to wcale nie jest rozwiązanie, pan sam doskonale o tym wie! Proszę o wszystkim zapomnieć. Zachowałam się jak idiotka, zwracając się do pana. Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale ta sprawa zupełnie nie powinna pana obchodzić, a ja nie mam zamiaru was w to wplątywać! - Wysunęła do przodu brodę. - Sama sobie z tym poradzę, gdyż wszystko to stało się z mojej winy. Jeżeli tylko ona nie będzie tego żałować... i ludzie też nie... nie wygnam jej z mojego progu... - Urwała, przykładając dłoń do oczu.

Otworzyły się drzwi. Tonem głębokiej dezaprobaty Buddle zaanonsował:

- Jaśnie pani, pan Trevor!

## 28

Nie, nie! Nie przyjmuję gości! - powiedziała odruchowo Fryderyka.

Ale pan Trevor już stał na progu. Ukłonił się lady Elizabeth, a potem, kiedy Buddle zniknął, podszedł do Fryderyki i powiedział z ujmującym uśmiechem:

- Proszę nie winić kamerdynera. Poinformował mnie, że pani nie ma w domu, ale go zlekceważyłem. Markiz przyłożył do oka monokl, by lepiej mu się przyjrzeć.

- Charlesie, to do ciebie niepodobne. Bez wątpienia masz ważne powody.

- Owszem, sir, mam - odparł niespieszony Trevor. Popatrzył bacznie na Fryderykę i uściskał jej dłoń. - Przyszedłem... na wypadek gdyby pani znalazła list, by uspokoić panią. Zapewniam, że nic straszego się nie stało! - Fryderyka była tak zdumiona, że tylko wpatrywała się w niego. Nim puścił jej rękę, uściskał ją uspokajająco i powtórzył: - Daję słowo.

Odzyskała głos.

- Nie było ślubu? Nie było, panie Trevor?

- Nie, nie! Skończyło się... hm... na niczym!

- Bogu dzięki! - zawołała. - Gdzie ona jest?

- Teraz u pani Dauntry, ale przypuszczam, że jutro z rana wróci do domu. Uznałem, że lepiej, by nie wracała dzisiaj wieczorem, gdyż ma ze sobą kuferek. Ze względu na służbę, rzecz jasna.

- U pani Dauntry? - powtórzyła osłupiała. - Ale jak... jakim cudem...?

- Powiedz, Charles, cóż to za diabli sprawili, że wplątałeś się w tę aferę? - zażądał wyjaśnień Alverstoke.

- Hm, to raczej długa historia, sir!

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że od początku wiedziałeś o tym żalonym planie?

- Wielkie nieba, skąd, sir? Sprawił to przypadek. Zapewniam, że nie miałem pojęcia...

- Oczywiście, że nie miał! - wtrąciła się Eliza. - Proszę usiąść i opowiedzieć nam o wszystkim, bo zaraz pękne z ciekawości! Och, Fryderyko, proszę mi wybaczyć!

- Nie zwracaj sobie głowy proszeniem Fryderyki o wybaczenie! - odezwał się Alverstoke. Napotkał poważne spojrzenie swojego sekretarza i uśmiechnął się. - Ale wybac mi, drogi chłopcze. Wiesz przecież, że doszedłem do tego wieku, że już nic nie jest w stanie mnie zadziwić. Zatem, co sprawiło, że się w to wmieszałeś?

Pan Trevor usiadł, pomyślał spokojnie i po chwili zastanowienia zaczął mówić:

- Chyba będzie najlepiej, jak zacznę od samego początku. Przypomina pan sobie, sir, że powierzył mi sprawy, które wymagały ode mnie pojechania do Tempie? Cóż, zająłem się nimi dziś rano. Kiedy wracałem, niespodziewanie ujrzałem Dauntry'ego na dziedzińcu kościoła St Clements Danes. Zdziwiło mnie to, ale jeszcze bardziej fakt, że miał ze sobą torbę podróżną. Lecz przecież nic mnie to nie powinno obchodzić, więc już miałem pojechać dalej, kiedy pod kościół podjechał wynajęty powóz i wyskoczył z niego pani brat, panno Merriville! Po chwili pomógł wysiąść pannie Charis Merriville i odebrał z powozu jej kufer.

- Czy ona płakała? - dopytywał się lord.

- Tego nie wiem. Wydawało mi się jednak, że było mocno poruszona, gdyż kurczowo przywarła do ramienia Merriville'a.

- Założę się, że płakała - z satysfakcją w głosie wtrącił się lord.

- Kuzynie Alverstoke... jeśli powiesz jeszcze słowo...! Proszę dalej, panie Trevor!

- Hm... oczywiście, wszystkiego się domyśliłem. Nigdy nie dopuszczono mnie do konfidencji, ale przecież widziałem, że Dauntry i panna Merriville mają się ku sobie, a także, iż pani, madame, jest przeciwna temu związkowi.

- Podejrzewam, że wiesz to od Chloe - wtrącił szyderczo lord.

- Wiele osób o tym wiedziało - zauważyła Fryderyka, celowo lekceważąc tę uwagę. - Zatem, co pan uczynił, sir?

Charles, nieco speszony, obdarzył ją pełnym wdzięczności spojrzeniem.

- Z początku nic - wyznał. - Przede wszystkim, byłem mocno zbity z pantofelów, nie wiedziałem, co począć! Proszę zrozumieć, sytuacja była wielce niezręczna. Nie miałem najmniejszego prawa, by się wtrącać, zwłaszcza że towarzyszył jej rodzony brat. Zanim zdecydowałem, że powinienem zainterweniować i uniemożliwić im popełnienie tak niestosownego czynu, byli już od kilku minut w kościele. Przebiegłem więc ulicę i wszedłem za nimi. Prócz nich w środku nie było nikogo, poza wikarym i kościelnym, a wikary właśnie rozpoczynał obrządek, co jeszcze utrudniło sprawę, gdyż nie mogłem podejść do nich i porozmawiać z nimi lub na przykład zawołać: „Poczekajcie chwilę!” Przecież msza się rozpoczęła, a kościelny popatrywał na mnie złym wzrokiem. Nie jestem osobą duchowną, ale mój ojciec jest i mój starszy brat, więc sam pomysł wywołania w kościele sceny nappełniał mnie obrzydzeniem! Usiadłem zatem z tyłu i usiłowałem wymyślić, co mógłbym zrobić, i oczywiście przypomniałem sobie klauzulę o przeszkodzie lub utrudnieniu w zawarciu związku, no i na to czekałem.

- Ależ Charles! - zawołała Eliza. - Przecież chyba nie wstałeś i nie powiedziałeś, że istnieje przeszkoda?

- Owszem, tak właśnie zrobiłem. Cóż, powiedziałem: „Tak, jestem przeciwny!” Nie sądzę, aby wikaremu wcześniej coś takiego się przydarzyło, gdyż tak osłupiał, że stanął z rozdziawionymi ustami, a do czasu, kiedy na tyle odzyskał nad sobą panowanie, by kazać nam wszystkim przejść do zakrystii, rozpętała się taka awantura, że nikt już nie zwracał na niego uwagi. Dauntry wrzeszczał, że nie mam prawa się wtrącać, i domagał się wyjaśnień, co, u diabła, zamierzałem tym osiągnąć. Merriville się wściekł, wołał, że nie ma żadnych przeszkód i że on jest prawnym opiekunem panny Merriville, a ona sama wpadła w histerię. Rozpętała się potworna awantura. Muszę przyznać, że sam to i owo powiedziałem... zapomniawszy zupełnie o miejscu, w którym się znalazłem! Tak czy siak, ostatecznie przeszliśmy do zakrystii, gdzie wszystko się

uspokoilo, gdyż Dauntry tak zajął się pocieszaniem panny Merriville, że nie miał czasu mnie przeklinać.

- Udało mu się? - zaciekawił się Alverstoke.

- Nie, natomiast udało się Merriville'owi. Chlusnął jej w twarz szklanką wody.

- Całkiem słusznie! - skinęła głową Fryderyka.

- Hm, przyznaję, że tak - potwierdził z powątpiewaniem Charles. - Tylko że chociaż ukróciło to wapory, sprawiło, że zaczęła płakać, co z kolei doprowadziło do nowej awantury, gdyż Dauntry rzucił się na Merriville'a z pięściami, Merriville zaś twierdził, że z własną siostrą może postępować, jak mu się żywnie podoba, no i zaczęli się kłócić. Może i dobrze się stało, gdyż zyskałem okazję, by odciągnąć wikarego na bok i... trochę go ułagodzić.

- Charles - odezwał się bardzo poruszony Alverstoke. - Dotąd cię nie doceniałem! Nadajesz się do służby w dyplomacji! Charles zaczerwienił się i roześmiał.

- Obawiam się, że nie osiągnąłem specjalnego sukcesu, sir! Wikary kipiał z wściekłości, i trudno go za to winić! Ale co najważniejsze, odmówił dopełnienia ceremonii, bez względu na to, czy były jakieś przeszkody, czy nie, gdyż okazaliśmy się bandą niewiernych, i tak dalej. Potem Merriville oznajmił, że umywa ręce od całej sprawy, a skoro ja się wmieszałem, to niech mnie diabli... to znaczy, powiedział mi, że teraz niech cała odpowiedzialność za wszystko spada na moje barki. No i w gniewie wypadł z kościoła. Dobrze się stało.

- Bardzo dobrze! - potaknęła Fryderyka. - Co dalej?

- Hm, udało mi się przekonać wikarego, by pozwolił nam zostać w zakrystii, póki panna Merriville się nie uspokoi. A kiedy już udało mi się go pozbyć, a ona przestała płakać... przemówiłem do nich! Wytłumaczyłem im, jak niewłaściwie chcieli postąpić... Wtedy Dauntry przyznał, że sam od początku miał pewne obawy, a po chwili wyjaśniło się, że i on, i panna Merriville obawiali się, iż pan pragnie odseparować go od Charis, sir.

- *Mea culpa!* Napomknąłem tylko, aby nie był tak zapamiętały w swoich uczuciach!

- Tak, powiedział mi o tym, lecz moim zdaniem ów pomysł zrodził się w jego głowie dużo wcześniej. Hm... zaryzykowałem i zacząłem go przekonywać, iż jestem przekonany, że pan nie będzie stawiał przeszkód, jeśli on poślubi pannę Merriville, natomiast z pewnością miałby mu pan za złe, gdyby dokonało się to w taki zwariowany sposób.

- Drogi chłopcze, doskonale czytasz w moich myślach! Czyżby lękał się, że niezwłocznie uczynię go ubogim?

- Och, nie! Twierdził, że złoży dymisję z armii i zajmie się uprawianiem roli. Gdzieś w hrabstwach - dodał z krzywym uśmiechem pan Trevor.

- Wielkie nieba! Zatem, skoro gotów był wyrzec się wypłacanej mu pensji, to czego się obawiał? Skąd, u diabła, przyszedł mu do głowy pomysł, że zdołam zapobiec temu małżeństwu?

- Najwyraźniej sądził - mówił pan Trevor z kamienną już twarzą - że sprawi pan, iż wyślą go gdzieś za granicę w dyplomatycznej misji.

Na moment zapadła pełna osłupienia cisza, a potem obie damy wybuchnęły niepowstrzymanym śmiechem.

- Ale go przekonałem - ciągnął pan Trevor - że raczej przerasta to pańskie możliwości.

- Szczera prawda! - zawołał Alverstoke, złapawszy się za głowę.

- Tłumaczyłem mu także... mam nadzieję, sir, że nie weźmie mi pan tego za złe, iż przede wszystkim powinien panu o wszystkim opowiedzieć i... i zaufać panu, że załatwi pan całą sprawę z panią Dauntry.

- A ze mną? - spytała Fryderyka.

- Też! - przyznał. - To właśnie mu mówiłem! To znaczy, zamierzałem... ponieważ panna Merriville upierała się stanowczo, że tutaj nie może wrócić, nie wiedziałem, gdzie indziej mógłbym ją odwiedzić... odwiedzić ich oboje... jak tylko do Alverstoke House, sir.

- Piękne dzięki, Charlesie! I cóż uchroniło mnie przed tak nieszczęsnym losem?

Po raz pierwszy od chwili rozpoczęcia opowiadania pan Trevor odezwał się jakby niepewnym głosem:

- Dauntry przypomniał sobie, że zostawił matce list. U kamerdynera, który miał go jej oddać koło południa. Przyszło mu do głowy, że list ten mógł wytrącić ją z równowagi, zatem jego obowiązkiem jest uspokoić rodzicielkę. Toteż... toteż wezwaliśmy dorożkę, namówiliśmy pannę Merriville, by do niej wsiadła, i pojechaliśmy na Green Street.

- Zostawił dla matki list? - powtórzył Alverstoke. - Na miłość boską, dlaczego nie mógł jej później wysłać wiadomości? Przecież z nią nie mieszka!

- Sądził - mówił ostrożnie dobierając słowa Charles - że najlepiej będzie, jeśli natychmiast do niej napisze, na wypadek, gdyby później zapomniał to uczynić.

Nawet dla niego było to już za wiele. Nie zdołał dłużej powstrzymać tłumionej wesołości i wybuchnął gromkim śmiechem.

Z całego towarzystwa Fryderyka pierwsza opanowała się i ocierając płynące po twarzy łzy, powiedziała:

- Więc pojechał pan z nimi! Nie po... nie podejrzewałam pana o ta... taką odwagę, panie Trevor!

- Przyznaję, że niezbyt mnie to zachwyciło, ale uważałem, że przynajmniej to jedno muszę zrobić, skoro za moją sprawą małżeństwo nie doszło do skutku. Dauntry obawiał się stawić matce czoło bez niczyjego wsparcia, a panna Merriville była na tyle przerażona, że pomyślałem, iż ta para może napisać sobie jeszcze większej biedy, jeśli jej nie pogonię. Toteż pojechałem z nimi.

- I zastał pan panią Dauntry w konwulsjach? - spytała Eliza.

- Nie, to nastąpiło później - odparł poważnie. - Kiedy wkroczyliśmy do salonu, siedziała w fotelu, na podółku trzymała list od Dauntry'ego i wyglądała tak, jakby ktoś zdzielił ją obuchem w głowę. Gdy tylko ujrziała Dauntry'ego, zasypała go takim potokiem wymówek... hm, że ja sam prawie dałem drapaka! On zaś zaciął się w sobie niczym niedźwiedź, natomiast panna Merriville... zdaje się, zemdląca. Powtarzałem pani Dauntry, że ślub nie doszedł do skutku, lecz ona wcale mnie nie słuchała, więc wreszcie musiałem ją spoliczkować i potrząsnąć nią... postąpiłem niczym zatwardziały ulicznik! Tak czy siak, zdumiała się do tego stopnia, że zaniechała obrzucania Dauntry'ego wymówkami, i wreszcie zdołałem jej wytłumaczyć, że jej syn ostatecznie nie wstąpił w związek małżeński. Wtedy usiłowała rzucić się w jego ramiona, mówiąc raz po raz... takie słowa, że aż było mi wstyd: „Och, mój ukochany synu, wspomniałeś swoją nieszczęsną matkę i opamiętałeś się!” Oczywiście to jeszcze bardziej go rozsierdziło, odepchnął ją i powiedział: „Nie, wcale nie!” i że to wszystko moja wina, i że jestem przeklętym wścibskim lalusem. Słyszac to, pani Dauntry padła w moje ramiona - dokończył Charles, błędąc na samo wspomnienie.



- Och, nieszczęsny pan Trevor! - zawołała Fryderyka. - I co dalej uczynił?

- Nic. I to okazało się najgorsze! Zarzuciła mi ramiona na szyję i powtarzała, jaki kochany ze mnie chłopiec, wręcz jej wybawca. Całowała mnie w policzki!

- A czegoż innego się spodziewać? Charles, wyśmieniecie! - wtrącił się Alverstoke.

- Hm, moim zdaniem wcale nie było to takie wyśmienie, sir, a na pewno nie uważał tak Dauntry! Do tej pory nie robił nic oprócz gniewnej miny, ale kiedy usłyszał, że matka dziękuje mi, iż uchroniłem jej syna od fatalnego ożenku, poczuł się boleśnie dotknięty. I w rezultacie ją skrzyczał, i to podniesionym głosem! Był taki rozwścieczony, że zupełnie nie zważał na to, co mówi. Muszę przyznać, że byłem równie zdumiony jak jego matka, gdyż do tej pory sądziłem, iż jest takim ugodowym chłopiasiem, który nigdy nie potrafi się wściec. Boże, on na nią krzyczał nawet wtedy, kiedy przyłożyła rękę do serca i wykrztusiła, że za chwilę dostanie waporów. Wołał, że może sobie spazmować, ile chce, ale jeśli jeszcze raz powie złe słowo na pannę Merriville, to on już nigdy w życiu się do niej nie odezwie! I wtedy niespodziewanie panna Merriville zawołała: „Och, nie, nie, nie!” Podbiegła do pani Dauntry, objęła ją, błagała, by nie potępiała Dauntry’ego, gdyż on wcale nie myśli tego, co mówi, i że żadne z nich nie postąpi wbrew jej woli... nie pamiętam, co jeszcze! Namówiła ją, by położyła się na sofie, podsunęła jej sole trzeźwiące i niezwłocznie posłała Dauntry’ego po amoniak. A kiedy powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie go szukać i żeby matka sama zadzwoniła po służbę, by przyniosła medykament, zawołała, że jest wyjątkowo nieczułym synem, skoro nawet nie próbuje przywołać na pomoc pokojówki. Wtedy wyszedł i wrócił z brandy, która równie dobrze podziałała. Ale kiedy usiłował wytłumaczyć pani Dauntry, że niepotrzebnie histeryzuje, ta obruszyła się i nalegała, by panna Merriville jej nie opuszczała. No i obie zaczęły szlochać, następnie pani Dauntry mówiła, że z panny Merriville takie kochane dziecko i wobec tego one obie przeciwstawiają się Dauntry’emu. Wtedy on się rozczulił i zaczął błagać matkę o przebaczenie. Tulił się do niej i głaskał ją.

W oczach Alverstoke’a zapaliły się niebezpieczne błyski.

- Cóż za wyrafinowanie, Charles!

- Nie wiem, sir, ale sądzę, że im dłużej on będzie się gniewał na panią Dauntry, tym bardziej będzie ona lgnąć do panny Merriville, z nas wszystkich, która jako jedyna okazała jej współczucie. Obawiałem się tylko, że w każdej chwili może wkroczyć panna Plumley, ale okazało się, że ubiegłego wieczoru zmogła ją influenza i musiała położyć się do łóżka. Los sprzyjał, gdyż opiekowała się nią pokojówka pani Dauntry, zatem dziewczęta odesłano wraz z guwernantką do którejś z ciotek, aby się nie zaraziły. Pani Dauntry musiała więc sama się sobą zajmować, co niezbyt jej odpowiadało. Powiedziała... a pan doskonale wie, jak mogła się zachować, sir...

- Aż za dobrze. Charles uśmiechnął się.

- No tak... powiedziała, że Bóg świadkiem, iż nie żałuje, że odesłała pokojówkę do panny Plumley, ale sama tak słabo się czuje, że każdy najmniejszy wysiłek niechybnie wyczerpie ją do cna. Panna Merriville przytaknęła jej... to znaczy, naprawdę się z nią zgodziła! Wcale nie udawała!

- Na pewno nie! - potwierdziła Fryderyka. - Sam pan wie, ma czułe serce i nawet z błahego powodu jest skłonna wszystkim współczuć. A, prawdę mówiąc, również bez powodu.

- Cóż... należy jej się za to wielkie uznanie!

- Owszem, ale nie pora teraz na to! - wtrącił Alverstoke. - Rozumiem, że obecnie Charis wzięła na siebie rolę damy do towarzystwa, siostry miłosierdzia i pokojówki zarazem. Czy pani Dauntry dała błogosławieństwo na ten nieszczęsny ślub?

- Nie, jeszcze nie, ale uważa pannę Merriville, za kochane, słodkie dziecko, więc przypuszczam, że wkrótce to nastąpi. Tak czy siak, panna Merriville ma zostać przy niej aż do jutra rana. Powiedziałem zatem Dauntry'emu na ucho, że jeśli nie chce wywołać dalszego zamieszania, to na chwilę chociaż powinien się uspokoić, po czym wyciągnąłem go z salonu. I... i to wszystko!

- Wszystko! - wykrzyknęła Fryderyka. - Panie Trevor, nigdy, nigdy nie zdołam się panu odwdzięczyć! Nie chcę pana peszyć, rzucając się panu w ramiona, gdyż już dosyć ma pan tego na dzisiaj, ale zapewniam, że uczyniłabym to z ochotą! Dziękuję!

Mocno zażenowany, wyjąkał:

- Nie ma za co! Nie należą mi się żadne podziękowania! Uczyniłem wyłącznie to, co uznałem za słuszne!

- Charles, nie bądź taki skromny! - wtrącił się Alverstoke.

- Wiesz doskonale, że pobiliś nas wszystkich rozsądkiem na głowę. Czuję się mocno zbity z pantałyku! Aż do dzisiaj nie wątpiłem w swoją odwagę!

- Szczera prawda! Zaćmiłeś nas wszystkich! - zawołała Eliza.

- Ale co teraz należy począć? Fryderyko, zgadzam się z tobą, że Endymion nie jest najlepszą partią dla Charis, ale skoro Lukrecja dała błogosławieństwo... Fryderyka westchnęła.

- Przypuszczam, że i ja muszę go udzielić.

- Ależ oczywiście - zapewnił ją Alverstoke. - Przecież nie możesz przez resztę lata mieszkać z fontanną łez! Razem z Lukrecją pobłogosławicie tych niewydarzonych Romea i Julię, ja zaś powstrzymam Romea przed popełnieniem jakiegoś wyjątkowego głupstwa. Wyślemy do „Gazette” formalne zawiadomienie o zaręczynach.

- Znakomicie - posłusznie zgodziła się Fryderyka.

- Vernonie, ja jednak uważam, że najpierw powinien ukazać się anons o twoich zaręczynach! - wtrąciła się Eliza, przygważdżając brata wzrokiem. - I, prawdę powiedziawszy, twoje wesele powinno się odbyć pierwsze. Charis i Endymion mogą poczekać z miesiąc lub dwa, nim formalnie się zaręczą. Wtedy wydasz dla nich zaręczynowy bal i pobiorą się w Alverstoke House. Charles, zgadzasz się ze mną?

Pan Trevor mężnie, choć przelotnie, spojrział w oczy surowego chlebowdawcy, i powiedział:

- Przyznaję, jaśnie pani, że sam już o tym myślałem.

- Doprawdy? - zawołał gniewnie Alverstoke.

- Tak, sir, chyba nie sądzi pan, że jestem ślepy! - obruszył się Charles.

- Ależ o czym wy mówicie? - krzyknęła nagle pobladła Fryderyka.

- Przecież... przecież o tym nie można być mowy!

- Pleciesz bzdury, drogie dziecko. Oczywiście, że poślubisz Alverstoke'a! - zapewniła ją krótko Eliza, wykładając rękawiczki.

- Cóż to mówiła mi Augusta zaraz nazajutrz po moim przyjeździe do Londynu? Utrzymywała, że trafiłaś w dziesiątkę! To samo mówiła Sally Jersey i...

- Elizo, może łaskawie pozwolisz, że jednak sam się oświadczę? - przerwał jej markiz niepokojąco opanowanym tonem.

- Ależ tak, kochany braciszku! Tylko nie zastanawiaj się, czy to właściwa chwila i czy nie lepiej poczekać, aż Fryderyka będzie w lepszym nastroju! - odparła Eliza, uśmiechając się do niego serdecznie. - Charles, chyba nie jesteś na tyle zmęczony, by nie móc towarzyszyć mi do Somerset House?

- Ależ nie! Uczynię to z największą przyjemnością! - zapewnił stanowczo.

- W takim razie idziemy. - Odwróciła się i uściskała Fryderykę.

- Do widzenia, kochanie! Jutro opuszczam Londyn, więc już teraz składam ci najlepsze życzenia! Charles, ufam, że powiesz mi, które z obrazów powinnam najbardziej podziwiać!

- Moja kochana siostra! - zawołał lord z obrzydzeniem, zamykając drzwi za panem Trevorem. Znakomicie zdawał sobie sprawę, że w tej sytuacji musi postępować dyplomatycznie, toteż dodał zamyślony: - Ale, oczywiście, ona ma absolutną rację. I niestety jest wyjątkowo bystra! Lękałem się poruszać ten temat, kiedy wszystkie twoje myśli zaprzętał Feliks. Do diabła, dlaczego mielibyśmy zwlekać przepuszczając tamtą parę młodych głupków?

Fryderyka stała jak wrośnięta w podłogę. Wreszcie odezwała się głosem, który nawet w jej uszach zabrzmiał obco:

- To śmieszne, kuzynie Alverstoke. Taka... taka bzdura nigdy nie przeszła mi przez myśl!

- Aż za dobrze o tym wiem, drogie dziecko! - przyznał posępnie lord.

- Ani mi w głowie zamążpójście!

- To także wiem... odczułem to na własnej skórze! Myślisz wyłącznie o „wieprzowej galaretkie”!

- „Wieprzowej galaretkie”? Och...! - Na chwilę w jej oczach zagościła niepohamowana wesołość. - Chyba nie chce pan powiedzieć, że po jej zjedzeniu zamierza pan mi się oświadczyć?

- Rzeczywiście, miałem taki zamiar, jednak w „wieprzowej galaretkie” jest coś odpychającego.

- Ależ to „wzmacniająca wieprzowa galaretko”! - wykrzyknęła, nim zdążyła powściągnąć swój niewyparzony język. Ujrzała, jak markiz podchodzi do niej, więc cofnęła się o krok, mówiąc szybko:

- Aha, już rozumiem! Uważa pan za swój obowiązek oświadczyć się, gdyż uważa pan, że się skompromitowałam, mieszkając w tym samym czasie co pan w Monk's Farm, jednak zapewniam pana...

- Ja wcale nie zamieszkałem na Monk's Farm, a kiedy przypomnę sobie, jak się natrudziłem, by cię nie skompromitować, kiedy jeździłem tam i z powrotem do obskurnej gospody, w jakiej do tamtej pory jeszcze nigdy nie postąpiła moja noga, to muszę, Fryderyko, pogratulować ci wyjątkowej niewdzięczności!

- Och, nigdy w życiu! Był pan taki dobry! Taki... taki miły) Alverstoke, ale przecież pan nie chce mnie poślubić! Sam pan najlepiej wie, że tego nie pragnie!

- Wcale nie wiem! - zawołał z całego serca. - Ale skoro dwie z moich sióstr, mój sekretarz... niech go diabli wezmą za tę bezczelność... i co najmniej dwóch z moich najstarszych przyjaciół są najwyraźniej przekonani, mimo iż dołożyłem wszelkich starań, by im zamydlić oczy, że do tego dążę, to upraszam cię, Fryderyko, byś przyjęła moje oświadczenia! Nie zniosę... naprawdę nie zniosę odmowy!

- Nie, nie, błagam, nie...! - powiedziała prosząco. - Zdaje pan sobie sprawę z mojej sytuacji! Przecież mam na głowie Jessamy'ego i Feliksa! Nie mogłabym powierzyć ich opiece Harry'ego! Sam pan o tym wie!

- Wcale cię nie proszę, abys pozostawiła ich na jego łasce! Śmiem twierdzić, że chłopcy z ochotą spędzą z nim część wakacji, ale, rzecz jasna, swój dom będą mieli u nas. Podobnie jak mój nieoceniony kuzyn, twierdzą, moja droga, że chłopcom brak męskiej ręki! Rozumiem, oczywiście, że w roli moralnego preceptora nie umyłam się do Buxteda. Tyle że chłopcy chyba mnie polubili bardziej od niego.

- Ależ nie miałam najmniejszego zamiaru wychodzić za Buxteda!

- Przyznaję ci rację - zgodził się. - Z jakichś tam powodów najwyraźniej nie przypadł Jessamy'emu i Feliksowi do gustu, prawda? Co więcej, szczerze wątpię, czy byłby gotów zaakceptować beludzystańskiego ogara. Nie, na twoim miejscu nie poślubiłbym Buxteda. Ani nawet Darcy'ego, który wczoraj wieczorem powiadomił mnie, że dołoży wszelkich starań, by mnie wysadzić z siodła. On z całą pewnością nie umiałby poradzić sobie z chłopcami.

Fryderyka, rozdarta między rozbawieniem i niezwykłym dla niej zakłopotaniem, powiedziała:

- Przemawia pan tak, jak gdyby pan myślał o małżeństwie tylko ze względu na nich! Nigdy na to się nie zgodzę!

- Och, wiem doskonale! Ale wiem także, że nigdy nie wyjdiesz za kogoś, kogo oni nie lubią, i kto nie zgodziłby się, aby zamieszkali w jego domu. Usiłuję tylko przedstawić ci się w jak najlepszym świetle! Przecież widzisz, że nie mam nic przeciwko temu: lubię ich, interesuję się nimi. Co więcej, przywykłem już do roli ich opiekuna, więc z największą niechęcią wypuściłbym ich poza sferę swoich wpływów.

Odezwała się niepewnie:

- Przemawia przez pana sama dobroć... życzliwość! Nie wiem... nie jestem pewna... dlaczego pan mi się oświadcza: czy dlatego, że, pańskim zdaniem, skompromitował mnie pan, czy może... z litości, która jest całkiem nie na miejscu, choć niekiedy podejrzewałam, że pan się nade mną lituje. Jednak...

- Doprawdy, Fryderyko, chyba masz dość rozumu, by nie pleść takich bzdur! - przerwał gwałtownie. - Cóż za księżycowe fantazje! Nie jestem ani dobry, ani życzliwy, wcale cię nie skompromitowałem, a gdybym uważał, że muszę się nad tobą litować, to zapewniam cię, moja droga, że zanudziłabyś mnie na śmierć! Ale przy tobie nie sposób się nudzić! - Ujął ją za rękę i przytrzymał je mocno. - Jesteś jedyną kobietą, o której mogę to powiedzieć! Żadna ci nie dorównuje. Nawet nie podejrzewałem, że taka może istnieć, Fryderyko.

Drżała, wirowało jej w głowie.

- Och, to niemożliwe! Przecież pan... pan nie mógł się we mnie zakochać! Jakim cudem? Czyżby pan kpił sobie ze mnie... próbując mnie o tym przekonać? Nie, nie, nie pozwolę na to!

- Ależ zapewniam, że nie mam takiego zamiaru! - uspokajał ją pogodnie. - Po prostu zrozumiałem, że nie mogę już dłużej bez ciebie żyć, moja wspaniała Fryderyko!

Nieświadomie oddała mu uścisk dłoni. Spojrzawszy w jego roześmiane oczy wzrokiem, w którym kryła się i nadzieja, i obawa, odezwała się nieśmiało:

- Naprawdę? Zakochał się pan? Proszę zrozumieć, sama nigdy się nie zakochałam, więc nie wiem, jak to jest! I już wiele lat temu postanowiłam, że nigdy nikogo nie poślubię, póki nie pokocham go całym sercem. Alverstoke, to chyba nie może być to, gdyż wcale nie czuję się jak Charis. Zawsze sądziłam, że kiedy jakaś panna zakocha się w dżentelmenie, to natychmiast oślepnie na jego wady. Ale ja wcale nie oślepiłam i doskonale widzę pańskie wady i nie uważam, że wszystko, co pan robi i mówi, jest właściwe! Tylko...

dlaczego czuję się niepewnie... zbita z tropu... kiedy nie ma pana w pobliżu?

- Moja kochana - zawołał lord, mocno ją obejmując. - Przecież właśnie o to chodzi!

- Och! - odetchnęła z trudem Fryderyka, wyzwalając się z jego objęć. - Teraz wiem! Wiem, że jestem zakochana!

Kiedy w jakiś czas potem najmłodszy Merriville wpadł jak burza do salonu, zastał ich siedzących ramię w ramię na sofie.

- Buddle mówił, że nie powinienem wam przeszkadzać, ale wiedziałem, że to bzdura! - zawołał z pogardą.

- Kuzynie Alverstoke, koniecznie muszę spytać cię o coś bardzo ważnego! - Urwał wstrząśnięty widząc, że kuzyn Alverstoke obejmuje Fryderykę. Wstrząśnięty takim sprzeniewierzeniem się męskości, zmierzył swojego idola pełnym dezaprobaty spojrzeniem i stanowczo spytał:

- Sir, dlaczego pan tuli Fryderykę?

- Ponieważ zamierzamy się pobrać - odparł spokojnie lord.

- Rozumiesz, to zobowiązuje. Po kimś... kto chce poślubić damę... wszyscy spodziewają się, że będzie ją do siebie tulił.

- Och! - spieszył się Feliks. - Cóż, ja nigdy nie będę nikogo prosił, by mnie prosił o rękę, jeżeli to tak ma wyglądać! I przyznaję, że i pana nigdy o to nie podejrzewałem, sir... - Znowu urwał, gdyż coś nowego przyszło mu do głowy. - Czy ona... ona zostanie panią markizową? O, Jessamy, słyszałeś? Fryderyka ma zostać markizową!

- Ty niedouczony małpoludzie, markizą, nie markizową! - uświadomił go skrupulatny brat. - I nie ma w tym nic śmiesznego!

- Spojrzał na Fryderykę i powiedział po prostu: - Jestem szczęśliwy.

- A potem dodał speszony: - Będzie nam ciebie bardzo brakować, ale z całego serca się cieszę! Fryderyka wyciągnęła do brata dłoń.

- Kochany Jessamy! Ależ mnie nie zabraknie... zostaniemy razem! Z tą drobną różnicą, że my wszyscy... ty, Feliks i ja... zamieszkamy z kuzynem Alverstokiem, a nie w Graynard. Wiem doskonale, że nie będziesz się temu sprzeciwiał! Nie odpowiedział, zwrócił tylko wzrok na markiza i powiedział:

- Dziękuję! Ale nie chcielibyśmy się panu narzucać, sir! - Cóż za szkaradna perspektywa! - zgodził się lord. - Ale najważniejsze, że potrafię zapewnić twojej siostrze łatwiejsze życie! Przez twarz Jessamy'ego przemknął rzadki gość - uśmiech.

- Pan... pan jest najdoskonalszym facetem pod słońcem, sir!

- Co ty? - zaoponował Feliks. - Czemu markiz miałby nie chcieć z nami zamieszkać? Chyba nie my przysparzamy mu kłopotów?! Kuzynie Alverstoke, koniecznie muszę się od pana dowiedzieć, czy mogę dostać w Alver miejsce na własne laboratorium? Na eksperymenty? Przysięgam z całej duszy, że nie wysadzę całego domu w powietrze! Kuzynie Alverstoke, błagam...